

WAGS
WAGE

PERIODICA PERRA



Jack Vance

ZIELONA PERŁA

Przełożyła: Małgorzata Świca

Tytuł oryginału The Green Pearl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

Davidowi Alexandrowi, Timowi Underwoodowi

i Chuckowi Millerowi Kirby, Kay,

Ralphowi Johnowi II i Normie

Rozdział 1

I

Visbhume, terminator Hippolita, po śmierci swego mistrza starał się o podobną posadę u czarnoksiężnika Tamurella, jednak bez powodzenia. Zaoferował mu wówczas na sprzedaż skrzynkę zawierającą przedmioty, które wyniósł z domu Hippolita. Jeden rzut oka na jej zawartość wystarczył, żeby Tamurello się nią zainteresował i zapłacił tyle, ile Visbhume zażądał.

Wśród przedmiotów znajdujących się w skrzynce były szczątki starego manuskryptu. Kiedy wieści o tej transakcji dotarły przypadkowo do uszu czarownicy Desmei, pomyślała, że może skrawki te będą pasować do brakujących fragmentów w rękopisie, który już od dawna próbowała odtworzyć. Bezzwłocznie udała się do Faroli, siedziby Tamurella w puszczy Tantrevalles, i poprosiła o zgodę na zbadanie znajdujących się w jego posiadaniu fragmentów.

Tamurello pokazał je uprzejmie.

– Czy to są te brakujące części? Desmei przejrzała skrawki.

– Tak, to one!

– W takim razie należą teraz do ciebie – rzekł czarnoksiężnik. -Przyjmij je wraz z najlepszymi życzeniami.

– Z największą przyjemnością!

Pakując fragmenty manuskryptu, Desmei przyglądała mu się kątem oka.

– Trochę to dziwne, że się dotąd nie spotkaliśmy – zauważyła. Tamurello przytaknął z uśmiechem.

– Jak świat długi i szeroki, na każdym kroku spotykają nas nowe doświadczenia i często dostarczają nam wielu przyjemności. – Z galanterią schylił głowę w stronę gościa.

– Dobrze powiedziane, Tamurello! Doprawdy, jesteś bardzo łaskawy!

– Tylko wówczas, gdy wymagają tego okoliczności. Napijesz się czegoś? Mam tu łagodne wino z Alhadry.

Siedzieli rozmawiając o sobie i swoich teoriach. Tamurello wydał się Desmei mężczyzną interesującym i pełnym życia, postanowiła więc, że będzie jej kochankiem.

Przepadający za nowościami Tamurello nie wzbraniał się przed tym. Złączył jej energię ze swoją i przez pewien czas między nimi wszystko układało się dobrze. Wkrótce jednak stwierdził, że Desmei brakuje lekkości i wdzięku. Stopniowo, ku jej ogromnemu zmartwieniu, stawał się coraz bardziej kapryśny. Początkowo uważała tę zmienność nastrojów za gierki miłosne lub niesforne zachowanie rozpieszczonego kochanka. Narzucała się, kusząc go to jedną, to drugą zręczną sztuczką, lecz Tamurello stawał się coraz bardziej obojętny. Desmei przesiadywała z nim godzinami, analizując wszystkie fazy ich związku, podczas gdy on pił wino i spoglądał ponuro w dal.

Odkryła, że ani westchnienia, ani porywy serca nie działały na Tamurella. Przekonała się też, że był równie odporny na pochlebstwa, a wymówki tylko go nudziły. Któregoś dnia w żartobliwy sposób opowiedziała mu o swoim byłym kochanku, który przysporzył jej cierpień, i napomknęła mimochodem o nieszczęściach, jakie go odtąd w życiu trapiły. Spozstrzegła, że to wreszcie zainteresowało Tamurella i szybko zmieniła temat na pogodniejszy.

Postępowanie czarnoksiężnika względem kochanki uległo zmianie; kierowała nim teraz rozważa

i Desmei nie musiała się już więcej na nie uskarżać.

Po szalonym miesiącu Tamurello stwierdził jednak, że nie ma dłużej ochoty stwarzać pozorów. Ponownie zaczął jej unikać, ale tym razem Desmei, rozumiejąc pobudki jego działania, zρέcznie utarła mu nosa.

Doprowadzony do ostateczności, Tamurello odwołał się do czarów i rzucił na Desmei urok, wprowadzając ją w stan znudzenia tak spokojnie, stopniowo i łagodnie, że nawet tego nie spostrzegła. Zaczął nużyć ją świat, jego marność, czerze ambicje i banalne przyjemności, a jej zobjętnienie było tak głębokie, iż ani przez chwilę nie podejrzewała, że zaszła w niej jakaś zmiana. Czary Tamurella osiągnęły zamierzony skutek.

Zatopiona w ponurych myślach, Desmei błękała się przez pewien czas po wietrznych korytarzach swego pałacu przy plaży w pobliżu Ys, aż wreszcie zdecydowała się opuścić ten świat, pozostawiając go swoim własnym ponurym prawom. Gotowała się na śmierć i po raz ostatni spoglądała na zachód słońca ze swego tarasu.

O północy wysłała ważną wiadomość do Faroli, leżącej za górami, lecz do świtu nie nadeszła żadna odpowiedź.

Długimi godzinami trwała w zadumie, dochodząc do wniosku, że musi się zastanowić nad zniechęceniem, które wpędziło ją w takie tarapaty.

Jej decyzja była nieodwołalna, jednak w swej ostatniej godzinie rzuciła się w wir pracy nad zestawem wspaniałych receptur, jakich nikt dotąd nie znał.

Zarówno wówczas, jak i później, motywy jej działania były trudne do zrozumienia, gdyż umysł jej był zmacony, a myśli pełne grozy. Czowała się zdradzona, urażona i wykorzystana, a równocześnie wrzały w niej siły twórcze, które pchały ją do działania. W każdym razie stworzyła parę najwyższych istot, które – w jej mniemaniu – miały być świetlanym obrazem jej własnego idealnego „ja”, a ich piękno i symbolika miały zadziwić Tamurella.

W świetle późniejszych wydarzeń* okazało się, że nie odniosła sukcesu, a triumf, jeśli można w ogóle użyć tu tego słowa, przypadł raczej w udziale Tamurellowi.

*Ich szczegóły zostały opisane w *Lyonesse I. Ogród Suldrun*.

Do osiągnięcia swego celu Desmei użyła różnorodnych składników: morskiej soli, ziemi ze szczytu góry Khambaste w Etiopii, różnych wydzielin i klejów, a także cząstek własnego ciała. W ten sposób stworzyła parę wspaniałych istot, uosobienie wdzięku i piękna. Kobietę nazwała Melanthe, mężczyznę – Faude Carfilhiot.

Jednak nie wszystkiego dopilnowała. Kiedy oba te stworzenia stały w pracowni nagie i bez świadomości, z kadzi, gdzie znajdowały się resztki substancji, z której powstały, zaczęło się wydobywać pasemko zielonych oparów. Ich zapach wywołał u Melanthe wstrząs, skurczyła się i wypluła gorycz z ust. W przeciwieństwie do niej, Carfilhiotowi wyziewy przypadły do gustu i wdychał je zachłannie pełną piersią.

W kilka lat później wojska z Troicinetu zdobyły zamek Tintzin Fy-ral. Carfilhiota pojmano i powieszono na szubienicy dostatecznie wysokiej, by ten bezsprzecznie symboliczny obraz nie uszedł uwagi Tamurella w Faroli na wschodzie i króla Casmira z Lyonesse na południu.

Wkrótce ciało Carfilhiota zdjęto, ułożono na stosie i spalono przy dźwiękach kobz i fletów. W ferworze powszechnej radości nikt nie zauważył, że ponad płomieniami utworzył się obłok cuchnącego dymu, który porwany przez wiatr uniósł się nad powierzchnią morza. Tu, wirując nisko i mieszając się z pianą fal, wyziewy zgęstniały i przyjęły kształt zielonej perły, która opadła na dno oceanu, gdzie ostatecznie została połknięta przez dużą flandrę.

Położone nad morzem Południowe Ulflandy rozciągały się od Ys na południu po Suarach na północy. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się kamieniste plaże i skaliste przylądki, świadcząc o tym, że jest to ziemia jałowa i niegościnna. W miastach Ys i Suarach oraz w Oaldes, leżącym między nimi, znajdowały się trzy największe porty. W pozostałej części kraju portów było niewiele; tworzyły je najczęściej małe zatoczki zamknięte skalistymi cyplami,

Dwadzieścia mil na południe od Oaldes linia stromych skał wrzynała się w ocean i wraz z kamiennym falochronem dawała schronienie kilkudziesięciu łodziom. Dokoła portu powstała wioska: skupisko wąskich, kamiennych chat, dwie tawerny i plac targowy.

W jednej z tych chat mieszkał rybak Sarles, mężczyzna czarnowłosy, krępy, o ciężkich biodrach i małym kulistym brzuchu. Jego twarz, okrągła i blada jak księżyc, nieustannie wyrażała zakłopotanie, jak gdyby życie i logika nigdy dlań nie szły ze sobą w parze.

Lata młodości Sarlesa minęły już dawno, lecz nie mógł się on poszczycić znaczną fortuną. Tłumaczył to brakiem szczęścia, chociaż -jeśli wierzyć jego żonie, Libie – główną tego przyczyną było lenistwo jej męża.

Sarles, dla wygody, trzymał swoją łódź o nazwie *Zwycięzca* przywiązaną do kamienia przed domem. Odziedziczył ją po swoim ojcu, zatem teraz była już stara i zniszczona, przeciekała w każdej spoinie, a łączenia niebezpiecznie się ruszały. Sarles doskonale znał braki *Zwycięzcy* i wypływał na morze tylko wtedy, gdy pogoda była sprzyjająca.

Liba, podobnie jak Sarles, była dość tęga. Chociaż starsza od niego, górowała nad nim energią i często pytała go:

– Dlaczego nie łowisz dziś jak inni mężczyźni?

– Wiatr z pewnością nasili się późnym popołudniem, a fujersy

przy wantach z lewej burty po prostu nie wytrzymają takiego naporu fal – odpowiadał Sarles.

– Dlaczego zatem ich nie wymienisz? Nie masz przecież nic lepszego do roboty.

– Phi! Kobieto, nie masz pojęcia o łodziach. Najsłabsza część zawsze psuje się pierwsza.

Gdybym naprawił fujersy, mogłyby zerwać się wanty, a przy silnym podmuchu pięta masztu zdołałaby przebić dno łodzi.

– W takim razie wymien wanty, a potem napraw poszycie łodzi.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić! Byłaby to strata czasu i pieniędzy.

– Ty i tak marnujesz czas w gospodzie, gdzie trwonisz pieniądze, i to garściami.

– Dostyc, kobieto! Czy żałujesz mi tych kilku chwil wytchnienia?

– Rzeczywiście, żałuję! Wszyscy inni są na morzu, podczas gdy ty wylegujesz się na słońcu i zbijasz baki. Twój kuzyn Junt wyszedł z portu przed świtem, żeby łowić makrele. Dlaczego ty nie zrobiłeś tak samo?

– Junt nie cierpi na ból w plecach, tak jak ja – mruknął Sarles. – A poza tym pływa na *Lirlou*, która jest piękną, nową łodzią.

– To rybak łowi ryby, nie łódź. Junt ma sześciokrotnie większe połowy niż ty.

– Tylko dlatego, że jego syn, Tamas, łowi razem z nim.

– Co oznacza, że i tak każdy z nich łowi trzykrotnie więcej od ciebie.

– Kobieto, kiedy nauczysz się trzymać język za zębami?! – wrzasnął ze złością Sarles. – Gdybym miał w kieszeni choć jedną monetę, natychmiast poszedłbym do tawerny.

– Dlaczego nie wykorzystasz tego czasu na naprawę *Zwycięzcy*? Sarles machnął ręką i wyszedł

na plażę, ocenić usterki swojej łodzi.

Nie mając nic lepszego do roboty, wystrugał nowy fujers do wantów. Liny były zbyt drogie na jego kieszeń, wykonał więc na nich cały szereg węzłów, które jednak nie wyglądały solidnie.

I tak mijał dzień za dniem. Sarles wykonywał tylko takie naprawy, które były niezbędne, żeby *Zwycięzca* utrzymał się na powierzchni. Wypływał pomiędzy rafy i skały tylko wtedy, gdy warunki były dogodne, to znaczy niezbyt często.

Któregoś dnia Sarles przestraszył się nie na żarty. Wypłynął z portu przy lekkich podmuchach wiatru wiejącego w kierunku brzegu, rozwinął żagiel i pomknął po falach w stronę raf, gdzie przepływały ławice ryb.

Dziwne! – pomyślał. – Dlaczego maszt przechylił się w chwilę po tym, jak postawiłem żagiel?

Prowadząc oględziny, odkrył przyczynę: stewa rufowa, do której przymocowany był achtersztag, tak przegniła od starości i toczących ją robaków, że w każdej chwili mocowanie sztagu mogło się wyrwać pod naporem wiatru powodując prawdziwą katastrofę.

Sarles przewrócił oczami i zazgrzytał zębami ze złości. Teraz, bez ociążania się, musi dokonać wielu nudnych napraw i nie będzie mógł odpoczywać i popijać wina, dopóki ich nie zakończy. Żeby sfinansować te naprawy, może być nawet zmuszony prosić o miejsce na pokładzie *Lirlou*, co znowu wydało mu się nieznośne, ponieważ oznaczało, że będzie musiał pracować tyle godzin, co Junt.

Tymczasem zamocował achtersztag do jednej z rufowych knag, co przy łagodnym wietrze było wystarczające.

Sarles pracował przez dwie godziny, lecz w tym czasie złowił zaledwie jedną flądrę. Kiedy czyścił rybę, z jej brzucha wypadła wspaniała, zielona perła. Nie mogąc zrozumieć tak nagłego szczęścia, ponownie zarzucił sieci, ale wiatr zaczął przybierać na sile; mając na względzie stan prowizorycznie zamocowanego achtersztagu, podniósł kotwicę i skierował dziób łodzi w stronę Mynault. Płynąc rozkoszował się pięknem zielonej perły, która, przy każdym dotyku przyprawiała go o dreszcz rozkoszy.

Gdy znalazł się w porcie, wyciągnął łódź na brzeg i ruszył w stronę domu. Na drodze spotkał swojego kuzyna Junta.

– Jak to?! – zawołał Junt. – Tak wcześnie skończyłeś pracę? Nie minęło nawet południe! Co złapałeś? Jedną flądrę?! Sarles, umrzesz w nędzy, jeśli nie weźmiesz się w garść. Powinieneś poddać *Zwycięzcę* gruntownemu remontowi, a potem łowić jak najczęściej, żeby zarobić na utrzymanie i odłożyć coś na starość.

– A ty? Dlaczego nie jesteś na swojej pięknej *Lirlou*? Boisz się odrobiny wiatru?

– Wcale nie! Łowiłbym, i to z przyjemnością, bez względu na wiatr, gdybym nie musiał uszczelniać *Lirlou* pakułami i smołą.

Z natury Sarles nie był ani bystry, ani mściwy, ani tym bardziej złośliwy, a jego największą wadą było lenistwo i trwanie w gburowatym uporze, gdy łajała go żona. Teraz jednak pod wpływem nagłego impulsu odezwał się chytrze:

– No cóż, skoro gna cię na morze, to jest przecież *Zwycięzca*; możesz wypłynąć nim na rafę i łowić tak długo, jak tylko zechcesz.

– Przesiąść się z mojej wspaniałej *Lirlou* na *Zwycięzcę*? – odburknął drwiąco Junt. – Cóż za upadek! Trzymam cię jednak za słowo. Dziwne, ale nie mogę spać, jeśli czegoś nie złowię.

– Życzę ci szczęścia – powiedział Sarles i ruszył wzdłuż nabrzeża. Wiatr, jak zauważył, zmienił kierunek i wiał teraz z północy.

Na targu sprzedał flądrę za przyzwoitą cenę, a potem zatrzymał się, żeby przez chwilę pomyśleć. Wyjął perłę z kieszeni i na nowo jej się przyjrzał: była piękna, jej zielony blask wydawał się

niezwykły, a nawet, trzeba przyznać, odrobinę niepokojący.

Wyszczrzył zęby w dziwnym, bezmyślnym grymasie i wrzucił perłę z powrotem do kieszeni. Przeszedł przez plac i wszedł do tawerny, gdzie wlał w gardło dobrą ćwiartkę wina. Pierwszą trzeba było poprawić następną. Gdy umoczył w niej usta, przysiadł się do niego jeden ze starych, dobrych znajomych.

– Jak leci? Nie jesteś dziś na morzu? – zagadnął Sarlesa.

– Nie byłem dzisiaj w stanie wypłynąć, coś mnie rwie w plecach. A poza tym Junt chciał pożyczyć ode mnie łódź, więc powiedziałem mu: „Bierz ją; możesz łowić przez całą noc, jeżeli jesteś tak szalenie pracowity”. Tak więc wypłynął na moim dobrym, starym *Zwycięzcy*.

– No cóż, byłeś bardzo wspaniałomyślny!

– Dlaczegoż by nie? Jest przecież moim kuzynem, a krewnym nie wypada odmawiać.

– To prawda.

Sarles dopił wino i wyszedł na nabrzeże. Rozejrzał się badawczo po morzu, ale nigdzie nie mógł dostrzec połatanego, żółtego żagla *Zwycięzcy*. Odwrócił się i ruszył z powrotem wzdłuż nabrzeża. W dole rybacy wyciągali na brzeg swoje łodzie. Zszedł do nich, żeby zapytać o Junta.

– Z dobroci serca pozwoliłem mu zabrać mojego *Zwycięzcę*, chociaż ostrzegałem go, że wiatr się wzmaga i zmienia kierunek na północny.

Był przy Skrzypiącym Dnie godzinę temu – odezwał się jeden z rybaków. – On łowi, gdy tymczasem prawdziwi mężczyźni popijają wino!

Sarles spojrzał na morze.

– Może to i prawda, ale nie widzę go teraz. Wiatr dmie coraz mocniej i będzie miał kłopoty, jeśli zaraz nie weźmie kursu na port.

– Nie ma się co martwić o tak doświadczonego wilka morskiego jak Junt i tak wytrzymałą łódź jak *Lirlou* – zauważył rybak, który właśnie do nich podszedł.

Pierwszy z mężczyzn roześmiał się ochryple.

– Ale on jest na pokładzie *Zwycięzcy*!

– A, to zupełnie co innego. Mądrzej byś zrobił, Sarles, gdybyś wreszcie naprawił swoją łódź.

– Tak, tak – wymamrotał Sarles. – Wszystko w swoim czasie. Nie jestem przecież cudotwórcą i nie wytrąsnę pieniędzy z rękawa.

Słońce już zaszło, a Junt ciągle nie wracał do portu w Mynault. Sarles postanowił w końcu opowiedzieć o wszystkim Libie.

– Ból w plecach dawał mi się dzisiaj tak we znaki, że nie mogłem długo łowić. Niestety, wspaniałomyślnie pozwoliłem Juntowi skorzystać z mojej łodzi. Nie wrócił jeszcze i boję się, że wiatr zniósł go wzdłuż wybrzeża lub, co gorsza, że rozbił *Zwycięzcę*. Obawiam się, że będzie to dla mnie nauczka.

Liba wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Dla ciebie? A co z Juntem i jego rodziną?

– Obchodzą mnie bardzo, co do tego nie powinnaś mieć żadnych wątpliwości. Ale, ale, nie mówiłem ci jeszcze o tym, jakie wielkie szczęście mnie dzisiaj spotkało.

– Naprawdę? Czy to znaczy, że nie bolą cię już plecy i możesz się wreszcie zabrać do pracy? A może straciłeś ochotę na wino?

– Kobieto, powstrzymaj swój język albo poczujesz ciężar mojej ręki! Znudziły mnie twoje cierpkie dowcipy.

– W takim razie, co takiego się wydarzyło? Sarles pokazał jej perłę.

- I co na to powiesz? Liba spojrzała na klejnot.
- Hm! Dziwne. Nigdy nie słyszałam o zielonych perłach. Jesteś pewien, że jest prawdziwa?
- Oczywiście! Masz mnie za głupca? Jest warta sporą sumkę. Liba odwróciła się.
- Przyprawia mnie o dreszcze.
- Czy nie tak, jak kobieta mężczyznę? Gdzie jest moja kolacja? Co, znowu owsianka?! Dlaczego nie ugotujesz garnka smacznej zupy, jak inne kobiety?
- Mając pusty kredens? Musiałabym umieć czynić cuda. Gdybyś więcej łowił i mniej pił, jadalibyśmy lepiej.
- Ba! Od dzisiaj wszystko się zmieni.

W nocy mężczyźni Sarlesa niespokojne sny. Jak przez mgłę widział w nich twarze, które przyglądały mu się badawczo, po czym szeptały o czymś poważnie na boku. Nie mógł zrozumieć ani słowa, choć próbował ze wszystkich sił. Niektóre z nich wydały mu się znajome, jednak nie potrafił przypisać im żadnych imion.

Junt nie wrócił do rana, zatem zgodnie z przyjętym zwyczajem miał prawo łowić na pięknej, nowej łodzi kuzyna. Tamas, syn Junta, też chciał wypłynąć w morze na *Lirlou*, ale Sarles się na to nie zgodził:

- Wolę łowić sam.
- To nie jest w porządku – zaprotestował gorąco Tamas. – Muszę bronić interesów mojej rodziny! – Sarles uniósł w górę palec.
- Nie tak szybko! Nie zapominaj, że i ja mam swoje interesy! *Lirlou* przechodzi na moją własność i będzie należała do mnie, dopóki Junt nie zwróci mi *Zwycięzcy* w nienaruszonym stanie. Jeśli chcesz łowić, musisz to sobie zorganizować w inny sposób.

Sarles wypłynął na łowisko ciesząc się, że ma taką mocną łódź i wszystkie potrzebne przyrządy. Tego dnia szczęście dopisało mu niebywale: ryby niemalże same łapały się w sieci i wkrótce kosze pod pokładem napełniły się po brzegi. Sarles pożegłował z powrotem do My-nault, gratulując sobie takiego połowu. Tego wieczoru będą jadł dobrą zupę, a może nawet pieczone ptactwo – myślał zadowolony.

Minęły dwa miesiące, podczas których Sarles wzbogacił się na obfitych połowach, gdy tymczasem dla Tamasa wszystko układało się źle. Pewnego wieczoru Tamas udał się do domu Sarlesa z nadzieją, że dojdzie z nim do porozumienia i znajdą wyjście z sytuacji, której nikt w Mynault nie uważał za całkiem normalną, chociaż wszyscy byli zgodni, że Sarles miał prawo zająć *Lirlou*.

Tamas zastał Libę samotnie przędącą przy kominku. Wyszedł na środek izby i rozejrzał się dookoła.

- Gdzie jest Sarles?
- W tawernie, jak przypuszczam. Pewnie wlewa w siebie wino -odparła Liba monotonnym głosem. Spojrzała przez ramię na Tamasa i ponownie wróciła do wrzeciona. – Nie wiem, czego chcesz, ale nie dostaniesz tego. Sarles stał się nagle bogatym człowiekiem i chodzi dumny jak paw.
- Jednak musimy dojść do porozumienia! – zawołał Tamas. – Stracił swoją przegniłą łódź i zdobył *Lirlou*, lecz za jaką cenę? Ja, moja matka i siostra straciliśmy wszystko, i to nie z naszej winy. Prosimy tylko o to, żeby Sarles postępował z nami uczciwie, oddając nam nasz udział.

Liba wzruszyła ramionami.

- Niepotrzebnie ze mną o tym rozmawiasz. Nie mam na niego żadnego wpływu. Odkąd przyniósł do domu tę swoją zieloną perłę, stał się innym człowiekiem. – Podniosła wzrok na kominek, gdzie na talerzyku spoczywała perła.

Tomas podszedł do klejnotu, aby mu się lepiej przyjrzeć. Wziął go do ręki i zaczął ważyć w palcach, a potem gwizdnął przez zęby.

– Cenny to przedmiot! Można by za niego kupić następną *Lirlou*! Uczyniłby ze mnie bogacza!

Liba spojrzała na niego ze zdziwieniem. Czy był to głos tego samego Tamasa, którego powszechnie uważano za uosobienie uczciwości? Zielona perła zdawała się zmieniać każdego, kto jej dotknął, budząc w nim chciwość i egoizm. Wróciła do przedzenia.

– Nie mów nic więcej. Nie chcę tego słuchać. A ta rzecz budzi we mnie wstręt; mam wrażenie, że patrzy na mnie oko diabła.

Tamas zachichotał tak piskliwie, że Liba rzuciła mu z ukosa spojrzenie pełne zdziwienia.

– Tak! Nadszedł czas na wyrównanie krzywd! – zawołał. – Jeśli Sarles będzie się uskarżał, to przyślij go do mnie. – Z perłą w dłoni wybiegł z chaty.

Liba westchnęła i wróciła do swojej pracy z uczuciem dziwnego lęku w sercu.

Minęła godzina, wokół panowała cisza, słychać było tylko szum wiatru w kominie i od czasu do czasu trzeszczenie płonących bierwion. Wtem rozległ się głuchy odgłos kroków Sarlesa, powracającego chwiejnie z tawerny. Pchnął drzwi, otwierając je na oścież, i stanął w progu z okrągłą jak talerz twarzą pod rozczochranymi włosami. Jego wzrok błędził to tu, to tam, by wreszcie zatrzymać się na spodku; był pusty. Wydał pełen bólu okrzyk:

– Gdzie jest perła, cudowna, zielona perła?!

– Tamas przyszedł porozmawiać z tobą. A ponieważ cię nie było, zabrał perłę. – odezwała się bezbarwnym głosem Liba.

– Dlaczego go nie powstrzymałaś? – zawył Sarles z wściekłością.

– To nie moja sprawa. Sam to załatw z Tamasem.

– Mogłaś go zatrzymać, to ty dałaś mu perłę! – wyjęczał z furią Sarles i rzucił się na nią z zaciśniętymi pięściami, ale Liba uniosła w górę wrzeczono i cisnęła nim, trafiając go w lewe oko.

Gdy Sarles przycisnął gwałtownie dłoń do krwawiącego oczodołu, cofnęła się, przerażona swym czynem.

Spojrzał na nią prawym okiem i powoli ruszył w jej stronę. Liba znalazła po omacku miotłę z witek łożowych; podniosła ją w górę i trzymała w pogotowiu. Sarles powoli, krok za krokiem, posuwał się do przodu. Nie spuszczać wzroku z żony, schylił się i podniósł z podłogi siekiere o krótkim trzonku. Kobieta krzyknęła, rzuciła mu miotłę w twarz i pobiegła w kierunku drzwi. Sarles jednak złapał ją za włosy, wciągnął do środka i uniósł w górę siekiere...

Wrzaski przyciągnęły sąsiadów. Mężczyźni pojмали Sarlesa i wywlekli go na plac. Wyrwano z łóżek członków starszyny, którzy mrużąc sennie oczy, przyszli czynić sprawiedliwość przy świetle pochodni.

Przestępstwo było oczywiste, morderca znany i nic by nie dało odkładanie sprawy na później. Wydano wyrok; zaprowadzono Sarlesa do stodoły i powieszono na belce, a mieszkańcy wioski ze zdumieniem przyglądali się, jak ich sąsiad wierzga nogami i szarpie się w przed-śmiertelnych drgawkach.

III

Oaldes, położone dwadzieścia mil na północ od Mynault, od dawna było siedzibą królów Południowych Ulflandów, chociaż brakowało mu dostojności oraz historycznej świetności Ys i nie przynosiło im takich dochodów jak miasta Avallon i Lyonesse. Dla Tamasa jednak Oaldes, z jego

placem targowym i ruchliwym portem, było uosobieniem miej-skości.

Zaprowadził konia do stajni i w portowej tawernie zjadł na śniadanie gulasz rybny. Przez cały czas zastanawiał się, gdzie by tu sprzedać cudowną perłę, żeby otrzymać za nią jak najwyższą cenę.

Zachowując ostrożność, zwrócił się do właściciela gospody:

– Chciałbym cię o coś zapytać: gdyby ktoś chciał sprzedać wartościową perłę, gdzie znalazłby najlepszego kupca?

– Perły, powiadasz? W Oaldes nie znajdziesz dużego popytu na taki towar. Tutaj wydajemy nasze nędzne grosze na chleb i dorsza. Cebula w gulaszu jest często jedyną perłą, jaką wielu z nas kiedykolwiek zobaczy. Pomimo to, pokaż mi, co masz.

Z pewną niechęcią Tamas pozwolił karczmarzowi rzucić okiem na zieloną perłę.

– Cud! – zawołał gospodarz. – A może to tylko zręcznie podrobione zielone szkiełko?

– To jest perła – stwierdził krótko Tamas.

– Być może. Widziałem już różową perłę z Hadramaut i białą z Indii; obie były ozdobą uszu kapitanów statków. Pozwól mi jeszcze raz spojrzeć na twój zielony klejnot... Ach! Ona świeci złym światłem! Tam znajdziesz stragan złotnika Sepharda, może on da ci coś za nią.

Tamas zaniósł perłę na stragan złotnika i położył ją na ladzie.

– Ile złota i srebra dasz mi za ten piękny klejnot?

Złotnik przysunął długi nos do perły i obrócił ją dłutem. Po chwili podniósł wzrok.

– Jaka jest twoja cena?

Tamasa, zwykle tak zrównoważonego, rozwścieczył uprzejmy ton złotnika.

– Chcę tyle, ile jest warta, i nie dam się oszukać – odpowiedział szorstko.

Złotnik wzruszył wąskimi ramionami.

– Towar jest wart tyle, ile ktoś za niego zapłaci. Nie mam zbytu na tak piękne świecidełka. Dam za nią sztukę złota, nic więcej.

Tamas ze złością chwycił perłę i odszedł. W ten sposób minął mu cały dzień: oferował perłę każdemu, kto – w jego mniemaniu – mógł za nią dobrze zapłacić, ale nie udało mu się jej sprzedać.

Późnym popołudniem zmęczony i głodny, tłumiąc w sobie gniew, wrócił do gospody „Pod Czerwonym Homarem”, gdzie zjadł pasztet wieprzowy i wypił kufel piwa. Przy sąsiednim stoliku czterech mężczyzn grało w kości. Tamas zbliżył się do nich, żeby przyjrzeć się grze z bliska. Gdy jeden z mężczyzn odszedł, pozostali zaprosili go, by się do nich przyłączył:

– Wyglądasz na zamożnego młodzieńca. Masz szansę jeszcze bardziej się wzbogacić naszym kosztem.

Tamas zawahał się, gdyż niewiele wiedział o grach hazardowych, a zwłaszcza o grze w kości. Jednak gdy włożył rękę do kieszeni i dotknął zielonej perły, poczuł impuls, który dodał mu wręcz szaleńczej odwagi.

– Oczywiście! – zawołał. – Dlaczegoż by nie? – Wślizgnął się na wolne miejsce. – Musicie mi tylko wyjaśnić zasady gry, bo nie mam w tej materii żadnego doświadczenia.

Mężczyźni przy stole roześmiali się jowialnie.

– Tym lepiej dla ciebie – zauważył jeden z nich. – Z reguły początkujący mają szczęście!

– Jest kilka rzeczy, które musisz zapamiętać – dodał inny. – Po pierwsze, gdy wygrasz kolejkę, zabierasz wszystkie zakłady. Po drugie, i co dla nas ważniejsze, jeśli przegrasz, musisz zapłacić! Jasne?

– Absolutnie! – odpowiedział Tamas.

– W takim razie, jak przystało na człowieka honoru, pokaż nam kolor swoich pieniędzy.

Tomas wyjął z kieszeni zieloną perłę.

– Oto zielony klejnot wart dwadzieścia sztuk złota; to jest mój zastaw. Nie mam pieniędzy.

Pozostali gracze popatrzyli na perłę z zakłopotaniem.

– Może i jest warta dokładnie tyle, ile powiedziałaś, ale jak chcesz z nią grać? – zapytał jeden z nich.

– W bardzo prosty sposób. Jeśli wygram, to sprawa jest jasna i nie trzeba niczego tłumaczyć. Jeśli przegram, to będę przegrywał do momentu, aż mój dług osiągnie wartość dwudziestu sztuk złota, po czym oddam wam moją perłę i odejdę zrujnowany.

– Wszystko to ładnie brzmi – zauważył inny z graczy – jednak dwadzieścia sztuk złota to pokaźna suma. Przypuśćmy, że ja wygram jedną sztukę złota i w tym momencie będę miał dosyć gry; co wtedy?

– Czy to nie jest jasne? – zawołał poirytowany Tamas. – Dasz mi wtedy dziewiętnaście sztuk złota, zabierzesz perłę i odejdiesz ze swoją wygraną.

– Ale ja nie mam dziewiętnastu sztuk złota! 19

– Dobra, zaczynamy! Wątpliwości wyjaśnią się w trakcie gry – zawołał trzeci gracz.

– Jeszcze nie! – wykrzyknął najostrożniejszy z nich i spojrzał na Tamasa. – Twoja perła jest beużyteczna w tej grze. Nie masz pieniędzy?

W tym momencie podszedł do nich rudowłosy brodac z połyskującym kapeluszem i marynarskie spodnie w pasy.

– Rzadki klejnot, o idealnym blasku i niezwykłym kolorze! Gdzie znalazłeś takie чудо?

Tamas nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać wszystkiego, co wiedział.

– Jestem rybak z Mynault, gdzie morze wyrzuca na brzeg wszelkiego rodzaju skarby, zwłaszcza po burzy.

– To piękny klejnot – potwierdził jeden z bardziej roztropnych graczy – jednak do tej gry musisz mieć pieniądze.

– Dalej więc – zawołali pozostali. – Wykładaj swoją pulę i zaczynamy.

Tamas z niechęcią położył na stole dziesięć miedziaków, które chował na kolację i nocleg.

Gra się rozpoczęła i Tamasowi dopisało szczęście. Najpierw miedziaki, a potem srebrne monety zaczęły rosnać przed nim w stosach; postanowił grać o jeszcze wyższe stawki, czerpiąc pewność siebie z zielonej perły, która spoczywała pomiędzy jego wygranymi.

Jeden z mężczyzn porzucił grę zrozpaczony.

– Nie widziałem jeszcze takich rzutów kostką! Nie pokonam dzisiaj Tamasa ani bogini Fortuny!

Rudobrody marynarz, który zwał się Flary, postanowił przyłączyć się do gry.

– Pewnie z góry jestem skazany na przegraną, ale ja też stawiam wyzwanie temu dzikiemu rybakowi z Mynault.

I gra toczyła się dalej. Flary, doświadczony hazardzista, potajemnie wprowadził do niej parę obciążonych kości i korzystając z nadarzającej się okazji, postawił zakład o dziesięć sztuk złota.

– Rybaku, przyjmujesz taki zakład? – zawołał.

– Stawiam moją perłę. Zaczynam grę.

Flary rzucił kości, ale raz jeszcze, ku jego zdumieniu, wygrał Tamas. Widząc minę Flary'ego, Tamas zaśmiał się.

– To wszystko na dziś. Grałem wystarczająco długo, a za wygraną kupię sobie piękną, nową łódź. Dziękuję wam, panowie, za wieczór, który przyniósł mi taki zysk.

Szarpiąc brodę, Flary patrzył z ukosa, jak Tamas liczy swoje pieniądze. Nagle rzucił się na stół i udał, że sprawdza kości.

– Tak, jak podejrzewałem! Takie szczęście jest nienormalne! To są obciążone kości! Zostaliśmy

oszukani!

Zapadła martwa cisza, po której nastąpił wybuch wściekłości, Tamas został pojmany, wyciągnięty na podwórze za tawerną i pobity do nieprzytomności. Tymczasem Flary odnalazł swoje kości, odzyskał przegrane pieniądze, a także przywłaszczył sobie zieloną perłę.

Zadowolony z takiego obrotu sprawy opuścił tawernę i poszedł swoją drogą.

IV

Długa zatoka Skyre oddzielała Północne Ulflandy od starożytnego księstwa Fer Aquila, zwanego teraz Godelią, państwa Celtów.* * Zob. Glosariusz I

Przez Skyre spoglądały na siebie dwa miasta o bardzo różnym charakterze: Xounges, leżące na samym końcu kamienistego półwyspu, i Dun Cruighre, główny port Godelii.

W Xounges, za fortyfikacjami nie do zdobycia, leciwy władca Północnych Ulflandów, Gax, utrzymywał pozory władzy królewskiej. W rzeczywistości nad jego państwem panowali Skalradzi, którzy tolerowali ambicje monarchy tylko dlatego, że próba zdobycia miasta kosztowałaby o wiele więcej krwi, niż skorzy byli przelać. Gdyby Gax umarł, to i tak przejęliby miasto dzięki intrygom lub przekupstwu, w zależności od tego, która z tych metod byłaby skuteczniejsza.

Oglądane od strony zatoki, Xounges przedstawiało gmatwaninę szarego kamienia i czarnych cieni pod dachami z kruszącej się, brązowej dachówki. Zupełnym przeciwieństwem tego widoku było Dun Cruighre, rozciągające się od portu w głąb lądu, z ustawionymi w nieładzie składami, stajniami, stodołami, warsztatami cieśli okrętowych, tawernami i gospodami, krytymi strzechą chatami i gdzieniegdzie przetykane dwupiętrową, kamienną siedzibą plebana. Sercem Dun Cruighre był hałaśliwy, a czasami nawet wrzaskliwy plac, często służący za arenę naprędce organizowanych wyścigów konnych, gdyż Celtowie uwielbiali wszelkiego rodzaju rywalizację.

W Dun Cruighre panował ciągły ruch, jedne statki wypływały do Irlandii i Brytanii, inne wracały z rejsów. W chrześcijańskim klasztorze Św. Baka znajdowało się wiele słynnych relikwii, które przyciągały setki pielgrzymów. Przy nabrzeżu cumowały statki z dalekich lądów, a handlarze wystawiali na straganach swoje towary: jedwab i bawełnę z Persji; jadeity, cynobry i malachity z różnych stron świata; perfumowany воск i mydło z olejku palmowego z Egiptu; bizantyjskie szkło i fajans z Rimini – wszystko to na sprzedaż za celtyckie złoto, srebro lub cynę.

Gospody w Dun Cruighre można było podzielić na nie najgorsze i dobre; w rzeczywistości były lepsze, niż się z reguły spodziewano, a to za sprawą wędrownych mnichów, których podniebienia były wymagające, a sakiewki pobrząkiwały głośno. Najlepszą reputacją w Dun Cruighre cieszyła się tawerna „Pod Niebieskim Wołem”, która oferowała osobne pokoje dla bogaczy, zaś dla ubogich sienniki na poddaszu. W izbie jadalnej na różnie piekło się bez przerwy ptactwo, a z pieca dochodził zapach świeżego chleba. Podróżni często opowiadali, że tłusta pieczona pularda faszerowana cebulą i pietruszką, ze świeżym chlebem z masłem oraz pół czy cała kwarta piwa stanowiły najlepszy posiłek, jaki można było dostać na całych wyspach Elder. W słoneczne dni gości obsługiwano przy stołach wystawionych przed gospodę, gdzie stali bywalcy mogli jeść, pić i przyglądać się wydarzeniom na placu, na którym zawsze działo się coś ciekawego.

Któregoś pogodnego poranka, o nie najwcześniejszej już porze, przy jednym z takich stołów „Pod Niebieskim Wołem” zasiadł mężczyzna o dostojnym wyglądzie, ubrany w brązową szatę. Jego ufna i mądra twarz z okrągłymi, czujnymi oczami i krótkim nosem wyrażała jowialny optymizm. Zwinnymi palcami i małymi białymi zębami rozprawił się najpierw z pieczonym kurczęciem, a potem

z tuzinem pierników, wypijając przy tym imponującą ilość miodu z cynowego kubka. Jego odzienie, jeśli sądzić po kroju i gatunku materiału, wskazywało, że był duchownym, ale gdy zdjął z głowy kaptur, w miejscu, w którym niegdyś miał wygolone ciemne włosy, można było zobaczyć odrastające brązowe włosy.

Z gospody wyszedł młody mężczyzna o arystokratycznym wyglądzie. Był wysoki i silny, świeżo ogolony, miał jasny wzrok i niezmaconą pogodę ducha na twarzy, jak gdyby ten świat był dla niego miejscem odpowiednim do życia. Ubrany był niedbale: w luźną koszulę z białego płótna, szare spodnie i haftowaną niebieską kamizelkę. Spojrzał w prawo i w lewo, a potem podszedł do stołu, przy którym siedział mężczyzna w brązowej sutannie.

– Czy pozwolisz, panie, że się przysiadę? – zagadnął go. – Pozostałe stoły są zajęte, a jeśli to możliwe, chciałbym tu, na świeżym powietrzu, nacieszyć wzrok widokiem tak pięknego poranka.

Mężczyzna w sutannie wykonał zapraszający gest ręką.

– Proszę bardzo, siadaj! Pozwól, panie, że polecę ci miód; jest dziś wyjątkowo słodki i mocny, a i pierniki są bez zarzutu. Szczerze mówiąc, zamierzam natychmiast powtórzyć spotkanie tak z jednym, jak i z drugim.

Przybysz rozsiadł się wygodnie na krześle.

– Reguła twojego zakonu, panie, jest najwidoczniej bardzo łagodna.

– Cha, cha, niezupełnie! Ograniczenia są dotkliwie, a kary surowe. W rzeczywistości moje wykroczenia doprowadziły do tego, że zostałem wydalony z zakonu.

– Hm! To chyba przesada. Cóż jest złego w jednym czy dwóch łykach miodu i kilku piernikach?

– Nic, doprawdy! – oświadczył były zakonnik. – Muszę jednak przyznać, że sprawy zaszły nieco za daleko; teraz może założę nowe bractwo, wolne od tak surowych zasad, które sprawiają, że religia staje się nudna. Powstrzymuję się tylko dlatego, żeby nie nazwano mnie heretykiem. Czy ty, panie, jesteś chrześcijaninem?

Młodzieniec zaprzeczył.

– Religia sprawia, że czuję się zagubiony.

– Tajemniczość praktyk religijnych zapewne nie jest tak całkiem przypadkowa – rzekł były mnich. – Dzięki religii znajdują zatrudnienie rzesze dialektyków, którzy w przeciwnym razie znaleźliby się na utrzymaniu społeczeństwa lub, co gorsza, staliby się oszustami albo złodziejami. Czy mogę zapytać, z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Oczywiście. Jestem sir Tristano z zamku Mythic w Troicinecie. A ty, panie?

– We mnie też płynie szlachecka krew, tak mi się przynajmniej wydaje. Chwilowo używam imienia Orlo, które nadał mi ojciec.

Sir Tristano, przywoławszy karczmarcę, zamówił miód i pierniki dla siebie i Orla.

– Rozumiem zatem, że definitywnie porzuciłeś kościół?

– W rzeczy samej. Jest to niezbyt wesoła historia. Wezwano mnie przed oblicze opata i postawiono mi zarzuty pijaństwa oraz rozpusty. Przedstawiłem swoje poglądy w sposób, który oświeciłby i przekonał każdą rozsądną osobę. Zapewniłem opata, że litościwy Bóg nie stworzyłby nigdy soczystych pasztetów ani smacznego piwa, żeby nie wspomnieć wdzięków kobiet o wesołym usposobieniu, gdyby nie chciał, abyśmy się nimi w pełni cieszyli.

– Opat, bez wątpienia, odwołał się do dogmatów?

– Dokładnie! Cytował fragment za fragmentem z Pisma Świętego na poparcie swojego stanowiska. Napomknąłem, że może do tłumaczenia wkradły się jakieś błędy i że dopóki nie będziemy mieli pewności, że głodzenie się i zadawanie tortur gruczołom było wolą naszego miłościwego Pana, dopóty mamy prawo wątpić. Mimo to opat mnie wyrzucił.

– Kierował nim także interes własny, co do tego nie mam wątpliwości! – stwierdził sir Tristano. – Gdyby wszyscy byli tak pokorni, jak tego chce opat czy sam papież, nie mieliby kogo pouczać.

W tym momencie jego uwagę przyciągnął harmider po drugiej stronie placu.

– Co się tam dzieje? Wszyscy tańczą i podskakują, jakby coś świętowali.

– To rzeczywiście swego rodzaju święto – odparł Orlo. – Przez blisko rok krwawy pirat siał postrach na morzu. Czy słyszałeś imię „Rudy Flary”?

– Oj, tak! Matki straszą nim swoje dzieci.

– Flary jest jedyny w swoim rodzaju! – zauważył Orlo. – Wyniósł rzemiosło bandyckie na szczyt finezji. Mówią, że zawsze nosi w uchu zieloną perłę, która przynosiła mu szczęście. Któregoś dnia gdzieś ją zapodział, lecz mimo to postanowił przypuścić atak. To był jego błąd. To, co wydawało się wyladowanym po brzegi statkiem handlowym, okazało się pułapką. Pięćdziesięciu hałaburdów z Godelii wdrapało się na pokład pirackiego okrętu i pojmało Rudego Flary'ego. Dzisiaj będzie stracony. Może przyjrzymy się temu wydarzeniu?

– Dlaczego nie? Takie widowiska dowodzą nieuniknionego triumfu sprawiedliwości, a i nam taka lekcja może się przydać.

– Dobrze powiedziane! Szkoda, że nie wszyscy myślą tak rozsądnie.

Obaj mężczyźni udali się w stronę szafotu. Zaledwie przystanęli, Orlo zmuszony był złajać niepozornego człowieczka o szarej twarzy, który próbował ukraść mu sakiewkę.

– Człowieku, twoje postępowanie prowadzi cię prosto na szubienicę. Jak możesz być tak bezmyślny? Muszę cię teraz oddać w ręce strażników.

– Niech cię piekło pochłonie! – krzyknął kieszonkowiec i gwałtownym ruchem wyswobodził się z uścisku Orla. – Nie było żadnych świadków!

– Mylisz się – powiedział sir Tristano. – Ja wszystko widziałem i sam wezwę straż!

Złodziejasek rzucił jeszcze jedno przekleństwo i zniknął nagle w tłumie.

– Co za nieprzyjemny incydent – zauważył Orlo. – Tym bardziej że wszystkie serca powinny się dziś radować, a twarze promienieć.

– Z wyjątkiem serca i gęby Rudego Flary'ego – zauważył sir Tristano.

– To się rozumie samo przez się.

W tłumie rozległy się okrzyki na widok pary strażników więziennych w czarnych maskach na twarzach popychających w stronę platformy Flary'ego. Za nimi, także w czarnej masce, posuwając się majestatycznie, wręcz pompatycznie, kroczył potężny mężczyzna z ogromnym toporem na ramieniu. Jego śladem podążał zakonnik uśmiechający się raz w jedną, raz w drugą stronę.

Na platformę wskoczył herold ubrany w zielono-czerwony strój. Ukłonił się w stronę podium, gdzie na ławach zasiadał Emmence, lord Dun Cruighre, ze swoimi przyjaciółmi i rodziną. Następnie zwrócił się do tłumu:

– Słuchajcie, dobrzy ludzie, i wy, dobrze urodzeni, i wy, przeciętni śmiertelnicy. Słuchajcie, a dowiecie się, jaką sprawiedliwość wymierzył lord Emmence temu łotrowi, Rudemu Flary'emu. Wiele ma on grzechów na sumieniu i nikt temu nie zaprzeczy. Być może śmierć jest dla niego zbyt łagodną karą. Flary, powiedz swe ostatnie słowa na tym świecie, na którym uczyniłeś tyle zła!

– Wielce żałuję, że mnie pojmano – odezwał się Flary. – Zdradziła mnie zielona perła; wyrządza zło każdemu, kto jej dotknie! Wiedziałem, że któregoś dnia także mnie doprowadzi na szafot, i tak się stało.

– Czy nie odczuwasz strachu, stojąc tutaj twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem? Czy nie nadszedł czas, żebyś pojednał się ze sobą i światem? – zapytał herold.

Flary zmrużył oczy i dotknął zielonej perły, którą nosił w uchu, a potem przemówił załamującym się głosem:

– Na oba pytania odpowiadam twierdząco, zwłaszcza na ostatnie. Najwyższy czas, abym zastanowił się głęboko nad swoim życiem, a ponieważ jest wiele spraw i wydarzeń, które chciałbym przemyśleć, proszę o wstrzymanie egzekucji.

Herold spojrział w stronę lorda Emmence'a.

– Panie, przychyłasz się do prośby czy ją oddalasz?

– Oddalam.

– No cóż, może już wystarczająco długo nad tym myślałem – rzekł Flary. – Ksiądz postawił mnie wobec wyboru: mogę okazać żal za grzechy, dostać rozgrzeszenie i dzięki temu wejść w chwale do Królestwa Niebieskiego; mogę też odmówić skruchy i nie zostać oczyszczony, i tym samym skazać się na wieczne męki piekielne. – Przerwał i rozejrzał się po tłumie. – Lordzie Emmence, panowie, obywatele wszystkich stanów! Oto moja decyzja. – Ponownie przerwał. W dramatycznym geście uniósł w górę zaciśnięte pięści, aż wszyscy pochylili się do przodu, żeby lepiej usłyszeć jego słowa. – Żałuję! – zawołał – Szczerze żałuję wszystkich moich zbrodni, które okryły mnie hańbą! Do każdego mężczyzny, do każdej kobiety i każdego dziecka, którzy mnie teraz słuchają, kieruję tę radę: nigdy, nawet o cal nie schodźcie z uczciwej drogi! Bądźcie szczerze oddani swojemu lordowi, ojcu, matce i naszemu miłosiernemu Panu, który, w co wierzę, wybaczy mi moje błędy! Podejdź teraz, ojcze! Opuść mi moje grzechy i pozwól mi z czystym sercem wznieść się do nieba, abym mógł zająć należne mi miejsce pomiędzy aniołami i cieszyć się wieczną szczęśliwością!

Rudy Flary rzucił się na kolana, a ksiądz odmówił nad nim wszystkie stosowne modlitwy, po czym zszedł z szafotu.

Ludzie zaczęli szemrać i poszturchiwać się, wyciągając w górę szyje.

Lord Emmence dał znak swoją laską. Strażnicy rzucili Flary'ego na pień; kat uniósł topór, trzymał go przez chwilę wysoko w górze, po czym uderzył. Głowa Flary'ego wpadła do kosza. Mały, zielony przedmiot potoczył się na brzeg szafotu i upadł prawie u stóp sir Tristana.

Młody szlachcic odskoczył do tyłu z odrazą.

– Patrz, to perła Flary'ego, cała czerwona od jego krwi. – Schylił głowę.

– Sprawia wrażenie, jakby żyła. Widzisz, jak krew wrze i spływa po jej powierzchni?!

– Odsuń się! – zawołał Orlo. – Nie dotykaj jej! Przypomnij sobie słowa Flary'ego!

Spod szafotu wysunęło się długie, chude ramię i kościste palce chwyciły perłę. Sir Tristano postawił na nich szybko nogę i spod platformy wydobył się przenikliwy okrzyk bólu i złości.

Stojący w pobliżu strażnik obejrzał się i podszedł do nich.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał.

Sir Tristano wskazał na dół, pod szafot; strażnik chwycił ramię i wyciągnął stamtąd małego człowieka o szarej twarzy z długim, złamanym nosem.

– Co my tu mamy?

– Złodzieja, jeśli się nie mylę – zauważył Tristano. – Warto by zbadać zawartość jego worka i zobaczyć, jakie łupy w nim nosi.

Wciągnięto złodzieja na platformę; wywrócono jego torbę i oczom wszystkich ukazały się monety, brosze, złote łańcuchy, zapinki i guziki, o które zaczęli natychmiast upominać się występujący z tłumy ludzie.

Lord Emmence podniósł się z ławy.

– Widzę tu wielce zuchwałe postępek! Gdy my pozbywamy się jednego złodzieja, inni krążą wokół, okradając nas z kosztowności i ozdób, jakie na tę okazję założyliśmy. Kacie, twój topór jest

ostrzy! Pień przygotowany! Twoje mięśnie są w dobrej formie. Dzisiaj zarobisz podwójnie. Ojciec, rozgrzesz tego człowieka i przygotuj jego duszę do drogi, w którą za chwilę wyruszy.

Sir Tristano spojrzął na Orła.

– Mam już dość widoku obcinanych głów. Wróćmy do naszego miodu i pierników... A co zrobimy z perłą? Nie możemy jej zostawić w tym błocie.

– Chwileczkę. – Orło znalazł gałązkę, rozszczepił ją na końcu nożem, a następnie chwycił nią perłę, jak szczypcami. – W takich sprawach nigdy nie za wiele ostrożności. Tylko dziś widzieliśmy, co spotkało tych dwóch, którzy chciwie wyciągnęli ręce po tę perłę.

– Ja jej nie chcę – oświadczył sir Tristano. – Jest twoja.

– Niemożliwe! Nie zapominaj, proszę, że ślubowałem życie w ubóstwie, a raczej pogodziłem się z tym stanem.

Sir Tristano wziął gałązkę od Orła i powrócili do gospody „Pod Niebieskim Wołem”, gdzie raz jeszcze zasiedli do swoich przekąsek.

– Dopiero południe – zauważył sir Tristano. – Planowałem, że wyruszę dziś do Avallonu.

– Ja też jadę w tym kierunku – rzekł Orło. – Może pojedziemy razem?

– Twoje towarzystwo będzie mi bardzo miłe, ale co z perłą? Orło podrapał się po policzku.

– Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się to bardzo proste. Udamy się na przystań i wyrzucimy ją do morza. Taki będzie jej koniec.

– Dobrze pomyślane! Wyjmij ją zatem.

Orło zerknął na perłę z ukosa, pełen obrzydzenia.

– Podobnie jak ciebie, i mnie jej blask przyprawia o mdłości. Ale mówiąc szczerze, obaj jesteśmy w tę sprawę wplątani, więc musimy znaleźć sprawiedliwe rozwiązanie. – Wskazał na muchę, która usadowiła się na stole. – Połóż swoją dłoń obok mojej. Najpierw ja przesunę rękę, po czym ty zrobisz to samo, obojętnie jak daleko, ale zawsze trzymając swoją rękę za moją. Kiedy mucha odleci zdjeta strachem, ten, który ostatni przesunął dłoń, poniesie perłę.

– Zgoda.

Przystąpili do próby i przesuwając kolejno dłonie, obserwowali bacznie zachowanie muchy, która zaalarmowana w końcu nagłym ruchem, odleciała.

Sir Tristano jęknął.

– Niestety. To ja muszę nieść perłę. Na szczęście niedaleko, tylko do portu.

Zręcznym ruchem chwycił gałązkę i wraz z Orłem przeszedł przez plac do miejsca, z którego widać było całą zatokę.

– Żegnaj, perło! – powiedział Orło. – Oddajemy cię tej słonej, zielonej wodzie, z której powstałaś. Rzucaj, sir Tristano, i to z całych sił.

Tristano wrzucił do morza gałązkę wraz z perłą. Patrzyli jak klejnot znika w wodzie, a potem wrócili do swojego stołu. Tutaj jednak, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie siedział sir Tristano, znaleźli ją czystą i mokrą. Na ten widok włosy zjeżyły się na karku sir Tristana.

– Cha, cha! – zawołał Orło. – A więc ta rzecz postanowiła zrobić nam kawał. Niech się jednak strzeże! Nie jesteśmy tak zupełnie bezradni! W każdym razie, panie rycerzu, czas nie stoi w miejscu, a przed nami długa droga. Weź perłę i ruszajmy. Może spotkamy jakiegoś biskupa, który przyjmie taki dar z wdzięcznością.

Sir Tristano spojrzął na perłę z powątpiewaniem.

Radzisz zatem, żebym miał tę rzecz przy sobie? Orło wyciągnął rękę.

– Zostawiłbyś ją tutaj dla jakiegoś biednego pachołka?

Sir Tristano z ponurą miną rozszczepił kolejną gałązkę i podniósł perłę.

– Ruszajmy.

Wyprowadzili konie ze stajni i opuścili Dun Cruighre. Droga prowadziła wzdłuż smaganych wiatrem, piaszczystych plaż, usianych gdzieś rybackimi chatami. Jadąc rozmawiali o perle.

– Kiedy zastanawiam się nad tym dziwnym przedmiotem, to wydaje mi się, że rozumiem mechanizm jego działania – rzekł Orlo. – Perła upadła na ziemię, gdzie nie należała do nikogo. Pochwycił ją złodziejasek i w ten sposób stała się jego własnością. Ty nadepnąłeś na dłoń złodzieja i w efekcie wzięłeś ją pod swoją opiekę. Ale ponieważ jej nie dotknąłeś, nie może roztoczyć wokół ciebie swoich czarów.

– Sądysz więc, że nie może zrobić mi nic złego, dopóki jej nie dotknę?

– Tak przypuszczam, ponieważ gdybyś to zrobił, chciałbyś, aby zło tkwiące w jej wnętrzu przeszło na ciebie.

– Stanowczo zaprzeczam, jakobym miał taki zamiar i niniejszym oświadczam, że jakikolwiek kontakt z tym przedmiotem, gdyby nastąpił, byłby przypadkowy i za takowy muszą go uważać wszystkie osoby tym faktem zainteresowane – oświadczył sir Tristano i spojrzał na Orlo. – Co o tym sądzisz?

Były mnich wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Takie oświadczenie może, ale nie musi stłumić diabelskiego żaru tlącego się w tej perle.

Droga skręciła w głąb lasu. Po chwili sir Tristano wskazał palcem przed siebie.

– Zwróć uwagę na tę dzwonicę wznoszącą się wysoko ponad drzewami. Niechybnie we wsi jest kościół.

– Bez wątpienia. Celtowie wykazują wielką hojność, jeśli idzie o kościoły, jednak wciąż są bardziej poganami niż chrześcijanami. W każdym lesie znaleźć można druidzki gaj: gdy świeci księżyc w pełni, urządzają tam skoki przez ogie z przywiązanymi do głowy rogami jelenia. A jak to wygląda w Troicinecie?

– Nie ma u nas druidów. Kryją się po lasach i rzadko ich się widuje. Większość ludzi oddaje jednak cześć bogini ziemi, Gaei, ale czyni to spokojnie, bez ognisk, rozlewu krwi czy rozboju. Obchodzimy tylko cztery święta: wiosną, święto życia, latem – słońca i nieba, jesienią -ziemi i morza, oraz księżycy i gwiazd zimą. W dniu urodzin kładziemy w świątyni na ołtarzu ofiarnym podarunki z chleba i wina. Nie ma przy tym księży ani modłów, co sprawia, że nabożeństwo jest proste i szczere, jak charakter naszego ludu... A oto i wioska ze swoim wspaniałym kościołem. Jeśli mnie wzrok nie myli, odbywa się tu jakaś ważna ceremonia.

– Widzisz chrześcijański pochówek – odparł Orlo. Ściągnął wodze i poklepał się po udzie. – Przyszedł mi do głowy znakomity pomysł. Przyjrzyjmy się uważniej tej uroczystości.

Zsiedli z koni, przywiązali je do drzewa i weszli do kościoła. W środku trzech zakonników, chodząc rzędem dookoła trumny, jak żałobnicy, śpiewało monotonnym głosem psalmy.

– Co masz na myśli? – zapytał z odrobiną niepokoju sir Tristano.

– Przypuszczam, że święte obrzędy chrześcijańskiego pochówku powinny skutecznie wypędzić z perły złe moce. Powietrze aż zgęstniało od modłów zakonników. Perła musi ulec takiej sile, bezwzględnie i na zawsze.

– Może to i prawda – w głosie sir Tristana słychać było powątpiewanie – ale na drodze stają nam przeszkody natury praktycznej. Nie możemy przecież zakłócić tego żałobnego rytuału.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł beztrasko Orlo. – Przyłączmy się do żałobników i kiedy dojdziemy do trumny, odwróć ich uwagę, a ty tymczasem wrzucisz perłę do środka.

– Możemy przynajmniej spróbować – zgodził się sir Tristano i tak też uczynili.

Odsunęli się patrząc, jak perła wraz ze zwłokami znika pod wiekiem trumny. Zakonnicy zanieśli trumnę na przykościelny cmentarz, gdzie czterech grabarzy opuściło ją do głębokiego grobu i wśród lamentów żałobników przysypało ziemią.

– Dobry pogrzeb! – stwierdził z zadowoleniem Orlo. – W oddali widzę szyld, który nieomylnie wskazuje, że jest tam gospoda, w której możesz zatrzymać się na noc.

– A co z tobą? Nie zamierzasz nocować pod dachem?

– Ależ tak, tutaj jednak, muszę ze smutkiem powiedzieć, nasze drogi się rozchodzą. Na rozdrożu skręcisz w prawo, w stronę Avallonu. Ja zaś pojedę w lewo i po godzinie znajdę się w dobrach pewnej wdowy, której mam nadzieję uprzyjemnić samotne chwile. Tak więc, żegnam cię, sir Tristano.

– Żegnaj, Orlo, żal mi rozstawać się z tak dobrym kompanem. Pamiętaj, że zawsze będziesz mile widziany w zamku Mythic.

Nie zapomnę! – zawołał Orlo i odjechał. Na skrzyżowaniu dróg odwrócił się jeszcze, podniósł rękę w pożegnalnym geście i już go nie było.

Sir Tristano wjechał do wioski nieco zasmucony. „Pod Czterema Sowami” poprosił o nocleg i zaprowadzono go na poddasze. W izbie znajdował się słomiany siennik, stół, krzesło i stara komoda, a na podłodze leżała mata ze świeżej trzciny.

Na kolację zjadł wołowinę duszoną w sosie własnym z marchewką i rzepą, chleb i chrzan w śmietanie. Wypił dwa wysokie kufle piwa i zmęczony trudami dnia, udał się wcześniej na spoczynek.

Wraz z ciemnością we wiosce zapadła głucha cisza. Niebo było zachmurzone i dopiero około północy chmury rozstały się, odsłaniając smutną twarz księżyca w kwadrze.

Tristano spał dobrze, teraz jednak obudził go dźwięk kroków na korytarzu. Drzwi do jego pokoju otwarły się ze zgrzytem, odgłosy stąpania powiedziały mu, że ktoś wszedł do środka i zbliżał się do siennika. Zamarł w bezruchu. Poczul, jak dotknęły go zimne palce i upuściły na jego pierś jakiś przedmiot.

Szurając nogami, zjawa opuściła izbę. Drzwi zatrzasnęły się, a kroki wkrótce ucichły.

Tristano krzyknął i rzucił z siebie okrywający go płaszcz. Na podłogę potoczył się połyskujący zielony przedmiot i spoczął pomiędzy łądygami trzciny.

Wreszcie zapadł w niespokojny sen. Obudziły go dopiero wpadające przez okno chłodne, czerwone promienie świtu. Leżał przez chwilę wpatrzony w strzechę. Czy wydarzenia ostatniej nocy były tylko złym snem? Cóż by to była za ulga, gdyby rzeczywiście wszystko to tylko mu się przyśniło! Podniósł się na łokciu, obrzucił podłogę badawczym spojrzeniem i niemal natychmiast dostrzegł na niej zieloną perłę.

Wstał z siennika. Umył twarz, ubrał się i wciągnął wysokie buty, ani przez moment nie spuszczać oka z zielonej perły. W komodzie znalazł stary, podarty fartuch; zwinął go i podniósł przezeń klejnot. Z zawiniątkiem i spoczywającą w nim bezpiecznie perłą opuścił pokój. Po śniadaniu, składającym się z owsianki i smażonej kapusty, zapłacił rachunek i wyruszył w dalszą drogę.

Na skrzyżowaniu skręcił w prawo, w stronę królestwa Dahautu, na drogę, która wreszcie miała zaprowadzić go do Avallonu.

Zatopił się w myślach. Perła nie była zadowolona z chrześcijańskiego pochówku – będzie do niego należała tak długo, aż ktoś nie odbierze mu jej siłą albo podstępem.

Wczesnym popołudniem dotarł do wioski Timbaugh. Wybiegła mu na spotkanie sfora ujadających i szczerzących kły kundli, które ostrzegały go w ten sposób, żeby się dalej nie posuwał. Psy uspokoiły się dopiero wtedy, gdy zeskoczył z konia i obrzucił je kamieniami. Zatrzymał się w

gospodzie, aby zjeść chleb i kiełbasę, i gdy pił piwo, przyszła mu do głowy pewna myśl.

Ostrożnie wcisnął perlę do jednej z kiełbasek i wyniósł ją na drogę. Psy znów się pojawiły, warczeniem i szczekaniem nakazując mu, aby opuścił wieś. Tristano rzucił im kiełbasę.

– Macie tu moją kiełbasę, która należy do mnie i tylko do mnie. Kładę ją w tym miejscu, a ktokolwiek zabierze ją wraz z jej zawartością, jest złodziejem.

Wychudzony żółty kundel rzucił się do przodu i pożarł kiełbasę jednym ruchem szczęki.

– Niech więc tak się stanie – powiedział Tristano. – Czyn był twój, nie mój.

Wróciwszy do gospody, wypił jeszcze kilka kufla piwa, rozmyślając nad sensem swego postępu. Wydał mu się logiczny. A jednak... Bzdura! Przecież pies dopuścił się kradzieży. Teraz to już jego zmartwienie, jak pozbyć się perlę. A jednak...

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej racjonalne wydawały mu się pobudki, jakie kierowały jego zachowaniem. Można było przecież postawić tezę, całkiem przekonującą, że pies potraktował kiełbasę jako podarunek. W tym wypadku był to raczej chytry podstęp z jego strony, w żadnym razie nie kradzież *bona fide**. * W dobrej wierze; ważna, prawdziwa.

Przypominając sobie wcześniejsze próby pozbycia się perlę, Tristano poczuł się jeszcze bardziej nieswojo i zaczął się zastanawiać, w jaki sposób perła mogłaby do niego powrócić.

Jego uwagę przyciągnął nagle tumult na ulicy, przeraźliwy skowyt, tak przenikliwy i chrapliwy, że aż poczuł mdłości. Z dała dobiegały okrzyki:

– Wściekły pies! Wściekły pies!

Tristano pospiesznie rzucił na stół pieniądze i podbiegł do konia, chcąc jak najszybciej opuścić wioskę Timbaugh. W odległości stu jardów zauważył żółtego psa, który miotał się w przód i w tył, tocząc z pyska pianę. W pewnej chwili psisko rzuciło się na młodego wieśniaka człapiącego obok wozu z sianem; chłopak wskoczył na furę, chwycił widły i przebił nimi na wylot kark psa. Zwierzę przewróciło się na wznak, a potem, jakby otrząsając się z wody, zaczęło uciekać, ciągnąc za sobą widły.

Stary człowiek przycinający słomę na dachu wbiegł do chaty i po chwili pojawił się z długim łukiem w rękę. Nasadził strzałę na cięciwę, napiął łuk i wystrzelił. Strzała przeszła pierś psa tak, że jej grot wyszedł z drugiej strony, lecz zwierzę nie zwróciło na to uwagi.

Spoglądając na drogę pełnym wściekłości wzrokiem, kundel dostrzegł Tristana i skupił na nim wzrok, widząc w nim źródło swoich cierpień. Zaczął posuwać się w jego stronę ze złowieszczą rozważą, z nisko pochylonym łbem, stawiając ostrożnie łapę za łapą. Nagle zatrzymał się i ze skowymem ruszył do ataku.

Tristano wskoczył na konia i pogalopował w dół ulicą. Pies, ujadając gardłowo, rzucił się za nim w pogoń. Widły wypadły mu już z szyi, zbliżył się więc do konia i próbował dosięgnąć kłami jego zadu. Tristano uniósł wysoko w górę miecz, pochylił się i ciął, rozłupując czaszkę zwierza. Pies przekoziółkował i wpadł do rowu, skąd dygocząc przyglądał się mężczyźnie błyszczącymi, żółtymi ślepiami. Powoli, cal po calu, wyczołgał się na górę.

Tristano patrzył na tę scenę zafascynowany, z mieczem w pogotowiu.

W odległości dziesięciu stóp od niego kundel dostał konwulsji, zwymiotował na drogę, potem padł na wznak i znieruchomiał. W wymiocinach, które z siebie wyrzucił, błyszczała zielona perła.

Tristano przyglądał się temu z niesmakiem. W końcu zsiadł z konia, podszedł do zarośli, z których uciął gałązkę i rozszczepił ją na końcu. Tak jak przedtem, chwycił nią perlę i podniósł z ziemi.

W pobliżu, nad małą rzeczką, dostrzegł przesło mostu. Poprowadził tam konia, niosąc perlę tak daleko od siebie, jak tylko pozwalała na to długość gałązki. Przy moście przywiązał wierzchowca do

krzaka i zszedł do strumienia. Obmył w nim ostrożnie perłę, a następnie miecz, który wytarł do sucha o kępkę szorstkiej turzycy.

Jego uwagę przyciągnął jakiś dźwięk. Spojrzał w górę i zobaczył na moście wysokiego, chudego mężczyznę o wąskiej twarzy z długą, kościstą szczęką, spiczastym nosem i długą, ostrą brodą. Wysokie denko kapelusza otoczone czerwono-białymi wstążkami wskazywało, że był cyrulikiem.

Ignorując jego ciekawskie spojrzenia, Tristano zawinął perłę w strzęp materiału, wrzucił ją do worka i dopiero wtedy wspiał się z powrotem na drogę.

Golibroda, stojący teraz przy swoim wozie, zdjął z głowy kapelusz i pochylił się w służalczym ukłonie.

– Panie, pozwól mi powiedzieć co tutaj robię: sprzedaję eliksiry na wszelkie dolegliwości, obcinam włosy, golę, usuwam najtwardsze paznokcie u nóg, przebijam pęcherze, czyszczę uszy i puszczam krew. Moje ceny są wysokie, ale nie wygórowane. Gdybyś skorzystał z mych usług, z pewnością uznałbyś, że dobrze wydałeś swoje pieniądze.

Tristano wsiadł na konia.

– Nie potrzebuję żadnych towarów ani usług. Do widzenia.

– Jedną chwileczkę, panie. Czy mogę zapytać, dokąd zmierzasz?

– Do Avallonu w Dahaucie.

– Długa droga. W wiosce Toomish jest gospoda, ale radzę ci, żebyś pojechał dalej, do Phaidig, gdzie znajdziesz słynący z pasztetu z baraniny zajazd „Pod Koroną i Jednorożcem”.

– Dziękuję. Zachowam twoją radę w pamięci.

Przejechawszy trzy mile, Tristano dotarł do Toomish i zgodnie z tym, co powiedział mu Długi Liam, tak bowiem zwał się cyrulik, karczma nie oferowała zbyt dużych wygód. Chociaż dzień chylił się już ku zachodowi, ruszył dalej, do Phaidig.

Słońce skryło się za wałem chmur, a droga weszła w gęsty las. Tristano z niepokojem popatrzył w mroczny gąszcz. Miał dwie możliwości: mógł wjechać w złowieszczo ciemny bór albo wrócić do Toomish, do niezbyt gościnnej gospody.

Dokonał wyboru. Spiął wierzchowca i cwałem wjechał w gęstwinę. Po przejechaniu pół mili koń zatrzymał się nagle i Tristano zobaczył ustawioną w poprzek drogi barykadę z pali.

Z tyłu, za sobą, usłyszał głos:

– Ręce wysoko w górę, jeśli nie życzysz sobie strzały w plecy! Wykonał rozkaz.

Głos rozległ się ponownie:

– Nie odwracaj się, nie rozglądaj na boki i żadnych sztuczek! Mój kompan podejdzie do ciebie, a ja przez cały czas będę cię trzymał pod strzałą. No dalej, Padraig, do roboty! Jeśli się poruszy, poderżnij mu gardło brzytwą, chciałem powiedzieć: nożem.

Na drodze zaszeleściły ostrożne kroki; Tristano poczuł, jak czyjeś ręce pociągnęły za rzemienie sakiewki przywiązanej do jego pasa.

– Stój! – krzyknął. – Zabierasz mi wspaniałą zieloną perłę!

– Oczywiście! – dobiegła go zza pleców odpowiedź. – Rozbój na tym właśnie polega, żeby przywłaszczać sobie kosztowności ofiary!

– Macie teraz cały mój majątek; czy mogę zatem odjechać?

– W żadnym razie! Chcemy też twojego konia i sakw przy siodle!

Przekonany, że jeden ze zbójców celuje w niego, Tristano spiął konia ostrogami, pochylił się nisko nad jego karkiem i na oślepie przejechał obok barykady. Kiedy spojrzął za siebie, zobaczył bardzo wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu z kapturem skutecznie zasłaniającym mu twarz. Na

ramieniu miał łuk; chwycił go w dłoń i wypuścił strzałę. Światło było już jednak przyćmione, cel w ruchu, a odległość duża. Strzała zafurkotała tylko w powietrzu i wpadła w listowie, nie raniąc szalonego jeźdźca.

Tristano galopował, dopóki nie wydostał się z kniei. Pogoń nie mogła mu już zagrozić. Jechał z lekkim sercem; w trzosie wraz z zieloną perłą miał zaledwie dwie czy trzy srebrne monety i z pół tuzina miedziaków. W obawie przed takimi zdarzeniami złoto nosił w otworze wyciętym w pasie.

Kiedy dotarł wreszcie do Phaidig, zapadał już zmierzch, rzucając na okolicę purpurowoszare cienie. Zatrzymał się „Pod Koroną i Jednorożcem”, gdzie zakwaterowano go w czystej, jednoosobowej komnacie.

Zgodnie z zapewnieniami Długiego Liama, pasztet barani był wyśmienity, i Tristano najadł się do syta. Niby od niechcienia zagadnął karczmarza:

A co z rabusiami w tych stronach? Często napadają na podróżnych?

Karczmarz spojrział nań przez ramię, i odrzekł:

– Słyszeliśmy o takim jednym, który zwie się Wysoki Toby, a jego ulubionym miejscem jest las między Phaidig i Toomish.

– A czy znasz Długiego Liama, golibrode?

– Oczywiście! Prowadzi w tej okolicy swój interes. Też jest bardzo wysoki.

– No właśnie. Zapamiętaj jedno: podobieństwo między nimi nie ogranicza się tylko do postury, a wiadomość ta mogłaby bardzo zainteresować królewskiego strażnika.

V

Długi Liam udał się bocznymi drogami na południe, do Dahautu, gdzie zamierzał uprawiać swoje rzemiosło w czasie obchodów święta końca lata. Po przyjeździe do miasta Mildenberry dokonał kilku błyskotliwych transakcji, aż któregoś popołudnia został wezwany do Fotes Sachant, wiejskiej posiadłości lorda Imbolda. Służący wprowadził go do salonu, gdzie dowiedział się, że z powodu choroby kamerdynera będzie musiał dostojnika ogolić i przyciąć mu wąsy.

Długi Liam fachowo wykonał swoje zadanie, za co spotkał się z uznaniem lorda Imbolda, który zachwycił się także zieloną perłą w pierścieniu na palcu cyrulika. Jego zdaniem, był to klejnot tak szczególny i piękny, że poprosił Długiego Liama, aby wyznaczył jego cenę.

Golibroda pomyślał, że warto wykorzystać okazję i odparł:

– Wasza Lordowska Mość, klejnot ten dostałem w spadku od mojego umierającego dziadka, który z kolei otrzymał go od sułtana Egiptu. Nie mógłbym się z nim rozstać za mniej niż pięćdziesiąt złotych koron.

Lord Imbold oburzył się.

– Czy masz mnie za głupca? – Odwrócił się i zawołał na lokaja: -Taube! Zapłać temu człowiekowi tyle, ile mu się należy i odprowadź go do drzwi.

Gdy Taube udał się po pieniądze, Długi Liam został sam. Postanowił przeszukać pokój. Otworzył kredens i znalazł w nim parę złotych świeczników, których widok tak rozpałił jego chciwość, że wrzucił je do torby, po czym zamknął kredens.

Taube wrócił w samą porę i zaniepokojony podejrzanym zachowaniem golibrody, zajrzał mu do torby. W panice Długi Liam ciął go brzytwą przez szyję, i to tak głęboko, że głowa spadła z ramion.

Długi Liam zbiegł, ale został schwytyany, osądzony i skazany na szubienicę.

Od kilkudziesięciu lat robotę kata wykonywał w tym hrabstwie kaleki były żołnierz o imieniu

Manting. Był sprawny w swym rzemiośle i jednym zręcznym ruchem odebrał życie Długiemu Liamowi. Uczynił to jednak w stylu pozbawionym tego dodatkowego elementu zaskoczenia i pikanterii, który wyróżnia znakomitego kata spośród innych.

Dodatkowe dochody Mantinga stanowiły odzież i ozdoby znalezione przy ofiarach. W ten sposób wszedł on w posiadanie cennego pierścienia z zieloną perłą, który z przyjemnością nałożył na palec jako własny.

Odtąd wszyscy przyglądający się Mantingowi przy pracy twierdzili, że nigdy przedtem nie wykonywał obowiązków kata z większym zaangażowaniem i większą dbałością o szczegóły, tak że czasami wydawało się, iż Manting i skazany uczestniczą w jakimś dramatycznym przedstawieniu, co widzów przyprawiało o szybsze bicie serca, i gdy wreszcie wytrącał pieniek spod stóp wisielca czy uderzał toporem albo rzucał na stos pochodnię, wśród gapiów rzadko znalazł się taki, który nie otarł łzy z oka.

Do obowiązków Mantinga należały też czasami tortury. Również w tej materii okazał się biegły nie tylko w technikach klasycznych; wykazywał się także zręcznością i pomysłowością, wprowadzając do nich innowacje.

W pogoni za ideałem Manting przechodził samego siebie. Któregoś dnia na jego liście znalazła się egzekucja młodej czarownicy o imieniu Zanice, oskarżonej przez sąsiadkę o to, że rzuciła urok na jej krowę, która przestała dawać mleko. Ponieważ w tej sprawie były pewne niejasności, zdecydowano, że Zanice ma umrzeć uduszona garotą, zamiast spłonąć na stosie. Manting chciał jednak wypróbować na niej swoje nowe, dość skompikowane tortury, czym doprowadził do wściekłości czarnoksiężnika Qualmesa, kochanka Zanice.

Qualmes poprowadził Mantinga mrocznym szlakiem zwanym Drogą Ganiona głęboko w puszcę Tantrevalles. Zatrzymali się na małej polanie, kilka jardów od szlaku.

– Jak ci się podoba to miejsce, Manting? – zapytał Qualmes.

Kat, zastanawiając się nad powodem tej wyprawy, rozejrzał się dookoła.

– Powietrze jest świeże, zieleń stanowi miłą odmianę po ciemnościach lochów, a kwiaty dodają temu miejscu uroku.

– To dobrze, że czujesz się tutaj szczęśliwy, gdyż nigdy nie opuścisz tej polany – rzekł Qualmes.

Manting z uśmiechem pokręcił przecząco głową.

– Niemożliwe! Dzisiaj mam dzień wolny i ten mały spacer jest doprawdy przyjemny, ale jutro muszę przeprowadzić *strappado* i wykonać karę chłosty.

– Jesteś zwolniony ze wszystkich tych obowiązków, teraz i na zawsze. Sposób, w jaki potraktowałeś Zanice, poruszył mnie do głębi i musisz zapłacić za swoje okrucieństwo. Znajdź sobie przyjemne miejsce na spoczynek i ulóż się wygodnie, gdyż rzucam na ciebie urok: nigdy więcej już się nie poruszysz.

Manting protestował i prosił przez kilka minut, lecz Qualmes słuchał go z uśmiechem na twarzy.

– Powiedz mi, Manting, czy któraś z twoich ofiar zwracała się do ciebie z podobną prośbą?

– Teraz, gdy o tym myślę, muszę przyznać, że tak.

– A j aka była twój a odpowiedź?

– Zawsze odpowiadałem, że zgodnie z naturą rzeczy jestem tylko narzędziem, ale nie miłosierdzia, lecz losu. Ta sytuacja jest, oczywiście, zupełnie inna. Ty jesteś zarówno sędzią, jak i wykonawcą wyroku, możesz więc rozpatrzyć mój wniosek o litość, a nawet o całkowite ułaskawienie.

– Wniosek zostaje oddalony. Połóż się, proszę, nie mogę przez cały dzień spierać się z tobą o drobiazgi.

Kat został w końcu zmuszony do położenia się na darni, po czym Qualmes rzucił na niego urok paraliżujący jego ciało i odszedł w swoją stronę.

Manting leżał bezradny dzień i noc, potem tygodniami i miesiącami, podczas gdy łasice i szczury ogryzały mu ręce i nogi, a w jego ciele zagnieździły się szerszenie. W końcu nie zostało z niego nic prócz kości i połyskującej zielonej perły, lecz z czasem nawet one pokryły się ziemią.

Rozdział 2

I

Ośmiu królów rządziło wyspami Elder. Najmniej ważnym z nich był Gax, tytułarny król Północnych Ulflandów, którego dekrety były honorowane tylko w granicach miasta Xounges. W przeciwieństwie do niego król Lyonesse – Casmir, i król Dahautu – Audry, władali rozległymi krainami, a ich rządy wspierały potężne armie. Król Aillas, władca trzech wysp: Troicinetu, Dascinetu i Scoli, jak również Południowych Ulflandów, posiadał silną flotę, która strzegła jego ziem.

Pozostali czterej monarchowie znacznie się od siebie różnili. Po szalonym królu Deulu z Pomperolu na tronie zasiadł jego syn, słynący z trzeźwości umysłu Kestrel. Starożytne królestwo Caduz zostało wchłonięte przez Lyonesse, lecz Blaloc pod rządami Mila, króla pijani-cy, zachowało swoją niezależność. Milo miał w zanadru wspaniałą fortel, który nigdy go nie zawodził. Gdy wysłannicy z Lyonesse czy Dahautu zjawiali się na jego dworze z prośbą o wsparcie, sadzał ich za stołem i poił winem przy dźwiękach skocznej muzyki, aż w końcu posłowie zapominali o swojej misji, oddając się pijackim zabawom u boku gościnnego króla.

Godelią i jej niesfornym ludem władał – a raczej usiłował władać -król Dartweg. Skalradzi wybierali swojego „Pierwszego Pośród Pierwszych” co dziesięć lat; w tym czasie był nim potężny i mądry Sarquin.

Tych ośmiu królów różniło się od siebie nieomal pod każdym względem. Król Kestrel z Pomperolu i król Aillas z Troicinetu byli poważnymi, młodymi mężczyznami, odważnymi i honorowymi, lecz w sytuacjach, w których Kestrel wykazywał brak poczucia humoru i pewności siebie, Aillas demonstrował wielką fantazję, która czasami wprawiała w zakłopotanie co stateczniejsze osobistości.

Dwory tych ośmiu władców były nie mniej odmienne niż oni. Król Audry nie szczędził pieniędzy na zbytki i przyjemności, a o świetności jego zamku w Falu Ffail krążyły legendy. Król Aillas przeznaczał swoje dochody na budowę floty, podczas gdy król Casmir wydawał znaczne sumy na szpiegostwo i intrygi. Jego agenci działali wszędzie, a zwłaszcza w Dahaucie, gdzie żadne kichnięcie króla Audry'ego nie uchodziło ich uwagi.

Zdobywanie informacji w Troiciniecie okazało się dla Casmira trudniejszym zadaniem. Udało mu się wprawdzie przekupić pewnych wysokich urzędników, którzy przekazywali mu swoje raporty za pomocą gołębi pocztowych, ale tak naprawdę polegał głównie na mistrzu w tym fachu – Valdzie, którego informacje były dokładne, a raporty zdawane co sześć tygodni.

Casmir, ubrany w szary płaszcz z kapturem, wszedł do magazynu na tyłach sklepu z winem, gdzie spotkał się z mężczyzną, który równie dobrze mógł uchodzić za kupca winnego. Była to osoba niczym się nie wyróżniająca, o krępej budowie ciała, gładko ogolona, małomówna, o regularnych rysach i zimnych, szarych oczach. Od niej to Casmir dowiedział się o czterech nowych okrętach, budowanych w stoczni nad rzeką Tumbling, dwie mile na północ od Domreis. Mimo że plany budowy były otoczone ścisłą tajemnicą, Valdezowi udało się zdobyć informacje, iż okręty te były lekkimi, szybkimi felukami wyposażonymi w katapulty miotające na odległość stu jardów żelazne strzały z siłą wystarczającą do rozłupania kadłuba zwykłego okrętu. Miały one służyć przede wszystkim do walki z długimi łodziami Skalradów oraz strzec szlaków morskich pomiędzy

Troicinetem a Południowymi Ulflanda-mi*.

* W tym czasie między Troicinetem a Lyonesse panował pokój, choć zawarto go dopiero wówczas, gdy Casmir zobowiązał się, że nie będzie budował okrętów wojennych, które mogłyby zagrozić dominacji Troicinetu na morzu. Aillas przedstawił ten warunek Casmirowi w następujących słowach:

– Twoja armia składa się z czterystu rycerzy oraz ogromnej liczby zwykłych żołnierzy i dobrze strzeże cię przed naszym atakiem. Gdyby Lyonesse mogło sprowadzić te siły do Dascinetu i Troicinetu, byłibyśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie możemy zatem pozwolić, żeby Lyonesse dysponowało okrętami, które umożliwiłyby przewiezienie wojska na naszą ziemię.

Casmir przyjął ten punkt traktatu, nie okazując żadnych uczuć, choć w środku aż trząsał się z furii. Sytuację tę pogarszała jeszcze jego gwałtowna niechęć do Aillasa.

Zbierając się do wyjścia, Valdez powiedział, że pozyskał ostatnio nowe źródło informacji w kręgach bliskich królowi Aillasowi.

– Dobra robota! – rzekł Casmir. – Właśnie tego od ciebie oczekiwaliśmy.

Przy drzwiach szpieg zatrzymał się na chwilę, jakby chciał jeszcze poruszyć jakąś kwestię. Casmir spostrzegł jego wahanie.

– Poczekaj! Czy coś cię dręczy?

– Nie jest to żaden duży problem, chociaż przeczuwam pewne kłopoty.

– Jakże to?

– Wiem, że oprócz mnie masz w Troiciniecie jeszcze innych informatorów i podejrzewam, że co najmniej jeden z nich jest kimś wysoko postawionym. Z twojego punktu widzenia jest to bardzo dobry układ. Jednak jak już mówiłem, nawiązałem kontakt z osobą wysokiej rangi, która może będzie ze mną współpracować, choć na razie jest jeszcze płochliwa jak ptak. Pracowałbym w mniejszym napięciu i nie byłoby niebezpieczeństwa, że będziemy działać przeciwko sobie, dążąc do tego samego celu, gdybym znał tożsamość pozostałych informatorów.

– Słuszna uwaga – odpowiedział Casmir. Myślał przez chwilę, a potem zaśmiał się ochryple. – Byłbyś zdziwiony, gdybyś się dowiedział, jak wysoko sięgają moje uszy. Ale chyba lepiej, że nic o sobie nie wiecie. Mam po temu ważne powody. Jeśli któryś z was zostanie zdemaskowany i poddany przesłuchaniom, drugi będzie bezpieczny.

– To prawda – stwierdził Valdez i wyszedł.

II

Po oddaniu zielonej perły rabusiowi sir Tristano skierował konia na trakt wiodący przez piękne ziemie Dahautu i wkrótce dotarł do Avallo-nu. Zatrzymał się na nocleg w gospodzie, skąd, założywszy odświętny strój, udał się natychmiast do pałacu Audry'ego – Falu Ffail.

Przy drzwiach powitał go wyniosły lokaj w liberii z niebieskiego aksamitu. Zmierzył przybysza od stóp do głów nieprzyjaznym wzrokiem, wysłuchał z kamienną twarzą informacji na temat jego tożsamości, po czym ociągając się, zaprowadził go do westybulu. Tu, przy fontannie, sir Tristano umiłał sobie godzinne oczekiwanie obserwacją promieni słonecznych, przebijających się przez kryształową kopułę i igrających w kropelkach wody.

Wreszcie pojawił się marszałek dworu. Wysłuchał prośby sir Tristana o audiencję u króla Audry'ego i potrząsał przecząco głową.

– Jego Królewska Mość rzadko widuje osoby, z którymi nie był wcześniej umówiony.

– Możesz mnie, panie, zaanonsować jako wysłannika króla Aillasa z Troicinetu.

– Niech więc tak będzie. Tędy proszę, jeśli łaska. – Zaprowadził sir Tristana do saloniku i poprosił go, by usiadł.

Sir Tristano czekał kolejną godzinę, potem następną, aż w końcu, nie mając nic lepszego do roboty, król Audry zgodził się go przyjąć.

Marszałek dworu poprowadził gościa przez galerie do ogrodów pałacowych. Król Audry siedział za marmurowym stołem wraz z trzema przyjaciółmi, przyglądając się grupie dziewcząt grających w kręgle. Pochłonięty obstawianiem graczy, nie mógł od razu przyjąć sir Tristana, który stanawszy z boku, przyjrzał się frywolnemu królowi Dahautu. Zobaczył mężczyznę słusznego wzrostu, przystojnego, o odrobinę obwisłym podbródku, wilgotnych, okrągłych oczach i ciężkich biodrach. Wzdłuż policzków spływały mu czarne pukle, a nad długim prostym nosem niemal zrastały się czarne brwi. Sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie i swobodnego, raczej wrażliwego niż szalonego.

Wreszcie, z uniesionymi brwiami, król Audry zwrócił uwagę na marszałka dworu, który przedstawiał sir Tristana:

– Wasza Królewska Mość, oto wysłannik z Troicinetu: sir Tristano z zamku Mythric, kuzyn króla Aillasa.

Tristano zgiął się w konwencjonalnym ukłonie.

– Wasza Królewska Mość, mam przyjemność przekazać wyrazy szacunku i pozdrowienia od króla Aillasa.

Audry, odchyliwszy do tyłu głowę, spojrzał na przybysza spod na wpół przymkniętych powiek.

– Muszę stwierdzić, sir, że w związku z misją tej wagi spodziewałem się osoby nieco bardziej dostojnej i doświadczonej.

Tristano uśmiechnął się.

– Sire, przyznaję, że jestem zaledwie trzy lata starszy od króla Aillasa, który być może z tego właśnie powodu uznał mnie za osobę odpowiednią. Skoro jednak Wasza Królewska Mość jest niezadowolony, natychmiast powrócę do Troicinetu i przedstawię twoją opinię królowi Aillasowi. Jestem przekonany, że znajdzie on odpowiedniego posła: rozważnego, bliskiego wiekiem tobie, sire. Czy pozwolisz zatem, że się oddalę?

Audry chrząknął poirytowany i wyprostował się na krześle.

– Czy wszyscy mieszkańcy Troicinetu są tak przewrażliwieni na punkcie swej godności? Zanim wybiegniesz stąd oburzony, może przynajmniej wyjaśnisz nam, co spowodowało ten pożałowania godny najazd Troicinetu na Południowe Ulflandy?

– Z przyjemnością, sire. – Sir Tristano rzucił spojrzenie w stronę trzech dworzan przysłuchujących się ich rozmowie z nie skrywanym zainteresowaniem. – Może wolałbyś, sire, odłożyć naszą konferencję do czasu, aż będziemy sami, gdyż poruszymy sprawy drażliwe?

Audry wydał z siebie pełen zniecierpliwienia okrzyk.

– Knowania, szept, intrygi; jak ja tym wszystkim gardzę! Poznaj moją filozofię, sir Tristano. Ja nie mam żadnych tajemnic! Niemniej jednak... – Dał znak ręką swoim przyjaciołom, którzy odeszli z niechęcią. Wskazał na krzesło. – Siadaj, proszę... A teraz do rzeczy: ciągle się zastanawiam nad tą zwariowaną wyprawą.

Tristano uśmiechnął się.

– Dziwi mnie zaskoczenie Waszej Królewskiej Mości. Dwa oczywiste, doniosłej wagi powody skłoniły nas do wkroczenia do Południowych Ulflandów. Pierwszego nie trzeba wyjaśniać: jako prawowity i jedyny następca tronu, król Aillas udał się po to, co mu się należało. Zastał królestwo w opłakanym stanie i teraz pracuje nad doprowadzeniem go do porządku. Drugi powód jest równie prosty jak pierwszy. Gdyby Aillasowi nie udało się zająć Kaul Bocach i Tintzin Fyral, zamków

położonych wzdłuż drogi między Lyonesse a Południowymi Ul-flandami, rządziły tam teraz król Casmir. Nic nie powstrzymało by go przed najazdem na wasze zachodnie rubieże i zapewne jednocześnie zaatakowałby was od południa. Po wtrąceniu cię do lochu mógłby w dogodnej chwili zawładnąć Troicinetem. Wyprzedziliśmy go i pokrzyżowaliśmy jego plany wobec Południowych Ulflandów. Tak wygląda sytuacja.

Król Audry parsknął cynicznie.

– Widzę również rosnące ambicje Troicinetu. Nadaje to nowy wymiar tej szaradzie! Mam już wystarczająco dużo kłopotów z Godelią i Wysrodem, nie mówiąc o Skalradach, którzy okupują moją twierdzę Poelitetz... Hej tam! Dobry rzut, Artwen! A teraz do ataku, Mnione! Zniszcz przeciwnika! – krzyknął do grających w kręgle dziewcząt. Podniósł do ust puchar z winem, pociągnął łyk, a następnie napelnił kielich sir Tristana. – Czuj się swobodnie; mamy dzisiaj dzień rozrywki. Mimo wszystko wolałbym raczej, żeby Aillas przysłał w pełni dojrzałego pełnomocnika, mógłby nawet przybyć tu osobiście. Sir Tristano wzruszył ramionami.

– Mogę tylko powtórzyć to, co już wcześniej powiedziałem. Król Aillas wyjawiał mi wszystkie szczegóły swego planu. Kiedy przemawiam, słyszysz, sire, jego głos.

– Będę mówił bez osłonek – rzekł Audry. – Naszym wspólnym wrogiem jest Casmir. W każdej chwili jestem gotów połączyć nasze siły i raz na zawsze pokonać niebezpieczeństwo, jakie nam grozi z jego strony.

– Sire, pomysł ten, rzecz jasna, nie jest niczym nowym ani dla króla Aillasa, ani dla Casmira. Aillas odpowiada tymi słowami: Obecnie Tro-icinet jest w stanie pokoju z Lyonesse, który może, ale nie musi się utrzymać. Dobrze ten czas wykorzystujemy. Umacniamy naszą pozycję w Południowych Ulflandach, powiększamy flotę, a jeśli pokój ten przetrwa nawet sto lat, tym lepiej. Tymczasem największym naszym problemem, który musimy rozwiązać, są Skalradzi. Gdybyśmy przyłączyli się do was, aby pokonać Lyonesse, problem Skalradów i tak by nie zniknął, a my na dodatek stanęlibyśmy w obliczu nowego, agresywnego Dahautu bez przeciwwagi ze strony Lyonesse. Nie możemy tolerować przewagi żadnej ze stron, toteż zawsze musimy się opowiadać za słabszym z przeciwników. Obecnie tym słabszym wydajesz się ty, panie.

Audry obruszył się.

– Twoje stwierdzenie graniczy z obelgą. Tristano nie zamierzał bawić się w uprzejmości.

– Sire, nie jestem tu po to, żeby ci prawić komunały, ale żeby przedstawić fakty i wysłuchać twoich uwag.

– Hm. Przekazałeś mi, jak mówisz, słowa króla Aillasa?

– Dokładnie.

– Wnoszę więc, że nie macie najlepszego zdania o mojej potędze militarnej.

– Czy zechcesz, Najjaśniejszy Panie, wysłuchać raportu, jaki otrzymaliśmy z Domreisu?

– Mów.

– Zacytuję go mniej więcej w formie, w jakiej do nas dotarł: ponad wszystko inne, od rycerzy Dahautu wymaga się, żeby pojawiali się na paradach w lśniących zbrojach, na koniach w ozdobnej, błyszczącej uprzęży. Rzeczywiście tworzą piękny widok, w bitwie jednak nie prezentują się tak dobrze, gdyż zepsuci są przez dobrobyt i niechętnie podejmują trud wypraw wojennych. Gdyby zmuszeni byli stanąć oko w oko z nieprzyjacielem, bez wątplenia podjechaliby na koniach w paradnym chodzie, wykonując buńczuczne gesty pod jego adresem, a wszystko to z bezpiecznej odległości. Łucznicy i pikinierzy maszerują z doskonałą precyzją i w czasie parad wszyscy ich podziwiają. Komplementy tak zamroczyły biednego Audry'ego, że uważa ich za niezwyciężonych. Podobnie jak rycerze, i oni są przygotowani tylko do występowania na paradach i zaledwie wiedzą,

który koniec ich broni służy do zadawania ciosów. Wszyscy są ociężali z powodu nadwagi i najwyraźniej nie mają serca do walki".

– To wierutne kłamstwo! – odezwał się z oburzeniem Audry. – Czy jesteś tutaj tylko po to, żeby drwić ze mnie?

– Wcale nie. Przybyłem, żeby przekazać Waszej Królewskiej Mości informacje, których części właśnie wysłuchałeś, Najjaśniejszy Panie. A oto ich druga część: król Casmir dobrze zdaje sobie sprawę z twoich militarnych słabości. Zagrodzono mu łatwe przejście przez Południowe Ulflandy i teraz musi myśleć o bezpośrednim ataku. Król Aillas nalega, żebyś przejął, sire, dowództwo nad swoją armią z rąk faworytów i przekazał je wykwalifikowanemu, zawodowemu żołnierzowi. Radzi, abyś porzucił zwyczaj organizowania strojnych parad w czasie ćwiczeń wojskowych i skłonił wszystkich bez wyjątku, nawet siebie samego, do koniecznego wysiłku.

Audry wyprostował się na krześle.

– Tego rodzaju uwaga zakrawa na czystą bezczelność.

– Nie jest naszym zamiarem obrażać cię, Najjaśniejszy Panie. Widzimy niebezpieczeństwa, których Wasza Królewska Mość możesz nie być świadomy. Tak więc ostrzegamy cię, nawet jeśli jedynym motywem, jaki nami kieruje, jest nasz własny interes.

Audry zabębnił białymi palcami po stole.

– Nie znam króla Aillasa. Powiedz mi coś o jego charakterze. Jest człowiekiem ostrożnym czy śmiałym?

Sir Tristano zastanowił się.

– Mówiąc szczerze, trudno mi go opisać. Jest ostrożnie śmiały, jeśli można tak powiedzieć. Jest miły w obejściu, jednak nigdy nie uchyla się od przykrych obowiązków władcy. Podejrzewam, że często się do tego zmusza, gdyż z natury jest refleksyjny. Nie gustuje w wojnie, ale uznaje fakt, że przemoc i strach są nieodłącznymi atrybutami tego świata; z tego też powodu studiuje taktykę wojenną i niewiele może mu dorównać w sztuce władania mieczem. Czuje wstręt do tortur; lochy Miraldry są puste, a mimo to niewiele przestępców czy zbójców grasuje na terenie Troicinetu, gdyż z rozkazu Aillasa wszyscy skończyli na szubienicy. Jednak, moim zdaniem, nawet dziś oddałby koronę człowiekowi, któremu mógłby zaufać.

– To żaden problem! Wielu z chęcią by ją przyjęło.

– Są to właśnie ci, którym by nie zaufał! Audry wzruszył ramionami i pociągnął łyk wina.

– Nie prosiłem o to, abym urodził się królem. Jednak jestem królem i dlaczego nie miałbym w pełni cieszyć się tym szczęściem? Wygląda na to, że twojego Aillasa, w przeciwieństwie do mnie, gnębi poczucie winy.

– Nie sądzę, Wasza Królewska Mość. Audry ponownie napełnił puchary.

– Pozwól, że prześlę przez ciebie wiadomość dla króla Aillasa.

– Słucham uważnie, sire.

Audry pochylił się do przodu i przemówił moralizatorskim tonem:

– Czas najwyższy, żeby Aillas się ożenił! A czyż znalazłby lepszą partię niż moja najstarsza córka Thaubin, która połączyłaby dwa potężne panujące rody? Spójrz tam; Thaubin przygląda się grze!

Sir Tristano podążył wzrokiem za gestem Audry'ego.

– Ta urodziwa panna w bieli obok bezbarwnego, małego stworzenia w ciąży? Rzeczywiście, jest urocza.

– Dziewczyna w bieli to Netta, przyjaciółka Thaubin – zauważył z powagą Audry. – Thaubin

stoi obok niej.

– Rozumiem... No cóż, wątpię, sire, czy Aillas planuje małżeństwo. Byłby wielce zdziwiony, gdybym zaręczył go z księżniczką Thaubin.

– W takim razie...

– Jeszcze jedna sprawa, zanim odejdę. Czy Wasza Królewska Mość pozwoli mi mówić szczerze?

– Przecież nic innego przez cały czas nie robisz – odburknął Audry. – Mów!

– Muszę cię ostrzec, Najjaśniejszy Panie, że zdrajcy donoszą o każdym twoim kroku królowi Casmirowi. Jesteś otoczony szpiegami; podają się za twoich bliskich przyjaciół; może to być któryś z tych dżentelmenów, którzy dopiero co siedzieli tutaj z tobą.

Audry wytrzeszczył oczy na sir Tristana, a potem, odrzuciwszy do tyłu głowę, roześmiał się serdecznie. Odwrócił się i zawołał do swoich przyjaciół:

– Sir Huynemer! Sir Rudo! Sir Swanish! Przyłączcie się do nas, proszę!

Trzej dżentelmeni z ociąganiem powrócili do stołu. Byli nieco przestraszeni.

Ciągle chichocząc, król Audry powiedział do nich:

– Sir Tristano twierdzi, że w Falu Ffail roi się od zdrajców; podejrzewa nawet, że jeden z was szpieguje dla króla Casmira!

Dworzanie zerwali się na równe nogi.

– Ten człowiek nas obraża! – krzyknęli z oburzeniem. – Pozwól nam wyjąć miecze; damy mu lekcję etykiety, której nie nauczył się gdzie indziej! Wierutne kłamstwa! Gęganie gęsi i bełkot starych bab!

Sir Tristano uśmiechnął się i rozparł na krześle.

– Wygląda na to, że dotknąłem czułego miejsca! Cóż, nie powiem nic więcej.

– To wszystko nedorzecznosc! – oświadczył Audry. – Jakież mógłbym mieć tajemnice, które chcieliby poznać szpiegowie? Nie mam żadnych! O tym, co najgorsze, powszechnie wiadomo!

Sir Tristano wstał.

– Wasza Królewska Mość, na tym kończy się moje poselstwo; pozwól teraz, że się oddalę.

Król Audry machnął ręką.

– Możesz odejść.

Sir Tristano uklonił się, odwrócił i opuścił Falu Ffail.

III

Wróciwszy do Domreis, sir Tristano udał się prosto do Miraldry, starego, srogiego zamku z czternastoma wieżami, z którego roztaczał się widok na port. Aillas przywitał swojego kuzyna z nie skrywaną radością.

Gdy stanęli naprzeciwko siebie, można było dostrzec między nimi pewne podobieństwo, jednak Tristano był wyższy i wysmukły, Aillas zaś o cal niższy i choć szczupły, to jego ciało było muskularne. Włosy mieli podobne – złocistobrązowe, równo przycięte na wysokości uszu. Rysy twarzy Tristana były szczerze, podczas gdy u Aillasa nabrały bardziej wyrazistego, ostrego charakteru. Stojąc razem i ciesząc się swoim wzajemnym towarzystwem, wyglądali jak chłopcy. Idąc za propozycją Aillasa, usiedli na kanapie.

– Zanim przejdziemy do poważniejszych spraw, pozwól mi powiedzieć, że właśnie wyruszam do Watershade – odezwał się Aillas. – Może byś się do mnie przyłączył?

– Uczynię to z radością.

– Wyruszamy za dwie godziny. Jadłeś już śniadanie?

– Tylko chleb i twaróg.

– Zaraz się tym zajmiemy. – Aillas wezwał lokaja i niebawem podano im smażonego dorsza ze świeżym chlebem, duszone wiśnie i piwo.

– Jak się udała twoja wyprawa? – zapytał Aillas.

– Z całą pewnością niektóre jej epizody były interesujące. Opuściłem statek w Dun Cruighre i udałem się do Cluggach, gdzie udzielił mi audiencji król Dartweg. Jest on co prawda Celtem, ale nie wszyscy Celtowie są prostakami o czerwonych twarzach, cuchnących serem. Dartweg, na przykład, pachnie piwem, miodem pitnym i bekonem. Nie dowiedziałem się od niego niczego pożytecznego; Celtowie myślą tylko o miodzie i o tym, jakby tu ukraść bydło, co stanowi podstawę ich gospodarki. Jestem dogłębnie przekonany, że wyżej sobie cenią cętkowa-ną krowę o dużych wymionach niż piękną kobietę. Nie mogę jednak nic zarzucić gościnności króla Dartwega; tak naprawdę Celta można obrazić tylko wówczas, gdy nazwie się go skąpcem. Celtowie są nazbyt pobudliwi, by mogli się stać dobrymi żołnierzami, a ponieważ są wrzaskliwi, trudno przewidzieć ich zachowanie, tak jak reakcje dziewicy. Na placu zgromadzeń w pobliżu Cluggach widziałem pięćdziesięciu mężczyzn kłócących się, wygwizdujących nawzajem i często chwytających za miecze. Pomyślałem, że pewnie debatują nad sprawą najwyższej wagi, ale – jak się później okazało – kłótnia ta dotyczyła największego łososia złowionego w sezonie, trzy lata temu, a w samym środku tłumu, wrzeszcząc najgłośniej ze wszystkich, znajdował się Dartweg. Potem pojawił się jakiś druid w brązowej tunice z gałązką jemioli przypiętą do kaptura. Powiedział zaledwie dwa słowa i wszyscy ucichli, po czym chyłkiem wynieśli się i ukryli w cieniu. Gdy później rozmawiałem o tym incydencie z Dartwegiem i pochwaliłem druida za jego apel o spokój, dowiedziałem się, że nie o to mu chodziło; interweniował tylko dlatego, że hałas ten obrażał stado kruków w pobliskim gaju. Pomimo że wiele jest tam chrześcijańskich kościołów, które zresztą pojawiają się teraz wszędzie, druidzi nadal dzierżą władzę.

– Bardzo dobrze! – zawołał Aillas. – Powiedziałaś mi wystarczająco dużo o Godelii. Żeby zdobyć tam wpływy, musiałbym albo zjechać z nieba na białym byku, trzymając go za złote kółko w nosie, albo złapać w sezonie największego łososia. Co było dalej?

– Przepląnąłem promem Skyre i dostałem się do Xounges. Jest to jedyna droga, jaką można tam dotrzeć, gdyż Skalradzi kontrolują szlaki lądowe. Gax mieszka w ogromnym, kamiennym zamku zwanym Jehaundel, tak wysokim, że jego wieże giną w chmurach. Sale są niczym jaskinie i mało w nich wygody dla gości, dworzan czy nawet samego Gaxa.

– Ale widziałeś się z Gaxem?

– Po wielu staraniach. Gax jest teraz kimś w rodzaju inwalidy, a jego krewniak, niejaki sir Kreim, próbuje go od wszystkich odizolować. Twierdzi, że nie można narażać zdrowia Gaxa, denerwując go. Zapłaciłem złotą koronę, komu było trzeba, żeby Gax dowiedział się o mojej obecności i pomimo sprzeciwów sir Kreima, król udzielił mi audiencji. Gax w swych najlepszych latach musiał być mężczyzną o imponującej posturze. Nawet teraz przewyższa mnie o dwa cale. Jest szczupły i mówi głosem podobnym do północnego wiatru. Jego synowie i córki nie żyją. Nie wie, ile dokładnie ma lat, ale przypuszcza, że przekroczył już siedemdziesiątkę. Nikt nie dostarcza mu żadnych wiadomości; myślał, że Południowymi Ulflandami wciąż rządzi Oriante. Zapewniłem go, że obecnie władą nimi Aillas, śmiertelny wróg Skalradów, który zatopił już wiele ich okrętów i zagroził im drogę do Południowych Ulflandów. Na tę wieść król Gax aż klasnął z radości. Sir Kreim, który stał przez cały czas u boku Gaxa, oświadczył, że rządy Aillasa będą krótkotrwałe. A dlaczego? Powód, według sir Kreima, jest powszechnie znany: jego zboczenia seksualne doprowadziły go do takiego stanu, że jest schorowany i utyka na nogę. Słyszając to Gax splunął na

podłogę z obrzydzenia. Zapewniłem go, że ten „powszechnie znany fakt” jest wierutnym kłamstwem. Sir Kreimowi powiedziałem natomiast, że ten, kto przekazał mu takie informacje, jest podłym i nikczemnym kłamcą, i poradziłem mu, żeby nigdy nie powtarzał tego zarzutu, jeśli nie chce zostać oskarżony o szerzenie łgarstw. Poza tym wykazałem, że sir Kreim się myli: oświadczyłem, iż Aillas energicznie pracuje nad ukróceniem samowoli baronów z gór i wkrótce odeprze Skalradów. Aillas zaśmiał się cierpko.

– Dlaczego nie obiecałeś także, że zawrócę bieg rzek i sprawię, że słońce będzie wschodzić na zachodzie?

Sir Tristano wzruszył ramionami.

– Nie tak dawno dałeś mi do zrozumienia, że takie są twoje plany.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw muszę się uporać z innymi problemami. Ale opowiedz mi coś więcej o królu Gaxie i złowrogim sir Kreimie.

– Kreim jest trochę starszy ode mnie, ma purpurowe usta i czarną brodę. Jest zgryźliwy, podejrzliwy i z całą pewnością służy Skalradom. Wspomniałem inne wydarzenia ubiegłego roku i o żadnym z nich król Gax nic nie wiedział. Ten stary szelma dobrze zdaje sobie sprawę z ambicji Kreima i najwyraźniej dla uciechy odwracał się do niego, wykrzykując: „Pomyśl, Kreim, coś takiego!”, „Oto ludzie, na których możemy liczyć, jeśli kiedykolwiek mamy się uwolnić z sideł Ska!” czy też: „Och, Kreim, gdybym znów mógł być młody, postąpiłbym tak, jak czyni Aillas”. W końcu król Gax pod jakimś pretekstem odesłał Kreima, który odszedł niechętnie, przez cały czas spoglądając za siebie. Wtedy król Gax powiedział mi: „Jak widzisz, moje życie i moje rządy są coraz słabsze”. – Mówiąc to rozejrzał się dookoła, jak gdyby chciał się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. – „Wiele w moim życiu popełniłem błędów. Jest jednak jeden, ostatni, którego nie chciałbym popełnić”. „Cóż to takiego?” – zagadnąłem. Gax machnął tylko ręką. „Jesteś bystrym, młodym człowiekiem pod tą maską układności. Czyż nie potrafisz zgadnąć?” – zapytał. „Mogę domyślać się dziesiątek błędów, jakie mógłbyś, Najjaśniejszy Panie, popełnić. Masz nadzieję uniknąć przedwczesnej śmierci i w związku z tym być może chodzisz po cienkiej linie” – odparłem, na co Gax rzekł: „Jest to jeden z właściwych powodów. Umieram, ale tylko w tym sensie, w jakim każdy człowiek w moim wieku umiera. Skalradzi są cierpliwi; poczekają. Muszę być ostrożny, gdyż obawiam się trucizny lub noża w plecy w ciemnościach, a tu, w Jehaundel, byłaby to przykra śmierć, bez syna, który by ją pomścił” -wyznał.

– Pozwól, Wasza Królewska Mość, że zapytam z czystej ciekawości: w jaki sposób prawa Północnych Ulflandów regulują sprawę następstwa tronu?” – dociekałem.

Król Gax odparł:

– Poprzez dziedziczenie w linii prostej. Jeśli umrę, korona przypadnie Kreimowi. Czy widzisz ten diadem na mojej głowie? Gdybyś był takim głupcem, żeby go przyjąć, w tej chwili przekazałbym ci panowanie, a potem, tak jak moje, i twoje życie znalazłoby się w szponach Skalradów i musiałbyś się zastanawiać nad każdym kęsem pożywienia”. „Zatrzymaj swoje królestwo, sire” – powiedziałem mu. – „Moje ambicje nie sięgają tak wysoko”. W tym momencie wrócił sir Kreim, a ja opuściłem króla Gaxa.

Aillas podszedł do okna i wyjrzał na port, gdzie wiatr wznosił grzy-wiaste fale.

– Jak oceniasz stan jego zdrowia?

– Jak na mężczyznę siedemdziesięcioletniego robi wrażenie krzepkiego, chociaż jego spojrzenie nie jest już tak bystre jak dawniej. Ma sprawny umysł i silny głos.

– A czego dokonałeś po wyjeździe z Xounges?

– Miałem bardzo dziwną przygodę z diabelską zieloną perłą, której pozbyłem się z radością na

rzecz jakiegoś złodzieja i udałem się przez Dahaut do Avallonu. Król Audry przyjął mnie w swoim pałacu. Jest nadęty, głupi i próżny, ale wykazuje poczucie humoru, choć nieco przyciężkie; niemniej jednak je posiada. Ostrzegłem go, że na jego dworze, w jego otoczeniu, aż roi się od szpiegów, a on roześmiał mi się w twarz. Ponieważ nie ma żadnych tajemnic, Casmir daremnie trwoni pieniądze, co z kolei bardzo odpowiada Audry'emu. Nie ma więcej o czym opowiadać, może z wyjątkiem tego, że Audry nie miałby nic przeciwko temu, żebyś poślubił jego brzemenną córkę Thaubin.

– Na to nie jestem przygotowany.

W tym momencie wszedł lokaj i szepnął coś na ucho Aillasowi, który skrzywił się i powiedział do Tristana:

– Zaczekaj na mnie na dziedzińcu. W tej sprawie jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy.

Tristano opuścił pokój i w chwilę później do środka wszedł Yane, tak cicho, że nawet powietrze nie poruszyło się za nim. Aillas zerwał się na równe nogi.

– Raz jeszcze wróciłeś i raz jeszcze mogę odetchnąć z ulgą!

– Przecenisz niebezpieczeństwo – powiedział Yane.

– Gdyby cię złapali, śpiewałbyś inaczej.

– Bez wątplenia. Śpiewałbym głośno i szybko, w nadziei, że uniknę środków perswazji Casmira. Niewielu jest ludzi, których się boję. On jest jednym z nich.

Aillas ponownie podszedł do okna.

– Musi mieć innych szpiegów oprócz ciebie.

– Tak, rzeczywiście, a jednym z nich jest któryś z twoich bliskich doradców. Casmir nieomalże wyjawiał mi jego imię, ale się zreflektował. Niemniej jednak człowiek ten zajmuje wysokie stanowisko.

Aillas zamyślił się.

– Zastanawiam się, jak wysokie i jak blisko mnie.

– Bardzo wysokie i bardzo blisko.

Aillas potrząsnął głową z powątpiewaniem.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Często naradzasz się ze swoimi ministrami?

– Przynajmniej raz w tygodniu.

– Czy są to za każdym razem ci sami ministrowie?

– Nie ma zbyt dużych zmian.

– Jak się nazywają?

– Jest ich sześciu, wszyscy lordowie: Maloof, Pirmence, Foirry, Sion-Tansifer, Langlark, Witherwood. Żaden z nich nie odniósłby korzyści ze zwycięstwa Casmira.

– Który ma powód do urazy? Aillas wzruszył ramionami.

– Może uważają mnie za zbyt młodego, zbyt śmiałego albo zbyt nieprzejednanego? Wyprawa na Południowe Ulflandy nie wszędzie cieszyła się popularnością.

– Który z nich jest najbardziej gorliwy?

– Chyba Maloof, minister skarbu. Wszyscy lubią swoją pracę. Langlark wydaje się czasami bierny, ale mam powód, aby nie żywić wobec niego podejrzeń.

– Cóż to za powód?

– Próbowałem wymazać to wydarzenie z pamięci, teraz jednak wydaje mi się, że niesłusznie. W stocznicach w Blaloc, jak wiesz, budowane są łodzie rybackie i statki handlowe. Ostatnio jednak niejaki książę Geronius z Armoryki zawarł umowę na budowę czterech ciężkich galeasów najwyższej klasy, które z łatwością w pogodny dzień przysporzyłyby nam kłopotów. Badając tę sprawę

odkryłem, że księżę Geronius z Armoryki nie istnieje. To Casmir próbuje po cichu zbudować własną flotę. Gdy tylko te okręty zostaną spuszczone na wodę i Casmir zapłaci za nie złotem, wyślę wojsko i każę je doszczętnie spalić, a w Haidion rozlegnie się wówczas zgrzytanie zębami.

– Jaki to ma związek z Langlarkiem?

– W czasie narady, w obecności czterech ministrów, wspomniałem o pogłoskach, jakoby w porcie Posedel w Blaloc budowano okręty. Napomknąłem też, że poprosiłem pewnego kupca handlującego szklanymi butelkami, żeby zbadał tę sprawę. Kupiec ten nigdy nie powrócił. Przeprowadziłem dochodzenie w jego wytwórni i odkryłem, że został zamordowany w Blaloc.

Yane skinął głową w zamyśleniu.

– A ministrowie, którzy słuchali twoich uwag?

– To Maloof, Sion-Tansifer, Pirmence i Foirry. Langlark i Witherwood byli nieobecni.

– Wydarzenie to wydaje się znaczące.

– I ja tak uważam. Ale dość teraz. Wyjeżdżam z Tristanem i Shi-mrodem do Watershade, gdzie, czy dasz temu wiarę, trzeba rozwiązać pewien irytujący problem. Z pomocą Shimroda może sprawa sama się wyjaśni, a wtedy będziemy mieli kilka wolnych dni. Czy nie zechciałbyś się do nas przyłączyć?

– Muszę wracać do Skave i dopilnować, żeby przygotowano beczki na wino z tegorocznych zbiorów – wymówił się Yane. – Co zakłóca spokój w Watershade?

– Druidzi. Osiedlili się na wyspie Inisfadhe, gdzie bardzo przestraszyli Glyneth, więc muszę przywrócić tam porządek.

– Wyślij Shimroda, żeby rzucił na nich urok ponurego nastroju albo, jeszcze lepiej, żeby zamienił ich wszystkich w raki.

Aillas spojrzał przez ramię, jakby chciał się upewnić, że Shimrod ich nie słyszy.

– Shimrod już i tak zastanawia się nad moim nagłym zaproszeniem. Gdy ma się do czynienia z druidami, magia wydaje się najlepszym rozwiązaniem. Pozwolę Glyneth opowiedzieć całą tę historię; potrafi owinąć sobie Shimroda wokół palca, zresztą jak każdego innego mężczyznę, od którego postanowi wyłudzić coś przymilaniem się.

– Również niejakiego Aillasa, jak zauważyłem.

– Tak. Przede wszystkim niejakiego Aillasa.

Rozdział 3

I

Zamek Watershade został zbudowany w pradawnych niespokojnych czasach, by strzegł szlaków handlowych na wodach Janglin i odstraszał wojowniczych rycerzy z Ceald, których atakom nigdy zresztą nie uległ.

Zamczysko stało na samym brzegu jeziora i część jego wieży w kształcie cylindra wyrastała wprost z wody. Niskie, stożkowate dachy pokrywały zarówno wieżę, jak i cztery przysadziste baszty. Ocieniały je drzewa, nadając bryle zamku lekkości, a stożkowate dachy niemal komicznie kontrastowały z ciężką podstawą murów.

Ojciec Aillasa, Ospero, zbudował taras dookoła podstawy wieży wrzynającej się w jezioro. W letnie wieczory, gdy zapadał zmierzch, Aillas, czasami z gośćmi, jadał tu kolację, a gdy towarzystwo było doborowe, przesiadywał z nim do późna przy orzechach i winie, obserwując pojawiające się na niebie gwiazdy.

Na brzegu rosło kilka drzew figowych, które w upalne letnie dni wydzielają przenikliwy, słodki zapach przyciągający niezliczone chmary brzęczących owadów. Będąc chłopcem, Aillas nieraz został przez nie użądłony, gdy wdrapywał się na gładkie szare konary w poszukiwaniu owoców.

Wewnątrz wieży znajdowała się wspaniała okrągła sala ze stołem jadalnym w kształcie litery „C” o średnicy trzydziestu stóp, przy którym mogło zasiąść wygodnie pięćdziesiąt osób, a zmieściłoby się przy nim nawet sześćdziesiąt. Piętro wyżej, wraz z galerią, salonikami i pokojami do wypoczynku, była biblioteka Ospera. W basztach mieściły się przestronne komnaty sypialne i przytulne pokoje dzienne dla gospodarza zamku, jego rodziny oraz przyjaciół.

Kiedy dwór przeniósł się do Domreis, tak zapuszczono fosę, że w rezultacie zamieniła się w bagno zarośnięte trzciną, krzakami jeżyn i skarłowaciałą wierzbą, a nad szlamem unosił się cuchnący odór.

Wreszcie Aillas nakazał prace restauracyjne. Robotnicy pracowali przez trzy miesiące; w końcu podniesiono śluzy i znów do kanału wpłynęła świeża woda, teraz fosa nie służyła już celom obronnym; w czasie burz cumowano tu sprowadzone z jeziora łodzie, wśród trzcin pływały kaczki i gęsi, a na spokojnych wodach odławiano karpie, węgorze i szczupaki.

Dla Aillasa zamek Watershade był miejscem najmilszych wspomnień i cieszyło go, że z upływem lat nastąpiło tu niewiele zmian. We-are i Flora nosili teraz tytuły seneszala i ochmistryni. Ceren, niegdyś chłopak stajenny i towarzysz dziecinnych zabaw Aillasa, został pomocnikiem koniuszego stajni królewskich. Tauncy, swego czasu rządca majątku, okulał i teraz, jako zarządca składu win w dobrach królewskich, kierował pracą wytwórni win Aillasa.

Po długim okresie zwłoki i tylko na żądanie Weare'a, Aillas zgodził się przenieść do dawnych komnat swego ojca, a jego pokoje zajął Dhrun.

– Tak musi być – rzekł Weare do Aillasa. – Nie można zapobiec spadaniu liści jesienią ani pojawianiu się nowych na wiosnę. Często powtarzałem pani Florze, że jesteś chyba nadmiernie sentymentalny. Teraz wszystko się zmieniło! Jak możesz rządzić królestwem, jeżeli jesteś zbyt bojaźliwy, żeby wyjść z dziecinnej komnaty?

– Weare, drogi przyjacielu, zadałeś trudne pytanie! Prawdę mówiąc, wcale nie pragnę rządzić królestwem, a tym bardziej trzema. Gdy jestem tu, w Watershade, wszystko to wydaje mi się żartem.

– Pomimo wszystko jest tak, jak jest, a ja słyszałem o tobie wiele dobrego. Jest rzeczą właściwą, żebyś zajął komnaty królewskie.

Aillas uśmiechnął się nieswojo.

– Niewątpliwie masz rację i zapewne postawisz na swoim. Ja jednak ciągle odczuwam tutaj obecność mojego ojca. Jeśli chcesz znać prawdę, czasami wydaje mi się, że widzę jego ducha stojącego na balkonie lub zapatrzonego w żarzące się na kominku węgle.

– I co z tego? – prychnął pogardliwie Weare. – Ja też często widuję pana Ospera. Wchodzę do biblioteki w księżycową noc, a on siedzi w swoim fotelu. Odwraca się, spogląda na mnie, a twarz ma pogodną. Przypuszczam, że kochał Watershade tak bardzo, iż nawet po śmierci nie może się z nim rozstać.

– Dobrze więc. Mam nadzieję, że sir Ospero wybaczy mi to moje wtargnięcie. Nie będę jednak wprowadzał żadnych zmian.

Weare znów znalazł powód do protestów.

– Ależ chłopcze! Nie takie byłoby jego życzenie, gdyż kochał cię całym sercem! Pokoje te należą teraz do ciebie i musisz urządzić je zgodnie z własnym gustem, a nie tak, jak chciałby tego duch.

– Niech więc i tak będzie. Co zatem proponujesz?

– Po pierwsze skrobanie, szorowanie i woskowanie podłóg oraz mebli. Potem ostrożne zmycie tynku. Zielony kolor, jak zauważyłem, z czasem blaknie; może spróbować szaroniebieskiego z żółtym na gzyskach?

– Doskonale! Dokładnie tego potrzeba! Weare, masz rzadki talent do takich spraw!

– Skoro już jesteśmy przy tym; może moglibyśmy także odnowić pokoje pani Glyneth? Oczywiście, omówię to z nią, ale proponuję nałożyć na kamień tynk i pomalować ściany na różowo, biało i żółto. Kiedy zbudzi się, patrząc na takie jasne kolory, będzie w dobrym nastroju przez cały dzień.

– Świetnie, Weare! Dopilnuj wszystkiego, proszę!

Aillas nadał Glyneth na własność śliczną małą posiadłość w dolinie niedaleko Domreis, ale ona nie wykazywała nią większego zainteresowania i wolała przebywać w Watershade. Piętnastoletnia Glyneth, pełna czystej prostoty i optymizmu połączonego z radosną świadomością niedorzeczności tego świata, wprowadzała ożywienie w życie swoich przyjaciół i sprawiała, że jej własne nabierało wdzięku i czaru. W ciągu minionego roku urosła o cal i choć nadal lubiła nosić chłopięce spodnie i koszule, tylko ktoś niewrażliwy na piękno mógłby wziąć ją za chłopca.

Pani Flora uważała jednak, że nie tylko jej ubiór, ale również zachowanie było niekonwencjonalne.

– Moja droga, co pomyślą? Od kiedy to księżniczki same pływają łodziami po jeziorze? Od kiedy to wspinają się na drzewa i zasiadają wśród sów? Albo też włączają się po dzikich kniejach jak łobuzice?

– Chciałabym spotkać taką księżniczkę – powiedziała Glyneth. – Byłaby wspaniałą towarzyszką; miałybyśmy dokładnie takie same upodobania!

– Wątpię w istnienie drugiej takiej. Najwyższy czas, żeby obecna tu księżniczka nauczyła się zasad dobrego wychowania, aby nie ośmieszyć się na dworze.

– Litości, pani Floro! Czy wyrzuciłaby mnie pani na zimno i deszcz tylko dlatego, że nie umiem pięknie szyć?

– Nigdy, moja kochana! Ale trzeba się bacznie przyglądać, uczyć i ćwiczyć zasady etykiety. Osiągnęłaś ten wiek i te przymioty ciała, które sprawiają, że spodnie nie są już dla ciebie właściwym

strojem. Powinnaś mieć odpowiednią garderobę; uszyjemy ci kilka pięknych sukien.

– Bądźmy jednak praktyczne! Jak mogę skakać przez płot w ślicznej sukni? Proszę o tym pomyśleć!

– Nie musisz skakać przez płoty! Czy ja skaczę przez płoty, albo lady Vaudris z Hanch Hall? Wkrótce zaczną się tu gromadnie zjeżdżać konkurenci, aby prosić o twoją rękę. Kiedy zechcą ci złożyć uszanowanie, będę musiała odpowiedzieć: „Znajdziecie ją gdzieś w okolicy, lecz nie wiem dokładnie, gdzie”. Pójdą więc cię szukać i co sobie pomyślą, gdy znajdą cię wiszącą na drzewie lub łapiącą żaby w fosie?

– Pomyślą, że nie warto się ze mną żenić, co mi bardzo odpowiada. Słyszając to, pani Flora podniosła rękę, wymierzając Glyneth klapsa,

lecz dziewczyna odskoczyła zwinnie w bok.

– Na tym polega sztuka zręczności – oznajmiła.

– Źle skończysz, ty bezwstydna, zuchwała dziewczyno! – Flora mówiła bez pasji, a w duchu uśmiechała się do siebie. W chwilę później, chcąc sprawić Glyneth przyjemność, obdarowała ją cytrynowymi ciasteczkami.

Swoje złote loki Glyneth nosiła rozpuszczone albo związane czarną wstążką. Choć bez wątpienia była bezpretensjonalna, czasami oddawała się niewinnym flirtom. Zachowywała się wówczas jak kociak udający drapieżnika w dżungli. Często wykorzystywała jako obiekt swoich eksperymentów Aillasa. Flirtowała z nim tak długo, aż zgrzytał zębami i wznosił oczy do nieba. Całą siłą woli powstrzymywał się, żeby gra ta nie weszła w fazę, w której ich wzajemne stosunki mogłyby na zawsze ulec zmianie.

Czasami, gdy leżał nocą w łóżku, zastanawiał się, co też chodziło Glyneth po głowie i czy poważnie traktowała swoją grę. W takich chwilach stawały mu przed oczami inne obrazy.

Nie były to już ponure wspomnienia tajemniczego ogrodu w Ha-idionie. Z upływem czasu Suldrun stawała się mglistą postacią, której kształty rozplływały się coraz bardziej. Jego myśli zajmowała teraz inna osoba – pełna życia. Na imię miała Tatzel. Była Skalradką mieszkającą w zamku Sank w Północnych Ulflandach, niezwykłą dziewczyną – smukłą jak łania, z ciemnymi włosami opadającymi swobodnie wzdłuż twarzy. Jak wszyscy Skalradzi, cerę miała szarooliwkową, a jej oczy skrzyły się inteligencją. Najczęściej widywał ją, jak spacerowała samotnie po głównej galerii zamku, nie rozglądając się na boki. Nie zauważała go; był niewolnikiem i obchodził ją mniej niż mebel.

Aillas nie potrafił dokładnie określać swoich uczuć względem Tat-zel. Czuł złość. Było to wyzwanie dla jego podrażnionej ambicji, lecz także inne, ledwo uchwytnie tęsknoty przyprawiały go o dziwne drżenie serca, gdy mijała go, nie zwracając na niego uwagi. Chciał zastąpić jej drogę, tak aby musiała się zatrzymać, spojrzeć mu w oczy i zauważyć jego dumne istnienie. Nigdy by się nie ośmielił jej dotknąć. Wiedział, że czekałoby go upokorzenie, gdyż natychmiast zawołałaby strażę, które odciągnęłyby go od niej, a może nawet wykastrowały. Sama myśl, że utraciłby swoją męskość i nadzieję na dobrą opinię w oczach Tatzel, była zbyt okropna.

Kiedy w końcu udało mu się uciec z zamku Sank w towarzystwie Cargusa i Yane'a, odwrócił się w pewnej chwili i wycedził przez zęby:

– Miej się na baczności, Tatzel! Któregoś dnia znów się spotkamy, być może w innych okolicznościach!

Takie oto wizje nawiedzały myśli Aillasa.

Po nocy spędzonej w porcie Hag, przekroczywszy w południe Przełęcz Zielonego Człowieka, późnym popołudniem Aillas i Tristano wjechali przez zwodzony most na dziedziniec przed stajniami Watershade. Na ich powitanie wybiegli Dhrun i Glyneth, a za nimi Weare, Flora oraz reszta służby. Tylko Shimrod* stanął w cieniu sklepionego przejścia prowadzącego na taras.

* Przemierzając Dahaut jako „Doktor Fidelius – magik leczący chore kolana”, Shimrod zaprzyjaźnił się z dwojgiem wędrujących dzieci o imionach Dhrun i Glyneth. Odtąd podróżowali razem. Przez lata Shimrod niewiele się zmienił – długi nos, wykrzywione usta i wychudzone policzki nadawały jego twarzy komiczny wyraz. Zachował szczupłą sylwetkę, spod na wpół przymkniętych powiek spoglądały jasnoszare oczy, a włosy miał, jak zwykle, przycięte krótko w stylu chłopskim. Zob. *Lyonesse I. Ogród Suldrun*.

Podróżnicy udali się do swoich pokoi, chcąc się odświeżyć, po czym zeszli na dół, na taras, gdzie Weare podał im na kolację najlepsze przysmaki spiżarni. Siedzieli jeszcze długo po zapadnięciu zmroku.

Sir Tristano opowiedział im o swojej przygodzie z zieloną perłą i o jej zgubnych właściwościach.

– Jestem zaskoczony mocą tego przedmiotu! Gdyby nie ten kolor morskiej zieleni, wyglądałby jak prawdziwa perła. Shimrodzie, co o tym myślisz?

– Wstyd mi się przyznać, ale dla mnie w dziedzinie magii jest więcej niewiadomych niż wiadomych. Ta zielona perła wykracza poza granice mej wiedzy.

– Może był to kamień wyjęty z mózgu demona – zadumała się Glyneth. – A może jajo goblina.

– Albo oko bazyliuszka – zasugerował Dhrun. Glyneth powiedziała w zamyśleniu:

– Wynika z tego cenna lekcja dla, powiedzmy, tak młodych ludzi jak Dhrun. Nigdy nie kradnij cennych przedmiotów, zwłaszcza jeśli są zielonego koloru.

– Dobra rada! – stwierdził Tristano. – W takich wypadkach najlepiej kierować się uczciwością.

– Nastraszyłeś mnie – powiedział Dhrun. – Natychmiast przestaję kraść.

– Chyba że będziesz mógł ukraść coś ładnego dla mnie – odezwała się Glyneth. Tego wieczoru, zapewne dlatego, by sprawić przyjemność pani Florze, ubrana była w białą sukienkę, a jej włosy zdobił wianek z białych stokrotek. Choć wyglądała czarująco, jej widok nie robił większego wrażenia na Tristano.

– Przynajmniej moje zachowanie było przykładne – zauważył skromnie Tristano. – Wziąłem tę perłę tylko z poczucia obowiązku, dla dobra publicznego, i chętnie oddałem ją osobnikowi, który urodził się pod mniej szczęśliwą gwiazdą niż ja.

– Masz, oczywiście, na myśli psa, gdyż nic nie wiemy o innym złodzieju – rzekł Dhrun.

– Postąpiłeś z tym psem w okrutny sposób! – powiedziała surowo Glyneth. – Powinieneś był przynieść tę perłę Shimrodowi.

– Żeby mógł ją podać w kiełbasie? Wolę, że stało się tak, jak się stało.

– Biedny Shimrod! – zawołał Aillas. – Wyobrażam sobie, jak biegnie drogą z pianą na ustach, zatrzymując się tylko po to, żeby gryźć przechodniów!

– Shimrod wiedziałby, jak pozbyć się tego przedmiotu – stwierdziła z godnością Glyneth. – Pies, niestety, nie był w stanie tego zrobić.

– Teraz rozumiem mój błąd – oświadczył Tristano. – Przyznaję, że kiedy ten pies rzucił się na mojego konia, nie miałem względem niego dobrych zamiarów. Działalem pod wpływem impulsu, czego niemal natychmiast pożałowałem, a poczułem się jeszcze gorzej, gdy zobaczyłem, w jak żalonym stanie znajdowało się to zwierzę.

– Nie całkiem rozumiem – odezwała się Glyneth. – Prawie natychmiast pożałowałeś swojego

okrucieństwa?

– No, niezupełnie. Pamiętaj, że wynagrodziłem psa za ryzyko, jakie podejmował, dając mu kielbasę.

– W takim razie dlaczego? Tristano machnął ręką.

– Skoro przypierasz mnie do muru, to wyjaśnię tę całą sprawę tak delikatnie, jak tylko potrafię. Poprzedniej nocy perła została mi zwrócona w tajemniczy sposób. Gdy stanąłem nad martwym psem, moją pierwszą myślą było jak najszybciej uciec z tego miejsca. Potem zacząłem się zastanawiać nad tym, co mnie czeka w nocy, szczególnie wtedy, gdy będę już spał. W tym czasie perła przeszłaby przez układ trawienny psa i...

Glyneth zasłoniła dłońmi uszy.

– Wystarczy. Opowiedziałeś mi już więcej, niż chciałam usłyszeć.

– Temat przestał być interesujący – stwierdził Aillas.

– W porządku – odparł Tristano. – Chciałem tylko, aby Glyneth zrozumiała, co przeszedłem.

– I udało ci się – odrzekła Glyneth.

Zapadła chwilowa cisza. Glyneth spojrzała przez stół na Aillasa.

– Jesteś dziś taki małomówny! Co cię martwi? Sprawy państwowe? – Aillas popatrzył w stronę jeziora.

– Wydaje się, że Miraldra jest tysiące mil stąd. Obym nigdy nie musiał tam wracać.

– Może bierzesz na siebie zbyt dużą odpowiedzialność?

– Wciąż obserwują mnie moi doradcy i ministrowie, wszyscy starsi ode mnie, i tylko czyhają na mój błąd. Nie mam wyboru, muszę postępować ostrożnie. W Południowych Ulflandach panuje chaos, który muszę uporządkować, i być może wziąć się za bary ze Skalradami, jeśli nie zmienią swego postępowania. A tymczasem, gdy tutaj siedzimy, Casmir przygotowuje nowe spiski.

– Dlaczego więc i ty nie obmyślisz jakiejś intrygi, żeby go powstrzymać?

– Gdyby to było takie proste! Chytre spiski są jego specjalnością; nigdy nie pokonam go w intrygach. Jego szpiedzy są wszędzie; poznałoby moje podstępne plany wcześniej, niż zdążyłbym je obmyślić.

– Czy nie możemy wykryć tych wszystkich zdrajców i utopić ich w Lirze? – oburzył się Dhrun.

– Nie jest to takie proste. Oczywiście, że chcę ich zidentyfikować, ale gdy już to zrobię, wolę ułatwić im życie, karmiąc ich fałszywymi informacjami. Gdybym potopił wszystkich, Casmir przysłałby po prostu nowych. Tak więc wolę już mieć do czynienia z tymi, których znam, i zachowywać się tak, żeby nie wzbudzać ich podejrzeń.

– To karmienie samo w sobie wydaje się chytrym planem – powiedziała Glyneth. – Lecz czy się okaże skuteczny?

– Przekonam się o tym, gdy wykryję tych zdrajców.

– Oczywiście nasi szpiedzy obserwują Casmira? – zapytała Glyneth.

– Nie tak dokładnie jak on nas. Jednakże, mimo wszystko, nie mają nad nami całkowitej przewagi.

– Pod pewnymi względami jest to fascynujące zajęcie. Ciekawe, czy ja byłabym dobrym szpiegiem.

– Bez wątplenia. Piękne dziewczyny są wspaniałymi szpiegami. Muszą jednak być oddane swojej pracy i gotowe na wszystko, gdyż większość informacji przekazuje się pod osłoną nocy.

Glyneth prychnęła pogardliwie.

– I to mają być szpiedzy, których karmisz całymi nocami ułatwiając im życie, zamiast powiesić ich na szubienicy!

– Ha! Nie miałem tyle szczęścia! Casmir nie jest taki głupi! Przekupił jednego z moich najbliższych doradców. Nie muszę chyba dodawać, żebyś nikomu o tym nie mówiła?

– To musi być dziwne uczucie patrzeć na twarze zastanawiając się, która z nich jest obliczem szpiega – zauważył Dhrun.

– To prawda.

– Ilu jest podejrzanych? – zapytał Tristano.

– Sześciu, wszyscy to czcigodni i nienaganni ministrowie, lordowie: Maloof, Langlark, Sion-Tansifer, Pirmence, Foirry i Witherwood.

Myśląc logicznie, każdy z nich powinien być mi wierny jak księżyc słońcu. Mimo to, jeden z nich jest zdrajcą. Mówię to z zakłopotaniem, gdyż uwłacza to mojej godności.

– Jak go zdemaskujesz?

– Chciałbym to wiedzieć.

Gwiazdy przesuwwały się po niebie, a oni wciąż omawiali plany zdemaskowania szpiega. W końcu, gdy świece zaczęły się dopalać, ziewając powstali z miejsc i udali się do łóżek.

III

Goście gotowali się do powrotu do Domreis. Przyglądając się ich przygotowaniom, Glyneth i Dhrun stawali się z minuty na minutę coraz bardziej niespokojni; zamek Watersshade znów stanie się cichy i opuszczony. Co więcej, zaintrygowała ich opowieść o tajemniczym, wysoko postawionym szpiegu. W ostatniej niemal chwili zdecydowali, że dołączą do przyjaciół i w pośpiechu zaczęli pakować swoje rzeczy.

Przez Ceald przejechali więc w piątkę. Na Przełęczy Niebieskiego Człowieka wszyscy obrócili się, jak to było w zwyczaju, żeby po raz ostatni spojrzeć na Watersshade, po czym zjechali w dół do doliny rzeki Rundle, którą dotarli do portu Hag i spędzili noc w zajeździe „Pod Morskim Koralem”. Opuścili go w chłodny poranek przy dźwięku pobrzękującej głośno uprzęży, przejechali przez Przylądek Mgieł w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, oświetlających blado ich plecy i wczesnym popołudniem przybyli do Domreis.

Aillas nie był pewien celu podróży Dhruna i Glyneth. Odprowadził ich na stronę i ostrzegł, żeby zachowali najwyższą dyskrecję:

– To nie jest pojedynek na błyskotliwe umysły czy też wymiana uprzejmości! Stawką jest życie, a Casmir nie dba o to, czyje wchodzi w rachubę, jeśli tylko może osiągnąć dzięki temu swój cel.

– Musi być dziwnym, surowym człowiekiem – zauważył Dhrun.

– Rzeczywiście taki jest, a jeden z jego szpiegów obserwuje nas z niewielkiej odległości, jak lis przyglądający się kurczakom spacerującym po podwórku.

– Ten szpieg jest oczywiście zdrajcą, ale jaki ma w tym cel? Jakie może mieć z tego korzyści? – zapytała z zakłopotaniem Glyneth.

Aillas wzruszył ramionami.

– Może szpieguje dla kaprysu, dla dreszczyku emocji, który wywołuje niebezpieczna gra. Z pewnością jest bardzo podejrzliwy, wyczulony na każde spojrzenie i każdy szept, więc bądźcie ostrożni.

– Myślę, że możesz nam zaufać – odrzekł Dhrun z powagą. – Nie jesteśmy przecież kompletnymi głupcami. Nie zamierzamy spoglądać na siebie porozumiewawczo, trącać się łokciem, a potem szeptać po kątach.

– Dobrze o tym wiem. Tak naprawdę to jestem ciekaw waszych opinii. – I Aillas pomyślał: Kto wie? Może któreś z nich dostrzega sprzeczności i niedorzeczności, które umknęły uwagi innych?

Z tego też powodu Aillas wydał bankiet, na który zaprosił swoich ministrów i kilka innych osób. Przyjęcie odbyło się w posępne popołudnie przy zmiennym wietrze i zachmurzonym niebie. Gdy dostojnicy wjeżdżali konno do Miraldry przez groblę, ich stroje trzepotały na wietrze i zmuszeni byli przytrzymywać rękami kapelusze. W westybulu przywitał ich seneszał, sir Este, który następnie zaprowadził ich do najmniejszej z sal balowych. Tutaj na całą grupę czekał Aillas w towarzystwie Dhruna i Glyneth.

Przyjęcie nie miało oficjalnego charakteru, więc ministrowie zajmowali miejsca przy stole w takiej kolejności, w jakiej przybywali: trzech po jednej i trzech po drugiej stronie, bez względu na pierwszeństwo. Za nimi zasiadł sir Tristano i dwaj szlachcice z dalekich stron. Pierwszy z nich był wysokim szczupłym mężczyzną o pociągłej, wykrzywionej twarzy, który sam siebie nazywał sir Catraulem z Katalonii. Ubrany był w dziwny, lecz bogaty strój, a twarz upudrował w stylu dworu akwitańskiego. Dhrun i Glyneth ledwie mogli powstrzymać swoją wesołość na widok tak pysznie wystrojonego Shimroda.

Naprzeciw niego zasiadł Yane, który przyciemnił skórę, twarz ukrył pod czarną brodą, a włosy pod turbanem. Zwał się sir Hassifa z Tingi-tany i prawie w ogóle się nie odzywał.

Kiedy goście zajęli już miejsca, Aillas wstał.

– Witam dzisiaj mojego kuzyna, dwóch grandów z odległych lądów i sześciu mężów, którzy są nie tylko moimi doradcami, ale także przyjaciółmi, prawdziwymi i zaufanymi! Chciałbym przedstawić was mojemu synowi, księciu Dhrunowi oraz będącej pod moją opieką księżniczce Glyneth. Najpierw goście z Dascinetu: lord Maloof z domu Maul.

Maloof, mężczyzna krzepki, choć niewielkiej postury, z czarnymi kręconymi włosami i krótką gęstą brodą, okalającą okrągłą szarą twarz, wstał, ukłonił się, wywijając ręką w kierunku Glyneth i ponownie spoczął na krześle.

– Lord Pirmence z zamku Lutez!

Pirmence podniósł się i ukłonił; był nieco starszy od Maloofa, szczupły i przystojny, z siwymi włosami, pogardliwie wygiętym łukiem brwi, krótką siwą brodą i grymaśnym obliczem.

– Lord Sion-Tansifer z Porthouse Faming!

Sion-Tansifer, najstarszy z ministrów i bez wątpienia najbardziej szorstki i zadzierzysty, powstał sztywno wyprostowany. Jego domeną była strategia wojskowa, którą traktował konserwatywnie i ortodoksyjnie; Aillas jego poglądy uważał częściej za bardziej ciekawe niż użyteczne. Był jednak przydatny z innych względów – jego opinie, wyrażane w formie dogmatycznych truizmów, irytowały innych i odwracały ich uwagę od Aillasa. Sion-Tansifer był uosobieniem rycerskości, wzorem dobrych manier, więc najpierw ukłonił się księżniczce Glyneth, a potem księciu Dhrunowi, pozwalając, żeby galanteria wzięła górę nad dyktandem.

– Lord Witherwood z domu Witherwood!

Witherwood, mąż w średnim wieku, był blady i chudy, miał zapadnięte policzki, intensywnie czarne oczy, a usta zaciskał tak, jak gdyby próbował powstrzymać wybuch rozsadzającej go energii. W swoich sądach był porywczy i bardzo ortodoksyjny, lecz cecha ta wcale nie upodabniała go do sir Siona-Tansifera czy Maloofa. Pierwszego z nich Witherwood uważał za służbistę o wąskich horyzontach, a drugiego -za małostkową i zrzędną kwokę. W geście powitania skinął zdawkowo i opadł na krzesło.

– Lord Langlark z zamku na Czarnej Grani!

Langlark, jakby chcąc skarcić delikatnie Witherwooda za jego obce-sowe zachowanie, podniósł

się niezgrabnie z krzesła i uklonił w wielkim stylu, najpierw na prawo, potem na lewo. Choć korpulentny i niczym się nie wyróżniający, Langlark wnosił do obrad rady humor, umiar i praktyczność. Aillas skłonny był go uważać za swego największego poplecznika spośród wszystkich ministrów.

– Lord Foirry z Suanetty!

Foirry wykonał dwa grzeczne, lecz niedbałe ukłony. Był niepozorny, odrobinę zgarbiony i choć nie tak stary jak Maloof, prawie zupełnie łysy. Szybkie ruchy głową, ciskające gromy brązowe oczy wraz z długim, haczykowatym nosem i cynicznie wykrzywionymi ustami nadawały mu wygląd, który sugerował, iż to człowiek groźny i czujny. Foirry był zmienny w swoich poglądach, gdyż lubił rozpatrywać sprawy we wszystkich ich aspektach, przez co miał skłonność do sprzecznania się ze swoimi rozmówcami, chcąc sprawdzić, jak mocne były ich argumenty.

– Sir Tristano jest wam oczywiście dobrze znany. Za nim siedzą sir Catraul z Katalonii i sir Hassifa z Tingitany.

Bankiet rozpoczął się w sztywnej atmosferze. Lord Sion-Tansifer milczał jak głaz, więc lord Pirmence spróbował nawiązać rozmowę najpierw z sir Catraulem, a potem z sir Hassifą, lecz napotkawszy tylko puste spojrzenia i wzruszenie ramion na znak niezrozumienia, zwrócił swoją uwagę w inną stronę.

Tymczasem Glyneth i Dhrun przyglądali się badawczo sześciu ministrom, analizując ich wygląd i zachowanie w najmniejszych szczegółach. Doszli do wniosku, że każdy z nich był do pewnego stopnia specjalistą w swojej dziedzinie. Maloof zarządzał skarbem, doradzał w sprawach podatków, opłat i dzierżaw; Witherwood pracował nad sko-dyfikowaniem systemów prawnych państwa, próbując pogodzić regionalne różnice, żeby nadać prawom uniwersalny charakter, gdyż miały się odnosić w równym stopniu do ludzi z niskich i wysokich sfer. Sion-Tansifer, minister za rządów króla Granice'a, służył radą w sprawach organizacji armii i strategii wojskowej. Foirry był ekspertem w dziedzinie budownictwa okrętowego. Pirmence, który dużo podróżował -od Irlandii po Bizancjum – pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych, podczas gdy Langlark został mianowany pełnomocnikiem Aillasa do spraw utworzenia w Domreis uniwersytetu z wydziałami literatury, matematyki, geografii i kilku innych nauk.

Aillas, który także bacznie przyglądał się swoim ministrom, poczuł w sercu dziwny chłód. Była to mieszanina tajemniczości i grozy, a nawet czegoś, co można by nazwać panicznym strachem. Jeden z tych sześciu, którzy z takim spokojem siedzieli przy jego stole, jedząc z nim i pijąc, był zdrajcą, kreaturą pracującą na jego klęskę i zgubę.

Który z nich? Jakie pobudki mogą nim kierować?

Aillas spojrzał w bok na Dhruna i poczuł, że na widok swojego przystojnego, młodego syna narasta w nim duma.

Przeniósł wzrok w kierunku Glyneth i poczuł przypływ innych uczuć. Wyczuła, że skierował na nią swą uwagę i obróciła się, chcąc napotkać jego spojrzenie. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową na znak zakłopotania; sprawa ta była dla niej zbyt tajemnicza, wykraczała poza granice jej możliwości.

Bankiet toczył się dalej. Po pierwszym daniu, składającym się z mielonych oliwek, krewetek i cebuli zapiekanych z serem i pietruszką w muszlach ostryg, podano zupę z tuńczyka, sercaki i małże duszone w białym winie z porami i ze szczypiorkiem. Później na stole pojawiły się pieczone na ruszcie przepiórki faszerowane morelami, serwowane na plastrach wyśmienitego białego chleba, przystawki z zielonego groszku, karczochów duszonych w winie i maśle oraz sałatki z ogrodowej zieleniny. Następnie wniesiono flaczki i kielbaski z kwaszoną kapustą, wspaniałe comber z dziczyzny

polany sosem wiśniowym, z kaszą najpierw gotowaną w wywarze, a następnie smażoną z czosnkiem i szałwią. Na deser podano pierniczki, orzechy i pomarańcze, a przez cały ten czas kielichy napełniano szlachetnymi winami Voluspa i San Sue z piwnic Watershade oraz cierpkim zielonym muszkatelem z Dascinetu.

Pomimo długiej znajomości, ministrowie nie czuli się swobodnie w swoim towarzystwie i w miarę upływu czasu zaczęli wyrażać swoje poglądy z coraz większą zapalczywością, co wyglądało wręcz karykaturalnie i nieomal doprowadziło do kłótni.

Najbardziej zawzięty był Sion-Tansifer, weteran wielu kampanii; posiwiałe włosy wiły się i wyrastały nierówno w miejscach, gdzie czaszkę ministra pokrywały blizny. Jego wypowiedzi obfitowały w cięte, dosadne uwagi, jak gdyby każda z nich była bezsporną prawdą, a ci, którzy się z nią nie zgadzali, zasługiwali na lekceważące spojrzenia.

Siedzący naprzeciw niego Maloof obwarowywał swoje opinie wieloma zastrzeżeniami i wyrażał się niejasno, tak więc w porównaniu z Sionem-Tansiferem wydawał się niezdecydowany.

Na ich tle wyróżniał się Pirmence, mężczyzna uprzejmy i przystojny, o nienagannych manierach, dowcipny i niewzruszenie próżny. Odwiedził wiele odległych krain, a o jego zamku Luter mówiło się, że jest skarbnicą wielu cennych przedmiotów.

Zażywny, rumiany i skromny Langlark stosował w dyskusji taktykę polegającą na pełnym smutku i zakłopotaniu potępianiu samego siebie i za pomocą pokrętnych środków doprowadzał do tego, że argumenty innych wydawały się głupie i nieprzekonujące. Często zwracał uwagę na szczegóły, które wszyscy inni przeoczyli. Pirmence bardzo się pilnował, aby nie popaść z nim w konflikt, gdyż uważał go za jedyne spośród ministrów, który był bardziej przenikliwy niż on sam.

Systematyczny i dokładny Witherwood z pełnym zjadliwości zapałem atakował poglądy, które uważał za nielogiczne, nie zważając przy tym na ich właściciela. Aillas nie raz już poczuł żądło jego krytycyzmu, zaś Maloof całkowicie go lekceważył. Foirry mówił mało i słuchał innych z miną wyrażającą sardoniczne rozbawienie, lecz poproszony o opinię mógł się stać równie zgryźliwy jak Witherwood.

Gdy podano dziczyznę, rozmowa zesłała na temat kłopotów w Południowych Ulflandach* i dało się słyszeć niewiele optymistycznych wypowiedzi.

* Po śmierci Oriante, króla Południowych Ulflandów, korona, z braku innych spadkobierców, lecz zgodnie z prawem dziedziczenia przypadła Aillasowi, królowi Troicinetu. Zaskoczyło to Casmira; oszalała z wściekłości, biegał tam i z powrotem po Zielonym Saloniku w Haidionie, gdy tymczasem do nabrzeży Starego Ys przybiły okręty troicyjskie z korpusem ekspedycyjnym. Wojska te zajęły straszny zamek Tintzin Fyral oraz fortyfikacje Kaul Bocach, zabezpieczając w ten sposób Południowe Ulflandy przed agresją ze strony króla Casmira.

– Nieprzyjemny to kraj, same skały i wrzosowiska, gdzieniegdzie tylko bagno lub waląca się chata – mówił z umiarkowaną obojętnością Maloof. – Może w przyszłości ziemia ta zdoła wyżywić swój lud. Nastąpi to jednak dopiero wtedy, gdy Ulfowie zaczną ją uprawiać z równym zapałem, z jakim teraz zabijają się nawzajem. To brutalny naród!

– Chwileczkę! – zawołała Glyneth, odzywając się po raz pierwszy. – Urodziłam się w Trockshaw w Północnych Ulflandach i moi rodzice stanowczo nie byli brutalni. Wręcz przeciwnie, byli uprzejmi, dobrotliwi i odważni. Zabili ich Skalradzi!

Maloof zamrugał z zakłopotaniem.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny! Przejęczyłem się oczywiście! Powinienem być raczej powiedzieć, że baronowie w Południowych Ulflandach są narodem walecznym i że dobrobyt nastąpi dopiero wtedy, gdy ustaną ich wojny domowe i bandyckie napady.

Sion-Tansifer chrząknął lekceważąco.

– Nastąpi to w dniu, w którym z nieba zamiast gradu spadnie deszcz złotych monet. Ulflandczycy gonią za zemstą jak psy za swoimi pchłami.

– Dziesięć lat temu miałem okazję odwiedzić Ys – odezwał się Pirmence. – Gdy jechałem drogą do Oaldes, widziałem niewielu wieśniaków; byli to pasterze, chłopci i rybacy na wybrzeżu. Kraj to wietrzny, otwarty i w większości pusty, lecz to również jego zaleta: mogliby się tam osiedlić nasi młodszy synowie, gdyby król Aillas zechciał tę ziemię rozdzielić.

– Kraj jest opustoszały z bardzo prostej przyczyny – stwierdził Foirry. – Gdyby baronowie z gór uwolnili wszystkich tych, których zamknęli w swoich lochach, lub wskrzesili tych, których łamali kołem, ziemia ta szybko by się zaludniła.

Maloof, przyjmujący rzeczy dosłownie, uniósł brwi w osłupieniu.

– Dlaczego w takim razie zapuściliśmy się w tę nieszczęsną krainę? Marnujemy tylko nasz wysiłek, krew i złoto. Ulflandczycy przecież nic dla nas nie znaczą!

– Jestem ich królem – odezwał się łagodnym i pełnym rozsądku głosem Aillas. – A oni są moimi poddanyimi. Jestem im winien sprawiedliwość i bezpieczeństwo.

– Phi! – prychnął oschle Witherwood. – To nie jest żaden argument. Przypuśćmy, panie, że zostałbyś nagle obwołany królem Cathay; czy i wtedy musielibyśmy wysłać z Troicinetu flotę i zastępy żołnierzy, by strzec ich bezpieczeństwa i sprawiedliwości?

Aillas roześmiał się.

– Cathay jest daleko stąd, za to Południowe Ulflandy tuż obok, w zasięgu ręki.

– Mimo wszystko – ciągnął uparcie Maloof – jestem przekonany, że twoje dochody powinny zostać spożytkowane dla dobra twojego własnego ludu.

– Wyznaję, że nie jestem zadowolony z tej wyprawy – oświadczył zgryźliwie Sion-Tansifer. – Postępujący po łotrowsku baronowie strzegą swych górskich dolin jak wilki i orły! Nawet gdybyśmy ich wszystkich zabili, z ciernistych krzewów wyskoczyliby następni, chętni by zająć ich miejsce, i wszystko zostałoby po staremu.

Langlark spoglądał przez stół ze ściągniętymi brwiami, z charakterystycznym dla siebie wyrazem zakłopotania.

– Czy sugerujesz, że powinniśmy opuścić ten rozległy kraj? Czy takie wycofanie się byłoby dla nas korzystne? Pirmence zdecydowanie przesadził; kraj ten nie jest pozbawiony zasobów, a w przeszłości był uważany za bogaty. Kopalnie dostarczają cynę, miedź, złoto i srebro, są tam również wielkie pokłady rudy żelaza. Dawniej na wrzosowiskach pasło się bydło i owce, a na polach rosł owies, kukurydza i jęczmień. Sion-Tansifer zaśmiał się ponuro.

– Ulfowie mogą sobie zatrzymać ten „rozległy kraj” i cieszyć się swoimi bogactwami. Będę im nawet za to wdzięczny, jeśli tylko przelewając własną krew, odeprą Skalradów. Dlaczego mielibyśmy za nich gołymi rękami wyciągać kasztany z ognia? Dla bogactw? Nie ma tam takowych. Dla sławy? A cóż to za sława gonić po wrzosowiskach za mieszkańcami bagien?

– Hm, ha! – Pirmence potarł serwetką swoją srebrzystosiwą brodę. – Twoje uwagi są bardzo zjadliwe. – Spojrzał znad stołu na Aillasa. – Co odpowiesz, Najjaśniejszy Panie, tym wszystkim rządcom i pesymistom?

Aillas rozparł się w fotelu.

– Mówiłem już o tym szczegółowo; czy macie wszyscy aż tak krótką pamięć? Powtórzę zatem: nie zajęliśmy Południowych Ulflandów w poszukiwaniu bogactwa, sławy czy ziemi leżącej odłogiem, lecz z jednego tylko powodu: żeby przetrwać.

Sion-Tansifer potrząsnął sceptycznie głową.

– Albo ja jestem głupi, albo ten argument ma słabe punkty.

– Jest to sąd, który mógłby wygłosić tylko król Aillas – zauważył delikatnie Pirmence.

Aillas zaśmiał się.

– Jest dla mnie oczywiste, że opinie przedstawione przez lorda Siona-Tansifera nie są odosobnione. – Rozejrzył się wokół stołu. – Kto jeszcze chciałby, żebyśmy się wycofali z Południowych Ulflandów? Maloof?

– Przedsięwzięcie to stanowi poważne obciążenie dla skarbu państwa. Uważam, że nie muszę dodawać nic więcej.

– Pirmence? Pirmence wydał usta.

– Jesteśmy tam! Trudne, wręcz niemożliwe, byłoby wyplątanie się z tej sprawy z honorem.

– Langlark?

– Twoje argumenty, Najjaśniejszy Panie, są nie do odparcia.

– Witherwood?

– Przeczuwam, że kości przez nas rzucone będą się bardzo długo toczyć! Mam nadzieję, że dopisze nam szczęście.

– Foirry?

– Nasze okręty panują na morzu. Tak długo, jak ten stan się utrzyma, Troicinet nie ma się czego obawiać.

– Sir Tristano, jakie jest twoje zdanie?

Tristano wahał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Pozwól, że zadam pytanie: jakie byłyby konsekwencje, gdybyśmy rzeczywiście zrezygnowali z Kaul Bocach oraz Tintzin Fyral i wycofali się z Południowych Ulflandów?

– W tej samej godzinie, w której opuścilibyśmy Południowe Ulflandy, król Casmir, najpierw uszczypnąwszy się, sprawdzając czy nie śni, a potem wykonawszy kilka podskoków z czystej radości, jak najszybciej pomaszerowałby ze swoimi oddziałami na północ. Później, w dogodnym momencie, z całym swoim wojskiem zaatakowałby Dahaut z dwóch stron i nie minąłby miesiąc, jak król Audry musiałby uciekać do Akwitanii lub umrzeć. Następnie Casmir przeniósłby stół Cairbra an Meadhan i tron Evandig do miasta Lyonesse i ogłosiłby się królem wysp Elder. U ujścia rzeki Mermeil zbudowałby tak dużą flotę, żeby mogła przewieźć jego oddziały do Dascinetu, a wtedy bylibyśmy zgubieni. Wkraczając do Południowych Ulflandów, pokrzyżowaliśmy plany Casmira i zmusiliśmy go do opracowania trudniejszej strategii.

– W zupełności mnie przekonałeś – stwierdził sir Tristano. – A ciebie, lordzie Sion-Tansifer?

– Przy całym należnym szacunku, te założenia są błędne. Nawet dzisiaj Casmir może pomaszerować na północ przez Trompadę i nie postawić nogi w Południowych Ulflandach.

– Niezupełnie – zauważył Aillas. – Znalazłby się natychmiast w stanie wojny z nami i nie mógłby zrealizować swojego planu. Tak długo, jak Południowe Ulflandy i Teach tac Teach są w naszych rękach, Casmir nie odważy się wkroczyć do Trompady. Moglibyśmy go z łatwością powstrzymać; wystarczyłoby do tego same tylko miejscowe oddziały.

– Po co ta cała rozmowa o zagrożeniu i wrogości? – odezwał się gderliwie Maloof. – Czy nie ratyfikowaliśmy układów pokojowych z Lyonesse? Dlaczego mielibyśmy zakładać najgorsze? Jeśli udowodnimy Casmirowi, że rzeczywiście zależy nam na pokoju, to on odpowie tym samym, a wtedy ustaną kłótnie i szcęk broni, które tylko pogarszają sprawę.

– Sięgnij pamięcią kilka lat wstecz – powiedział Aillas. – Królem Troicinetu był wówczas Granice. Ivar Excelsus z Dascinetu chciał nas ukarać wojną i wezwał na pomoc Casmira, który tylko czekał na okazję, żeby przeprowadzić swoje wojska przez Lir. I gdyby nasze okręty nie rozbiły w

drobny mak jego armady, żaden z nas nie siedziałby dzisiaj tu, w Miraldrze, za tym stołem. Czy wilk może się stać łagodny jak baranek? Oczywiście, że nie.

Maloof nie był przekonany.

– Jednak Południowe Ulflandy to nie Dascinet.

– Wierzysz zatem, że jeśli będziemy uprzejmi dla Casmira, on nie będzie sprawiał nam kłopotów? – zapytał oschle Witherwood.

– Nie mamy nic do stracenia – odparł z godnością Maloof. – Każde rozwiązanie jest lepsze niż wojna.

– Nie każde – odezwał się Langlark.

– Nikt z nas nie chce wojny, nawet sam Casmir, który wolałby zbudować swój triumf na naszej słabości i szaleństwie. Dopóki ja będę królem, tak się nie stanie; mimo wszystko będę się starał utrzymać ten pokój. Może zainteresuje was wiadomość, że król Casmir i królowa Sollace przybywają do Domreis z oficjalną wizytą.

– Co za dobra nowina! – zawołał Maloof. – Kiedy to nastąpi?

– Za mniej więcej miesiąc.

Foirry wybuchnął sardonicznym śmiechem.

– Jakąż farsą jest dyplomacja! Aillas uśmiechnął się.

– Jako król muszę być wzorem przyzwoitości, bez względu na to, jakie są moje wewnętrzne odczucia... Powiedziałem więcej, niż zamierzałem.

Bankiet dobiegł końca. Aillas i Yane wraz z Glyneth i Dhrunem udali się do jednego z mniejszych salonów i zasiedli przy kominku.

– Tak więc, co o tym wszystkim sądzicie? Yane długo wpatrywał się w płomienie.

– Trudno powiedzieć. Nie mogą to być Langlark i Foirry z powodu tego incydentu z handlarzem butelkami. Sion-Tansifer jest bez wątpienia odważny, choć może ma w tym jakiś swój ukryty cel. Zdrajca? Mało prawdopodobne. Maloof? Witherwood? Pirmence? Moja intuicja podpowiada mi, że to Maloof. Bardzo pragnie pokoju i jest gotów pójść na ustępstwa. Historia mówi o wielu takich ludziach. Może nawet uważa się za bohatera sekretnej dyplomacji, uspokaja Casmira, utwierdzając go w przekonaniu o swojej dobrej woli. Teraz Pirmence. Wydaje się ustępliwy i chyba dałby się namówić do szpiegowania za złoto lub z czystej nudy. Należy on do tego kłamliwego i niebezpiecznego gatunku, który w imię tolerancji wybacza każdy rodzaj dziwnego zachowania, zwłaszcza samemu sobie. Witherwood? Jeśli jest szpiegiem, to trudno odgadnąć jego motywy.

IV

Następnego dnia po bankiecie, w południe, lord Maloof stawił się przed obliczem Aillasa z raportem o stanie królewskiego skarbcza. Był w posępnym nastroju, gdyż przynosił złe wieści.

– Z powodu najazdu na Południowe Ulflandy oraz w związku z budową floty nad rzeką Tumbling nasze rezerwy pieniężne osiągnęły stan krytyczny.

– Hm! Nie są to dobre wieści.

– Od dawna ostrzegałem, że może to nastąpić. – Maloof mówił z ponurą satysfakcją. – Teraz moje przepowiednie się sprawdziły.

– Może i tak jest... Co się dzieje z naszymi dochodami z Dascinetu? Czy już do nas dotarły?

– Jeszcze nie, sire. Nie dostaliśmy też pieniędzy ze Scoli. Mają nadejść w przyszłym tygodniu.

– Zatem przez tydzień musimy zacisnąć pasa. Mam nadzieję, że niedługo również Południowe Ulflandy zaczną przynosić dochody. Wysłałem tam inżynierów, żeby zbadali stare kopalnie, które, jak

mi mówiono, nigdy nie zostały wyeksploatowane, lecz opuszczono je po prostu z powodu bandytów i rabusiów. Także w rzekach może być alu-wialne złoto. Nigdy go z nich nie czerpano i może nam w efekcie przynieść duże zyski; wystarczająco duże, żeby pokryć wszystkie nasze wydatki. I co ty na to?

– Dotychczas ta rzeka złota istnieje tylko w teorii i będzie wymagała poważnych inwestycji, zanim zaczniemy z niej czerpać.

Aillas uśmiechnął się szeroko.

– Maloof, twój praktycyzm ostudziłby najgorętszy zapał! Jeśli nadejdzie najgorsze, będziemy musieli się odwołać do metody powszechnie znanej, starej i niezawodnej: do podatków! Wycisnąć z nich ostatni grosz! Tylko królom wolno korzystać z pieniędzy! Zwykłym ludziom są one niepotrzebne.

– Najjaśniejszy Panie, podejrzewam, że żartujesz.

– Wcale nie. Zamierzam nałożyć podatek portowy na Ys; dotychczas udawało im się go uniknąć. Musimy także ściągnąć te daniny z Doliny Evandra, które poprzednio płacono Carfilhiotowi. Tak więc mamy na widoku pewne przychody! A prędzej czy później wytrząsnie-my z baronów złoto, które zdobyli rabując się nawzajem.

Maloof skrzywił się na myśl o słabych punktach tego pomysłu, lecz nie zmienił swego przekonania, że Aillas dawał tylko upust swojemu dobremu humorowi.

– Ogromny program! – powiedział. Aillas roześmiał się.

– Ale w praktyce bardzo prosty. Ustanowię prawa, które, wiem o tym, oni złamią. W efekcie nałożę na nich wysokie grzywny, które będą musieli zapłacić albo zostaną wypędzeni na wrzosowiska. Chciałbym tylko móc zrobić to samo z królem Casmirem i jego nielegalnie zamówionym okrętem wojennym, lecz obawiam się, że nie zapłaciłby żadnej kary.

Maloof uniósł brwi ze zdumienia.

– Najjaśniejszy Panie, nie masz prawa nakładać grzywien na króla Casmira!

– Smutna to prawda. Dlatego też muszę użyć silniejszych środków. Maloof znów zrobił zakłopotaną minę.

– Jak to?

– Dokładnie za dwa tygodnie od dzisiejszej nocy banda piratów napadnie na stocznię w Sardilli i spali okręt Casmira. W przyszłości Casmir będzie musiał traktować swoje zobowiązania o wiele poważniej.

Maloof potrząsnął głową.

– Ryzykowna sprawa!

– Mniej ryzykowna, niż byłaby, gdybyśmy mieli pozwolić Casmi-rowi na zbudowanie floty wojennej.

Maloof nie miał nic więcej do powiedzenia i pożegnał się. Później w ciągu dnia Aillas rozmawiał z lordem Pirmence'em, z którym podzielił się tą samą wiadomością.

Jeszcze później, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, napomknął mimochodem w obecności lorda Witherwooda i lorda Siona-Tansifera, że napad na Sardillę miał nastąpić dokładnie za dziesięć dni.

Tymczasem sir Tristano zapewnił Foirry'ego i Langlarka, chociaż nie uważano ich za głównych podejrzanych, że do napadu dojdzie za dwadzieścia dni.

Wczesnym rankiem następnego dnia sir Tristano wyruszył pospiesznie do Sardilli w Caduzie, żeby się przekonać, który z tych trzech raportów został przekazany.

Powrócił do Miraldry potwornie zmęczony uciążliwą jazdą i przeprawą przez rzekę Lir. Aillas i Yane wysłuchali jego sprawozdania z wielkim zainteresowaniem. Dziesiątej nocy – relacjonował – nie przedsięwzięto żadnych specjalnych środków ostrożności. Jednak po upływie dwóch tygodni stu

silnie uzbrojonych żołnierzy urządziło zasadzkę i przez długą ponurą noc czekało na atak, który nie nastąpił.

Żeby mieć całkowitą pewność, Tristano zaczekał, aż minęła dwudziesta noc, tym razem bez żadnych wydarzeń, po czym wrócił do Miraldry.

– Teraz jasne są trzy sprawy – powiedział Aillas. – Po pierwsze, budowa okrętu z całą pewnością została zlecona przez Casmira. Po drugie, w mojej radzie ministrów zasiada zdrajca. I po trzecie, tym zdrajcą jest Maloof albo Pirmence.

– Każdy z nich pasuje do tej roli – zauważył Yane. – I co teraz?

– Na razie będziemy działać ukradkiem. Musimy zidentyfikować tego człowieka nie wzbudzając jego podejrzeń.

V

Gdy do Aillasa dotarły wieści o bogatych pokładach rudy bagiennej w Południowych Ulflandach niedaleko Oaldes, poprosił Maloofa, żeby zbadał, jakie sumy trzeba by zainwestować w budowę odlewni.

Kwoty przedstawione przez Maloofa wydawały się nadzwyczaj wysokie. Aillas przyglądał im się przez chwilę bez słowa, po czym odłożył dokument na bok.

– Najwyraźniej projekt ten wymaga dokładniejszego rozpatrzenia. Nie mogę w tym momencie zebrać myśli ubiegłej nocy nie spałem dobrze z powodu złych snów.

Maloof wyraził grzeczne zainteresowanie:

– Doprawdy, Najjaśniejszy Panie? Sny mogą być zwiastunem przyszłych wydarzeń! Często zawierają sygnały, któremy, na nasze nieszczęście, ignorujemy.

– Ubiegłej nocy moje sny były wyjątkowo wyraziste. Dotyczyły zbliżającej się wizyty króla Casmira. Gdy jego statek wpłynął do portu, zobaczyłem na pokładzie Casmira z odkrytą głową tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie. Odwrócił się, a jakiś głos szepnął mi do ucha: „Patrz uważnie! Jeśli przy jego kapeluszu są dwa pióra, niebieskie i zielone, to jest on twoim przyjacielem i wiernym sprzymierzeńcem. Jeśli jednak zobaczysz jedno żółte pióro, to jest on niebezpiecznym wrogiem, którego należy zniszczyć za wszelką cenę!” Głos ten powtórzył te słowa trzy razy! Ale gdy się odwróciłem, żeby popatrzeć na kapelusz, który Casmir właśnie zakładał, zostałem odwołany na bok i niczego nie zobaczyłem.

– Niezwykły sen!

Później Aillas opowiedział szczegółowo swój niezwykły sen Pirm-ence'owi:

– Głos mówił tonem wyroczni: „Uważaj na kapelusz, który Casmir założy na głowę! Jeśli będzie przy nim złoty medal w kształcie ptaka, to Casmir jest twoim przyjacielem i sojusznikiem! Jeśli medal będzie przedstawiał złotego lwa, oznacza to jego zdradę!” Tak mówił głos, a ja jestem w kłopotcie. Nie mogę rządzić królestwem kierując się snami, a jednak może tym razem lekceważyć prawdziwe znaki zapowiadające niebezpieczeństwo! Co o tym sądzisz?

Pirmence pogłaskał swoją srebrzystosiwą brodę.

– Jestem człowiekiem praktycznym, Wasza Królewska Mość, i jako taki uznaję wszystko, co ma jakąś wartość, bez względu na źródło. Jakiego rodzaju był to kapelusz?

– Prosty cylinder z czarnego aksamitu, bez runda i bez denka.

– Pozwól, Najjaśniejszy Panie, że poradzę ci, byś przyjrzał się dokładnie, czy kapelusz Casmira będzie podobny do kapelusza z twoich snów. Jeśli tak, zobacz, co przedstawia medalion.

Z tarasu północnej wieży w Miraldrze Aillas i towarzyszące mu osoby obserwowali zbliżającą się *Gwiazdę Regulus* z Lyonesse, ciężki okręt o tępym dziobie i wysokiej rufie. Pod wydętymi żaglami oraz z czerwonymi i żółtymi wstęgami spływającymi ze szczytów masztów przedstawiał on piękny widok.

Okręt wszedł do portu i załoga sprawnie zwinęła żagle. Z łodzi holowniczych rzucono liny, po czym *Gwiazdę Regulus* przyciągnięto do nabrzeża obok Miraldry i przywiązano do pachołków.

Król Aillas stał na nabrzeżu wraz z dwudziestoma dostojnikami i ich damami. Do pokładu, na którym dało się zauważyć poruszenie wśród wyśmienitych osobistości, przystawiono trap.

Lokaje w liberiach rozwinęli czerwony pluszowy kobierzec, który biegł od trapu do trzech foteli o wysokich oparciach, gdzie król Aillas oczekiwał przybyszów z księciem Dhrunem po swojej prawej stronie i księżniczką Glyneth po lewej*.

* Ustawienie zdecydowanie sprzeczne z rygorystycznymi nakazami etykiety z tego powodu, że tytuł księżniczki, który Aillas nadał Glyneth, był jedynie tytułem honorowym. Aillas, z trudnych do określenia przyczyn, sprzeciwił się w tym wypadku stanowisku naczelnego herolda i Glyneth zasiadła obok niego. Z pewnym skrepowaniem nosiła na głowie królewski diadem i choć była świadoma krążących plotek, wkrótce zaczęła się dobrze bawić.

Na pokład *Gwiazdy Regulusa* wysunął się dumny mężczyzna. Był to król Casmir. Zatrzymał się na górze trapu, czekając na damę o szlachetnych rysach i blond włosach ujętych w siatkę zdobioną białymi perłami, spod której wymykały się przy uszach niesforne kosmyki. Była to królowa Sollace. Nie rozglądając się na boki, zeszli na nabrzeże.

Aillas wyszedł im naprzeciw. Jego wzrok powędrował do kapelusza Casmira – czarnego aksamitnego walca bez denka i bez runda. Przód kapelusza zdobił srebrny medalion w kształcie ptaka, z boku przytwierdzone były dwa pióra – niebieskie i zielone.

Za królową Sollace szedł książę Cassander i księżniczka Madouc. Cassander, silny piętnastoletni młodzieniec w eleganckiej zielonej czapce na lokach w kolorze mosiądzu, był bez wątpienia nieodrodnym synem swego ojca i nabył już niektórych królewskich manier. Gdy przyglądał się towarzystwu, jego okrągłe niebieskie oczy rzucały drobne pogroźki, jak gdyby chciały ostrzec wszystkich przed najmniejszym nawet przejawem lekceważenia.

W przeciwieństwie do niego księżniczka Madouc, długonogi urwis o rdzawych kędziorach, najwyraźniej nie dbała ani o powagę, ani o aprobatę towarzystwa. Obrzuciła zebranych krótkim spojrzeniem i natychmiast o nich zapomniała; zeszła z pomostu w podskokach, jak małe kociątko. Ubrana była w długą sukienkę z pomarańczowordzawego aksamitu, związaną w pasie czarną szarfą; jej włosy w kolorze sukni opadały swobodnie w lokach wzdłuż twarzy. Umysł Madouc był równie żywy jak jej zachowanie; na małej twarzyczce z zadartym noskiem można było wyraźnie dostrzec każdą, najdrobniejszą nawet zmianę nastroju. Aillas, który dobrze znał przodków dziewczynki, obserwował ją z rozbawieniem. Plotki o jej przedwczesnej dojrzałości i samowoli z pewnością nie były przesadzone.

Król Casmir, podając ramię królowej Sollace u stóp pomostu, rzucił Madouc zimne, ostrzegawcze spojrzenie, a potem odwrócił się, żeby powitać króla Aillasa.

Z pomostu, przestrzegając porządku pierwszeństwa, schodzili teraz dostojnicy z Lyonesse wraz ze swoimi damami. Anonsował ich z odpowiednią werwą naczelnny herold Miraldry.

Ostatnie opuściły statek dwie osobiste służące królowej oraz katolicki ksiądz – ojciec Umphred, korpulentna osoba w habicie koloru śliwkowego.

Po oficjalnych powitaniach Casmir i Sollace zostali odprowadzeni do swoich komnat, gdzie mogli odpocząć i odświeżyć się po trudach podróży.

Wieczorem król Aillas zasiadł ze swoimi gośćmi do nieoficjalnej kolacji; oficjalny bankiet miał się odbyć następnego dnia. Zarówno Aillas jak i Casmir jedli i pili z umiarem, i gdy wstali od stołu, byli trzeźwi. Przeszli następnie do przyległego salonu, gdzie przed kominkiem sączyli ciężką złotą Olorose i omawiali interesujące ich sprawy. Żaden z nich nie uważał jednak za stosowne wspomnieć o okręcie budowanym na rozkaz Casmira w Caduzie.

Casmir nieco kpiarskim tonem mówił o umocnieniach w Kaul Bocach – wąwozie, przez który biegła droga łącząca Lyonesse z Południowymi Ulflandami.

– Nie potrzeba żadnych fortyfikacji; wystarczy dwudziestu zdeterminowanych mężczyzn, żeby obronić tę drogę przed całą armią. Ale mówiono mi, że teraz powstaje tam forteca za fortecą, wrą prace nad umocnieniami i dostęp do nich jest prawie niemożliwy, gdyż bronią go pułapki, mury i barbakany. Podobnie dzieje się w Tintzin Fyral, gdzie góra Tac Tor została zwieńczona fortem tak niedostępnym jak sam zamek Tintzin Fyral. Nie potrafię zrozumieć tych gorączkowych przygotowań, przecież zawarliśmy układy, w świetle których prace takie wydają się zbędne.

– Masz dobre informacje – przyznał Aillas. – Rzeczywiście rozbudowaliśmy ostatnio system fortyfikacji i z całą pewnością ich zadaniem jest ochrona przed najazdem ze strony Lyonesse. Ale czy działania te są nieracjonalne? Nie jesteś nieśmiertelny. Wyobraź sobie, proszę, że do władzy w Lyonesse dojdzie monarcha okrutny, zdradziecki i wojowniczy. Przypuśćmy, że władca ten, z przyczyn trudnych do zrozumienia, zdecyduje się zaatakować Ulflandy. Cóż wtedy? Jesteśmy przygotowani na jego przyjęcie i jeśli będzie przy zdrowych zmysłach, zrezygnuje ze swego zamiaru.

Casmir wykrzywił twarz w lodowatym uśmiechu.

– Przyznaję, że ten tok rozumowania ma podstawy teoretyczne, ale czyż w praktyce nie jest zbyt dalekosiężny?

– Mam taką nadzieję. Czy mogę dolać ci wina? Pochodzi z moich własnych dóbr.

– Dziękuję, rzeczywiście jest bardzo dobre. Wina z Troicinetu nie są tak dobrze znane w Haidionie, jak być powinny.

– Jest to oczywiście niedopatrzenie, które łatwo będzie naprawić; osobiście tego dopilnuję.

Casmir uniósł w zamyśleniu kielich, obrócił go w palcach i zapatrzył się w złote krople napoju.

– Trudno przywołać z pamięci dawne, ciężkie czasy, gdy między naszymi narodami panowała niechęć.

– Wszystko się zmienia.

– To prawda! Nasz układ, podpisany zresztą w atmosferze wzburzenia, stanowił, że Lyonesse nie będzie budować okrętów wojennych. Korzystaliśmy wówczas z założeń, które dziś straciły aktualność. Teraz jednak, gdy nasze stosunki nabrały przyjaznego charakteru...

– Właśnie! – przerwał mu Aillas. – Obecna równowaga dobrze nam służy! Jest to stan, który umacnia pokój na całych wyspach Elder! Zarówno ta równowaga, jak i ten pokój są dla nas bardzo ważne i tworzą podstawy naszej polityki zagranicznej.

– Doprawdy? – Król Casmir zmarszczył srogo brwi. – A jak zamierzasz wprowadzić w życie tak szeroko zakrojoną politykę?

– Zasada jest prosta. Nie możemy dopuścić do tego, żeby Lyonesse czy Dahaut zdobyły nad sobą przewagę, bowiem wówczas nasze własne bezpieczeństwo będzie zagrożone. Gdyby król Audry zaatakował Lyonesse i jakimś cudem zdobył przewagę, musielibyśmy przystąpić do wojny po stronie Lyonesse, dopóki nie powróciłby stan równowagi, i odwrotnie.

Casmir zaśmiał się krótko i wychyliwszy kielich, postawił go z głuchym odgłosem na stole.

– Chciałbym, żeby moje własne cele dały się tak łatwo zdefiniować. Niestety! Są uzależnione od tak trywialnych spraw, jak sprawiedliwość, naprawienie zadawnionych krzywd, koło historii.

Aillas dolał Casmirowi wina.

– Nie zazdrozczę ci tego labiryntu niepewności. Jednak nie powinieneś mieć wątpliwości, jeśli idzie o Troicinet. Gdyby Lyonesse albo Dahaut urosły w siłę i zaczęły sobie zagrażać, musielibyśmy stanąć w obronie słabszego. W rezultacie jesteś chroniony przez silną flotę bez ponoszenia jakichkolwiek kosztów.

Król Casmir podniósł się z krzesła.

– Jestem zmęczony po podróży, więc chciałbym się już pożegnać -rzucił lakonicznie.

– Mam nadzieję, że będziesz spał dobrze – powiedział wstając Aillas.

Przeszli do bawialni, w której przebywała królowa Sollace z damami obu dworów. Król Casmir stanął tylko w drzwiach i uklonił się sztywno. Królowa podniosła się, pożegnała towarzystwo i oboje udali się do swoich sypialni w eskorcie lokajów z pochodniami.

Aillas wrócił wielką galerią do salonu. Z cienia wyszła tęga postać w śliwkowoczerwonej sutannie.

– Królu Aillasie! Jedną chwileczkę, jeśli można!

Aillas zatrzymał się i przyjrzał badawczo rumianej twarzy ojca Umphreda, gdyż tak ów osobnik się teraz nazywał.

– Czego chcesz? – Aillas nie udawał serdeczności. Umphred zachichotał.

– Przede wszystkim pomyślałem, że moglibyśmy odnowić naszą starą znajomość.

Aillas cofnął się o krok. Najwyraźniej tym nie zrażony, Umphred mówił dalej:

– Jak ci być może wiadomo, z powodzeniem głoszę Słowo Boże w mieście Lyonesse. Król Casmir już się prawie zgodził na sfinansowanie budowy wspaniałej katedry, żeby sławić imię Pana w granicach tego szczęśliwego miasta. Jeśli tak się stanie, otrzymam prawo noszenia infuły.

– Nic mnie to nie obchodzi. A tak po prawdzie, dziwi mnie, że śmiesz pokazywać swoją gębę w mojej obecności.

Jowialnym uśmiechem i machnięciem ręki ojciec Umphred próbował zatrzeć wszelkie ślady urazy, jaka niegdyś mogła między nimi istnieć.

– Przynoszę do Troicinetu radosną nowinę Ewangelii! Ciągle jeszcze w Troiciniecie, Dasciniecie i Południowych Ulflandach panuje pogański przepych. Nocami modlę się, żebym mógł głosić królowi Aillasowi i jego narodowi chwałę prawdziwej wiary!

– Nie mam na to ani czasu, ani ochoty – odparł Aillas. – Czy mój lud wierzy, czy nie wierzy, to tylko jego sprawa. – Już miał się odwrócić, gdy ojciec Umphred położył białą, miękką dłoń na jego ramieniu.

– Zaczekaj!

– Cóż znowu?

Umphred uśmiechnął się szeroko i czule.

– Modlę się o zbawienie twej duszy, a także o to, żebyś, podobnie jak król Casmir, poparł ideę budowy katedry w Domreis, aby lepiej szerzyć Słowo Boże! I, jeśli zechcesz, będę się modlił o to, by swoim przepychem przyćmiła tę w mieście Lyonesse, bym mógł mieć nadzieję na arcybiskupstwo.

– Nie będę opłacał budowy żadnego chrześcijańskiego kościoła ani w Domreis, ani w żadnym innym miejscu.

Umphred zacisnął w zamyśleniu usta.

– Tak mówisz teraz, lecz może będziesz zmuszony zmienić zdanie.

– Myślę, że nie.

Aillas ponownie się odwrócił i znów ojciec Umphred go zatrzymał.

– Ogromna to przyjemność widzieć cię znowu, chociaż ze smutkiem wracam pamięcią do tych nieszczęśliwych okoliczności, w jakich się poznaliśmy. Do dziś królowi Casmirowi nic nie wiadomo o twojej ówczesnej tożsamości. Jestem pewien, że nie chcesz, aby się czegokolwiek dowiedział, w przeciwnym bowiem razie sam byś go o tym poinformował. Czy mam rację? – Cofnąwszy się, ojciec Umphred obserwował Aillasa z życzliwym zainteresowaniem.

Aillas myślał przez chwilę, po czym rzekł obojętnym tonem:

– Chodź ze mną, proszę.

Po przejściu kilku kroków galerią Aillas zatrzymał się przy lokaju w liberii.

– Poproś sir Hassifę Moora, żeby dołączył do mnie w małym salonie. – Skinął na Umphreda. – Chodźmy.

Kapłan ruszył za nim, choć po jego uśmiechu można było poznać, że stracił nieco pewności siebie. Aillas wprowadził go do saloniku, zamknął drzwi, a potem stanął przy kominku, wpatrując się bez słowa w płomienie.

Ojciec Umphred próbował zażartować:

– Oj tak! Warunki, w jakich żyjesz teraz, są nieporównywalne z tymi z przeszłości! Biedna, mała Suldrun; cóż za smutny koniec! Ten świat jest padłem łez, na który zsyła nas dobry Bóg, żebyśmy przeszli próbę i zostali oczyszczeni przed nadejściem okresu niezmałconego szczęścia!

Aillas nie odzywał się. Zachęcony tym milczeniem, które w jego przekonaniu oznaczało głębokie zainteresowanie, Umphred kontynuował:

– Moją największą nadzieją jest doprowadzenie króla Aillasa i jego zacnego ludu do zbawienia, zaś okazała katedra sprawiłaby, że sami aniołowie zaczęliby śpiewać! A fakty dotyczące twojej przeszłości, skoro tak wolisz, będą tak bezpieczne, jak tajemnica spowiedzi.

Aillas rzucił mu krótkie, baczne spojrzenie i ponownie utkwiał wzrok w płomieniach.

Drzwi otworzyły się. Do salonu wszedł cicho Yane w przebraniu sir Hassify Moora. Aillas wyprostował się i odwrócił.

– A, sir Hassifa! Pozwól, że zapytam najpierw: czy jesteś chrześcijaninem?

– Bynajmniej, Wasza Królewska Mość.

– Dobrze. A teraz zwróć uwagę na tego tu osobnika: co widzisz?

– Księdza, grubego, białego i gładkiego jak bóbr, bez wątpienia obłudnego w mowie. Przybył dziś z Lyonesse.

– Zgadza się. Chcę, żebyś mu się dokładnie przyjrzał i nigdy nie pomylił go z kimś innym.

– Najjaśniejszy Panie, mógłby nasunąć głęboko na twarz kaptur, nazwać siebie Belzebubem i ukryć się w najgłębszych rzymskich katakumbach, a i tak bym wiedział, że to on.

– Stwierdzasz pewnie, że to zabawne, ale ten człowiek utrzymuje, że zna mnie od dawna.

Sir Hassifa odwrócił się i spojrzał na Umphreda ze zdziwieniem.

– Jaki mógłby mieć w tym cel?

– Chce, abym wybudował mu w Domreis wspaniały kościół. Grozi, że jeśli odmówię, zdradzi królowi Casmirowi, kim naprawdę jestem. Sir Hassifa ponownie zmierzył mnicha spojrzeniem.

– Czy on jest niespełna rozumu? Król Casmir wie już, kim jesteś... Jesteś Aillas z Troicinetu.

Umphredowi przestał podobać się ton, jakim była prowadzona rozmowa. Oblizwał wargi.

– Tak, tak, oczywiście. Po prostu pozwoliłem sobie na żart, jak to bywa między starymi przyjaciółmi!

– Upiera się przy swoim stwierdzeniu! Zaczyna mnie to irytować. Gdyby nie był tu gościem,

mógłbym wtrącić go do lochu. Zresztą i tak mogę to zrobić.

– Nie łam z jego powodu zasad gościnności, Wasza Królewska Mość – poradził sir Hassifa. – Zaczekaj, aż wróci do Lyonesse. Mogę kazać, by podejrznięto mu gardło ostrym albo tępym nożem o dowolnej porze dnia czy nocy.

– Może byłoby lepiej zaciągnąć go teraz przed oblicze Casmira i wysłuchać, co ma do powiedzenia. Potem, jeśli opowie jakąś złośliwą historię...

– Zaczekaj! – zawołał zdesperowany Umphred. – Teraz rozumiem mój błąd! Myliłem się całkowicie! Nigdy wcześniej w moim życiu cię nie widziałem!

– Obawiam się, że mimo wszystko mógłby mu się nieopatrznie wyrwać jakiś stek bzdur ze szkodą dla twojej godności, Najjaśniejszy Panie. – Sir Hassifa wyjął błyszczący sztylet. – Pozwól, że przynajmniej utnę mu język. Wypalimy ranę rozżarzonym pogrzebaczem.

– Nie, nie! – wrzasnął Umphred, pocąc się obficie. – Nic nikomu nie powiem. Nie zdradzę żadnej tajemnicy. Choć znam tysiące sekretów, będę milczał aż po grób!

– Ponieważ jest gościem, nie będę dalej ciągnął tej sprawy – powiedział Aillas do Yane'a. – Lecz jeśli kiedykolwiek do moich uszu dotrze plotka lub jakakolwiek wzmianka o jego fantazjach...

– Nie ma potrzeby mnie straszyć. Popełniłem karygodny błąd, który już nigdy więcej się nie powtórzy.

– To dobra wiadomość, zwłaszcza dla ciebie. Pamiętaj, że osoba, za którą mnie wzięłeś, ma dobry powód, by okrutnie zemścić się na tobie!

– O wszystkim zapomniałem. Błagam, pozwól, że się teraz oddalę. Jestem zmęczony, a mam jeszcze do odmówienia moje modlitwy.

– Odejdź.

Z głównej galerii do wielkiego hallu w Miraldrze przechodziło się przez portal. Po obu jego stronach stały marmurowe posągi przywiezione pięć wieków temu znad Morza Śródziemnego, które przedstawiały nagich żołnierzy ze starożytnej Hellady z hełmami na głowach. Ich krótkie miecze uniesione były do ataku.

Po śniadaniu, które zjedli w swoich komnatach, król Casmir i królowa Sollace przechadzali się po galerii. Zatrzymywali się raz po raz, żeby się przyjrzeć dokładnie dziełom, będącym świadectwem sztuki i potęgi, które przez lata gromadzili królowie Troicinetu.

Przy jednym z marmurowych posągów stał strażnik w barwach Miraldry, uzbrojony w ceremonialną halabardę. Gdy goście przystanęli, chcąc się przyjrzeć postaciom wojowników, dał znak Casmirowi, który odwróciwszy głowę, rozpoznał w nim osobnika znanego mu jako Val-dez.

Casmir rozejrzał się po galerii, a potem, zostawiwszy żonę samą, podszedł do niego.

– A więc to jest twój punkt obserwacyjny – szepnął. – Często się nad tym zastanawiam.

– Nie zobaczyłbyś mnie tu dzisiaj, gdybym nie chciał z tobą rozmawiać. Nie będę już przyjeżdżał do miasta Lyonesse; moje wyprawy przyciągają uwagę rybaków.

– Tak? – Głos Casmira zabrzmiał bezbarwnie. – Co teraz zamierzasz robić?

– Wieść ciche życie na wsi.

Udając zainteresowanie posągiem, Casmir zastanawiał się przez chwilę.

– Musisz przybyć do Lyonesse jeszcze jeden, ostatni raz, żebym mógł cię odpowiednio wynagrodzić za twoje usługi. Może uda nam się opracować jakiś nowy system, dzięki któremu mógłbyś działać, nie narażając się na niebezpieczeństwo.

– Myślę, że już nie przybędę – odparł sucho Valdez. – Jeśli jednak ktoś wymieni w Haidionie moje imię, zwróć na niego uwagę, gdyż przyniesie wiadomości... Ktoś nadchodzi.

Król Casmir odwrócił się i wraz z królową Sollace wznowili przerwany spacer po galerii.

– Dlaczego masz taką niezadowoloną minę? – zapytała po chwili Sollace.

Casmir zmusił się do uśmiechu.

– Może zazdroścę królowi Aillasowi jego wspaniałych posągów? Musimy dopilnować, żeby coś podobnego pojawiło się w Haidionie.

– Wolałabym raczej autentyczne relikwie dla mojego kościoła. Zatopiony w myślach Casmir przytaknął w roztargnieniu:

– Tak, tak, moja droga. Stanie się tak, jak sobie życzysz.

Sprawy nie poszły po myśli króla Casmira. Gdy zwalniał ze służby któregoś ze swoich szpiegów, wolał kończyć taką znajomość definitywnie, tak aby ów człek nigdy już nie mógł sprzedać swoich usług komu innemu i wykorzystać tego, czego się dowiedział, przeciwko niemu... Powoli zaczęły do niego docierać słowa królowej Sollace:

– ...o czym zapewnia mnie ojciec Umphred, trzeba dokonać zakupu, zanim wzrośnie zapotrzebowanie. Wie o trzech autentycznych kawałkach drewna ze Świętego Krzyża, które moglibyśmy już teraz nabyć za sto koron każdy. O samym Świętym Graalu wiadomo, że znajduje się gdzieś na wyspach Elder, a ojciec Umphred ma możliwość zakupienia dokładnych map...

– O czym ty mówisz, kobieto?

– O relikwiach do katedry, oczywiście.

– Jak możesz mówić o relikwiach, kiedy sama katedra jest niczym innym jak tylko fatamorganą?

– Ojciec Umphred twierdzi, że nadejdzie taka chwila, gdy Pan Bóg i ciebie obdarzy swoją łaską

– odparła z godnością Sollace.

– Cóż. Jeśli Najwyższy tak bardzo chce tej katedry, to pozwólmy mu samemu ją zbudować.

– Będę się o to modliła.

Pół godziny później król Casmir i królowa Sollace ponownie przeszli obok posągów, lecz tym razem nie było w ich pobliżu Valdeza.

Rozdział 4

I

Gwiazda Regulus odcumowała od nadbrzeża i choć z początku z trudem obracano reje, żeby utrzymać kurs, z każdym jardem nabierała prędkości i wkrótce opuściła Miraldrę. Król Casmir wszedł na rufę i stanął przy relingu. Uniósł rękę wysoko w górę w pozdrowieniu skierowanym do dostojników na brzegu, a jego dobrotliwy i pogodny uśmiech wyrażał zadowolenie z odbytej wizyty.

Wychodząc z portu okręt to wznosił się, to opadał na wysokich zachodnich falach. Casmir zszedł pod pokład do głównego saloniku. Usiadł w dużym fotelu i wyglądając przez okna na rufie, zamyślił się nad wydarzeniami kilku ostatnich dni.

Najwyraźniej, a spostrzegli to wszyscy, wizyta przebiegała dokładnie tak, jak nakazywała dworska etykieta. Jednak, pomimo wymiany urzędowych uprzejmości, nad obu władcami zawisła ciemna i ciężka chmura antypatii.

Ta wzajemna niechęć zastanawiała króla Casmira; jakie było jej źródło? Casmir miał dobrą pamięć do twarzy i był niemal pewien, że poznał Aillasa już wcześniej, w mniej przyjaznych okolicznościach. Wiele lat temu Granice, ówczesny król Troicinetu, odwiedził Haidion w mieście Lyonesse. Towarzyszył mu między innymi Aillas, wówczas nie rzucające się w oczy małe książętko, nie liczące się wśród kandydata do królewskiej sukcesji. Casmir prawie go nie zauważył. Czy to dziecko mogło pozostawić po sobie tak głębokie wrażenie? Mało prawdopodobne; Casmir, człowiek praktyczny, nie trwoniałby uczuć na trywialne sprawy, a ta zaczęła mu ciążyć, zwłaszcza od kiedy poczuł, że gdzieś czekają na odkrycie jakieś złowieszcze fakty. Twarz Aillasa to wkradała się, to wymykała z jego pamięci, lecz zawsze miała wyraz zimnej nienawiści. Tło pozostawało niewyraźne. Sen? Urok jakiś? A może zwykła niezgodność charakterów między władcami konkurujących ze sobą państw?

Problem ten drażnił nerwy Casmira i choć wreszcie udało mu się odsunąć go w kąt swego umysłu, i tak nie osiągnął spokoju ducha. Zewsząd pojawiały się przeszkody, które nie pozwalały mu zrealizować swoich ambicji. Przecież w końcu – wmawiał sobie Casmir – bariery te muszą upaść, choćby tylko pod naporem brutalnej siły mojej woli. Tymczasem jednak wystawiały na próbę jego cierpliwość i zakłócały mu spokój.

Siedząc i bębniąc palcami po poręczach fotela, Casmir zamyślił się nad kolejami swego losu. Niespodziewanie przypomniał sobie zagadkowe zajście sprzed pięciu lat. Chodziło o przepowiednię Persiliana, magicznego lustra, wygłoszoną przez niego z własnej inicjatywy, co już samo w sobie było niezwykle. Persilian bez jakiegokolwiek namowy wyrecytował zgrzytliwym i monotonnym głosem fragment nieudolnego rymu. Casmir pamiętał tylko ogólny sens słów, które brzmiały mniej więcej tak:

– Casmirze! Casmirze! Jasnowłosa Suldrun niespełna rozumu jest córką twą! Syn jej pierworodny przed śmiercią swą zasiądzie za stołem Cairbra an Meadhan, a ty nie zasiądziesz przed nim ani za tym stołem, ani na tronie Evandig!*

* Zob. Glosariusz III.

– Ale czy zasiąde tam po nim? – Zapytał ostro Casmir.

Persilian nie powiedział nic więcej. Lustro z wyraźną złośliwością odbiło tylko wykrzywioną, czerwoną ze złości twarz Casmira.

Zastanawiał się nad tą przepowiednią, zwłaszcza gdy przed śmiercią Suldrun wydała na świat swoje jedyne dziecko – samowolną i krnąbrną księżniczkę Madouc.

Gwiazda Regulus przybyła do miasta Lyonesse. Po zejściu z jej pokładu król Casmir wraz z całą królewską rodziną wsiadł do białego powozu na podwójnych resorach, ciągniętego przez cztery jednorożce z połączanymi rogami. Ojciec Umphred też próbował wskoczyć szybko do środka, lecz powstrzymało go spojrzenia króla Casmira. Z niewinnym uśmiechem na twarzy zeskokczył na ziemię.

Powóz potoczył się wzdłuż Sfer Arct do bram Haidionu, gdzie czekała już służba pałacowa, ustawiona w szeregu do oficjalnego powitania. Casmir skinął im niedbale głową i wszedłszy do pałacu, udał się prosto do swoich pokojów, gdzie natychmiast zagłębił się w sprawy królestwa.

Dwa dni później do Casmira podszedł Doutain, jego naczelny sokolnik, i przekazał mu małą kapsułkę.

– Najjaśniejszy Panie, do zachodniego gołębnika powrócił z wiadomością gołąb.

Wykazując nagłe zainteresowanie, Casmir odpowiedział:

– Każ dobrze wynagrodzić to małe stworzenie pszenicą i prosem!

– Już to zrobiono, Wasza Królewska Mość!

– Dobra robota, Doutain – wymamrotał Casmir, lecz jego uwaga skupiona już była na wiadomości. Rozwinął rulonik papieru i przeczytał:

Wasza Królewska Mość!

Ku memu zmartwieniu, wysłano mnie do Południowych Ulflandów z najbardziej ponurą i nieprzyjemną misją. Nie mogę dłużej utrzymywać kontaktu, w każdym razie nie w najbliższej przyszłości.

List był podpisany umownym znakiem

– Hmm! – mruknął Casmir i wrzucił papier do ognia.

Jeszcze tego samego dnia Doutain pojawił się ponownie.

– Gołąb przyleciał do wschodniego gołębnika, Najjaśniejszy Panie.

– Dziękuję, Doutain.

Wiadomość, podpisana innym symbolem, brzmiała:

Wasza Królewska Mość!

Z niezrozumiałych przyczyn zostałem wysłany do Południowych Ulflandów, gdzie moje obowiązki są sprzeczne tak z moim charakterem, jak i zainteresowaniami. Dlatego też z konieczności jest to chwilowo mój ostatni raport.

– Phi! – prychnął Casmir i wrzucił zwitek w płomień. Opadł na krzesło i chwycił się za brodę. Dwie wiadomości w tym samym czasie. Przypadek? Mało prawdopodobne, choć nie tak całkiem niemożliwe. Czy mógł ich zdradzić Valdez? Ale on nie znał ich imion.

A jednak zastanawiający był fakt, że Valdez wycofał się właśnie teraz, w tych szczególnych okolicznościach. Gdyby tylko można było go nakłonić do przyjazdu do miasta Lyonesse, Może udałoby się dojść prawdy.

Casmir chrząknął. Z Valdeza był szczwany lis, nie zaryzykowałby takiej wizyty, chociaż gdyby to zrobił, już sam ten fakt świadczyły o jego wierności.

Odkąd królowa Sollace nawróciła się na wiarę chrześcijańską, minęło niemało lat, dlatego też ojciec Umphred bardzo dbał o to, żeby jej zapal w praktykach religijnych nie ostygł. Ostatnio opętała ją myśl o świętości; dwadzieścia razy szeptała do siebie: „Święta Sollace z Lyonesse”! oraz: „Jak to pięknie brzmi: katedra pod wezwaniem świętej Sollace!”

Umphred, którego ambicje sięgały infuły biskupiej, a nawet wyżej, gdyż nie pogardziłby urzędem arcybiskupa w diecezji Lyonesse, podsycił w Sollace jej nadzieje na beatyfikację.

– Doprawdy, droga królowo, najdroższą sercu Naszego Pana, oprócz siedmiu cnót, jest budowa wspaniałego domu modlitwy w miejscu, w którym nigdy przedtem takowy nie stał, a Jego radość uświęca tych, którzy się do tego przyczynili! Ach, cóż za chwała jaśnieje w przyszłości! Jaki radosny śpiew rozlega się w niebiosach na myśl o katedrze, która wkrótce stanie się ozdobą miasta Lyonesse!

– Oddam temu przedsięwzięciu każdą chwilę mojego życia! – zapewniała Sollace. – Czy naprawdę można by nazwać tę katedrę moim imieniem?

– Taką decyzję podejmuje władza wyższa, ale moje wpływy są w tym względzie nie bez znaczenia. Gdy w całym królestwie rozdzwonią się głośno dzwony i wysoko w górę wzniesie się *Ojcze Nasz*, i gdy sam król Casmir klęknie przed ołtarzem, aby uzyskać moje błogosławieństwo, kto odmówi twemu imieniu przydomka „Najświętsza”?

– „Najświętsza Sollace”! Tak! To brzmi wspaniale! Jeszcze dziś ponowie przedstawię królowi naszą sprawę!

– Cóż to będzie za zwycięstwo, gdy Casmir wysłucha Ewangelii i przyjmie do swego serca Jezusa! Całe królestwo będzie potem musiało pójść za jego przykładem!

Sollace zacisnęła usta

– Zobaczymy, ale najpierw spróbujmy osiągnąć jedno zwycięstwo. Jeśli rzeczywiście zostanie świętą, ucieszy się cały świat i wyrze to wrażenie na Jego Królewskiej Mości!

– Właśnie tak! Krok po kroku!

Wieczorem do komnaty, w której przebywał Casmir, grzejąc się przy kominku, weszła Sollace. Za nią przemknął się ojciec Umphred, lecz zaraz usunął się w cień.

Przepelniona nadzieją, królowa Sollace przeszła przez pokój i wymieniwszy grzeczności z królem, poruszyła temat godnej podziwu katedry z wysokimi wieżami i dzwonami głoszącymi na cały kraj nowinę o zbawieniu. W swym zapale nie zauważyła, że okrągłe niebieskie oczy Casmira zwęziły się, a usta zacisnęły. Opisywała wspaniałość budowli, która zadziwiłaby cały chrześcijański świat, tak majestatycznej i bogatej, że miasto Lyonesse z całą pewnością stałoby się celem pielgrzymek.

Król Casmir, który nie usłyszał nic, co by go zadowoliło, odezwał się wreszcie:

– Cóż to za szalona mowa? Czy ten gruby ksiądz znów naopowiadał ci jakichś bzdur? Zawsze wiem, kiedy się z nim widziałas. Po każdym takim spotkaniu na twojej twarzy pojawia się coś, co mi go przypomina; patrzysz wtedy wzrokiem zarzynanej owcy!

– Mój panie! – krzyknęła urażona Sollace. – Zupełnie błędnie interpretujesz stan świętego uniesienia, biorąc go za wyraz twarzy, który w tak niemiły sposób opisałeś!

– Mniejsza o to. Ten klecha zręcznie czai się i obserwuje; gdziekolwiek spojrzę, widzę, jak krąży. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że należy go odesłać.

– Sire, zastanów się nad tym! Katedra będzie nosiła moje imię!

– Kobieto, miejże litość! Czy możesz sobie wyobrazić koszty takiego przedsięwzięcia?

Wystarczy ich do zrujnowania królestwa, gdy tymczasem ten twój ksiądz będzie biegał tu i tam, uśmiechając się z satysfakcją, że udało mu się omamić króla i królową Lyonesse!

– Ależ nie, mój panie! Ojciec Umphred jest znany i ceniony w samym Rzymie. Jego jedynym celem jest szerzenie wiary chrześcijańskiej!

Casmir odwrócił się i kopniakiem rozniecił większy ogień.

– Słyszałem o takich katedrach; ich skarbcze pełne są drogocennych kamieni i złota wyciśniętego z ludu, który nie ma już z czego płacić podatków swojemu królowi.

– Nasza ziemia jest bogata! – odpowiedziała królowa Sollace. – Udźwignęłaby ciężar budowy tak wspaniałej katedry.

Casmir zaśmiał się cicho.

– Powiedz temu mnichowi, żeby przywiózł mi złoto z Rzymu, a wtedy jego część wydam na okazały kościół.

– Dobranoc, mój panie – odrzekła z godnością Sollace. – Wracam do swoich komnat.

Król Casmir uklonił się i odwrócił do ognia. Nie zauważył, że z pokoju wyszedł również Umphred.

Pierwszym pilnym zadaniem, jakie król Casmir musiał wykonać, była naprawa siatki szpiegowskiej. Któregoś popołudnia udał się do jednej z sal w starym skrzydle Haidionu, położonej nad zbrojownią w przysadzistej Wieży Sów. Komnata z kilkoma zaledwie meblami, była świadkiem surowych sądów i na oczekaniu wymierzanej sprawiedliwości.

Zasiadłszy za nie nakrytym stołem, król wziął do ręki dzbanek z białego bukowego drewna, nalał sobie wina i rozsiadł się z wyrazem kamiennego spokoju na twarzy.

Mijały minuty, lecz Casmir nie wykazywał zniecierpliwienia. Na korytarzu rozległo się szuranie nogami i pomruk głosów, po czym w drzwiach stanął Oldebor, urzędnik dworski bez jakiegoś określonego tytułu*.

* Oldebor lubił nazywać siebie „namiestnikiem do zadań specjalnych”.

– Wasza Królewska Mość, czy życzysz sobie widzieć więźnia?

– Wprowadźcie go.

Oldebor wszedł do komnaty i skinął ręką. Dwaj strażnicy więzienni w czarnych skórzanych fartuchach i stożkowatych skórzanych czapkach szarpnęli za łańcuch i wciągnęli do sali potykającego się więźnia -wysokiego, szczupłego mężczyznę w młodym wieku, ubranego w brudną koszulę i obszarpane pantalone. Pomimo wymiętego stroju jeniec wykazywał najwyraźniej dobre samopoczucie, a jego postawa, zważywszy na okoliczności, wydawała się nazbyt swobodna, wręcz pogardliwa. Był szeroki w ramionach i wąski w biodrach, miał długie, silne nogi i ręce arystokraty. Jego włosy, zmierzwiłone i brudne, wyglądały jak gęsta, czarna strzecha; oczy pod niskim czołem miały czystą, orzechową barwę. Szerokie kości policzkowe zbiegały się z wąską szczęką; nad kościstą brodą niczym haczyk zaginał się nos o wysokim grzbiecie. Ciemna oliwkowa cera o ziemistym odcieniu miała dziwne, śliwkowe przebarwienia, jak gdyby zbyt blisko jej powierzchni płynęła gęsta, ciemna krew.

Jeden ze strażników, poirytowany opanowaniem więźnia, ponownie pociągnął za łańcuch.

– Okaż należny szacunek! Stoisz przed królem! Mężczyzna skinął głową w stronę Casmira.

– Dzień dobry, sire!

– Dzień dobry, Torqual – odpowiedział bezbarwnym głosem król Casmir. – Jak znajdujesz miejsce swego uwięzienia?

– Jest znośne, sire, ale nie dla osób wymagających.

Do pokoju weszła cicho jeszcze jedna osoba – mężczyzna mający już za sobą pierwszą młodość, krępy, żwawy jak wróbel, o drobnych rysach, prostych brązowych włosach i mądrych brązowych oczach. Ukłonił się.

– Witaj, Najjaśniejszy Panie.

– Witaj, Shalles. Czy znasz Torquala? Shalles przyjrzał się badawczo więźniowi.

– Dotychczas nie miałem do czynienia z tym dżentelmenem, sire.

– Co nie jest bez korzyści dla nas wszystkich – odparł król Casmir. -Nie będziesz zatem miał żadnych uprzedzeń względem niego. Straże, zdejmijcie Torqualowi łańcuchy, żeby mógł wygodnie usiąść. Potem możecie poczekać na korytarzu. Oldebor, ty też możesz poczekać na zewnątrz.

– Wasza Królewska Mość, to zdesperowany człowiek, bez nadziei i bez skrupułów – Oldebor zaprotestował.

Na twarzy Casmira pojawił się nikły, chłodny uśmiech.

– Dlatego tu jestem. Zaczekaj na korytarzu. Równie dobrze może mnie ochraniać Shalles.

Shalles rzucił więźniowi niepewne spojrzenie, gdy tymczasem strażnicy, usunąwszy łańcuchy, wraz z Oldeborem wycofali się na korytarz.

Król Casmir wskazał na ławy.

– Siadajcie, panowie. Czy mogę wam zaproponować wino? Zarówno Torqual jak i Shalles przyjęli puchary i usiedli. Casmir

spoglądał to na jednego, to na drugiego, aż wreszcie przemówił:

– Jesteście zupełnie różni od siebie; to jest dla mnie jasne. Shalles jest czwartym synem czcigodnego rycerza sir Pellenta-Overtree, którego majątek obejmuje trzy gospodarstwa o ogólnej powierzchni sześćdziesięciu trzech akrów. Wraz z dobrymi manierami Shalles nabrał zamiłowania do dobrego jadła i wina, lecz dotychczas nie miał pieniędzy na zaspokajanie swoich upodobań. O tobie, Torqual, wiem niewiele, ale dowiem się więcej. Może powiesz nam coś o sobie?

– Z przyjemnością. Należę do klasy, która składa się z jednego tylko osobnika, i jestem nim ja. Moim ojcem jest książę Skaghane. Mój rodowód jest dłuższy niż historia wysp Elder. Podobnie jak sir Shalles, upodobałem sobie przyjemność. Lubuję się w tym, co najlepsze. Choć jestem Skalradem, nic mnie nie obchodzi los tego ludu*. * Zob. Glosariusz II

Współżyłem do woli i często z kobietami nie z mojej rasy i spłodziłem dziesiątki mieszaińców. Dlatego nazwano mnie renegatem. Określenie to jest niewłaściwe i niezasłużone; nie mogłem zdradzić sprawy, której nigdy nie popierałem. W rzeczywistości na względzie mam tylko jeden cel, a mianowicie moje własne dobro. Dumny jestem z tej niezachwianej lojalności. Wcześniej opuściłem Skaghane, jednak już wtedy wykazywałem się siłą, wigorem i inteligencją typowego Skalrada, cechami, które należały mi się z racji urodzenia, a także po mistrzowsku posługiwałem się bronią i muszę nieskromnie przyznać, że niewielu jest takich, którzy przewyższają mnie tego rodzaju umiejętnościami, zwłaszcza jeśli chodzi o sztukę władania mieczem. Żeby utrzymać styl życia godny człowieka mojego stanu przy braku sympatii do wspinania się po szczeblach drabiny społecznej, zostałem bandytą. W najlepsze grabiłem i mordowałem, Ponieważ jednak w Ulflandach nie ma zbyt wielu bogactw, przybyłem do Lyonesse. Moje plany były proste i niewinne: miałem zamiar uzbierać tyle złota i srebra, żeby wypełnić nimi wóz, a potem zostać baronem złodziei w Teach tac Teach i wieść względnie spokojne życie. Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu zostałem złapany w pułapkę przez waszych łowców złodziei. Teraz czeka mnie rozciąganie końmi i ćwiartowanie, dlatego też z przyjemnością rozważę każde inne rozwiązanie, jakie Wasza Królewska Mość uzna za stosowne mi zaproponować.

– Hm! Twoją egzekucję zaplanowano na jutro? – zapytał król Casmir.

– Tak mi wiadomo, sire.

Casmir skinął głową i zwrócił się do Shallesa.

– Co sądzisz o tym osobniku? Shalles przyjrzał się Torqualowi z ukosa.

– Z całą pewnością jest on łajdakiem najgorszego gatunku, Wasza Królewska Mość, żarłocznym jak rekin. W tym momencie nie ma nic do stracenia, więc może sobie pozwolić na nonszalancję.

– Czy dałbyś wiarę jego słowu? Shalles z powątpieniem pokręcił głową.

– Zależałoby to od tego, sire, czy jego poczucie własnej godności idzie w parze ze słownością. Jestem przekonany, że słowo „honor” pojmuje on zupełnie inaczej niż ty, Najjaśniejszy, czy ja. Ufałbym mu bardziej, gdyby po wykonaniu ściśle określonego zadania miał zostać odpowiednio wynagrodzony. Mógłby ci jednak dobrze służyć nawet dla kaprysu. Jest najwyraźniej inteligentny, energiczny, bezpośredni i pomimo stanu, w jakim się teraz znajduje, rzekłbym: zaradny.

– Słyszałeś, co powiedział Shalles – zwrócił się Casmir do Torquala. – Czy się z nim zgadzasz?

– Na podstawie tego, co usłyszałem, wnoszę, że jest on osobą spostrzegawczą, Wasza Królewska Mość. Nie będę się z nim spierał.

Król Casmir skinął głową i nalał wina do trzech kielichów.

– Sytuacja przedstawia się następująco: król Aillas z Troicinetu rozszerzył swoje panowanie na Południowe Ulflandy, stając na drodze moim własnym ambicjom. Dlatego chcę, żeby sprawowanie rządów w tym kraju przysparzało mieszkańcom Troicinetu niemało kłopotów. Zamierzam wam powierzyć wykonanie tego zadania. Będziecie działać osobno lub, gdy będzie wymagała tego sytuacja, razem. Co ty na to, Shalles?

Shalles zamyślił się.

– Wasza Królewska Mość, czy mogę być szczerzy?

– Oczywiście.

– Zadanie to jest niebezpieczne. Jestem jednak gotów służyć tobie, Najjaśniejszy Panie, przynajmniej przez pewien czas, jeżeli wynagrodzenie będzie współmierne do ryzyka.

– Co masz na myśli?

– Tytuł szlachecki i dochodowy majątek o powierzchni co najmniej dwustu akrów, sire.

Król Casmir chrząknął.

– Wysoko się cenisz.

– Sire, moje życie, bez względu na to, jak szare i nudne może się wydawać innym, jest jedynym, jakie dano mi przeżyć.

– Dobrze więc, niech tak będzie. A co z tobą, Torqual? Skalrad roześmiał się.

– Wasza Królewska Mość, przyjmuję twe warunki bez względu na ryzyko, twoją nieufność oraz charakter zadania. Nie licząc też na nagrodę.

– Nie wdając się w szczegóły – rzekł sucho Casmir – chcę, abyś osiedlił się w górach w Południowych Ulflandach i szerzył zamęt, ale tylko wśród tych, którzy sprzyjają Troicinetowi. Masz nawiązać kontakt z innymi górskimi baronami, masz im doradzić nieposłuszeństwo, powstanie przeciwko najeźdźcy i bandycką działalność podobną do twojej. Rozumiesz, czego od ciebie chcę?

– Rozumiem bardzo dobrze! Przyjmuję, Najjaśniejszy Panie, twoją propozycję z entuzjazmem.

– Tak też myślałem. Ty, Shalles, odwiedź tych baronów, których podejrzewasz o niezadowolenie, i będziesz im służył radą oraz koordynował ich działania. Jeśli okaże się to konieczne, możesz im zaproponować łapówki, lecz to ostateczność. Będziesz blisko współpracował z Torqualem, a w przerwach będziesz zdawał mi relacje w sposób, jaki ustalimy.

– Sire, zrobię w tej sprawie wszystko, co w mojej mocy, przez okres, który moglibyśmy teraz

ustalić, żeby nie było między nami nieporozumień.

Casmir zabębnił palcami po blacie stołu, lecz gdy się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie.

– Wiele zależy od okoliczności.

– No właśnie, sire, i dlatego chciałbym określić górny limit trwania mej służby. W tej grze niebezpieczeństwo jest bardzo duże. Mówiąc krótko, nie chciałbym włączyć się po tych wrzosowiskach tak długo, aż mnie zabiją.

– Hm! Jaki termin proponujesz?

– Biorąc pod uwagę względy bezpieczeństwa, Wasza Królewska Mość, rok wydaje mi się wystarczająco długim okresem.

Casmir chrząknął.

– W ciągu roku ledwo zapoznasz się z terenem.

– Sire, zrobię, co tylko będzie można, ale nie zapominaj, że król Aillas wysłał swoich własnych szpiegów. Od momentu, gdy mnie zdemaskują, stanę się mało przydatny.

– Hm! Zastanowię się nad tym. Staw się przede mną jutro po południu.

Shalles podniósł się z krzesła, uklonił i wyszedł. Casmir zwrócił się do Torquala:

– Shalles jest może odrobinę zbyt drobiazgowy jak na tego rodzaju robotę. Jest jednak skąpy, a to dobry znak. Jeśli chodzi o ciebie, nie mam żadnych złudzeń. Jesteś wilkołakiem, przebiegłym mordercą i łajdakiem.

Torqual wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Jestem też gwałcicielem, sire! Choć zwykle kobiety płaczą i wyciągają ramiona, gdy je opuszczam.

Król Casmir, który w tych sprawach był dość pruderyjny, rzucił mu lodowate spojrzenie.

– Wyposażę cię w broń, a jeśli zechcesz, zbiorę dla ciebie niewielką bandę rzezimieszków. Jeśli dobrze się spiszesz i, podobnie jak Shalles, zechcesz prowadzić dostojne wiejskie życie, to również dla ciebie znajdę odpowiednią posiadłość. Mam nadzieję, że to wystarczy, żeby kupić twoją wierność. Masz powody, do tego by dobrze mi służyć.

– Dlaczego nie? – Torqual uśmiechnął się. – Jest z nas niezła para łotrów, Wasza Królewska Mość.

Uwaga ta w opinii Casmira graniczyła z bezczelnością, więc ponownie obrzucił więźnia lodowatym spojrzeniem.

– Spotkam się z tobą ponownie za dwa dni. W tym czasie będziesz traktowany jak mój gość.

– Wolałbym Haidion od Peinhadoru, sire.

– Nie wątpię. Oldebor!

Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Oldebor.

– Wasza Królewska Mość?

– Zabierzesz Torquala z powrotem do Peinhadoru. Niech się wykąpie i przebierze w przyzwoity strój. Potem każ go umieścić w czystej celi i podać mu do jedzenia, co sobie zażyczy, oczywiście w granicach rozsądku.

Do pokoju weszli strażnicy więzienni.

– Czy nie zobaczymy koloru jego wnętrzości? – Odezwał się jeden z nich. – Jest najgorszy z najgorszych!

– I do tego jeszcze Skalradem! – dorzucił drugi. – Miałem nadzieję, że sam rozetnę mu brzuch moim nożem.

– Innym razem – uciął król Casmir. – Torqualowi przydzielono niebezpieczne zadanie w służbie państwowej.

– Tak jest, Wasza Królewska Mość. Ruszaj się, bydlaku. Torqual wbił w strażnika zimny wzrok.

– Miej się na baczności, człowieku! Wkrótce znajdę się na wolności i będę w służbie króla. Odszukam cię, jeśli tylko przyjdzie mi na to ochota, a wtedy zobaczymy, kto lepiej posługuje się nożem!

Król Casmir niecierpliwie machnął ręką.

– Dosyć tego! – Spojrzał na strażników, teraz upokorzonych i zaniepokojonych. – Słyszeliście, co mówił Torqual. Na waszym miejscu od tej chwili traktowałbym go uprzejmie.

– Sire, będzie tak, jak rozkażesz. Chodź, Torqual, tylko żartowaliśmy. Dziś wieczorem będziesz pił wino i jadł pieczony drób.

Na twarzy króla Casmira pojawił się charakterystyczny dla niego chłodny uśmiech.

– Oldebor, chcę ponownie widzieć Torquala za dwa dni.

Rozdział 5

I

W trzy dni po wyjeździe króla Casmira i jego świty na pokładzie *Gwiazdy Regulus*, król Aillas udał się w drogę do Południowych Ulflandów z flotą składającą się z siedemnastu okrętów.

Jednym z nich płynęli lord Maloof i lord Pirmence, którzy aż wrzeli ze złości. Dhrun i Glyneth pozostali w Domreis, aby pobierać nauki stosowne do ich pozycji. Mieli się uczyć łaciny i greki, geografii, kaligrafii, matematyki Pitagorasa, Euklidesa i Arystarcha oraz nowego mauretańskiego sposobu liczenia, a także poznawać nauki przyrodnicze. Studiując Herodota, Tacyda, Ksenofonta, Clavetza z Avallonu, Dioskurosa z Aleksandrii *Kroniki Ys*, *Wojnę Gotów i Hunów* Kherso-ma, mieli zdobyć ogólną wiedzę z zakresu historii. Poznać mieli nazwy gwiazd, planet i konstelacji oraz różnorodne teorie kosmologiczne. Ustalono, że Dhrun będzie uczęszczał do szkoły wojskowej, gdzie nauczy się władać bronią oraz pozna strategię wojenne. Postanowiono też, że oboje będą uczęszczać na lekcje sztuk dworskich, obejmujących taniec, deklamację, muzykę i etykietę.

Zarówno Glyneth, jak i Dhrun, gdyby zapytano ich o zdanie, woleliby popłynąć z Aillasem do Południowych Ulflandów. Przeciwnie było z lordem Maloofem i lordem Pirmence'em. Każdy z nich przedstawił dziesiątki przyczyn, dla których nie powinien zostać w tak nagły sposób oderwany od codziennych obowiązków.

Na protesty Maloofa Aillas odpowiedział:

– Doceniam twoją troskę o pracę, którą będziesz musiał przerwać, lecz twoje talenty są pilnie potrzebne w Południowych Ulflandach. Tam właśnie możesz najlepiej służyć królowi i ojczyźnie.

– Moje umiejętności są duże i niepospolite, sire – utyskiwał Maloof. – Ważyć bób i liczyć cebule może każdy urzędnik.

– Nadal nie rozumiesz istoty naszego projektu! Chce otrzymać spis wszystkich majątków w tym kraju, co da nam obraz jego rozmiarów i bogactwa, i co nie mniej ważne, pozwoli nam określić powierzchnię terenów nie zamieszkałych, do których nikt nie rości sobie pretensji, obszarów dzikich lub tych, o które toczą się spory. Pokierujesz sztabem mierniczych, kartografów i urzędników, którzy będą badali istniejące dokumenty.

Lorda Maloofa opuściły wszystkie siły.

– Ależ to jest monumentalne zadanie, Wasza Królewska Mość!

– Naturalnie, że praca ta nie zostanie zakończona w ciągu jednego dnia, a jest to dopiero początek. Oczekuję od ciebie, że utworzysz i pokierujesz ministerstwem skarbu Południowych Ulflandów. Po trzecie...

– Po trzecie?! – jęknął Maloof. – Już sporządziłeś plan na całe życie Najjaśniejszy Panie! Zaufanie, jakim mnie obdarzyłeś, bardzo mi pochlebia, lecz to zadanie jest niewykonalne. Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. A tymczasem partacze i pismacy obrócą wniwecz moją pracę tu, w Domreis.

– Przypuszczam, że mówisz o swojej pracy w ministerstwie skarbu?

Lord Maloof oblał się rumieńcem i spojrzał pytająco na Aillasa.

– Oczywiście, właśnie o tym, sire!

– Zasięgnąłem informacji i jestem przekonany, że zostawiamy te sprawy, znów mam na myśli skarb państwa, w dobrych rękach. Nadszedł czas na zmiany! Człowiek tak bystry jak ty potrzebuje

wyzwania, by mógł w pełni wykorzystać swoje umiejętności, a także żeby nie zaczął popełniać głupstw. Południowe Ulflandy ze swoimi nieprzejednanymi baronami i groźnymi Skalradami oferują setki takich możliwości.

– Ale ja nic nie wiem i nie chcę wiedzieć o kłopotach, konfliktach czy wojnie! Jestem człowiekiem pokoju, Wasza Królewska Mość!

– Ja także. Lecz nawet ludzie pokoju muszą się nauczyć walczyć. Świat jest często brutalny, nie wszyscy podzielają nasze poglądy. Dlatego też musimy być przygotowani, by bronić siebie i tych, których kochamy, w przeciwnym bowiem razie musielibyśmy pogodzić się z niewolą.

– Wolę dyskutować, udzielać życzliwych rad, dokonywać zmian na lepsze i iść na kompromis, sire!

Przyznaję, że we wstępnej i przejściowej fazie gry politycznej są to użyteczne działania. Jeśli zachowujemy się racjonalnie, nasze sumienie jest czyste. Lecz gdyby nasze uczciwe postępowanie zawiodło i gdyby zaatakowali nas tyrani, bez skrupułów moglibyśmy obciąć im głowy.

– W tym zakresie nie mam dużych umiejętności, Wasza Królewska Mość!

– Cóż znowu, Maloofie! Zbyt nisko się cenisz! Jesteś silny i zręczny, choć może odrobinę zbyt otyły. Po kilku błyskotliwych kampaniach będziesz galopował na koniu i wymachiwał berdyszem z taką pasją jak wszyscy!

– Ba! – odburknął Maloof. – Nie jestem takim niebezpiecznym siepaczem, za jakiego mnie, Najjaśniejszy Panie, bierzesz. Zmarnuję sobie życie w tej srogiej dzicy.

– Skądże znowu! Możesz je spożytkować dla dobra Południowych Ulflandów. Już my znajdziemy dziedzinę, w której będziesz mógł wykorzystać wszystkie swoje umiejętności. Co byś powiedział, gdybym zlecił ci, na przykład, zlikwidowanie szpiegostwa? Może cię to zdziwi, a może nie; wykryłem zdradę w najbliższych mi kręgach!

Maloof zamrugał oczami.

– Wasza Królewska Mość, będzie tak, jak rozkażesz! – odpowiedział stłumionym głosem.

Lord Pirmence, gdy nadeszła jego kolej, zastosował inną taktykę.

– Najjaśniejszy Panie, traktuję to spotkanie jako swego rodzaju pasowanie na rycerza. Na zawsze zachowam w pamięci ten dowód twojego zaufania. Jestem jednak człowiekiem skromnym i muszę zdecydowanie odrzucić ten honor. Nie, Najjaśniejszy Panie! Nie narzucaj mi go! Moja decyzja jest stanowcza i nieodwołalna. Zdobyłem już wystarczająco dużo odznaczeń jak na jedno życie. Pozwól teraz młodemu i chętnemu spróbować swoich sił! – lord Pirmence wykonał dworski ukłon i uważałby sprawę za zamkniętą, gdyby Aillas nie przywołał go z powrotem.

– Lordzie Pirmence, twoja odmowa przynosi ci zaszczyt: Zapewniam cię jednak, że wystarczy odznaczeń dla wszystkich walczących na wrzosowiskach w Południowych Ulflandach!

– Miło to słyszeć! Niestety, sire, zapominasz o moim podeszłym wieku. Moimi wrogami nie są już okrutni rycerze, ogry, Goci czy Maurowie, lecz ostre i przewlekłe bóle, zaburzenia wzroku, astma, brak zębów i starcze charłactwo. Nie jest mi obca malaria, podagra, reumatyzm i paraliż. Prawdę mówiąc, jestem gotów powlec się do zamku Lutez, zawinąć się w pierzynę i uspokoić moje burczące wnętrza dietą z twarogu i owsianki.

– Lordzie Pirmence, przykro mi słyszeć o twoim zniedołężnieniu -odpowiedział z powagą Aillas.

– Niestety, Wasza Królewska Mość! Jest to koniec, który czeka każdego z nas!

– Nie wątpię w to. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że uderzająco do ciebie podobny osobnik włóczy się po dzielnicach Domreis zamieszkanym przez pospólstwo? Nie? Muszę powiedzieć, że nie dba on zbyt o swoją reputację. Ostatnio, około północy, zajrzałem przypadkowo do gospody

„Pod Zieloną Gwiazdą” i zobaczyłem tego mężczyznę z jedną nogą na ławie, a drugą na stole, wymachującego wielkim kuflem piwa i wyśpiewującego głośno sprośne piosenki. Nie omieszkał też chwycić w żelazny uścisk jednej z usługujących dziewcząt. Jego wąsy były dokładnie takie same jak twoje i wydawał się wręcz tryskać zdrowiem.

– Jakże zazdrościsz temu człowiekowi, sire – wymamrotał lord Pirmence. – Jestem ciekaw jego sekretu.

– Może poznasz go w Południowych Ulflandach. Uważam twoją obecność za niezbędną. Przecież, gdy myśliwy wybiera się na ważne polowanie, zabiera ze sobą starego ogara. Polegam na tobie, że zaprowadzisz porządek wśród baronów na wrzosowiskach.

Lord Pirmence zakaszłał delikatnie.

– Wasza Królewska Mość, nie przeżyję jednego wietrznego dnia na tym odludziu!

– Wręcz przeciwnie! W tym świeżym klimacie będziesz czuł się doskonale! „Ulf żyje wiecznie, chyba że przebije go stal, udławi się kawałkiem mięsa lub utopi się po pijanemu w bagnie”! Tak mówią sami Ulflandczycy. Wkrótce będziesz tak rzeński, jak nigdy przedtem!

Pirmence potrząsnął przecząco głową.

– Doprawdy, nie jestem takim człowiekiem, za którego mnie bierzesz, sire! Tracę cierpliwość, gdy zmuszony jestem przestawać z prostakami i Irlandczykami. Pomimo najlepszych na świecie chęci, z pewnością źle się przysłużę naszej sprawie.

– Dziwne – zadumał się Aillas. – Mówiono mi, że ostatnio stałeś się ekspertem w dziedzinie tajnej dyplomacji.

Lord Pirmence wydał usta, pociągnął za wąs i wbił wzrok w sufit.

– Hm, ha! Nie całkiem to prawda, Wasza Królewska Mość. Skoro jednak obowiązki wzywają, muszę zostawić wszystko inne i rzucić się z impetem do ich wykonania.

– Oto odpowiedź, jakiej od ciebie oczekiwałem.

Na godzinę przed wypłynięciem flotylli Aillas zszedł na nadbrzeże, gdzie, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, spotkał opartego o stertę bel Shimroda.

– Co ty tutaj robisz?

– Czekałem, aż się zjawisz.

– Dlaczego nie pokazałeś się w Miraldrze? Wraz z odpływem udaję się do Południowych Ulflandów.

– Żaden problem. Mogę ci towarzyszyć.

– Na pokładzie okrętu? Do Ys?

– Mam taką nadzieję.

– Oczywiście, że możesz przyłączyć się do mnie. – Aillas spojrzał na Shimroda przenikliwym wzrokiem. – Wyczuwam w tym jakąś tajemnicę. Skąd ta nagła tęsknota za podróżą w głąb kraju?

– Trudno powiedzieć, żeby Ys leżało w głębi kraju.

– Widzę, że nie zamierzasz powiedzieć mi nic więcej.

– Nie ma o czym mówić. Mam kilka spraw do załatwienia w miejscu niedaleko Ys, a w czasie podróży będę mógł się cieszyć twoim towarzystwem.

– W takim razie wchodź na pokład. Ale musisz być przygotowany na to, że będziesz nocował w ładowni.

– Zadowolę mnie każda, najmniejsza nawet kryjówka, choćby salon kapitański.

– Cieszę się, że jesteś taki ustępliwy. Zobaczymy, co da się w tej sprawie zrobić.

Podróż przebiegała przyjemnie. Popychane przychylnym wiatrem troicyjskie okręty płynęły spokojnie po lśniących w słońcu falach Liru. Drugiego dnia opłynęły Przylądek Pożegnań, potem przez trzy dni wiatr to ustawał, to zmieniał kierunek, gdy tymczasem zaledwie o milę na wschód wznosiły się zalewane białą morską pianą wysokie przybrzeżne skały Keganu.

Mila po mili flotylla posuwała się na północ, aż wreszcie na horyzoncie pojawił się zarys przylądka Kellas.

Opłynawszy przylądek ze świątynią Atlanty o pięknej kolumnadzie, okręty weszły do ujścia rzeki Evander i rzuciły kotwice na redzie Ys.

Jeden po drugim podchodziły do nabrzeży, żołnierze schodzili na ląd, wyładowywano towary, zabierano na pokład zapasy świeżej wody i oddziały wracające do domu, po czym okręty wracały na morze.

Dowódcy Aillasa przekazali mu zarówno dobre, jak i złe wieści. W większości przestrzegano surowych rozporządzeń zakazujących bandyckich napadów, grabieży oraz wojen między klanami. Niektórzy baronowie całym sercem poparli wezwanie do utrzymania porządku publicznego. Inni wydawali się obserwować i wyczekiwać, nie chcąc popełnić czynów, które mogłyby ich doprowadzić do zguby. W rezultacie każdy z nich miał nadzieję, że ktoś inny podda próbie nowego króla. Pokój ten, bez względu na to, jak kruchy i tymczasowy, stanowił dobrą nowinę.

Z drugiej jednak strony, baronowie ci nie wypełnili wszystkich rozkazów Aillasa. Tylko nieliczni rozpuścili swoje oddziały, żeby mogły one powrócić do bardziej produktywnych zajęć w polu, w kopalniach i lasach, aby w ten sposób wnieść swój mały wkład w budowę dobrobytu kraju.

Aillas natychmiast wysłał posłańców do każdego zamku, fortecy i górskiej wieży. Wieźli rozkazy, żeby baronowie, rycerze czy też książęta, bez względu na to, jak się tytułowali, stawili się na spotkanie z nim w zamku sir Helwiga, położonym wysoko, w samym sercu wrzosowisk.

Aillas wyruszył na to spotkanie w towarzystwie sir Tristana, ponurego lorda Maloofa i okazującego niedbałą obojętność lorda Pirmen-ce'a, a także z eskortą trzydziestu rycerzy i setki ciężkozbrojnych jeźdźców. Tego dnia pogoda dopisała, było słonecznie i ciepło. Nad wrzosowiskami unosił się świeży zapach wrzosów, janowca i paproci, choć poniżej ciężką warstwą zalegały opary przejmująco wilgotnego torfu.

Zebrani na łące przy zamku Stronson stanowili piękny widok – w promieniach słońca błyszczał metal i mieniły się kolorami stroje. Baronowie w większości byli w kolczugach i hełmach; ich różnobarwne kaftany, peleryny i spodnie uszyte były z tkanin najlepszego gatunku, a wielu miało na zbrojach tuniki z wyszytym godłem własnym lub herbem rodu. Prawie wszyscy przybyli w asyście heroldów, którzy trzymali wysoko w górze chorągwie z herbami.

Zjawilo się trzydziestu sześciu spośród czterdziestu pięciu wezwanych baronów. Sir Helwig krzyknął do nich gromkim głosem i wszyscy obecni podeszli, żeby zasiąść przy półokrągłym stole, a za każdym z nich stanął herold z chorągwią. z boku czekała spokojnie eskorta Aillasa. Inaczej byłoby ze swiątą członkami klanów, przybyłymi do Stronson wraz ze swymi baronami – stali w grupkach, podzieleni na wrogie obozy, obrzucając się groźnymi spojrzeniami.

Przez kilka minut Aillas przyglądał się uważnie tym trzydziestu sześciu mniej lub bardziej przyjaznym twarzom. Uważał, że liczba zebranych była zadowalająca, ale nie mógł zignorować nieobecności tych dziewięciu krnąbrnych, gdyż mogłoby to podważyć jego autorytet. Właśnie poddawano go próbie; baronowie przyglądali się z ciekawością, jak stał z boku z Tristianem i heroldem sir Helwiga, recytującym z pamięci listę nieobecnych. Gdy herold skończył, do przodu wysunął się Aillas, stając przed zebranymi. Gładko ogolony, o nienagannym wyglądzie, na tle

posiwiiałych i hardych baronów wydawał się wręcz śmiesznie niedoświadczony i delikatny. Niektórzy z baronów nie próbowali nawet ukryć swoich wrażeń.

Rozbawiony raczej niż rozdrażniony, Aillas powitał wszystkich uprzejmie i wyraził swoje zadowolenie z pięknej pogody, która uświetniła to spotkanie. Następnie wziął do ręki listę i wywołał nazwiska dziewięciu nieobecnych baronów. Nie otrzymawszy odpowiedzi, zwrócił się do sir Tristana:

– Wyślij po jednym rycerzu z pięciu żołnierzami do każdego z tych nieobecnych. Niech rycerze ci oświadczą, że jestem niezadowolony i przekażą każdemu z nich, że jeśli nie przybędą tutaj na spotkanie ze mną lub nie wyjaśnią powodu swej nieobecności na piśmie, to rozkazuję im stawić się w moim obozie w Ys. Mają zostać jasno i wyraźnie poinformowani, że jeżeli nie pojawią się w ciągu tygodnia, to zostaną wywłaszczeni ze swoich ziem i pozbawieni szlacheckich tytułów, a cały ich majątek przejdzie na własność króla. Należy im także powiedzieć, że jeśli nie posłuchają wezwania, pierwszym rozporządzeniem moim będzie rozkaz ukarania ich, i że jeden po drugim zostaną przeze mnie upokorzeni. Niech rycerze wraz z eskortą wyruszą natychmiast.

Aillas ponownie zwrócił się do słuchających go teraz z ponurymi minami baronów.

– Panowie, jak już wcześniej słyszeliście, Królestwo Południowych Ulflandów nie jest już krajem bezprawia. Będę mówił krótko, ale to, co powiem, jest bardzo ważne. Po pierwsze, rozkazuję, żeby każdy z was rozpuścił swoje oddziały. Niech ludzie ci zajmą się uprawą ziemi dla dobra swej ojczyzny albo zaciągną się do armii królewskiej. Możecie zatrzymać służbę domową, ogrodników i stajennych, lecz nie będą wam już dłużej potrzebne zbrojne straże. Dzięki tym oszczędnościom i podniesieniu rent dzierzawnych zacnie się wam lepiej powodzić, nawet jeśli będziecie zmuszeni wpłacać do skarbu państwa podatki, które lord Maloof niebawem na was nałoży. Pieniądze te nie zostaną przeznaczone na zbytki czy parady, lecz na rozwój tego kraju. Zamierzam ponownie otworzyć stare kopalnie, kuć żelazo i we właściwym czasie zacząć budowę okrętów. W całych Południowych Ulflandach napotkać można ruiny dawnych wiosek; przykry to widok i dlatego każda z nich powinna zostać odbudowana lub przywrócona do swego niegdysiejszego stanu, żeby zapewnić ludności dach nad głową. Wy wszyscy musicie wnieść swój udział w budowę nowego ładu.

Aby armia ulflandzka mogła skutecznie bronić swego kraju i aby żołnierze, których tutaj widzicie, mogli powrócić do Troicinetu, ogłaszam niniejszym, że lord Pirmence rozpoczyna pobór do wojska silnych i zdatnych do służby mężczyzn. Waszym synom i pozbawionym ziemi braciom armia zapewni możliwości awansu, a promowanie i nagradzanie zależeć będzie raczej od zasług niżli od urodzenia. Żołnierze zwolnieni z waszej służby mogą znaleźć zatrudnienie w armii ul-flandzkiej. Na początek będzie ona liczyła tysiąc ludzi. Będą oni szkoleni tak długo, aż dorównają lub przewyższą swoimi umiejętnościami wszystkich innych żołnierzy na świecie, ze Skalradami włącznie. Będą odpowiednio umundurowani, dobrze karmieni i opłacani zgodnie z zasadami obowiązującymi w armii troicyjskiej. Po zakończeniu służby każdy z nich otrzyma na własność ziemię orną. Ten pierwszy tysiąc utworzy elitę kadrową i będzie zajmował się ćwiczeniem rekrutów. Oddziały te nauczą się surowej dyscypliny, aby zdolni byli do pokonania Skalradów, którzy do tej pory wkraczali do Południowych Ulflandów, kiedy tylko chcieli, rabując i biorąc niewolników. Te czasy należą już do przeszłości.

Powiedziałem wszystko, co chciałem powiedzieć. Musicie postępować zgodnie z nowymi prawami tego kraju albo ponieście konsekwencje ich pogwałcenia. Jeśli chcecie zadać mi jakieś pytania lub przedstawić ważne sprawy, jestem do waszych usług. Z największą przyjemnością wysłucham wszystkich i odpowiem najlepiej, jak umiem. Zauważyłem, że dla tych, którzy odczuwają

pragnienie, otwarto beczkę piwa.

Baronowie powstali ze swoich miejsc odrobinę niepewnie i rozejrzeli się dookoła. Wkrótce podzielili się na małe grupki. Jeden z nich, mężczyzna w średnim wieku, wysoki i masywny, ze wspaniałym gąszczem czarnej brody, podszedł do Aillasa i bacznie mu się przyjrzał.

– Czy znasz mnie, królu?

Czysty przypadek sprawił, że Aillas słyszał wcześniej, jak wymieniano nazwisko tego człowieka.

– Jesteś sir Hune z domu pod Trzema Sosnami. Sir Hune skinął potakująco głową.

– Patrzą na ciebie, prawie chłopca, i nie mogę pojąć!

– Czego, sir Hune?

– Przyjrzyj mi się! W każdym calu jestem człowiekiem tych wrzosowisk. Jedno moje ramię jest takie, jak twoje obie nogi! Gdybyśmy mieli pić z tej tu beczki i opróżniłbym cztery kwarty a ty jedną, byłbym wesoły i miałbym nie zmacony wzrok, podczas gdy ty chrapałbyś z głową na stole! Potrafię tak rzucać włócznią, że przebije deskę dębową; mogę zabić byka jednym ciosem. Znam każdy szlak, każdą skałę i każdy strumyk w tych górach; wiem, gdzie mają swoje gniazda głuszce i znam miejsca, w których kryją się pstrągi. I oto zjawiasz się ty, Troicyj-czyk, wymachujesz nam przed nosem kawałkiem papieru i ogłaszasz się naszym królem. W porządku, jest to sposób, w jaki takie sprawy się załatwia, ale co ty wiesz o życiu na wrzosowiskach? Czy znasz smak naszych okrutnych dni i gorzkich nocy? Czy podkradałeś się, żeby podciąć gardło wrogowi, który najchętniej by cię ubiegł? A jednak musimy być posłuszni twym rozkazom. Czy to nie jest absurdalne? Pytam z całą uprzejmością,

– Sir Hune, twoje uczucia są zrozumiałe, a pytanie uczciwe. Jesteś odważnym człowiekiem i nie chciałbym się z tobą mocować. Czy miałbyś ochotę zmierzyć się ze mną w biegu, w którym pokonany w drodze powrotnej musiałby nieść zwycięzcę na plecach?

Sir Hune roześmiał się i uderzył ręką w stół.

– Niewiele wiem o bieganiu. Czy tego będziesz uczył swoich żołnierzy?

– Z pewnością będą biegać, chociaż nie po to, by uciec przed wrogiem. A jeśli chodzi o życie na wrzosowiskach; dowiedziałem się o nim więcej, niż ci się zdaje. Któregoś dnia, jeśli zechcesz, opowiem ci tę historię.

Sir Hune wskazał na podzielonych na grupy baronów.

– Posłuchaj moich słów! Jeśli masz nadzieję położyć kres kłótniom, zasadzkom, nocnym wypadom i ucieczkom, czeka cię, młody królu, niewdzięczne zadanie. – Odwrócił się i, spoglądając na łąkę, wyciągnął palec. – Popatrz na nich teraz; każdy klan osobno! Każdy z tych ludzi zije nienawiścią do tych, którzy w przeszłości wyrządzili mu jakąkolwiek krzywdę! Powiedz mi, chłopcze: po cóż mielibyśmy żyć, jeśli nie dla polowania i pogoni, napadu i gwałtu, i miłej sercu rzezi wroga? To całe nasze życie; takie są nasze zwyczaje i nie mamy innych rozrywek.

Aillas rozparł się na krześle.

– Takie życie wiodą zwierzęta. Czy nie masz synów ani córek?

– Mam czterech synów i tyleż córek, lecz dwóch moich synów już nie żyje, a tam stoi ich morderca. Wkrótce go dopadnę i przybiję do moich wrót, a gdy on będzie umierał, ja zasiądę spokojnie do kolacji.

Aillas podniósł się.

– Sir Hune, lubię cię i jeśli dopuścisz się tego czynu, powieszę cię z ogromnym żalem. O wiele bardziej wolałbym jednak spożytkować siłę twoją i twoich synów w mojej armii.

- Powiesiłbyś mnie? W takim razie co ze stojącym tam Dostoyem, który zabił moich synów swoimi czarnymi strzałami?
- A kiedy to było?
- Ubiegłego lata, przed godami jeleni.
- To znaczy przed wydaniem moich rozporządzeń. Heroldzie, zwołaj wszystkich ponownie. Aillas zwrócił się do baronów wsparty na rękojeści swego miecza.
- Rozmawiałem właśnie z sir Hunem, który wniósł skargę przeciwko sir Dostoyowi. Wśród baronów rozległ się rubaszny śmiech i okrzyki:
- Jak śmie ten łotr o czarnym sumieniu skarżyć się; on, którego ręce ociekają krwią niewinnych?
- W określonym czasie wszystkie te morderstwa muszą się skończyć – odpowiedział Aillas. – Już oznaczyłem ten moment. Zrobię to jednak po raz drugi, w taki sposób, żeby wszyscy zrozumieli. Ktokolwiek popełni morderstwo, ktokolwiek zabije, chyba że w obronie własnej, zostanie powieszony. Wprowadzam praworządność do Południowych Ulflandów i im wcześniej zrozumiecie, że nie żartuję, tym lepiej dla nas wszystkich. Potrzebuję w mojej armii walecznych ludzi, nie chcę, żeby zabijali się nawzajem i nie chcę marnować czasu na wieszanie wszystkich baronów z wrzosowisk. Jednak jeśli będę musiał, zrobię to! Wracajcie teraz do swoich domów i dobrze zastanówcie się nad moimi słowami.

III

Powróciwszy do Ys, Aillas bezskutecznie poszukiwał w obozie Shimroda. Wysłał jednego z adiutantów, żeby sprawdził tawerny w pobliżu portu, lecz – ku jego niezadowoleniu – Shimroda nigdzie nie było. Myśli Aillasa zaprzętało kilka spraw. Po pierwsze, miał nadzieję, że Shimrod mógłby wykorzystać swoją magiczną moc przeciwko takim jak sir Hune – rzucić na nich urok chwilowej łagodności lub sprawić, aby broń sir Hune'a spaliła się, a jego strzały nie sięgały celu. Pomoc taka – zapewniał sam siebie Aillas – nie naruszałaby edyktu Murgena*, gdyż można by ją usprawiedliwić potrzebą wprowadzenia humanitarnych norm moralnych.

* Edykt Murgena zakazywał czarnoksiężnikom zajmowania strony w konfliktach świeckich. Niemal wszyscy czarodzieje z zadowoleniem przestrzegali tej zasady.

Aillas miał również nadzieję, że Shimrod będzie obecny na jego spotkaniu z rządcami Ys, które teraz, w świetle zaistniałych wypadków, stało się konieczne. Bez Shimroda, który załatwiał gdzieś swoje sprawy, Aillas zmuszony był liczyć tylko na własne siły i sam stawić czoła tajemniczym oligarchom.

Najpierw jednak musiał ustalić, kto w skład tych władz wchodził, co – jak wiedział – nie będzie sprawą prostą. Po zastanowieniu się doszedł do wniosku, że odpowiednią osobą do wykonania tego zadania będzie lord Pirmence. Wysłał go zatem w celu zorganizowania tej narady.

Późnym popołudniem Pirmence zdał Aillasowi raport ze swoich działań.

– W sposób niezwykle i dziwaczny Wasza Królewska Mość! -oświadczył w odpowiedzi na pytanie Aillasa, jak minął dzień. – Ludzie ci są nieuchwytni jak węgorze! Jestem nawet skłonny uwierzyć, że pochodzą od króla Minosa z Krety!

– Skąd to podejrzenie?

– Nie mam żadnych konkretnych dowodów, sire. Jest to sprawa intuicji. Ludzie z Ys poruszają się w tej szczególnej atmosferze będącej mieszaniną niewinności i tajemniczości, która jest tak charakterystyczna dla Kreteńczyków. Dzisiaj nieomalże przyprawili mnie o apopleksję. Pytałem wszędzie o ich magnatów lub radę starszych, lub nawet jakąś wpływową grupę ale w odpowiedzi

otrzymywałem tylko uśmiechy, wzruszenie ramionami i obojętne spojrzenia. Przyparci do muru, ludzie ci marszczyli brwi, z powątpiewaniem potrząsali głowami i rozejrzawszy się na wszystkie strony, zaprzeczali, że taka władza istnieje. Podejrzewam, że uśmiechali się kpiąco za moimi plecami, lecz kiedy odwróciłem się, chcąc przyłapać ich na zuchwalstwie, już ich nie było, odeszli do swoich zajęć. Największą zniewagą jest to, że byli mną zbyt znudzeni, żeby się śmiać. W końcu spotkałem starego człowieka wygrzewającego się w słońcu na ławce. Gdy zadałem mu moje pytanie, przynajmniej był na tyle przyzwoity, że udzielił mi odpowiedzi. Ys, jak odkryłem, jest zarządzane dzięki jakiejś milczącej zgodzie. Miejsce prawnego przymusu zajęły zwyczaj i wygoda; pojęcie władzy centralnej uważane jest tu za coś odrażającego i odrobinę śmiesznego. Zapytałem tego starca: „Kto w takim razie jest upoważniony do reprezentowania miasta na ważnych naradach u króla Aillasa?” Ale on wzruszył ramionami i powiedział: „Nic mi nie wiadomo o żadnych ważnych sprawach, zatem nie widzę potrzeby, żeby je konsultować”. W tym momencie pojawiła się jakaś dobrotliwa kobieta. Pomogła mężczyźnie wstać i odeszli razem. Z jej troskliwości wnoszę, że cierpiał on na jakąś zaawansowaną formę starczej demencji i być może analiza nie jest całkiem dokładna.

Pirmence przerwał, zachichotał i pogładził swoją wytworną bródkę. Aillas pomyślał, że wstrzymanie egzekucji Pirmence'a, w celu wykorzystania jego przebiegłości, było słuszną decyzją.

– I co dalej?

– Nie pozwoliłem, sire, żeby moje plany pokrzyżowały wykręty, fantazje i majaczenia jakiegoś szaleńca – kontynuował swoją relację Pirmence. – Powiedziałem sobie, że w Ys przestrzega się prawa naturalnego tak rygorystycznie, jak wszędzie indziej, i że najbardziej wpływowi ludzie zamieszkują najstarsze i najpiękniejsze pałace. Odwiedziłem kilka z nich i poinformowałem ich mieszkańców, że skoro wszyscy w Ys zaprzeczają istnieniu rady zarządzającej, to ja biorę na siebie obowiązek mianowania takiego ciała, którego ci dżentelmeni stali się właśnie pełnoprawnymi i oddanymi członkami. Następnie powiadomiłem ich kategorycznie, że mają się spotkać z tobą, sire, jutro w późnych godzinach porannych.

– Chytrze i genialnie! Dobra robota, Pirmence! Byłby to niezły żart, gdyby się okazało, że jesteś mi niezbędny.

Pirmence uparcie potrząsał przecząco głową.

– Wasza Królewska Mość, przekroczyłem już tę fazę w rozwoju mojego intelektu, w której dostrzega się elementy humorystyczne w zwykłym dziwactwie. To, co istnieje, jest prawdziwe; dlatego też jest tragiczne, gdyż wszystko, co żyje, musi umrzeć. Tylko opary czystego nonsensu mogą mnie pobudzić do śmiechu.

– Ach, Pirmence, twoja filozofia wykracza poza granice mojego pojmowania.

– Tak jak twoja, sire, jest trudna do zrozumienia dla mnie – odparł Pirmence, chyląc się w wytwornym ukłonie.

Następnego dnia rano od strony miasta nadeszło sześciu dostojników, którzy skierowali się do pawilonu z niebieskiego jedwabiu, gdzie czekał na nich Aillas w towarzystwie lorda Maloofa i lorda Pirmence'a. Dostojnicy z Ys wydali się bardzo do siebie podobni – byli drobnej budowy ciała, mieli bladą cerę, delikatne rysy, ciemne oczy i czarne włosy, krótko obcięte i przyciśnięte opaskami. Ubrani byli skromnie – w białe lniane kaftany i sandały. Żaden z nich nie nosił broni.

Aillas wyszedł im na spotkanie.

– Panowie, mam przyjemność powitać was. Zajmijcie miejsca. Oto moi pomocnicy: lord Maloof i lord Pirmence. Obaj są bardzo doświadczeni i całkowicie oddani naszym wspólnym celom. Czy napijecie się czegoś orzeźwiającego? – Nie czekając na odpowiedź, Aillas dał znak służącym,

żeby podali puchary z winem, które jednak dygnitarze zignorowali. – Sprawy, które mamy dzisiaj omówić, są znacznej wagi -ciągnął. – Mam nadzieję, że nasze rozmowy będą owocne i podejmiemy właściwe decyzje. Sytuacja przedstawia się następująco: z powodu słabości władzy, ataków Skalradów i powszechnej demoralizacji Południowe Ulflandy, z wyjątkiem Doliny Evandra, stały się krajem dzikim. Mam zamiar przywrócić porządek i prawo, odeprzeć Skalradów i w rezultacie przywrócić Południowym Ulflandom ich dawną świetność. Chcąc zrealizować te cele, nie starczy krwi ani złota Troicinetu; środki muszą pochodzić również z Południowych Ulflandów. Moją największą troską jest utworzenie armii, która pomoże wprowadzić w życie prawa i odeprzeć Skalradów. W tym względzie nikt nie jest zwolniony od służby. Jest to dziś najważniejsze nasze zadanie.

Dostojnicy powstali z krzesel, ukłonili się i odwrócili, kierując się do wyjścia.

– Chwileczkę! – zawołał Aillas. – Dokąd idziecie?

– Czyżbyś nie skończył, sire? – zapytał jeden z mężów. – Zapowiadałeś, że będziesz mówił krótko.

– Nie aż tak krótko! Powiedziałem również, że musimy podjąć właściwe decyzje. Czy wybieriecie swego rzecznika, czy też każdy będzie wyrażał swoje zdanie stosownie do sytuacji? – Aillas spojrzał pytająco na ich twarze, lecz za każdym razem napotykał tylko pusty wzrok. – Nie jestem przyzwyczajony do takiej skromności – zauważył. – Ty, panie, jak się nazywasz?

– Hydelos.

– Mianuję cię zatem, czcigodny Hydelosie, przewodniczącym tej rady. Wy wszyscy, oczywiście, tworzycie radę. Ty, panie, twoje nazwisko?

– Ja też zwę się Hydelos.

– Doprawdy? W jakiz więc sposób odróżnić cię od tamtego Hyde-losa?

– Za pomocą naszych imion.

– Jak w takim razie masz na imię? Musimy być praktyczni.

– Olave.

– Olave, mianuję cię odpowiedzialnym za pobór do wojska. Dwaj dżentelmeni siedzący obok ciebie będą twoimi pomocnikami. Będiesz werbował do ulflandzkiej armii przemierzając wzdłuż i wszerz Dolinę Evandra. Maloof, zapisz ich nazwiska i imiona. Ty, panie, jak się zwiesz?

– Jestem Eukanor.

– Eukanorze, od dziś jesteś poborcą podatkowym w Dolinie Evan-dra. Będzie ci pomagał szlachcic siedzący po twojej lewej stronie. Maloof, zapisz ich nazwiska. Hydelosie, mam nadzieję, że nasza narada toczy się dla ciebie wystarczająco zwawo. Twoje obowiązki będą obejmowały przede wszystkim funkcję nadzorczą, ale nie zamierzam teraz omawiać szczegółów. Będiesz także łącznikiem pomiędzy innymi członkami rady i mną lub moim pomocnikiem. Codziennie będziesz składał raporty.

– Sire, twoje wymagania są nierealne i nie przyniosą żadnego efektu – odpowiedział uprzejmie Hydelos.

Aillas roześmiał się.

– Hydelosie, radzę ci przyjąć do wiadomości pewne fakty, bez względu na to, jak niechętnie to uczynisz. Musisz zmienić swój styl życia, przynajmniej do czasu, gdy Południowe Ulflandy znów staną się jednym krajem. Nie masz wyboru i nie będę słuchał żadnych sprzeciwów. Jeśli wasza szóstka nie będzie ze mną współpracować, będę zmuszony zesłać was na wygnanie na wyspę Terns i utworzyć radę z sześciu innych mieszkańców Ys. Będę to czynił tak długo, aż znajdę takich, którzy nie odmówią współpracy, albo całe Ys zostanie przeniesione na ponure, stronne skały tej wyspy. Moje

wymagania nie są uciążliwe i łatwo można je spełnić. Jestem waszym królem i tak rozkazuję!

Hydelos odezwał się głosem, w którym ledwie można było dosłyszeć skrętnie powstrzymywane rozdrażnienie:

– Istnieliśmy przez wiele lat bez króla, armii czy podatków. Skalradzi nigdy nam nie zagrażali, nie grozi nam też niebezpieczeństwo ze strony baronów. Dlaczego mielibyśmy teraz pośpiesznie wykonywać rozkazy troicyjskiego najeźdźcy?

– Tolerowaliście Faude Carfilhiota z Tintzin Fyral; ignorowaliście Skalradów w czasie ich wypadów w poszukiwaniu niewolników; kupowaliście sobie pokój za cenę cierpienia innych! Te beztrudne dni minęły, wy także musicie ponosić koszty sprawiedliwości! Panowie, musicie wybierać natychmiast; nie powiem nic więcej.

– Nie ma takiej potrzeby – odrzekł przyciszonym głosem Hydelos. -Przekonałeś nas, sire.

– Bardzo dobrze. Maloof zapozna was ze szczegółami tego, co należy zrobić.

Aillas wstał, ukłonił się posępny dostojnikom i odwrócił się. Zatrzymał się zdziwiony na widok wysokiej postaci przechodzącej przez dziedziniec. Gdy narada dobiegła końca i wszystkie sprawy zostały załatwione, Shimrod zdecydował się wreszcie pojawić w obozie.

Rozdział 6

I

Przez pewien czas, tuż po tym, jak zamieszkał w Trildzie w puszczy Tantrevailles, Shimrod miewał dziwne sny. Przychodziły co noc, w porządku, który go zaintrygował. Regularność tych zdarzeń sugerowała, że ich rozwiązanie może się okazać fatalne albo wręcz tragiczne.

Te marzenia senne były niezwykle z kilku powodów. Ich sceneria -biała plaża z oceanem po jednej stronie i białą willą po drugiej – nigdy się nie zmieniała. W snach tych nie było ani elementów nielogicznych, ani groteskowych. W rzeczywistości ich najbardziej zdumiewającą cechą było uderzające piękno kobiety, która – oprócz Shimroda – była jedyną występującą w nich postacią.

W pierwszych snach Shimrod widział siebie, w ciepłych promieniach słońca przy balustradzie willi; słycać było szum przelewających się z ospałą regularnością niskich, przybrzeżnych fal. Czekał na kogoś. Wkrótce, spojrzawszy na plażę, ujrzał ciemnowłosą kobietę średniego wzrostu, wysmukłą i drobną. Szła boso, ubrana w sięgającą kolan białą suknię bez rękawów. Nadchodziła bez pośpiechu i gdy go mijiała, rzuciła mu tylko przelotne spojrzenie. Poszła dalej. Shimrod patrzył za nią, czując ból niepewności i tęsknoty.

Sen rozplątywał się, odchodząc w miejsce, w które udają się sny, gdy ich czas mija, a Shimrod budził się i leżał zapatrzony w ciemność.

Sen wciąż powracał... Za każdym razem kobieta okazywała odrobinę więcej ciepła, aż wreszcie zatrzymała się i wysłuchała go. Próbował się dowiedzieć, kim jest i dlaczego chodzi tą drogą; w końcu określiła czas i miejsce spotkania poza granicami snu. Shimroda przepełniło uczucie szczęścia, chociaż wiedział, że spotkanie to z pewnością doprowadzi go do zguby. Z tego też powodu spotkał się z Murgenem w jego zamku Swer Smod, leżącym na zboczach Teach tac Teach.

Murgen obnażył intrygę. Kobieta była Melanthe i działała rozkazu Tamurella. Co chcieli osiągnąć? Nie było w tym żadnej tajemnicy. Tamurello zamierzał wprowadzić zamęt, osłabić Murgena poprzez zniszczenie jego potomka Shimroda.

Pozostawało jedno tylko pytanie, pełne udręki: jak ktoś tak piękny mógł być zarazem tak nikczemny?

Tego Murgen nie potrafił wyjaśnić.

Shimrod nie zrezygnował z umówionego spotkania, jednak ponieważ intryga została zdemaskowana, uszedł z życiem. Później, gdy po raz pierwszy odwiedził Ys, znalazł plażę, po której spacerowała Melanthe, a pół mili na północ – białą willę, przy której w swoich snach oczekiwał jej nadejścia.

Teraz Shimrod wspominał ten epizod z obojętnością, czasem tylko z odrobiną zaciekawienia, istniała jeszcze jedna sprawa – zobowiązanie, z którego Melanthe nigdy się nie wywiązała. Ciekawość, w jaki sposób to uczyni, skłoniła go do wymknięcia się cichaczem z Ys na plażę.

Przybył do willi i zatrzymał się przy balustradzie. *Deja vu*. Było tak, jak we śnie – czekał, aż zobaczył zbliżającą się w jego stronę Melanthe.

Tak jak we śnie, ubrana była w długą do kolan białą suknię i szła boso. Nawet jeśli zdziwiła się na jego widok, nie dała tego poznać po sobie – nie zwolniła, ani nie przyspieszyła kroku.

Podeszła do furtki. Jej oczy rozbłyły na krótką chwilę; potem, ignorując obecność Shimroda, weszła po schodach na taras i zniknęła w cieniu kolumnady.

Shimrod wszedł za nią do willed, której wnterze widział po raz pierwszy.

Melanthe przeszła przez hall do komnaty z arkadowymi oknami, za którymi rozciągał się ocean. Usiadła na kanapie obok niskiego stołu i zapatrzyła się w horyzont.

Shimrod przysunął cicho krzesło i usiadł przy końcu stołu, skąd mógł ją obserwować nie odwracając głowy.

Pojawiła się służąca z wysokim srebrnym dzbankiem i naląa swojej pani puchar ponczu rozsiewającego zapach pomarańczy i cytryn. Melanthe, nie zwracając uwagi na nieproszonego gościa, spróbowała napoju i ponownie spojrzęła przez okno na morze.

Shimrod przyglądał się jej, przekrzywiając w dziwaczny sposób głowę. Zastanawiał się, czy ma wziąć dzbanek w obie ręce i wypić z niego łyk, ale doszedł do wniosku, że taki postępek – nieco pospolity – mógłby skompromitować go w oczach Melanthe. Zamiast tego odwołał się do małych czarów. Do pokoju wleciał niebiesko-czerwony ptak, okrąży głowę Melanthe i usiadł na brzegu jej pucharu. Zaćwierkał raz czy dwa, napaskudził do kielicha i odleciał.

Z wystudiowaną powściągliwością Melanthe pochyliła się do przodu i postawiła puchar na stole.

Shimrod wyszeptał następne zaklęcie i w drzwiach stanął mały mauretański niewolnik ubrany w ogromny niebieski turban, koszulę w czerwono-niebieskie pasy i szaro-niebieskie bufiaste spodnie. W rękach trzymał tacę z parą srebrnych kubków. Przysunął ją Melanthe i przybrał wyczekującą postawę.

Melanthe z nieruchomą twarzą wzięła jeden z kubków i postawiła go na stole. Chłopiec podszedł do Shimroda, który z chęcią uniósł drugi kubek i z zadowoleniem wypił jego zawartość. Mały niewolnik opuścił komnatę.

Melanthe wciąż wpatrywała się w morze. Kąciki jej odętych ust opadały żałośnie.

Jakież ona snuje intrygi!, pomyślał Shimrod. Układa w myślach plan za planem, potem odrzuca kolejno każdy z nich, gdyż jest nieskuteczny lub beznadziejnie głupi, albo nie licuje z jej godnością. Nie może znaleźć słów, które ochroniłyby ją przed moimi wyrzutami lub żądaniami. Tak długo, jak milczy, nie zobowiązuje się do niczego i sądzi, że trzyma mnie w garści! Mimo to narasta w niej napięcie; w którymś momencie będzie musiała coś zrobić.

Zauważył drgnienie w kącikach jej ust.

Podjęła decyzję, pomyślał. W swój najbardziej pozbawiony wdzięku, lecz najskuteczniejszy sposób wyjdzie teraz z pokoju. Oczywiście, nie mogę pójść za nią do toalety, zachowując przy tym reputację człowieka o nienagannych manierach. No cóż, zobaczymy! Jej zachowanie powie mi dużo o jej stanie ducha.

Melanthe przechyliła do tyłu głowę, wydawała się gotowa do snu. Shimrod wstał i rozejrzał się po pokoju. Było w nim niewiele mebli i, co dziwniejsze, brakowało w nim rzeczy osobistych – żadnych przyborów do robótek ręcznych czy artystycznych, antyków ani zwitków papieru, książek, przyborów do pisania czy notesów. Na bocznym stoliku stała zielona fajansowa misa z pomarańczami; obok leżały wymyte przez wodę kamyki, które Melanthe lubiła rozrzucać bez ładu. Podłogę okrywały trzy mauretańskie dywaniki w wyraziste niebieskie, czarne i czerwone wzory na płowożółtym tle. Z sufitu zwisał ciężki świecznik z czarnego metalu. Na stole, przed Melanthe, w brązowym naczyniu stał bukiet pomarańczowych nagietków, bez wątpienia ułożonych przez służącą. Zasadniczo, pomyślał Shimrod, pokój ten jest bez wyrazu i zupełnie nie odzwierciedla charakteru właścicielki.

– Jak długo zamierzasz tu pozostać? – odezwała się wreszcie Melanthe.

Shimrod wrócił do swojego krzesła.

– Jestem wolny do końca dnia, a może nawet nocy, jeśli będzie trzeba.

– Masz wyjątkowo niefrasobliwy stosunek do czasu.

– Niefrasobliwy? Nie sądzę. Czas jest wielce interesującym zagadnieniem. Według arystokracji galicyjskiej, jest on piramidą o trzynastu bokach. Wierzą oni, że stoimy na jej wierzchołku i nie zauważamy upływu dni, miesięcy, lat. Jest to pierwsza zasada teorii wieczności ogłoszonej przez Thudha, galicyjskiego boga czasu, którego trzynaścioro oczu może jednocześnie spoglądać we wszystkie strony. Ta umiejętność widzenia jest, oczywiście, symboliczna.

– Czy są jakieś bezpośrednie skutki tej doktryny?

– Myślę, że tak. Nowe idee niepokoją nas i ożywiają nasze dyskusje. Na przykład, skoro już mówimy o Thudhcie, może zainteresuje cię fakt, że każdego roku galicyjscy magowie ingerują w rozwój stu ludzkich płodów. Mają nadzieję, że może któreś dziecko urodzi się z trzynastoma oczami dookoła głowy i w ten sposób poznają awatara Thudha. Dotychczas granicą ich możliwości jest dziewięścioro oczu, a ci, którzy je mają, stają się kapłanami tego kultu.

– Nie interesują mnie takie sprawy ani w ogóle rozmowa z tobą -wtrąciła Melanthe. – Możesz wyjść, kiedy tylko poczujesz, że wymaga tego grzeczność.

– Wówczas to uczynię – odparł Shimrod. – A teraz, jeśli pozwolisz, zawołam twoją służącą, żeby przyniosła nam więcej wina, a może nawet przygotowała ostrygi w oliwie i czosnku. Podane ze świeżym chlebem stanowią pożywne danie dla ludzi posiadających dobry smak.

Melanthe odwróciła się od stołu.

– Nie jestem głodna.

– A może jesteś zmęczona? – zapytał z troską w głosie Shimrod. -Położę się z tobą na łóżku, żeby odpocząć.

Rzuciła mu kątem oka obojętne złociste spojrzenie.

– Cokolwiek robię, wolę robić to sama – powiedziała.

– Doprawdy? Dawniej tak nie było. Z uporczywą regularnością próbowałaś mnie odszukać.

– Od tego czasu całkowicie się zmieniłam. Nie jestem już tą samą osobą.

– Co jest przyczyną tej metamorfozy? Melanthe podniosła się.

– Miałam nadzieję, że jeśli będę wiodła spokojne życie, nikt nie będzie mnie niepokoił. Do pewnego stopnia to mi się udało.

– I teraz nie masz żadnych przyjaciół?

Melanthe wzruszyła ramionami i odwróciła się. Podeszła do okna. Shimrod uczynił to samo i stanąwszy za jej plecami, poczuł zapach fiołków.

– Twoja odpowiedź jest niejasna.

– Nie mam przyjaciół.

– A Tamurello?

– On nie jest przyjacielem.

– Mam nadzieję, że nie jest twoim kochankiem.

– Takie związki mnie nie interesują.

– A jakie cię interesują?

Spojrzawszy przez ramię i zobaczywszy Shimroda niebezpiecznie blisko, Melanthe odsunęła się nieco w bok.

– Nie myślałam nad tym.

– Czy chcesz się nauczyć czarów?

– Nie chcę być czarownicą. Shimrod usiadł na krześle.

– Jesteś swego rodzaju zagadką. – Klasnął w ręce i pojawiła się służąca. – Melancthe, czy możesz poprosić, żeby podano nam wino?

Melancthe westchnęła, dała znak dziewczynie i spoczęła na kanapie z wyrazem wymuszonej rezygnacji.

Służąca wróciła z winem i dwoma pucharami, po czym obsłużyła gościa i swoją panią.

– Kiedyś myślałem o tobie, jak o dziecku w ciele kobiety – odezwał się Shimrod.

Uśmiechnęła się chłodno.

– A teraz?

– Wydaje mi się, że dziecko gdzieś się zagubiło. Uśmiech Melancthe stał się odrobinę tęskny.

– Jest piękna jak poranek – mówił Shimrod. – Zastanawiam się, czy ona zdaje sobie z tego sprawę. Dbą o siebie, wkłada pewien wysiłek w pielęgnację swoich włosów. Nosi się jak kobieta, która jest świadoma swego uroku.

– Upierasz się, żeby mnie nudzić – odparła bezbarwnym głosem. Shimrod zignorował tę uwagę.

– Mogłoby się wydawać, że jesteś zadowolona z siebie i swego życia. Jednak gdy próbuję wdrzeć się do twoich myśli, czuję się tak zagubiony, jak gdybym był w dżungli.

– To dlatego, że w rzeczywistości nie jestem istotą ludzką – odpowiedziała apatycznie.

– Kto ci to powiedział? Tamurello? Skinęła obojętnie głową.

– Te tematy mnie nużą. Kiedy wyjdiesz?

– Niebawem. Ale powiedz mi jedno: dlaczego Tamurello nauczył cię takich bzdur?

– Niczego mnie nie nauczył. Nic nie wiem. Mój umysł jest pusty jak ciemne przestrzenie za gwiazdami.

– Czy uważasz, że ja jestem człowiekiem? – zapytał Shimrod.

– Myślę, że tak.

– Jestem odroślą Murgena.

– To jest coś, czego nie rozumiem.

– Kiedyś, a było to bardzo dawno temu, wyjechał w tym przebraniu za granicę, żeby mógł działać jako ktoś inny niż legendarny Murgen. Nic nie wiem o tych czasach. Murgen kierował moimi czynami i są to jego wspomnienia. W końcu, poprzez częste korzystanie, postać Shimroda przybrała cielesny, realny kształt i zaczęła istnieć niezależnie od Murgena. Teraz ja jestem Shimrodem. Czy nie powinienem zatem uważać się za człowieka? Wyglądam jak człowiek. Odczuwam głód i pragnienie; jem, piję i po pewnym czasie wydalam. Raduję się, gdy jestem wesoły, i płaczę, gdy jestem smutny. Na widok twojej urody odczuwam pełne tęsknoty pragnienie, które jest zarazem słodkie i bolesne. Mówiąc krótko, jestem człowiekiem w każdym calu, a nawet jeśli nie, to nie dostrzegam w sobie żadnych braków.

Melancthe ponownie spojrzała na morze.

– Ja też mam ludzkie kształty; moje ciało, podobnie jak twoje, spełnia swoje funkcje; mam zmysł wzroku, dotyku i smaku. Ale w środku jestem pusta. Nie mam uczuć, nie robię nic oprócz spacerowania po plaży.

Shimrod usiadł obok niej na kanapie. Objął ją ramieniem.

– Pozwól mi wypełnić tę pustkę.

Melancthe rzuciła mu z ukosa sardoniczne spojrzenie.

– Taka jestem i jest mi z tym dobrze.

– Poczujesz się lepiej, kiedy będziesz inna. O wiele lepiej. Melancthe wyrwała się z jego objęć i stanęła przy oknie.

Nie mając nic więcej do powiedzenia, Shimrod wybrał ten moment, żeby odejść, i uczynił to bez słowa pożegnania.

Następnego dnia wrócił do białej willi rozmyślnie o tej samej porze. Gdyby Melanthe przestrzegąca ustalonego porządku dnia, może dowiedziałyby się czegoś o jej usposobieniu. Czekał obok tarasu, ale Melanthe się nie zjawiła. Wreszcie, pogrążony w myślach, wrócił do Ys.

Późnym popołudniem ładna pogoda ustąpiła pod naporem świeżych podmuchów wiatru z zachodu; po niebie w szybkim tempie przesuwały się cirrusy, które o zachodzie słońca przybrały kształt purpurowych chmur deszczowych.

Rano niebo było raz jasne, raz pochmurne. Promienie słońca próbowały się przedrzeć przez szczeliny w chmurach, lecz bez powodzenia. Pogoda taka utrzymywała się do popołudnia, kiedy od strony morza nadciągnęła czarna ściana deszczu.

Tego dnia, pod wpływem impulsu Shimrod narzucił na ramiona płaszcz i zrobił na targu zakupy, po czym udał się plażą do białej willi. Wspiął się po schodach, przeszedł przez taras i obwieścił swoje przybycie pukaniem do rzeźbionych drewnianych drzwi.

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, zapukał ponownie. Wreszcie drzwi się uchyliły i przez szparę wyjrzała służąca.

– Pani Melanthe nie przyjmuje żadnych gości. Shimrod wepchnął się do środka.

– Doskonale, nikt nie będzie nam przeszkadzał. Zostanę na kolacji. Tu jest kilka wyśmienitych kotletów. Przyrządź je odpowiednio z ziołami i podaj dobre czerwone wino. Gdzie jest Melanthe?

– W salonie z kominkiem.

– Sam znajdę drogę.

Dziewczyna odeszła niezdecydowanym krokiem do kuchni. Idąc od pokoju do pokoju, Shimrod odnalazł wreszcie salon – komnatę o białych ścianach i dębowym suficie. Melanthe grzała się przy kominku. Gdy pojawił się w drzwiach, spojrzała na niego przez ramię i odwróciła się w zamyśleniu w stronę płomieni.

Shimrod podszedł do niej.

– Wiedziałam, że przyjdiesz tego wieczoru – powiedziała, nie patrząc na niego.

Objął ją w pasie, przyciągnął blisko do siebie i pocałował. Żadnej reakcji; równie dobrze mógł pocałować jej dłoń.

– Jesteś zadowolona, że mnie widzisz?

– Nie.

– Ale nie trzęsiesz się ze złości?

– Nie.

– Już cię wcześniej całowałem; pamiętasz?

Melanthe odwróciła się do niego. Pomyślał, że za chwilę usłyszy dobrze przygotowaną odpowiedź.

– Nie pamiętam prawie nic z tego, co zaszło. Tamurello dał mi dokładne instrukcje. Miałam ci przyrzec wszystko i gdyby zaszła taka potrzeba, wyrazić zgodę na każde twoje żądanie. Okazało się to niepotrzebne.

– A przyrzeczenia; czy masz je złamać?

– Wypowiedziane zostały moimi ustami, ale były to obietnice Tamurella. Musisz zwrócić się do niego, żeby ich dotrzymał. – Uśmiechnęła się, odwracając wzrok w stronę ognia.

Ciągle obejmując ją w pasie, Shimrod przyciągnął ją do siebie i wtulił twarz w jej włosy, lecz ona odsunęła się i podeszła do kanapy. Usiadł obok niej.

– Nie jestem najmądrzejszym człowiekiem na świecie, jak dobrze wiesz, jednak mogę cię wiele

nauczyć.

– Gonisz za iluzją – odrzekła niemal pogardliwie.

– Jakże to?

– Działa na ciebie wygląd mego ciała. Gdybyś patrząc na mnie, ujrzał pomarszczoną żółtą skórę i zakrzywiony nos z brodawkami, nie byłoby cię tutaj, a nawet gdybyś był, nie pocałowałbyś mnie.

– Nie przeczę. Jednak nie jestem pod tym względem wyjątkiem. Czy chciałabyś żyć w takim ciele?

– Jestem przyzwyczajona do tego, które mam. Wiem, że jest piękne. Niemniej jednak tym, co żyje wewnątrz mego ciała, jestem ja; coś, co prawdopodobnie nie jest wcale piękne.

Do pokoju weszła służąca.

– Czy mam podać kolację tutaj, przy kominku? Melanthe rozejrzała się dookoła z zakłopotaniem.

– Nie kazałam ci przygotowywać kolacji.

– Ten dżentelmen przyniósł piękne kotlety i kazał mi je dobrze przyrządzić. I oto są: upieczone na gałązkach winorośli z czosnkiem, cytryną i odrobiną tymianku, a to jest bochenek świeżego chleba, zielony groszek i dobre czerwone wino.

– W takim razie obsłuż nas tutaj.

W czasie posiłku Shimrod starał się stworzyć ciepłą, swobodną atmosferę, w czym Melanthe niewiele mu pomagała. Zaraz po kolacji oznajmiła, że jest zmęczona i zamierza udać się na spoczynek.

– Pada – zauważył Shimrod. – Zostanę na noc.

– Przestało padać – odrzekła Melanthe. – Odejdź teraz, Shimro-dzie. Nie życzę sobie nikogo w moim łóżku. Sypiam sama.

Shimrod wstał.

– Znam zasady dobrego wychowania i mogę odejść jak pierwszy lepszy mężczyzna. Dobrej nocy, Melanthe.

II

Jednostajny szary deszcz zniechęcił Shimroda do kolejnych wypraw na plażę. Również względy taktyczne dyktowały mu przerwę; nadmierna gorliwość mogłaby uczynić jego sprawie więcej złego niż dobrego. Chwilowo zrobił wystarczająco dużo – zwrócił uwagę Melanthe na swoją niepowtarzalną osobowość; pokazał się jako ktoś delikatny, wytrwały, towarzyski i rozważny; okazał jej ponad wszelką wątpliwość zwykłe ludzkie pożądanie w stopniu, który uważał za odpowiedni; więcej mogłoby zostać odebrane jako grubiaństwo, mniej – jako brak wrażliwości na jej urok i Melanthe mogłaby uznać, że Shimrod interesuje się nią z jakiegoś innego powodu.

Shimrod siedział w głównej sali swojej ulubionej tawerny „Pod Liną i Kotwicą”. Popijał wino, wpatrywał się w deszcz i myślał o Melanthe.

Bez wątplenia była fascynująca. Jej uroda była ogromnym skarbem; jej ciało wydawało się zbyt kruche, żeby udźwignąć tak duży ciężar. Zastanawiał się, czy źródłem jej atrakcyjności była sama uroda. W czym jeszcze tkwił jej urok?

Patrząc na smaganą deszczem wodę, odnotował w pamięci cechy wspólne wszystkim kobietom, które kochają i są kochane. W Melanthe nie dostrzegał żadnej z nich, nawet tej tajemniczej, nie dającej się określić cechy samej kobiecości.

Zapewniała go o pustce w swym umyśle. Stwierdził, że nie miał wyboru – musiał jej uwierzyć.

Najwyraźniej brakowało jej ciekawości świata, poczucia humoru, ciepła i współczucia. Wykorzystywała tę całkowitą szczerotę, która nie tyle była szczerością, ile obojętnością na uczucia tych, którzy jej słuchali. Nie mógł sobie przypomnieć żadnych przejawów jej emocji poza znudzeniem i łagodną niechęcią, którą zdawała się czuć do niego.

Shimrod z ponurą miną popijał piwo i spoglądał na plażę, lecz białej willi nie było widać pośród deszczu. Powoli pokiwał głową, zdjęty głębią nowej myśli. Melancthe była uosobieniem ostatniego czynu wiedźmy Desmei; jej aktu zemsty na mężczyznach. W swym obecnym stanie była próżnią, którą każdy mężczyzna mógłby wypełnić swoją wyidealizowaną wizją najwyższego piękna, lecz gdyby próbował to piękno osiągnąć i uczynić swoim własnym, odkryłby tylko pustkę i w zależności od swego charakteru cierpiałby tak, jak cierpiała Desmei!

Zakładając, że te przypuszczenia odpowiadają rzeczywistości – myślał Shimrod – jaki wpływ miałyby na Melancthe, gdyby się o nich dowiedziała? Gdyby знаła swój stan, czy chciałaby go zmienić? I czy mogłaby się zmienić, nawet gdyby chciała?

Do tawerny wszedł Aillas. Podeszedł do ognia, chcąc się wysuszyć, po czym wraz z Shimrodem zjedli kolację w przyległym pokoju. Shimrod dopytywał się o nową armię ulflandzką, a Aillas odpowiedział, że wcale nie czuje się zniechęcony.

– Ogólnie rzecz biorąc, nie mogłem oczekiwać lepszych rezultatów. Każdego dnia przybywa rekrutów. Dzisiaj było ich pięćdziesięciu pięciu; silni młodzi ludzie prosto z wrzosowisk i gór, a każdy odważny jak lew i gotowy nauczyć mnie, jak prowadzić działania wojenne. Według nich, polegają one na chowaniu się w zaroślach dopóty, dopóki nie pojawi się odpowiednio mała grupka wroga, a wtedy podcina się gardła, przetrząsa sakiewki i szybko się wycofuje; to wszystko.

– A co z twoimi krnąbrnymi baronami?

– Z największą przyjemnością donoszę ci, że wszyscy stawili się przed wyznaczonym terminem. Żaden z nich nie był pokorny, ale cel został osiągnięty; nie zostałem zmuszony do wkroczenia na wrzosowiska, w każdym razie jeszcze nie teraz.

– Nadal cię obserwują i wyczekują, zastanawiając się, jakby najlepiej cię okpić.

– To prawda i prędzej czy później będę zmuszony powiesić kilku niedowiarków, chociaż o wiele bardziej wolałbym, żeby poginęli walcząc przeciwko Skalradom. Nawet ci młodzi ulflandzcy podżegacze ścisząją głos, gdy mowa o Ska.

– To powinno ich zachęcić do nauki skalradzkiej dyscypliny.

– Niestety, są przekonani, że Skalradzi mogą ich pożreć żywcem i bitwa jest przegrana na długo przedtem, zanim armie staną naprzeciwko siebie. Będę ich musiał stopniowo wyprowadzać z błędu i polegać na moich oddziałach, dopóki nie odniesiemy kilku zwycięstw. Wtedy zakwestionowana zostanie ich duma i męskość, więc będą się palić do tego, aby prześcignąć przybyszów z Troicinetu.

– Zakładając, oczywiście, że potrafisz pokonać Skalradów za pomocą twojej troicyjskiej armii.

– Mam co do tego pewne obawy. Skalradzi są bez wątpienia ekspertami w dziedzinie wojskowości, lecz jest ich stosunkowo niewielu i każdy z nich musi walczyć za pięciu. Z drugiej strony, każdy martwy Skalrad to jak pięciu i mój plan polega na tym, żeby ich zdziiesiątkować.

– Wydajesz się zdecydowany na wojnę ze Ska.

– Jak można jej uniknąć? Południowe Ulflandy są na pewno następne na liście Skalradów. Jak tylko poczują się wystarczająco silni, zaatakują nas. Mam nadzieję, że nie nastąpi to wcześniej, niż będę do tego przygotowany.

– A jeśli podejmą działania wojenne, zanim skończysz przygotowania?

– Nie zaatakuję ich, to pewne. Gdybym miał poparcie baronów, sprawy miałyby się inaczej. – Aillas wychylił kielich. – Dzisiaj wysłuchałem dziwnego raportu od sir Kyra, który jest drugim

synem sir Kavena z Wieży Czarnego Orła. Trzy dni temu jakiś rycerz, rzekomo Daut z zachodnich kresów Dahaut, zatrzymał się przy Wieży Czarnego Orła. Zwał się sir Shalles i z całą powagą ogłosił, iż wkrótce wybuchnie wojna i że król Casmir podbije Troicinet, a wtedy wszyscy ci, którzy są teraz sprzymierzeńcami króla Aillasa, zostaną wygnani ze swoich zamków. Mówił, że powinni zorganizować spisek w obronie swych swobód.

Shimrod zachichotał.

– Przypuszczam, że poszukujesz tego sir Shallesa.

– Oczywiście. Sir Kyr przemierza konno wrzosowiska w nadziei, że uda mu się go wytropić, pojmać i przyprowadzić tutaj.

III

Deszcz przeszedł. Świt wstał spokojny i bezchmurny. Na placu Shimrod zauważył służącą Melanthe, która przybyła z koszem na targ. Podszedł do niej i powiedział:

– Dzień dobry! To ja, Shimrod!

– Pamiętam cię dobrze, panie; bardzo lubisz kotlety.

– A ty potrafisz doskonale je przyrządzać.

– Rzeczywiście, jeśli mogę to nieskromnie o sobie powiedzieć. Częścią tej tajemnicy są gałązki winorośli; z żadną inną przyprawą wieprzowina nie jest tak dobra.

– Muszę przyznać, że masz rację. Czy twoja pani to doceniła?

– Ach, ona jest dziwną osobą. Czasami wątpię, czy wie, co jada, zupełnie jej to nie obchodzi. Zauważyłam jednak, że smakowały jej kotlety, więc postanowiłam ich dzisiaj dokupić. Może wezmę też parę tłusciutkich ptaków. Kroję je na małe kawałki i smażę na oliwie z oliwek z dużą ilością czosnku, a potem podaję razem z tą oliwą na chlebie.

– Masz duszę poetki. Może...

– Przykro mi to mówić – przerwała mu – ale nie wolno mi już wpuszczać pana do domu. Szkoda, bo pani potrzebuje kogoś, kto by ją adorował. Jest taka smutna, że podejrzewam w tym jakieś czary.

– Całkiem możliwe! Czy odwiedza ją Tamurello?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czy ktoś ją odwiedza, z wyjątkiem pana, no i wczoraj pewnych dostojników z miasta, którzy zjawili się tylko po to, żeby wciągnąć ją do swoich rejestrów.

– Wiedzie bardzo samotne życie! Dziewczyna zawahała się.

– Może nie powinnam tego mówić, ale dziś jest noc ubywającego księżyca, a wówczas, gdy pogoda jest ładna, lady Melanthe wychodzi z domu na godzinę przed północą i wraca późno, kiedy księżyc jest już bardzo nisko. Mówiąc szczerze, boję się o nią, bo nie jest to całkiem przyjazne wybrzeże.

– Mądrze postąpiłaś, mówiąc mi o tym. – Shimrod dał dziewczynie złotą koronę. – Przyda ci się, gdy będziesz wychodzić za mąż.

– Oj, przyda się, dziękuję ci, panie! Proszę, nie bierz sobie za bardzo do serca tego, że nie możesz przychodzić więcej do naszego domu.

– Jestem ciekaw, dlaczego.

– Pani najwyraźniej nie znajduje w tobie niczego, co by ją bawiło; taka jest prawda.

– Bardzo dziwne! – rzekł przygnębiony Shimrod. – Miałem powodzenie u kobiet różnych stanów, od wysokich po niskie. Swego czasu moją kochanką została jasnowłosa czarodziejka; znacznymi względami darzyła mnie księżna Lydia z Loermel. A jednak teraz, na tym opuszczonym i

prawie zapomnianym morskim brzegu, dziewczyna żyjąca samotnie w willi zabrania mi się z sobą widywać. Czy to nie jest ironia losu?

– Bardzo dziwne, sir! – Dziewczyna uśmiechnęła się i na jej policzkach pojawiły się dołeczki. – Gdybyś zapukał do moich drzwi, nie odprawiłabym cię z kwitkiem.

– Ach! Musimy się tym zająć! – Chwycił dziewczynę, pocałował w oba policzki i roześmianą wysłał na targ.

IV

Shimrod starannie przygotował się do nocnej wyprawy. Włożył czarny płaszcz, a na rdzawobrazowe włosy nasunął kaptur, żeby ukryć twarz w jego cieniu. W ostatniej chwili, po namyśle, posmarował podeszwy swoich sandałów specjalną substancją umożliwiającą chodzenie po wodzie. Wątpił, żeby mogło mu się to przydać tej nocy, choć w przeszłości wielokrotnie okazywało się użyteczne, może tylko nie przy wysokiej fali, gdyż wówczas spacer taki stawał się niezbyt przyjemny.

Zmierzch ustąpił miejsca ciemnej nocy i chudy księżyc rozpoczął swą wędrówkę w dół po niebie. Shimrod wyruszył na plażę. Dochodząc do willi, wspinał się na wydnię i usadowił się na niej tak, żeby mieć dobry widok.

Żółte światło lamp kreśliło kontury wysokich okien. Jedna po drugiej lampy gasły i w domu zapanowała ciemność.

Shimrod czekał, a księżyc schodził coraz niżej. Z willi wyszła w końcu jakaś postać, widoczna tylko jako plama przesuwająca się po piasku. Wielkość tej plamy i sposób, w jaki się poruszała, zdradzały Melanthe. Shimrod ruszył za nią w takiej odległości, aby nie mogła go dostrzec.

Melanthe szła zdecydowanym krokiem, ale bez pośpiechu i wyglądało na to, że nie przejmowała się tym, iż ktoś mógłby ją śledzić. Przeszła pół mili tuż przy lśniących falach i niebawem dotarła do ciemnych skał, które wrzynając się w morze, tworzyły nierówny mały półwysep, długi na jakieś sto stóp. Fale rozbijały się o niego przy brzydkiej pogodzie, lecz teraz morze było spokojne, więc szmerząc i bulgocząc zalewały tylko niższe partie skały.

Melanthe przystanęła na chwilę i zbadła wzrokiem otoczenie. Shimrod zatrzymał się, przykucnął i mocniej naciągnął kaptur na twarz.

Nie zauważyła go. Wspinała się na skałę i odszukała drogę na jej koniec, gdzie gładki, wymyty przez fale stopień wznosił się nad wodą na wysokość człowieka tworząc naturalne siedzisko. Melanthe usiadła na kamieniu i zapatrzyła się w morze.

Skulony nisko nad ziemią, Shimrod przemknął jak olbrzymi czarny szczur i wczołgał się na skałę. Badając grunt pod nogami, ostrożnie posuwał się do przodu... Nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk – odgłos ślamazarnych kroków!

Odskoczył w bok i skrył się w czarnym cieniu pod wystającą skałą.

Kroki zbliżały się. Wyjrawszy spod kaptura, Shimrod dostrzegł jakąś istotę w połowie oświetloną przez księżyc – krótki, szeroki tors, masywne nogi, zniekształcona głowa z niskim czołem. Gdy stwór przechodził obok, Shimrod poczuł unoszący się w powietrzu fetor. Wstrzymał oddech i powoli wypuścił powietrze.

Wlokąc za sobą nogi, stworzenie przeszło na koniec występu. Shimrod usłyszał przytłumione głosy, potem zapadła cisza. Przykucnął i ostrożnie zaczął posuwać się do przodu. Sylwetka Melanthe przesłaniała gwiazdy na zachodzie, obok widniał stwór, który przybył tu za nią. Obie postaci wpatrywały się w morze.

Mijały minuty. Spod powierzchni wody, sycząc i pokaszując cicho, wynurzył się ciemny kształt, który podpłynął do końca występu, wspiał się nań i przycupnął obok Melanthe. Znow nastąpiła rozmowa, której Shimrod nie mógł dosłyszeć, a potem cała trójka pogrążyła się w milczeniu.

Księżyc usadowił się nisko na długiej, wąskiej wstędze chmur. Trzy istoty przysunęły się bliżej do siebie. Morski stwór wydał z siebie miękki, niski ton. Melanthe zawtórowała mu dźwiękiem odrobinę wyższym. Stwór lądowy natomiast zaśpiewał wibrującym, głębokim głosem. Akord ten, jeśli można go tak nazwać, trwał dziesięć sekund, potem jeden po drugim śpiewacy zmienili tony, nadając im inne brzmienie. Z czasem ich śpiew osłabł i ucichł.

Po ciele Shimroda przebiegł dreszcz. Dźwięki te miały dziwną, żalosalną barwę.

Na końcu skały panowała cisza, jak gdyby cała trójka pogrążyła się w zadumie nad swoją muzyką. I znow stwór lądowy wydobył z siebie głęboki drżący dźwięk. Melanthe zaśpiewała: „Aaa! Ooo!”, zniżającym się głosem przechodząc przez całą oktawę. Stworzenie, które wyszło z morza, wydało kontraltem głos podobny do bicia dalekiego dzwonu. Dźwięki zmieniały tonację i barwę; akord stopniowo słabł, aż zamilkł. Shimrod, kryjąc się w cieniu, wrócił na plażę, gdzie czuł się mniej narażony na czary, które mogły być ukryte w tej muzyce.

Minął kwadrans. Księżyc przybrał żółtozieloną barwę i zatonął w morzu. W jego gasnącym świetle cała trójka na końcu występu skalnego stała się prawie niewidoczna. Raz jeszcze zaśpiewali, Shimroda zastanowiła melancholijna słodycz tych dźwięków i ukryta w nich samotność.

Znow zapadła cisza. Minął kolejny kwadrans. Stworzenie lądowe podreptało przez skałę w stronę brzegu. Shimrod widział, jak zeszło po zboczu i zniknęło w wąwozie... Czekał. Melanthe przeszła wzdłuż krawędzi skały, zeskoczyła na piasek i ruszyła w dół plażą. Gdy doszła do miejsca, w którym siedział Shimrod, zatrzymała się i spojrzała badawczo w ciemność.

Shimrod zerwał się na równe nogi, lecz Melanthe odwróciła się, żeby pójść swoją drogą. Znalazł się obok niej, dotrzymując jej kroku. Nic nie powiedziała.

– Dla kogo śpiewasz? – zapytał wreszcie.

– Dla nikogo.

– Więc dlaczego tam chodzisz?

– Ponieważ tak chcę.

– Kim są te stworzenia?

– Wyrzutkami, tak jak ja.

– Czy rozmawiacie ze sobą? A może robicie jeszcze coś poza śpiewaniem?

Melanthe zaniósła się dziwnym śmiechem.

– Shimrodzie, kieruje tobą rozum. Jesteś równie tępy jak krowa. Shimrod zdecydował, że cisza będzie lepszą odpowiedzią niżli gorące zaprzeczenia. I tak doszli do willi.

Bez słowa czy spojrzenia za siebie Melanthe przeszła przez portal, potem przez taras i zniknęła.

Shimrod udał się w drogę powrotną do Ys. Był niezadowolony i przekonany, że zachował się niewłaściwie. Nie potrafił jednak powiedzieć, pod jakim względem. Co mógł osiągnąć, poprzez właściwe zachowanie? Być może miejsce w chórze.

Przerazająco, dziwnie piękna Melanthe! Melanthe, której głos niósł się nad morzem w świetle zachodzącego księżyca!

Może w przyptywie pożądania powinien był ją chwycić, gdy wracali na plażę i wziąć ją siłą? Przynajmniej nie skrytykowałyby go za nadmierny intelektualizm! Jednak nawet ten plan, na pozór atrakcyjny, miał słabe punkty. Mimo że nie zgadzał się z oskarżeniami o intelektualizm, kierował się nakazami dobrego wychowania i był w tym bezkompromisowy. Postanowił nie myśleć więcej o

Melancthe.

– Ona nie jest dla mnie.

Rano, wraz ze wschodem słońca, nadszedł kolejny piękny dzień. Shimrod siedział pogrążony w myślach przed „Liną i Kotwicą”. Na niebie pojawił się sokół, który szybując w dół, upuścił na stół tuż przed nim wierzbową gałązkę i odleciał.

Shimrod spojrział na gałązkę i skrzywił się. Nie było rady. Wstał i odszukał Aillasa.

– Wezwał mnie Murgen i muszę cię opuścić. Aillas nie był zadowolony.

– Dokąd musisz odejść i dlaczego? Kiedy wrócisz?

– Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Gdy Murgen wzywa, muszę odpowiedzieć na takie wezwanie.

– Żegnaj więc.

Shimrod wrzucił do worka kilka osobistych rzeczy, zgniół w palcach gałązkę i zawołał:

– Wierzbo, wierzbo, zabierz mnie tam, dokąd mam się udać! Poczul nagły powiew wiatru i ziemia zawirowała pod nim. Ujrzał w

przelocie lasy na wyżynach, ciągnące się długą linią na północ i południe szczyty Teach tac Teach, po czym zsunął się po długiej pochylni utworzonej z powietrza na taras obok wejścia do kamiennej siedziby Murgena, Swer Smod.

Drogę zagradały mu czarne żelazne drzwi, wysokie na jedenaście stóp. Ich środkowy kaseton przedstawiał Drzewo Życia. Trzymające się mocno jego pnia żelazne jaszczurki sycząc i wysuwając żelazne języki, zmykały na nowe, dogodniejsze miejsca; skaczące z gałęzi na gałąź żelazne ptaki to spoglądały w dół na Shimroda, to patrzyły z chciwością na żelazne owoce, których jednak żaden nie ośmielił się spróbować. Wydawały przy tym ciche śpiewne dźwięki.

Shimrod wymówił zaklęcie, żeby uspokoić sandestina* pilnującego drzwi:

* Sandestin – istota z grupy halfingów, z uwagi na swą moc wykorzystywana przez czarnoksiężników do różnych celów, zwłaszcza do rzucania czarów i uroków.

– Drzwi, otwórzcie się przede mną i pozwólcie mi przejść bezpiecznie! Zwróćcie uwagę na moje uczciwe zamiary, a nie na złośliwe kaprysy mej ciemnej podświadomości.

Drzwi wyszeptały:

– Shimrodzie, droga jest wolna, choć jesteś zbyt grymaśny, sądząc po twych warunkach.

Shimrod nie podjął sporu. Podeszedł do drzwi, które rozwarły się przed nim i pozwoliły mu wejść do westybulu. Rozświetlało go słońce, wpadające do środka przez szklaną kopułę z zielonymi, złotożółtymi i karminowoczerwonymi szybami.

Shimrod wybrał jeden z korytarzy i dotarł nim do osobistej komnaty Murgena.

Czarnoksiężnik siedział przy ciężkim stole z nogami wyciągniętymi w stronę ognia. Tego dnia pojawił się w postaci, którą dawno temu nadał Shimrodowi – wysokiego, szczupłego mężczyzny o wymizerowa-nej, kościstej twarzy, z płowymi włosami, kapryśnymi ustami, o niedbałych manierach.

Shimrod stanął jak wryty.

– Czy musisz konfrontować mnie z samym sobą? Doprowadza mnie do szału, że w tych okolicznościach pouczasz mnie lub, co gorsza strofujesz.

– To niedopatrzenie – odezwał się Murgen. – W zwykłych okolicznościach nie splatałbym ci takiego figla, lecz teraz, gdy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że twoje własne uwagi na temat tego, w jaki sposób radzić sobie w nowych sytuacjach, mogą się okazać bardzo cenne.

– Z całym szacunkiem, uważam jednak, że ten argument jest zbyt naciągany. – Shimrod wszedł do pokoju. – No cóż, skoro nie zamierzasz zmienić postaci, usiądę odwrócony do ciebie tyłem.

Murgen machnął obojętnie ręką.

– Wszystko jedno. Napijesz się czegoś? – Pstryknął palcami i na stole pojawiły się butelki z miodem pitnym i piwem oraz taca z chlebem i zimnymi przekąskami.

Shimrod zadowolił się kubkiem piwa, Murgen zaś postanowił napić się miodu z wysokiego cynowego kufła.

– Czy kapłani ze świątyni dobrze cię przyjęli? – zapytał Murgen.

– Mówisz o świątyni Atlanty? Nie pofatygowałem się tam, aby złożyć im moje uszanowanie, a oni nie próbowali mnie odszukać. Czy ze znajomości z nimi można odnieść jakieś korzyści?

– Mają długą tradycję, którą chętnie się dzielią. Schody wiodące ze świątyni są imponujące i warto je zobaczyć. W pogodny dzień, gdy słońce stoi wysoko, bystre oko, patrząc w dół, przez wodę, może się doliczyć trzydziestu sześciu stopni, zanim skryją je głębiny. Kapłani twierdzą, że liczba schodów nad powierzchnią zmniejsza się; tłumaczą to obsuwaniem się lądu albo podnoszeniem się morza.

Shimrod zamyślił się.

– Trudno dać wiarę którejś z tych teorii. Podejrzewam, że pierwszego obliczenia dokonali przy odpływie; później, gdy nastąpił przyływ, dokonali drugiego i w ten sposób zostali wprowadzeni w błąd.

– To logiczne wytłumaczenie. Wydaje się całkiem prawdopodobne. – Spojrzał w stronę Shimroda. – Pijesz wstrzemięźliwie. Czyżby piwo było zbyt słabe?

– Wcale nie. Po prostu chcę zachować trzeźwość umysłu. Co by to było, gdybyśmy obaj się popili i później obudzili z wątpliwościami, kto jest kim?

Murgen pociągnął łyk ze swojego cynowego kufła.

– Ryzyko jest niewielkie.

– To prawda. Jednak zachowam jasny umysł, dopóki nie dowiem się, dlaczego wezwałeś mnie tutaj, do Swer Smod.

– A jak myślisz? Potrzebuję twojej pomocy.

– Nie mogę ci jej odmówić i nie zrobiłbym tego nawet wtedy, gdybym mógł.

– Dobrze powiedziane, Shimrodzie! Przejdę do sedna sprawy. Mam kłopoty z Tamurellem. Neguje mój autorytet i próbuje narzucić mi swoją wolę; ma nadzieję, że w końcu uda mu się mnie zniszczyć. Teraz jego działania są pozornie trywialne lub nawet żartobliwe, ale jeśli mu się nie przeciwstawię, mogą się stać niebezpieczne. To tak jak z człowiekiem zaatakowanym przez osy; jeśli ukąsi go jedna, nie ma się czego obawiać; jeśli jednak zaatakuje go dziesięć tysięcy, jego los jest przesądzony. Nie mogę poświęcić działaniom Tamurella tyle uwagi, na ile one zasługują. Oderwałbym się od innej, bardzo ważnej pracy. Tak więc przydzielam to zadanie tobie. W najgorszym razie twoja czujność przeszkodzi mu w taki sam sposób, w jaki on ma nadzieję przeszkodzić mnie.

Patrząc w ogień, Shimrod przybrał srogą minę.

– Może mądrzej byłoby go zniszczyć raz na zawsze.

– Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Uważano by mnie za tyrana i wówczas inni czarnoksiężnicy mogliby się obrócić przeciwko mnie, a skutków tego nie sposób przewidzieć.

– Jak w takim razie mam go obserwować? Czego mam szukać?

– Udzielę ci instrukcji w odpowiednim czasie. Powiedz mi teraz, co się dzieje w Południowych Ulflandach?

– Nie ma za bardzo o czym mówić. Aillas ćwiczy armię niezdarnych prostaków i osiągnął niebывały sukces; teraz, gdy wykrzykuje: „Na prawo marsz!”, większość z nich go słucha. Próbowałem nawiązać towarzyskie stosunki z Melanthe; bez rezultatu jednak. Mówi, że jestem

przeintelektualizowany. Mógłbym bez wątpienia zdobyć jej przychylność, gdybym zgodził się zostać czwartym głosem w jej chórze.

– Interesujące! Zatem Melancthe jest muzykalna?

Shimrod opowiedział mu o zdarzeniach w noc ubywającego księżyca.

– Melancthe jest pogrążona w smutku, gdyż nie potrafi ustalić swojej tożsamości – zauważył Murgen. – Desmei celowo uczyniła ją pustą, aby wziąć odwet na mężczyznach.

Shimrod popatrzył w ogień groźnym wzrokiem.

– Nie będę więcej o niej myślał. Jest jaka jest.

– Mądra decyzja. A co do Tamurella... – Murgen wydał mu polecenia, po czym wir powietrza ponownie poniósł Shimroda, tym razem jednak na południe i wschód, do Trildy, jego siedziby na skraju puszczy Tantrevalles.

V

Przez Lyonesse, od Przylądka Pożegnań na zachodzie, do Bulmer Skeme na wschodzie, biegł starożytny szlak, znany jako Stary Trakt. W połowie jego długości, niedaleko wioski Tawn Twillett, odchodziła na północ wiejska droga, która wiodła to w górę, to w dół, przez doliny i wzgórza, wzdłuż szpalerów żywopłotów z głogu i starych kamiennych płotów, obok sennych zagród i przez niewielki kamienny most nad rzeką Sipp. Wkroczywszy do puszczy Tantrevalles, przez następną milę wiła się raz w słońcu, raz w cieniu, mijała siedzibę Shimroda – Trildę, i kończyła się u przystani drwała nad Lally Water.

Trildę – dwór z kamienia i drewna z ogrodem kwiatowym – zdobiło sześć okien mansardowych z wysokimi szczytami, po dwa w każdej sypialni od frontu. Na parterze znajdował się westybul, dwa salony, jadalnia, cztery komnaty sypialne, biblioteka, pracownia, kuchnia z przyległą spiżarnią i lodownią oraz kilka komfortowo urządzonych izb. Na ogród przed domem wychodziły cztery okna wykuszowe z kryształowymi szybami. Szyby we wszystkich oknach zostały zaczarowane, dzięki czemu przez cały czas były błyszczące i czyste, bez śladu brudu, cętek pozostawionych przez muchy, smug czy kurzu.

Trildę zaprojektował Hilario, pomniejszy czarodziej o osobliwych pomysłach, a zbudowała ją w ciągu jednej nocy grupa goblinów-cieśli, którzy swoją zapłatę odebrali w serze. Później stała się własnością Murgena, który w końcu podarował ją Shimrodowi. Ogrodem i utrzymywaniem porządku w pokojach pod nieobecność właściciela zajmowała się para starych wieśniaków, którzy unikali jedynie pracowni, jak gdyby czyhały tam na nich demony, o czym z ogromnym trudem przekonał ich Shimrod. Stworzenia, które rzeczywiście tam się znajdowały – z błyszczącymi kłami i uniesionymi wysoko w górę czarnymi ramionami – chociaż przypominały demony, były po prostu nieszkodliwymi chimerami.

Przybywszy do Trildy, Shimrod znalazł wszystko w najlepszym porządku. Służba utrzymywała dom w idealnej czystości, na parapetach nie widać było nawet jednej martwej muchy. Meble błyszczały od pszczelego wosku i cierpliwego polerowania; w komodach i szafach leżała pachnąca lawendą świeża bielizna.

Jedynym zarzutem, jaki mógł postawić służącym, była ich przesadna wręcz gorliwość w wykonywaniu swoich obowiązków. Otworzył na oścież drzwi i okna, żeby powietrze znad łąki wywiało zapach stęchli-zny powstały podczas jego nieobecności, potem zaś, przechodząc od pokoju do pokoju, to coś przeniósł, to przesunął, zakłócając bezlitosny ład wprowadzony przez służbę.

Wszedłszy do kuchni, rozpalił ogień i zaparzył dzbanek naparu z ziół. Zmieszał szantę, dobrą na

serce, miętę dla aromatu i werbenę cytrynową dla smaku, po czym zaniósł napój do salonu dziennego.

W Trildzie panowała cisza. Znad łąki dobiegały trele skowronka. Gdy ptak umilkł, cisza wydała się jeszcze głębsza niż przedtem.

Shimrod pił napój małymi łykami. Dawniej, jak sobie przypominał, samotność była przygodą i jako taka bardzo go cieszyła. Od tego czasu wydarzenia zmieniły go; odkrył w sobie zdolność do miłości, później przyzwyczał się do wesołego towarzystwa Dhrua i Glyneth, a ostatnio – do obecności Aillasa.

Melanthe? Wydał niejasny pomruk. W przypadku Melanthe słowo „miłość” miało najbardziej wątpliwe zastosowanie. Piękno wzbudzało zachwyt i erotyczną tęsknotę, na tym polegała jego organiczna funkcja, ale samo w sobie nigdy nie mogło wzbudzić miłości – zapewniał siebie. Melanthe była pustą w środku muszlą. Nie była niczym innym, jak tylko ciepłym, żywym symbolem wielkiej siły. Przeintelektualizowanie? Prychnął oburzony. Czy spodziewała się, że nie będzie myślał?

Wypił łyk ziółek. Nadszedł czas, żeby odsunąć od siebie tę obsesję i zająć się planem przedstawionym przez Murgena, pracą, która może zaabsorbuje go bardziej, niż się spodziewał, tak że z tęsknotą będzie wracał pamięcią do tego spokojnego interludium.

– Ściągniesz na siebie uwagę Tamurella – polecił mu Murgen. – W niezwykle zuchwały sposób będziesz przeszkadzał mu w pracy, czym wywołasz jego gniew. Wbrew pozorom, twoje działania nie będą błahe, nie popełnij więc błędu! Tamurello znajdzie sposób, brutalny lub wyrafinowany, by się zemścić, i dlatego musisz być przygotowany na to, że nie raz wprawi cię w zdumienie!

Shimrod odstawił napar z ziół, który już go nie uspokajał. Przeszedł do pracowni, odprawił strażników i wszedł do środka. Pokój ten został trafnie nazwany. Panował w nim taki bałagan, że trzeba było włożyć dużo pracy w doprowadzenie go do porządku. Na centralnie ustawionym stole leżały materiały i instrumenty skonfiskowane w Tintzin Fyral – sprzęt magiczny, *materia magica*, książki i przedmioty osobistego użytku, które należało przejrzeć, posortować, a następnie zatrzymać albo wyrzucić.

Najpilniejszym zadaniem było wysłanie czujek, które – zgodnie z żądaniami Murgena – miały bacznie obserwować zachowanie Tamurella. Urządzenia te, gdyby Tamurello je zauważył, co zresztą było nieuniknione, miały odciągnąć jego uwagę od śmiałych i aroganckich intryg. Tak brzmiała teoria Murgena, a Shimrod nie miał powodów, by w nią nie wierzyć, może z wyjątkiem jednego – stawiała go w pozycji kozła ofiarnego rzuconego na pożarcie lwom. Murgen starał się rozwiać jego obawy, mówiąc:

- Trzeba ukrócić zuchwalstwo Tamurella, a taki skutek przyniesie nasz plan.
- Gdy poczuje dreszczyk strachu, po prostu zastosuje inną taktykę lub jeszcze sprytniejszy fortel – sprzeciwił się Shimrod.
- Jednak zostanie powstrzymany i nie będzie mógł zrealizować swoich naprawdę imponujących przedsięwzięć, a tych obawiam się najbardziej.
- A zanim mu się to uda, z przyjemnością będzie się mścił, wyrządzając mnóstwo pomniejszych szkód w taki sposób, że nie będzie go można o nie oskarżyć.
- Osądzimy jego występki i odpowiednio go za nie ukarzymy, a wkrótce zostanie okrzyknięty „najpotulniejszym z potulnych”.
- Tamurello nie należy do tych, których można zmienić – odburknął Shimrod. – Pewnie wyśle sandestina, żeby wpuścił do mojego łóżka jelonki.
- Wszystko jest możliwe – zgodził się Murgen. – Na twoim miejscu zdwoiłbym czujność. Niebezpieczeństwom, które dadzą się przewidzieć, można skutecznie stawić czoło.

Mając w pamięci słowa Murgena, Shimrod oplótł Trildę pajęczyną niewidocznych czujek, chcąc choć trochę się zabezpieczyć. Potem, wróciwszy do pracowni, usunął wszystkie przedmioty z jednego ze stołów i rozciągnął na nim zwój płowozółtego pergaminu, w który wyposażył go Murgen.

Papier połączył się z dębowym blatem stołu, tworząc jedną ogromną mapę wysp Elder, na której każda posiadłość zaznaczona była innym kolorem. W miejscu, gdzie leżała rezydencja Tamurella – Faroli, jaśniało małe niebieskie światełko, wskazując, że gospodarz jest w domu. Jeśli Tamurello opuściłby swoją posiadłość i udał się w krótszą lub dłuższą podróż, niebieskie światełko podążyłoby jego śladem. Shimrod poprosił Murgena o więcej takich światełek, żeby mógł poznać ruchy innych osób, ale Murgen nie chciał nawet o tym słyszeć.

– Musisz skoncentrować swoją uwagę na Tamurellu, nie powinieneś myśleć o nikim innym.

Shimrod nie dawał jednak za wygraną.

– Powinniśmy w pełni wykorzystać to urządzenie. Przyjmijmy, że miejsce twojego pobytu zaznaczymy czerwonym światełkiem. Założmy następnie, że jedna z dam twego serca zwabi cię i zamknie w lochu. Cóż wtedy? Dzięki niemu będę mógł cię łatwo odszukać i uwolnić, nie narażając cię na zbyt duże nieprzyjemności.

– Taka ewentualność nie wchodzi w rachubę.

Mapa została więc wyposażona w tylko jedno światełko. Zgodnie z jego wskazaniem, Tamurello przebywał wciąż w Faroli.

Mijały dni. Shimrod doskonalił swoje techniki nadzoru, korzystając z nie rzucających się w oczy środków, które Tamurello mógł zignorować, gdyby tylko zechciał, zachowując przy tym swoją godność.

Tamurello jednak nie zamierzał z godnością tolerować nadzoru prowadzonego przez Shimroda i wypróbował na nim kilka zręcznych sztuczek, które dzięki systemowi ochrony zostały unieszkodliwione. Między innymi usiłował oślepić czujki optyczne i zniszczyć podsłuch w muszlach za pomocą silnego natężenia dźwięku.

Shimrod, który z coraz większą przyjemnością wykonywał powierzone mu zadanie, wprowadził całkowicie nowy system czujek, czym przysporzył Tamurellowi nowych zmartwień. Wydawało się, że strategia Murgena, polegająca na skupieniu energii Tamurella na drobnych kłopotach, odniosła sukces.

Zbliżała się kolejna noc ubywającego księżyca i myśli Shimroda nieodparcie biegły do białej willi nad oceanem. Przez krótką chwilę rozważał możliwość ponownej wizyty o północy na wrzynającym się w morze występie skalnym, lecz myśl ta zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, zostawiając go z niepożądanymi obrazami i zapachem fiołków.

Próbował odpędzić od siebie te wizje.

– Precz! Wynocha! Rozpłyńcie się w próżni i nie wracajcie nigdy więcej, żeby mnie niepokoić! Gdyby to nie było niedorzecznością, pomyślałbym, że to jeszcze jedna ze sztuczek Tamurella, którymi próbuje zwieść mnie, tak jak ja jego!

Tej nocy Shimrod stał się niespokojny i wyszedł z domu, popatrzyć na księżyc w nowiu. Na łące panowała cisza, w oddali słychać było tylko cykanie świerszczy i rechot żab. Przeszedł przez łąkę do starej przystani nad Lally Water, gdzie widać było księżyc, który rozpoczął już swoją wędrówkę w dół. po niebie. Woda była ciemna i spokojna, i gdy wrzucił do niej kamyczek, rozchodzące się drobne fale zamigotały w srebrnej poświacie... Nagle jedna z unoszących się nad jego głową czujek ostrzegła go:

– Ktoś znajduje się w pobliżu; magia pojawiła się i zniknęła! Shimrod obrócił się i nie zdziwił się zbyt, gdy zobaczył przy

brzegu niewielką postać w białej sukni i czarnym płaszczu – Melanthe.

Stała spoglądając w górę na księżyc i zdawała się go nie zauważać. Odwrócił się z powrotem, nie poświęcając jej więcej uwagi. Melanthe przeszła wzdłuż przystani i stanęła obok niego.

– Nie wydajesz się zdziwiony, że jestem tutaj?

– Zastanawiam się tylko, w jaki sposób Tamurello nakłonił cię, do tego byś tu się zjawiała.

– Nie miał z tym większych trudności. Prawdę mówiąc, przybyłam z własnej woli.

– Dziwne! Dzisiejszej nocy powinnaś śpiewać ze swoimi przyjaciółmi na skałach.

– Zdecydowałam się więcej tam nie chodzić.

– Dlaczegoż to?

– To proste. Miałam do wyboru: żyć albo umrzeć. Wybrałam życie, co zmusiło mnie do dokonania kolejnych wyborów: czy mam żyć dalej jak wyrzutek i śpiewać na skałach, czy też powinnam upodobnić się do rodzaju ludzkiego? Zdecydowałam się zmienić.

– Nie uważasz się za istotę ludzką?

– Tamurello powiedział mi, że jestem nieokreślonym stworzeniem w kobiecej postaci, nie posiadającym zbyt dużej energii. – Odrzekła cicho Melanthe i spojrzała Shimrodowi w oczy. – A co ty o tym sądzisz?

– Myślę, że Tamurello słucha nas teraz i uśmiecha się. Czujko! Popatrz uważnie w górę i w dół; czy coś nas podsłuchuje lub obserwuje?

– Niczego nie wyczuwam. Shimrod chrząknął z powątpiewaniem.

– A jakie instrukcje dał ci Tamurello?

– Powiedział, że większość ludzi jest bezdennie głupia, gburowata i ordynarna, oraz że przynajmniej tyle mogłabym się od ciebie nauczyć.

– Może innym razem. Teraz, Melanthe, muszę cię pożegnać. Dobranoc.

– Zaczekaj, Shimrodzie! Mówiłeś mi, że jestem piękna i że chciałbyś mnie całować. Dzisiejszej nocy przybyłam do Trildy, lecz tym razem to ty się wycofujesz. To dziwna sprzeczność.

– Wcale nie. Jestem zaskoczony i ostrożny. Motywy działania Tamurella są aż nadto wyraźne, ale twoje nie są tak oczywiste. Myślę, że przesadziłaś, mówiąc o mojej ordynarności i głupocie. A teraz, Melanthe, jeśli pozwolisz...

– Dokąd idziesz?

– Wracam do Trildy, a dokąd miałbym iść?

– I zostawisz mnie samą w ciemnościach?

– Bywałam już przedtem sama w ciemnościach.

– Zabierz mnie ze sobą do Trildy, bo nie mam dokąd pójść. I, jak już mówiłam, przysłam tu z własnej woli.

– Niewiele jest w tobie ciepła. Odnoszę raczej wrażenie, że założyłaś jakiś żelazny pancerz, żeby podołać temu ogromnemu wyzwaniu.

– To dla mnie nowe doświadczenie.

– Powitałbym cię z o wiele większą radością, gdybyś nie kazała służącej zatrzasnąć mi przed nosem drzwi. – Shimrod z wysiłkiem panował nad swoim głosem. – Taki postępek wiele mówi o usposobieniu drugiej osoby.

– Może i tak, ale wniosek wysnuty z tego zdarzenia mógłby być fałszywy. Nie zapominaj, że to ty wdarłeś się do mego życia i zdręczałeś mnie swoimi namowami. W końcu zdecydowałam się i oto jestem tu, na twoje żądanie.

– Na żądanie Tamurella. Melanthe uśmiechnęła się.

– Ja jestem ja, a ty jesteś ty. Co nas obchodzi Tamurello?

– Czy twoja pamięć jest aż tak krótka? Mam powody do niepokoju. Melanthe przeniosła wzrok na wodę.

– Tamurello nie dał mi żadnych rozkazów. Powiedział, że jesteś tu, w Trildzie, i stajesz się dokuczliwy. Powiedział, że gdyby nie Murgen, już dawno posłałby cię na drewnianym koźle na księżyc. Powiedział też, że byłby zadowolony, gdybym tak cię oczarowała i zamroczyła, żeby oczy wyszły ci z orbit i żebyś zasnął przy śniadaniu z głową w owsiance. Stwierdził, że masz ograniczony umysł, potrafisz myśleć tylko o jednej sprawie naraz i gdybym była w Trildzie, zapomniałbyś o wścibianiu nosa w nie swoje sprawy, ku jego ogromnemu zadowoleniu. Teraz wiesz już wszystko.

– Mam nadzieję, że tak. – Shimrod spojrział ponuro w przestrzeń nad wodą. – Zastanawiam się, jakie jeszcze oszczerstwa mógłbym usłyszeć w ciągu kolejnych pięciu minut.

Melanthe odsunęła się o krok do tyłu.

– Cóż więc, oto jestem. Co mam zrobić? Odejść? Poradź się swego rozumu, może tam znajdziesz odpowiedź.

– Już się zdecydowałem – odpowiedział Shimrod. – Możesz pójść ze mną do Trildy. – I dodał groźnie, z naciskiem: – Przekonamy się, kto u kogo wywoła większe roztargnienie. Już ja się postaram, aby Tamurello miał każdego ranka wesołą pobudkę... Popatrz na księżyc; już zachodzi. Czas, żebyśmy wrócili do Trildy.

Bez słowa udali się w powrotną drogę, podczas której przyszła Shimrodowi do głowy nowa, niepokojąca myśl: czy ta postać idąca obok niego, używająca imienia Melanthe, mogła ukrywać inną, która w odpowiednim momencie odkryje przed nim swoją prawdziwą twarz, by w ten sposób ukarać go za jego zuchwałe postęпки? Na pozór obawa ta wydawała się uzasadniona, ale na szczęście sztukę taką z łatwością można było odkryć.

Gdy znaleźli się w salonie w Trildzie, Shimrod nalał do kieliszków wina z granatów.

– Zapach ten, jak ty, jest zarazem słodki i cierpki, niepokojący, tajemniczy i niejednoznaczny... Chodź! Pokażę ci Trildę.

Najpierw zaprowadził ją do jadalni („Dębina pochodzi z drzewa, które rosło w tym właśnie miejscu”, poinformował ją), a potem do pokoju przyjęć („Zwróć uwagę na gobeliny w kartuszach; zostały utkane w starożytnej Partii”) i na koniec do pracowni. Tu natychmiast podszedł do mapy. Niebieski punkcik świecił w miejscu, w którym daleko na północy Dahautu leżało Faroli. W ten sposób jedno z podejrzeń, że kobieta u jego boku mogła być tym hermafrodytą Tamurellem, rozwiało się. Najwyraźniej nie o to w tym wszystkim chodziło.

Melanthe zaglądała to tu, to tam, bez większego zainteresowania. Shimrod pokazał jej kilka swoich instrumentów, po czym zatrzymał się przed wysokim lustrem, które odbiło jej postać w najmniejszych szczegółach. Kolejna z jego obaw okazała się nieuzasadniona. Gdyby była demonem w kobiecym ciele lub harpią, to w lustrze pojawiłoby się prawdziwe oblicze tej kreatury.

Melanthe z dużym zainteresowaniem przyglądała się temu przedmiotowi.

– To magiczne lustro – wyjaśnił Shimrod. – Widzisz w nim odbicie zgodne z twoim własnym obrazem samej siebie. Możesz też powiedzieć: „Lustro, pokaż mi, jak mnie widzi Shimrod!” albo: „Lustro, pokaż mi, jak mnie widzi Tamurello!” i zobaczysz siebie w trzech różnych postaciach.

Melanthe odsunęła się, nie podejmując takiej próby. Shimrod spojrział na lustro kątem oka.

– Mógłbym z łatwością stanąć przed lustrem i zapytać „Lustro pokaż mi, jak mnie widzi Melanthe!”, ale szczerze mówiąc, brakuje mi odwagi.

– Wyjdźmy z tego pomieszczenia – powiedziała Melanthe. – Panuje tu zbyt naukowa atmosfera.

Wrócili do małego salonu. Shimrod rozpałił ogień na kominku, a potem odwrócił się i spojrział

badawczo na swojego gościa.

– Jesteś taki melancholijny – odezwała się swoim cichym głosem Melanthe. – Co cię gnębi?

Shimrod stał, wpatrując się w płomienie.

– Mam pewien dylemat. Czy miałabyś ochotę posłuchać o tym?

– Oczywiście, że tak.

– Zaledwie kilka tygodni temu Shimrod odwiedził Melanthe w Ys, żeby odnowić ich znajomość i być może przekonać się, że odwzajemnia jego zainteresowanie, które mogłoby wzbogacić ich życie. W rezultacie Melanthe z pogardą zaryglowała przed nim drzwi. Dzisiejszej nocy Shimrod przechadzał się nad Lally Water, obserwując zachód księżyca. Zjawiała się Melanthe, lecz teraz role się odwróciły i to ona goni za Shimrodem, chcąc oczarować go i doprowadzić do stanu zamroczenia, by zaprzestał molestować jej przyjaciela Tamurella. Być może z obłudną szczerością przytoczyła niepochlebną opinię Tamurella o Shimrodzie, który teraz musiałby zapomnieć o poczuciu godności osobistej, gdyby chciał pójść za głosem serca i ulec wdziękowi Melanthe. Jeśli okaże się nieugięty i każe Melanthe opuścić Trildę, czyniąc jej przy tym wyrzuty, na jakie zresztą zasłużyła, to zyska sobie miano nadętego, upartego głupca. Jego dylemat zatem nie polega na tym jak lub czy w ogóle zachować dumę, godność i szacunek dla samego siebie, lecz w jaki sposób ich się pozbyć.

– Jak długo zamierzasz się nad tym zastanawiać? – zapytała Melanthe. – Ja nie wiem, co to poczucie własnej godności i mogę podejmować decyzje natychmiast, zgodnie z tym, co czuję.

– Może mimo wszystko jest to najlepszy sposób. Mój charakter jest niezwykle silny, a wola nieugięta jak stal. Nie widzę jednak powodu, dla którego miałbym demonstrować ich moc.

– Z kominka bucha żar i w pokoju zrobiło się ciepło. Shimrodzie, pomóż mi zdjąć płaszcz.

Podszedł do niej, rozpiął zapinkę przy jej szyi i jakimś dziwnym sposobem na podłogę wraz z płaszczem opadła jej suknia. Stała przed nim naga, w świetle ognia. Shimrod pomyślał, że nigdy przedtem nie widział nic tak pięknego. Objął ją. Jej ciało najpierw zeszywniało, a potem stało się uległe. Ogień zaczął dogasać.

– Boję się – powiedziała ochryłym głosem Melanthe.

– Czego?

– Kiedy spojrzałam w lustro, nie zobaczyłam swojego odbicia.

VI

Dni płynęły cicho i spokojnie, nie różniąc się od siebie, bez jakichkolwiek zdarzeń. Czasami Shimrod odnosił wrażenie, że Melanthe próbowała drażnić się z nim i prowokować go, ale on przez cały czas zachowywał stoicki spokój, więc między nimi wszystko układało się dobrze. Melanthe wydawała się zadowolona i była uległa, nawet bardziej niż uległa, w każdej chwili gotowa zaspokoić jego każdą erotyczną zachciankę. Ze złośliwą satysfakcją przypominał sobie teraz wydarzenia z przeszłości – jej roztargnione zachowanie, gdy zjawiała się w jego snach; jej znudzenie w czasie jego wizyt w białej willi; zamykanie przed nim drzwi... A teraz! Jego najśmielsze miłosne fantazje stały się rzeczywistością.

Dlaczego? Pytanie to ciągle powracało i wprawiało go w zakłopotanie. Tkwiła w tym jakaś tajemnica. Shimrod nie mógł zrozumieć, jakie korzyści miał z tego układu Tamurello. Zgodnie z tym, co pokazywało niebieskie światelko, nie ruszał się z Faroli.

Sama Melanthe niechętnie udzielała jakichkolwiek informacji, a Shimrodowi duma nie pozwalała na zmianę postawy dwornego spokoju i stawianie obcesowych pytań.

Co pewien czas, w trakcie rozmów, zadawał jej jakieś jedno, czy dwa pytania, ale Melanthe zwykle patrzyła na niego pustym wzrokiem, czasami uciekała się do jakiegoś wybiegu lub, co gorsza, oskarżała go o nadmierny intelektualizm.

– Jeśli mam coś zrobić, robię to natychmiast. Gdy śwędzi mnie nos, drapię się po nim, nie analizując w nieskończoność tej sytuacji.

– Możesz się drapać do woli, tak długo jak ci to będzie sprawiać przyjemność – odrzekł niezbyt grzecznie Shimrod.

W miarę upływu czasu obecność Melanthe spowszedniała mu, choć jej namiętność, może z powodu nudy, z dnia na dzień rosła, aż przerosła wreszcie umiejętności Shimroda, wywołując u niego poczucie winy i wprawiając go w zakłopotanie. Gdyby tylko chciał, mógłby skorzystać z różnych środków, żeby temu zaradzić. Dostępny był mu na przykład eliksir o nazwie „Niedźwiedzica”, żartobliwie nawiązującej do gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy, znajdującego się zawsze w górze, w dzień i w nocy. Znał także magiczny urok, równie skuteczny, popularnie zwany „Feniksem”.

Shimrod nie chciał jednak skorzystać z pomocy tych środków. Z kilku powodów. Po pierwsze, już i tak poświęcał Melanthe więcej czasu, niż początkowo zamierzał, a seks pochłaniał dużą część jego energii, powodując zmęczenie, które uniemożliwiało mu systematyczny nadzór nad Tamurellem. Po drugie – i była to okoliczność, której nie przewidział – prymitywne kopulowanie, pozbawione radości i wzajemnych uczuć, stopniowo zaczęło tracić wiele ze swego uroku. W końcu zaczął podejrzewać, że jest dla Melanthe nie dość sprawnym partnerem i że nie kocha się z nią tak często, jakby tego chciała. Jego duma nie pozwalała mu dopuścić do siebie tej myśli; to, co satysfakcjonowało inne jego kochanki, musiało również wystarczyć Melanthe.

Minął miesiąc, a potem drugi. Każdego ranka, po jednym lub kilku stosunkach, Shimrod i Melanthe jedli śniadanie złożone z owsianki ze śmietanką i surowymi czerwonymi porzeczkami lub z placków z masłem i konfiturą z wiśni albo z miodem, czy też z szynki, rzeżuchy i gotowanych jajek, a najczęściej z pół tuzina pieczonych przepiórek lub kilku pstrągów bądź łososia duszonego w sosie koperkowym ze świeżym chlebem, mlekiem i jagodami. Posiłki przygotowywała i podawała para bladych fallojów*, która następnie sprzątała brudne talerze, kubki i deseczki do krojenia chleba.

*Falloj – istota bardzo podobna do elfa, jednak większa i o wiele łagodniejsza.

Po śniadaniu Shimrod powinien się udać do pracowni, lecz o wiele częściej ucinął sobie na kanapie godzinną lub dwugodzinną drzemkę, a Melanthe w tym czasie włóczyła się po łące. Czasami siadywała w ogrodzie i uderzała w struny lutni, wydobywając z nich wymyślne dźwięki, w których Shimrod nie mógł doszukać się żadnej harmonii, ale które jej sprawiały przyjemność.

Po dwóch miesiącach Shimrod stwierdził, że nastroje Melanthe stały się tak zagadkowe, jak w dniu, w którym się zjawiła. Coraz częściej siadał obok niej, rzucając na nią z ukosa ukradkowe spojrzenia, pełne zdumienia i zamyślenia. Ten zwyczaj najwyraźniej ją irytował, aż któregoś ranka skrzywiła się nagle i zapytała kategorycznym tonem:

– Przyglądasz mi się jak ptak obserwujący owada. Dlaczego to robisz?

Shimrod zebrał wreszcie myśli i odpowiedział:

– Przede wszystkim przyglądam ci się dla czystej przyjemności. Jesteś bezsprzecznie najpiękniejszym żywym stworzeniem!

– Czy ja żyję? – wymamrotała bardziej do siebie niż do niego Melanthe. – Może nawet nie istnieje.

Shimrod zareagował na to w swój dziwny sposób, który tak bardzo złościł Melanthe, chociaż nie tak bardzo, jak jego logiczne wywody: .

– Żyjesz. W przeciwnym bowiem razie byłabyś martwa, a ja byłbym nekrofilem. Tak jednak nie jest, dlatego żyjesz. Gdybyś nie istniała, nie miałabyś ciała i twoje ubranie (Melanthe miała na sobie szare wiejskie bufiaste spodnie i koszulę) spadłoby na ziemię. Czy jesteś zadowolona?

– W takim razie, dlaczego lustro nie pokazało mojego odbicia?

– Patrzyłaś w nie ostatnio?

– Nie. Lękam się tego, co mogłabym w nim zobaczyć lub czego bym nie zobaczyła.

– Lustro pokazuje ci, jak postrzegasz samą siebie. Nie widzisz się, ponieważ Tamurello odebrał ci wizję własnej osoby, żebyś była mu posłuszna. Takie przynajmniej są moje przypuszczenia. Skoro nie chcesz mi zaufać, to nie mogę ci pomóc.

Melanthe spojrzała na łąkę i niechętnie powiedziała prawdopodobnie więcej niż chciała:

– Rada mężczyzny tylko by mnie osłabiła. Shimrod zmarszczył brwi.

– Dlaczego tak by miało być?

– Bo tak jest.

Shimrod nic nie odpowiedział. Po chwili Melanthe krzyknęła:

– Znów na mnie patrzysz!

– Tak. W zdumieniu. Ale teraz wreszcie zaczynam się domyślać, czego mi nie powiesz i dłużej już nie będę musiał się nad tym zastanawiać; myślę, że wiem.

– Czy ty w ogóle robisz cokolwiek innego poza myśleniem? Masz w głowic cały świat, będący li tylko twoim dziwacznym urojeniem. Ale co ty tak naprawdę wiesz?

– Żeby ułatwić dyskusję, ograniczmy nasze uwagi do twojej obecności w Trildzie. Tamurello przysłał cię tutaj, żebyś rozproszyła moją uwagę. Jest to tak oczywiste, jak dwa razy dwa jest cztery. Czy mam rację?

– Nigdy nie uwierzyłyś w nic innego, bez względu na to, co bym ci powiedziała.

– Jesteś bystra. Oczywiście, że nie mam racji. Unikasz odpowiedzi na moje pytania, aby mnie okpić. Dlaczego miałbym być zdziwiony? Już wcześniej wystrychnęłaś mnie na dudka. Teraz poznałem się na tobie.

– Nie znasz mnie tak dobrze, jak przypuszczasz. Nawet nie tak, jak przypuszczasz, że przypuszczasz! Myślisz, zastanawiasz się, nawet wtedy, gdy leżymy w miłosnym uścisku słyszę, jak myśli kołaczą się w twojej głowie!

Zdziwiony jej gwałtownością zdołał tylko powiedzieć:

– Pomimo wszystko wreszcie cię zrozumiałem.

– Jesteś uosobieniem czystego rozumowania.

– Mylisz się! Powinnaś wreszcie zrozumieć swój błąd. Nie mam serca, żeby ci wszystko powiedzieć, zwłaszcza teraz, gdy jesteś rozłoszczona. Wygrałaś wojnę erotyczną; kobiecość zatriumfowała nad męskością! Ciesz się zwycięstwem, ale co dalej? Nie powiem nic więcej.

– Nie! – krzyknęła Melanthe. – Posunąłeś się za daleko. Teraz musisz powiedzieć więcej!

Shimrod wzruszył ramionami.

– Zdecydowałaś się nie śpiewać więcej ze swymi przyjaciółmi ze skał i postanowiłaś przyłączyć się do rodzaju ludzkiego, ale teraz, chcąc nie chcąc, jesteś zmuszona postąpić zgodnie z rolą, jaką narzuciła ci Desmei. Przyszedłem do twojej willi i wzbudziłem w tobie wrogość. Podejrzewam, że było to dziwne, gorzkie, a zarazem słodkie uczucie; lubiłaś mnie i nie lubiłaś. W każdym razie stałem się twoim pierwszym antagonistą. Czy pokonałaś mnie? Możesz myśleć, co chcesz. Nie powiem już nic więcej, tylko to: tolerujesz Tamurella, bo nie jest prawdziwym mężczyzną; dlatego nie jest twoim antagonistą. – Shimrod podniósł się. – Wybacz. Zaniedbałem ostatnio moje obowiązki i muszę do nich powrócić.

Shimrod przeszedł do swojej pracowni. Na stołach panował porządek; pokój ten znów stał się miłym miejscem do pracy, chociaż w ciągu ostatnich dwóch miesięcy zrobił tu niewiele.

Tego dnia jego pierwsze zadanie dotyczyło czarodzieja Baibalidesa, który mieszkał w domu z czarnej skały na wyspie Lamneth, położonej sto jardów od wybrzeża Wysrodu. Otworzył szafkę i wydobyl z niej pudełko, z którego wyjął maskę przedstawiającą Baibalidesa. Następnie postawił na postumencie czaszkę, a maskę umieścił nad nią. Maską natychmiast ożyła. Oczy zamrugwały, usta otworzyły się i język zwilżył wargi. Shimrod zawołał:

– Baibalidesie, czy mnie słyszysz? To ja, Shimrod.

– Słyszę cię, Shimrodzie. Czego ode mnie chcesz? – odpowiedziały usta Baibalidesa usta maski.

– Mam tu przedmiot, który zabrałem z Tintzin Fyral. Jest to rurka z kości słoniowej z wyrzeźbionymi po jednej stronie dziwnymi runami, a po drugiej z literami oznaczającymi twoje imię. Zastanawiam się, do czego ona służy i czy uważasz ją za swoją własność, czy też może jest to twój podarunek dla Tamurella albo Faude Carfilhiota.

– Dobrze znam ten magiczny przyrząd – odrzekł Baibalides. – Jest to Świadek Tysiąclecia Gantwina. Przedstawia wydarzenia ostatniego tysiąca lat z każdego miejsca w polu swego widzenia. Straciłem go, gdy przegrałem zakład z Tamurellem, który najwidoczniej podarował go potem Carfilhiotowi. Jeśli nie jest ci potrzebny, chętnie go odbiorę. Jest to bezcenna rzecz, gdy ktoś próbuje odnaleźć zakopane skarby, poznać czyny zmarłych bohaterów albo, co jest bardziej praktyczne, ustalić ojcostwo. O ile sobie przypominam, zaklęcie, które go uruchamia, składa się z trzech mocnych dmuchnięć i tremola.

– Przedmiot ten ponownie należy do ciebie – powiedział Shimrod. – Czy jeśli kiedyś będę go potrzebował, pozwolisz mi z niego skorzystać?

– Z przyjemnością! – odparł ochotczo Baibalides. – Powrót tego przyrządu sprawi mi ogromną radość, gdyż jestem przekonany, że Tamurello oszukał mnie w czasie naszego zakładu.

– To jest możliwe. Tamurello jest człowiekiem o szczególnych upodobaniach. Ze zwykłej przewrotności woli zło od dobra. Któregoś dnia posunie się za daleko wobec Murgena.

– I ja tak sądzę. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu uczestniczyłem w zgromadzeniu na górze Khambaste w Etiopii, gdzie kiedyś zamieszkiwał Tamurello. W czasie ważnej narady obraził wiedźmę z Circassu, która z tego powodu chciała zniszczyć go za pomocą „Błękitnej Klątwy” i Tamurello był zmuszony przyznać się do winy, chociaż później rzucił na tę wiedźmę urok długich paznokci u nóg i od tej pory musi ona nosić specjalne buty.

Informacja ta zwróciła uwagę Shimroda.

– W ubiegłym tygodniu, powiadasz? A dokąd udał się Tamurello po zakończeniu tej narady?

– Chyba wrócił do Faroli, nie jestem pewien.

– Nieważne. Dopilnuję, żebyś otrzymał swoją rurkę jak najszybciej.

– Dziękuję ci, Shimrodzie!

Maska straciła swoją żywotność. Shimrod włożył ją i czaszkę z powrotem do szafki. Podeszedł do swojej mapy i przyjrzał się uważnie niebieskiemu punktowi świetlnemu, który jednoznacznie wskazywał na pobyt Tamurella w Faroli przez ostatnie dwa miesiące. Przyjrząwszy się baczniej mapie, odkrył przyczynę. Do mapy został przyklejony mały kawałek błony, który unieruchamiał niebieskie światelko.

Odwróciwszy się wolno od stołu, sprawdził każdy z pozostałych przyrządów, które w jego przekonaniu czujnie śledziły wszystkie ruchy Tamurella. Każdy z nich, w taki czy inny sposób, został unieruchomiony i na pierwszy rzut oka nie można było tego zauważyć.

Shimrod obudził Facque'a, sandestina, który przebrany za gargulca wyrzeźbionego nad

kominkiem, strzegł pracowni przed intruzami.

– Śpisz, Facque?

– Oczywiście, że nie.

– Dlaczego nie strzegłeś dobrze pracowni?

– Proszę, nie mogę odpowiadać na pytania z przeczeniem. Jest wiele rzeczy, których nie zrobiłem. Moglibyśmy rozmawiać całą wieczność, a ja wyliczałabym czyny, których nie popełniłem.

– W takim razie, czy obserwowałeś uważnie pracownię? – zapytał cierpliwie Shimrod.

– Tak, oczywiście.

– Dlaczego nie ostrzegłeś mnie przed intruzami? Facque ponownie zaprotestował rozdrażnionym głosem:

– Czy musisz w kółko zadawać źle sformułowane pytania?

– Czy zauważyłeś nieproszonych gości, lub lepiej: kto w ciągu ostatnich dwóch miesięcy wchodził do pracowni?

– Ty, Murgen i kobieta, która została tu przysłana, żeby cię omamić i ogłupić.

– Czy kobieta ta wchodziła tu sama, kiedy mnie nie było?

– Kilka razy.

– Czy dotykała mapy i przyrządów?

– Unieruchomiła światelko i majstrowała coś przy innych urządzeniach.

– Czy zrobiła coś jeszcze?

– Zrobiła rylcem znaki w twojej *Księdze Logotypów*.

– Nic dziwnego, że moje czary były ostatnio tak mało skuteczne! -zawołał z przerażeniem Shimrod. – Co jeszcze?

– Nic ważnego.

Shimrod usunął błonę z mapy. Niebieskie światelko, jak gdyby chcąc rozładować zbyt długo tłumione napięcie, natychmiast zaczęło się miotać na wszystkie strony, aż wreszcie ponownie zatrzymało się w Faroli.

Shimrod zajął się teraz przyrządami i po pokonaniu pewnych trudności naprawił je.

– Obudź się! – zawołał jeszcze raz do Facque'a.

– Czuwam. Nigdy nie śpię.

– Czy Tamurello albo ktokolwiek inny zainstalował tu, w Trildzie, przyrządy do szpiegowania mnie lub spełniające inne funkcje?

– Tak. Tę kobietę można bezsprzecznie zaliczyć do tej kategorii. Poza tym, Tamurello polecił mi zdawać sobie relację z twoich poczynań i nie mając przeciwnych poleceń, byłem mu posłuszny. Ponadto próbował wykorzystać do celów szpiegowskich jętki, ale bez większego efektu.

– Facque, niniejszym wydaję ci polecenie, jasno i wyraźnie żebyś zaprzestał przekazywania jakichkolwiek informacji komukolwiek z wyjątkiem Murgena lub mnie samego, a zwłaszcza i szczególnie Tamurellowi lub któremukolwiek z jego agentów czy przyrządów. Zakazuję ci nawet robienia jakichkolwiek uwag do siebie samego, gdyż teoretycznie powietrze, w które zostały rzucone, mogłoby w jakiś sposób zostać zebrane i przekazane Tamurellowi.

– Cieszę się, że wszystko dokładnie wyjaśniłeś – odpowiedział Facque. – Krótko mówiąc, Tamurello nie może otrzymywać żadnych informacji.

– Dokładnie tak, i dotyczy to zarówno informacji złych, jak i dobrych, wykorzystania zakodowanego milczenia, manipulowania przy przyrządach, sygnałów, fragmentów muzycznych, z których Tamurello mógłby wydobywać jakiegokolwiek informacje. Nic wolno ci nawiązywać kontaktu ani odpowiadać w żaden sposób na inne rodzaje porozumienia się, które przeoczyłem.

- Wreszcie rozumiem twoje wymagania. Teraz wszystko jest jasne.
- Niezupełnie – zauważył Shimrod. – Muszę zdecydować, jak postąpić z Melanthe.
- Nie wysilaj się – poradził Facque. – Byłaby to strata czasu.
- Jak to?
- Przekonasz się, że ta kobieta odeszła.

Shimrod wybiegł na zewnątrz i szukał wszędzie, ale Melanthe nigdzie nie było. Wrócił więc przygnębiony do swoich pracowni.

VII

Tamurello rzadko pojawiał się w swojej naturalnej postaci, wolał egzotyczny wygląd z wielu powodów, z których żaden bynajmniej nie był zwykłym kaprysem.

Tego dnia, wszedłszy na balkon nad ogrodem, na ośmiokątnym dziedzińcu w Faroli, przybrał postać wątłego i ascetycznego młodzieńca, nieco niemrawego, o bladej cerze, z czupryną pomarańczowo-rudych włosów, których pasemka były tak cienkie i błyszczące, że aż niewidoczne. Wąski nos i usta oraz płonące niebieskie oczy wskazywały na duchową egzaltację, co było zamiarem czarownika.

Tamurello zszedł powoli po łuku czarnych szklanych schodów na dziedziniec. U ich stóp zatrzymał się, po czym bardzo wolno przeszedł kilka kroków i wreszcie, odwróciwszy głowę, raczył zauważyć stojącą w cieniu kwitnącej mimozy Melanthe.

W porównaniu z nim wydawała się bardziej ziemską, przejmująco wilgotna i chłodna. Obserwowała go z nieruchomą twarzą. Jego eteryczna, ale zdecydowana męskość była poza, do której nie czuła żadnej sympatii.

Tamurello zlustrował ją chłodnym wzrokiem, po czym w niedbałym geście uniósł palce i odwrócił się.

– Chodź.

Melanthe poszła za nim do salonu i usiadła sztywno na środku sofy. W jej przekonaniu postaci, w jakich ukazywał się Tamurello, były niczym innym, jak tylko wyrazem jego nastrojów. Ten mężczyzna-chłopiec raczej ją intrygował niż niepokoił. Prawdę mówiąc, było jej wszystko jedno, jaką postać przybierał. Przestała myśleć o dziwnym wyglądzie Tamurella i jego ewentualnym znaczeniu. Inne sprawy były ważniejsze.

Tamurello ponownie zmierzył ją wzrokiem.

– Wygląda na to, że nic się nie zmieniłaś.

– Wykonałam zadania, jakimi mnie obarczyłeś.

– Nawet z nawiązką. No cóż, niech tak będzie. Teraz z kolei ja muszę się zająć twoimi sprawami. O ile sobie przypominasz, masz problemy, ponieważ nie potrafisz wczuć się właściwie w ziemskie sprawy. Jest to prawdziwe źródło niezadowolenia. Dlatego też chcesz, żebym zmienił świat lub ciebie, gdyby mi się to pierwsze nie udało.

Usta mężczyzny-chłopca wykrzywiły się w nikłym uśmiechu i Melanthe pomyślała, że nigdy przedtem Tamurello nie przyjął tak kostycznej postaci.

– Powiedziałeś, że mój umysł pracuje inaczej niż umysły ludzi – zauważyła z prostotą Melanthe.

– Tak, zwłaszcza, gdy chodzi o osobników płci męskiej. To zemsta Desmei na wszechświecie, a zwłaszcza na tej jego części, która posiada zewnętrzne narządy płciowe. Co za żart! I to na takich niewiniątkach jak biedny Shimrod musiał się skrupić niepohamowany gniew Desmei.

- W takim razie zdejmij ze mnie klątwę. Mężczyzna-chłopiec przyglądał się Melancthe z poważną miną.
- Obawiam się, że żądasz rzeczy niemożliwych – powiedział wreszcie.
- Ale zapewniałeś mnie... Tamurello podniósł rękę.
- Mówiąc zupełnie szczerze, nie mam takich umiejętności, nawet sam Murgen nie mógłby nic zrobić.

Piękne usta Melancthe opadły w kącikach.

- Czyżby twoja magia była w takim wypadku bezużyteczna? Pomarańczowowłosego mężczyzna-chłopiec ożywił się.
- Łatwo rządzić za pomocą magii, ale to w końcu jakaś inteligentna, bystra osoba musi wykonać konkretną pracę. Jeśli chodzi o takie zadania jak to, żadna istota, czy to człowiek, sandestin, karzeł, demon, czy inne stworzenie dysponujące ograniczoną mocą, nie zrozumie wszystkich problemów z nim związanych. Zatem nie można wykonać go natychmiast.

– A jednak podjąłeś się tego.

– Powiedziałem, że zrobię, co w mojej mocy, i tak też będzie. Posłuchaj, opiszę ci twoje problemy. Słuchaj uważnie, bo temat jest trudny.

– Zamieniam się w słuch.

– Każdy umysł złożony jest z kilku nakładających się na siebie warstw. Pierwszą z nich, jak wiadomo, jest świadomość. Pozostałe są nie mniej aktywne, ale ich działanie owiane jest tajemnicą i przebiega z dala od świata wiedzy. Każda warstwa wykorzystuje swoje własne umiejętności. Pierwsza z nich, faza jawna, posługuje się logiką, ciekawością, umiejętnością odróżniania skłonności od absurdu, czego wynikiem jest poczucie humoru oraz pewien wymaginowany rodzaj współczucia, zwany sprawiedliwością. Druga, trzecia i pozostałe fazy dotyczą uczuć, odruchów i funkcjonowania organizmu. Wydawać by się mogło, że w twoim przypadku brakuje fazy pierwszej. Faza druga, czynnik interpretacji emocjonalnych, z ogromnym trudem i kłopotami próbuje tę funkcję spełniać. To jest przyczyna twojej niemocy. Mogłoby na to pomóc wzmocnienie fazy pierwszej poprzez właściwe jej wykorzystywanie i ćwiczenie.

Melancthe zmarszczyła brwi ze zdziwieniem.

– Jak mam ćwiczyć?

– Tu nasuwają się dwie metody. Mogę zmienić twoją postać; staniesz się dzieckiem i zostaniesz wprowadzona do szlacheckiej rodziny, gdzie będziesz mogła się uczyć w sposób naturalny.

– Czy zachowam moją obecną świadomość?

– To zależy od ciebie. Melancthe wydeła usta.

– Nie chcę być dzieckiem.

– W takim razie musisz przyłożyć się do nauki jak uczeń; korzystając z książek, studiując i zachowując dyscyplinę, nauczysz się myśleć logicznie, zamiast działać pod wpływem emocji.

– Wydaje się to potwornie nudne – odburknęła Melancthe. – Uczenie się, ślęczenie nad książkami, myślenie, intelektualizowanie: wszystko to są czynności, z powodu których wyśmiewałam Shimroda.

Mężczyzna-chłopiec przyglądał się jej bez większego zainteresowania.

– Podejmij decyzję.

– Gdybym była zmuszona uczyć się z książek, niczego bym się nie nauczyła, a na dodatek oszalałabym. Czy nie możesz zebrać w jedno wystarczająco dużo mądrości, doświadczenia, poczucia humoru oraz współczucia i wpisać tego w puste miejsce w moim mózgu?

– Nie! – Mężczyzna-chłopiec zareagował tak ostro, że Melancthe zastanowiła się, czy powiedział jej całą prawdę. – Zdecyduj się.

– Wróć do Ys i zastanowię się nad tym.

Tamurello natychmiast wymówił kilka sylab, jak gdyby tylko na to czekał. Wir powietrza porwał Melancthe i uniósł ją wysoko w górę, poprzez chmury ku oślepijącemu słońcu. Ujrzała w przelocie ocean i horyzont, a potem poczuła pod stopami miękką plażę.

Opadła na ciepły piasek, obejmując ramionami kolana. Armia króla Aillasa odeszła na południe i plaża była pusta, aż do ujścia rzeki. Przyglądała się igraszkom fal, które rosnąc i pieniąc się zbliżały się w jej stronę, wydając smutny, melodyjny dźwięk, po czym wracały do morza.

Melancthe siedziała tak przez godzinę, następnie wstała, otrzepała ubranie z piasku i weszła do swojej cichej willi.

Rozdział 7

I

Król Aillas przeniósł kwaterę główną swojej armii do Doun Darric, zrujnowanej wioski nad rzeką Melheu, położonej w samym sercu Południowych Ulflandów, zaledwie trzy mile na południe od zamku Stronson, sir Helwiga. Była to jedna z pierwszych wiosek splądrowanych przez Skalradów i tylko stosy kamieni i gruzu znaczyły miejsca, w których niegdyś stały chaty.

Doun Darric jako kwatera główna miało wiele zalet. Żołnierze zostali pozbawieni dostępu do tawern przy dokach w Ys, skończyły się kłótnie z mężczyznami z miasta, a dziewczęta z Ys znowu mogły swobodnie chodzić na targ, nie wzbudzając nadmiernego zainteresowania u szarmanckich młodych wojaków. Co ważniejsze, oddziały te znajdowały się teraz blisko wysoko położonych wrzosowisk, demonstrując okolicznym mieszkańcom swoją siłę.

Aillas nawet nie śmiał marzyć, że jego dekret sprawi, iż w górach i na wrzosowiskach Południowych Ulflandów natychmiast zapanuje spokój, jak po zastosowaniu łagodnego i kojącego balsamu. Żądza zemsty i wola walki z innymi klanami tkwiła w duszy każdego Ulfland-czyka. Król mógł wydać dziesiątki dekretów, ale dopóki nie zastraszył baronów, nie przekupił czy w inny sposób nie przekonał ich do przestrzegania swoich praw, kraj ten nie mógł się stać miejscem cywilizowanym.

Baronowie zamieszkujący zachodnie zbocza i niżej położone wrzosowiska w większości popierali Aillasa, gdyż dobrze poznali Skalradów. Ich ziomkowie z wyższych obszarów, niektórzy niewiele lepsi od bandziorów, nie tylko zazdrościli im ich niezależności, ale byli także najżarliwszymi zwolennikami postępowania, które Aillas poprzysiągł ukrócić. Obecność armii w Doun Darric sprawiła, że królewskie groźby stały się nagle całkiem realne.

Prawie natychmiast Aillas zdecydował, że Doun Darric stanie się jego stałą bazą. Z całego kraju zaczęli ściągać kamieniarze i cieśle, żeby postawić odpowiednie kwatery. Tymczasem rozpoczęto już odbudowę starego Doun Darric, najpierw w prowizoryczny sposób przez samych robotników, a potem zgodnie z planem, bardziej lub mniej przypadkowo naszkicowanym pewnego wieczora przez sir Tristana przy butelce wina. Obejmował on plac targowy wzdłuż rzeki, ze sklepami i gospodami na obwodzie, szerokie ulice z kanałami ściekowymi na wzór miast troicyjskich oraz przyzwoite chaty otoczone ogródkami. Rzuciwszy okiem na szkic sir Tristana, Aillas doszedł do wniosku, że bezwzględnie powinien zostać zrealizowany i że podniosłoby to królewski prestiż.

Aillas nie lubił Oaldes, walącej się i – ogólnie rzecz biorąc – zaniedbanej siedziby poprzednich królów, a Ys nie nadawało się na stolicę Południowych Ulflandów. Dlatego też ogłosił, że jego stolicą będzie Doun Darric, a sir Tristano dodał do swoich planów małą, acz pełną wdzięku królewską rezydencję z widokiem na rzekę Melheu z jednej strony i na rynek z drugiej. Sir Tristano wybiegł myślami jeszcze dalej w przyszłość i zaprojektował drogę przecinającą rzekę, za którą leżały tereny, gdzie mogłyby powstać rezydencje dla bogacącej się klasy wyższej, jeśli zdecydowałyby się osiedlić w nowym mieście. Budowniczości – cieśle, kamieniarze, tynkarze, dekarze, szklarze, malarze a także drwale i robotnicy kamieniołomów – wszyscy cieszyli się z tych wieści, gdyż oznaczały one, że w najbliższym czasie będą mieli zapewniony byt.

Większość ziem w sąsiedztwie Doun Darric leżała odłogiem. Aillas, zgodnie z wcześniejszymi obietnicami, wydzielił znaczną ich część, aby później móc przydzielić działki weteranom. Pozostałe

tereny sir Maloof sprzedał po niskich cenach – umożliwiając nabywcom długoterminowe spłaty – tym ludziom bez ziemi, którzy obiecali ją uprawiać.

Takie konkretne dowody ustabilizowania się sytuacji podnosiły autorytet króla, którego przestano już nazywać cudzoziemskim awanturnikiem zdecydowanym wycisnąć z Południowych Ulflandów tę resztkę bogactwa, która jeszcze w nich pozostała. Każdego dnia do Doun Darric przybywały z każdej części kraju, a nawet z Północnych Ulflandów, grupy ochotników i poborowych – silnych, odważnych młodych mężczyzn, z których wielu pochodziło ze szlacheckich rodów, a którzy w armii widzieli jedyną nadzieję na zdobycie sławy i zrobienie kariery.

Przybysze ci byli w równym stopniu pełni dumy i męstwa, którym to przymiotom często towarzyszył upór i agresywność. W swoim życiu kierowali się dwiema zasadami: po pierwsze – trzeba być zawsze przygotowanym do walki, po drugie – w walce nie ma honorowej porażki; jeśli pokonany poddaje się, ucieka lub ginie, to każda z tych sytuacji jest równie haniebna.

Aillas poznał niektóre skomplikowane stosunki między górskimi klanami oraz przyczyny ich wzajemnej nienawiści. Było oczywiste, że wielu z jego nowych żołnierzy będzie zmuszonych do zgodnego współdziałania ze swoimi dawnymi wrogami, co mogłoby wydawać się zaproszeniem do rozlewu krwi. Z drugiej zaś strony, liczenie się z wzajemnymi animozjami i odseparowywanie od siebie wrogich frakcji wydawało się Aillasowi najgorszym ze wszystkich możliwych rozwiązań, bowiem oznaczałoby oficjalne uznanie istnienia waśni między klanami. Nowych rekrutów informowano tylko, że w królewskiej armii nie ma miejsca na zadawnione nienawiści i że należy o nich zapomnieć, po czym nie wracano więcej do tego tematu, a żołnierzy przydzielano na kwatery bez względu na ich przeszłość. Co ciekawe – ongiś wrogowie, teraz żołnierze ubrani w takie same mundury, po krótkim okresie zaciskania zębów, pogardliwych grymasów i spojrzeń rzucanych spode łba, przystosowywali się do nowej sytuacji z powodu braku innych możliwości.

Ze względu na pewność siebie i zawziętość ulflandzkich żołnierzy, pierwsze etapy szkolenia przebiegały powoli. Trojcyjscy oficerowie radzili sobie z tym problemem cierpliwie i ze zrozumieniem sytuacji. Dzięki stopniowym postępom zdecydowani w swych sądach górale zaczęli rozumieć, czego od nich oczekiwano i nosić mundury ze swobodą, aż wreszcie sami przystępowali do ćwiczenia nowych rekrutów z pobłażliwym lekceważeniem dla ich niezdarności.

Tymczasem na górskich wrzosowiskach i w wysoko położonych dolinach utrzymywało się napięcie, niespokojna cisza pełna szeptów, nasłuchiwanie w ciemności i wstrzymywanie oddechów. Zdawało się, że ów nienaturalny stan oddziaływał nawet na krajobraz, jak gdyby same góry, strome skały, janowce i sosnowe lasy trwały w oczekiwaniu na pierwsze oznaki złamania królewskiego prawa.

Aillas posłał sir Tristana z odpowiednią eskortą, aby zbadał nastroje panujące w odległych miejscach, a także by zdobył więcej informacji o samozwańczym rycerzu z Dahautu, sir Shallesie. Tristano powrócił z wiadomościami, że spotkał się z poprawnym, acz nieco chłodnym przyjęciem, że baronowie rozpuszczają swoje oddziały z rozmyślną opieszałością i że każdy z nich przedstawiał długą listę krzywd wyrządzonych mu przez wrogów. Sir Shalles – relacjonował Tristano – nie pozostawał bezczynny, pojawiał się to tu, to tam, rozsiewając różnego rodzaju pogłoski. Według najbardziej wiarygodnych doniesień, był on krępyim jegomościem, inteligentnym i wiarygodnym, nawet jeśli wiele z jego skarg było albo absurdalnych, albo sprzecznych ze sobą; jego słuchacze mogli wierzyć w to, co chcieli. Twierdził, że Aillas i Skalradzi zawarli sekretne przymierze, skutkiem czego baronowie ulflandzcy będą zmuszeni walczyć po stronie Ska. Sir Shalles donosił, że Aillas miewał ataki szału, w czasie których toczył pianę z ust, i że jego upodobania seksualne były dziwaczne i obrzydliwe. Z pewnego źródła wiedział również – jak twierdził – że kiedy już król Aillas

pozbawi baronów władzy, zamierza nałożyć na nich olbrzymie podatki i skonfiskować ich ziemie, gdy nie będą mogli ich zapłacić.

– Czy masz w zanadru więcej tego rodzaju wieści? – zapytał Aillas, kiedy sir Tristano zrobił przerwę, żeby nabrać tchu.

– O wiele więcej! Powszechnie wiadomo, że wysyłasz już do Troicinetu statki pełne ulflandzkich dziewcząt dla tamtejszych portowych domów publicznych.

Aillas zachichotał.

– A co powiesz o moim kulcie Hooncha, boga-psa? A o fakcie, że otrujęm Oriante, chcąc zostać królem Południowych Ulflandów?.

– O żadnym z nich jeszcze mi nic nie wiadomo.

– Musimy zaatakować tego energicznego sir Shallesa. – Aillas zastanawiał się przez chwilę. – Ogłoś wszędzie, że bardzo chcę poznać sir Shallesa, że zapłacę mu dwa razy więcej niż król Casmir, aby wędrował po kresowych hrabstwach Lyonesse, rozpowiadając historie o królu Casmirze. Nie jedź sam, wyślij z tą wiadomością posłańców.

– Doskonale – oświadczył sir Tristano. – Tak zrobię. A teraz inna sprawa. Czy słyszałeś imię „Torqual”?

Aillas zastanowił się.

– Myślę, że nie.

– Z tego, co mi wiadomo, jest skalradzkim renegatem, który został bandytą i zbiegł w góry. Ostatnio, jak mi mówiono, udał się do Lyonesse,

żeby uprawiać zbójce rzemiosło, ale teraz powrócił i ukrywa się w sekretnym miejscu w pobliżu granicy między Ulflandami. Zwerbował bandę zwyrodnialców i napada na Południowe Ulflandy. Ogłosił wszem i wobec, że będzie atakował, wciągał w zasadzki, oblegał i niszczył każdego, kto przestrzega twoich praw. Z tego powodu baronowie mieszkający blisko granicy z Północnymi Ulflandami są bardziej niż zwykle niechętni temu, aby zawieszać nad swoimi zamkami twoją flagę. Przez cały ten czas Torqual korzysta z prawa azylu w Północnych Ulflandach, gdzie nie możesz wkroczyć, gdyż ryzykowałbyś, że sprowokujesz Skalradów.

– Niemały problem – wymamrotał Aillas. – Masz jakieś rozwiązanie?

– Nic praktycznego. Nie możesz przecież wzmocnić granicy ani rozmieścić oddziałów we wszystkich zamkach, a wypad do Północnych Ulflandów mógłby tylko rozbawić Torquala.

– Ja też tak sądzę. Jednak, jeśli nie będę bronić moich poddanych, przestaną mnie uważać za swojego króla.

– Nie ma wyjścia z tej sytuacji – odrzekł sir Tristano. – Czy to stwierdzenie na coś się przyda?

– Ostatecznie Torqual umrze ze starości – powiedział Aillas. – To moja jedyna nadzieja.

II

Na górskich wrzosowiskach utrzymywało się napięcie. Ulflandzcy baronowie trwali w przekonaniu, że jeśli chodzi o rodowe waśnie, nic się nie zmieniło; nie zapomniano o walkach między klanami ani nie wybaczone doznanych krzywd. Co prawda tłumiono namietności, zemstę odkładano na potem, lecz wszyscy czekali na moment, kiedy ktoś pierwszy odważy się przeciwstawić młodemu królowi, a jeszcze większe zainteresowanie wzbudzała ewentualna reakcja Aillasa na takie wyzwanie.

Napięcie to opadło nagle, z majestatyczną nieuchronnością – zważywszy na okoliczności – dnia sądu ostatecznego.

Stroną atakującą nie był nikt inny, jak dzielny sir Hune z domu pod Trzema Sosnami. Całkowicie lekceważąc prawo, napadł na sir Dostoya, gdy ten odważył się wyjechać rankiem na wrzosowiska, by zapolować z sokołami. W potyczce tej zginął jeden z synów sir Dostoya; drugi ranny – zdołał uciec. Sam sir Dostoy został związany i wrzucony na grzbiet konia jak worek kartofli. Jego prześladowcy wspięli się następnie po zboczu góry Molk, przejechali przez Przełęcz Koźlej Czaszki i przebywszy Czarne Wrzosowisko, las Kaugh oraz Łąkę Lammona, dotarli do domu pod Trzema Sosnami. Tutaj sir Hune zrealizował swoją groźbę i przybił sir Dostoya do drzwi stodoły, po czym kazał sobie podać kolację, którą zjadł z apetytem, gdy tymczasem jego giermkowie używali sir Dostoya jako celu dla swoich świszczących strzał.

Aillas dowiedział się o tym czynie, kiedy ranny syn sir Dostoya wjechał, chwiejąc się, na koniu do Doun Darric. Był na taką sytuację dobrze przygotowany. Jeszcze zanim zwłoki sir Dostoya ostygły, oddział czterystu ludzi – na tyle duży, żeby zniechęcić do interwencji klan sir Hune'a, a jednak nie tak duży, by stać się mało mobilny – wyruszył w drogę do domu pod Trzema Sosnami. Pociągnął przez dolinę Malheu, prowadząc za sobą wozy toczące się z największą możliwą prędkością. Parli drogą wiodącą od kopalni cyny na górze Molk, wynurzającej się z chmur na wschodzie, potem w dół przez las Kaugh, a z niego wyjechali na Łąkę Lammona.

Pół mili na wschód, na skalnym wzniesieniu, stał ufortyfikowany dom pod Trzema Sosnami. Sir Hune, któremu posłaniec przyniósł wieści o reakcji króla, był nieco zaskoczony jej szybkością. Przyznał się do tego przed Thrumbem, swoim naczelnym łucznikiem.

– Cha, cha! Posuwa się twardo do przodu, i to szybko! No i co z tego? Wdamy się z nim w pertraktacje. Przyznam się do błędu i przysięgnę, że naprawię wyrządzone krzywdy, po czym upieczemy wołu, wypijemy baryłkę wina i wszystko będzie dobrze. Pozwólmy tylko psom ze Stoygaw skamleć.

Taka była pierwsza myśl sir Hune'a. Potem jednak poczuł niepokój. Napisał list i wysłał go w pośpiechu do członków swego rodu:

Przybądźcie i przyprowadźcie ze sobą wszystkich zaufanych ludzi do domu pod Trzema Sosnami, gdzie rozgromimy to cudzoziemskie królestwo! Przybywajcie natychmiast. Wzywam was przez wzgląd na więzy krwi i świętości klanu.

List spotkał się z niewielkim odzewem; zaledwie kilkudziesięciu ludzi odpowiedziało na wezwanie do wojny, a i tym brakowało zapału do walki. Wielokrotnie radzono sir Hune'owi, żeby wsiadł na konia i zbiegł przez góry do Dahautu, lecz gdy w końcu sam powziął taką decyzję, armia królewska przybyła już pod dom pod Trzema Sosnami i natychmiast go otoczyła.

Sir Hune kazał otworzyć bramę i czekał z ponurą miną na wezwanie do rozpoczęcia negocjacji. Czekał na próżno, podczas gdy troicyjskie oddziały ze złowróżbną skutecznością czyniły przygotowania do oblężenia. Ustawiono parę ciężkich katapult i od razu zaczęto wyrzucać wysoko w górę ogromne gązdy, które spadały na dachy budowli za kamiennymi murami.

Wprawiło to sir Hune'a w osłupienie i wściekłość. Gdzie było wezwanie do pertraktacji, na które z takim przekonaniem czekał? Jeszcze mniej podobał mu się widok wznoszonej przez Troicyjczyków szubienicy. Była solidna i wysoka, dobrze zbita, jak gdyby przygotowywano ją do wielokrotnego użycia.

Oblężenie trwało przez całą noc. Gdy czerwone promienie wschodzącego słońca pojawiły się nad zatopionymi we mgle szczytami, podpalamo bele słomy nasączone gorącą smołą oraz rybim olejem i wystrzelono je, a te zapaliły roztrzaskane przez kamienie drewniane konstrukcje i magazyny. Prawie natychmiast ponad skazaną na zagładę budowlą uniosły się czerwone płomienie i kłęby

czarnego dymu.

Ze środka dobiegły ochryple okrzyki wściekłości i przerażenia. Obrońcy nie spodziewali się takiego przebiegu wydarzeń. Sir Hune'a i jego posiadłość unicestwiano z zimną krwią, i to za tak przecież niewielkie wykroczenie.

Sir Hune przygotowywał się teraz do tego, co trzeba było zrobić już wcześniej – do beznadziejnej i rozpaczliwej próby ucieczki. Bramy rozwarły się i wypadli przez nie wojownicy na koniach, próbując przedrzeć się przez linie nieprzyjaciela i wydostać na wrzosowiska. Strzały powaliły ich konie. Niektórzy żołnierze podnosili się z ziemi i walczyli na miecze, dopóki nie ustrzelili ich trojcyjscy łucznicy. Inni zostali pojmani, gdy ogłuszeni leżeli w paprociach. Wśród nich właśnie znajdował się sir Hune. Związano mu ręce, na szyję zarzucono pętlę i potykającego się zaciągnięto pod szubienicę.

Aillas stał w odległości dwudziestu jardów. Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, po czym sir Hune'a wciągnięto wysoko w górę.

Tych, którzy przeżyli bitwę, przyprowadzono przed oblicze Aillasa, a ten ich osądził. Dwaj byli niezależnymi baronami, sześciu innych rycerzami. Całą ósemkę Aillas uznał za rebeliantów, i tak jak sir Hune, trafili na szubienicę.

Pozostali więźniowie, około pięćdziesięciu mężczyzn, stali przygnębieni w oczekiwaniu na swoją kolej. Aillas przyjrzał im się uważnie.

– Z punktu widzenia prawa, tak jak wasi dowódcy i wy jesteście buntownikami – przemówił. – Prawdopodobnie zasługujecie na powieszenie. Ja jednak boleję nad stratą silnych mężczyzn, którzy powinni raczej wspierać swój kraj, niż przyczyniać się do jego zguby. Proponuję każdemu z was wybór. W tej chwili możecie zawisnąć na szubienicy albo wstąpić do armii królewskiej, żeby z pełnym oddaniem służyć swemu królowi. Wybierajcie! Ci, którzy chcą zostać powieszonymi, niech wystąpią i staną obok szubienicy.

Rozległo się kilka niespokojnych szeptów, szuranie nogami, rzucono kilka spojrzeń w stronę szubienicy, ale nikt nie zrobił kroku do przodu.

– Co? Nie ma chętnych na szubienicę? Niech więc ci, którzy chcą się zaciągnąć do armii królewskiej, wystąpią, a następnie podejść do wozów i oddadzą się pod komendę sierżanta.

Jeszcze przed chwilą dzielni obrońcy domu pod Trzema Sosnami, ruszyli teraz potulni jak baranki w stronę wozów.

Kobiety i dzieci z gospodarstwa stały samotnie przy murach dopalającego się zamku. Aillas wydał instrukcje sir Pirmence'owi:

– Idź i pociesz te kobiety. Poradź im, aby znalazły sobie miejsce u krewnych; jeśli będzie trzeba, udziel im pomocy. Twój takt i spostrzegawczość okażą się w tym wypadku bezcenne. Sir Tristano, dopilnuj, żeby w zamku nie pozostał żaden człowiek z tych, którzy przeżyli, bez względu na to, czy jest to inwalida, czy też osoba, którą być może chcielibyśmy lepiej poznać, jak na przykład sir Shalles z Dahautu. Sir Maloofie, gdzie jesteś? Mam dla ciebie zadanie; do jego wykonania będziesz mógł użyć swoich wyjątkowych talentów! Porozmawiaj z domownikami i dowiedz się, gdzie znajduje się piwnica z kosztownościami sir Hune'a, ze wszystkimi cennymi kamieniami, monetami i przedmiotami ze srebra i złota. Sporządź listę, a potem skonfiskuj je na rzecz królewskiego skarbu. Powinno to stanowić miły akcent w tym ponurym dniu.

Sir Maloof znalazł niewiele kosztowności: kilka srebrnych tac, pucharów i talerzy, sto złotych monet i trochę świecidełek – granatów, turmalinów i jaspisów. Sir Pirmence skutecznie pocieszył pogrążone w smutku kobiety i odesłał je do krewnych. Sir Tristano wrócił z przerażającymi wieściami.

– Nie znalazłem żadnych inwalidów ani innych ukrywających się osób. W domu nie ma nikogo, kto by przeżył, z wyjątkiem tych w lochach. Naliczyłem ośmiu więźniów i trzech katów. Nie mogłem dłużej znieść panującego tam smrodu.

Aillasowi serce zamarło.

– Kaci, powiadasz? Mogłem się tego spodziewać. Tristano, musisz zrobić jeszcze jedno. Zbierz kilku odpornych ludzi i zejdźcie do lochów. Uwolnijcie więźniów i zakujecie katów w kajdany. Potem wykorzystajcie naszych nowych żołnierzy. – Aillas wskazał na dawnych stronników sir Hune'a. – Każ im wynieść na światło dzienne wszystkie te narzędzia i przyrządy, które znajdują w lochach, i dopilnuj, żeby już nikt ich więcej nie używał.

Z lochów wyprowadzono ośmiu więźniów, kulejących, skaczących na jednej nodze, przesuających się bokiem, powłóczących ostrożnie nogami, jęczących przy każdym kroku, co było następstwem zbyt długiej zażyłości z kołem tortur. Dwaj z nich w ogóle nie mogli chodzić i wyniesiono ich na siennikach. Cała ósemka była w opłakanym stanie. Ubrania mieli całe w strzępach, cuchnęli, ich ciała pokryła skorupa brudu i fekalia, a ich włosy były matowe i przyklejone do czaszek. Sześciu, którzy mogli chodzić, tłoczyło się spoglądając spode łba, częściowo ze strachu, częściowo z apatii.

Z boku stali trzej kaci, gburowaci, niepewni, ale demonstrujący pogardliwą obojętność. Pierwszy z nich był ciężkim, niezdarnym mężczyzną o dużym brzuchu, bez brody i z ledwie zaznaczoną szyją. Drugi, starszy, miał uniesione ramiona, wysokie czoło i długą brodę. Trzeci, który nie wydawał się starszy od Aillasa, uśmiechał się z nieprzekony-wającą zuchwałością, spoglądając to na żołnierzy, to na ciała na szubienicy.

Aillas przemówił smutnym głosem do byłych więźniów:

– Nie bójcie się. Jesteście wolni! Nikt was teraz nie skrzywdzi. Jeden z mężczyzn odpowiedział ochryple:

– Teraz, ale co będzie potem? Na imię mam Nols, co znaczy „Nikt”, i tylko to miano daje mi szansę ukrycia; co do reszty nie można być pewnym, jest jak sen.

Inny spojrział ze zdumieniem na szubienicę i wyciągnął szponiaste palce.

– Tam wisi sir Hune, ciężki jak kamień? Czy to nie cud? Martwy sir Hune! Słodki, martwy sir Hune! To tak miły widok dla mych oczu, jak twarz mojej matki!

Nols też wyciągnął palce.

– To przecież Gissies, Nook i Luton! Czy nadal będą naszymi strażnikami?

– Nie – odparł Aillas. – Zostaną powieszani, co chyba i tak jest dla nich zbyt łagodną karą. Żołnierzu! Wciągnij wysoko te trzy potwory.

– Stójcie! – zawołał młody kat imieniem Luton, którego nagle oblał zimny pot. – Wykonywaliśmy tylko rozkazy, nic więcej! Gdybyśmy tego nie zrobili, na nasze miejsca znalazłoby się tuzin innych!

– I dzisiaj zawiśliby na szubienicy zamiast was... Żołnierzu, w górę ich.

– Hura! – krzyknął Nols i jego towarzysze dołączyli do niego, wiwatując chórem chrapliwych głosów.

– A co z Czarnym Thrumbem? Dlaczego jest wolny i stoi tam z takim miłym i łagodnym uśmiechem na twarzy?

– Który to Czarny Thrumbo?

– Stoi tam, jest naczelnym łucznikiem sir Hune'a. Woli bicz, ponieważ jego świat jest jak muzyka. Hej, Czarny Thrumbo, widzę cię tam! Dlaczego mnie nie witasz? Tak dobrze poznałeś mnie i moje ciało, a teraz zaś jesteś taki nieprzystępny?

Aillas spojrział w stronę, w którą wskazywał palcem Nolsa.

– Który to Thrumbo?

– W skórzanym hełmie, z twarzą jak księżyc. Jest szefem katów.

– Thrumbo, podejdź proszę do szubienicy – zawołał Aillas. – Nie potrzebuję katów w mojej armii.

Thrumbo odwrócił się i desperacko pognał w stronę zbocza w nadziei, że wydostanie się na wolność, ale jako że był otyły i miał zadysz-kę, szybko go pojmano, po czym łkającego i przeklinającego zaciągnięto na szubienicę. Godzinę później Aillas wrócił ze swoimi oddziałami do Doun Darric.

III

Baronowie Południowych Ulflandów zostali wezwani na drugi zjazd, tym razem w Doun Darric. Z tej okazji na różnie pieczono wołu, a baryłki dobrego wina czekały gotowe do napoczęcia.

Tego dnia nie było nieobecnych, stawili się wszyscy, co do jednego. Siedząc za stołem i rozmawiając ze sobą, byli w nieco innym nastroju niż poprzednim razem. Wyglądali na posępnych i zamyślonych, zmartwionych raczej niż wojowniczych.

Zanim wypito zbyt dużo wina, Aillas kazał odczytać swoje orędzie. Tego dnia siedział w milczeniu i nie podniósł się, gdy para trąbek zagrała fanfary wzywające do ciszy. Na ławkę wskoczył herold i rozwinął zwój papieru.

– Wysłuchajcie wszyscy słów króla Aillasa! – zawołał – Mówię w jego imieniu: „Ostatnio sir Hune z domu pod Trzema Sosnami sprzeciwił się moim wyraźnym rozkazom i wszyscy tu obecni wiedzą, jakie były tego następstwa. W lochach trzymał więźniów, co jest sprzeczne z duchem i literą mego prawa. Wkrótce wydam kodeks prawny, podobny do obowiązującego w Troicinecie i Dascinecie. W każdym hrabstwie tego kraju mianowani zostaną szeryfowie i sędziowie. Będą oni stali na straży prawa na wszystkich szczeblach: od najwyższego po najniższy. Osoby tu dzisiaj obecne zostaną uwolnione od tego uciążliwego obowiązku. Wasza rola w tym względzie jest skończona. Wszyscy więzieni w lochach przez tu obecnych muszą zostać uwolnieni w obecności moich przedstawicieli, którzy wrócą z wami do waszych domów. Odtąd nie wolno wam zamykać w więzieniu ani wtrącać do lochów nikogo z moich poddanych bez narażania się na królewski gniew, którego konsekwencje, o czym przekonał się sir Hune, są natychmiastowe. Odkryłem ponadto, że sir Hune lubował się w torturowaniu swoich więźniów. Jest to czyn wstrętny i haniebny bez względu na jego motywy. Niniejszym ogłaszam więc, że wszelkiego rodzaju tortury są najcięższą zbrodnią, za którą grozi kara śmierci i konfiskata mienia. Chcąc być sprawiedliwym, nie mogę karać za zbrodnie popełnione przed ogłoszeniem tego dekretu. Nie musicie obawiać się takich represji. Teraz sir Pirmence, sir Maloof i sir Tristano przeprowadzą z każdym z was po kolei rozmowę. Musicie przekazać im informacje na temat więzionych przez was ludzi, podając ich imiona i określając stan, w jakim się znajdują, a także ujawniając imiona katów, których zatrudniacie. Potem natychmiast udacie się do domu i przekażecie wymienionych więźniów moim przedstawicielom, którzy zajmą się także waszymi katami. Ponieważ nie chcę, żeby osoby te chodziły na wolności wraz z innymi ludźmi, zostaną przywiezione tu, do Doun Darric, i prawdopodobnie wcielone do specjalnego oddziału w mojej armii. Ci spośród was, którzy zatrudniali tych oprawców, są nie mniej winni od nich, ale, jak już wcześniej stwierdziłem, nic mogę ukarać was za przestępstwa popełnione przed moim zakazem. Sir Pirmence, sir Maloof i sir Tristano są już wśród was. Wzywam wszystkich do współpracy i udzielania rzetelnych informacji, gdyż oświadczenia te zostaną zweryfikowane". Tak, moi panowie,

IV

Baronowie rozjechali się do swoich domów, zatrzymując się po drodze na nocleg u przyjaciół lub krewnych. Każdemu z nich towarzyszył rycerz troicyjski i sześciu żołnierzy, którzy mieli dopilnować dokładnego wykonania rozkazu króla Aillasa, co w wielu wypadkach oznaczało wymianę więźniów pomiędzy wrogimi zamkami.

Aillas i sir Tristano siedzieli długo w noc, rozmawiając o wydarzeniach minionego dnia. Sir Tristano nie wydobył z baronów żadnych nowych informacji o sir Shallesie. Ostatnim razem widziano go w odległym zamku sir Mulsanta, jednego z najbardziej nieprzejednanych baronów.

– Tok rozumowania Mulsanta nie jest pozbawiony logiki – stwierdził sir Tristano. – Mieszka w pobliżu kamieniołomów Cloud, gdzie aż roi się od bandytów. Utrzyma, że gdyby rozpuścił swój garnizon, nie przeżyłby tygodnia, w co jestem skłonny uwierzyć. A teraz pojawił się tam również Torqual. Dopóki go nie pojmy, nie możemy nalegać, aby ludność tego regionu stała się bezbronna, a jednocześnie żeby popierała naszą sprawę.

Aillas z ponurą miną rozważał jego wypowiedź.

– Rzeczywiście, nasza sytuacja jest trudna. Jeśli uderzymy na Torquala w Północnych Ulflandach, to nasze szanse na zwycięstwo są niewielkie, a ponadto rzucimy wyzwanie Skalradom. Jest to obecnie najmniej dogodna chwila na budzenie licha.

– Nie można temu zaprzeczyć.

Aillas westchnął głęboko i rozpadł się wygodnie w fotelu.

– Raz jeszcze brutalna rzeczywistość unicestwiła marzenia. Muszę się pogodzić z przykrymi faktami. Tak długo, jak sir Mulsant i inni mu podobni nie będą przysparzali nam kłopotów, niech tak zostanie. Co więcej, mianuję ich strażnikami pogranicza.

– Nazywa się to „sztuką praktycznego zarządzania królestwem” -zauważył Tristano. Po czym zmienili temat.

Rozdział 8

I

Po przybyciu do miasta Lyonesse Shalles udał się prosto do Haidionu i zaraz został wprowadzony do niewielkiego salonu w Wieży Sów, gdzie król Casmir studiował mapy. Shalles pokłonił mu się należycie i zaczekał, aż król Casmir zamknie swoją teczkę. Monarcha uczynił to z rozmyślną powolnością, co osobie o nieczystym sumieniu mogło się wydawać złowieszcze.

Wreszcie król Casmir odwrócił się i zmierzył Shallesa od stóp do głów, jak gdyby nigdy przedtem go nie widział. Wskazał ręką na krzesło i gdy Shalles usiadł, odezwał się:

– Widzę, sir Shallesie, że dużo podróżowałaś. Co masz mi do powiedzenia?

Zachęcony grzecznym przyjęciem, Shalles, przycupnięty dotąd na brzegu krzesła, rozsiadł się wygodnie i przyjął swobodniejszą postawę. Uważnie dobierał słowa, gdyż od nich zależała jego pomyślność, a co gorsza, mógł stracić wszystko, gdyby nie udało mu się pozyskać aprobaty króla Casmira.

– Ogólnie rzecz biorąc, sire, nie mam ci do przekazania zbyt wielu dobrych wieści. Król Aillas działa zdecydowanie i z dobrym skutkiem. Wytrącił swoich przeciwników z równowagi i nie pozwolił im na niesubordynację. Jest popularny wśród pospólstwa, a także wśród arystokracji zamieszkującej niższe partie gór i wybrzeże, która wyżej ceni sobie porządek i dobrobyt niż enigmatyczne przywileje, których i tak nigdy nie miała.

– Czy istnieje duży opór wobec obcego króla?

– Najbardziej znaczącym przykładem jest sir Hune z domu pod Trzema Sosnami, który otwarcie pogwałcił nowe prawa. Ledwie się tego dopuścił, gdy jego zamek legł w gruzach, a on sam zawisnął wysoko na szubienicy. To język, który Ulfowie rozumieją, sire.

Casmir chrząknął z niezadowoleniem, lecz Shalles mówił dalej:

– Aillas odkrył w domu pod Trzema Sosnami pełne lochy. Zwołał zjazd baronów, na którym zakazał osobistego wymierzenia sprawiedliwości i polecił opróżnić wszystkie lochy w całym kraju. Ogólnie rzecz biorąc, dekret ten spotkał się z aprobatą, gdyż baronowie niczego bardziej się nie boją od lochów swoich nieprzyjaciół, na które zazwyczaj zostają skazani w wypadku pojmania i gdzie karani są za grzechy swoich przodków. Wraz z opróżnieniem lochów Aillas skonfiskował całe ich wyposażenie. Mówiono mi, że zebrał czterdzieści kół tortur, siedem wozów różnego rodzaju narzędzi i stu katów. Tworzą oni teraz specjalny oddział w armii królewskiej. Mają na czarno wytatuowane policzki, noszą czarnożółte mundury i hełmy z „kagańcami”. Uważa się ich za pariasów i żyją z dala od pozostałych żołnierzy.

– Hm – mruknął Casmir. – Cóż za nadmierna uprzejmość w stosunku do tego niedołęgi króla. Co jeszcze?

– Teraz zdam Waszej Królewskiej Mości relację z moich własnych przedsięwzięć. Pracowałem ciężko, narażając się na niebezpieczeństwa i niezwykle uciążliwości. – Z nieco wymuszonym entuzjazmem, nie zważając na obojętne spojrzenia króla Casmira, Shalles opisał swoje dokonania i nie omieszkął wspomnieć o niebezpieczeństwach, czyhających na niego nieomal na każdym kroku. – Po wyznaczeniu nagrody za moją głowę zdecydowałem w końcu, że nic więcej nie mogę zrobić. Moje oszczerstwa, choć zwykle popularne, zawsze bardzo szybko okazywały się kłamliwe i nie odnosiły zamierzonego skutku. W trakcie mojej działalności odkryłem dziwny fakt, że głupia, szczerza

prawda jest o wiele bardziej przekonująca niż najbardziej wymyślne kłamstwa, nawet jeśli za te ostatnie otrzymuje się więcej pieniędzy. Niemniej jednak rozgniewało mnie to, że Aillas próbował z całych sił mnie pojmać, przez co musiałem ciągle uciekać i o mały włos uniknąłem aresztowania.

Z przymkniętymi oczami i najłagodniejszym z głosów król Casmir zapytał:

– Jaki według ciebie byłby twój los, gdybyś został złapany? Shalles był bardzo czujny. Dopiero po chwili ledwie dostrzegalnego

wahania odpowiedział:

– Trudno powiedzieć. Aillas rozpuścił pogłoskę, że zapłaci mi dwa razy tyle co ty, sire, jeśli cię zdradzę. Jak podejrzewam, zamierzał narazić na szwank moją reputację i rzeczywiście udało mu się całkowicie pozbawić mnie wiarygodności.

Król Casmir przytaknął w zamyśleniu głową.

– Plotka o tej propozycji dotarła do mnie z innych źródeł. Co z Torqualem?

Shalles zawahał się, zbierając myśli.

– Widywałem go wiele razy, ale nie tak często, jak bym sobie życzył. Postępuje na swój własny sposób, nie oglądając się na moje rady, ale wygląda na to, że działa w interesie Waszej Królewskiej Mości. Jest nienasycony w swojej żądzy złota, które mogłoby umocnić jego władzę. Stojąc wśród wieśniaków na łące, byliśmy świadkami zburzenia Domu Pod Trzema Sosnami. Torqual powiedział mi wówczas, że uczy się topografii terenu i że zebrał już niewielką grupę popleczników. Znalazł sekretne przejście w Północnych Ulflandach, przez które przedostaje się do Ulflandów Południowych i dokonuje napadów. Rozpuścił wiadomość, że swych ofiar będzie upatrywał głównie wśród tych, którzy są posłuszni rozkazom króla; to taktyka, która przekonała Skalradów, żeby zostawić go w spokoju. Stopniowo zamierza rozszerzyć swoją władzę na całe górskie wrzosowiska. – Shalles wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że wątpisz w jego sukces? – zapytał król Casmir.

– Żałuję, że nie mogłem przynieść miłszych wiadomości twoim uszom, Najjaśniejszy Panie – odparł smutno Shalles – gdyż mój los zależy od twojego dobrego nastroju.

Król Casmir wstał i podszedł do kominka. Spojrzał w ogień.

– Możesz odejść – odezwał się wreszcie. – Wrócimy do naszej rozmowy jutro rano.

Shalles uklonił się i wyszedł w ponurym nastroju. Jako, że nie doczekał się od króla Casmira pochwały, nie ośmielił się poruszyć tematu nagrody.

Rankiem król Casmir ponownie rozmawiał z Shallem i próbował zebrać więcej informacji o Torqualu, ale Shalles powtórzył tylko to, co już powiedział poprzedniego dnia. W końcu Casmir wręczył mu zapieczętowaną paczkę.

– W stajni czeka na ciebie dobry koń. Mam dla ciebie kolejną małą misję do spełnienia. Pojedziesz drogą Icniel na północ do Pomperolu. W wiosce Honriot skreścisz w lewo i przejedziesz przez Dahaut, aż do puszczy Tantrevalles. Udasz się do Faroli i oddasz tę przesyłkę do rąk czarnoksiężnika Tamurella. Spodziewam się, że będzie miał dla ciebie od powiedź.

Gdy Shalles powrócił do Haidionu, od razu wpuszczono go przed oblicze króla Casmira, któremu doręczył paczkę.

Wyglądało na to, że król nie spieszył się poznać jej zawartości. Położył ją na stole i obróciwszy się do Shallesa, dość uprzejmie zapytał:

– Jak minęła podróż?

– Dobrze, sire. Dojechałem do Faroli, którą znalazłem bez większych trudności.

– I co o niej sądzisz?

– To wspaniała rezydencja ze srebra i szkła oraz cennego czarnego drewna. Srebrne słupy

podpierają dach, który wyglądałby jak ogromny wieloboczny namiot, gdyby nie poszycie z zielonych srebrzystych dachówek. Bramy strzegła para szarych lwów, dwukrotnie większych od zwykłych zwierząt, o sierści tak lśniącej, jak najwspanialszy jedwab. Stały na tylnych łapach i zawołały: „Stój, jeśli ci życie miłe”! Przedstawiłem się jako wysłannik króla Casmira i pozwoliły mi przejść bez przeszkód.

– A sam Tamurello? Mówiono mi, że nigdy dwa razy nie pokazuje się w tej samej postaci.

– Nic nie mogę o tym powiedzieć, sire. Był wysoki, bardzo chudy i bardzo blady, oczy błyszczały mu jak rubiny, a na jego szacie wyszyte były srebrne znaki. Przekazałem mu twój list, który od razu przeczytał. Potem powiedział: „Zaczekaj na mnie tutaj. Nie ruszaj się na krok, w przeciwnym razie lwy rozszarpią cię na kawałki”. Stałem nieruchomo jak kamień, pilnowany przez siedzące lwy. Po chwili Tamurello wrócił. Dał mi tę paczkę, którą przed chwilą wręczyłem Waszej Królewskiej Mości, i uspokoił lwy, abym mógł odejść. Jak najszybciej wróciłem do Haidionu, to wszystko.

– Dobra robota, Shalles. – Król Casmir spojrzał w kierunku paczki, jak gdyby miał ochotę ją teraz otworzyć, lecz raz jeszcze zwrócił się do Shallesa. – A teraz z pewnością chciałbyś zostać nagrodzony za swoją służbę?

Shalles skłonił się.

– Jeśli Wasza Królewska Mość tak uważa.

– A jakie miałbyś życzenia?

– Przede wszystkim, Najjaśniejszy Panie, chciałbym dostać małą posiadłość w pobliżu miasta Poinxter w hrabstwie Graywold, gdzie mieszka moja rodzina i gdzie się urodziłem.

Król Casmir zacisnął usta.

– Sielankowe życie rozleniwia i sprawia, że niechętnie wraca się do królewskiej służby. Myśli się więcej o swoich ulach, cielących się krowach i zbiorach winogron niż o potrzebach monarchy.

– Prawdę mówiąc, Wasza Królewska Mość, osiągnąłem ten etap w życiu, kiedy uciążliwe staje się czatowanie o północy i knucie spisków. Mój umysł, tak jak mój brzuch, stał się ociężały. Czas, żebym się osiedlił i zaczął wieść życie, w którym największym wydarzeniem dnia byłaby obecność lisa w kurniku. Mówiąc krótko, Wasza Królewska Mość, proszę o zwolnienie mnie z dalszej służby. Przez te ostatnie miesiące widywałem koszmary w ciemnościach i zmuszony byłem uciekać ledwo uchodząc z życiem, co wystarczy mi do końca moich dni.

– Czy masz na myśli jakąś konkretną posiadłość?

– Nie miałem czasu, żeby jakiejś poszukać, sire.

– A jak sądzisz, na jak duży majątek zapracowałeś sobie przez ten krótki okres?

– Gdybym miał otrzymać zapłatę tylko za czas, wystarczyłyby trzy złote korony. Jeśli zapytasz, Najjaśniejszy Panie, jak wysoko cenię swoje życie, to powiem, że nie sprzedałbym go za dziesięć wozów załadowanych szmaragdami, nawet gdyby na zachętę dorzucono sześć statków ze złotem. Chciałbym więc dostać zapłatę odpowiednią do ryzyka, na jakie narażałem swoje cenne życie, do bezcennych intryg i wymyślnych oszczerstw, do wietrznych nocy spędzonych na wrzosowiskach, podczas gdy ucziwi ludzie spali wygodnie w swoich łóżkach. Wasza Królewska Mość, zdaję się bez zastrzeżeń na twoją hojność. Powiem jednak, że ucieszyłbym się ze szlacheckiej rezydencji nad ładnym strumieniem, z dziesięcioma akrami lasu i trzema bądź czterema gospodarstwami do wdzierżawienia.

Król Casmir uśmiechnął się.

– Shalles, jeśli w mojej sprawie byłeś tak wymowny, jak w swojej, twoje prośby są umiarkowane i słuszne, i tak muszę je ocenić. – Napisał coś na pergaminie, umieścił pod nim swój

pełen zawijasów podpis i wręczył dokument Shallesowi. – Oto jest list królewski przyznający ci dowolną posiadłość. Jedź do Poinxter, znajdź sobie odpowiadający ci majątek i przedstaw ten dokument najwyższemu sędziemu hrabstwa. Nie dziękuj mi. Możesz odejść.

Shalles skłonił się nisko i wyszedł.

Król Casmir stał przy kominku pogrążony w myślach. Paczka od Tamurella leżała na stole, lecz jeszcze się nią nie zajął. Wezwał swojego pomocnika do zadań specjalnych, Oldebora.

– Sire, czekam na rozkazy.

– Przypominasz sobie Shallesa?

– Dokładnie, sire.

– Wrócił właśnie z Południowych Ulflandów, gdzie wykonywał krótkoterminowe zadanie. Ma wygórowane oczekiwania i chyba zbyt wiele wie o moich sprawach. Czy twoje doświadczenie podpowiada ci, w jaki sposób można by się nim zająć?

– Tak, Najjaśniejszy Panie.

– Dopilnuj tego. Jest w drodze do Poinxter w hrabstwie Graywold. Ma przy sobie podpisany przeze mnie dokument, który chciałbym odzyskać.

Król Casmir odwrócił się w stronę ognia i Oldebor opuścił salon. Casmir otworzył wreszcie pakunek, w którym znalazł wypchanego kosa umieszczonego na podstawce. Między nogi ptaka wetknięta była zwinięta kartka pergaminu, która zawierała następującą instrukcję:

Jeśli chcesz porozmawiać z Tamurellem, wyrwij z brzucha ptaka pióro i spal je w ogniu świecy.

Casmir dokładnie obejrzał wypchanego ptaka i krytycznie ocenił jego opadające skrzydła, przerzedzone pióra i na wpół otwarty dziób.

Wygląd ptaka mógł, choć nie musiał, świadczyć o ukrytych, złośliwych intencjach czarnoksiężnika. Poczucie godności nakazywało jednak królowi, by zignorował wszystkie możliwe podteksty i zwrócił uwagę tylko na oczywiste znaczenie ptaka i listu. Opuścił komnatę, zszedł po krętych, kamiennych schodach i przez łukowaty portal wszedł do Długiej Galerii. Szedł dostojnym krokiem, nie rozglądając się na prawo czy lewo, a lokaje na stanowiskach wzdłuż galerii szybko stawali na baczność, świadomi tego, że pozorne roztargnione spojrzenie okrągłych niebieskich oczu w rzeczywistości wychwytywało każdy szczegół.

Król Casmir dotarł do Hallu Honorów, przestronnej, wysokiej komnaty przeznaczonej na najbardziej uroczyste okazje państwowe, w której ślubował przywrócić tron Evandig i stół Cairbran Meadhan. W Hallu Honorów stał jego tron, długi, centralnie ustawiony stół, a dookoła, pod ścianami, pięćdziesiąt cztery ciężkie fotele, reprezentujące pięćdziesiąt cztery szlacheckie domy Lyonesse.

Ku swemu niezadowoleniu Casmir odkrył w hallu księżniczkę Madouc, która bawiła się samotnie pomiędzy krzesłami. Przeskakiwała z siedzenia na siedzenie, chodziła po poręczach i przeciskała się pod dolnymi szczeblami.

Przez chwilę przyglądał się jej bez słowa. Dziwne dziecko, pomyślał, samowolne do granic krnąbrności. Nigdy nie płakała, z wyjątkiem nielicznych, krótkich napadów furii, gdy ktoś śmiał się jej sprzeciwić. Jak różne, a zarazem jak bardzo podobne do siebie były Madouc i jej matka Suldrun (tak przynajmniej myślał Casmir), która uległością maskowała upór tak twardy, jak jego własny.

Świadoma zimnego spojrzenia Casmira, Madouc przerwała wreszcie swoją zabawę. Odwróciła się, żeby popatrzeć na niego z umiarkowaną ciekawością i niezadowoleniem z powodu tego nagłego wtargnięcia w jej prywatność. Tak jak wcześniej księżniczka Suldrun, teraz Madouc uważała Hall Honorów za swoje własne terytorium.

Casmir wszedł powoli do komnaty, nie spuszczać z niej zimnych niebieskich oczu, żeby ta zuchwała mała psotnica poczuła się onieśmielona. Wzrok Madouc spoczął na wypchanym ptaku, którego Casmir niósł w ręku. Chociaż nie zachichotała ani nawet nie uśmiechnęła się, Casmir wiedział, że była rozbawiona tym widokiem.

Po chwili, znudzona zarówno ptakiem jak i Casmirem, Madouc wróciła do swojej zabawy. Przeskoczyła z jednej poręczy krzesła na drugą, potem rozejrzała się dookoła, chcąc się upewnić, czy Casmir nadal jest w komnacie.

Casmir zatrzymał się przy stole i przemówił do niej spokojnym głosem, który odbijając się od kamiennych ścian, brzmiał zgrzytliwie i szorstko:

– Co tutaj robisz, księżniczko?

Madouc udzieliła mu odpowiedzi, której – jak się wydawało – oczekiwał.

– Bawię się na krzesłach.

– To nie jest odpowiednie miejsce do zabawy. Idź bawić się gdzie indziej.

Madouc zeskoczyła z fotela i podskakując wybiegła z hallu. Nie odwróciła się, by spojrzeć za siebie i już jej nie było.

Casmir przeszedł z ptakiem obok Wielkiego Tronu Haidionu do tylnej ściany i odsunawszy kotary, skierował się do tajemnego pomieszczenia. Otworzył zamek sekretnych drzwi, które rozwarły się na oścież, umożliwiając mu dostęp do komnaty ze znajdującymi się w niej magicznymi świecidełkami i przyrządami. Najcenniejszy z jego przedmiotów – Persilian, magiczne lustro, zaginął jakieś pięć lat temu i do dzisiaj Casmir nie był pewien, w jaki sposób został wykradzony oraz kto był za to odpowiedzialny. O ile było mu wiadomo, nikt, z wyjątkiem jego samego, nie wiedział o istnieniu sekretnej izby. Oniemiałby, gdyby poznał prawdę, że tymi winowajcami byli księżniczka Suldrun i jej kochanek Aillas, wówczas księżę Troicinetu, który zabrał Persiliana na żądanie samego lustra.

Casmir rozejrzał się podejrzliwie po pokoju, chcąc upewnić się, że nie zniknął żaden z jego instrumentów. Wszystko wydawało się w porządku. Pokój oświetlała kula z wirującym w środku zielono-purpurowym płomieniem. Chochlik w butli rzucał w jego stronę groźne spojrzenia i stukał palcami w szkło w nadziei, że przyciągnie jego uwagę. Na stole leżał przyrząd astronomiczny, подарowany jednemu z przodków Casmira przez królową Dydonę z Kartaginy, i jak zwykle Casmir nachylił się, żeby przyrzeć się bacznie instrumentowi, którego budowa była niezwykle skomplikowana. Za podstawę służył mu okrągły hebanowy talerz ze znakami zodiaku na obrzeżu. W jego centrum znajdowała się złota kula, która – jak mówiono Casmirowi – symbolizowała – słońce. Dookoła niej kręciło się w okrągłych korytkach dziewięć różnej wielkości kul, ale w jakim celu, pozostawało to tajemnicą znaną tylko starożytnym. Wokół trzeciej kuli od środka krążyła mniejsza, która dokonywała pełnego obrotu w ciągu dokładnie jednego roku, co tylko wprowadzało Casmira w jeszcze większe zdumienie. Jeśli ten przedmiot był chronometrem skonstruowanym do odmierzania lat, to po co w takim razie były pozostałe kule, z których część poruszała się z prawie niezauważalną prędkością. Od jakiegoś czasu Casmir nie zastanawiał się już nad tym i teraz obrzucił tylko przyrząd pobieżnym spojrzeniem. Umieścił ptaka na półce i przez chwilę uważnie mu się przyglądał. W końcu odwrócił się. Zanim rozpocznie rozmowę z Tamurellem, musi się dokładnie zastanowić, co chce z nim przedyskutować.

Opuściwszy sekretną komnatę, Casmir przeszedł przez Hall Honorów i wkroczył do galerii. Natknął się tu na królową Sollace i ojca Umphreda, którzy wrócili właśnie ze wspólnej przejażdżki królewskim powozem po dokonaniu przeglądu miejsc pod budowę katedry.

– Najlepsze miejsce pod budowę jest wolne – powiedziała do Casmira królowa Sollace. –

Widzieliśmy je i zmierzylismy; to teren położony na północ od wejścia do portu.

– Już teraz aura słodkiej świętości otacza twoją znakomitą małżonkę – odezwał się z entuzjazmem ojciec Umphred. – Chciałbym zobaczyć po bokach wspaniałego frontowego wejścia dwa posągi z niezniszczalnego brązu: z jednej strony szlachetny król Casmir, a po drugiej święta królowa Sollace.

– Czyż nie mówiłem, że ten projekt jest niepraktyczny? – odrzekł król Casmir. – Kto zapłaci za takie absurdalne przedsięwzięcie?

Ojciec Umphred westchnął i podniósł wzrok w kierunku sufitu.

– Zrobi to Pan.

– Doprawdy? – zapytał Casmir. – W jaki sposób i w jakiej formie?

– „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną!”, tak powiedział Pan na górze Synaj. Każdy nowy chrześcijanin może należycie odpokutować za lata życia w grzechu, ofiarowując swój majątek i swoją pracę na budowę wspaniałej świątyni, by w ten sposób ułatwić sobie wejście do rajów.

Casmir wzruszył ramionami.

– Jeśli głupcy chcą w ten sposób wydawać swoje pieniądze, dlaczego miałbym im w tym przeszkadzać?

Królowa Sollace wydała okrzyk zadowolenia.

– Więc mamy twoje przyzwolenie na budowę i możemy ją rozpocząć?

– Jeśli będziecie się stosować do przepisów królewskiego prawa.

– Ach, Najjaśniejszy Panie, to wspaniała nowina! – zawołał ojciec Umphred. – Jednak, którym postanowieniom prawa podlegamy? Przypuszczam, że w tym wypadku górę weźmie prawo zwyczajowe?

– Nie są mi znane żadne „prawa zwyczajowe” – odrzekł król Casmir. – Prawa są wystarczająco proste. Po pierwsze, pod żadnym pozorem nie wolno wywozić z Lyonesse do Rzymu pieniędzy ani żadnych cennych przedmiotów.

Ojciec Umphred skrzywił się i zamrugał oczami.

– Od czasu do czasu... Król Casmir mówił dalej:

– Wszystkie zebrane kwoty muszą być zgłoszone kanclerzowi królewskiego skarbcza, on zaś nałoży na nie odpowiedni podatek, który zostanie natychmiast potrącony od wszystkich sum. Określi on także wysokość rocznej dzierżawy gruntu.

– Ach! – jęknął ojciec Umphred. – To zniechęcająca perspektywa! Niemożliwe! Żadna władza świecka nie może nakładać podatków na własność kościoła!

– W taki razie cofam i anuluję moje pozwolenie! Nie wolno budować w mieście Lyonesse żadnej katedry, ani teraz, ani w przyszłości!

Król Casmir poszedł w swoją stronę, a królowa Sollace i ojciec Umphred patrzyli za nim z ponurymi minami.

– Cóż za uparty człowiek! – rzekła królowa. – Modliłam się, żeby Bóg zesłał na niego łaskę nawrócenia i dzisiaj myślałam już, że moje modlitwy zostały wysłuchane. Ale teraz wiem, że to koniec. On się nigdy nie zmieni, chyba że się zdarzy jakiś cud.

– Nie umiem czynić cudów, lecz znam pewne fakty, które Casmir będzie chciał poznać za wszelką cenę – powiedział w zamyśleniu ojciec Umphred.

Królowa Sollace spojrzała na niego pytająco.

– Co to za fakty?

– Droga królowo, muszę modlić się o pomoc! Światło niebieskie musi wskazać mi drogę.

Twarz królowej przybrała rozdrażniony wyraz.

- Powiedz mi i pozwól sobie doradzić.
- Droga królowo, droga, błogosławiona pani! To nie jest takie proste! Muszę się modlić.

III

Dwa dni później Casmir powrócił do sekretnego pokoiku. Wyrwał z brzucha wypchanego ptaka pióro i zaniósł je do swojego prywatnego saloniku przylegającego do jego sypialni. Zapaliwszy świecę od ognia na kominku, wrzucił je do płomienia, w którym spaliło się, wydzielając smutki gryzącego dymu.

Król Casmir patrzył, jak dym rozplywa się w powietrzu, po czym zawołał:

– Tamurello! Czy mnie słyszysz? To ja, Casmir z Lyonesse. Z mroku dobiegł głos:

– Tak, Casmirze, o co ci chodzi?

– Tamurello? Czy to ciebie słyszę?

– Czego ode mnie chcesz?

– Znaku, że rozmawiam z Tamurellem.

– Czy pamiętasz Shallesa, który teraz leży martwy w rowie z poderżniętym gardłem?

– Oczywiście, że go pamiętam.

– Czy opowiedział ci, w jakiej postaci mnie widział?

– Tak.

– Pokazałem mu się jako czarnoksiężnik Amach ac Eil z Caerwyd-dwn w pełni mojej czarnej dreuhwy*.

* dreuhwy – termin zaczerpnięty ze starowalijskiego, nieprzetłumaczalny. W przybliżeniu oznacza samoistnie powstały posępny nastrój o ponadludzkiej głębi, w którym możliwe jest każde przesadne zachowanie graniczące ze śmiesznością; pełne utożsamienie się z tym boskim tchnieniem, które porusza to, co dziwne, niesamowite, potworne. Adeptci tak zwanej Dziewiątej Siły rozumieli „dreuhwy” jako stan wyzwolenia, w którym ich moc osiągała apogeum.

Tamurello najwyraźniej używa tego określenia, żeby zakpić z Casmira w odpowiedzi na jego natarczywe domaganie się znaku rozpoznawczego.

Król Casmir chrząknął na znak zgody.

– Wezwałem cię nie bez powodu. Moje przedsięwzięcia utkwily w martwym punkcie. Z tego powodu odczuwam frustrację i złość.

– Ach, Casmirze, wierz mi, nie zdajesz sobie sprawy, jakim wielkim szczęściem obdarzył cię los. W Haidionie grzejesz się wygodnie w ciepłe kilkunastu kominków; twój stół zastawiony jest suto smakowitymi potrawami; śpisz w jedwabnej pościeli; twoje stroje uszyte są z naj-miększych tkanin; nosisz złote ozdoby; nie brakuje dla twej rozrywki młodych, lubieżnych chłopców i w tym względzie nie musisz się obawiać niedostatku. Kiedy ktoś wywoła twoje niezadowolenie, wymawiasz dwa słowa i zostaje zamordowany, jeśli ma szczęście. Jeśli go nie ma, trafia do Peinhadoru. Reasumując, uważam cię za szczęśliwego człowieka.

Casmir zignorował te kpiny czarnoksiężnika, które wyolbrzymiały jego żądze; tak naprawdę niezbyt często korzystał z usług „chłopców”.

– Tak, tak, bez wątpienia masz rację. Jednak te uwagi dotyczą w równym stopniu ciebie, co mnie. Podejrzewam, że często wpadasz w złość, gdy sprawy nie idą po twojej myśli.

W ciemnościach rozległ się cichy śmiech.

– Między nami jest jedna mała różnica. To ty zwracasz się do mnie, a nie ja do ciebie.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedział spokojnie Casmir.

– Jednak z pewnością dotknąłeś mojego czulego miejsca. Murgen odkrył jedną czy dwie z moich słabostek i zachowuje się tak, jak gdyby świat miał się skończyć, co prawdopodobnie kiedyś nastąpi. Czy słyszałeś o jego najnowszym podstępie?

– Nie.

– W Trildzie, w pobliżu wioski Twamble, mieszka pewien czarownik imieniem Shimrod...

– Znam Shimroda.

– Czy dasz wiarę, że Murgen wyznaczył go na mojego stróża i nadzorcę, aby się upewnić, że respektuję jego wolę?

– To nieładnie z jego strony.

– Mniejsza o to. Nawet gdyby Shimrod zmienił swoją skórę jak wąż, nie miałoby to dla mnie większego znaczenia. Łatwo mu pomieszać szyki; postąpię tak, jak to już robiłem wcześniej, i biedny Shimrod wpadnie w bezdenną przepaść.

– Moglibyśmy skoordynować nasze działania – wtrącił ostrożnie Casmir. – Może zjednoczenie naszych sił przyniosłoby korzyści nam obu.

W ciemnościach ponownie rozległ się cichy śmiech.

– Potrafię zamienić twoich wrogów w ropuchy! Potrafię zamienić w piasek kamień, z którego zbudowane są ich zamki! Umiałbym zczarować falę, żeby wyszli z niej żołnierze o oczach z masy perłowej i rzucili się do ataku na brzeg! Nigdy jednak nie będę mógł tego zrobić! Nawet gdybym w chwili szaleństwa uznał to za celowe.

– Rozumiem, że tak być musi – odpowiedział cierpliwie Casmir. – Jednak...

– Jednak?

– Jednak pozwól, że przedstawię ci moją sprawę. Persilian, magiczne lustro, przemówił kiedyś do mnie, choć nie żądałem tego od niego. Jego słowa przeczą faktom oraz zdrowemu rozsądkowi i od dawna nadaremno łamię sobie nad nimi głowę.

– A jak brzmiały?

– Persilian przemówił tak:

Zdecyduje Suldrun syn, Że nim życie jego minie, Spocznie w pełni swoich praw Za Cairbra an Meadhan.

Gdy zaś spocznie i okrzepnie, Dzierząc w rękach Stół Okrągły, Ku rozpaczy Casmira I Evandig tron obejmie.

Takie były jego słowa i nie chciał powiedzieć nic więcej. Kiedy Suldrun urodziła dziewczynkę, Madouc udałem się do Persiliana, żeby go wypytać, ale lustro zniknęło. Długo zastanawiałem się nad tą sprawą. Gdzieś między wierszami kryje się mądrość, której jednak nie potrafię odczytać.

Po chwili głos odpowiedział:

– Nic mnie nie obchodzą ty ani twoje problemy i nie będę słuchał żadnych wymówek, jeśli sprawy nie ułożą się po twojej myśli. Jednak moje własne siły popychają mnie do działania w kierunku, który przez pewien czas może być zbieżny z twoim. Moją siłą napędową jest nienawiść. Skupia się ona na Murgenie, jego potomku Shimrodzie i królu Aillasie z Troicinetu, który spowodował, że w Tintzin Fyral poniosłem dotkliwą i niepowetowaną stratę. Nie uważaj mnie jednak za swego przyjaciela, ale za wroga twoich wrogów.

Casmir zachichotał ponuro. W Tintzin Fyral, Aillas, powiesił kochanka Tamurella, Faude Carfilhiota, na niezwykle wysokiej, cienkiej jak noga pająka szubienicy.

– Dobrze, wyraziłeś się jasno.

– Nie bądź tego zbyt pewny – odrzekł ostrym tonem głos. – Twoje przypuszczenia co do mnie są z pewnością błędne! Tak się składa, że rozmyślne zniewagi Murgena wprawiają mnie obecnie w ogromny gniew. Wykorzystuje on tego szarlatana Shimroda, żeby dręczył mnie swoim ciągłym nadzorem. Shimrod staje się coraz bardziej zarozumiały i nadęty. Spodziewa się, że będę mu zdawał codziennie relację z mojej działalności. Ha! Już ja mu pokażę, co znaczy moje działanie, kiedy przypalę mu tyłek!

– Bardzo dobrze – rzekł Casmir – ale co z przepowiednią Persiliana? Mówił o synu, a Suldrun urodziła tylko córkę. Czy to proroctwo jest fałszywe?

– Co do tego nie można mieć pewności. Za wyraźnymi sprzecznościami często kryje się wstrząsająca prawda.

– Skoro tak, to jaka jest ta „wstrząsająca prawda”?

– Podejrzewam, że twoja córka urodziła jeszcze jedno dziecko. Casmir zamrugał oszołomiony.

– To niemożliwe.

– W takim razie, kto był ojcem dziewczynki?

– Jakiś bezimienny włóczęga. W złości pozbyłem się go.

– Mógłby ci dużo powiedzieć. Kto jeszcze zna szczegóły tej sprawy?

– O wszystkim wie służąca i jej rodzice, którzy zajmowali się wychowywaniem dziecka. – Casmir zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć wydarzenia z przeszłości. – Z tej kobiety była uparta suka; niczego mi nie powiedziała.

– Można by ją podejść albo usidlić. Jej rodzice mogą jeszcze znać jakieś nie ujawnione fakty.

– To mi wygląda na wyschnięte źródło – mruknął Casmir. – Jej rodzice byli wówczas starzy, może już nie żyją.

– Może. Jednak, jeśli chcesz, mogę przysłać ci człowieka, który wywęszy każdą tajemnicę.

– To wspaniale.

– Pozwól, że udzielenie ci o nim pewnych informacji. Na imię ma Visbhume. Jest czarnoksiężnikiem posiadającym bardzo ograniczone umiejętności i dziwne zwyczaje, które być może spowodowane są przez żółty nalot na fałdach jego mózgu. Nie zwracaj uwagi na jego dziwactwa i wydawaj mu precyzyjne polecenia, gdyż czasami bywa kapryśny. Visbhume nie ma żadnych skrupułów; jeśli chcesz pozbyć się własnej babki, wyświadczy ci tę przysługę z charakterystyczną dla siebie starannością i uprzejmością, a jeśli wolisz, udusi nawet swoją własną.

Casmir chrząknął z powątpiewaniem.

– Czy można mu zaufać, że wywiąże się z powierzonego zadania?

– O, tak! Gdy raz zacznie, działa jak opętany; nigdy się nie zatrzymuje, jak gdyby pchał go do przodu jakiś nieustający rytm w jego głowie. Nie powstrzyma go strach, głód czy chuć. Nie wykazuje zainteresowania zwykłymi kontaktami seksualnymi, a ja nie jestem nawet ciekaw jego zwyczajów w tym względzie.

Casmir ponownie chrząknął.

– Nie obchodzą mnie takie sprawy, ważne, że będzie dobrze wykonywał swoją robotę.

– Potrafi zajmować się tylko jedną sprawą. Mimo to, miej na niego baczenie, gdyż jest dziwnym osobnikiem.

IV

Raz w tygodniu król Casmir zasiadał w zimnej szarej sali sądowej obok starego Wielkiego Hallu, żeby wymierzać królewską sprawiedliwość. Jego fotel stał na niewysokim podium za

masywnym stołem, a za

nim, po obu stronach, straż trzymali dwaj uzbrojeni rycerze z halabardami w pozycji „gotuj broń”.

Na takie okazje król Casmir zakładał zawsze czarną aksamitną czapkę, otoczoną lekką srebrną koroną oraz pelerynę z czarnego jedwabiu, układającą się w obfite fałdy. Strój ten, jak zresztą słusznie sądził, podkreślał jeszcze nastrój ponurej i nieubłaganej sprawiedliwości, panujący w sądowych komnatach.

W czasie zeznań król Casmir siedział bez ruchu, wpatrując się zimnymi, niebieskimi oczami w świadka. Swoje wyroki ogłaszał zwięźle bezbarwnym głosem, nie bacząc na rangę, status społeczny czy pokrewieństwo z oskarżonym. W większości były one uczciwe, a kary niezbyt wysokie czy surowe, co powodowało, że w całym kraju uchodził za mądrego i sprawiedliwego władcę.

Tego dnia, pod koniec sesji sądowej do stołu podszedł podmarszałek dworu.

– Najjaśniejszy Panie, niejaki Visbhume oczekuje na audiencję. Twierdzi, że jest tu z twojego rozkazu.

– Wprowadź go tutaj. – Casmir odprawił urzędników sądowych i rozkazał strażom zająć miejsca na zewnątrz, przed drzwiami.

Wkroczywszy do zimnej sali, Visbhume znalazł się sam na sam z królem. Stawiając duże kroki, przeszedł na ugiętych w kolanach nogach do stołu, gdzie zatrzymał się i spojrzał na króla Casmira z nie skrywanym zainteresowaniem, pozbawionym zupełnie strachu.

Król Casmir odchylił się do tyłu pod taksującym wzrokiem Visbhume'a, który wydawał się zbyt poufały, by nie rzec zuchwały. Chrząknął i na twarzy Visbhume'a natychmiast pojawił się przymilny uśmiech.

Król Casmir wskazał na krzesło.

– Siadaj.

Zgodnie z tym co mówił Tamurello, Visbhume nie robił dobrego wrażenia przy pierwszym spotkaniu. Był wysoki, miał wąskie ramiona, zapadniętą klatkę piersiową i szerokie biodra, które wysunął do przodu, jak gdyby w gotowości do podjęcia nowych zadań. Jego głowa i nos były wąskie i długie; czarne włosy wyglądały na farbowane i dziwnie kontrastowały z ziemistą cerą. Pod oczami widniały arsenowe cienie, a wargi zwisały luźno nad ostrą brodą.

Gdy usiadł, król Casmir zapytał:

– Jesteś Visbhume i przysłała cię Tamurello?

– Tak, sire.

Król Casmir złożył ręce i obrzucił czarnoksiężnika jednym ze swoich najbardziej lodowatych spojrzeń.

– Opowiedz mi coś o sobie.

– Z przyjemnością! Mam wiele talentów, niektóre z nich są niezwykle, wręcz wyjątkowe, chociaż przypadkowemu obserwatorowi mogę się wydawać zwyczajnym człowiekiem. Mój wygląd może na to nie wskazuje, ale jestem bystry i przebiegły. Studiuję tajemne nauki; mam wyśmienitą pamięć; potrafię rozwiązać każdą zagadkę.

– Zaiste, jest to imponująca lista przymiotów – rzekł król Casmir. -Czy pochodzisz z rodziny szlacheckiej?

– Sire, nic mi nie wiadomo o moim urodzeniu, choć pewne fakty pozwalają mi sądzić, że jestem synem księżęciem z nieprawego łoża. W moich najwcześniejszych wspomnieniach pojawia się gospodarstwo na dalekiej północy Dahautu, w trudno dostępnej okolicy na pograniczu z Wysrodem. Jako bezimienny podrzutek byłem zmuszany do upokarzającej harówki. Uciekłem więc z farmy i

zostałem najpierw służącym, a później uczniem czarnoksiężnika Hippolita w Maule. Uczyłem się aksjomatów i reguł Wielkiej Sztuki i byłem na najlepszej drodze do poznania spraw wielkiej wagi! Niestety, wszystko się zmienia. Dziesięć lat temu Hippolito odleciał z Maule na gonicie i nigdy więcej nie powrócił. Odczekałem pewien czas, po czym przejąłem nadzór nad obejściem i może był to zbyt zuchwały czyn, ale taki już jestem. Maszeruję w rytm muzyki, której pospolite uszy nie słyszą! Nagłące dźwięki trąbki, dzwoniące...

Król Casmir machnął ze zniecierpliwieniem ręką.

– Bardziej interesują mnie konkretne szczegóły dotyczące twoich umiejętności niż opisy dźwięków rozbrzmiewających w twojej głowie.

– Dobrze więc, Najjaśniejszy Panie. Moje ambicje rozbudziły w innych zazdrość i złość, byłem więc zmuszony uciekać, chcąc ująć z życiem. Zaprząłem do wozu kozę Hippolita o żelaznych nogach i galopem opuściłem Maule. Wkrótce sprzymierzyłem się z Tamurellem i uczyliśmy się od siebie nawzajem, wymieniając się naszą specjalistyczną wiedzą. Obecnie nie mam nic do roboty, tak więc gdy Tamurello opowiedział mi o twoich kłopotach i prosił usilnie, żebym ulżył twojej niedoli, zgodziłem się Ci pomóc. Wyjaśnij mi zatem dokładnie, sire, na czym polegają twoje problemy, abym mógł poddać je analizie.

– Sprawa jest prosta – odparł król Casmir. – Pięć lat temu Suldrun, ówczesna księżniczka, urodziła córkę. Była to Madouc, obecna księżniczka. Pewne okoliczności tych narodzin są niejasne. Na przykład, czy mogły przyjść na świat bliźnięta? Kiedy sprawy te zaczęły mnie zastanawiać, Suldrun i ojciec dziecka już nie żyli.

– A ty zostałeś tylko z jednym dzieckiem?

– Zgadza się. Najpierw dziecko zabrała niejaka Ehirme, służąca, i oddała je pod opiekę swoim rodzicom, od których je odzyskaliśmy. Chcę poznać wszystkie szczegóły tej sprawy, które wówczas przeoczyłem.

– Aha! Całkiem słusznie! Kim był ojciec dziewczynki?

– Nie zostało to nigdy ustalone. Jak się zdaje, jedynym punktem zaczepienia w tej sprawie jest ta służąca, która wtedy mieszkała w małej zagrodzie na południu, przy drodze Lirlong. Od tamtej pory minęło pięć lat, może jednak pozostały po tych wydarzeniach jakieś ślady.

– Nie ma co do tego wątpliwości! Cała prawda z pewnością wyjdzie na jaw.

V

Wkrótce Visbhume ponownie zjawił się w Haidionie z wiadomościami o swoich najnowszych odkryciach. W swym entuzjazmie stanął bardzo blisko króla Casmira i wysunął do przodu głowę.

– Ta służąca, Ehirme, z całą rodziną przeniosła się do Troicinetu! Gdy król Casmir poczuł przykry zapach wydobywający się z ust Vis-

bhume'a, przechylił się ostentacyjnie do tyłu i wskazał palcem na krzesło.

– Usiądź... Troicinet, powiadasz. Gdzie się tego dowiedziałeś? Visbhume zajął miejsce, wykonując przy tym wiele uprzejmych gestów.

– Uzyskałem te informacje od siostry Ehirme, której mąż łowi daleko od Dziury Tooka. Co więcej... – Visbhume przechylił głowę w bok. – Czy zgadniesz, Najjaśniejszy Panie?

– Nie. Mów dalej.

– Graithe i Wynes, ojciec i matka Ehirme, też wyjechali z całym dobytkiem do Troicinetu. Ta kobieta twierdzi, że im wszystkim dobrze się tam powodzi, i że żyją jak szlachta. W jej wypowiedzi dostrzegam coś więcej niż zwykłą zawiść, która tylko ubarwiła jej zeznania.

– Rzeczywiście – zauważył Casmir. Musiał to przemyśleć. Czyżby król Aillas zainteresował się jego prywatnymi sprawami? – Od jak dawna mieszkają w Troiciniecie?

– Od kilku lat, sire. Kobieta nie potrafiła tego dokładnie określić i jestem święcie przekonany, że nie ma poczucia upływu czasu.

– Cóż, nie ma to większego znaczenia. Wydaje się, że teraz musisz przeprowić się przez Lir do Troicinetu.

– Ach, cóż za los mnie czeka! – zawołał płaczącym głosem Visbhume. – Popłynę jednak, chociaż nienawidzę niepewnego kołysania łodzi! Niełatwo też przychodzi mi zapomnieć o tych bezdennych głębiach, tak odległych i obcych człowiekowi.

– Aillas nie przestaje grabić Południowych Ulflandów i działa wbrew moim planom. Jedź więc do Troicinetu i dowiedz się o tej sprawie wszystkiego, gdyż ma ona duże znaczenie dla dziedziczenia mojego tronu.

Visbhume przechylił się do przodu, wykrzywając z ciekawości twarz.

– Jakże to, Wasza Królewska Mość? Twoim następcą jest przecież książę Cassander!

– Właśnie – uciął sprawę król Casmir. – Chwilowo musisz się zająć tylko tymi problemami, które przedstawiłem ci w ogólnym zarysie. Jak, w najdrobniejszych szczegółach, przebiegały narodziny dziecka Suldrun? Czy mogły się urodzić bliźniaki? Jeśli tak, gdzie jest drugie dziecko? Czy to jest jasne?

– Tak, oczywiście! Natychmiast wyruszam do Troicinetu, pomimo strachu, jaki odczuwam na widok każdej fali tego okrutnego czarnego morza! Teraz jednak mogą wznieść się jak najwyżej, lecz i tak nie powstrzymają mnie przed przeprową! Żegnam cię, królu Casmirze!

Visbhume odwrócił się i wielkim, zamaszystym krokiem wyszedł z komnaty. Casmir potrząsnął z rozgoryczeniem głową i zajął się innymi sprawami.

Godzinę później marszałek dworu zapowiedział posłańca, który dopiero co przybył do miasta Lyonesse.

– Mówi, że przybył w ogromnym pośpiechu i że jego wiadomość przeznaczona jest wyłącznie dla twoich uszu, Najjaśniejszy Panie.

– Jego imię?

– Twierdzi, że nic by ono nie powiedziało ani mnie, ani tobie, Najjaśniejszy Panie.

– Przeprowadź go tutaj.

Do pokoju wszedł chudy, młody mężczyzna o twarzy pokrytej odrażającymi bliznami. Ubranie miał zakurzone i zniszczone podróżą. Był niskiego stanu i mówił z ciężkim, wiejskim akcentem.

– Wasza Królewska Mość, przysłała mnie Torqual, który powiedział mi, że znasz go dobrze.

– To prawda. Mów dalej.

– Potrzebuje złotych koron, żeby mógł wypełniać twe rozkazy. Twierdzi, że przekazał wiadomość przez Shallesa i chciałby się dowiedzieć, czy wysłałeś pod jego nadzorem złoto, czy też nie.

Król Casmir potarł grzbiet nosa.

– Nie dałem Shallesowi złota dla Torquala. Nie prosił mnie o to... Na co Torqual potrzebuje złota?

– Nie zwierzył mi się ze swoich planów, sire.

– Jesteś jego towarzyszem?

– Tak. Nowy król zakazał walk między klanami i nie można już się mścić za doznane krzywdy. Lecz czy wiesz, Najjaśniejszy Panie, co mi zrobił sir Elphin z zamku Floon? Nic mnie nie obchodzi Aillas i jego zakazy. Kiedy już zemszczę się na Elphinie z Floon, Aillas może mnie zabić w taki

sposób, w jaki tylko zechce.

– Co to ma wspólnego z Torqualem?

– Jesteśmy ludźmi wyjętymi spod prawa, sire. Włóczyliśmy się po odległych wzgórzach jak stado wilków. Ostatnio znaleźliśmy kryjówkę, gdzie nikt nie będzie nas ścigał i teraz potrzebujemy złota, żeby ją urządzić i zdobyć zapasy żywności, które łatwiej kupić, niż ukraść.

– Ile złota chce Torqual?

– Sto złotych koron, Wasza Królewska Mość.

– Co?! Czy zamierzacie żywić się ortolanami i miodem z kwiatów jaśminu? Dam wam czterdzieści koron; musicie się zadowolić kaszą jęczmienną i owczym mlekiem.

– Wezmę tyle, ile mi dasz, Najjaśniejszy Panie.

Król Casmir podniósł się i podszedł do drzwi.

– Dominie!

Rycerz stojący przy drzwiach obejrzał się.

– Wasza Królewska Mość?

– Mam niebezpieczne zadanie dla odważnego mężczyzny.

– Sire, jestem tym, którego szukasz.

– W takim razie przygotuj się do drogi. Pojedziesz na północ z torbą złota, a potem powiadomisz mnie o jej doręczeniu. Ten dżentelmen, którego imienia nie znam, będzie twoim przewodnikiem.

– Tak jest, sire.

Rozdział 9

I

Zamek Clarrie leżał w najdalej wysuniętej części Południowych Ulflandów, dwadzieścia kilometrów od północnej granicy, w pobliżu Cloud Cutters, trzech nagich szczytów masywu Teach tac Teach.

Panem zamku Clarrie i należących do niego ziem był lord Loftus, jeden z tych baronów, którzy najbardziej opierali się władzy nowego króla. Jego nieprzejednana postawa datowała się od wydarzeń z niedawnej przeszłości, związanych z najezdami skalradzkich łowców niewolników. Choć w ostatnich latach napady te nie były już tak częste, to jednak nadal grupy Skalradów przejeżdżały Górską Drogą, biegnącą zaledwie kilka mil na wschód od jego posiadłości.

Ponadto wielu spośród sąsiadów lorda Loftusa, jak na przykład Mott z wieży Motterby czy Elphin z Floon, którzy byli nie mniej krnąbrni niż on sam, należało do wrogich sobie klanów.

Od wieków wrogiem panów na zamku Clarrie była rodzina Gosse z Fian Gosse, zamku położonego w dolinie, dwadzieścia mil na południe od Clarrie. W przeciwieństwie do lorda Loftusa, młody lord Bodwy zdecydował się poprzeć króla Aillasa we wszystkich jego poczynaniach. Powodowała nim nadzieja, że skończy się wreszcie ta krwawa wojna, która doprowadziła do przedwczesnej śmierci jego ojca, wujów, dziadka i niezliczonych krewnych.

W czasie zjazdu w Doun Darric, Bodwy podszedł do lorda Loftusa z Clarrie i wyraził nadzieję, że między ich domami zapanuje znów zgoda i zaufanie. Zobowiązał się dołożyć wszelkich starań, żeby doprowadzić do pojednania, gdyż utrzymująca się wrogość nie służyła interesom żadnej ze stron.

Lord Loftus zareagował na ten gest chłodno, ale obiecał, że nie poczyni żadnych nowych kroków przeciwko Gosse. Dlatego też miesiąc później lord Bodwy ze zdziwieniem wysłuchał opowieści jednego z pastuchów, Sturdivanta:

– Byli ubrani w zielone barwy Clarrie i nosili znaki Clarrie. Było ich czterech, chociaż z widzenia żadnego z nich nie znałem. Zachowywali się niezwykle zuchwale, a już w najbardziej okrutny sposób potraktowali twojego byka, Czarnego Butza, ciągnąc go z całych sił w kierunku Clarrie za łańcuch przytwierdzony do kółka w nosie.

Lord Bodwy natychmiast udał się konno ze Sturdivantem do zamku Clarrie, w którym od wieku nikt z rodziny Gosse nie bywał w celach pokojowych. Lord Loftus przyjął go z kurtuazją. Lord Bodwy rozejrzał się z ciekawością po ogromnym hallu zamku i wyraził podziw dla pięknego kilimu wiszącego na ścianie.

– Chciałbym, żeby był to jedyny powód mojej wizyty – powiedział. – Prawdę mówiąc, jestem niespokojny o mojego byka, Czarnego Butza. Sturdivant, opowiedz, co widziałeś.

– Sir, skracając tę długą historię, powiem tylko tyle, że wczoraj Czarny Butz został porwany z pastwiska, przez czterech ludzi ubranych w zielone barwy Clarrie.

Lord Loftus natychmiast przyjął wyniosłą postawę.

– Co?! Oskarżasz mnie o kradzież twojego byka?

– Ależ skąd! – zaprzeczył lord Bodwy. – Mam dla ciebie zbyt wiele poważania, żeby wysunąć takie oskarżenie. Ale musisz przyznać, że okoliczności tej sprawy są nader zagadkowe. Sturdivant widział wyraźnie mężczyzn ubranych w barwy Clarrie, których nie potrafił rozpoznać. Ślady wiodą

do twoich włości, ale urywają się przy rzece Swir-ling.

– Możesz przeszukać całą moją posiadłość, od piwnicy, aż po dach – oznajmił lodowatym tonem sir Loftus. – Natychmiast przesłucham moich pasterzy.

– Sir Loftusie, o wiele bardziej zależy mi na tym, aby odkryć sprawców tego osobliwego czynu i motywy ich działania niż na tym, żeby odnaleźć Czarnego Butza.

Pomimo wielu godnych podziwu cech, sir Loftusowi brakowało umiejętności szybkiego przystosowania się do nowych lub bardziej skomplikowanych sytuacji. Skradziono byka sir Bodwy'ego; sir Bodwy natychmiast przybył do jego zamku, zatem wniosek jest prosty – sir Bodwy uważał go za złodzieja, pomimo obłudnych zapewnień, że tak nie było.

Jakież było zdumienie sir Loftusa, gdy w szopie za stodołą znaleziono Czarnego Butza, zaszlachtowanego i oprawionego.

Fakt ten tak go oszołomił, że zapomniał języka w gębie. Gdy wreszcie odzyskał mowę, wezwał swojego zarządcę i kazał mu wypłacić sir

Bodwy'emu pięć srebrnych florenów, chociaż nadal zaprzeczał osobistej odpowiedzialności za ten czyn. Bodwy odmówił przyjęcia pieniędzy.

– Najwyraźniej nie jesteś winien tego, co się stało. Nie mógłbym wziąć od ciebie pieniędzy. Zamiast tego przyślę wóz, żeby zabrać mięso, które jutro będzie skwierczeć na rożnie. – W odruchu wielkoduszności dodał: – Może ty i twoi ludzie odwiedzić Fian Gosse i przyłączycie się do uczy? To dziwne wydarzenie przyniosłoby w ten sposób skutek przeciwny zamierzonemu.

– Sir, co przez to rozumiesz?

– Czy przypominasz sobie tego samozwańczego sir Shallesa z Dahautu, który bez wątpienia był agentem Lyonesse?

– Pamiętam go, ale jego powiązania z królem Casmirem nie są wcale takie oczywiste.

– To rzeczywiście tylko domysły. Domyślam się też, że Shalles nie był jedynym działającym tu agentem.

Lord Loftus potrząsnął z powątpiewaniem głową.

– Przeprowadzę dokładne śledztwo. Dziękuję za zaproszenie, ale obawiam się, że w tych okolicznościach muszę odmówić, gdyż wciąż ciąży na mnie podejrzenie.

– Sir Loftusie, założyłbym się o wszystko, co posiadam, że w tej sprawie jesteś całkowicie wolny od winy. Ponawiam moje zaproszenie, niech biedny Czarny Butz, który zginął niegodną śmiercią, przynajmniej w ten sposób przysłuży się *post mortem* obu naszym domom.

Upór sir Loftusa był powszechnie znany; uważał swoje, raz wypowiedziane słowo za święte i nieodwołalne, dlatego też nigdy nie można mu było zarzucić zmienności.

– Proszę, wybacz mi, sir Bodwy, ale będę czuł się nieswojo, dopóki ta tajemnica nie zostanie do końca wyjaśniona.

Lord Bodwy wrócił do Fian Gosse. Po pięciu dniach przed jego oblicze wpadł młody wieśniak ze złowieszczyimi informacjami. W nocy skradziono czternaście sztuk najlepszego bydła sir Loftusa i pognano je na południe. Ludzie sir Loftusa uznali, że złodziejami byli paserze z Fian Gosse, a to z powodu ich ukradkowego działania i dlatego, że nikt innych z wieśniaków nie byłby zdolny popełnić takiego czynu.

Jednak najgorsze wieści miały dopiero nadejść. Slevan Wilding, bratanek Loftusa, poszedł śladem złodziei, który zaprowadził go na ziemię Gosse. W miejscu zwanym Iron Tor, trzech uzbrojeni mężczyźni w barwach Fian Gosse wypuścili trzy strzały i Slevan Wilding padł martwy, z przeszytym sercem, szyją i okiem. Jego towarzysze rzucili się w pogoń za mordercami, lecz udało im się zbiec.

Dowiedziawszy się o zasadzce i obejrawszy dokładnie strzały, lord Loftus wznosił w górę

zaciśnięte pięści, po czym wysłał przez wrzosowiska do najbardziej odległych dolin posłańców, żeby wezwali walecznych mężów z klanu Wilding do stawienia się w zamku Clarrie. Nie zważając na królewskie zakazy, Loftus poprzysiągł pomścić śmierć Slevana Wildinga i ukarać tych, którzy skradli jego bydło.

Lord Bodwy natychmiast wysłał swoich posłańców do Doun Darric, po czym przygotował Fian Gosse do odparcia ataku i do oblężenia.

Jeźdźcy przybyli do Doun Darric w południe na ledwo żywych ze zmęczenia koniach. Na szczęście oddział dwustu konnych stał tego dnia gotowy do wyjazdu na manewry w kierunku granicy z Północnymi Ulflandami. Zamiast tego Aillas rozkazał żołnierzom ruszyć z największą prędkością do Fian Gosse.

Jechali przez całe słoneczne popołudnie i zatrzymali się dopiero o zachodzie słońca na godzinny odpoczynek. Potem ruszyli w dalszą drogę przy świetle księżyca w pełni – przez wrzosowiska Bruden, w górę wzdłuż rzeki Werling do Wrzosowiska Martwego Człowieka i na przełaj w kierunku północno-wschodnim. O północy zaczął wiać wiatr i chmury zasłoniły księżyc. Nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwo utonięcia w bezdennej trzęsawisku lub wjechania na oślep w jakiś wąwóz, oddział znalazł schronienie w lasku modrzewiowym, gdzie tłocząc się, żołnierze zasiedli przy dymiących ogniskach.

O świcie pojechali dalej, nie zważając na przeszywający wiatr i siąpiący, zimny deszcz. Z trudem posuwali się do przodu, wspinając się na górę Blue Murdoch, potem pogalopowali pod ciężkimi szarymi chmurami traktem wiodącym przez wrzosowiska. O drugiej po południu przybyli do Fian Gosse, zaledwie w godzinę po zjawieniu się w tym miejscu lorda Loftusa i stu zbrojnych ludzi z jego klanu. Napastnicy zgromadzili się poza zasięgiem strzał i zajęli się budowaniem drabin, bardzo przydatnych w tej sytuacji, gdyż mury Fian Gosse były niskie, a obrońców na nich stało niewielu. Lord Loftus nie miał wątpliwości, że zamek padnie przy pierwszym szturmie, który zamierzał przeprowadzić w świetle księżyca.

Pojawienie się oddziałów królewskich i samego króla zniweczyło jego plany i w jednej chwili poznał gorzkość całkowitej porażki. Gdyby teraz polala się krew, najwięcej straciliby jej Wildingowie. Co teraz? -pytał samego siebie. – Wycofać się? Walczyć? Układać się? Każde z tych rozwiązań wydawało mu się upokarzające.

Przygnębiony i zdesperowany stanął naprzeciwko królewskich żołnierzy ze zsuniętym z czoła hełmem i rękami opartymi na rękojeści miecza wbitego w darń między nogami.

Do przodu wysunął się herold, zamasyście zeskoczył z konia i stanął przed lordem Loftusem.

– Sir, mówię w imieniu króla Aillasa. Rozkazuje ci on schować miecz do pochwy, potem wystąpić i złożyć wyjaśnienie na temat twojej tu obecności. Jaką odpowiedź mam zanieść królowi Aillasowi?

Lord Loftus nie odpowiedział. Z wściekłością wepchnął miecz do pochwy i ruszył z miejsca. Król Aillas zsiadł z konia i stał w wyczekującej pozycji. Oczy wszystkich, zarówno ludzi z klanu Wildingów, jak i obrońców Fian Gosse oraz królewskich żołnierzy, śledziły każdy krok lorda Loftusa. Krata w bramie wiodącej do Fian Gosse ze zgrzytem uniosła się w górę i z twierdzy wyszedł lord Bodwy, który wraz z trzema członkami świty także podszedł do króla Aillasa.

Lord Loftus zatrzymał się w odległości dziesięciu stóp od Aillasa. Z boku, w zupełnej ciszy, nadszedł lord Bodwy.

– Oddaj swój miecz tu stojącemu sir Glynowi – przemówił chłodno Aillas. – Jesteś aresztowany pod zarzutem spiskowania w celu dokonania nielegalnej napaści i dopuszczenia się aktów krwawej przemocy.

Lord Loftus oddał swój miecz z kamienną twarzą.

– Teraz wysłucham tego, co masz na swoją obronę – rzekł Aillas.

Najpierw przemówił lord Loftus, potem lord Bodwy; ponownie zabrał głos Loftus, a po nim Bodwy i w końcu Glannac. W ten sposób opowiedziano całą historię.

– Loftusie, jesteś zawzięty, dumny i nieugięty. – Głos Aillasa brzmiał bardziej pogardliwie niż surowo. – Nie wydajesz się okrutny ani szalony, jesteś po prostu porywczy i to w stopniu graniczącym z głupotą. Masz szczęście, że przybyłem tu, zanim doszło do rozlewu krwi. Gdyby zginął choć jeden człowiek, uznałbym cię winnym morderstwa i kazałbym natychmiast cię powiesić, a twój zamek zamienić w stos kamieni.

– Przelano krew mojego bratanka Slevana! Kto odpowie za to morderstwo?

– A kto jest mordercą?

– Ktoś z rodu Gosse.

– Kłamstwo! – krzyknął Bodwy. – Nie jesteśmy takimi głupcami!

– Właśnie – odparł Aillas. – Tylko ktoś tak bezmyślnie porywczy jak ty, lordzie Loftusie, mógł nie dostrzec faktu, że zbrodnia ta była obliczona na to, żeby was ze sobą skłócić, a mnie przysporzyć smutku. Postawiliście mnie w kłopotliwej sytuacji i teraz muszę stąpać po ścieżce między mądrością a ślepą sprawiedliwością, gdyż nie chcę karać głupoty. Co więcej, lord Pirmence potwierdza twoje oświadczenie dotyczące więzienia i tortur, co świadczy mocno na twoją korzyść. Jakie zatem możesz dać gwarancje, że nigdy więcej nie podniesiesz miecza, żeby czynić sprawiedliwość na własną rękę i że uczynisz to tylko w obronie własnej lub w służbie króla?

– A jakie gwarancje może dać Bodwy, że nie będzie więcej kradł mojego bydła? – wymamrotał lord Loftus.

Bodwy roześmiał się, szczerze rozbawiony.

– Czy ukradłeś mojego byka, Czarnego Butza?

– Nie, nigdy bym czegoś takiego nie zrobił.

– Ani ja nie ukradłbym ani jednej krowy z twojego stada. Loftus rzucił gniewne spojrzenie w stronę wzgórz.

– Twierdzisz więc, że to wszystko zostało ukartowane?

– Gorzej, o wiele gorzej! – oświadczył lord Bodwy. – Ktoś zaplanował sobie, że zaatakujesz Fian Gosse, a potem poniesiesz konsekwencje swego czynu. Miałem na tym ucierpieć ja, ty, król Aillas i cały kraj.

– Rozumiem tok twojego rozumowania. Tylko szaleniec mógł uknuć taką przewrotną intrygę!

– Nie szaleniec – wtrącił Aillas. – Torqual nie jest szalony. Lord Loftus otworzył szeroko oczy.

– Torqual? Ależ on jest banitą!

– W służbie Lyonesse. Mów, Loftusie! W jaki sposób zamierzasz zapewnić mnie o swojej przyszłej wierności, lojalności i posłuszeństwie wobec praw tego kraju?

Z ciężkim sercem lord Loftus ukląkł i ślubował służbę królowi na honor i dobre imię swego domu.

– To musi wystarczyć – rzekł Aillas. – Sir Bodwy, co o tym sądzisz?

– Nie mam żadnych krytycznych uwag, jeśli przysięga ta kładzie kres podejrzeniom między Wildingami i Gosse'ami.

– Dobrze, niech więc tak będzie. Sir Glyn, oddaj sir Loftusowi jego miecz.

Nie mogąc wymówić słowa ze wzruszenia, sir Loftus schował miecz do pochwy.

– Naszym wrogiem jest Torqual – powiedział Aillas. – Ukrywa się w Północnych Ulflandach i

zjawia się tu, aby dokonywać okrutnych czynów. Nie mam wątpliwości, że obserwuje nas w tej chwili z jakiejś góry albo z lasu. Proszę, żebyście dowiedzieli się o nim możliwie jak najwięcej. Nie możemy teraz wkroczyć do Północnych Ulflandów, gdyż sprowokowalibyśmy Skalradów, a na to nie jesteśmy jeszcze przygotowani. Wcześniej czy później jednak zwrócą na nas swoją uwagę i wątpię, żeby mieli wzgląd na to, czy nam się to podoba. Tymczasem każcie swoim pasterzom i chłopom pilnie strzec wrzosowisk. Mężczyzna, kobieta czy dziecko, każdy, kto pomoże złapać Torquala, otrzyma wysoką nagrodę. Rozgłoście to, proszę. Zarazem ostrzeżcie swoich krewnych i członków klanów przed Torqualem i jego sztuczkami. A teraz, lordzie Loftusie, ze względu na moje dobre imię, nie mogę pozwolić, żebyś odszedł, nie poniosłszy kary. Po pierwsze zatem, poddaję cię pod dozór na okres pięciu lat. Po drugie, nakładam na ciebie grzywnę w wysokości dwudziestu złotych koron, która to suma ma zostać wpłacona do skarbcza królewskiego. Po trzecie, musisz urządzać przyjacielską zabawę dla waszych klanów, w czasie której nie będzie można nosić broni i wszyscy będą dla siebie mili. Niech zabrzmie muzyka i odbędą się tańce, niech skończy się wreszcie przelewanie sąsiedzkiej krwi.

Lord Bodwy odwrócił się do Loftusa i wyciągnął do niego rękę.

– Oto moja dłoń na zgodę.

Lord Loftus, choć jeszcze nieco sztywny i upokorzony, poczuł się uwolniony od wszystkiego, co wcześniej się wydarzyło. W odruchu serdeczności chwycił dłoń Bodwy'ego i uściśnął ją.

– Nigdy cię nie zawiodę. Mam nadzieję, że będziemy dobrymi przyjaciółmi i sąsiadami.

Gdy tylko Aillas powrócił do Doun Darric, jego złe przeczucia spełniły się i wszystkie wcześniejsze problemy straciły nagle na znaczeniu.

Aillas od dawna czekał na przejaw wrogości Skalradów wobec jego władzy. Nie była to jednak, jak się spodziewał, jakaś niewielka potyczka, której celem byłoby poddanie go próbie, ale brutalny cios. Skalradzi rzucili mu wyzwanie, na które mógł odpowiedzieć tylko na dwa sposoby. Mógł się poddać, narażając się tym na śmieszność i utratę twarzy albo podjąć walkę, co wywołałoby otwarty konflikt, na co nie był jeszcze przygotowany.

Działania Skalradów nie były dla niego zaskoczeniem. Dobrze ich znał; uważali, że są w stanie wojny z całym światem i wykorzystywali każdą okazję, aby rozszerzyć zasięg swego panowania. Ponieważ Południowe Ulflandy pod rządami króla Aillasa stawały się coraz silniejsze, należało jak najszybciej doprowadzić do jego upadku. Pierwszy krok, jaki wykonali mając na względzie minimalną utratę sił i życia Skalradów, polegał na zajęciu miasta Suarach, leżącego na południowym brzegu rzeki Werling tuż przy granicy między Ulflandami.

Dotychczas Skalradzi zostawiali Suarach w spokoju, traktując je jako obszar neutralny, na którym mogli handlować z całym światem. Fortyfikacje miasta od dawna były zniszczone, a Aillas nie miał ani środków, ani ludzi, żeby umieścić w nim garnizon i z konieczności zostawił Suarach bez obrony w nadziei, że Ska nadal będą je uważać za strefę neutralną.

Skalradzi, chcąc zmanifestować swój stosunek do Południowych Ulflandów, wykonali jednak nagły ruch. Wkroczyli do Suarach z czterema silnymi oddziałami kawalerii i piechoty, biorąc miasto bez jakiegokolwiek oporu.

Natychmiast utworzyli z mieszkańców grupy robocze, które pracując bez wytchnienia pod ich srogim nadzorem, naprawiły umocnienia. Była to dla Aillasa i powagi jego rządów dotkliwa zniewaga, której nie mógł zignorować, nie narażając na szwank swojego autorytetu.

Przez dwa dni Aillas nie wychodził ze swej kwatery w Doun Darric. Rozważał różne możliwości. Natychmiastowy kontratak w postaci frontalnego uderzenia, wydawał się najgorszym ze wszystkich rozwiązań. Skalradzi mieli sprawny system szybkiego komunikowania się, a ich żołnierze

przewyższali niedoświadczonych Ulflandczyków pod każdym względem – sprawności, dyscypliny, dowodzenia, uzbrojenia i, co najważniejsze, prawie nabożnego przekonania o tym, że są niezwykli. W przekonaniu Aillasa oddziały Troicinetu o wiele bardziej dorównywały Skalradom, lecz mimo wszystko ustępowały im w zakresie umiejętności prowadzenia walki*.

Aillas siedział samotnie w chacie, która służyła mu za kwaterę główną w Doun Darric. Patrząc przez okno na wrzosowiska w strugach deszczu. Był to posępny widok, lecz nie bardziej przygnębiający niż jego obecne położenie. Gdyby sprowadził z Troicinetu żołnierzy, okręty i zapasy, a wszystko to w ilości wystarczającej do zmiżdżenia Skalradów, to nie tylko wywołałby niezadowolenie w ojcystym kraju, ale także naraziłby go na nagły atak ze strony króla Casmira z Lyonesse, który tak czy owak ucieszyłby się, widząc go złapanego w pułapkę beznadziejnej wojny ze Ska.

Obecnie uwaga każdego barona, rycerza czy pomniejszego lorda w Południowych Ulflandach skupiona była na nim. Gdyby nie oddał ciosu, straciłby wiarygodność jako rzeczywisty władca i stałby się jeszcze jednym Oriante, bezradnym w konfrontacji z siłą Skalradów.

Stojąc przy oknie i patrząc na zalewane deszczem wrzosowiska, Aillas podjął wreszcie decyzję, która w rzeczywistości nie tyle była planem działania, co listą działań, jakich nie mógł przedsięwziąć: żadnego ataku na Suarach, żadnych posiłków z Troicinetu z wyjątkiem okrętów,

* Żołnierz skalradzki obawiał się tylko jednego – utraty szacunku wśród swoich towarzyszy. Zdobywał awans społeczny głównie dzięki swoim czynom i dlatego walczył z okrucieństwem, które odejmowało odwagę jego przeciwnikom jeszcze przed rozpoczęciem bitwy.

Pomiędzy sobą Skalradzi byli uprzejmi i przestrzegali prawa, postępując zgodnie z zasadami wytworzonymi przez wyjątkową i złożoną kulturę, o tysiącletniej pisanej historii oraz o wiele starszych tradycjach. Pierwotnie stanowili niewielkie plemię, które podążyło na północ za cofającymi się lodowcami i osiedliło się w Skandynawii, skąd zostało wyparte przez Ur-Gotów (późniejszych Skandynawów i Wikingów, którzy przejęli wiele skalradzkich cech i umiejętności, między innymi budowy długich łodzi).

Przekazy mówiły o walkach Skalradów z neandertalskimi kanibalami którzy – jak wierzyli – krzyżowali się ze wszystkimi pozostałym plemionami ludzkimi, tak więc tylko Skalradzi tworzyli czystą rasę ludzką, a wszyscy pozostali byli mieszańcami z domieszką krwi neandertalskiej.

Więcej wiadomości na temat fascynującej historii Ska i ich zwyczajów znaleźć można w Glosariuszu, w *Lyonesse I. Ogród Suldrun*.

które miały niepokoić flotę Skalradów, żadnego odwracania się plecami do zaistniałej sytuacji jak gdyby nic się nie stało. W takim razie, co mu pozostało? Tylko klasyczna strategia pokonanego w walce psa -zręczność i przebiegłość.

A co z Północnymi Ulflandami? Skalradzi grasowali po nich do woli, traktując ten region jako dziczące odludzie, które w końcu i tak zajmą. Tymczasem eksploatowali jego zasoby drewna i rudy oraz wcielali do swoich roboczych oddziałów rozproszonych mieszkańców, gdy tylko uznali to za konieczne. Z pasa przybrzeżnego zwanego Odsłoniętym Przybrzeżem, całkowicie wyparli Ulflandczyków i zasiedlili ten obszar, budując na nim dziwne wioski z licznymi zabudowaniami. Zajęli się uprawą nie tylko żyznych ziem ornych, ale także tych, które Ulflandczycy przeznaczali pod pastwiska. Rdzenni mieszkańcy, których pozostało już niewiele, skupili się w nędznych wioskach, kryjąc się za każdym razem, gdy na horyzoncie pojawiły się skalradzkie bandy łapiące niewolników, mimo że w Xounges nadal sprawował nominalną władzę król Gax.

Nad rozmokłymi wrzosowiskami zapadł mrok. Aillasowi podano na kolację chleb i soczewicę, po czym znów zasiadł samotnie przed kominkiem. Minęły kolejne dwie godziny, zanim położył się na

kanapie, gdzie wreszcie cichy szum deszczu uderzającego monotonicznie o dach ukołysał go do snu.

Rankiem, jak gdyby stał się cud, zaświeciło słońce, rozjaśniając czyste, błękitne niebo i wrzosowiska. Pokryte błyszczącymi w jego promieniach kroplami deszczu, nie wydawały się już tak nieprzyjaznym miejscem.

Aillas zjadł śniadanie, potem wysłał wiadomość do Domreis z rozkazem, aby przygotować natychmiast sześć okrętów wojennych, które mają wziąć kurs na Ys i od tej pory penetrować wody Morza Wąskiego w poszukiwaniu floty Skalradów.

Następnie Aillas spotkał się z dowódcami swojej armii. Przemawiał do nich długo, przedstawiając problemy i wyjaśniając, jak zamierzał się z nimi uporać.

Reakcje jego podwładnych zadziwiły go, a zarazem zadowolili. Koncepcje Aillasa zgadzały się w ogólnych zarysach z ich własnymi poglądami. Podniosły się nawet głosy przeciwne Skalradom: „Już wystarczająco długo płaszczymy się przed tymi diabłami o rogatej duszy. Teraz wreszcie pokażemy im, z jakiej gliny ulepieni są ulflandzcy żołnierze!"; „Pokonali nas wcześniej, to prawda! A dlaczego? Bo są dobrze wyćwiczeni, co sprawia, że każdy z nich walczy za trzech! Teraz i my jesteśmy odpowiednio wyszkoleni!"; „Powiadam wam, wyruszajmy choćby dziś do Północnych Ulflandów! Wszyscy razem, zdecydowanie, a tam już poszukamy ich armii. Nie jesteśmy beczącą owcą, za jaką nas biorą!"

– Ach, sir Redyardzie! – zawołał nieco rozbawiony Aillas. – Gdyby tylko cała armia знаła twoją determinację! Nasze problemy zniknęłyby w jednej chwili! Tymczasem jednak musimy walczyć z rozwagą, nie kierując się emocjami. Jediną słabością Skalradów jest ich liczebność; nie mogą sobie pozwolić na zbyt duże straty, bez względu na to, ile razy większe poniesie ich przeciwnik. Ja nie mniej cenię sobie życie moich ludzi i nie będę nim kupczył, zwłaszcza, że trzeba by oddać dwa za ich jedno, nawet wówczas, gdyby miało to przynieść nam zwycięstwo. Musimy uderzać jak bandyci, z ukrycia zadać cios i wycofać się, zanim sami doznamy jakichkolwiek szkód. Wygramy tę wojnę stopniowo, ale wygramy ją na pewno. Z drugiej strony, gdybyśmy spróbowali stawić czoła Skalradom w otwartej bitwie, zagralibyśmy w ich ulubioną grę i pomimo dotkliwych strat i tak byśmy jej nie wygrali.

– W bardzo oględny sposób przedstawiłeś fakty, Najjaśniejszy Panie – zauważył sir Gahaun. – Powiem więcej, skoro znaczna część twoich żołnierzy zaczynała jako bandyci, mogliśmy skrócić ich szkolenie.

– Szkolenie, ciągle tylko szkolenie – mruknął sir Redyard. – Kiedy będziemy walczyć?

– Cierpliwości, sir. Zapewniam cię, że już niedługo.

Tydzień później z zamku Clarrie nadeszła dla Aillasa wiadomość następującej treści:

Oto informacje, które mogą cię zainteresować, Najjaśniejszy Panie. Jeden z pasterzy znalazł na wysokich wzgórzach, tuż pod górą Noc, trzy sztuki mojego skradzionego bydła. Pojechaliśmy tam ukradkiem i udało nam się pojmać jednego ze złodziei, który nie mógł uciekać z powodu strzały w boku. Zanim umarł, opowiedział nam o Torqualu. Obecnie dowodzi on dwoma dziesiątkami rzezimieszków, którzy zajmują starą wieżę położoną w niedostępnym miejscu, zwanym Wąwozem Diabelskiego Wrzasku. Wydaje złoto na dobrą broń, dobre jedzenie i picie. Wygląda na to, że złoto to, jak twierdziłeś, pochodzi od króla Casmira z Lyonesse, z którym Torqual utrzymuje kontakty.

Król Casmir nie był zbyt zadowolony z poczynań Torquala. Kiedy ten ponownie przysłał posłańca, domagając się złota, król Casmir zażądał rozliczenia się z pieniędzy, które przysłał mu już wcześniej i z osiągniętych rezultatów.

– Nie jestem przekonany, że moje pieniądze wydawane są we właściwy sposób. Moi informatorzy donoszą mi, że styl życia Torquala graniczy z luksusem i że on oraz jego ludzie jadają to, co w tym kraju najlepsze. Pytam więc, czy moje złoto wydawane jest na kandyzowane owoce i ciastka z rodzynekami?

– A dlaczego nie, sire? – odpowiedział pytaniem na pytanie posłaniec. – Naszą kryjówką jest Ang, które nie zapewnia więcej wygód niż stos kamieni. Czy mamy głodować, wykonując dla ciebie, sire, czarną robotę? Kiedy przez okna przedostaje się deszcz i ogień dogasa z braku suchego opału, jedyną pociechą, jaką Torqual może zapewnić swojej bandzie, jest dobre jądło i wino!

Casmir z niechęcią wypłacił kolejne dwadzieścia koron, wydając jednakże instrukcję dla Torquala, że powinien nauczyć się żyć tak, jak wieśniacy.

– Radzę, żeby obsiał ziemię owsem i jęczmieniem, założył hodowlę bydła oraz owiec i trzymał ptactwo, jak to czynią inni mieszkańcy tego regionu. Dzięki temu przestanie tak dotkliwie naruszać zasoby mojego skarbcza.

– Sire, przy całym szacunku dla twojej mądrości, nie możemy uprawiać ani owsa, ani jęczmienia na stromych, kamienistych zboczach. Nawet bydło nie będzie się dobrze chować na tych terenach.

Chociaż nie przekonany, król Casmir nie powiedział więcej ani słowa.

Minęło kilka miesięcy, w czasie których w Ulflandach doszło do ważnych wydarzeń. Tajemne przesyłki z Doun Darric i z innych miejsc nie zawierały nawet wzmianki o Torqualu, toteż król Casmir mógł tylko snuć domysły na temat jego działalności.

Któregoś dnia ponownie zjawił się posłaniec. Znów żądał złota, tym razem pięćdziesięciu koron.

Tego dla Casmira było już za wiele. Nie zdołał utrzymać zwykłego kamiennego wyrazu twarzy i szczęka mu opadła ze zdziwienia.

– Czy j a dobrze słyszę?

– Sire, jeśli zrozumiałeś: „pięćdziesiąt koron”, to nie przesłyszałeś się. Oddział w Ang liczy sobie teraz dwudziestu dwóch silnych żołnierzy, których trzeba karmić, przyodziewać i zaopatrywać w broń przez cały rok. Nasze inne źródła dochodu zawiodły nas, a Torqual leczy się obecnie z ran. Przesyła następującą wiadomość: „Jeśli mam ci dalej służyć, muszę mieć złoto”.

Król Casmir westchnął i potrząsnął głową.

– Nie dostaniesz ode mnie ani grosza więcej, dopóki nie będę miał dowodów na to, że wasza działalność warta jest tych pieniędzy. Czy możesz mi ich dostarczyć? Nie?... Rosko! Ten dżentelmen wychodzi.

Wieczorem tego samego dnia Rosko, jeden z podmarszałków dworu, z niechęcią zawiadomił króla Casmira, że niejaki Visbhume domaga się prywatnej audiencji.

– Wprowadź go – odpowiedział lakonicznie król Casmir. Visbhume wszedł do środka, odpychając na bok zaskoczonych Ro-

ska i swoim tanecznym, energicznym krokiem, na palcach zbliżył się do króla. Jak przedtem, ubrany był w podniszczony, czarny płaszcz, a tego dnia dodatkowo w czarną, spiczastą czapkę myśliwską, która wraz z ciskającymi gromy oczami, długim, haczykowatym nosem i pochyloną do przodu sylwetką nadawała mu dziwaczny wygląd. Stał tuż przy królu Casmirze, zdjął czapkę, po czym z łobuzerskim i pewnym siebie uśmiechem wykonał pełen zawijasów ukłon.

Król Casmir wskazał na krzesło stojące w pewnej odległości od niego; oddech Visbhume'a daleki był od świeżego.

Visbhume usiadł, przyjmując swobodną postawę człowieka, który dobrze wykonał swoją pracę. Król Casmir ruchem ręki odprawił Roska, po czym zapytał Visbhume'a:

– Jakie przynosisz wieści?

– Sire, dużo się dowiedziałem!

– Mów więc.

– Pomimo mego lęku przed okrutnym morzem, z całą odwagą przekroczyłem Lir, jak przystało na tajnego agenta Waszej Królewskiej Mości! – Visbhume nie uznał za konieczne wspomnieć o tym, że prawie cały miesiąc spędził na poszukiwaniu statku, który w najszybszy, najbezpieczniejszy i najwygodniejszy sposób przewiózłby go przez Lir. -Kiedy wzywa mnie służba lub obowiązek – mówił dalej – zjawiam się niezawodnie jak słońce o świcie!

– Miło mi to słyszeć – zauważył Casmir.

– Po przybyciu do Domreis zatrzymałem się w gospodzie „Pod Czarnym Orłem”, która jak się spodziewałem, była...

Król Casmir uniósł w górę rękę.

– Nie musisz opisywać wszystkich kolejnych wydarzeń, po prostu powiedz, czego się dowiedziałeś.

– Jak sobie życzysz, Najjaśniejszy Panie. Po miesiącu wyjątkowo zrudnego śledztwa dowiedziałem się, gdzie obecnie mieszka Ehirme. Udałem się w to miejsce i po kilku dniach dalszych poszukiwań odkryłem domy Ehirme i jej rodziców. Ku memu zdziwieniu stwierdziłem, że siostra Ehirme wcale nie przesadziła. Ludziom tym nadano szlachectwo i żyją w luksusie, mają służbę, która czyści kominki i szoruje progi. Dla całego świata jest ona teraz „panią Ehirme”, a jej małżonek „szlachetnym Dikkenem”. Jej rodziców tytułują „czcigodny Graithe i pani Wynes”. W oknach mają prawdziwe szyby, na dachu cztery kominy, a sufity w ich kuchniach uginają się pod ciężarem kiełbas.

– To niezwykle przypadek zmiany statusu – powiedział król Casmir. – Mów dalej, skracając nieco tygodnie i miesiące, w przeciwnym bowiem razie będziemy tutaj siedzieć dokładnie tyle samo czasu.

– Wasza Królewska Mość, będę mówił krótko, wręcz zwięźle! Wywiad wśród miejscowej ludności nie przyniósł żadnych informacji, związanych ze sprawą, postanowiłem więc zadać kilka pytań bezpośrednio pani Ehirme. I tu znalazłem się w kłopotcie, gdyż mówi ona bardzo niewyraźnie.

– Zgadza się. Kazałem rozciąć jej język na pół.

– To wszystko wyjaśnia! Jej mąż jest gburowaty i oszczędny w słowach jak ryba, udałem się więc do Graithe'a i Wynes, gdzie ponownie spotkałem się z obraźliwą małomównością. Tym razem jednak byłem na to przygotowany i w przebraniu kupca winnego nalałem im wina, które rozwiązało im języki; wypapłali wszystko, co wiedzieli. -Visbhume wykonał nagły ruch głową i na samą myśl o tym uśmiechnął się szeroko.

Król Casmir czekał, nie odzywając się, aż Visbhume skończy wreszcie rozpamiętywać swoje przyjemne wspomnienia.

– Ach, cóż za sukces! – zawołał Visbhume. – A teraz posłuchaj, Najjaśniejszy Panie, nowin! Dziecko, które pierwotnie przyniesiono do Graithe'a i Wynes, było chłopcem! Kiedy któregoś dnia zanieśli koszyk do lasu, elfy z Thripsey Shee wymieniły chłopca na dziewczynkę. Tym podrzutkiem jest księżniczka Madouc!

Król Casmir zamknął oczy i nie otwierał ich przez dłuższą chwilę, lecz poza tym nie okazał żadnych uczuć i gdy przemówił, głos jego brzmiał bezbarwnie, jak zawsze.

– A co z chłopcem?

– Nigdy więcej go nie zobaczyli, sire, ani z bliska, ani z daleka. Król Casmir powiedział cicho, jak gdyby do siebie:

– Persilian mówił prawdę i to w większym stopniu, niż mogłem przypuszczać.

Visbhume przybrał pełną powagi minę, stosowną dla zaufanego doradcy króla. Casmir mierzył go przez chwilę wzrokiem, po czym odezwał się najłagodniej, jak potrafił:

– Rozmawiałeś z kimś o tej sprawie? Może z Tamurellem?

– Z nikim oprócz ciebie, Najjaśniejszy Panie! Na tym przecież polega dyskrekcja!

– Dobrze zrobiłeś!

Visbhume poderwał się na równe nogi.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość! Jaka będzie moja nagroda? Mam nadzieję, że otrzymam ładną posiadłość.

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw musimy doprowadzić tę sprawę do końca.

– Masz na myśli chłopca, sire? – zapytał głucho Visbhume.

– Oczywiście. Powinien teraz mieć pięć lat. Może nadal przebywa z elfami.

Visbhume wykrzywił twarz.

– To mało prawdopodobne, Wasza Królewska Mość. Elfy są kapryśne i mają skłonności do figli. Ich entuzjazm nigdy nie trwa długo. Już dawno temu chłopiec został porzucony w lesie i, co wydaje się najbardziej prawdopodobne, rozszarpany przez dzikie zwierzęta.

– Wątpię w to. Chłopca trzeba odnaleźć, zidentyfikować i przywieźć tu, do Haidionu. To sprawa najwyższej wagi. Czy wiesz, gdzie się znajduje Thripsey Shee?

– Nie, sire.

Król Casmir uśmiechnął się ponuro.

– Jest oczywiste, że leży w pobliżu miejsca, w którym dawniej mieszkali Graithe i Wynes, to znaczy, za wioską Glymwode, na skraju lasu. Znajdź je i porozmawiaj z elfami. Jeśli będzie to konieczne, uracz je winem, żeby stały się bardziej uległe.

Visbhume jęknął z przerażenia.

– Jedno słowo, Wasza Królewska Mość!

Obróciwszy wolno głowę, król Casmir wbił w Visbhume'a spojrzenie swoich niebieskich oczu, zimnych jak polodowcowe jezioro.

– Czy masz mi jeszcze do przekazania jakieś inne informacje?

– Nie, Wasza Królewska Mość. Muszę długo i dobrze zastanowić się nad tym, jak najlepiej zrealizować twoje zadanie.

– Nie trać czasu. Ta sprawa jest bardzo ważna. Na co jeszcze czekasz?

– Wasza Królewska Mość, mam pewne potrzeby.

– Odnośnie do czego?

– Z pewnością będę potrzebował rumaka odpowiedniego dla mojego stanu, jak również pewnej sumy pieniędzy na niezbędne wydatki.

– Zwróć się z tym do Roska. On się wszystkim zajmie.

IV

Sfer Arct ciągnęła się od północnej strony miasta Lyonesse, biegła wzdłuż najstarszego skrzydła Haidionu, po czym przecinała miasto aż do Chale, esplanady, wychodzącej na port. Na tym skrzyżowaniu dróg stała gospoda „Pod Czterema Malwami”, w której zatrzymał się Visbhume, najwyraźniej lekceważąc polecenie króla Casmira, który nakazał mu pośpiech.

Na obiad zjadł delikatnego, świeżego homara, duszonego w sosie z wina, masła i czosnku.

Wypił też butelkę najlepszego wina, jakie oferowała gospoda. Chociaż posiłek był wyśmienity, jadł bez apetytu, pełen złych przeczuc. Jeśli rozzłości elfy swoimi pytaniami, z całą pewnością zabawią się z nim, płatając mu szalone figle, głównie dlatego, że znajdują przyjemność w dręczeniu ludzi, u których wyczuwają strach i obrzydzenie, uczucia, jakich Visbhume miał w nadmiarze.

Po kolacji Visbhume wyszedł z karczmy, by usiąść na ławce przy placu, i choć nad miastem zapadał już zmrok, on ciągle rozmyślał nad swoją misją. Gdyby tylko bardziej przykładał się do nauki w czasie swej praktyki u Hippolita! Ale próbował tylko prostych technik i nigdy nie posiadał wiedzy z trudniejszych dziedzin, niezbędnej do posługiwania się Wielką Sztuką. Uciekając z Maule na wozie ciągnionym przez kozę, zabrał ze sobą niektóre z przedmiotów należących do czarnoksiężnika: aparaturę, księgi, precjoza i jego wielki skarb – *Almanach Twittena*. Ukrył te rzeczy w sekretnym miejscu w Dahaucie i teraz nie mógł z nich skorzystać, gdyż nie znał żadnego z zaklęć, które pozwoliłyby mu szybko się tam przenieść.

Podrapał się po swoim długim nosie. Szybkie podróżowanie było wiedzą, którą musiał wydobyć z Tamurella w sprzyjających okolicznościach. Dotychczas, Tamurello niczego takiego mu nie wyjawiał. Jego zachowanie było często zagadkowe, a zgryźliwe uwagi zraniły Visbhume'a do tego stopnia, że nie miał ochoty szukać u niego pomocy w obawie przed kolejną, bolesną odprawą. Jednak do kogo innego mógłby się zwrócić? Elfy były najbardziej kapryśnymi z istot; żeby wkraść się w ich łaski lub zdobyć ich wiedzę, trzeba dostarczyć im rozrywek albo sprawić rozkosz ich zmysłom, względnie rozbudzić w nich uczucie skąpstwa, zwykłej ciekawości, a nawet strachu.

Visbhume rozmyślał nad tym długo, nie znajdując żadnego rozwiązania, aż wreszcie udał się na spoczynek.

Rankiem ponownie zajął się swoim kłopotliwym położeniem.

– Jam jest Visbhume! – mówił do siebie. – Jestem mądry, bystry, odważny! Jestem Visbhume, czarnoksiężnik, który przywołuje świt grając na flecie i kroczy przez życie z tęczowym wieńcem na czole, unosząc się na fali cudownej muzyki! – Lecz zaraz potem, zmieniając głos, dodał: – No dobrze, wszystko to prawda, ale jak właściwie mam wykorzystać moją moc w tym wypadku?

Nikt nie raczył udzielić mu odpowiedzi.

Słońce stało już wysoko, gdy do siedzącego na ławce Visbhume'a podszedł tęgi, czarnobrody Maur, ubrany w turban i dzellabę. Spojrzał na niego z rozbawieniem i powiedział:

– Więc jak, Visbhume? Jak się sprawy mają? Visbhume rzucił mu ostre spojrzenie.

– Sir, masz nade mną przewagę – odparł. – Czy my rzeczywiście się znamy? – Maur zachichotał.

– Zapytaj samego siebie, Visbhume, kto wie o twoim pobycie w mieście Lyonesse?

– Trzy osoby: król Casmir, jego sługa Rosko i jeszcze jeden człowiek, którego imienia nie wypowiem przez wzgląd na dyskrecję.

– Czy to imienia „Tamurello” nie chcesz wymienić w swojej przezorności?

– Dokładnie tak. – Visbhume przyjrzał się uważniej twarzy okolonej czarną brodą. – To przebranie nie jest mi znane.

Tamurello skinął potakująco głową.

– Prawdę powiedziawszy, jest ono bliskie mojemu rzeczywistemu wyglądowi i dlatego jest wygodne. Zdaje się, że masz kłopoty. O co chodzi?

Z całą szczerością Visbhume wyjaśnił mu, na czym polegał jego problem.

– Król Casmir zażądał, żebym wydobył od elfów informacje i siedzę tu, obmyślając na to sposoby, z których żaden nie wydaje mi się skuteczny. Szczerze mówiąc, boję się sztuczek elfów. Mogą mnie zamienić w czaplę albo wyciągnąć mój nos na długość łokcia, albo też wysłać mnie w trąbie powietrznej na przejażdżkę po niebie.

– Niebezpieczeństwa te są realne – przyznał Tamurello. – Chcąc ich uniknąć, musisz uwieść elfy cudami lub postępować z nimi jak kochanek z bojaźliwą panną.

– Dobrze, dobrze – powiedział niecierpliwie Visbhume. – Ale jak? Tamurello przeniósł wzrok na port. Po chwili odezwał się:

– Idź na targ i kup osiem motków czerwonej przędzy oraz osiem motków przędzy w kolorze niebieskim. Przynieś je tutaj, a potem zobaczymy.

Visbhume pognał, żeby wykonać polecenie Tamurella. Po powrocie znalazł go odpoczywającego na ławce. Zamierzał usiąść obok, ale Tamurello powstrzymał go.

– Jest tu miejsca tylko dla jednego. Usiądziesz później. Pokaż mi przędę... Tak, ta się nada doskonale. Musisz zwinąć czerwoną włóczkę w jeden kłębek, a niebieską w drugi. Mam tu szpulkę z klonowego drewna. Przyjrzyj się jej uważnie. – Tamurello pokazał mu przedmiot o średnicy około dwóch cali. – Zauważ, że jest tu wydrążony otwór i tak naprawdę nie jest to wcale drewno.

– Co więc by to mogło być?

– Mądre małe stworzenie, które otrzymało ode mnie pewne instrukcje. Teraz słuchaj uważnie! Zrób dokładnie to, co mówię, w przeciwnym bowiem razie możesz popaść w kłopoty i opuścić Szaloną Łąkę jako czapla lub, co bardziej prawdopodobne, jako kruk. Czasami elfy mają aż za wiele poczucia humoru.

– Nie musisz się martwić. Kiedy słucham, to co usłyszałem, zostaje w mojej pamięci na zawsze, jak zapis wyryty na kamiennej płycie.

– Pożyteczna cecha. Udaj się więc na Szaloną Łąkę i pokaż się tam dwie godziny po wschodzie słońca. Na środku łąki zobaczysz pagórek. Z jego zbocza wyrasta stary, krzywy dąb. Będzie to Thripsey Shee. Wejdz na łąkę, nie zważając na dźwięki, a tym bardziej na ciosy, szarpnięcia i szczypanie; są bez znaczenia. Elfy zabawiają się w ten sposób z nudów i tak naprawdę nie skrzywdzą cię, dopóki nie dasz im do tego powodu, a stanie się tak wówczas, gdy zaczniesz kopać, przeklinać lub po prostu rozglądać się dookoła pełnym nienawiści wzrokiem. Idź z godnością, a choć są ciekawskie, nie pomyślą nawet, żeby ci dokuczyć. Kiedy dojdiesz do krzywego dębu, przywiąż koniec czerwonej przędzy do gałęzi, potem wróć do dwóch młodych brzózek, ciągnąc za sobą przez łąkę czerwoną nić. Gdy już będziesz przy brzózkach, rzuć czerwony kłębek między pnie. Sam jednak nie przechodź między nimi. Potem przeciągnij koniec niebieskiej przędzy przez otwór w szpulce i zawiąż go na supeł, żeby można było go wyciągnąć. Rzuć niebieski kłębek za czerwonym, a następnie wypowiedz słowa, których cię teraz nauczę. – Tamurello przemówił na boku do szpulki: – Nie zwracaj teraz uwagi na moje słowa. To jest tylko próba. Uwaga, Visbhume! W odpowiedniej chwili wymówisz to zakęcie: „Do dzieła, szpulko!” Potem odsuń się. Nie patrz na szpulkę, nie spoglądaj między drzewa. Czy to jasne?

– Całkowicie. Co dalej?

– Tego nie potrafię przewidzieć. Jeśli elfy zaczną zadawać ci pytania, musisz odpowiedzieć: „Kto mówi? Pokaż się; żaden mądry człowiek nie rozmawia z niewidzialnym”. Potem, gdy się ukąją, musisz zaprzeczyć, że wiesz, gdzie jesteś, aby nie mogły cię oskarżyć, że przybyłeś tam celowo. Kiedy zapytają, co masz ze sobą, musisz odpowiedzieć: „Jest to magiczny most do Hai-Hao, ale nikt nie może po nim przejść bez mojej zgody”.

– Czy to prawda? – zapytał Visbhume, będący pod wrażeniem tego wspaniałego pomysłu.

– Istotne jest tylko to, czy elfy ci uwierzą. To pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

– Przypuśćmy, że uda mi się je okpić, ale co będzie, jeśli zapamiętają to i wyślą za mną sowy, jak to zrobiły z biednym Tootlemanem ze wzgórze Hoar?

– Dobra uwaga! Most ten jest prawdziwy, ale istnieje tylko tak długo, jak pozwala na to wiatr.

Visbhume zadawał dalsze pytania, rozważając wszelkie ewentualności, aż wreszcie Tamurello zniecierpliwiał się i wstał, chcąc odejść.

– Jedna, ostatnia sprawa! – zawołał Visbhume. – Kiedy już odpowiedzą na moje pytania, być może podarują mi coś na pamiątkę, na przykład czapkę mądrości, siedmiomilowe buty albo zawsze pełną sakiewkę, aby zaspokoić moje potrzeby.

– Proś, o co chcesz – odparł Tamurello, uśmiechając się w sposób, który wydał się Visbhume'owi odrobinę pogardliwy. – Jednak przestrzegam cię: elfy są bezlitosne, gdy wyczują zachłanność. – Mówiąc to, Tamurello wstał z ławki, przeszedł przez plac i oddalił się drogą Sfer Arct.

Visbhume patrzył za nim z ponurą miną. Tamurello nie zawsze był szczodry i uprzejmy, jak przystało na prawdziwego przyjaciela... No cóż, jednak to, co zrobił i powiedział tym razem, czyniło go godnym tego miana. W przyjaźni trzeba być przygotowanym na kaprysy i dziwactwa. Przecież w tym tkwi jej istota.

Słońce nie osiągnęło jeszcze zenitu, gdy Visbhume również pomaszerował w górę Sfer Arct. W Haidionie odszukał Roska, podmarszałka dworu.

– Jestem Visbhume. Jego Królewska Mość kazał przydzielić mi trzos złotych i srebrnych monet, dobrego konia z odpowiednim rzędem i wszystko, czego będę potrzebował. Z rozkazu króla masz spełnić moje żądania.

– Zaczekaj tutaj – odparł Rosko. – Muszę się upewnić, że tak jest.

– To obraza! – oburzył się Visbhume. – Poskarżę się na ciebie przed królem Casmirem!

– Możesz mówić, co ci się żywnie podoba – rzekł Rosko i odszedł, żeby wydać polecenia stajennemu.

Godzinę później Visbhume wyjeżdżał na północ z miasta Lyonesse na statecznej białej kłaczce o szerokim zadzie i ze zwisającym łbem. Wcześniej ostrym i piskliwym głosem oburzony Visbhume zażądał od stajennego wierzchowca z większym temperamentem.

– Czy muszę podróżować w sprawach króla jak jakiś obdartus, który ma do przewiezienia worek rzepy? Czy nie wstyd wam tu, w stajniach Haidionu, że dajecie dżentelmenowi szkapę z wygiętym grzbietem?

Stajenny wskazał na swe uszy, co miało oznaczać, że nie słyszy.

Visbhume jednak podejrzewał, że była to tylko symulowana głuchota. W każdym razie był zmuszony przyjąć zaoferowanego wierzchowca, a sakiewka, którą otrzymał, była lżejsza, niż się spodziewał.

Powróciwszy na Stary Trakt, skręcił na wschód i jechał aż do zachodu słońca, kiedy to dotarł do wioski Pinkersley, gdzie zatrzymał się na nocleg w gospodzie „Pod Lisem i Winogronami”. Następnego dnia dojechał do Little Saffield i na rozstaju skręcił na północ. Noc spędził w Tawn Timble i rano podążył do Gwymode. Po południu zbadał okolicę i za pomocą ostrożnych pytań dowiedział się, że Szalona Łąka leżała o milę drogi szlakiem drwali w puszczy Tantrevalles. Visbhume powrócił do Gwymode i przenocował w gospodzie „Pod Żółtym Człowiekiem”.

Wczesnym rankiem wyruszył konno ścieżką drwali i wkrótce dotarł do Szalonej Łąki. Zsiadł z konia i przywiązał go do drzewa. Stojąc w cieniu lasu, przyjrzał się łące. Jego oczom ukazała się scena pełna sielankowego spokoju, którego nie zakłócało nawet bzykanie owadów. Jaskry, stokrotki, malwy, chabry i dziesiątki innych kwiatów znaczyły kolorowymi plamami zieloną trawę. Po lazurowym niebie płynęło kilka białych chmur. Na środku łąki wznosił się pagórek, na którym rósł stary, wykrzywiony dąb. Nie było widać żywej duszy.

Visbhume przygotował swoje kłębki włóczki, po czym opuścił swą kryjówkę w cieniu lasu i

wyszedł na pełne słońce. Cisza wydawała się jeszcze głębsza niż przedtem. Pomaszerował pewnym krokiem przez łąkę, nie rozglądając się na boki. Przy pagórku zatrzymał się i w tym momencie coś pociągnęło go za płaszcz. Nie zwrócił na to uwagi. Wyjął kłębek czerwonej przędzy i przywiązał jej koniec do niskiej gałęzi starego dębu.

Zza pagórka dobiegł go cichy, miauczący śmiech, który szybko ucichł. Wydawało się, że Visbhume niczego nie słyszy. Obrócił się i rozwijając czerwoną nić ruszył z powrotem w stronę dwóch młodych brzózek stojących na skraju łąki. Za plecami usłyszał szelest i przytłumione szepty. Visbhume ciągle jednak udawał, że niczego nie słyszy. Znów coś pociągnęło go za płaszcz; jak przedtem zignorował to i szedł dalej przez łąkę, zostawiając za sobą czerwoną włóczkę. Zatrzymał się przed brzózkami i rzucił czerwony kłębek, teraz nieco uszczuplony, między drzewa. Wyjął z kieszeni niebieską wełnę i postępując zgodnie z instrukcjami Tamurella, przywiązał ją do szpulki. Potoczył niebieski kłębek za czerwonym, rzucił w górę szpulkę i zawołał:

– Do dzieła, szpulko!

Mając w pamięci uwagi i ostrzeżenia Tamurella, oddalił się na swych długich nogach sprężystym, tanecznym krokiem od brzózek. Z ustami wydętymi w błogim uśmiechu, spod na wpół przymkniętych powiek spoglądał łagodnym wzrokiem na łąkę, gdy zza pleców dobiegł go przenikliwy, ostry dźwięk, jak gdyby ktoś przeciągnął szydłem po naprężonym drucie.

Pełen ciekawości, Visbhume napiął swoje chude łopatki, ale uczucie strachu było silniejsze; wtulił głowę w ramiona, jak pies podciągający ogon.

– Byłbym żalonym głupcem, gdybym zignorował ostrzeżenia! -powiedział do siebie. – Co jak co, ale głupcem to ja nie jestem!

Coś kopnęło go w chudą goleń. Nie zwrócił na to uwagi. Uskoczył jednak w bok i pisnął z przerażenia, gdy czyjeś palce uszczypnęły go w pośladki, co spowodowało falę cichego chichotu.

Na usta cisnęły mu się słowa oburzenia. Elfy poczynają sobie z nim coraz śmielej... Odsunął się dziesięć kroków w bok. Obróciwszy się w połowie, rzucił okiem na łąkę i – cud nad cudami! – Przez jasną mgłę otaczającą pagórek dojrzał wspaniałą budowlę z gagatu i mlecznego szkła. Wysmukłe kolumny podtrzymywały kopuły i szerokie łuki, na których wspierały się jeszcze wyższe kopuły, i jeszcze wyższe, ułożone jedna nad drugą, wraz z setkami tarasów i balkonów, a jeszcze wyżej widniały wieże z powiewającymi na wietrze proporcami i wstęgami. W zacienionych hallach wisiały żyrandole zdobione kamieniem księżycowym i diamentami rzucającymi czerwone, niebieskie, zielone i purpurowe refleksy... Tyle Visbhume zdążył zobaczyć, ale gdy tylko spróbował odtworzyć tę formę we wszystkich jej szczegółach, rozplynęła się we mgle.

Kształty to zaostrzały się, to zamazywały. Nić czerwonej włóczki, którą rozciągnął na łące, stała się teraz aleją elfów z polerowanego czerwonego porfiru, biegnącą pomiędzy dwoma wspaniałymi balustradami. Elfy biegały po niej w tę i z powrotem, sprawdzając nawierzchnię, pokazując to na dzieło szpulki, to na shee. Inne biegały, podskakiwały i błaznowały na balustradach, ale wszystkie wydawały się zachwycone tym cudownym tworem. Bliżej, pogrążone w poważnych rozważaniach nad efektem pracy szpulki, elfy siedziały w grupkach, kłócąc się, trącając łokciami i dokuczając sobie lub po prostu swawoląc na trawie, ale przede wszystkim podziwiając z zapartym tchem budowlę stworzoną przez szpulkę. Kątem oka i nieomal bezwolnie Visbhume dostrzegł niezwykle kształt i choć widział go zaledwie przez mgnienie oka, wydał mu się fascynujący.

– Mały człowieku, intruzie – przemówił do niego cienki i wyraźny głos. – Dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś?

Visbhume rozejrzył się dookoła, udając zdumienie. Odezwał się, jakby zwracał się do nieba:

– Jak dziwnie wiatr porusza liśćmi! Wydawało mi się, że słyszałem głos! Ach, głosie wiatru,

przemów i opowiedz mi o swoich dzikich wędrówkach! Mów, wietrze!

– Głupcze! Wiatr nie zna słów!

– Usłyszałem głos! Głosie, czy mówiłeś coś do mnie? Jeśli tak, bądź odważny i ukaż mi się, gdyż nie mogę rozmawiać z kimś, kto jest niewidzialny.

– Patrz więc, śmiertelniku, i zobacz, co masz zobaczyć.

Mgła uniosła się nad pagórkiem, odsłaniając zamek elfów w całej swej okazałości. Visbhume'a otoczył tłum elfów, siedzących i chowających się w trawie. W odległości dwudziestu stóp stali król Throbius i królowa Bossum, trzymając w rękach insygnia królewskie. Throbius miał na głowie koronę ze sceleonu, owego kruchego metalu wykuwanego z odbijających się w wodzie promieni księżycy. Smukłe rożki korony zakończone były bladoniebieskimi szafirami. Niebieski, aksamitny płaszcz Throbiusa utkany był z bazi kwitnącej wierzby; ciągnął się za nim na dziesięć stóp i niosło go sześć skośnookich implingów o okrągłych twarzach, pomarszczonych nosach, z głupawym uśmiechem. Niektóre z nich pozostawały w tyle; widząc to pozostałe pociągały za materię, ponaglając maruderów; czasami bawiły się figlarnie trenem, jak gdyby grały w przeciąganie liny, ani przez chwilę jednak nie spuszczając oka z Throbiusa, który z pewnością ukarałby je, gdyby odkrył ich swawole.

Szaty królowej Bossum, w kolorze szafranowo-żółtym, były bogate, a jej koronę zdobiły graniastostupy z topazu. Tren jej sukni niosły im-plingi płci żeńskiej, których zachowanie było przesadnie poprawne, i które z wyraźną dezaprobatą przyglądały się błazeństwu implingów niosących tren Throbiusa.

Tuż przed królem Throbiusem i królową Bossum stał Brean, królewski herold, który przemówił głosem piskliwym, acz wyraźnym:

– Śmiertelniku, czy wiesz, że wkroczyłeś na Szaloną Łąkę? Oto są Ich Królewskie Mości, król Throbius i królowa Bossum! Wyjaśnij królewskim uszom i zgromadzonej tu arystokracji cel swego przybycia na tę łąkę, która stanowi część naszego królestwa.

Visbhume pokłonił się, kreśląc w powietrzu sześć ozdobnych zawijasów.

– Poinformuj Ich Królewskie Mości, że jestem dumny i zaszczycony, iż raczyły łaskawie zauważyć moją niewielką budowlę, która w rzeczywistości jest czarodziejskim mostem do Hai-Hao.

Herold przekazał jego słowa. Król Throbius odpowiedział i herold odwrócił się do Visbhume'a.

– Ich Królewskie Mości chcą poznać twoje imię i twój ludzki status, aby mogły sprawiedliwie ocenić twoje zachowanie i wymierzyć karę za twoje wykroczenie, jeśli je za takowe uznają.

– Wykroczenie? Przecież nie może być mowy o żadnej winie! – zawołał Visbhume chwytającym za serce kontraltem. – Czy to nie łąka Stangle*, gdzie zamierzałem wypróbować mój wspaniały czarodziejski most?

* Stangle – cmentarzysko elfów; określenie kojarzące się z okropnymi zdarzeniami, nieszczęściami i procesem rozkładu, wywołujące u elfów lęk i niepokój, gdyż wolą o sobie myśleć jako o istotach nieśmiertelnych, a to nie zawsze jest zgodne z prawdą.

– Głupi śmiertelniku! Popełniłeś gafę! Takich słów nie wolno wymawiać w obecności nieśmiertelnych, jest to w złym tonie. Po drugie, to nie jest łąka Stangle, lecz raczej bezwietrzna Szalona Łąka, a przed tobą znajduje się Thripsey Shee.

– Ach, wygląda na to, że zbłądziłem, za co przepraszam. Słyszałem o Thripsey Shee i jego znakomitych mieszkańcach; czy to nie dzięki nim na królewskim dworze w Lyonesse znalazła się księżniczka Madouc?

Brean, herold, spojrzał niepewnie w stronę króla Throbiusa, który dał Visbhume'owi znak.

– Śmiertelniku, podejdź bliżej. Dlaczego postawiłeś swoją budowlę na naszej łące?

– Sire, wydaje mi się, że zablądziłem, nie zamierzałem budować mojego czarodziejskiego mostu na Szalonej Łące, pomimo jej uroku. Ale interesuje mnie chłopiec, którym tak mądrze zajęliście się przed pięciu laty. Gdzie on teraz jest? Chciałbym z nim porozmawiać.

– Co to za chłopiec? – zapytał król Throbius, a królowa Bossum szepnęła Visbhume'owi do ucha:

– Nie ma go tutaj. Odszedł do lasu. Nic o nim nie wiemy.

– Szkoda. Od dawna interesuję się jego losem.

Stojący z boku elf z ciałem chłopca i twarzą dziewczynki, bez przerwy się drapał: głowa, brzuch, noga, pośladek, nos, łokieć, szyja. Nie przerywając tej czynności, spojrział w górę i nie spiesząc się, zawołał:

– To był ten mały samochwała, którego zwaliśmy Tippet! Ach, ale ukarałem go, rzucając nań całkiem udany mordet*.

* mordet – rodzaj elfiej inwokacji przynoszącej nieszczęście; klątwa.

– Gdzie jest dobry, długoręki Skepe? – rzucił w bok król Throbius.

– Jestem tutaj, sire.

– Utnij mocną różgę i przetrzep nią portki Falaelowi. Należy mu się trzy i pół raza, odpowiednio wymierzonych.

Falael natychmiast wrzasnął przeraźliwie:

– Niech zwycięży sprawiedliwość, mówiłem tylko prawdę!

– Odtąd, gdy będziesz mówił prawdę, rób to z mniejszym zapałem i chępliwością. Twój mordet sprowadził na nas upokorzenie! Musisz nauczyć się postępować taktownie.

– Ach, Wasza Królewska Mość, już nauczyłem się taktu, idąc za twoim czcigodnym przykładem! Być może wiem już za dużo, skoro ukrywałem mój lęk przed niezwykłą mocą Waszej Królewskiej Mości, pod zbyt przejrzystą powłoką brawury. Błagam, byś odwołał rozkaz dany Skepe!

Na łące rozległ się pomruk pełen aprobaty i nawet król Throbius był wzruszony.

– Dobrze powiedziane, Falael! Skepe, możesz zmniejszyć karę o jedno pełne uderzenie!

– To dobra wiadomość, Wasza Królewska Mość – zawołał Falael -ale dopiero zacząłem! Czy mogę kontynuować moje wywody?

– Usłyszałem wystarczająco dużo.

– W takim razie, sire, nie powiem nic więcej, zwłaszcza jeśli zgodzisz się uśmierzyć to swędzenie.

– Niemożliwe. Swędzenie to będzie ci dokuczać tak długo, aż wyleczy w tobie tę zjadliwą złośliwość, którą tak wielu z nas odczuło na własnej skórze.

– Najjaśniejszy Panie – zawołał Visbhume – jeśli pozwolisz mi na boku zamienić słówko z Falaelem, to jestem przekonany, że uda mi się nakłonić go do skruchy.

Król Throbius pogładził swoją piękną, zielonozłotą brodę.

– To bardzo miło z twojej strony. Z pewnością nikomu taka rozmowa nie zaszkodzi.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość. – Visbhume dał znak Falaelowi. – Podejdź tutaj, jeśli łaska.

Falael podrapał się pod lewą pachą, po czym poszedł za Visbhume'mem w ustronne miejsce.

– Uwważaj, nie będę wysłuchiwał żadnych kazań, a jeśli dotkniesz mnie chrześcijańskim krzyżem, to zamienię wszystkie twoje zęby w

gęsi.

Skepe zapytał króla Throbiusa z nadzieją w głosie:

– Jeśli zobaczę, że stoją blisko siebie, czy mogę podejść ich cicho od tyłu i wymierzyć obu cios?

Król Throbius zastanowił się.

– Twoja różga jest o wiele za krótka – odparł.

Visbhume, który podsłuchał tę rozmowę, starał się tak stanąć, żeby mieć Skepe w zasięgu wzroku. Następnie przemówił cicho do Fala-ela:

– Wstawię się za tobą u króla Throbiusa, jeśli zaspokoisz moją ciekawość, co do tego chłopca imieniem Tippet, chociaż oczywiście nie mogę przyrzec, że król postąpi zgodnie z moją radą.

Falael zaśmiał się pogardliwie.

– Lepiej zrobisz, jeśli wstawisz się za samym sobą. Przypuszczam, że zostaniesz zamieniony w nocnego derkacza.

– Ależ skąd! Zapewniano mnie, że nic takiego się nie stanie! Opowiedz mi o tym chłopcu, Tippecie.

– Nie ma za bardzo o czym mówić. Był nieznośny i próżny, i to ja przyczyniłem się do tego, że wyrzucono go z shee.

– Dokąd w takim razie się udał?

– Do Tasu, ale potem wydarzyło się coś więcej. Rhodion, władca wszystkich elfów, cofnął mój mordet, co było wielce niesprawiedliwe, i dał dziewczynce o imieniu Glyneth moc rozmawiania ze zwierzętami, podczas gdy mnie przypadło w udziale tylko to upokarzające swędzenie.

– Glyneth, powiadasz. I co dalej?

– Nie interesowałem się tym, gdyż sam miałem kłopoty. Jeśli chcesz wiedzieć coś więcej, zwróć się do Glyneth.

– Kim byli rodzice chłopca?

– Drwałami, wieśniakami, zwykłymi ludźmi. Nie zwracaj mi więcej głowy, bo nic więcej nie wiem! – Falael wykonał ruch, jak gdyby chciał się odwrócić i odejść, zatrzymało go jednak dotkliwe swędzenie w pachwinie.

– Ale gdzie jest teraz ten chłopak? Jak się zwie?

– Nic mnie to nie obchodzi i mam nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczę, gdyż z pewnością wyrządziłbym mu jakąś krzywdę i w konsekwencji nabawiłbym się nowych dolegliwości. A teraz wstaw się za mną, jak obiecałeś. Jeśli tego nie zrobisz, rzucę na ciebie urok!

– Zrobię, co w mojej mocy. – Visbhume odwrócił się w stronę króla Throbiusa: – Wasza Królewska Mość, stwierdzam, że w głębi serca Falael nie jest taki zły. Został zbałamucony przez swoich towarzyszy, którzy przyczynili się do tego, że popadł w niełaskę. Jako osoba postronna, zanim usunę mój czarodziejski most z twojej posiadłości, usilnie nalegam, żeby Wasza Królewska Mość okazał mu litość.

– Żądasz ode mnie zbyt wiele – odrzekł król Throbius.

– To prawda, sire, ale skoro Falael odczuwa prawdziwą skruchę, dalsze demonstrowanie niezadowolenia jest daremne.

– Przysługa za przysługę. Zgadzam się przebaczyć Falaelowi, ale w zamian za to ty musisz zostawić swoją cudowną budowlę na Szalonej Łące.

Visbhume uklonił się.

– Skoro taka jest wola Waszej Królewskiej Mości, zgadzam się.

Elfy zaskowyczały i zarechotały z radości, że przebiegły król Throbius odniósł zwycięstwo nad tym dziwnym śmiertelnikiem. Zaczęły skakać, wywijać salta, stukać obcasami w powietrzu i płaść.

Visbhume ponownie pochylił się w niskim ukłonie.

– Wasza Królewska Mość, chociaż oddałem mój cenny most, zrobiłem to z ważnego powodu i teraz usilnie proszę, byś pozwolił mi odejść.

– Najpierw to, co najważniejsze. Trzeba jeszcze załatwić jedną sprawę. Skepe, wymierz Falaelowi trzy i pół uderzenia, odliczając jedno, jak to zostało ustalone.

– Najjaśniejszy Panie! – zawołał zdumiony Visbhume. – To właśnie karę chłosty obiecałeś darować biednemu Falaelowi!

– Ależ skąd! Zgodziłem się wybaczyć mu to jedno przewinienie, co też uczyniłem. Chłosta należy mu się za inne figle, które przeszły nie zauważone, i bez wątplenia w pełni na nią zasługuje.

– Czy te winy nie mogą zostać zmasane przez twoje przebaczenie?

– Być może, ale sprawiedliwość musi być wymierzona. Zasądzone zostały dwa i pół uderzenia i wyrok musi zostać wykonany. Logicznie rzecz biorąc, skoro odwróciłeś karę od Falaela, baty powinny spaść na twój własny płaszczący się tyłek. Dango, Pume, Thwither, zdejmijcie Visbhume'owi spodnie, niech się przygotuje. A teraz, Skepe, czyn swoją powinność!

– Aj, aj! – krzyknął Visbhume.

– Raz!

– Aj, aj, aj!

– Dwa!

– Oo! Aa! *Zappir tzug muig lenka! Groagha teka!** Ale ta połówka była silniejsza niż dwa pełne uderzenia razem wzięte!

* Nieprzetłumaczalne przekleństwa w dialekcie staroceltyckim, używane przez chłopów zamieszkujących Wysrod, którzy słynęli ze swoich niewybrednych epitetów. Specjaliści z pewnością zauważą, że w tym szczególnym dialekcie występuje daleko posunięta elizja samogłosek.

– Tak wynika czasami z natury rzeczy – zgodził się król Throbius. – Ale nie to jest ważne; stało się tak, jak chciałeś i z Falaela została zdjęta kara, chociaż nie jestem pewien jego skruchy. Spójrz! Siedzi tam, na słupie, i szczyrzy zęby z radości!

Zebrawszy swoje ubranie, Visbhume raz jeszcze się uklonił.

– Wasza Królewska Wysokość, zostawiam cię, byś mógł się nacieszyć swoim magicznym mostem.

– Masz moje pozwolenie, możesz odejść. Muszę dokładnie zbadać tę fascynującą budowlę.

Visbhume ruszył przez łąkę, oglądając się do tyłu. Król Throbius stanął przed intrygującą go konstrukcją, potem zrobił jeden krok do przodu, i jeszcze jeden... Visbhume odwrócił się i nie spoglądał za siebie tak długo, aż doszedł do lasu.

Szalona Łąka wyglądała tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Na pagórku stał tylko stary, skarłowaciały dąb. Pomiędzy brzoźkami wisiały nici czerwonej i niebieskiej włóczki, które kołysały się i podskakiwały na wietrze zwijając się w swego rodzaju kokon... Visbhume odwiązał drżącymi palcami konia, wskoczył na jego grzbiet i odjechał w pośpiechu.

V

Po przybyciu do miasta Lyonesse Visbhume udał się prosto do Haidionu i tym razem to sir Mungo, sam wysoki seneszał, zaprowadził go na taras przed królewską sypialnię, gdzie siedział król Casmir, łupiąc i jedząc włoskie orzechy.

Na znak króla, sir Mungo z wyniosłą miną przyniósł krzesło dla Vi-sbhume'a, który przesunął się bliżej stołu. Król Casmir przerwał łupanie orzechów i obrzucił Visbhume'a łagodnym spojrzeniem swoich łagodnych oczu, w którym niechęć mieszała się z ciekawością.

– Dopiero co przybyłeś?

– Ledwo zsiadłem z konia, Wasza Królewska Mość! Przybywam pospiesznie, żeby zdać relację z moich poszukiwań.

– Podaj nam kufle z piwem – rzucił przez ramię do służącego król Casmir. – Te orzechy wywołały u mnie pragnienie, a i Visbhume z pewnością zechce splukać kurz z gardła. – Gdy lokaj wyszedł, Casmir zwrócił się do seneusza: – Sir Mungo, nie będziesz mu już potrzebny... A teraz, Visbhume, jakie masz dla mnie wieści?

Visbhume przyciągnął swoje krzesło jeszcze bliżej.

– Wasza Królewska Mość, za pomocą najbardziej chytrych sztuczek udało mi się wyciągnąć informacje od istot, którym największą radość sprawia przechytrzenie śmiertelnika! Ale ja oczarowałem je i oto, co mi powiedziały: chłopiec, którego nazywały Tippet, został wyrzucony z shee w jakimś nieokreślonym czasie w przeszłości, po czym został towarzyszem dziewczynki o imieniu Glyneth, i to jest najważniejsza wiadomość.

Lokaj wniósł kufle pełne pieniącego się piwa i tacę z kruchymi ciasteczkami. Nie czekając na zaproszenie, Visbhume chwycił jeden z kufli i upił z niego duży łyk.

– Bardzo ciekawe – powiedział król Casmir. Visbhume pochylił się do przodu i oparł łokieć o stół.

– A teraz: kim jest Glyneth? Czy może to być księżniczka Glyneth z Troicinetu, której pozycja na dworze w Miraldrze wydaje się dość dziwna? Pamiętaj, Najjaśniejszy Panie, że Ehirme, Graithe i Wynes, wszyscy w jakiś sposób związani z chłopcem o imieniu Tippet, przenieśli się do Troicinetu, gdzie opływają w dostatki. I teraz musiałbym znowu powtórzyć to, co już wcześniej odkryłem.

– Twoje wnioski wydają się logiczne. – Król Casmir napił się ze swego kufła, po czym zrzucił ze stołu na podłogę łupiny orzechów, robiąc w ten sposób miejsce dla swego łokcia. – Chłopiec powinien teraz mieć pięć lat*.

* Dhrun albo „Tippet”, jak go nazywały elfy, mieszkał w Thripsey Shee przez około rok według ludzkich obliczeń. Czas w świecie elfów upływał o wiele szybciej i zgodnie ze swoimi odczuciami Dhrun przeżył w shee około dziewięciu lat.

Nieświadomy tych różnic, król Casmir określa wiek Dhruna na pięć lat, choć w rzeczywistości dobiegał on już czternastu.

Z pewnością on też mieszka w Troiciniecie. Ale gdzie? Z Ehirme?

– W domu Ehirme nie ma żadnego takiego dziecka. Za to ręczę.

– A co z Graithem i Wynes?

– Obserwowałem ich przez kilka dni. Mieszkają sami.

Po części dlatego, żeby uciec od konspiracyjnej bliskości Visbhume'-a, król Casmir wstał i podszedł do balustrady, skąd roztaczał się piękny widok na miasto: dachy domów w kolorze gliny, port i wody Liru. Spojrzał przez ramię na Visbhume'a.

– Wiemy przynajmniej, kto może nam udzielić dalszych informacji – zauważył.

Visbhume stanął obok króla i spojrzał niepewnym wzrokiem na Lir.

– Masz, Najjaśniejszy Panie, na myśli księżniczkę Glyneth?

– A kogóż by innego? Musisz wrócić do Troicinetu i odkryć, co ona wie. Jest dziewczyną pełną uroku i wdzięku, o przyjaznej i na pozór ufnej naturze.

– Nie obawiaj się, sire! Odpowie szczegółowo na wszystkie moje pytania! Jeśli spróbuje być powściągliwa w mowie, tym lepiej! Przekonywanie młodych dziewcząt i zmuszanie ich do posłuszeństwa zawsze sprawiało mi ogromną radość. Oto jak można połączyć przyjemne z pożytecznym!

Król Casmir spojrział na Visbhume'a lodowatym wzrokiem. Sam od czasu do czasu zaspokajał swój pociąg do chłopców o szczególnym sposobie bycia i pięknej budowie ciała; jednakże nie oddawał się takiej rozpuście, jaka panowała na przykład na dworze króla Audry'ego w Avallonie.

– Mam nadzieję, że zabawiając się, nie zapomnisz o celu swych działań.

– Nie obawiaj się, Najjaśniejszy Panie! Trudności same znikną, gdy zastosuję moje małe sztuczki. Gdzie można teraz znaleźć Glyneth?

– Przypuszczam, że w Miraldrze, a jeśli nie tam, to w Watershade.

VI

Visbhume ponownie zakwaterował się „Pod Czterema Malwami”. Zjadł wczesny posiłek, potem udał się na plac i usiadł na tej samej ławce, co poprzednio. Tego wieczoru jednak nie podszedł do niego tęgi

Maur ani żaden inny osobnik, w którego mógłby się wcielić Tamurello.

Visbhume przyglądał się tonącemu w Lirze słońcu. Pod wpływem podmuchu wiatru z zachodu fale uniosły się wysoko, tworząc białe grzywy. Na ten widok Visbhume wzdrygnął się i odwrócił. Gdyby Tamurello był rzeczywiście dobrym i wiernym przyjacielem, zapewniłby mu środki do szybkiego przenoszenia się z miejsca na miejsce i nie musiałby już podróżować, cierpiąc z powodu podnoszenia się i opadania, ślizgania się, przechylania czy zanurzania się statku, ani też z powodu statecznego biegu kłaczy z siodłatym grzbietem.

Pomyślał o kryjówce w Dahaucie, w której przetrzymywał swoje magiczne przyrzady. Prostsze z nich działały w sposób, który rozumiał. Inne, jak na przykład *Almanach Twittena*, może okazałyby się przydatne, gdyby im się bliżej przyjrzał. Poznanie zastosowania pozostałych instrumentów wykraczało poza granice jego obecnych możliwości. Jednak, kto wie, może wśród tych przedmiotów znajdował się i taki, który zapewniłby mu szybką i wygodną podróż, której tak bardzo pragnął.

Podjął stanowczą decyzję. Wczesnym rankiem, zamiast wsiąść na statek do Troicinetu, jakby zapewne chciał tego król Casmir, ruszył konno na północ w górę Sfer Arct, potem jadąc w dół dotarł do Starego Traktu, skręcił na wschód w stronę drogi Icnield, a następnie znów skierował się na północ, aż przebywszy Pomperol, znalazł się w Dahaucie. Po przyjeździe do wioski Glimwillow udał się w sobie tylko znane miejsce, gdzie odnalazł dużą skrzynię z mosiężnymi okuciami, zawierającą rzeczy, które zabrał z Maule.

Zajął prywatną komnatę „Pod Korzeniem Mandragory” i przez trzy dni przeglądał zawartość skrzyni. Kiedy wreszcie wrócił na południe drogą Icnield, miał przy sobie żółtą skórzaną torbę z różnorodnymi przedmiotami, które uważał za najbardziej przydatne, oraz kilkoma innymi, które miały fascynujące możliwości, jak na przykład *Almanach Twittena*. Nie udało mu się znaleźć żadnego urządzenia czy sposobu, by mógł przenieść się szybko do Troicinetu lub gdziekolwiek indziej, więc tak jak poprzednio, podróżował na statecznej, białej kłaczy. W Slute Skeme sprzedał kobyłę i z wieloma złymi przecuciami wszedł na pokład statku, który z ładunkiem drzewa odpływał do Domreis.

Przybywszy na miejsce, przez trzy dni prowadził ostrożny wywiad, aż wreszcie dowiedział się, że na czas nieobecności księcia Dhruna, przebywającego z uroczystą wizytą w Dascinecie, księżniczka Glyneth przeniosła się do Watershade.

Rankiem wyruszył drogą ciągnącą się wzdłuż wybrzeża. Porywisty wiatr i ulewny deszcz zmusiły go do przerwania podróży w mieście zwanym Głową Wiedźmy na Przylądku Mgieł, gdzie

zatrzymał się „Pod Trzema Morskimi Minogami”. Aby zabić czas, zabrał się do studiowania *Almanachu Twittena* i tak zafascynowały go możliwości, jakie nagle się przed nim otworzyły, że przeciągnął swój pobyt do następnego dnia, po czym przedłużył go o jeszcze jeden i kolejny, chociaż pogoda już się zmieniła i znów świeciło słońce.

Gospoda „Pod Trzema Morskimi Minogami” oferowała wiele wygod. Visbhume dobrze jadł, dobrze pił, długimi godzinami przesiadywał w słońcu, analizując wspaniałe obliczenia Twittena i zastanawiając się, jak mógłby zastosować tę teorię w praktyce. Zażądał atramentu, gęsiego pióra oraz pergaminu i zabrał się do swoich obliczeń. Wzbudził tym zdumienie i zaniepokojenie innych gości gospody, którzy w końcu doszli do wniosku, że był astrologiem studiującym wiedzę o różnych planetach. Domysły takie zadowoliły Visbhume'a, który nie miał najmniejszego zamiaru wyprowadzać tych ludzi z błędu.

Przyjemność sprawiały mu też inne czynności. Drzemał na słońcu i chodził na krótkie spacerunki brzegiem morza, do których próbował namówić usługujące w karczmie dziewczęta. Jego wzrok przyciągała zwłaszcza jedna z nich, o jasnych włosach i młodej cerze, której ciało, pomimo młodego wieku, zaczęło już nabierać apetycznych kształtów.

Zainteresowanie Visbhume'a tymi krągłościami stało się tak widoczne, że sam karczmarz wyszedł przed gospodę, aby zwrócić mu uwagę.

– Muszę prosić cię, panie, abyś zmienił swoje postępowanie. Dziewki służebne nie wiedzą, jak sobie poradzić z twoimi sprośnościami. Powiedziałem im, żeby wylały na ciebie kubek zimnej wody, jeśli znów zaczniesz je podszczypywać.

– Człowieku, za dużo sobie pozwalasz! – odparł wyniośle Visbhume.

– Może i tak, w każdym razie skończ z tymi pożądanymi spojrzeniami, przestań je obłapiać i zapraszać nad morze.

– To już bezczelność! – oburzył się Visbhume. – Ostrzegam cię! Jeszcze słowo, a przeniosę się do innej gospody!

– Zrobisz, jak zechcesz. Nie będziemy z tego powodu wylewać łez „Pod Trzema Morskimi Minogami”. Prawdę mówiąc, swoim ciągłym stukaniem i podskakiwaniem niepokoisz moich stałych klientów. Myślę, że jesteś niespełna rozumu i im bardziej się nad tym zastanawiam, tym bardziej przychyliam się do ich opinii. Jednak zgodnie z prawem nie mogę cię wyrzucić, dopóki nie naruszysz porządku publicznego, a jesteś już tego blisko. Strzeż się!

– Karczmarzu, jesteś gburem i nudziarzem – odezwał się z godnością Visbhume. – Dziewczętom podoba się moja mała gra. Gdyby tak nie było, nie podchodziłby do mnie tak często, podśpiewując wesoło, paplając, flirtując i pokazując swoje wdzięki. A tak właśnie jest!

– Aha! Przekonasz się, jak im się to podoba, gdy ochłodzi twoje zapędy zimną wodą. A tymczasem możesz już teraz zapłacić rachunek na wypadek, gdybyś nagle poczuł się urażony i zechciał nocą dać nogę.

– Cóż za grubiańska uwaga pod adresem dżentelmena!

– Bez wątpienia, choć staram się nigdy tego nie robić.

– Obraziłeś mnie, więc zapłacę mój rachunek i natychmiast opuszczę twoją gospodę. A co do napiwku, nie spodziewaj się nawet złamanego grosza!

Visbhume przeniósł się do gospody „Pod Morskim Koralem” po drugiej stronie miasta, gdzie przez kolejne trzy dni kontynuował studia nad *Almanachem*. Wreszcie skończył swoje obliczenia i postanowił wrócić do powierzonego mu zadania. Zakupił mały wóz i kucyka, który śmigając lakierowanymi kopytkami, powiózł go żwawo w dalszą drogę. Mijając gospodę „Pod Trzema Morskimi Minogami”, Visbhume wyprostował się dumnie na siedzeniu, po czym skierował się w

stronę doliny rzeki Rundle; jadąc w górę Rzeczną Drogą dotarł do Przesmyku Zielonego Człowieka, skąd zjechał do Ceald.

VII

Glyneth popadała ostatnio w dziwne, zmienne nastroje. Kiedy znajdowała się w towarzystwie przyjaciół, czy nawet tylko Dhruna, wołała zostać sama. A gdy już wymknęła się, aby pobyć w samotności -o ironio losu! – ogarniał ją jakiś nieokreślony niepokój, że gdzieś działo się coś wspaniałego, a ona w tym nie uczestniczyła i bardzo pragnęła tam się znaleźć, choć nikt nie zaprosił biednej, opuszczonej dziewczyny, nikt nawet nie zauważył jej nieobecności.

Stała się smutna i niespokojna. Czasami nawiedzały ją fantastyczne wizje, przelotne obrazy, mniej rzeczywiste niż sny na jawie, marzenia o wariackich zabawach w świetle księżyca; o uroczyściach, w czasie których adorowali ją rycerscy nieznajomi; o unoszeniu się nad ziemią i morzem w magicznym powietrznym statku u boku tego, którego kochała najbardziej ze wszystkich i który równie mocno kochał ją.

Po wyjeździe Dhruna do Domreis ich wspólne lekcje zostały zawieszono i przez dzień czy dwa Glyneth błąkała się bez celu, nie wiedząc, co ze sobą począć. Pod nieobecność Dhruna lub Aillasa Miraldra traciła cały swój urok, postanowiła więc przenieść się na ten czas do Watersshade i tam przeczytać wszystkie książki z biblioteki Ospera. Z determinacją przystąpiła do realizacji swego zamierzenia. Przeczytała *Kroniki Lagroniusa* i *Wspomnienia Nauzykai*, zabrała się nawet do *Iliady*, lecz tak często wpadała w marzycielski nastrój, że odłożyła książki na bok.

W pogodne dni wypływała samotnie na wody jeziora, przybierające w promieniach słońca niebieską barwę, i leżąc na plecach w łodzi, przyglądała się płynącym po niebie białym obłokom. Nie знаła przyjemniejszego zajęcia. Wydawało jej się wówczas, że stanowiła jedność z tym światem, który tak szczerze kochała, który należał do niej, że mogłaby się nim cieszyć tak długo jak będzie żyć. Czasami uczucia te stawały się tak intensywne, że szybko podnosiła się, obejmowała ramionami kolana i połykała łyżę żalu, że chwile niezmaconego niczym szczęścia już minęły.

Tak więc oddawała się romantycznym rozmyślaniom, choć niekiedy podejrzewała, że ktoś rzucił na nią jakiś urok. Pani Flora zaczęła się nieco martwić, gdyż jej ukochana Glyneth nie wspinała się już na drzewa ani nie skakała przez płoty.

Mijały dni, a Glyneth coraz bardziej doskwierało uczucie osamotnienia. Od czasu do czasu jeździła do wsi, odwiedzić swoją przyjaciółkę, lady Alicję z Dworu Pod Czarnym Dębem. Równie często chodziła do Dzikiego Lasu zbierać poziomki.

Na dzień przed powrotem Dhruna wstała wcześniej i po dłuższym zastanowieniu postanowiła pójść na poziomki. Pocałowała panią Florę na do widzenia i zabrawszy koszyk, wyruszyła do Dzikiego Lasu.

Minęło południe, a Glyneth nie wróciła jeszcze do Watersshade. Gdy nie było jej o zachodzie słońca, służący udali się na poszukiwania. Nie znaleźli jej jednak.

Wczesnym rankiem następnego dnia wysłano do Domreis posłańca, który spotkał na drodze Dhruna i razem pogalopowali, co tchu w piersiach, do Miraldry.

Rozdział 10

I

Dla Aillasa skalradzka okupacja Suarach była czymś więcej niż tylko problemem militarnym. Zajęcie miasta spowodowało, że poczuł się osobiście upokorzony. W opinii Ulflandczyków taka prowokacja wymagała ostrej riposty, gdyż osoba, która została okryta hańbą, dopóty nosiła na sobie jej piętno, dopóki jej wróg nie został ukarany lub dopóki sama nie zginęła w pojedynku z nim. Stąd też, gdy Aillas wychodził załatwić swoje sprawy, czuł się napiętnowany i wiedział, że wszyscy bacznie go obserwują.

Ignorował tę wyczuloną dezaprobatę najlepiej, jak umiał, i z jeszcze większą pilnością przykładał się do musztrowania swojego wojska. Ostatnio zauważył wśród żołnierzy nowego ducha; miejsce niezdarności i niechęci, z jaką Ulflandczycy poruszali się, wykonując dziwne dla nich rozkazy, zajęły precyzja i animusz. Wydawać by się mogło, że zmiany te odzwierciedlały rosnącą wiarę w skuteczność armii w walce. Aillas wciąż miał jednak wątpliwości, co do wytrzymałości swoich żołnierzy i ich umiejętności zgodnego działania w obliczu ciężkich i złowieszczo rozważnych ataków Skalradów, którzy w przeszłości nie tylko zniszczyli armię Północnych Ulflandów, ale także przeważające siły Godelii i Dahautu.

Był to trudny problem, i nie potrafił znaleźć zadowalającego go rozwiązania. Gdyby zaryzykował konfrontację i gdyby sprawy źle się potoczyły, morale jego żołnierzy zostałoby zniszczone, a on straciłby wiarygodność jako dowódca. Zajmując Suarach, Skalradzi najwyraźniej mieli nadzieję, że uda im się sprowokować go do naprędce przygotowanej bitwy, w której ich ciężka jazda zgniotłaby armię ulflandzką jak młot rozbija orzech. Aillas nie miał zamiaru narazić się na taką walkę, jeszcze nie teraz. Jeśli jednak będzie zbyt długo zwlekał z podjęciem jakiegokolwiek działania, to Ulflandczycy, którzy z natury skłonni byli do podejmowania szybkich i bezlitosnych działań w odpowiedzi na prowokację, mogli stać się cyniczni i stracić zapał do walki.

Sir Pirmence, który powrócił właśnie z wysokich gór z nowymi rekrutami, potwierdził obawy Aillasa.

– Nigdy nie wycwiczysz ich lepiej, sire – powiedział. – Oni muszą się sprawdzić i przekonać, że twoje szalone pomysły można zrealizować.

– Dobrze więc – odrzekł Aillas. – Poddamy ich próbie. Ale na terenie, który sam wybiorę.

Pirmence zawahał się i wyglądało na to, że prowadzi wewnętrzną walkę. Wreszcie postąpił krok do przodu i rzekł chełpliwie:

– Wasza Królewska Mość, mogę także podzielić się z tobą dobrze sprawdzoną wiadomością: za północną granicą leży zamek Sank.

– Prawdę powiedziawszy, dobrze o tym wiem – zauważył Aillas.

– Jego właścicielem jest książę Luhalcyx. Niedawno przeniósł swą rodzinę i większość swojego dworu do Skaghane, tak więc Sank jest słabo broniony.

– To rzeczywiście ciekawa informacja.

Dwie godziny później Aillas wysłał rozkazy wymarszu do sześciu rot ulflandzkiej lekkiej kawalerii, dwóch rot troicyjskiej ciężkiej jazdy, dwóch rot troicyjskiej piechoty i poczty trzydziestu pięciu troickich rycerzy. Mieli opuścić Doun Darric następnego dnia o zachodzie słońca, żeby nie zaalarmować skalradzkich wywiadowców.

Aillas dobrze wiedział, że szpiedzy śledzili każdy jego ruch. Aby utrudnić im działalność, utworzył oddział tajnej policji. Tuż przed wydaniem rozkazu wymarszu wysłał jej członków do obozu. Był niemal pewien, że powinni przechwycić kurierów próbujących wynieść z Doun Darric zebrane informacje.

Słońce zaszło już za horyzont i w obozie zapadł zmrok. Aillas zasiadł za swoim stołem do pracy i zaczął studiować mapy. Za drzwiami usłyszał szuranie i rozmowy, po czym drzwi się otwały i do środka zajął jego sekretarz, sir Flews.

– Sire, policja dokonała aresztowania – oznajmił z lękiem i tłumionym podnieceniem.

Aillas wyprostował się na krześle.

– Wprowadź ich.

Do pokoju weszło sześciu mężczyzn, dwóch ze związanymi na plecach rękami. Aillas aż otworzył szeroko usta ze zdziwienia, gdy za szczupłym, czarnookim mężczyzną w młodym wieku, z czarnymi włosami przyciętymi w stylu skalradzkim, zobaczył sir Pirmence'a.

Kapitan policji, którym był Hilgretz, młodszy brat sir Ganwy'ego z wieży Koli, zdał królowi relację z przeprowadzonej akcji.

– Zajęliśmy nasze pozycje i prawie natychmiast po zapadnięciu zmroku zauważyliśmy w obozie migoczące światło. Ostrożnie rozdzieliliśmy się i na szczycie wzgórza złapaliśmy tego Skalrada. Idąc dalej za światłem do jego źródła, natknęliśmy się na sir Pirmence'a.

– Bardzo to smutne – powiedział Aillas.

Sir Pirmence w zupełności się z nim zgadzał.

– Rzeczywiście, niewesołe.

– Zdradziłeś mnie w Domreis, a ja przywiozłem cię tutaj, dając ci szansę, byś mógł odkupić swe winy. Ty jednak ponownie mnie zdradziłeś.

Sir Pirmence spojrzał na Aillasa spode łba, jak stary, siwowłosy lis.

– Wiedziłeś o mojej działalności w Domreis? Jak to możliwe, skoro działałem z taką ostrożnością?

– Niczego nie da się ukryć, gdy zaczyna się tym interesować Yane. Zarówno ty, jak i Maloof jesteście zdrajcami. Pomyślałem, że zamiast was powiesić, wykorzystam wasze umiejętności.

– Ach, Aillasie, to był wielkoduszny gest, ale nazbyt subtelny; nie zrozumiałem twoich intencji. Powiadasz, że biedny Maloof też pogwałcił prawo?

– Tak, i teraz spłaca swój dług. Ty też dobrze pracowałeś i mogłeś wykupić swe życie, co, mam nadzieję, zrobi Maloof.

– Maloof tańczy w rytm innej melodii niż ja. Powiedziałbym nawet, że nie słyszy żadnej muzyki i nie podniósłby palca nawet wtedy, gdyby pojawiła się sama Terpsychora, żeby poprowadzić go do tańca.

– Przynajmniej, jak przypuszczam, przestał mnie zdradzać. Dlaczego nie postąpiłeś podobnie?

Sir Pirmence westchnął i pokręcił głową.

– Kto to wie? Nienawidzę cię, a zarazem kocham szczerze. Drwię z twojego niedoświadczenia i prostoty, ale za chwilę zachwycam się twoją przedsiębiorczością. Pragnę twojego sukcesu, lecz staram się doprowadzić do twej zguby. Co się ze mną dzieje? W czym tkwi moja słabość? Może chciałbym być tobą, a ponieważ jest to niemożliwe, muszę cię za to karać. Albo, jeśli wolisz brutalną prawdę, urodziłem się po to, by zdradzać.

– A co z zamkiem Sank? Czy informacja ta była przynętą, mającą zwabić mnie i wielu niewinnych ludzi w pułapkę, na niechybną śmierć?

– Nie, na mój honor! Uśmiechasz się? Śmieję się więc. Jestem zbyt dumny, aby kłamać.

Powiedziałem ci najczystsą prawdę.

Aillas przeniósł wzrok na Skalrada.

– A ty, panie, czy masz coś do powiedzenia?

– Nie.

– Jesteś młodym człowiekiem z perspektywą długiego życia. Jeśli cię oszczędzę, czy dasz mi słowo, że nigdy nie będziesz działał na szkodę moją lub Południowych Ulflandów?

– Nie mógłbym w dobrej wierze złożyć takiego przyrzeczenia. Aillas wziął na stronę Hilgretza.

– Jestem zmuszony przekazać tę sprawę w twoje ręce. Nie możemy wywoływać w obozie atmosfery podniecenia, wieszając na oczach wszystkich lorda Pirmence'a i tego Skalrada tuż przed wymarszem. Zrodziłoby to zbyt wiele pytań i domysłów.

– Zostaw to mnie, Najjaśniejszy Panie. Zaprowadzę ich do lasu, gdzie wszystko odbędzie się po cichu.

Aillas powrócił do swoich map.

– Niech więc tak się stanie.

II

Na zachodnim niebie utrzymywał się jeszcze zmierzch, gdy tymczasem na wschodzie, nad Teach tac Teach, pojawił się bladożółty księżyc. Aillas wskoczył na wóz i przemówił do swoich żołnierzy:

– Za chwilę wyruszamy. Nie będziemy czekać, aż Skalradzi nas zaatakują, wyjdziemy im naprzeciw. Będzie to dla nich nowe doświadczenie i może uda nam się wziąć odwet za zbrodnie, jakich dopuścili się na tym kraju.

Teraz znacie powód naszych długotrwałych i żmudnych ćwiczeń; ćwiczyliśmy po to, żeby dorównać Skalradom w żołnierskich umiejętnościach. Dorównujemy im we wszystkim z wyjątkiem jednego: oni są weteranami, popełniają niewiele błędów. Powtarzam wam raz jeszcze: musimy przeprowadzić bitwę według naszego planu, ni mniej, ni więcej! Nigdy nie dajcie się zwieść mylącym manewrom przeciwnika albo pozornie zdobytą przewagą. Może nie będą to tylko pozory, ale o tym przekonamy się, badając ostrożnie sytuację. Bardziej jednak prawdopodobne, że będą, i wówczas straciecie życie.

Mamy nad Skalradami jedną przewagę: jest ich niewielu. Nie mogę sobie pozwolić na duże straty i z tym związana jest nasza strategia, zakładająca maksymalne straty po ich stronie, a minimalne po naszej. Oznacza to, że będziecie musieli uderzyć i uciekać! Atak, odwrót i znów atak przy równoczesnym dokładnym wykonywaniu rozkazów! Żadnych bohaterskich wyczynów, żadnej dumnej rycerskości, tylko fachowość i nieustępliwość.

To wszystko, co miałem do powiedzenia. Życzę wszystkim szczęścia.

Cztery roty ulflandzkie i dwie roty troicyjskiej ciężkiej kawalerii pod dowództwem sir Redyarda udały się na północny-wschód, gdzie miały strzec drogi między Suarach i zamkiem Sank. Pozostałe oddziały wyruszyły na północ w stronę zamku Sank, przez okolicę, którą Aillas znał z własnego gorzkiego doświadczenia*.

* Zob. *Lyonesse I. Ogród Suldrun*, gdzie opisany jest szczegółowo pobyt Aillasa w zamku Sank.

Sank stanowił ośrodek administracyjny tego regionu oraz punkt wypadowy do poszukiwania najemnych robotników i niewolników. Leżał też na drodze do wspaniałej twierdzy Póelitetz. W czasach, gdy Aillas przebywał w zamku jako domowy niewolnik, zamieszkiwał w nim księżę Luhalcyx, jego żona Chraio, ich syn Alvicyx, córka Tatzel i liczna czeladź. Przygnębiony i

osamotniony, Aillas zakochał się w Tatzel, która naturalnie, nie zauważała jego obecności.

W owym czasie Tatzel miała piętnaście lat, była szczupłą dziewczyną, sprytną i pełną wigoru, o lekkich, bardzo charakterystycznych ruchach: wystudiowanych, ekstrawaganckich i energicznych, może nieco zbyt ostrych i nienaturalnych, aby można powiedzieć o niej, iż poruszała się z wdziękiem. W oczach Aillasa była istotą pełną wyobraźni i inteligencji. Zachwycał cię każdym szczegółem jej zachowania. Idąc stawiała kroki odrobinę dłuższe niż to było konieczne, przyjmując wyzywającą postawę, z wyrazem zamyślenia, jak gdyby miała do spełnienia misję największej wagi. W typowy dla Skalradów sposób jej włosy przycięte były na wysokości uszu, ale zwijały się w kędziory spływające luźno wokół twarzy. Choć smukła i energiczna, nabrała już krągłych kobiecych kształtów i gdy przechodziła obok Aillasa powolnym krokiem, aż do bólu pragnął wyciągnąć rękę i schwycić ją. Gdyby postąpił w tak nierozważny sposób, a ona powiedziała by o wszystkim ojcu, mógłby zostać wykastrowany, trzymał więc swoje żądze na wodzy. Teraz zapewne Tatzel przebywała wraz z rodziną w Skaghane i myśl ta przyprawiała Aillasa o bolesne rozczarowanie, gdyż ponowne spotkanie Tatzel w zupełnie innych okolicznościach od dawna było przedmiotem jego marzeń.

Gdy księżyc wzniósł się wysoko na niebie, kolumny wojska opuściły Doun Darric. Aillas postanowił maszerować nocą, przy świetle księżyca, które wskazywałoby drogę, a zwiadowcom umożliwiłoby dostrzeżenie trzęsawisk i bagien. W ciągu dnia żołnierze mieli kryć się w zagajnikach lub w zagłębieniach na wrzosowiskach. Aillas szacował, że jeśli zatrzymają ich jakieś nieprzewidziane przeszkody, cztery noce marszu powinny wystarczyć, żeby ekspedycja dotarła w pobliże zamku Sank. Okolica była opustoszała, nie powinni więc spotkać na swojej drodze nikogo z wyjątkiem nielicznych wieśniaków i mało znaczących pasterzy, których nic nie obchodziły maszerujące oddziały. Aillas miał więc podstawy sądzić, iż jego wojsko dotrze do zamku Sank nie zauważone.

Rankiem trzeciego dnia zwiadowcy wyprowadzili oddziały na główną drogę wiodącą od starych kopalni cyny, z której Skalradzi korzystali czasami dokonując najazdów na Południowe Ulflandy, a którą Aillas szedł kiedyś ze sznurkiem wokół szyi.

Żołnierze znaleźli schronienie i przez cały dzień odpoczywali, by o zachodzie słońca kontynuować marsz. Nie napotkali żadnych, ani małych, ani dużych, oddziałów skalradzkich.

Tuż przed świtem dobiegł ich z oddali dziwny, monotony, zgrzytliwy dźwięk, w którym Aillas rozpoznał odgłos tartaku. Koło wodne uruchamiało ciężkie, stalowe ostrza o długości dziesięciu stóp, które podnosiły się i opadały w posuwistych ruchach, tnąc deski z sosnowych i cedrowych pni, ściąganych przez drwali z wysokich szczytów masywu Teach tac Teach.

Zamek Sank był już niedaleko. Aillas wolałby, by jego żołnierze odpoczęli po nocnym marszu, ale wiedział też, że nie znaleźliby w pobliżu odpowiedniej kryjówki. Posuwając się dalej, dotrą do zamku Sank tuż przed wschodem słońca, w porze, kiedy krew krążyła wolniej, a reakcje były wolniejsze.

Jednak wśród oddziałów ulflandzkich panowało ożywienie, żołnierze z bijącymi sercami posuwali się szybko do przodu, wzniesając za sobą tumany kurzu. Wokół rozległo się tylko pbrzękiwanie upręży i szczęk metalu. Na tle rozjaśniającego się nieba wyglądali jak zgarbione, ciemne zjawy.

Przed nim ukazał się nagle zamek Sank z pojedynczą, ogromną wieżą wyrastającą z centralnie usytuowanej cytadeli.

– Naprzód! – krzyknął Aillas. – Do środka, zanim opuszczą zewnętrzną bramę!

Do przodu rzuciło się pięćdziesięciu konnych, a za nimi pobiegli żołnierze piechoty. W samej arogancji Skalradzi nie zamknęli ani drewnianych, ani żelaznych bram w murach zewnętrznych i

oddziały ulflandzkie wpadły na dziedziniec nie napotkawszy żadnego oporu.

Portal prowadzący do cytadeli i zamku wewnętrznego też stał otworem, ale wartownicy, wydobywający się ze stanu początkowego bezruchu, zdążyli spuścić kraty tuż przed nosem atakujących.

Z koszar wyszło kilkunastu Skalradów, na pół ubranych i nie uzbrojonych. Zostali wycięci w pień i bitwa jako taka dobiegła końca.

Na murach cytadeli pojawili się łucznicy, ale łucznicy ulflandzcy, którzy wcześniej wspięli się na mury zewnętrzne, zabili lub ranili kilku z nich, zmuszając pozostałych do schowania się. Z cytadeli zeskoczył na dach stajni jakiś człowiek, następnie pochylony wbiegł do środka, wskoczył na konia i przedarł się w stronę gór. Aillas zarządził pościg.

– Gońcie go przez milę albo dwie, potem pozwólcie mu uciec. Tristano! Gdzie jest Tristano?

– Tutaj jestem, sire – odezwał się Tristano, który był drugim dowodzącym.

– Zbierz silny oddział i zajmij tartak. Zabijcie stacjonujących tam Skalradów i każdego, kto stawia wam opór. Spalcie magazyny i złamcie koło wodne, resztę urządzeń pozostawcie w nie naruszonym stanie. Któregoś dnia mogą się nam okazać przydatne. Działajcie szybko i przyprowadźcie ze sobą robotników najemnych. Flews, wyślij we wszystkie strony zwiadowców, żeby nas z kolei nikt nie zaskoczył.

Budynki zewnętrzne, warsztaty i szopy otaczające zamek Sank stanęły w płomieniach. Spalono też stajnie po uprzednim wyprowadzeniu z nich koni. Zabito wszystkie psy wytresowane do tropienia ludzi, a pod ich budy podłożono ogień. Z pomieszczenia dla służby, położonego na tyłach ogrodu od strony kuchni, wyszli niewolnicy do posług w domu, po czym i ta część zamku została podpalona.

Niewolników przyprowadzono przed oblicze Aillasa, który przyjrzał się kolejno każdej twarzy. Wysoki, łysy człowiek o żółtawej, lisiej twarzy i opadających powiekach – to był Imboden, majordomus. Wysmukły, przystojny mężczyzna ze sprytnym wyrazem twarzy i przedwcześnie posiwiałymi włosami – to Cyprian, nadzorca niewolników. Aillas znał dobrze ich obu; obaj byli pochlebcami, wykorzystującymi podległych sobie ludzi do własnych celów.

Aillas skinął na nich, żeby wystąpili.

– Imboden, Cyprian! Cóż za przyjemność widzieć was znowu! Czy mnie sobie przypominacie?

Imboden nie odezwał się, świadom tego, że słowa w tej sytuacji na nic by się nie zdały, bez względu na to, kim był mężczyzna, który się do niego zwracał. Spojrzał w górę, na niebo, jak gdyby był znudzony. Cyprian okazał się bardziej ufny. Przyjrzał się Aillasowi.

– Pamiętam cię dobrze – wykrzyknął mile zaskoczony – chociaż nie mogę sobie teraz przypomnieć twojego imienia. Czy jesteś samobójcą, żeby tutaj wracać?

– Przywiodła mnie tutaj rozpaczliwa tęsknota i nadzieja na realizację marzeń. Czy pamiętasz kucharza Cargusa? A Yane'a, który pracował w pralni? Jakaż byłaby ich radość, gdyby mogli być dziś tutaj, zamiast w Troicinecie, gdzie obaj noszą tytuły książęce.

Cyprian uśmiechnął się niewymuszenie.

– Mogę sobie wyobrazić twoje zadowolenie – powiedział. – My wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu, podzielamy je. Hura! Jesteśmy teraz wolnymi ludźmi!

– Dla ciebie i Imbodena wolność będzie krótkotrwała i gorzka.

– Ależ, panie! – zawołał z bólem w głosie Cyprian, a jego duże szare oczy zwilgotniały. – Czy w przeszłości nie byliśmy wszyscy towarzyszami?

– Nie przypominam sobie tego. Pamiętam tylko ciągłą obawę przed zdradą. Ilu ludzi wysłałeś na zatracenie, nikt nigdy się nie dowie. Zresztą wystarczyłby jeden. Flews, wnieście szubienicę i powieście tych dwóch wysoko, chcę, by mieli ładny widok na cytadelę.

Imboden poszedł na śmierć bez słowa, okazując w ten sposób pogardę dla tych wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek z tą sytuacją. W przeciwieństwie do niego, Cyprian wybuchnął płaczem i zaczął wykrzykiwać swoje skargi:

– Co za podłość! Ja, który zrobiłem tyle dobrego, doznaję takiego okrucieństwa! Czy nie masz litości? Kiedy pomyślę o tych wszystkich dobrych uczynkach...

Wśród tych, którzy byli jego podwładnymi, rozległy się gwizdy, ironiczne śmiechy i okrzyki:

– Powieście go wysoko! Jest jeszcze bardziej przebiegły niż Imboden, który przynajmniej nie udawał niewiniątka! Dla tego gada śmierć przez powieszenie jest zbyt łagodną karą!

– W górę z nim – powiedział Aillas.

Od strony tartaku nadjechał sir Tristano z żołnierzami. Za nimi wlokła się zdezorientowana gromadka niewolników. Wśród nich Aillas odkrył kolejnego starego znajomego – Taussiga, swojego pierwszego nadzorcę w grupie, w której pracował. Kaleki Taussig nie miał miłego usposobienia, a w życiu przeświecał mu tylko jeden cel: jak najlepiej wykonać przydzielone mu zadanie. Natychmiast rozpoznał Aillasa, lecz spotkanie to nie sprawiło mu przyjemności.

– Widzę, że zemściłeś się na Imbodeni i Cyprianie. Czy ja mam być następny?

Aillas zaśmiał się gorzko.

– Nie wyświadczę ci żadnej przysługi, nie wyrządę ci też krzywdy.

– Już wyrządziłeś mi krzywdę! Przez siedemnaście lat harowałem dla Skalradów. Zostały mi już tylko trzy lata, a odebrałbym moją nagrodę: pięć akrów ziemi, chatę i żonę. Przez ciebie straciłem to wszystko.

– W twoim przeświadczeniu świat jest pożałowania godnym miejscem. Może masz rację.

Aillas ponownie zwrócił swoją uwagę na służbę domową. Dowiedział się od nich tego, co już wiedział: że księżę Luhalcyx, lady Chraio i lady Tatzel wyjechali z wizytą do Skaghane. Plotka głosiła, że księżę Luhalcyx miał zostać wysłany gdzieś daleko ze specjalną misją wielkiej wagi, a co do pani Chraio i pani Tatzel, spodziewano się ich w domu w każdej chwili. Panem na zamku pod nieobecność ojca był sir Alvicyx, który dowodził garnizonem złożonym z około czterdziestu żołnierzy. Wśród nich znajdowało się kilku bohaterskich rycerzy.

Aillas znał dobrze umocnienia cytadeli w zamku Sank; jej mury były wysokie, a kamień mocny. Udając się na tę wyprawę, nie zabrał ze sobą żadnych machin oblężniczych. Nie było zresztą czasu na długie obleganie fortecy; polował na grubszą zwierzynę. Aillas przemówił do byłych niewolników z zamku i tartaku.

– Znów jesteście wolnymi ludźmi, tak wolnymi jak powietrze. Droga na południe stoi przed wami otworem. Udajcie się do Doun Darric nad rzeką Malheu; tam zgłóście się do sir Maloofa, który znajdzie dla was zatrudnienie. Gdybyście chcieli zabijać Skalradów, możecie wstąpić do armii królewskiej. Zabierzcie jedzenie z magazynu żywności i załadujcie je na konie; zaopatrzcie się w najlepszą broń, jaką znajdziecie, i zabierzcie dla sir Maloofa konie wyprowadzone ze stajni księcia. Pamiętaj, że ty, Narlesie, byłeś przyzwoitym człowiekiem i dlatego mianuję cię dowódcą. Zachowujcie ostrożność; podróżujcie nocą, a odpoczywajcie w ciągu dnia w dobrze ukrytych miejscach. Nie powinniście mieć kłopotów, gdyż okolica ta wolna jest od Skalradów.

– Skalradzi są w górach, w kopalniach cyny – odezwał się jeden z byłych niewolników.

– W takim razie nie zbliżajcie się do tych kopalni, chyba że zechcecie napaść na Ska z ukrycia i wymierzyć im silny cios w imieniu waszego nowego króla.

– Obawiam się, że w tej chwili wykracza to poza nasze możliwości -odpowiedział opanowanym głosem Narles. – Już i tak musimy zebrać całą naszą odwagę, aby po prostu uciec.

– Postąpicie tak, jak uznacie za stosowne – rzekł Aillas. – W każdym razie, ruszajcie

natychmiast i niech wam dopisze szczęście.

Byli niewolnicy bez entuzjazmu zaczęli się zbierać do wyjazdu.

Minęły dwa kolejne dni, w czasie których żołnierze Aillasa poczynili na zamku Sank i w jego najbliższym otoczeniu tyle zniszczeń, ile tylko było możliwe. Trzy razy zwiadowcy wracali z wieściami o nadejściu skalradzkich jeźdźców od strony Poelitetz. Pierwsze dwie grupy były niewielkie, składały się z kilkadziesiątu konnych, którzy niczego się nie spodziewając, zostali nagle otoczeni przez łuczników z bronią w rękach. W obu wypadkach zignorowali rozkaz do poddania się. Spiąłszy swoje wierzchowce i pochyliwszy się nisko w siodłach, próbowali wydostać się z pułapki, co skończyło się dla nich tragicznie. Zginęli wszyscy, uwalniając w ten sposób Aillasa od kłopotu, co począć z jeńcami.

Z trzecią grupą sprawy potoczyły się inaczej. Składała się ona z około osiemdziesięciu ciężkozbrojnych jeźdźców, którzy nadjeżdżali od strony Poelitetz, zapewne aby obsadzić jakiś zamek.

Aillas postanowił urządzić zasadzkę. Łuczników i jazdę ukrył w zagajniku obok drogi. Wkrótce dostrzegli skalradzki oddział; po czterech jeźdźców w rzędzie, żołnierze zaprawieni w boju, pewni siebie, lecz nie lekkomyślni. Ubrani byli w charakterystyczne dla Skalradów stożkowate hełmy z czarnej stali, kolczugi i nagolenniki. Na ich uzbrojenie składały się krótkie włócznie, miecze, kule na łańcuchach, zwane potocznie „gwiazdami” oraz przytwierdzone do siodeł łuki. Jadących spokojnie Skalradów zaatakowało z zagajnika trzydziestu pięciu troicyjskich rycerzy, którzy galopując w dół wzgórza z opuszczonymi do ataku włóczniami, uderzyli w tylną, trzecią część kolumny. Wśród okrzyków przerażenia i szoku włócznie przebiły się przez kolczugi i uniosły z siodeł jeźdźców. W przydrożny kurz padły martwe ciała.

Troicyjczycy wrócili na wzgórze i uformowawszy szyki, zaatakowali jeszcze raz. Z zagajnika posypał się grad strzał. Łucznicy Aillasa celowali dokładnie. Dowódca Skalradów wydał rozkaz do odwrotu z tego miejsca śmierci i kolumna ruszyła pełnym galopem po zboczu. W poprzek drogi zwalono ogromny dąb podtrzymywany czterema linami, zmuszając w ten sposób skalradzki oddział do rozproszenia się.

Broniąc się desperacko ramię przy ramieniu, Skalradom udało się w końcu zebrać w niewielką grupę. Trzy razy wzywał ich Aillas do poddania, zanim znów rzucił na nich swoich rycerzy, lecz za każdym razem odpierali uderzenia, formując się najlepiej, jak mogli, i rzucając się na wroga ze srogimi minami.

Żaden z nich nawet nie pomyślał o poddaniu się. Zginęli więc wszyscy na nakrapianej słońcem drodze.

III

Aillas wracał ze swoimi żołnierzami do zamku Sank w ponurym nastroju. Zwycięstwo, które w rzeczywistości było rzezią walecznych mężów, nie przyniosło mu radości. Działanie takie było konieczne, nie miał co do tego wątpliwości, gdyż w taki sposób wygrywało się wojny. Jednak nie odczuwał z tego powodu dumy i z satysfakcją przyjął fakt, że jego żołnierze byli w podobnym nastroju.

Mimo wszystko miał powód do zadowolenia. Jego wojsko zachowało się bez zarzutu, straty po ich stronie były niewielkie, podczas gdy dla Skalradów utrata tylu doświadczonych żołnierzy stanowiła prawdziwą klęskę.

– Skoro muszę urządzić zasadzki, to będę je urządził -mamrotał do siebie Aillas. – Trzeba zapomnieć o rycerskości, przynajmniej do momentu, gdy wygramy tę wojnę.

Z zamku Sank Aillas wysłał trzy wozy po zdobyczną broń, gdyż stal skalradzka, wykuwana z ogromną cierpliwością, mogła się równać z najlepszą na całym świecie, nie wyłączając bajecznej stali z dalekiego Cipangu i mniejszych ostrzy z Damaszku.

Nadszedł czas wyruszyć na zachód i rozprawić się z oddziałami nadchodzącymi z Suarach, które mogły umknąć uwagi sir Redyarda.

O świcie wojsko stało gotowe do wymarszu, aby osaczyć nieprzyjaciela. Nie można było przewidzieć wydarzeń następnych kilku dni, więc każdy żołnierz miał w torbie przy siodle rację sucharów, sera i suszonych owoców.

Tuż przed wymarszem do obozu wpadł jak szalony jeden ze zwiadowców, przynosząc wiadomość o grupie Skalradów zbliżającej się z północnego zachodu drogą, która prowadziła na wybrzeże, do Skaghane. Grupa ta składała się z kilku osób wyższego stanu i towarzyszącej im eskorty. Jedną z nich była prawdopodobnie lady Chraio, żona księcia Luhalcya wraz z inną damą w średnim wieku i jakąś młodą osobą. W skład ich eskorty wchodziło kilkunastu lekkozbrojnych jeźdźców. Najwyraźniej wieści o wydarzeniach na zamku Sank nie dotarły jeszcze do Północnych Ulflandów.

Aillas wysłuchał tych informacji z dużym zainteresowaniem.

– A lady Tatzel? Czy była w tej grupie? – zapytał.

– Nie mogę mieć pewności, sire, bo nie znam tej damy, a ponadto z konieczności obserwowałem tę kolumnę ze znacznej odległości. Jeśli jest w średnim wieku, to może to być jedna z tych dam, o których mówiłem.

– Jest młoda i budową ciała przypomina raczej chłopca.

– Z tą grupą jedzie ktoś młody. Wziąłem go za chłopca; może to być jednak panienka Tatzel jadąca konno w stroju chłopięcym. Wśród Skalradów zdarza się to dość często.

Aillas wezwał sir Balora, jednego z ulflandzkich dowódców, i wydał mu rozkazy.

– Wybierz miejsce, w którym będziesz mógł tę grupę otoczyć, ale zabijajcie tylko wtedy, gdy zostanieie do tego zmuszeni. Pod żadnym pozorem nie wolno wam zrobić krzywdy damom ani młodzieży. Jeńców wyślij pod strażą do Doun Darric, po czym jak najszybciej przyłącz się ponownie do nas.

Sir Balor odjechał w kierunku północno-zachodnim z grupą pięćdziesięciu ludzi. W tym samym czasie reszta wojska wyruszyła w stronę Suarach, zostawiając na zamku Sank tylko jeden oddział, który miał kontynuować oblężenie i niszczyć wszelkie małe grupy Skalradów, zjeżdżające z gór.

Aillas stał się niespokojny, odkąd dowiedział się o nadjeżdżających Skalradach. Podjął nagłą decyzję i przekazawszy dowództwo nad armią sir Tristanowi, ruszył za sir Balorem, który odjechał już pół mili na północ.

Dzień był bezchmurny i ciepły; nad wrzosowiskami unosił się słodki zapach wrzosów i janowca, mieszający się z duszącym fetorem wilgotnej ziemi. Czyste powietrze zdawało się wyostrzać każdy szczegół odległych kształtów i gdy Aillas wjechał na jedno ze wzniesień, roztoczył się przed nim wspaniały widok: na prawo i lewo to opadały, to wznosiły się szarozielone wrzosowiska, porośnięte gdzieś modrzewiowymi, olchowymi bądź cyprysowymi zagajnikami, spomiędzy których wynurzały się nagie skały. Krajobraz przez nim rozciągał się aż po daleki horyzont, gdzie majaczyły ciemne plamy lasów. Jakąś milę na zachód dostrzegł grupę Skalradów, zmierzającą beztrosko w kierunku zamku Sank.

Sir Balora i jego oddziału jadącego błotnistymi nizinami nie było jeszcze widać. Skalradzi posuwali się spokojnie do przodu, nieświadomi nadciągającego niebezpieczeństwa.

Dwie kawalkady zbliżały się do siebie. Wspiąwszy się na niewielkie wzgórze, Skalradzi

zatrzymali się na jego szczycie, być może dlatego, by dać odpocząć koniom albo by pozachwycać się widokiem, bardziej jednak prawdopodobne, że ich niepokój budził jakiś nieuchwytny sygnał: obłok kurzu, odległy brzęk stali, przytłumione dudnienie kopyt. Przez chwilę przeszukiwali wzrokiem okolice. Aillas stał zbyt daleko, żeby dostrzec szczegóły, ale sama myśl, że w tej odległej masie kształtów mogła się znajdować lady Tatzel, przyprawiała go o dreszcz podniecenia, połączonego z ciemniejszym uczuciem złośliwej satysfakcji.

Skalradzi ruszyli dalej i w tym momencie, ku swemu zdumieniu, Aillas zobaczył żołnierzy sir Balora. Zamiast trzymać się w ukryciu i czekać, żeby móc okrążyć Ska, gnali przez dolinę na łeb na szyję, zaledwie kilka jardów na południe od celu.

Aillas zaklął pod nosem; sir Balor powinien był wysłać wcześniej jednego ze swoich ludzi na zwiad, a teraz przepadła szansa na zaskoczenie.

Skalradzi zatrzymali się tylko na chwilę, aby ocenić sytuację, po czym skręcili na północny wschód, wybierając tę drogę, która – jak liczyli – miała ich zaprowadzić tak blisko zamku Sank, by napastnicy nie odważyli się do nich podejść. Sir Balor zmienił kierunek jazdy, chcąc odciąć im drogę i znów Aillas przeklął go za pochopne działanie. Gdyby pozwolił im zbliżyć się do Sank, napotkaliby tam oddział, który pozostał w zamku i kontynuował oblężenie. Potem, gdyby lord Alvicyx próbował desperackiego wypadu w celu ratowania matki i siostry, można by wziąć sam zamek Sank.

Sir Balor jednak, jak pies myśliwski idący za świeżym tropem, myślał tylko o dopadnięciu swej zdobyczy i poprowadził żołnierzy przez wrzosowiska w zawziętym pościgu. Skalradzi uciekali na północ, w stronę niewielkiego lasu, za którym, na skalistym pagórku, leżały ruiny starożytnego fortu. Sir Balor i jego ludzie zbliżali się szybko do Skalradów, zostawiając wolniejsze konie, ciągnące się długim sznurem z tyłu. Za nimi dopiero jechał Aillas, który wkrótce mógł już rozróżnić pojedynczych skalradzkich jeźdźców. Zauważył tego, którego nazwano „młodzikiem”; była to bez wątpienia Tatzel ubrana w strój z ciemnozielonego materiału, niskie buty i luźną, czarną czapkę.

Skalradzi najwyraźniej zmierzali do starej fortecy, gdzie mogliby się przeciwstawić przeważającej liczbie wroga. Wjechali w las i kilka chwil później wynurzyli się z niego. Sir Balor i jego wojsko jechali za nimi.

Skalradzi zaczęli wjeżdżać na pagórek. Aillas przeszukał wzrokiem grupę; gdzie była Tatzel? Gdzie był młodzik w ciemnozielonym stroju i czarnej czapce? Nie zauważył jej.

Aillas roześmiał się. Ściągnął wodze i patrzył, jak sir Balor na czele swego oddziału wpada do lasu, gnając na złamanie karku w odległości zaledwie stu jardów od uciekających.

Aillas nie odrywał wzroku od zagajnika. Gdy tylko ulflandzcy żołnierze odjechali, wyłonił się z niego samotny jeździec i z największą prędkością pognął w kierunku zamku Sank, z którego bez wątpienia zamierzał sprowadzić pomoc dla broniących się w starej fortecy.

Droga, którą wybrał, prowadziła nieco bardziej na północ od Aillasa, który zbadawszy wzrokiem teren, obrócił konia i ruszył w stronę, gdzie spodziewał się w najłatwiejszy sposób przeciąć mu drogę.

Tatzel jechała pochylona nisko nad kołyszącą się szyją konia. Jej czarne loki powiewały na wietrze. Odwróciła głowę i aż krzyknęła z przerażenia, widząc za sobą zbliżającego się do niej Aillasa. Pociągnawszy za lejce, skierowała konia na północ, w kierunku przeciwnym do tego, w którym leżał zamek Sank, zapuszczając się w okolice niezbyt miłą Aillasowi. Nie miał ochoty bliżej jej poznawać. Jednak nie wahał się nawet przez chwilę. Nie zastanawiał się, czy postępuje nierozważnie, czy mądrze. Nigdy przedtem nie spłoszył na otwartą przestrzeń tak cennej zwierzyny i teraz, na dobre czy złe, nie mógł pozwolić jej uciec, bez względu na to, dokąd go zaprowadzi.

Tatzel jechała na młodej klaczy, czarnej maści, o lśniącej sierści, długich nogach, ale niezbyt

szerokiej klatce piersiowej, co wskazywało na to, że nie była zbyt wytrzymała. Deresz Aillasa był większy, cięższy i o wiele silniejszy. Aillas nie miał wątpliwości, że prędzej czy później prześcignie Tatzel, zwłaszcza jeśli pogoń będzie długotrwała. Starał się zapędzić ją w stronę gór, coraz wyżej, z dala od zamku Sank oraz niżej położonych wrzosowisk, gdzie mogłaby znaleźć pomoc w jakiejś skalradzkiej osadzie lub u przygodnych podróżnych.

Wydawało się, że Tatzel pochłonięta była wyłącznie zmuszaniem swojej klaczy do maksymalnego wysiłku, ale wrzosowiska tworzyły niepewny i czasami niebezpieczny grunt, tak więc żaden z koni nie mógł zdobyć przewagi. Aillas nie miał przy sobie łuku i nie mógł posłać strzały uciekającemu przed nim zwierzęciu, żeby je zatrzymać.

Przejechali jedną milę, potem drugą i konie zaczęły tracić siły. Mając bardziej wytrzymałego wierzchowca, Aillas jard po jardzie zbliżał się do Tatzel i wiedział, że wkrótce ją dogoni. W odruchu rozpacz, jakiej nigdy przedtem w całym swoim życiu nie zaznała, Tatzel skręciła ostro w skalisty wąwóz między dwoma szczytami i poprowadziła klacz w górę, do wyżej położonych wrzosowisk, mając być może nadzieję, że ukryje się w dogodnym miejscu i zgubi Aillasa, który popełniwszy błąd, przejedzie obok, nie zauważając jej.

Wszystko to na darmo. Nie znalazła żadnej kryjówki, a zresztą Aillas był już zaledwie dwadzieścia jardów za nią i wydawało się mało prawdopodobne, by dał się w taki prosty sposób oszukać. Dotarła do miejsca, w którym wąwóz zarosła turzyca i olchowy gąszcz. Zsiadła z konia i poprowadziła go w górę po zboczu, pokonując krawędzie kruszącej się, czarnej skały, przedzierając się przez niskie krzewy janowca, aż wreszcie wdrapała się na kamienistą grań. Aillas podążył za nią, ale zatrzymał się, gdy zaczęła toczyć na niego z góry kamienie, przez co zmuszony był wspiać się na szczyt inną drogą i w ten sposób Tatzel zyskała nad nim kilka jardów przewagi.

Dotarł wreszcie do grani. Po obu jej stronach spływały w dół dwa głębokie parowy. Miał wrażenie, że pod wietrznym, atlantyckim niebem widzi za sobą bezkresną dal: fioletowo-szare wrzosowiska, ciemne pochyłości, czarne plamy odległych lasów.

Tatzel szła granią chwiejnym krokiem, wciąż w górę, ciągnąc za sobą wyczerpaną klacz. Podążał za nią i znów zaczął zmniejszać dzielący ich dystans.

Nagle Tatzel wskoczyła na konia i pognąła jak najszybciej w stronę równiny, na końcu której, teraz już bardzo blisko, widać było Noc, pierwszy ze szczytów potężnego masywu Teach tac Teach.

Aillas nie zaprzestawał pościgu, lecz ku swemu ogromnemu niezadowoleniu odkrył, że jego koń okulał. Zaklął, zmuszony się zatrzymać. Zdjął uzdę, następnie siodło z grzbietu konia i puścił go wolno. Był to prawdziwy pech i nagle zrozumiał, że jego szalony pomysł, by wyruszyć w pogoń za Tatzel, nie mówiąc nikomu słowa ani nie zostawiając żadnej wiadomości, był czystym szaleństwem.

Jednak nie wszystko było stracone. Zarzucił na ramię swoją torbę i ruszył za Tatzel pieszo. Jej klacz tak się zasapała, a droga między luźnymi kamieniami była tak trudna, że ponownie zaczął się do niej zbliżać. Jeszcze dwie minuty i powinien ją dopaść.

Tatzel też to rozumiała. Rozejrzała się rozpaczliwie po okolicy, lecz nikąd nie nadciągała pomoc. Na widok jej twarzy, gdy odwróciła się, by na niego spojrzeć, zdjęła go litość.

Szybko jednak uspokoił swoje serce. Tatzel, kochana mała Tatzel ze swoją hardo uniesioną głową! – myślał. – Widziałaś rozpacz, strach i smutek u innych ludzi; dlaczego sama nie miałabyś ich zakosztować?

Tatzel podjęła decyzję. Gdyby podjechała do przodu, Aillas złapałby ją natychmiast. Po lewej stronie zobaczyła dolinę ze stromymi kamienistymi ścianami. Zatrzymała się na chwilę, wzięła głęboki oddech i zeskoczywszy z konia, pociągnęła go za sobą. Ślizgając się, przysiadając na zadzie, rzucając wybałuszonymi ślepiami przerażone, piorunujące spojrzenia, klacz poszła za nią w dół po

zboczu. Podłoże osunęło się jej spod kopyt, upadła i zaczęła staczać się, przebierając zabawnie nogami z wykrzywionym tułowiem i szyją. Zbocze stawało się coraz bardziej strome; daleko w dole koń z pełną siłą uderzył w głaz i legł bez ruchu.

Tatzel, ześlizgując się i usiłując schwycić się krzewów, natknęła się na sypki piarg. Ten zdradziecko usunął się jej spod nóg, tworząc osuwisko, które poniosło ją na dno doliny, gdzie upadła oszołomiona. Po chwili spróbowała wstać, ale nie mogła się oprzeć na lewej nodze; upadła, spoglądając z bólem na złamaną kończynę.

Aillas dostrzegł, co się stało i nie śpiesząc się, bowiem przestało to być już konieczne, wybrał bezpieczniejszą drogę w dół.

Znalazł Tatzel opartą o skałę, z pobladłą z bólu twarzą. Spojrzał na jej konia, który leżał ze złamanym kręgosłupem, charczał i toczył z pyska krwawą pianę. Pchnął go szybko mieczem i zwierzę znieruchomiało.

Wrócił do Tatzel i przyklęknął obok niej.

– Jesteś ranna?

– Mam złamaną nogę.

Zaniósł ją na łachę rzeczno-piasku i tak delikatnie, jak to tylko było możliwe, ułożył na nim jej lewą nogę. Wyglądało na to, że nie było odprysków kości, potrzebował więc przede wszystkim łupków, aby ją unieruchomić.

Wstał i rozejrzał się po dolinie. W dawnych czasach nadrzeczne łąki zapewniały utrzymanie kilku gospodarstwom, po których pozostały tylko rozsypujące się kamienne ogrodzenia i ruiny zabudowań.

Nie zobaczył żadnej żywej istoty, nie zobaczył też ani nie poczuł dymu. Obok rzeki widniały jednak liczne ślady, mówiące o tym, że dolina była uczęszczana, co mogło się dla niego okazać niekorzystne.

Podszedł do brzegu rzeki i naciął dwa tuziny wierzbowych witek. Usunął z nich korę i podał ją Tatzel.

– Żuj ją, pomoże złagodzić ból.

Z martwego konia ściągnął płaszcz Tatzel i derkę, zdjął torbę z czarnej skóry ze złotym zapięciem, a także rzemienie i sprzączki z uzdy i siodła.

Podał Tatzel następną porcję kory wierzbowej do żucia i swoim nożem rozciął nogawkę jej spodni powyżej szczupłego kolana. Rozsunął materiał, obnażając nogę.

– Nie jestem specjalistą od nastawiania złamanych kości – powiedział. – Mogę zrobić dla ciebie tylko tyle, ile widziałem. Spróbuję nie sprawić ci bólu.

Tatzel nie miała nic do powiedzenia, gdyż cała ta sytuacja wywoływała w niej przede wszystkim uczucie skrępowania. Zachowanie Aillasa nie wydawało się ani brutalne, ani nawet złowieszcze; gdyby zamierzał ją zgwałcić, czy traciłby czas na włożenie jej nogi w szynę, co tylko przeszkadzałoby mu w jego zamiarach?

Aillas odciął kawałek materiału z jej płaszcza i owinał go wokół nogi, miał on służyć za wyściółkę, następnie obłożył ją przyciętymi na odpowiednią długość wtkami i wyprostował nogę. Tatzel zaczerpnęła gwałtownie powietrza, ale nie wydała żadnego okrzyku i Aillas związał rzemieniem łubki. Tatzel westchnęła i zamknęła oczy. Aillas zwinął swój płaszcz i wsunął go pod głowę dziewczyny. Odsunął z jej czoła wilgotne kosmyki włosów i przyjrzał się wyraźnym, bladym rysom, z mieszanymi uczuciami, przypominając sobie inne czasy na zamku Sank. Wówczas pragnął dotknąć jej, zwrócić jej uwagę na swoją obecność. Teraz, gdy mógł ją pieścić, jak chciał, powstrzymywały go nowe ograniczenia.

Tatzel otworzyła oczy i przyjrzała się badawczo jego twarzy

– Już cię kiedyś widziałam... Nie pamiętam tylko, gdzie.

Już zapomniała o swoim strachu, pomyślał Aillas. Czyżby moje uczucia były zbyt widoczne?

Tak, wygląda na to, że znów demonstruje tę niewypowiedzianą, skalradzką pewność swej pozycji, która, gdyby nie była tak niewinna, mogłaby uchodzić za arogancję. Gra stała się więc jeszcze ciekawsza.

– Z twojego akcentu wnoszę, że nie jesteś Ulflandczykiem. Kim zatem jesteś?

– Szlachcicem z Troicinetu.

Tatzel wykrzywiła usta, może z bólu, a może z powodu niemiłych wspomnień.

– Kiedyś w Sank mieliśmy służącego z Troicinetu. Uciekł.

– To ja uciekłem z Sank. Spojrzała na niego obojętnie.

– Wtedy wszyscy źle o tobie mówili, bo nas zatrueś. Masz na imię „Halis” albo „Ailish”, coś w tym rodzaju.

– Zwę się Aillas.

Wydawało się, że Tatzel nie dostrzegała żadnego związku między Aillasem służącym, a Aillasem królem Dascinetu, Troicinetu i Południowych Ulflandów, nawet jeśli знаła imię tego drugiego.

– Postępujesz nierozsądnie, zapuszczając się w te strony – mówiła bezbarwnym głosem. – Jeśli cię złapią, możesz zostać wykastrowany.

– W taki razie mam nadzieję, że nie zostanę złapany.

– Czy byłeś z grupą tych bandytów, którzy na nas napadli?

– To nie byli bandyci, tylko żołnierze w służbie króla Południowych Ulflandów.

– Nie widzę żadnej różnicy.

Tatzel zamknęła oczy i leżała bez słowa. Po chwili namysłu Aillas wstał i rozejrzał się po okolicy. Schronienie na noc było sprawą ważną, ale jeszcze ważniejszą – bezpieczeństwo. Ślady wiodące wzdłuż brzegu rzeki świadczyły o niewielkim ruchu, ale prawdopodobnie szlak ten łączył Wietrzną Drogę z osadami i skalradzkimi magazynami na niżej położonych wrzosowiskach.

W niewielkiej odległości, w górze, zauważył wałącą się chatę, która nawet w tym stanie mogła zapewnić schronienie pasterzom i wędrowcom. Słońce zachodziło już za góry i wkrótce dolina znajdzie się w cieniu. Spojrzał w dół.

– Tatzel. Otworzyła oczy.

– Tam, w górze, jest chata, w której możemy skryć się na noc. Pomogę ci wstać. Obejmij mnie za szyję... Teraz w górę, hop!

Zauważył, że jego serce biło o wiele szybciej niż normalnie. Ciepła bliskość ciała Tatzel, jej obejmujące go ramiona, czysty zapach sosnowych igieł mieszający się z cytrynową wonią werbeny i rozgniecione go geranium; wszystko to było tak podniecające, że najchętniej już by jej nie wypuścił z rąk.

– Obejmij mnie ramieniem i wesprzyj się... Zrób krok do przodu.

Rozdział 11

I

Aillas postawił Tatzel na ziemi i przez chwilę stali w bezruchu. Czuł jej ramiona oplatające jego szyję, widział jej twarz w odległości zaledwie kilku cali od swojej i przez jego myśli przebiegły ponure wspomnienia dni spędzonych na zamku Sank. Westchnął ciężko i odwrócił głowę.

Krok po kroku zaczęli posuwać się wzdłuż szlaku, Tatzel podskakująca na jednej nodze i Aillas podtrzymujący ciężar jej ciała. Wreszcie dotarli do chaty, która była wszystkim, co pozostało po dawnym gospodarstwie. Stała w ładnym miejscu, na wzniesieniu, obok małego strumienia spływającego z otwierającego się za domem, porośniętego drzewami parowu. Surowe kamienne mury podpierały cedrowe krokwie i dach kryty dachówkami z mikowych łupków. W wejściu osadzone były drzwi ze starego szarego, drewna; wewnątrz po jednej stronie stał stół i ławka, a po drugiej było palenisko i prymitywny komin.

Aillas posadził Tatzel na ławce i ułożył wygodnie jej nogę.

– Boli? – zapytał, spoglądając jej w twarz.

Tatzel odpowiedziała na tak głupie pytanie krótkim skinieniem głowy i pełnym zdziwienia spojrzeniem.

– Spróbuj teraz odpocząć. Zaraz wracam.

Na brzegu rzeki nabierał świeżych wierzbowych pędów o grubej korze. W płytkich rozlewiskach zauważył raki, a w cieniu kamieni wylegujące się szlachetne pstrągi. Zaniósł wierzbę do chaty i zdjął z niej korę, którą podał Tatzel.

– Żuj ją. Przyniosę ci wody.

Strumień przy chacie pogłębiono i zbudowano na nim groble, tworząc w ten sposób niewielką sadzawkę, w której Aillas znalazł drewniane wiadro, zanurzone w wodzie, żeby nie rozeszło się i nie pękło. Wydobył je z wdzięcznością, nabrał nim wody i zaniósł je do chaty. Następnie w zagajniku nabierał turzycy i gałęzi, po czym ułożył z nich na podłodze legowisko. Na brzegu rzeki znalazł kawałki suchego drewna i rozpałił ogień.

Tatzel, siedząc za stołem, wydawała się pochłonięta własnymi myślami i przyglądała mu się bez zainteresowania.

Nad doliną zapadał zmrok. Aillas raz jeszcze wyszedł na zewnątrz. Tym razem nie było go przez prawie pół godziny. Wrócił z zawiniętymi w trzcinę kilkoma kawałkami świeżego czerwonego mięsa, a także z liściem wypełnionym jagodami czarnego bzu, który położył obok Tatzel. Uklękniętą przy palenisku, ułożył mięso na płaskim kamieniu i odcinając cienkie paski, nadziewał je na gałązki i piekł nad ogniem.

Kiedy mięso było gotowe, zaniósł je na stół. Tatzel, która spróbowała już wcześniej jagód, teraz zjadła powoli i bez większego apetytu mięso. Napiła się wody z cebra i zmoczywszy chusteczkę, którą wyjęła z torby, wytarła palce.

– Możesz mieć trudności, chcąc się wygodnie ułożyć – odezwał się Aillas, uważnie dobierając słowa. – Pomogę ci, kiedy tylko będziesz chciała.

– Nie potrzebuję twojej pomocy – powiedziała krótko Tatzel.

– Jak sobie życzysz. Kiedy będziesz gotowa do snu, zrobię ci posłanie.

Dziewczyna potrząsnęła niespokojnie głową, aby pokazać mu, że o wiele bardziej wolałaby

spać gdzie indziej, na przykład w swoim łóżku w zamku Sank. Zapatrzyła się z kamiennym wyrazem twarzy w płomienie. Po chwili odwróciła wzrok, żeby spojrzeć na Aillasa, jak gdyby teraz, po raz pierwszy, zauważyła jego obecność w chacie.

– Mówiłeś, że zaatakowali nas żołnierze, a nie bandyci?

– Tak powiedziałem i tak rzeczywiście było.

– Co oni zrobią z moją matką?

– Mają rozkaz nie zabijać nikogo, jeśli tylko nie będzie to konieczne. Sądzę, że twoja matka została pojmana i wysłana do Południowych Ulflandów jako niewolnica.

– Niewolnica? Moja matka? – Przez chwilę zmagala się z tą myślą, po czym odsunęła ją od siebie jako zbyt absurdalną, żeby poświęcać jej uwagę. Spojrzała z ukosa na Aillasa. Co za dziwny człowiek! – pomyślała. – Raz wygląda jak ponury, rozważny starzec, a raz jak niedoświadczony chłopiec. Zaskakujące, czego można się dowiedzieć o swoich niewolnikach! Dlaczego tak bezlitośnie mnie ścigał? Czy ma nadzieję dostać okup?

– A ty? – zapytała. – Czy jesteś żołnierzem? A może bandytą? Aillas zastanawiał się przez chwilę.

– Jestem bardziej żołnierzem niż bandytą – odpowiedział. – Ale tak naprawdę nie jestem ani jednym, ani drugim.

– Kim więc jesteś?

– Jak już ci mówiłem, jestem szlachcicem z Troicinetu.

– Nic nie wiem o Troiciniecie. Dlaczego zawędrowałeś tak daleko, oddalając się od bezpiecznych terenów? Nawet w Południowych Ulflandach nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo.

– Przybyłem tu po części dlatego, aby ukarać Skalradów za ich grabieże i zmuszanie niewinnych ludzi do niewolniczej pracy, a także, prawdę powiedziawszy... – Aillas urwał. Zapatrzawszy się w płomienie, postanowił nie mówić nic więcej.

– „Prawdę powiedziawszy?” – ponagliła go Tatzel. Aillas wzruszył ramionami.

– W zamku Sank byłem zmuszony pracować jak niewolnik. Często obserwowałem cię, jak przechadzałaś się to tu, to tam, i zacząłem cię podziwiał. Przynależem sobie, że któregoś dnia powrócę i spotkamy się na innych warunkach. To jest jeden z powodów, dla których tutaj jestem.

Tatzel zadumała się.

– Jesteś niezwykle uparty. Bardzo niewielu niewolników uciekło z zamku Sank.

– Zostałem ponownie złapany i wysłany do Poelitetz. Stamtąd też uciekłem.

– Cała ta historia jest pogmatwana i skomplikowana – zauważyła z niezadowoleniem Tatzel. – Wykracza poza zakres mojego rozumienia i zainteresowania. Wiem tylko, że jesteś przyczyną mojego bólu i niewygody. Twoje niewolnicze tęsknoty wydają się odrażające i zuchwałe. Nie masz za grosz przyzwoitości, skoro o nich powiadasz.

Aillas roześmiał się.

– To prawda! Moje nadzieje i marzenia na jawie teraz, gdy ująłem je w słowa, nie wydają się niczym innym, jak tylko dziecinnymi mrzonkami. Cóż, odpowiedziałem tylko na twoje pytanie i to szczerze. Zrozumiałem też lepiej mój własny tok rozumowania lub, ujmując to prościej, zostałem zmuszony do przyznania się przed samym sobą do pewnych rzeczy.

Tatzel westchnęła.

– Znów mówisz zagadkami. Nie dbam o ich rozwiązanie.

– Jest stosunkowo proste. Kiedy dwoje ludzi ma podobne marzenia, względnie darzy się uczuciem miłości, to zostaje przyjaciółmi albo nawet kochankami. Jeśli tak nie jest, przebywanie w

swoim towarzystwie nie sprawia im przyjemności. To prosta teoria, chociaż niewielu zadaje sobie trud, żeby ją zrozumieć.

Tatzel spojrzała w ogień.

– Nie obchodzą mnie twoje fantazje. Opowiedz o nich osobom, które mogą zafascynować.

– Tymczasem zachowam je dla siebie.

– Jestem zdziwiona, że twoja banda ośmieliła się zapaść tak daleko z Południowych Ulflandów – oświadczyła po dłuższej chwili Tatzel.

– Wyjaśnienie znów jest proste. Ponieważ naszym celem był atak na zamek Sank, z konieczności musieliśmy zapędzić się przynajmniej tak daleko.

Tatzel wreszcie okazała zdziwienie.

– I nie odparto waszego ataku?

– Nie. Co prawda, pozostawiliśmy w stanie nie naruszonym cytadelę, lecz tylko dlatego, że nie przywieźliśmy ze sobą machin oblężni-czych. Zniszczyliśmy wszystko dookoła, po czym odjechaliśmy walczyć gdzie indziej.

Tatzel wpatrywała się w niego szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

– Okrutny postępek!

– To tylko długo odwlekana sprawiedliwość, a co więcej: to dopiero początek.

Tatzel zapatrzyła się z ponurą miną w płomienie.

– A co zamierzasz zrobić ze mną?

– Zgodnie ze skalradzkim zwyczajem, jesteś teraz moją niewolnicą. Odtąd masz się odpowiednio zachowywać.

– To niemożliwe! – krzyknęła z oburzeniem. – Jestem Skalradką i pochodzę ze szlacheckiego rodu!

– Musisz się przyzwyczaić do tej myśli. Szkoda, że złamałaś nogę i nie możesz wykonywać wszystkich moich rozkazów.

Tatzel, oparłszy łokcie na stole, z pięściami pod brodą, z nachmurzoną miną wbiła wzrok w ogień. Aillas wstał i rozłożył jej płaszcz na posłaniu z trawy.

– Weź trochę kory wierzbowej do żucia, to będziesz spała nie czując bólu.

– Nie chcę więcej kory. Aillas nachylił się nad nią.

– Obejmij mnie za szyję. Zaniosę cię na posłanie.

Zawahała się, lecz zrobiła tak, jak kazał i Aillas przeniósł ją na legowisko z trawy. Rozwiązał rzemienie przy jej butach i zdjął je z jej nóg.

– Wygodnie ci?

Rzuciła mu tylko puste spojrzenie, jakby nie usłyszała pytania. Odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, posłuchać odgłosów nocy.

Powietrze nie poruszało się. Usłyszał szmer wody w rzece, lecz poza tym nic nie zakłócało ciszy. Wrócił do chaty. Przysunął stół do drzwi i zaklinował go ławą. Dołożył do ognia drew i zdjawszy buty, położył się obok Tatzel. Przykryli się jego płaszczem, po czym spojrzeli na jasną plamę twarzy Tatzel.

– Spałaś już kiedyś z mężczyzną?

– Nie.

Aillas chrząknął dyplomatycznie.

– Dzięki temu, że złamałaś nogę, twoje dziewictwo jest bezpieczne. Twój skowyt zbyt by mnie rozpraszał. Chyba mam zbyt duże wymagania.

Tatzel prychnęła pogardliwie, lecz poza tym nie miała nic do powiedzenia. Odwróciła się do

niego plecami i wkrótce usłyszał jej regularny oddech.

Rankiem wstał bezchmurny dzień. Na śniadanie Aillas przyniósł ze swojej torby ser i suchary. Zaraz potem zaprowadził Tatzel w odosobnione miejsce za chatą, pięćdziesiąt jardów w górę wąwozem. Tatzel protestowała i sarkała, ale Aillas był nieubłagany.

– Na tych wzgórzach grasują prawdziwi bandyci, którzy niewiele różnią się od zwierząt. Nie mam łuku ani strzał i gdyby było ich więcej niż dwóch, nie mógłbym cię obronić. Gdyby znalazło nas więcej niż dwóch Skalradów, nie mógłbym nawet obronić samego siebie. Musisz więc ukrywać się w ciągu dnia, dopóki nie opuścimy tego miejsca.

– A kiedy to nastąpi? – zapytała poirytowana.

– Kiedy będzie to tylko możliwe. Nie ruszaj się stąd, dopóki po ciebie nie wrócę. Jeśli nie zjawię się w ciągu kilku dni, będziesz wiedziała, że nie żyję.

Aillas wrócił do doliny. Z wyrzuconego na brzeg rzeki kawałka drewna i tyczki wyciętej z młodej brzoźki złożył kule. Odciął silną wierzbową gałąź, oskrobał ją i nagiął, tworząc nie najlepszej jakości łuk, gdyż wierzba nie jest tak sprężysta jak jesion czy cis. Biały orzech i dąb są zbyt łamliwe, olcha z kolei jest za słaba; dość dobrym materiałem byłby zwyczajny kasztanowiec, ale żaden nie rósł w pobliżu. Na strzały naciął gałązek wierzbowych; na ich końcach, zamiast lotek, zawiązał strzepy powiewnej tkaniny. Wreszcie zrobił oścień do łowienia ryb, rozdzielając jeden koniec brzożowej tyczki na cztery, każdy z nich zaostrzył i wbił między nie kamień, żeby je rozsunąć, po czym wzmocnił u nasady, zabezpieczając tyczkę przed rozszczepieniem się na całej długości.

Dobiegała pierwsza po południu. Aillas udał się ze swoim ościeniem nad rzekę i po godzinie cierpliwego wyczekiwania zdołał zręcznym rzutem złowić dużego brązowego pstrąga o wadze około trzech lub czterech funtów. Gdy czyścił rybę na brzegu, usłyszał pobrzękiwania końskiej uprzęży. Natychmiast się ukrył.

Drogą nadjeżdżało konno dwóch mężczyzn. Za nimi toczył się wóz ciągnięty przez parę kosmatych gospodarskich koni, którymi powoził czternastoletni wieśniak o jasnobłond włosach. Wygląd jeźdźców znacznie ich od niego różnił; z pewnością należeli do bardziej złowróbnego i nikkzemnego gatunku. Mieli na sobie prowizoryczne kolczugi i skórzane hełmy zakrywające uszy oraz kark. Przy ich pasach zwisały ukośnie ciężkie, długie miecze; łuki i strzały wisiały przy łękach wraz z bojowymi toporami o krótkich trzonkach. Wyższy z mężczyzn, nieco starszy od Aillasa, był ciemny, tęgi, miał małe, chytre oczy, niechlujną brodę i mięsisty, haczykowany nos. Drugi z nich, starszy o być może piętnaście lat, jechał skulony na siodle. Był szczupły, lecz muskularny i sprawiał wrażenie mocnego jak skóra siodła, na którym siedział. Twarz miał bladą i niepokojącą: dziwnie szerokie kości policzkowe wraz z okrągłymi szarymi oczami i małymi wąskimi ustami, nadawały mu wygląd gada.

Aillas natychmiast zrozumiał, że ci dwaj byli bandytami i pogratulował sobie przezorności, którą się kierował, ukrywając Tatzel w wąwozie, tym bardziej, że bandyci zauważyli padłego konia i byli zaintrygowani, co to mogło oznaczać.

Mężczyźni zatrzymali się pod chatą, i zaczęli o czymś między sobą szeptać, po czym nachylili się, żeby zbadać ślady na piasku. Zsiadli ostrożnie z koni, przywiązali je do wozu i zaczęli podchodzić do chaty, lecz nagle stanęli zaskoczeni.

Aillasa aż zmroziło i zeszywniał pod wpływem szoku. Tatzel również usłyszała nadjeżdżających konnych. Kuśtykając wyszła zza narożnika chaty i stanawszy naprzeciw obu mężczyzn, przemówiła do nich władczy i pewnym siebie głosem, chociaż Aillas nie mógł usłyszeć jej słów. Wskazała ręką na wóz; Aillas przypuszczał, że domagała się, by zawieziono ją do najbliższego skalradzkiego zamku albo ośrodka ad-ministracyjnego.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, szczerząc we wzajemnym zrozumieniu zęby i nawet siedzący na wozie chłopak, przyglądający się tej scenie z otwartymi ustami, zamrugnął zdumiony.

Aillasem targana furia z powodu głupoty Tatzel i wściekłość na myśl o tym, co będzie musiała wycierpieć – jednak bez względu na to, jak bardzo się wściekał i przeklinał, nie mógł teraz wycofać się z nadzieją, że zachowa szacunek dla samego siebie. W swej arogancji i próżności Tatzel narażała nie tylko siebie, ale również jego.

Bandyty podeszli do Tatzel i zatrzymali się tuż przed nią. Zmierzyli ją wzrokiem od stóp do głów i wymienili pełne uznania uwagi. Cofając się, Tatzel wydała kilka nowych, rozpaczliwych poleceń.

Chudy, zgarbiony mężczyzna zadał Tatzel jakieś pytanie. Odpowiedziała lodowatym tonem i ponownie wskazała ręką na wóz.

– Tak, tak – wydawał się mówić mężczyzna. – Wszystko w swoim czasie. Najpierw to, co najważniejsze! Dobry los sprawił, że spotkaliśmy się tutaj razem i musimy to odpowiednio uczcić. Szkoda tylko, że nas jest dwóch, a ty tylko jedna!

Tatzel zrobiła kolejny krok do tyłu i rozejrzała się rozpaczliwie po okolicy. Teraz zastanawiasz się, dlaczego nie spieszę się dać tym łotrom nauczkę, pomyślała złośliwie Aillas.

Tęgi, brodaty mężczyzna pochylił się do przodu i chwycił Tatzel za nadgarstek. Przyciągnął ją do siebie i próbował pocałować. Tatzel wykręcała głowę to w prawo, to w lewo, lecz mimo to znalazł jej usta. Jego chudy kompan poklepał go po ramieniu. Zamienili z sobą kilka słów, po czym młodszy z nich z ponurą miną puścił Tatzel, bądź to ze strachu, bądź z powodu niższej pozycji w hierarchii.

Starszy mówił cicho, ale przekonywająco, gdyż młodszy wzruszeniem ramion wyraził w końcu zgodę. Zaczęli przygotowywać się do gry, aby wybrać tego, który pierwszy zabawi się z Tatzel. Młodszy wcisnął w ziemię patyk i w odległości dziesięciu stóp narysował na piasku linię. Wyjęli z sakiewki kilka monet, stanęli za linią i kolejno rzucali je w stronę patyka. Zeskoczywszy z wozu, chłopak podszedł do nich, żeby przyjrzeć się grze z nie skrywanym zainteresowaniem.

Korzystając z tego, że ich uwaga była odwrócona. Aillas przebiegł za wóz. Przed chatą trwała sprzeczka, gdyż jeden z graczy prawdopodobnie naruszył zasady gry, aż w końcu wezwali chłopaka do rozstrzygnięcia sporu. Ten wydał werdykt i raz jeszcze mężczyźni przystąpili do gry zgodnie z poprawionymi zasadami, choć nie odbyło się bez gderania i wymiany wypowiedzianych w gniewie słów. W tym samym czasie Tatzel czyniła im pełne wściekłości wymówki, aż do momentu, gdy kazali jej zamilknąć. Stała wówczas z tyłu i przyglądała się im z wykrzywionymi w grymasie ustami.

Tymczasem Aillas podszedł cicho do koni i zaopatrzył się w łuk i garść strzał.

Gra dobiegła końca. Zwycięzcą został tęgi brodac, który roześmiał się dumnie i pogratulował Tatzel jej szczęścia. Ponownie chwycił ją za rękę i mrugnawszy porozumiewawczo do swego towarzysza, pociągnął ją do chaty.

Starszy mężczyzna wzruszył z rezygnacją ramionami i warknął coś do chłopaka, który podbiegł do wozu, skąd przyniósł wybrudzony skórzany bukłak wina. Obaj podeszli do ściany chaty i usiedli w słońcu.

Aillas zbliżał się ostrożnie, ze strzałą na cięciwie. Przesunął się bokiem do wejścia i bezszelestnie jak cień wszedł do środka. Tatzel leżała naga na pościeli z trawy. Bandyta opuścił spodnie i klęcząc próbował po omacku wsunąć swojego ogromnego członka między jej rozsunięte nogi. Tatzel dostrzegła w drzwiach nieruchomą postać i ciężko odetchnęła. Bandyta spojrział przez ramię. Rzucił niewyraźne przekleństwo i niezdarnie podniósł się z ziemi, szukając rozpaczliwie swego miecza. Otworzył usta, chcąc wykrzyknąć swą wściekłość i w tym momencie Aillas zwolnił

cięciwę. Strzała z furkotem przeleciała przez pokój i utkwiała w otwartych ustach, przygważdżając głowę do ściany, gdzie mężczyzna skonał w spazmatycznym tańcu rąk i nóg.

Aillas wyszedł z chaty tak cicho, jak do niej wszedł. Za rogiem znalazł starszego bandytę. Pił oparty o ścianę, przechylając wysoko bukłak wina. Chłopak, który obserwował go z zazdrością, przeniósł wzrok na Aillasa, po czym wydał z siebie zduszony, piskliwy krzyk. Bandzior przesunął swoje bladoszare spojrzenie w bok i ujrzał Aillasa. Upuścił bukłak i wstał, aby chwycić za miecz. Z posępną i groźną miną Aillas wypuścił strzałę. Pod bandytą ugięły się kolana. Na moment chwycił za drzewce wystające mu z piersi, po czym zwałił się na ziemię.

Aillas rozejrzał się za chłopakiem. Uciekał ogromnymi susami drogą, którą przybył i w chwilę później zniknął z pola widzenia.

Zajrzał do chaty. Tatzel ubierała się ze spuszczoneymi w zamyśleniu oczami, zwrócona tyłem do zwłok. Odwrócił się i podszedł do wozu przykrytego dobrze nawoskowanym, lnianym płótnem. Znalazł pod nim różnorodne produkty żywnościowe w takich ilościach, że można by nimi karmić przez miesiąc albo nawet dłużej kilkunastu ludzi.

Wybrał z tych zapasów worek z mąką, dwa połcie boczku, sól, dwa okrągłe sery, sakwę wina, szynkę, okazały pęk cebuli, garnek zalanej tłuszczem gęsiny, siatkę solonych ryb, torbę rodzynek i suszone morele. Zapakował to wszystko w brezent i załadował na grzbiet najlepszego z koni pociągowych.

Tatzel usiadła w wejściu do chaty i z przesadnym skupieniem zaczęła rozczesywać swoje krótkie, kręcone włosy. Aillas przypomniał sobie o kuli, którą dla niej zrobił. Po chwili wahania przyniósł ją wraz z pstrągiem, którego upolował ościeniem.

– To pomoże ci chodzić – powiedział, podając kulę Tatzel. Wszedł do chaty, podniósł z ziemi płaszcz, strzepnął je i po raz

ostatni rzucił okiem na przyszpilone do ściany zwłoki. Następna osoba, która wejdzie do środka, zobaczy przerażający widok. Wróciwszy na świeże powietrze, oznajmił:

– Ruszamy! Już wkrótce to miejsce zaroi się od Skalradów. Nie wiadomo, jak daleko ten chłopak musiał biec z wiadomościami.

Tatzel wskazała palcem na szlak.

– Ktoś nadchodzi. Lepiej uciekaj, póki możesz jeszcze ujść z życiem.

Obróciwszy się, Aillas ujrzał zbliżającego się starca z czterema kozami. Ubrany był w strój z łyka, słomiane sandały i niski, upleciony ze słomy kapelusz o szerokim rondzie. Każda z jego kóz niosła mały pakunek. Gdy zrównał się z chatą, spojrzał bez zainteresowania na Aillasa, potem na Tatzel i minąłby ich bez słowa, gdyby Aillas nie zawołał do niego:

– Zatrzymaj się na chwilę, jeśli możesz. Starzec stanął z grzeczności, ale bez entuzjazmu.

– Jestem obcy w tych stronach – zagadnął go Aillas. – Może mógłbyś wskazać mi drogę?

– Zrobię, co w mojej mocy, panie. Aillas wskazał na dolinę.

– Dokąd prowadzi ta droga?

– Dziesięć mil w dół do wsi Glostra, skalradzkiej siedziby, w której znajdują się duże koszary.

– A w górę?

– Jest kilka możliwości. Jeśli trzymać się głównego szlaku, to dojdzie się do Wysokiego Wrzosowiska, a stamtąd wiedzie do Poelitetz Wietrzna Droga.

Aillas pokiwał głową; tego mniej więcej się spodziewał. Dał mężczyźnie znak ręką.

– Chodź ze mną. Przywiąż swoje kozy do wozu, jeśli chcesz. Starzec niepewnym krokiem udał się w stronę chaty, w której Aillas pokazał mu dwa ciała.

- Nadjechali wozem tamtą drogą. Zaatakowali mnie i musiałem ich zabić. Kim oni są?
- Ten w chacie, z brodą, jest półkrwi Skalradem. Ten drugi to Fed-rik, zwany Wężem. Obaj byli bandytami w służbie Torquala, przynajmniej tak słyszałem.
- Torqual... Znam to imię.
- Jest dowódcą tych bandziorów, a jego kryjówką jest zamek Ang, gdzie nie można go schwycić.
- Wiele zależy od tego, kto atakuje i jak – zauważył Aillas. – Powiedz, gdzie jest ten fort, żebyśmy mogli go ominąć.
- Po przejechaniu tym szlakiem piętnastu mil zobaczysz przy drodze trzy sosny z przybitymi do pni baraniami czaszkami. W tym miejscu droga się rozwidla. Ta na prawo wiedzie do Ang. Widziałem ten zamek tylko raz. Wtedy wejścia do niego strzegli dwaj rycerze w pełnej zbroi. Zostali wbici na pal. Nigdy więcej tam nie pójde.
- Widzę, że jedna z twoich kóz ma na grzbiecie ładną miskę – powiedział Aillas. – Czy zamieniłbyś to naczynie na konia i wóz z zapasem wiktuałów, który starczy ci na cały rok?
- Z mojego punktu widzenia transakcja ta wydaje się uczciwa – odparł ostrożnie starzec. – Te towary należą oczywiście do ciebie, skoro je oddajesz.
- Zdobyłem je i nikt nie może temu zaprzeczyć. Jeśli jednak mamy dobić targu, to proponuję, żebyś jak najszybciej zabrał te artykuły w jakieś sekretne miejsce, choćby dlatego, żeby nie wzbudzały niczyjej zazdrości.
- To mądra rada – zgodził się starzec. – W takim razie skończmy ten handel.
- Jeszcze jedno: nigdy nas nie widziałeś ani my nie widzieliśmy ciebie.
- Ma się rozumieć. Słyszałem tylko odbijające się echem głosy niesione przez wiatr.

II

Słońce zniknęło za ich plecami, gdy ruszyli w górę doliną z jucznym koniem przywiązany liną do siodła Tatzel. Aillas wiózł kołczany i strzały.

W pewnym miejscu dolina zwęziła się i była bardziej stroma. Płynąca nią rzeka bulgotała natrafiając na głazy w swoim korycie. Tu i ówdzie widać było zagajniki młodych sosen i cedrów oraz pojedyncze drzewa. Do doliny schodziły wąwozy i żleby z przedzierającymi się pośrodku małymi strumieniami.

Późnym popołudniem wiatr zaczął się wzmagać i coraz szybciej przesuwiał chmury po niebie. Od morza w każdej chwili mógł nadejść deszcz, co nie było zbyt przyjemną perspektywą.

Słońce złociło jeszcze górskie grzbiety, gdy dolinę zaczął ogarniać zmrok. Aillas skręcił w jeden z bocznych wąwozów i prowadząc konia brzegiem strumyczka, natknął się po mniej więcej stu jardach na trawiastą polanę, osłoniętą od wiatru, położoną tak, że nocni wędrowcy nie mogliby dostrzec ognia.

Tatzel nie była zadowolona z miejsca, które wybrał na nocleg, i rozglądała się dookoła z dezaprobatą.

- Dlaczego zatrzymaliśmy się w tak niedogodnym miej scu?
- Aby żaden obcy nie niepokoił nas w nocy – wyjaśnił Aillas.
- Coraz bardziej zagłębiamy się w tę dziką okolicę. Czy wiesz, dokąd nas prowadzisz?
- Mam nadzieję znaleźć spokojną i bezpieczną drogę wiodącą wysoko położonymi wrzosowiskami do Południowych Ulflandów i w ten sposób znaleźć się z powrotem w Doun Darric. Stamtąd zabiorę cię do Domreis w Troicinecie.
- Nie chcę widzieć tych miejsc – odrzekła lodowatym tonem Tatzel. – Czy moje pragnienia się

nie liczą?

Aillas roześmiał się.

– Jako niewolnica nie masz nic do powiedzenia.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie i udała, że niczego nie słyszała. Aillas nazbierał chrustu, następnie ułożył kawałki skał tak, by utworzyły palenisko. W trakcie wykonywania tych czynności znalazł ładny kawałek płaskiego serpentynu o powierzchni nieomal jednej stopy kwadratowej i grubości nie większej niż pół cala. Rozpalił ogień, wyjął pstrąga i odwrócił się do Tatzel, która siedziała w pobliżu na kłodzie, przyglądając się tym przygotowaniom ze znudzoną miną.

– Dzisiejszego wieczoru ty będziesz gotować, a ja w tym czasie zbuduję na noc szałas.

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

– Nic nie wiem na temat gotowania.

– Wyjaśnię ci, co masz zrobić. Odetnij tłuszcz z szynki, roztop go wolno w misce, ale tak, żeby się nie spalił. Następnie pokroisz na kawałki pstrąga. Kiedy tłuszcz będzie gotowy, usmażysz w nim rybę, bardzo ostrożnie, żeby się nie przypaliła. Gdy ryba ładnie się przyrumieni, odłóżysz patelnię na bok. Potem zmieszasz trochę mąki z wodą i zrobisz cienkie placki. Upieczesz je na płycie, która rozgrzeje się do tego czasu. – Aillas wskazał ręką na serpentyn. – Kiedy placki upieką się z jednej strony, przewrócisz je na drugą.

– Nie mam ochoty się tego uczyć. Aillas zastanowił się.

– Chociaż jestem zmęczony, mogę uciąć różgę i tak cię nią zbić, że będziesz błagała o litość. Mogę też wykonać te wszystkie czynności sam i obsłużyć cię ku twojemu zadowoleniu. Mógłbym też zostawić cię na zimnie, głodną, ale to nie leży w moim charakterze. Co wybierasz?

Tatzel przechyliła w bok głowę zastanawiając się, ale nic nie powiedziała.

– Prawdę powiedziawszy, nie chcę cię bić. Nie mam też najmniejszej ochoty cię obsługiwać. Zatem wychodzi na to, że musisz zabrać się do gotowania albo pójdiesz spać bez kolacji. I pamiętaj, że jutro wszystko zacznie się od nowa.

– Będę jadła morele i piła wino – odparła pogardliwie Tatzel.

– Nic z tego. Co więcej, możesz sobie przygotować własne posłanie lub przesiedzieć całą noc w deszczu. Nie dbam o to.

Tatzel spojrzała posepnie w ogień i objęła ramionami kolana. Tymczasem Aillas zbudował z brezentu namiot, po czym zebrał naręczę wysokiej trawy i zrobił z niej legowisko.

Gdy zauważyła, że posłanie było przeznaczone tylko dla jednej osoby, Tatzel wysyczała przekleństwo i z furią wzięła się do przygotowywania kolacji. Widząc to Aillas zebrał więcej trawy i poszerzył miejsce do spania.

Jedli w milczeniu. Aillasowi nigdy nic bardziej nie smakowało niż ten smażony pstrąg, placki z plasterkami cebuli i wino. W górze wiatr poruszał koronami drzew i płomienie chwiały się do przodu i do tyłu. Wreszcie Aillas poszedł napoić konie, a potem spętał je w miejscu, gdzie mogły do woli skubać trawę.

Tatzel obserwowała go kątem oka, ale gdy wrócił do ogniska, znów siedziała wpatrzona w płomienie.

Upił ostatni łyk wina z bukłaka i uśmiechnął się do ognia.

– Gdzie schowałaś mój nóż? – Był to nóż, którym kroić pstrąga. Zastanowiła się przez moment, po czym sięgnęła pod tunikę i wyciągnęła zza pasa nóż. Aillas gwałtownym ruchem wyrwał go z jej ręki.

Potarła nadgarstek.

– Sprawileś mi ból.

– Nie taki, jaki ty mogłaś mi sprawić podczas snu.

Odpowiedziała na to wzruszeniem ramion. Po chwili Aillas podniósł się i wniósł do namiotu te zapasy, którym mógł zaszkodzić deszcz. Potem wziął kolejno do ręki zdobyczne łuki i sprawdził ich moc i wytrzymałość. Były to dobra broń, ale jeden z nich okazał się lepszy i ten wraz ze strzałami schował pod trawę w miejscu, gdzie miał spać, tuż pod ręką, ale tak, żeby był poza zasięgiem ramion Tatzel. Drugi łuk włożył do ognia i spalił. Tatzel patrzyła na niego z otwartymi ustami.

– Jestem zdumiona.

– Tak? A czym tym razem?

– Dlaczego z takim uporem trzymasz mnie w niewoli? Wolalabym być wolna, a tobie tylko przeszkadzam w podróży. Najwyraźniej nie zamierzasz nawet wykorzystać mnie jako kobiety.

Aillas wrócił pamięcią do wydarzeń, które rozegrały się w ciągu dnia.

– Nie mógłbym się zmusić do tego, aby cię dotknąć – odburknął.

– Dziwne! Nagle okazujesz szacunek dla mojego pochodzenia.

– Mylisz się.

– W takim razie to z powodu tego bandyty. – Tatzel zamrugła i Aillasowi wydało się, że zobaczył w jej oczach łzy. – Co mogłabym osiągnąć walcząc? Raz jestem w rękach zbiegłych niewolników, raz bandytów; jest mi wszystko jedno. Możesz ze mną zrobić, co tylko chcesz.

Aillas prychnął pogardliwie.

– Zachowaj te dramatyczne uwagi dla siebie. Powiedziałem to ubiegłej nocy i powtórzę tego wieczoru: nigdy nie wziąłbym cię gwałtem.

Spojrzała na niego kątem oka.

– W takim razie jakie są twoje zamiary? Nie rozumiem przyczyn twojego zachowania.

– To całkiem proste. Wzięto mnie do niewoli i ku mojej wściekłości zmuszono do służby na zamku Sank. Przysiągłem sobie wówczas, że któregoś dnia rachunki zostaną wyrównane. Teraz ty jesteś niewolnicą i musisz służyć mi zgodnie z moimi zachciankami. Co może być prostszego nad to wyjaśnienie? Jest nawet pewien rodzaj piękna w tej symetrii wydarzeń. Spróbuj cieszyć się nim tak bardzo jak ja!

Tatzel zacisnęła usta.

– Nie jestem niewolnicą! Jestem lady Tatzel z zamku Sank!

– Czy ci bandyci byli pod wrażeniem twojej pozycji?

– To byli odmieńcy, tylko półkrwi Skalradzi.

– Co to ma za znaczenie? Obaj byli degeneratami. Zabiłem ich z przyjemnością.

– Używając strzał, i to z ukrycia – drwiła Tatzel. – Nie miałaś odwagi stawić czoła Ska w inny sposób.

Aillas skrzywił się.

– W pewnym sensie to prawda. Dla mnie wojna nie jest ani zabawą, ani okazją do demonstrowania rycerskości. Jest raczej przykrą koniecznością, z którą należy się uporać jak najszybciej, ponosząc przy tym możliwie najmniejsze szkody... Czy znasz Skalrada o imieniu Torqual?

Odniósł wrażenie, że nie miała ochoty odpowiedzieć na jego pytanie. Po chwili jednak odezwała się:

– Znam Torquala. Jest moim kuzynem w trzeciej linii. Ale widziałam go tylko raz. Nie uważa się go już za Skalrada i dlatego wyjechał do innych krajów.

– Już powrócił i jego kryjówka jest tam, wyżej, pod Noc. Dzisiaj wieczorem piliśmy jego wino i jedliśmy jego cebulę. Pstrąg był mój.

Tatzel odwróciła wzrok w stronę wąwozu, gdzie jakieś nocne zwierzę zaszeleściło między liśćmi. Z powrotem spojrzała na Aillasa.

– Mówi się, że Torqual wszystko skrzętnie notuje. Spodziewam się, że drogo zapłacisz za tę ucztę.

– Wolę za darmo cieszyć się jego hojnością. Nikt jednak nie wie, co przyniesie przyszłość. Te Północne Ulflandy to kraj ponury i okropny.

– Ja nigdy za takowy go nie uważałam.

– Nigdy przedtem, aż do dzisiaj, nie byłaś niewolnicą... Chodź. Czas kłaść się spać. Ten młody woźnica rozpowie wszędzie o szlachetnej skalradzkiej damie i ta dolina zaroi się od żołnierzy. Chcę wyruszyć wcześniej rano.

– Śpij więc – odparła obojętnie. – Ja jeszcze trochę posiedzę.

– W takim razie muszę cię przywiązać, żebyś nie oddaliła się w ciągu nocy. W tych stronach, w ciemnościach, kręcą się dziwne stworzenia. Czy chciałabyś zostać wciągnięta do jakiejś jaskini?

Z pewnym wdziękiem Tatzel pokuśtykała w stronę legowiska.

– Jednak i tak musimy skorzystać z liny dla celów bezpieczeństwa -odezwał się po chwili Aillas. – Śpię mocno i mógłbym się już nigdy nie obudzić, gdyby w nocy spadła mi na głowę jakaś skała.

Obwiązał ją w pasie sznurem, zaciągnął mocny węzeł, aby nie mogła go rozwiązać, i przymocował końce do swego pasa. W ten sposób zmuszona była trzymać się blisko niego.

Położyła się i Aillas przykrył ją płaszczem. Promienie księżycy przedostały się przez liście i oświetliły całą jej twarz, czyniąc ją łagodną i zachwycająco piękną. Przez chwilę Aillas patrzył na nią, zastanawiając się nad znaczeniem na pół pogardliwego, na pół sennego uśmiechu, który na chwilę pojawił się na jej ustach... Odwrócił się, odsuwając od siebie obrazy, które zaczęły powstawać w jego wyobraźni i położywszy się obok niej, przykrył się swoim płaszczem... Czy czegoś nie przeoczył? Broń? Bezpieczna. Lina? Węzły były poza jej zasięgiem. Rozluźnił się i wkrótce zapadł w sen.

III

Aillas wstał na godzinę przed świtem. Nie padało. W popiele znalazł jarzące się węgle, nałożył na nie suchą trawę i rozniecił ogień. Ziewając i trzęsąc się z zimna, Tatzel wyszła na czworakach z szałasów i usiadła przed ogniskiem, chcąc ogrzać ręce. Aillas wyjął słoninę i worek z mąką, czego zdawała się nie zauważać. Rzucił w jej stronę kilka zwięzłych słów, po których z nachmurzoną miną, ciskając wzrokiem gromy, zabrała się do smażenia bekonu i pieczenia placków. On w tym czasie osiodłał konie i przygotowywał je do drogi.

Słońce nie wzeszło jeszcze i nie zdążyło osuszyć kropel rosy na trawie, gdy Aillas i Tatzel zasiedli do śniadania w panującej dookoła ciszy, nie odzywając się do siebie.

Gdy zjedli, Aillas załadował wszystko na jucznego konia i podsadził Tatzel na siodło. Opuścili parów i wrócili na szlak, Aillas zatrzymał się i rozejrzał wokół, nasłuchując jakichś odgłosów. Nie dostrzegł najmniejszych nawet oznak ruchu. Ruszyli w górę doliny, przez cały czas Aillas oglądał się za siebie.

Jechali przez niebezpieczną okolicę. Aillas popędzał konie, żeby mogli jak najwcześniej minąć miejsce, w którym gościniec rozwidlał się, prowadząc jedną z dróg do zamku Ang.

Z każdą milą krajobraz stawał się coraz bardziej górzysty. Nad doliną wznosiły się wysokie urwiska, górujące ponad porozrzucanymi bezładnie kamieniami, gdzieś tam wyrastały potężne

sosny i jodły.

Zza wschodniego pasma wzgórz wyszło słońce, oświetlając stojące wzdłuż szlaku trzy wysokie sosny z przybitymi do pni baraniami czaszkami. Tu droga rozwidlała się i jedna jej odnoga prowadziła w prawo. Aillas przejechał szybko obok tego złowieszczonego rozstaju i nie oglądając się, z lekkim sercem zostawił je za sobą.

Konie posuwały się z trudem, z powodu narzuconego im tempa i nachylenia szlaku. W górę, wyżej i wyżej, wspinały się serpentynami wijącymi się to do tyłu, to znów do przodu, pod wiszącymi występami i sterczącymi kamieniami, przez przygodnie napotkaną górską łąkę, i znów w górę po nowym stoku,

Po godzinie jazdy od rozwidlenia do Ang, Aillas postanowił zatrzymać się w zacisznym zakątku za sosnowym lasem. Zsiadł z konia i pomógł Tatzel stanąć na ziemi. Mieli tu odpocząć w ciągu dnia, aby zmniejszyć ryzyko napotkania innych jeźdźców, co w tych stronach mogło tylko oznaczać kłopoty. Tatzel zdawała się sądzić, że podejmowanie tego rodzaju środków ostrożności było nie tyle chytrym, ile śmiesznym posunięciem.

– Jesteś bojaźliwy jak zając – powiedziała do Aillasa. – Czyżbyś żył w ciągłym strachu, rozglądając się i zerkając to tu, to tam, podskakując z szeroko otwartymi oczami na dźwięk każdego szeptu?

– Przejrzałaś mnie. Boję się tysiąca rzeczy. To doprawdy ogromne upokorzenie, kiedy własny niewolnik uważa człowieka za tchórza.

Tatzel roześmiała się szyderczo i wyciągnęła się w słońcu na piasku.

Aillas oparł się o drzewo i spojrzał w niebo. Mimo wszystko, uwagi Tatzel dotknęły go. Czy naprawdę uważała go za tchórza tylko dlatego, że wykazywał zwykłą ostrożność? Bardziej niż prawdopodobne. Z własnego doświadczenia wiedziała, że prawdziwi mężczyźni podróżowali po tej okolicy nie obawiając się nieprzyjemnych zdarzeń.

– Już niedługo Skalradzi też będą zerkać i rozglądać się dookoła. Nie gonią już od słupa do słupa kilku biednych wieśniaków; muszą teraz walczyć z Troicinetem, a to już zupełnie inna sprawa.

– Jeżeli wszyscy Troicyjczycy są tak ostrożni jak ty, nie będziemy z nimi mieli większych kłopotów.

– Może i tak – odparł Aillas. Znów spojrzał w górę, ale zobaczył tylko skały i niebo. Strzępiaste chmury gnane przez wiatr przesłaniały od czasu do czasu słońce, rzucając na dolinę cień.

Tatzel przyglądała mu się, leżąc z ramionami pod głową.

– Czego szukasz?

– Kogoś obserwującego nas ze szczytu... Odpoczywaj, skoro możesz. Odtąd będziemy podróżować nocą.

Zamknęła oczy i po chwili wydawało się, że zasnęła. Na obiad zjedli szynkę, ser i zimne placki.

Minęło południe. Chmury zgęstniały i wkrótce na dobre przesłoniły słońce. Naciągnawszy na siebie płaszcz, Tatzel zaczęła narzekać na zimne podmuchy wiatru i zaproponowała, żeby Aillas postawił namiot, lecz on potrząsnął przecząco głową.

– To jest pogoda dla tchórzów! Zwiadowcy i wartownicy nic nie widzą we mgle, a i bandyci rabują tylko przy ładnej pogodzie. Wstawaj! Ruszamy!

Gdy schował z powrotem do tobołka szynkę i ser, ponownie ruszyli w górę.

Popołudnie minęło im wolno i bez przygód. Na godzinę przed zachodem słońca wiatr osłabł do niewielkich podmuchów i niebo rozchmurzyło się. Promienie słońca zalały tę dziką okolicę, nadając jej kolorów.

Aillas zatrzymał się, aby dać odpocząć koniom. Gdy spojrzał za siebie na drogę, którą przebyli,

otworzył się przed nim widok na całą dolinę.

Zaledwie o milę przed nim linię nieba przecinała krawędź płaskowyżu.

Skierował się w górę, chociaż znów poczuł się wystawiony na widok każdego, kto mógł strzec tej doliny.

Dotarli do ostatniego stromego zbocza. Aillas zsiadł z konia, by go zbytnio nie męczyć. Posuwali się teraz z trudem, powolutku, krok za krokiem, aż w końcu musieli się zatrzymać, chcąc złapać oddech. Konie, potrząsając łbami i parszając cicho, stopniowo odzyskiwały siły po tak ogromnym wysiłku. Otoczył ich głęboki cień, a ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły brzegi chmur po przeciwnej stronie nieba.

Znów ruszyli w drogę, posuwając się to do tyłu, to do przodu, i znów do tyłu, i znów do przodu, aż wreszcie znaleźli się na równinie. Na południu wznosiły się wysokie szczyty sięgające chmur; na wschodzie widać było końcowy grzbiet masywu Teach tac Teach, teraz płonący w świetle zachodzącego słońca; na północy płaskowyż ginał we mgle i niskich chmurach.

W odległości stu stóp zauważyli wysokiego mężczyznę w czarnej czapce. Stał, jak gdyby pogrążony w zadumie, z rękami opartymi na rękojeści miecza, którego ostrze spoczywało na ziemi tuż przed nim. Jego koń był przywiązany do pobliskiego krzaka. Spojrzał w bok na przybyszów, lecz wydawał się ich ignorować, co odpowiadało Aillasowi.

Ruszył szlakiem, mijając nieznanego tak, jakby go tam nie było.

Mężczyzna powoli odwrócił się do nich twarzą, a blask zachodzącego słońca nadał jego rysom barw ciemnego złota i czerni. Wymówił tylko jedno słowo:

– Stać!

Aillas posłusznie zatrzymał konia i mężczyzna zaczął wolnym krokiem zbliżać się w jego stronę. Czarne włosy przylegały mu do niskiego czoła ze ściągniętymi ponuro brwiami i błyszczącymi pod nimi orzechowymi oczami. Wystające kości policzkowe, szerokie, kształtne usta, może odrobinę zbyt obfite, nad krótkim mocnym podbródkiem wraz z drgającym mięśniem lewego policzka, nadawały mu wygląd człowieka porywczego i silnego, który raczej rzadko kierował się w życiu rozumem. Ponownie odezwał się chrapliwym, a zarazem melodyjnym głosem:

– Dokąd jedziecie?

– Podróżujemy Wietrznym Szlakiem do Południowych Ulflandów -odrzekł Aillas. – Kim jesteś, panie?

– Mam na imię Torqual. A kim jest ta dama? – zapytał, utkwivszy wzrok w Tatzel.

– Obecnie jest w mojej służbie.

– Pani, czy nie jesteś z pochodzenia Ska?

– Jestem Ska.

Torqual przysunął się odrobinę bliżej. Jest silnym mężczyzną, pomyślał Aillas, szerokim w ramionach, wąskim w biodrach. Oto mężczyzna, którego Tatzel nigdy nie nazwałaby tchórzliwym czy bojaźliwym, czy nawet ostrożnym.

Torqual mówił rytmicznie melodyjnym głosem:

– Młody człowieku, żądam twojej głowy. Wkroczyłeś na terytorium, które uważam za moje własne. Zsiądź z konia i uklęknij, bym mógł ściąć ją bez trudu. Umrzesz w tym dramatycznym złotym blasku zachodzącego słońca. – Ze zgrzytem stali trącej o stal wyjął z pochwy miecz.

– Sir, nie chcę umierać, a już z pewnością nie na kolanach! – odpowiedział uprzejmie Aillas. – Proszę cię o pozwolenie, bym mógł przejechać przez tę krainę, do której rościsz sobie prawo, nie narażając na niebezpieczeństwo moich towarów ani mojej towarzyszki.

– Odmawiam ci takiego zezwolenia, choć muszę przyznać, że rzeczywiście mówiłeś dobrze i

bez skrępowania. Nie ma to jednak większego znaczenia.

Aillas zsiadł z konia i wyciągnął swój miecz, wąski i lekki, odpowiedni do stylu walki, jakiego nauczył się w Troicinecie. A nóż? Gdzie był jego nóż, na którym tak poległ? Kroił nim ser w czasie ich południowego posiłku i spakował go razem z nim.

– Sir, zanim raz jeszcze wrócimy do tej sprawy, czy pozwolisz, że zaproponuję ci kęs sera?

– Nie dbam o ser, chociaż jest to dość zabawny pomysł.

– W takim razie daj mi chwilę czasu, abym mógł odciąć kawałek dla siebie, gdyż jestem głodny.

– Spiesz się i nie będę czekał, aż ty zjesz swój ser. Gotuj się na śmierć. – Mówiąc to, Torqual zrobił krok do przodu i ciał mieczem. Aillas odskoczył w bok, unikając ciosu. Torqual znów się zamachnął, lecz tym razem natrafił na miecz Aillasa.

Aillas zaatakował, ale ciężka klinga Torquala powędrowała w górę i niechybnie przebiłaby go, gdyby spróbował kolejnego pchnięcia. Zrozumiał, że Torqual był nie tylko silnym, ale także zręcznym szermierzem.

Torqual znów rzucił się do przodu, zmuszając Aillasa do cofnięcia się i odparowania serii ciosów, które trafiały celu zaledwie o włos. Po ostatnim uderzeniu Aillas przeszedł z wściekłością do kontrataku, raniąc Torquala w ramię. Skalrad zmuszony był cofnąć się gwałtownie, żeby odzyskać siły. W tym momencie Aillas zauważył, że jego przeciwnik miał za pasem nóż.

Torqual w skupieniu otworzył usta. Nie spodziewał się, że walka ta będzie go kosztowała tyle wysiłku. Ponownie uderzył i Aillas z trudem zrobił wypad, wyrzucając w górę lewe ramię w tak niefortunny sposób, że odsłonił cały lewy bok. Widząc to, Torqual spróbował chytrzego uderzenia na odlew, lecz Aillas łatwo go uniknął, uskakując w bok, i ponownie przechodząc do ataku, wyrzucił w górę lewe ramię w ten sam niezdarny sposób.

Tym razem Torqual zrobił wypad do przodu, Aillas odparował cięcie i pchnął jak najdalej; puścił krew z boku klatki piersiowej Torquala, chybiając serca zaledwie o cal. Torqual otworzył ze zdumienia usta i oczy, poza tym zignorował ranę. Aillas zauważył jednak, że jego ręka powędrowała w stronę noża.

Skalrad raz jeszcze przypuścił atak i ponownie Aillas odparował jego ciosy, choć odniósł wrażenie, że Torqual przygotowywał sobie pole do ostatecznego wypadu. Aillas zrobił krok do przodu, wyrzucił wysoko w górę lewe ramię, odsłaniając swój lewy bok. Torqual natychmiast chwycił za nóż, ale Aillas pchnął mieczem i zagłębił klingę w wewnętrznej części jego łokcia, przeszywając go na wylot. Nóż wypadł nagle z bezwładnej ręki.

Aillas rzucił się do przodu i złapał go, zanim spadł na ziemię. Uśmiechnął się szeroko do Torquala i teraz to on zaczął naciskać: wypad, pchnięcie i Torqual nie był już w stanie odpiierać daleko sięgających ciosów.

– Klęknij, Torqual, żebym mógł cię zabić bez większego wysiłku.

Aillas zatoczył swoim mieczem młyńca, uchylił się przed ciosem przeciwnika, zrobił fintę, pchnął i zmusił Torquala do stopniowego cofania się.

Torqual wziął głęboki oddech i wydając głośny okrzyk, zaatakował uderzając swoim mieczem jak kosą. Aillas cofnął się i natychmiast zauważył, że pierś bandyty była odsłonięta. Z całej siły rzucił nożem, który wbił się w ciało po samą rękoność. Mężczyzna zatoczył się do tyłu osłupiały. Aillas zrobił kolejny wypad, przeszywając mieczem jego szyję. Torqual zawył z rozpaczony i zwałił się na plecy nad krawędzią płaskowyzu. Stoczył się w dół, gdzie zatrzymał się wreszcie, wyglądając po prostu jak czarny, bezimienny tobołek.

Aillas rozejrzał się dookoła.

Gdzie jest Tatzel?

Zobaczył ją w odległości dwustu jardów. Jechała jak najszybciej na północ, chociaż hamował ją juczny koń przywiązany do jej siodła, jak również jego wierzchowiec związany z jucznym. Mimo że z trudnością posuwała się do przodu i tak była wystarczająco szybka, aby zostawić go daleko w tyle, gdyby nie koń Torquala.

Tatzel obejrzała się przez ramię. Aillas zobaczył desperacki wyraz twarzy, który rozzłościłby go, gdyby nie jego radość z powodu zwycięstwa nad Torqualem.

Odwiązał konia bandyty, wskoczył na jego grzbiet i rozpoczął pogoń. I znów wpadł w złość, że Tatzel uciekała na północ, jeszcze bardziej zagłębiając się w dziką okolicę, która ciągnęła się aż do granicy z Godelią.

Przyszła mu do głowy pewna myśl, którą po chwili zastanowienia odrzucił. Pomysł ten był zbyt skomplikowany, zbyt zuchwały i prawdopodobnie niewykonalny... Myśl jednak wracała. Czy rzeczywiście pomysł ten był niepraktyczny? Zapewne, i na dodatek szalony. Z drugiej jednak strony, rozważywszy wszystkie za i przeciw, mogłoby to być najodważniejsze ze wszystkich posunięć. Tatzel posuwała się naprzód z ponurą determinacją, z nadzieją, że koń Aillasa upadnie i złamie nogę. Miała nad nim dużą przewagę i przejechali kilka ładnych mil, zanim ją dogonił. Bez słowa chwycił jej konia za cugle i zwolnił jego bieg do truchtu.

Tatzel rzucała mu tylko groźne spojrzenia, ale nie miała nic do powiedzenia.

Zapadł już zmrok, gdy Aillas rozbił obóz w małym, modrzewiowym lasku. Tego wieczoru na kolację zjedli zakonserwowaną gęś Torquala.

Rozdział 12

I

Wiatr hulał po wyżej położonych wrzosowiskach, jęczał i szemrał między modrzewiami. Leżąc pod brezentem ze spiętą i posępną Tatzel u swego boku, Aillas spoglądał na chmury przesuwane się na tle księżyca.

Musiał rozważyć wiele spraw. Może w Południowych Ulflandach nie zauważono jeszcze jego nieobecności myśląc, że jest w innym miejscu. Gdyby jednak zestawień wszystkie dobre i złe skutki jego postępków - uśmiechnął się smutno do księżyca – to bez względu na wynik, postąpiłby tak samo i raz jeszcze zniósłby te same trudy, by zdobyć nowe doświadczenia, które pozwoliły mu wprowadzić pewien ład w jego myśli i uczucia. Co więcej, i to było w tym momencie najważniejsze, w jego umyśle powstał nowy, wspaniały plan. Tatzel będzie zupełnie zdezorientowana... Na tę myśl roześmiał się głośno.

Dla Tatzel, która nie śpiąc także wpatrywała się w księżyc, rozbawienie Aillasa było całkowicie sprzeczne z jej własnym nastrojem.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytała urażonym tonem. I gdy Aillas nie odezwał się, dodała: – Kiedy mężczyźni tracą zmysły, śmieją się do księżyca.

Aillas ponownie zachichotał.

– To są skutki twojej niewdzięczności. Śmieję się, bo nie chcę płakać.

Tatzel prychnęła pogardliwie.

– Rozpiera cię pycha, bo Torqual potknął się i upadł.

– Biedny Torqual! Zapomniałem go ostrzec, że walka z nieznanymi może być niebezpieczna, i doznał sromotnej porażki! Poczciwy Torqual, taki skromny i dobrotliwy! Jego śmierć* pograżyła nas wszystkich w smutku!

* Torqual przeżył pomimo odniesionych ran i upadku. Zdołał się wyczołgać na trakt, gdzie znalazło go dwóch jego ludzi. Zabrali go do zamku Ang i wkrótce odzyskał siły.

Tatzel nie powiedziała nic więcej i tak minęła noc.

Rano, siedząc przy niewielkim dymiącym ogniu, zjedli śniadanie. Aillas rozejrzał się po wrzosowiskach i dostrzegł w odległości pół mili kolumnę skalradzkich jeźdźców prowadzących kilkanaście załadowanych wysoko wozów, a za nimi trzydziestu lub czterdziestu mężczyzn połączonych ze sobą zaciągniętym na sztychach sznurem.

Aillas natychmiast zgasił ognisko, żeby nawet smuzka dymu nie przyciągnęła uwagi jeźdźców.

– Tamtędy biegnie Wietrzna Droga. Prowadzi do Poelitetz. Jechałem już nią kiedyś.

Tatzel popatrzyła tęsknym wzrokiem za mijającą ich karawaną i Aillas nie mógł powstrzymać uczucia litości, a nawet poczucia winy. Czy jedna dziewczyna miała zostać ukarana za wszystkie wyrządzone mu krzywdy?

Sam udzielił sobie ze złością odpowiedzi:

Dlaczego nie? Była Skalradką, wyznawała i kierowała się w życiu filozofią Ska; nigdy nie okazała nawet krzty współczucia czy zainteresowania niewolnikom na zamku Sank. Dlaczego miałyby zostać zwolniona z kary? Ponieważ skalradzki styl życia nie był jej wymysłem, nasuwała się odpowiedź. Wyssała te zasady z mlekiem matki, zostały jej przekazane jako aksjomaty istnienia. Chcąc nie chcąc była Skalradką i nie miała w tym względzie żadnego wyboru. Ale to samo można

było powiedzieć o każdym Ska, czy to o kobiecie, czy mężczyźnie, starszym czy młodszym, a ona nie wykazywała żadnych oznak zmiany punktu widzenia. Po prostu nie przyjęła do wiadomości jego stwierdzenia, że teraz sama była niewolnicą. Krótko mówiąc, była tak samo winna jak każdy inny Skalrad i rozczulanie się nad nią było nie na miejscu.

Nie mógł jednak zaprzeczyć, że to Tatzel wybrał spośród innych, poświęcając jej szczególną uwagę, chociaż nie mógł przewidzieć takiego rozwoju wypadków. Chciał tylko... Co? Zmusić ją, by dostrzegła w nim wartościowego człowieka. Urzeczywistnić marzenia, które powstały w jego głowie na zamku Sank. Zażyć przyjemności jej towarzystwa. Wkroczyć w jej życie i myśli.

Znów się gorzko uśmiechnął. Wszystkie te cele, wytyczane z takim niewinnym zapałem, wydawały się teraz absurdalne. W każdej chwili mógł wykorzystać Tatzel seksualnie, czego najwyraźniej oczekiwała i co, jak podpowiadał mu instykt, nie zostałoby przez nią przyjęte z całkowitą niechęcią. Gdy czuł przy sobie ciepło jej ciała, pragnienie, żeby złamać wszelkie zakazy, stawało się niemożliwe do przewyciężenia. Lecz kiedy tylko żądza zaczynała opanowywać jego umysł, zakradały się do niego całkiem inne myśli, tłumiące ten ogień. Po pierwsze, to, co zobaczył po wejściu do chaty, przyprawiło go o mdłości i obraz ten ciągle tkwił w jego głowie. Po drugie, zabrała jego nóż i nie mógł zaprzeczyć, że zamierzała go zabić i myśl ta ostudziła jego zapał. Po trzecie jako Ska uważała go za mieszańca, w którego żyłach płynęła krew kanibali o krzaczastych brwiach, za istotę niższą w rozwoju ewolucyjnym od niej samej; mówiąc krótko, uważała go za podczłowieka. Po czwarte, skoro nie mógł jej osiąść w normalny sposób, jego duma powstrzymywała go od wzięcia jej siłą, by po prostu ulżyć swoim gruczołom, nie zważając na nic innego. Gdyby była w nim zakochana, co było oczywiście czysto teoretycznym założeniem, to ona powinna uczynić pierwszy krok. Chociaż czasami czuł, a może tylko sobie wyobrażał, że Tatzel naigrywała się z niego, chcąc go sprowokować, by ją posiadał. Może płonęły w niej te same żądze, które jemu nie dawały spokoju.

Trudna sprawa. Być może któregoś dnia albo któregoś wieczoru, w sprzyjających okolicznościach, dowie się prawdy o jej uczuciach i jego marzenia w pełni się urzeczywistnią. Tymczasem karawana przeszła.

– Wstawaj! – burknął. – Czas ruszać w drogę.

Już wcześniej wyjął z tobołka z serem swój nóż, teraz więc zwinął wszystko w jeden pakunek i załadował go na konia, na którym uprzednio jechał, a sam wskoczył na silnego, czarnego ogiera Torquala, pozostawiając konia jucznego bez obciążenia. Następnie podsadził Tatzel na siodło i ponownie ruszyli w drogę, tym razem jednak na północ.

Tak jak się spodziewał, Tatzel była wręcz oszołomiona wyborem kierunku jazdy.

– Dlaczego jedziemy na północ? – nie mogła powstrzymać się od pytania. – Południowe Ulflandy są za nami!

– Zgadza się. To długa i ciężka podróż, a na drogach aż roi się od Skalradów i innych bandytów.

– Dlaczego jednak na północ?

– Przed nami jest trakt prowadzący z wybrzeża do Poelitetz. Za nami, aż po Godelię, rozciąga się dzicz. Okolica, którą pojedziemy, jest bezludna; nie ma tu ani bandytów, ani Skalradów, więc nie grozi nam niebezpieczeństwo, że ktoś nas ograbi. W Dun Cruighre znajdziemy troicyjski statek i na jego pokładzie wrócimy wygodnie do Południowych Ulflandów.

Tatzel patrzyła na niego, jak gdyby wątpiła, czy jest przy zdrowych zmysłach. Wzruszyła obojętnie ramionami.

Godzinę później natknęli się na drogę ciągnącą się od wybrzeża do potężnej górskiej twierdzy Poelitetz. Upewniwszy się, że ani z prawej, ani z lewej strony nikt nie nadjeżdża, Aillas popędził

konia i przemknęli na drugą stronę bez kłopotów.

Przez cały dzień jechali po dzikich wrzosowiskach. Daleko na wschodzie widniało pasmo górskie, oddzielające Królestwo Dahautu od Północnych Ulflandów. Na zachodzie i na północy wrzosowiska rozplywały się we mgle. Płaskowyż porastały tylko krzaki janowca, turzycy i szorstkiej trawy, gdzieś tam pojawiały się grupy targanych wiatrem cisów lub zagajniki strzępiastych modrzewi. Czasami w górze pojawiał się jastrząb polujący na przepiórki i młode króliki, a gdzieś w oddali zatrzepotał skrzydłami kruk.

W miarę jak słońce schodziło coraz niżej, z zachodu zaczęły napływać ciężkie, czarne chmury zwiastujące niedaleką burzę i posępną noc. Aillas ponaglił konie, a sam rozejrzał się bacznie po okolicy w nadziei, że znajdzie jakieś schronienie.

Na tle słońca przesuwwały się pierwsze burzowe chmury. Żłociste promienie zaczęły płaszać po wrzosowisku, w ich świetle pojawiła się nagle niska chata z bielonymi kamiennymi murami i dachem pokrytym grubą warstwą torfu, z którego wyrastały kępy trawy i koniczyny. Z komina wydobywał się dym, a na wybiegu przylegającym do obory Aillas zauważył kilkanaście owiec i tyleż domowego ptactwa.

Z dużą nadzieją podjechał do chaty i zsiadł z konia tuż przed wejściem.

– Z konia! – nakazał Tatzel. – Nie mam nastroju do kolejnej szalonej pogoni po wrzosowiskach.

– W takim razie pomóż mi. Czuję rwący ból w nodze. Postawił ją na ziemi, po czym razem podeszli do chałupy.

Zanim zdążyli zapukać, drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich niski, silny mężczyzna w średnim wieku o okrągłej czerwonej twarzy i rudych włosach sterczących mu nad uszami jak podstrzesze chaty.

– Przyjmij nasze najlepsze pozdrowienia, panie – odezwał się Aillas. – Przybyliśmy tu w poszukiwaniu pożywienia i schronienia na czas tej burzliwej nocy, za co odpowiednio zapłacimy.

– Mogę zapewnić wam dach nad głową – odparł gospodarz – lecz co do zapłaty, dla mnie słowo „odpowiednia” może nie oznaczać tego samego co dla was. Tego rodzaju nieporozumienia czasami doprowadzają między ludźmi do kłótni.

Aillas przeszukał zawartość swojej sakiewki.

– Oto pół srebrnego florena. Jeśli to wystarczy, pozbyliśmy się problemu.

– Dobrze powiedziane! Dni na tym świecie upływałyby w błogim szczęściu, gdyby wszyscy ludzie byli tak szczerzy i bezpośredni jak ty, panie! Daj mi tę monetę.

Aillas wręczył mu pieniądze.

– Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Nazywają mnie Cwyd. A ty, panie, i twoja dama?

– Ja jestem Aillas, a to jest Tatzel.

– Wydaje mi się nieco markotna i nie w humorze. Często ją bijesz?

– Muszę przyznać, że nie.

– Oto i odpowiedź! Bij ją mocno, bij ją często! Nada to kolorów jej licom! Nie ma lepszego sposobu na wywołanie u kobiet pogodnego nastroju nad porządne, regularne lanie, gdyż w przerwach między jednym biciem a drugim są wyjątkowo wesołe, starając się w ten sposób opóźnić kolejną serię.

Podeszła do nich jakaś kobieta.

– Cwyd mówi prawdę! Kiedy podnosi na mnie pięść, śmieję się i uśmiecham, jestem cała w skowronkach, a do głowy przychodzą mi wesołe myśli. Cięgi, jakie mi sprawia, dobrze mi się przysłużyły! Sam Cwyd jednak staje się przez to przygnębiony. Jak to się dzieje, że nagle w puddingu

znajduje karaluchy? Gdzie, jeśli nie w jego krótkich spodniach, wyrasta pokrzywa? Czasami, gdy Cwyd wygrzewa się na słońcu, nadchodzi owca i oddaje mocz prosto na jego twarz. A w ciemności zza jego pleców wyskakują duchy i biją go bezlitośnie drewnianymi młotkami i pałkami.

Cwyd pokiwał potakująco głową.

– Trzeba przyznać, że gdy Threlka zbiera baty za swoje przewinienia, często dzieje się potem coś dziwnego! W każdym razie podstawowa zasada jest zdrowa. Twoja dama wygląda tak, jakby cierpiała na ciężką niemoc albo jadała arszenik.

– Myślę, że nie – odparł Aillas.

– Skoro tak, solidne lanie, raz czy drugi, pozwoli uwolnić żółć do jej krwi i wkrótce będzie podskakiwać, śpiewać i dokazywać! Threlka, co o tym myślisz? – zapytał, a na stronie powiedział do Aillasa: – Threlka jest czarownicą siódmego stopnia, mądrzejszą od innych.

– Przede wszystkim dziewczyna ma złamaną nogę – odpowiedziała Threlka. – Kiedy ją nastawię, nie będzie już taka smutna. Ale śpiewy i figle? Myślę, że nie. Wygląda na to, że żyje w jakimś swoim własnym wymyślnym świecie.

– Trafna opinia – potwierdził Cwyd. – A teraz, Aillasie, zajmijmy się końmi, dopóki burza nie przybrała jeszcze na sile. Sprawí nam tej nocy nie byle jakie widowisko i przypuszczalnie jedna srebrna moneta jest niewielką rekompensatą za niewygodę, jakie zostaną wam zaoszczędzone.

– Tego rodzaju refleksja po fackie często psuje dobrze zapowiadającą się przyjaźń – zauważył Aillas.

– Bez względu na to, jak racjonalne są jej podstawy? – zapytał z niepokojem w głosie Cwyd.

– Raz zdobyte zaufanie nigdy nie może się stać igraszką chciwości! To była maksyma mojego ojca.

– Sentencja ta wydaje się rozsądna – przyznał Cwyd. – Jednak trzeba pamiętać o tym, że przyjaźń często trwa krótko, natomiast rozsądek jest ponadczasowy i wykracza poza granice ludzkich kaprysów.

– A chciwość? Cwyd zastanowił się.

– Powiedziałbym, że chciwość jest konsekwencją ludzkiego istnienia, stanem wynikającym z niepokojów i nierówności społecznej. W żadnym z rajów chciwość nie wywołuje przemocy. Tutaj, na ziemi, dążymy do doskonałości i chciwość jest przystankiem na naszej drodze.

– Interesująca myśl – rzekł Aillas. – Czy nie mylę się, że spadły pierwsze krople deszczu?

Zaprowadzili konie do stajni, gdzie zostały obficie nakarmione sianem, po czym wrócili do chałupy.

Na kolację Threlka podała im smaczną zupę cebulową, warzywa, kaszę z baraniną, mleko, chleb i masło, a Aillas przyniósł to, co zostało w garnku z gęsi oraz duży kawałek sera. Za oknem wiał i świszczwał wiatr, a o pokryty darnią dach bębnił miarowo ulewny deszcz. Aillas dziękował opatrności za to schronienie.

Podobne myśli naszły Cwyda.

– Posłuchaj! Burza szaleje niczym cierpiący olbrzym! – zawołał i spojrzał znacząco na Aillasa swoimi szarymi oczami. – Szkoda tych wszystkich biednych podróżników, którzy muszą się zmagać z takimi przeciwnościami, podczas gdy my siedzimy sobie tutaj wygodnie przy ogniu! W takich chwilach słowo „chciwość” krąży gdzieś samotnie po bezdrożach, ustępując miejsca „wdzięczności”, która maszeruje triumfalnie do przodu, jak zwycięska armia Palaemona.

– W czasie burzy ludzie uświadamiają sobie przynależność do rodzaju ludzkiego – odparł Aillas – i tak jak ty i Threlka, chętnie służą gościom tym nieszczęśnikom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Kiedy z kolei sami popadną w kłopoty, mają nadzieję, że ktoś poda im pomocną dłoń. W

takich wypadkach pytanie o zapłatę sprawia, że gospodarz czuje się zażenowany i krzyczy: „Za kogo mnie bierzesz? Za szakala?” Ciepłej robi się na sercu, gdy spotka się tu, wysoko na wrzosowiskach, takich ludzi jak wy.

– Dokładnie tak! – zawołał Cwyd. – Tutaj, na wysoko położonych wrzosowiskach, gdzie życie jest ciężkie, każdy dzieli się z drugim tym, co posiada, nie żałując mu niczego! Otwieram drzwi do mojej spiżarni i rozpalam wesoły ogień; podobnie ty dzielisz się nadmiarem srebrnych monet. W ten sposób okazujemy sobie wzajemnie szacunek!

– Dotknąłeś sedna sprawy – oświadczył Aillas. – Przeliczę mój niewielki zapas monet i jeśli okaże się, że mam którąś z nich na zbyciu, dostaniesz ją. Jesteśmy zgodni w tej sprawie, nie mówmy zatem więcej na ten temat.

Po kolacji Threlka posadziła Tatzel na krześle z nogą opartą na stołku. Rozcięła jej ciemnozielone spodnie, teraz brudne i poplamione.

– Ten kolor nie służy gojeniu się. Znajdziemy ci jakieś zwykłe odzienie, które będzie dla ciebie stosowniejsze. Możesz też zdjąć koszulę... Dalej, dziewczyno – ponagliła ją, gdy Tatzel się zawahała. – Cwyda nie interesują twoje piersi, widział ich setki u krów i owiec, a wszystkie one są takie same. Czasami myślę sobie, że skromność jest jedną z niewielu cech, które różnią nas od zwierząt. Niestety! Pod innymi względami jesteśmy do nich bardzo podobni. No cóż, skoro czujesz się skrępowana, załóż tę bluzę.

Threlka rozcięła następnie łubki usztywniające nogę Tatzel i wrzuciła je do ognia.

– Pal się drewno, pal! Bólu, idź z dymem przez komin, nie dręcz więcej Tatzel!

Poliała nogę jakąś gęstą cieczą z czarnego słoja, po czym posypała ją pokruszonymi, suchymi liśćmi. Zawinęła goleń luźno bandażem, który następnie obwiązała grubym, czerwonym sznurkiem.

– No i gotowe! – oznajmiła w końcu. – Jutro rano nie będziesz pamiętać, co to ból.

– Dziękuję – odpowiedziała Tatzel, uśmiechając się blado. – Te łubki były bardzo uciążliwe. Jak mogę ci się odwdzięczyć za twoją pomoc?

– Największą przyjemność sprawi mi twój uśmiech, lecz jeśli chcesz, możesz mi dać na pamiątkę trzy swoje włosy. To wystarczy.

– To za mało – wtrącił się Aillas. – Oto srebrny pens, wart całej głowy włosów, bezużyteczny w magii, gdyby dostał się w niepowołane ręce.

– Tak, na tym polega mądrość – zgodził się Cwyd. – A teraz czas, żebyśmy poszli spać.

Przez całą noc burza szalała po wrzosowiskach i dopiero nad ranem zaczęła tracić na sile. Wzeszło słońce, przedzierając się przez złowieszczą gmatwaninę kolorów: czarnego, białego, czerwonego, różowego i szarego. Potem nabrało pewności siebie i z dziwnie czarnego nieba rzuciło na wrzosowiska snop purpurowego światła.

Cwyd rozdmuchał ogień i Threlka przygotowała na śniadanie owsiankę z mlekiem i jagodami, a potem zjedli jeszcze po plasterze bekonu przyniesionego przez Aillasa.

Threlka usunęła bandaż z nogi Tatzel i wrzuciła go do ognia, wymawiając przy tym zaklęcie.

– Wstań teraz, Tatzel, i przejdź się! Twoja noga znów jest cała.

Tatzel ostrożnie postawiła stopę na ziemi i ku swemu zadowoleniu nie odczuła bólu ani sztywności. Aillas i Cwyd wyszli osiodłać konie.

– Chciałbym zadać ci kilka pytań na temat okolicy, przez którą zamierzam jechać – zwrócił się Aillas do gospodarza. – Czy będziesz zadowolony, jeśli z wdzięczności za odpowiedź obdarzę cię kilkoma miedziakami?

Cwyd zadumał się.

– W naszych rozmowach poruszyliśmy wiele ciekawych problemów. Mógłbym opisać każdy

zakręt na tej długiej drodze, wspominając o każdym niebezpieczeństwie, jakie na niej czyha i jak mu zaradzić. W ten sposób uratowałbym ci wielokrotnie życie, a ty wynagrodziłbyś mnie z wdzięczności za to całym workiem złota. Jednak gdybym przypadkiem powiedział, że człowiek, którego spodziewasz się spotkać na końcu tej drogi, nie żyje, mógłbyś podziękować mi za tę informację niczego mi w zamian nie dając, chociaż przekazałbym ci ją z tą samą dobrą intencją. Czy nie występuje tu podstawowy brak równowagi?

– Rzeczywiście – przyznał Aillas – w wypaczeniach naszego życia spowodowanych chciwością tkwi paradoks. Proponuję, żebyśmy się uwolnili od tej haniebnej przywary i zaczęli sobie pomagać z pełnym i szczerym zapałem.

– Mówiąc krótko, odmawiasz zapłaty za moje informacje?

– Nawet gdybyś ocalił moje życie tylko raz, jak mógłbym ci się odplacić? Ten pomysł jest pozbawiony sensu. Z tego powodu takie usługi są bezpłatne.

– Jednak gdybyś ocalił twoje życie kilkanaście razy, a także życie twojego ojca i matki, i cnotę twojej siostry, a ty dałbyś mi za to jednego miedziaka, mógłbym przynajmniej napełnić mój brzuch i wypić kufel piwa za twoje zdrowie.

– Dobrze. Powiedz mi wszystko, co wiesz. Może będzie to warte miedziaka.

Cwyd wyrzucił ręce w górę.

– Przebywając z tobą, mam przynajmniej okazję poćwiczyć mój język... Dokąd zmierzasz?

– Na północ, do Dun Cruighre w Godelii.

– Zatem wybrałeś właściwą drogę. O dzień jazdy stąd na północ wrzosowiska kończą się stromą pochyłością, zwaną Tarasami Cama. Są to uskoki przypominające schody, które, jak mówi legenda, postawił Olbrym Cam, żeby ułatwić sobie przejście z jeziora Quayvern na wrzosowiska. Na pierwszym, najwyższym poziomie znajdziesz wiele starożytnych grobowców. Oddaj im należną cześć. Dla starożytnych Rheda-spian, którzy zamieszkiwali tę krainę trzy tysiące lat temu, miejsce to było święte. Występują tu powszechnie duchy i mówi się, że czasami odnawiają się między nimi przyjaźnie, ale znajdują też ujście zadawnione antagonizmy. Jeśli przypadkiem zobaczysz kilka z nich, nie odzywaj się i nie wtrącaj do tego, co robią, a przede wszystkim nie występuj jako sędzia podczas ich upiornych trybunałów. Zachowuj się tak, jakbyś niczego nie widział ani nie słyszał, a zignorują cię. To moja pierwsza informacja.

– I to bardzo użyteczna!

– Na drugim poziomie żyje upiór, który ma moc zmieniania swego wyglądu. Kiedy go spotkasz, okaże ci wiele przyjaźni i zaproponuje wino, coś do jedzenia i wygodne schronienie. Nie przyjmuj niczego, nawet łyku zimnej wody, i bez względu na wszystko, przejedź przez ten poziom jak najszybciej, dopóki słońce jest jeszcze na niebie. Po zachodzie upiór przybiera swoje rzeczywiste kształty i twoje życie będzie w niebezpieczeństwie. Jeśli przyjmiesz jakikolwiek z jego darów, jesteś zgubiony. To drugie ostrzeżenie.

– Nawet lepsze niż pierwsze!

– Trzeci poziom, w połowie drogi w dół, jest bezpieczny i możesz na nim odpocząć, jeśli zechcesz... Jednak nie radzę ci wchodzić do żadnych zamkniętych miejsc, na przykład do chaty, otworu bądź jakichkolwiek pomieszczeń, jakie tam znajdziesz. Podziękuj za wszystko bogowi Spirifiume, który włada nie tylko tą krainą, ale także sporym królestwem na Marsie. To trzecia informacja.

– Równie interesująca jak poprzednie.

– Na trzecim i czwartym poziomie nic, ogólnie rzecz biorąc, nie grozi podróżnym, chociaż na każdym z nich w taki czy inny sposób straszy. Przejedź przez nie bez ociągania się. Kiedy dotrzesz do

jeziora Quayvern, znajdziesz tam karczmę „Pod Jelenim Rogiem”, której właścicielem jest druid Dildahl. Robi wrażenie uprzejmego człowieka i oferuje gościnę za rozsądną cenę. Są to jednak tylko pozory; nie wolno ci skosztować jego ryb! Będzie ci je proponował przygotowane na wiele sposobów: jako ikrę, krokiety, marynatę, pudding lub w zupie. Jedz tylko to, na co podana jest cena. To czwarta informacja.

– Wszystkie te uwagi są bardzo cenne.

– Wschodni brzeg jeziora Quayvern jest niebezpieczny, gdyż pokrywają go bagna, mokradła i trzęsawiska. Brzeg zachodni jest miejscem, o którym wiem niewiele. Roi się tam od arcydruidów i członków dru-idycznej sekty żeńskiej, z którą utrzymują przyjazne stosunki. Spotykają się i dyskutują o problemach ich wiary. Mówi się, że na wspaniałych bankietach, zgodnie ze starożytnym rytuałem, jadają mięso dzieci. Dla druidów wyspy na jeziorze Quayvern są miejscami świętymi i jeśli postawisz na nich nogę, stracisz życie. To piąta informacja.

– I tym razem bardzo interesująca. Jestem pod wrażeniem twojej wiedzy!

– Z jeziora Quayvern wypływa na północ, w kierunku Skyre, rzeka Solander; przed tobą, jak zły zapach, rozpostrze się Godelia. To szósta informacja. – Cwyd wykonał gest oznaczający, że skończył swą opowieść.

Stał uśmiechając się skromnie, jak gdyby czekając na dalsze słowa pochwały od Aillasa.

– Ach, Cwydzie, mój drogi przyjacielu, twoje informacje są bardzo pomocne. Czy wiesz coś jeszcze?

– Czy nie powiedziałem wystarczająco dużo? – zawołał płaczkliwie Cwyd.

– Ależ tak. Mam jednak nadzieję, że nie ukryłeś przede mną trzech albo czterech innych informacji, na wypadek, gdybym nie okazał należytej wdzięczności za sześć pierwszych?

– Nie. Wyjawiłem ci w pełni i szczerze wszystko, co wiem.

– W takim razie masz tu złotą koronę i wiedz, że wieczór spędzony w twoim towarzystwie sprawił mi dużą przyjemność. Powiem ci i to, że znam dobrze czarnoksiężnika Shimroda oraz króla Południowych Ul-flandow i Troicinetu. Gdybyś kiedyś spotkał któregoś z nich, wystarczy, że wymienisz moje imię, a wszystkie twoje życzenia zostaną spełnione.

– Sir, jest mi przykro rozstawać się z tobą i dlatego proponuję, byś został tu jeszcze jeden dzień i jedną noc za trzy czwarte ceny!

– Bardzo to hojnie z twojej strony, ale nie możemy zwlekać.

– Cóż, życzę ci zatem powodzenia w podróży.

II

Aillas i Tatzel, ubrana teraz w wieśniaczą koszulę i luźne spodnie z grubego płótna w kolorze owsianej mąki, odjechali z chaty Cwyda i Threlki. Kąpiel, świeży ubiór i wyleczona, noga sprawiły Tatzel w niemal radosny nastrój, zakłócany jedynie obecnością nienawistnego Aillasa, który nadal zachowywał się tak, jakby był jej panem. Jego postawa zastanawiała ją. W Sank, zgodnie z tym, co sam przyznał, zaczął ją podziwiać, a teraz, na tych bezludnych wrzosowiskach, gdzie mógł z nią zrobić co mu się żywnie podobało, trzymał się na dystans. Może przez wzgląd na szacunek należny damie wysokiego stanu?

Obserwowała go ukradkiem. Jak na podczłowieka był dość przystojny i, co zauważyła już wcześniej, wydawał się czysty. Ubiegłej nocy, gdy przysłuchiwała się jego rozmowie z Cwydem, zdziwiła ją płynność i swoboda, z jaką wypowiadał się ten były niewolnik. Przypomniała sobie jego pojedynek z Torqualem. Zaatakował tego budzącego powszechny strach skalradzkiego wojownika z

niemal niedbałą pewnością siebie i to w końcu Torqual był tym, którego opuściła odwaga.

Doszła do wniosku, że Aillas nie uważał się za niewolnika. Dlaczego zatem nie zbliżał się do niej nawet wówczas, gdy dla zwykłego kaprysu próbowała rozpaścić jego uczucia? W niewielkim stopniu i przy pełnej kontroli z jej strony, oczywiście... A jednak ignorował ją.

A może to jej czegoś brakowało? Czyżby brzydko pachniała? Potrząsnęła przecząco głową, zakłopotana. Jakiż ten świat jest dziwny. Rozejrzała się po okolicy. Dzień po burzy był spokojny i świeży, po niebie błąkało się zaledwie kilka zagubionych chmur. Daleko z przodu wrzosowiska wydawały się rozptywać w lekkiej mgle unoszącej się nad Tarasami Cama, gdzie urywały się gwałtownie, tworząc schodzące coraz niżej występy.

O zmroku Aillas zdecydował się rozbić obozowisko zaledwie milę od Tarasów. Rano, zanim wyruszyli na północ, odczekał, aż upłynęła godzina od wschodu słońca. Prawie natychmiast dojechali do krawędzi urwiska, skąd rozpościerał się widok na wszystkie położone niżej występy i jezioro Quyvern rozciągające się u stóp piątego stopnia.

Wzdłuż strumienia spływającego w dół do pierwszego stopnia, prowadził ledwie dostrzegalny szlak. Po kilkuset jardach strumień wpadał do wąwozu o stromych ścianach i szlak, najwyraźniej wydeptany przez wędrujące bydło, urywał się.

Zsiadłszy z koni, Aillas i Tatzel zeszli po zboczu i wkrótce dotarli do pierwszego występu, pokrytego szeroką na milę piękną łąką, upstrzoną czerwonymi makami i niebieskimi ostróżkami. Tu i ówdzie stały samotne dęby ogromnych rozmiarów, każdy wielowiekowy i jedyny w swoim rodzaju. Z tyłu za łąką ciągnęła się linia grobowców, skutecznie opierających się niszczyielskiemu działaniu warunków atmosferycznych i czasu. Na każdym z nich leżała płyta z wrytymi na niej krętymi, rhedaspiańskimi literami, niezrozumiałymi dla współczesnych. Aillas zastanawiał się, czy duchy, o których mówił Cwyd, potrafiłyby odczytać te inskrypcje. Mogłyby w ten sposób wnieść wkład w rozwój wiedzy na temat tego starożytnego ludu. Był to ciekawy pomysł, który Aillas postanowił omówić przy jakiejś późniejszej okazji z Shimrodem.

Ominąwszy z daleka grobowce, wokół których nie dostrzegli żadnych duchów, Aillas i Tatzel dotarli do końca tego stopnia i znów znaleźli się na zboczu, które zaczęli pokonywać ostrożnie, to posuwając się do przodu, to cofając się, czasami ześlizgując się i zsuwając, aż wreszcie znaleźli się na drugim poziomie.

– Teraz musimy być ostrożni – pouczył Aillas Tatzel. – zgodnie z tym, co powiedział mi Cwyd, mieszka tu diabelska istota, która może się pojawiać w dowolnym przebraniu. Nie wolno nam przyjąć od niej żadnych podarunków ani względów. Rozumiesz? Pod żadnym pozorem nie bierz nic od nikogo ani od niczego, w przeciwnym bowiem razie upiór zabierze twoje życie. Ruszamy! Przejedziemy ten stopień najszybciej jak można.

Drugi występ, podobnie jak pierwszy, był długą, mniej więcej na milę, wstęgą łąki. Gdzieś tam rosły na niej samotne dęby, a po lewej stronie widok przesłaniał las wiązów i kasztanowców.

W połowie drogi spotkali młodego mężczyznę, z trudem posuwającego się w górę po stopniach. Był rosły i przystojny, miał świeżą cerę, kędzierzawą złocistą brodę i krótkie, złociste włosy układające się w loki. Niósł plecak i małą lutnię, a u pasa zwiisał mu sztylet. Ubrany był w brązową tunikę i spodnie o prostym kroju, lecz w dobrym stanie. Przy jego zielonej czapce powiewało dumnie wesołe, czerwone piórko. Gdy zbliżył się do Aillasa i Tatzel, zatrzymał się i podniósł rękę w powitalnym geście.

– Dzień dobry! Dokąd zmierzacie?

– Do Godelii; to nasz najbliższy cel – odpowiedział Aillas. – A ty?

– Jestem wędrownym poetą; idę tam, dokąd mnie poniesie wiatr.

– Wygląda na to, że wiesz przyjemny i beztroski żywot. Czy nigdy nie tęsknisz za prawdziwym domem?

– Jest to zarazem słodki, jak i gorzki dylemat. Często znajduję miejsca, które kuszą mnie, żeby w nich zamieszkać, co też czynię. Jednakże przebywam w nich do chwili, gdy przypomnę sobie o innych, w których spotkała mnie jakaś radość lub coś niezwykłego, i znów jestem zmuszony ruszać w drogę.

– I dotychczas żadne miejsce cię nie zadowoliło?

– Nigdy. Miejsce, którego szukam, jest zawsze za najdalszą górą.

– Nie mogę udzielić ci żadnej rozsądnej rady, z wyjątkiem tej jednej, byś nie ociągał się z przejściem tego występu. Wejdz na górę, zanim skończy się dzień, a pożyjesz dłużej.

Wędrowiec roześmiał się dźwięcznie.

– Strach ima się tylko tych, którzy już mają lęk w sercu. Dzisiaj tym, co najbardziej mnie zaniepokoiło, było kilka przelatujących ptaków i ta oto kiść dorodnych dzikich winogron. Zmęczyło mnie już niesienie jej.

Wyciągnął dwa grona świeżych purpurowych owoców w stronę Aillasa i Tatzel, która z zadowoleniem sięgnęła po nie ręką. Aillas, pochyliwszy się do przodu, powstrzymał ją i ściągnął wodze jej konia.

– Dziękujemy, nie chcemy nic jeść. Na tych stopniach lepiej niczego nie brać i niczego nie dawać. Dobrego dnia.

Aillas i Tatzel ruszyli w dalszą drogę. Tatzel jechała z obrażoną miną, lecz Aillas powiedział krótko:

– Czy nie ostrzegałem cię, abyś nie przyjmowała niczego na tym poziomie?

– Nie wyglądał na upióra.

– Czy nie taki był jego zamiar? Gdzie jest teraz?

Obejrzeni się za siebie na drogę, którą przejechali, ale młody waga-bunda zniknął bez śladu.

– Bardzo dziwne – wymamrotała Tatzel.

– Jak stwierdził sam upiór: świat pełen jest niespodzianek.

W momencie, gdy wypowiedział te słowa, spod drzewa wyskoczyła mała dziewczynka w białej sukience. Miała długie złociste włosy, niebieskie oczy i była piękna jak dzikie kwiaty, z których plotła wieńce. Podeszła bliżej i zapytała:

– Panie, pani, dokąd jedziecie i dlaczego w takim pośpiechu?

– Do jeziora Quyvern i dalej – odparł Aillas. – Spieszmy się, żeby szybciej przyłączyć się do tych, których kochamy. A ty? Czy zawsze tak beztrosko włóczysz się po tych dzikich miejscach?

– Panuje tu niezmacony spokój. To prawda, że w księżycowe noce pojawiają się duchy maszerując w rytm upiornej muzyki, ale jest na co popatrzeć, gdyż ubrane są w zbroje ze złota, czarnego żelaza i srebra oraz w hełmy z wysokimi pióropuszcami. To piękne widowisko!

– Myślę, że tak – powiedział Aillas. – Gdzie mieszkasz? Nie widzę w pobliżu żadnej chaty.

– Tam, przy trzech dębach, tam jest mój dom. Czy nie wejdziecie mnie odwiedzić? Wysłano mnie, abym nazbierała orzechów, ale zasiedziałam się wśród kwiatów. Proszę, ta girlanda jest dla ciebie, bo jesteś

przystojny i masz taki łagodny głos. Aillas szarpnął do tyłu swego konia.

– Uciekaj z twoimi kwiatami! Przyprawiają mnie o kręcenie w nosie! Pospiesz się, zanim Tatzel pociągnie cię za nos! Nie można znaleźć orzechów pod topolami.

Dziewczynka odsunęła się i zawołała:

– Co z ciebie za brutal i okrutnik! Doprowadziłeś mnie do płaczu.

– Niewielka to szkoda.

Aillas i Tatzel zostawili dziewczynkę pogrążoną w smutku, ale po chwili, gdy obejrzel się za siebie, już jej nie było.

Słońce wznosiło się coraz wyżej. Bez dalszych kłopotów dojechali do krawędzi tarasu. Aillas zatrzymał się, żeby wybrać najlepszą drogę w dół zbocza. Tymczasem juczny koń skorzystał z okazji i schylił się, by ukraść z łąki kęs trawy. Natychmiast zza pobliskiego drzewa wybiegł starzec z czupryną białych włosów i długą białą brodą.

– Hola! – krzyknął. – Jak śmiesz kraść moją najlepszą paszę i to tuż pod moim nosem? Popełniłeś zuchwałą kradzież i wkroczyłeś na mój teren!

– Ależ skąd! – oświadczył Aillas. – Twoje oskarżenia są bezpodstawne.

– Co?! Jak śmiesz zaprzeczać? Każdy z nas widział, jak dokonano tego wykroczenia.

– Nie mógłbym złożyć takiego zeznania. Po pierwsze, nie ogrodziłeś swojej posiadłości, jak wymaga tego prawo. Po drugie, nie postawiłeś żadnego znaku ani drogowskazu, który zgodnie z prawem zwyczajowym, informowałby o tym, gdzie znajduje się bezpieczne przejście przez leżącą odłogiem łąkę czy pastwisko. Po trzecie, gdzie jest bydło, dla którego zbierasz tę paszę? Dopóki nie udowodnisz szkody, nie poniosłeś żadnej straty.

– Legalizmy! Sofizmaty! Zręcznie posługujesz się słowami, którymi ogłupiasz takich biednych wieśniaków jak ja! Jednak nie pozwolę, byś uważał mnie za sknerę i niniejszym czynię podarunek z tej paszy, przywłaszczonej z moich prywatnych rezerw przez twojego konia.

– Odmawiam przyjęcia twojego podarunku! Czy możesz się okazać dokumentem podpisanym przez króla Gaxa, nadającym ci ten teren na własność? Jeśli nie, nie możesz udowodnić swego prawa do tej trawy.

– Nie muszę niczego udowadniać! Tutaj, na drugim stopniu, przekazanie daru poświadcza jego przyjęcie. Twój koń, działając jako twój przedstawiciel, przyjął dar i tym samym ty też zostałeś obdarowany.

W tym momencie juczny koń uniósł wysoko w górę swój ogon i wydzielił na łąkę zawartość swoich jelit. Aillas wskazał na stos łajna.

– Jak widzisz, koń spróbował twojego daru i oddał go. Nie mamy już więcej o czym rozmawiać.

– Fe! To nie jest ta sama trawa!

– Jest bardzo podobna, a my nie możemy czekać, aż udowodnisz coś wręcz przeciwnego. Do widzenia, sir.

Aillas i Tatzel poprowadzili swoje konie nad krawędzią urwiska i zaczęli schodzić w stronę trzeciego stopnia. Zza pleców dobiegło ich pełne wściekłości wycie i tyrada przekleństwa, a potem melodyjne wołanie:

– Aillas! Tatzel! Wracajcie, wracajcie!

– Udawaj, że niczego nie słyszałaś – ostrzegł Aillas. – Nawet nie próbuj się obrócić!

– Dlaczego nie?

Aillas skłonił nisko głowę i pochylił się.

– Mogłabyś zobaczyć coś, czego nie chciałabyś raczej widzieć. Podpowiada mi to mój instynkt.

Tatzel walczyła ze swoją ciekawością, lecz w końcu posłuchała rady Aillasa i wołanie ucichło.

Tym razem zejście było bardzo strome i posuwali się wolno. Minęło już południe, gdy dotarli do trzeciego stopnia. Łąki, drzewa, stawy i małe, wijące się strumyki sprawiały, że była to przyjemna okolica.

Aillas rozejrzał się wokół.

– Jest to stopień, nad którym pieczę sprawuje bóg Spirifume i wygląda na to, że traktuje tę ziemię z miłością.

Tatzel spojrzała dookoła bez większego zainteresowania. Pół godziny później, gdy jechali przez dębowy las, napotkali młodego dzika ryjącego ziemię w poszukiwaniu żołądź. Aillas natychmiast nasadził strzałę na cięciwę i zawołał:

– Spirifume, jeśli to zwierzę jest dla ciebie szczególnie cenne, każ mu odsunąć się lub, jeśli wolisz, zmień kierunek lotu mojej strzały.

Wypuścił strzałę, która wbiła się głęboko w serce dzika. Tatzel odwróciła głowę w przeciwną stronę, gdy zsiadł z konia i podszedł do zabitego zwierza. Po chwili wrócił z płatami najlepszego mięsa, które dla wygody nadział na gałąź.

Mając w pamięci trzecią uwagę Cwyda, zawołał:

– Spirifume, dziękujemy ci za twą hojność!

W tym momencie coś się wydarzyło. Tylko co? Zamrugał. Czy widział w blasku słońca tęczę złożoną z tysiąca barw? Czy rzeczywiście słyszał szepta tysiąca czułych strun?

Spojrzał na Tatzel.

– Czy zauważyłaś coś?

– Przeleciał nad nami kruk.

– Żadnych kolorów? Żadnych dźwięków?

– Nic.

Ruszyli w dalszą drogę i wjechali w las. Widząc grupę smardzy rosnących spokojnie i z wdziękiem w cieniu drzew, Aillas ściągnął konia i zeskoczył na ziemię. Skinął na Tatzel.

– Chodź. Nie możesz już dłużej wymawiać się złamaną nogą. Pomóż mi nazbierać grzybów.

Przyłączyła się do niego bez słowa i zajęła się zbieraniem smardzy o delikatnych, rozłożystych kapeluszach, złocistych pieprzników i aromatycznych pieczarek.

Aillas ponownie podziękował Spirifume'owi za jego hojność i pojechali dalej.

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, gdy przybyli do krawędzi tarasu. Mieli przed sobą stromy i trudny zjazd. Na północy krajobraz zdominowany był teraz przez jezioro Quyvern. Na jego powierzchni widniało kilkanaście porośniętych lasem wysepek. Na dwóch z nich stały naprzeciwko siebie w odległości mili ruiny starożytnych zamków. Powietrze między nimi wydawało się drgać pod naporem tysięcy zdarzeń z przeszłości: smutków i radości, romantycznych tęsknot i okrutnych postępów, nocnych zdrad i bohaterskich czynów dokonanych w ciągu dnia.

Aillas nie miał najmniejszej ochoty przedzierać się tego dnia na kolejny występ. Cwyd polecał to miejsce na nocne obozowisko i rada ta wydawała się dobra. Zawrócił od krawędzi i skierował konia na niewielką łąkę. W miejscu, w którym z lasu wypływał strumień, zdecydował się rozbić obóz.

Zsiadł z konia, wykopał płytki rów i rozpałił w nim ognisko z suchego, dębowego drewna. Na rożen nadział mięso i ustawił tak, by Tatzel mogła go obracać, a tłuszcz z pieczeni mógł ściekać do miski. Potem będzie można usmażyć w nim grzyby, które kazał Tatzel oczyścić i pokroić. Akceptując rzeczywistość, z ponurą miną zabrała się do pracy.

Aillas przywiązał konie do palika, postawił namiot, nazbierał trawy na legowisko, po czym, wróciwszy do ogniska, usiadł pod laurowym drzewem z bukłakiem wina w rękę.

Tatzel klęczała przy ogniu. Swoje czarne loki wiązała teraz wstążką z tyłu głowy. Wracając myślami do pobytu na zamku Sank, Aillas próbował sobie przypomnieć swoje pierwsze spotkanie z Tatzel, wówczas smukłą, pewną siebie osobą, nie zwracającą na innych uwagi, spacerującą z wrodzoną sobie werwą dużymi, śmiałymi krokami po zamkowych korytarzach.

Westchnął. Jej fascynująca uroda i beztraska żywotność robiły ogromne wrażenie na zrozpaczonym, młodym więźniu.

A teraz? Obserwował ją przy pracy. Jej pewność siebie zniknęła, nie było w niej radości życia, a gorzkie realia obecnego położenia pozbawiły jej oczy blasku.

Tatzel poczuła na sobie jego wzrok i rzuciła mu znad ramienia krótkie spojrzenie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Nie mam nic lepszego do roboty. Odwróciła się w stronę ognia.

– Czasami podejrzewam cię o szaleństwo.

– Szaleństwo? – Aillas zastanowił się nad jej słowami. – Dlaczego?

– Nie znajduję innego wytłumaczenia twojej nienawiści do mnie. Aillas roześmiał się.

– Nie czuję do ciebie nienawiści. – Napił się wina z sakwy. – Jestem dzisiaj życzliwie usposobiony. Prawdę mówiąc, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

– Łatwo go spłacić. Możesz dać mi konia i pozwolić mi odjechać.

– W tej dzikiej krainie? Nie wyrządziłbym ci w ten sposób żadnej przysługi. Ponadto, na moją wdzięczność zasłużyłaś nieświadomie.

– Znów ogarnia cię szaleństwo – mruknęła Tatzel. Aillas przechylił bukłak i wlał w gardło sporą ilość wina.

Podał go następnie Tatzel, lecz odmówiła, potrząsając pogardliwie głową. Raz jeszcze uniósł więc w górę bukłak, który był już żałośnie zwiotczały.

– Moje tłumaczenia są może nieco mętne. Spróbuję zatem wyjaśnić to w inny sposób. Na zamku Sank zakochałem się w niejkiej Tatzel, pod pewnymi względami podobną do ciebie, ale która była właściwie istotą przeze mnie wymyśloną, żyjącą w mojej wyobraźni. Miała cechy, które, jak sądziłem, powinny być przyrodzone tak pełnemu wdziękowi i inteligencji. No cóż, uciekłem z Sank i poszedłem własną drogą, ale postać ta towarzyszyła mi wszędzie, wpływając na moje postrzeganie świata. W końcu wróciłem do Południowych Ulflandów, gdzie przypadkiem moje najśmielsze marzenia spełniły się: mogłem cię złapać, mogłem złapać realną Tatzel. W takim razie, co się stało z postacią z moich snów? – Aillas przerwał, aby napić się wina. – Ta nieziemsko piękna istota zniknęła, trudno mi ją sobie nawet przypomnieć. Tatzel, oczywiście, istnieje. Uwolniła mnie jednak od wytworu mojej wyobraźni i za to jestem jej wdzięczny.

Rzuciwszy mu krótkie spojrzenie, Tatzel odwróciła się z powrotem do ognia i pokręciła rożnem. Od pieczącej się wieprzowiny niósł się wspaniały zapach. Przygotowała ciasto na placki, potem zaczęła smażyć grzyby w tłuszczu spływającym z pieczeni, a Aillas tymczasem poszedł nabierać przy strumieniu rzeżuchy na sałatkę.

Wkrótce mięso było gotowe i zasiedli do kolacji.

– Spirifume! – zawołał Aillas. – Bądź pewien, że z największą przyjemnością korzystamy z twojej hojności i dziękujemy ci za gościnność! Piję za twoje zdrowie!

Spirifume nie dał w odpowiedzi żadnego znaku w postaci tęczy lub szeptu, lecz gdy Aillas podniósł bukłak, który wcześniej prawie opróżnił, stwierdził, że ponownie wybrzuszył się do granic wytrzymałości. Spróbował wina. Było młode, delikatne, słodkie, a zarazem odrobinę cierpkie. Znów zawołał:

– Spirifume! Chociaż jesteś bogiem, czuję w tobie bratnią duszę! Gdyby kiedykolwiek znudziły cię Północne Ulflandy, przybywaj do Troicinetu!

Słońce nie zaszło jeszcze za horyzont. Tatzel usiadła pod drzewem i z nudów zaczęła zrywać niebieskie kwiatki, z których uplotła wianek.

– Myślałam o tym, co mi powiedziałeś... – odezwała się nagle. – Mam mętlik w głowie! Muszę cierpieć, bo ty postanowiłeś zrealizować swoje plany, które powstały w twojej chorej wyobraźni! Poznałam, co to niewygody, niebezpieczeństwa i poniżenia, chociaż w Sank nigdy nie zamieniłam z tobą słowa...

– Ależ zrobiłaś to! Przypominasz sobie moją walkę na miecze z twoim bratem? A czy pamiętasz, jak któregoś dnia zatrzymałaś się w galerii, żeby ze mną porozmawiać?

Tatzel zmieszała się.

– To byłeś ty? Zaledwie cię wtedy zauważyłam. Jednak bez względu na to, jak bardzo byłam podobna do postaci z twoich marzeń, pozostają realia.

– Co masz na myśli?

– Ja jestem Ska, a ty jesteś podczłowiekiem. Nawet w najśmielszych marzeniach taki związek byłby niemożliwy.

– Najwyraźniej tak jest. – Aillas wrócił pamięcią do swoich wspomnień. – Gdybym poznał cię lepiej na zamku Sank, nigdy nie zadałbym sobie tyle trudu, by cię pojmać. Los spletał figła nam obojgu. Lecz nie ma to teraz znaczenia. Ty jesteś ty, a ja jestem ja. Zjawą zniknęła.

Tatzel podniosła bukłak z winem i napiła się. Potem uklękła, usiadła na piętach i odwróciwszy się, spojrzała śmiało w oczy Aillasowi. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wykazywała ożywienie tak charakterystyczne dla dawnej Tatzel.

– Tak uparcie obstajesz przy swoim, że aż śmiech mnie ogarnia -mówiła z zapalem. – Po tym jak goniłeś mnie po wrzosowiskach, jak złamałam sobie nogę, jak niejedną raz doznałam od ciebie upokorzeń, ty spodziewasz się, że podejdę do ciebie na kolanach z uwielbieniem w oczach, szczęśliwa, że mogę być twoją niewolnicą, błagając o twe pieszczoty, pragnąc z całego serca, bym mogła zaspokoić twe erotyczne zachcianki? Twierdzisz, że Skalradom brakuje współczucia dla innych, a jaki jest twój stosunek do mnie? Myślisz tylko o sobie i na dodatek dąsas się, że nie przychodzę do ciebie cała we łzach, błagając o łagodne traktowanie. Czy to nie jest farsa?

Aillas westchnął głęboko.

– Wszystko, co mówisz, to prawda. Muszę oddać ci sprawiedliwość. Kierowała mną namiętność, myślałem, że spełnią się moje marzenia. Powiem tylko tyle, że jesteś moim więźniem, gdyż w przeszłości Ska uczynili mnie swoim niewolnikiem i teraz mam prawo do zemsty. Gdyby Skalradzi nie zajęli miasta Suarach, my nie zaatakowalibyśmy zamku Sank. Gdybyś od razu poddała się, nie złamałabyś nogi, nie naraziłabyś się na upokorzenia, ani nie byłabyś tu teraz ze mną na tych wrzosowiskach.

– Ba! Czy na moim miejscu postąpiłbyś inaczej i nie próbowałbyś uciekać?

– Nie. A czy ty na moim miejscu postąpiłabyś inaczej i nie próbowałabyś mnie złapać?

Tatzel patrzyła na niego przez długą chwilę.

– Nie... Jednak bez względu na to, czy uważasz mnie za jeńca wojennego, niewolnicę czy kogokolwiek innego, ja jestem Ska, a ty jesteś podczłowiekiem i taka jest rzeczywistość!

III

Rano, pakując rzeczy, Aillas zauważył, że bukłak znów jest pełen wina, jak gdyby nie napoczęto jego zawartości, i raz jeszcze gorąco podziękował jowialnemu bogu Spirifume za ten nieoceniony skarb. Uprzątnąwszy obozowisko z drobiazgową dokładnością, wynikającą z szacunku dla gospodarza, Aillas i Tatzel ruszyli w dół po zboczach. Ich stosunki poprawiły się, stały się mniej napięte, chociaż nadal brakowało im cech koleżeństwa.

Strome zbocze pokryte było krzakami jeżyn i innymi zaroślami utrudniającymi zejście, lecz wkrótce dotarli do czwartego poziomu, najwyższego ze wszystkich – w niektórych miejscach nie osiągał nawet pół mili szerokości – i najbardziej zalesionego. Wysokie drzewa: klony, kasztanowce, jesiony i dęby, rozpościerały wysoko w górze parasole liści, rzucając na okolicę cień nakrapiany gdzieniegdzie plamami słońca.

Cwyd pominął czwarty stopień w swoich informacjach, więc Aillas nie miał powodu obawiać się jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. W powietrzu unosił się jednak dziwny, dokuczliwy zapach. Dla Aillasa był on tajemniczy, a zarazem przerażający, gdyż nie potrafił go określić.

Tatzel rozejrzała się dookoła i skonsternowana spojrzała na Aillasa, lecz widząc, że on też był zaniepokojony, nic nie powiedziała.

Konie także wyczuły ten zapach. Podrzuciły w górę łby i zaczęły iść bokiem na sztywnych nogach, zwiększając tym jeszcze niepokój Aillasa. Ściągnął wodze i przeszukał wzrokiem leśne ścieżki we wszystkich kierunkach, ale zobaczył tylko pogrążoną w cieniu ziemię, pokrytą suchymi liśćmi i cętkami porannego słońca.

Aillas poruszył się. Wiedział, że niczego nie osiągnie, jeśli będzie zwlekał. Potrząsnął cugłami i ponownie ruszyli w drogę.

Jechali w złowrogiej ciszy. Aillas rozglądał się przezornie na prawo i lewo, kręcił się w siodle spoglądając za siebie, lecz niczego nie mógł dostrzec. Tatzel, pochłonięta własnymi myślami, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt gdzieś między uszami swojego konia, nie zwracała na niego uwagi.

Przejechali w tej ciszy dziesięć minut. Słońce przedzierające się przez listowie wyprawiało dzikie harce ze wzrokiem Aillasa. Nagle zobaczył coś tak niezwykłego, że aż wstrzymał oddech, zamrugał powiekami i wybałuszył oczy... Wizja jakaś? Żadna wizja! Dwa ogromne stwory o ludzkich kształtach, wysokie na piętnaście stóp obserwowały ich spokojnie z odległości zaledwie trzydziestu jardów. Stojąc na krótkich, masywnych nogach, wyglądały jak monstrualne, szarozółte niedźwiedzie. Ich okrągłe głowy, otoczone sztywną, żółtą szczecina, robiły wrażenie ogromnych, satynowych poduszek do igieł. Nie można było rozróżnić rysów ich twarzy. To one najprawdopodobniej były źródłem unoszącego się w powietrzu fetoru.

Stwory stały bez ruchu, zwróciwszy swe wielkie głowy... w stronę Aillasa i Tatzel? Aillasowi włosy zjeżyły się na karku. Nie były to ogry ani olbrzymy, ani żadne stworzenia z tego świata, nie wyglądały też jak demony. Nie mówiły o nich księgi, nie wspominały podania czy legendy. Wiedział, że przez długi czas będą nawiedzać jego myśli. Jadąca przed nim Tatzel nie zauważyła tych milczących istot, nie słyszała też, jak – wstrząśnięty – łapał gwałtownie oddech.

Potwory zniknęły wreszcie z pola widzenia. Aillas wbił pięty w boki konia i pognali przez las. Koni nie trzeba było popędzać.

Kilka minut później dojechali do krawędzi tarasu, gdzie dostrzegli drogę wiodącą bez przeszkód do piątego stopnia, dalej przez ten występ i znów w dół przez ostatni odcinek zbocza nad jezioro Quayvern. Pojechali tym szlakiem do miejsca, gdzie łączył się z drogą biegnącą wzdłuż brzegu, którą ponownie powrócili do społeczności ludzkiej.

Wschodni brzeg jeziora porastał gęsty, sosnowy las; na zachodzie widać było małe zatoczki i skaliste przylądki. W odległości dwi stu jardów przed sobą zobaczyli skupisko drewnianych budowli, wśród których znajdowało się zapewne jakieś schronisko albo karczma.

Na skraju jeziora natknęli się na warsztat skutniczy, a obok na przystań, w której cumowało pół tuzina małych łodzi.

Do przystani zbliżała się od strony jeziora lekka łódź, poruszana wiosłami przez wysokiego,

chudego mężczyznę o podłużnej, bladej twarzy i prostych, czarnych włosach zwisających mu do ramion. Podpłynął do przystani, przycumował łódź, wystawił na brzeg kosz z rybami, po czym przyjrzał się bacznie podróżnym i ich czterem koniom.

Rybak wyszedł na brzeg i zaniósł kosz na drogę, gdzie zwrócił się do Aillasa głębokim głosem:

– Witajcie. Skąd przybywacie i dokąd zmierzacie?

– Przebyliśmy długą drogę przez wrzosowiska z Południowych Ulflandów, a cel podróży wyznaczy nam bogini początku i końca, Tshan-sin, która zamiast nóg ma koła.

Na twarzy rybaka pojawił się uśmiech wyrażający łagodne rozbawienie i lekceważenie.

– Pogańskie przesady. Mówiąc szczerze, nie jestem prozelitą, ale wierzę, że wszechświatem rządzi zjednoczona mądrość sącząca się z korzeni Dębu Założyciela, Kahauroka, która tworzy nawet gwiazdy na niebie.

– To są wierzenia druidów – zauważył Aillas. – Odnoszę zatem wrażenie, że twoje poglądy opierają się na doktrynie druidzkiej.

– Istnieje tylko jedna Prawda.

– Może któregoś dnia zajmę się dokładniej tą kwestią. W tej chwili jednak interesuje mnie głównie tamta karczma, jeśli jest to rzeczywiście karczma.

– Budynek, który widzicie, to gospoda „Pod Jelenim Rogiem”, a ja jestem Dildahl, jej właściciel. Z mej karczmy korzystają głównie arcy-druidzi wędrujący do świętych miejsc. Jeśli jednak podróżnicy są gotowi zapłacić tyle, ile żądam, zapewniam im wszelkie wygody.

– Co do opłat: są wygórowane czy umiarkowane? Dobrze jest wiedzieć o takich rzeczach z góry.

– Mówiąc ogólnie, moje ceny są uczciwe. Różnią się w zależności od standardu, jak można się tego spodziewać. Nocleg dla was dwojga w osobnej izbie wyposażonej w sienniki z czystej słomy i dzbany świeżej wody, szacuję na dwa miedziaki. Soczewica i chleb na kolację oraz owsianka na śniadanie będą kosztowały kolejnego pensa. Inne dania są dość drogie. Można u mnie zjeść wyśmienite przepiórki pieczone na rożnie, za dwa miedziaki cztery sztuki. Tyle samo kosztuje duży plaster mięsa z dziczyzny, z kaszą, borówkami, jabłkami i orzechami. Ceny dań rybnych szacuję zależnie od sezonu i dostawy.

– Słyszałem, że niektóre z twoich cen są wygórowane, ale te, które podałeś, wydają się rozsądne.

– W takim razie musisz sam dokonać oceny. W przeszłości wielokrotnie padałem ofiarą oszustów i zubożałych obżartuchów, więc nauczyłem się bronić moich interesów. – Dildahl podniósł koszyk z rybami. – Czy mam się was spodziewać „Pod Jelenim Rogiem”?

– Muszę przeliczyć zawartość mojej sakiewki – odpowiedział Aillas. – Nie jestem bogatym arcydruidem, dla którego garść miedziaków znaczy tyle, co garść żołądzi.

Dildahl spojrzawszy okiem znawcy na konie.

– Cóż, masz jednak silne, sporo warte rumaki.

– Tak, ale te konie są wszystkim, co mam. Dildahl wzruszył ramionami i odszedł.

IV

Było już późne popołudnie, gdy Aillas skończył załatwiać swoje sprawy. Wiatr ucichł, zupełnie i jezioro wyglądało jak powierzchnia lustra, w której odbijały się wyspy.

Przyjrząwszy się niebu, jezioru, a potem okolicy, Aillas powiedział do Tatzel:

– Wygląda na to, że musimy zdać się na łaskę i niełaskę tego żarłocznego Dildahla. Z

konieczności będziemy musieli zachować umiar, gdyż nie mam przy sobie zbyt dużo pieniędzy. A ty?

– Nie mam nawet miedziaka.

– Przy zachowaniu zwykłej ostrożności powinno nam to wystarczyć, chociaż jest w tym Dildahlu coś, co nie budzi mojego zaufania.

Udali się w stronę karczmy i po chwili weszli do głównej izby „Pod Jelenim Rogiem”. Dildahl, teraz ubrany w biały fartuch i białą czapkę, spod której wymykały się jego długie, czarne włosy, powitał ich z zadowoleniem.

– A już myślałem, że zdecydowaliście się ruszyć w dalszą drogę.

– Zawarliśmy kilka drobnych transakcji i pomyśleliśmy o wygodach „Pod Jelenim Rogiem”.

– Dobrze więc. Mogę wam zaoferować apartamenty zwykle zajmowane przez najdostojniejszych druidów, kąpiel w ciepłej wodzie, a także mydło oliwkowe, gdybyście mieli ochotę na odrobinę luksusu.

– Za cenę dwóch miedziaków? Skoro tak...

– Jeśli chodzi o cenę, to różnica jest zasadnicza – przerwał mu Dildahl.

Aillas zajrzał do swojej torby i przeliczył kilka brzęczących monet, które w niej znalazł.

– Musimy ograniczyć swe wymagania do naszych możliwości. Nie chciałbym mieszkać i jadać jak druid, a potem znaleźć się w kłopotliwej sytuacji, gdy przyjdzie do płacenia rachunku.

– W takich wypadkach jak ten, gdy mam do czynienia z nieznanymi mi gośćmi, zwykle nalegam, żeby zawarli ze mną umowę gwarancyjną, właśnie dlatego, by uniknąć niezręcznych sytuacji. Podpisz, proszę, ten dokument.

Mówiąc to, Dildahl podsunął Aillasowi zapisany ładnym charakterem pisma zwój pergaminu następującej treści:

Niniejszym oświadczam, że ja, niżej podpisany, wynająłem pokój z wyżywieniem dla siebie i towarzyszących mi osób w zajeździe „Pod Jelenim Rogiem”, którego właścicielem jest czcigodny Dildahl, i zobowiązuję się zapłacić wszystkie należności za nocleg, a także za to, co zostanie zjedzone i wypite przeze mnie i moją świtę. Jako gwarancję płatności stawiam znajdujące się obecnie w moim posiadaniu konie wraz z siodłami i wszystkimi elementami uprzęży. Jeśli nie uiszczę kwoty widniejącej na rachunku przedstawionym mi przez Dildahla, wspomniane konie i uprzężą przejdą na jego własność w całości i bez wyjątków.

Aillas zmarszczył brwi.

– To oświadczenie jest dość groźne w swej wymowie.

– Mogłoby zaniepokoić tylko tego, kto zaplanował sobie, że nie zapłaci rachunku. Czyżbyś był osobnikiem tego rodzaju? Jeśli tak, nie zamierzam służyć ci smakołykami z mojej kuchni ani wygodami moich pokoi.

– To uczciwe postawienie sprawy – stwierdził Aillas. – Jednak nie mógłbym zmrużyć oka, gdybym nie zrobił małego zastrzeżenia. Podaj mi pióro.

– Co chcesz napisać? – zapytał podejrzliwie Dildahl.

– Zobaczysz. I dopisał:

Postanowienia tej umowy nie obejmują strojów noszonych przez Aillasa i jego świtę ani ich broni, przedmiotów osobistego użytku, ozdób, bukłaków z winem, pamiątek i innych rzeczy znajdujących się w ich posiadaniu.

Aillas z Troicinetu

Dildahl dokładnie przeczytał dopisek, po czym wzruszył ramionami i umieścił pergamin pod kontuarem.

– Chodźcie, pokażę wam wasze pokoje.

Zaprowadził ich do dwóch dużych, przyjemnych izb z oknami wychodzącymi na jezioro i z oddzielną łazienką.

– Czy za te pokoje opłata wynosi dwa pensy? – zapytał Aillas.

– Oczywiście, że nie! – odparł ze zdziwieniem karczmarz. – Zrozumiałem, że chcecie „Pod Jelenim Rogiem” zakosztować luksusu!

– Tylko za cenę dwóch pensów. Dildahl popatrzył na niego spode łba.

– Tania izba jest przejmująco wilgotna, a ponadto nie jest przygotowana.

– Dildahl, jeśli chcesz, abym zapłacił mój rachunek, muszę wymagać, żebyś podał mi koszty.

– Ba! – mruknął Dildahl, opuszczając przy tym obwisłą dolną wargę i ukazując czerwienią dziąseł. – Dla mojej własnej wygody możecie zająć te pokoje za trzy pensy.

– Proszę, złóż tę ofertę na piśmie tutaj i teraz, żeby uniknąć późniejszych nieporozumień – zażądał Aillas, po czym widząc, co Dildahl pisze, zawołał: – Nie, nie! Nie trzy pensy za każdy pokój! Trzy pensy za dwa!

– Jesteś kłopotliwym gościem – wymamrotał Dildahl. – Niewiele jest zysku, gdy się obsługuje takich jak ty.

– Można wydać tylko tyle, ile się ma. Ten, kto przeholuje, traci swoje konie!

Dildahl tylko chrząknął w odpowiedzi.

– Kiedy mam was oczekiwać na kolacji?

– Jak tylko odświeżymy się w tej wygodnej wannie.

– Za taką cenę nie dostaniecie ciepłej wody.

– No cóż! Skoro wywołaliśmy twoje niezadowolenie, musimy się zadowolić zimną wodą.

Dildahl odwrócił się w stronę wyjścia.

– To wszystko przez tę twoją małostkowość. Taka oszczędność wydaje mi się naganna.

– Mam nadzieję, że pokażesz nam, co znaczy hojność, gdy zasiądziemy do kolacji.

– Zobaczymy.

W porze kolacji w sali jadalnej oprócz Aillasa i Tatzel siedzieli w kącie dwaj druidzi w brązowych płaszczach, pochyleni nisko nad talerzami. Kiedy skończyli swój posiłek, podeszli do kontuaru zapłacić.

Aillas przeszedł przez izbę i stanąwszy obok nich zauważył, że każdy położył na ladzie miedzianego pensa. Dildahl robił wrażenie poirytowanego obecnością Aillasa przy tej transakcji.

– A więc? Co zjecie?

– Co jest dzisiaj w jadłospisie?

– Zupa z soczewicy przypaliła się i została wykreślona.

– Wydawało mi się, że druidzi jedli brązowego pstrąga. Możesz nam usmażyć dwa i podać je z sałatką z rzeżuchy i warzywami. Co druidzi wzięli na przystawkę?

– Moją specjalność: ogony raków z jajkami i musztardą.

– Nam też możesz to podać, oczywiście ze świeżym masłem i chlebem, a do tego jeszcze konfitury.

Dildahl ukłonił się.

– Na życzenie. Będziecie pili wino?

– Możesz przynieść nam butelkę dowolnego wina, które uznasz za dobre, ale proszę, miej przez cały czas na względzie naszą oszczędność. Wydajemy pieniądze tak samo niechętnie jak druidzi.

Aillasowi i Tatzel podano kolację, której nie mogli nic zarzucić, a Dildahl wydawał się nawet uprzejmy. Tatzel przypatrywała mu się ze złymi przeczuciami.

– Mam wrażenie, że bez przerwy stawia na swojej tabliczce jakieś znaki.

– Może sobie wypisywać, co tylko zechce, nawet po dzień sądu ostatecznego. Nie obchodzi mnie to. Jeśli stanie się bezczelny, wystarczy, że zakomunikujesz mu tylko, że jesteś lady Tatzel z zamku Sank, a natychmiast zmieni swoje zachowanie. Znam ten gatunek ludzi.

– Myślałam, że jestem teraz niewolnicą Tatzel. Aillas zachichotał.

– To prawda! Twoje protesty mogą w tej sytuacji nie odnieść żadnego skutku.

Po posiłku udali się na spoczynek i noc minęła im bez żadnych incydentów.

Rano zjedli na śniadanie owsiankę i jajka na bekonie, po czym zaczęli się zbierać do odjazdu. Licząc na palcach, Aillas otrzymał sumę, która wydała mu się uczciwą rekompensatą za gościnę Dildahla: dziesięć miedzianych pensów lub pół srebrnego florena. Podszedł do kontuaru, aby zapłacić rachunek, lecz – ku jego zdziwieniu – Dildahl, zacierając z ożywieniem ręce, przedstawił mu wykaz należności. Widniała na nim kwota trzech srebrnych florenów i czterech pensów.

Aillas roześmiał się i odmówił przyjęcia takiego zestawienia.

– Nie zamierzam nawet spierać się z tobą. Oto pół srebrnego florena i dodatkowe dwa pensy napiwku, bo musztarda była rzeczywiście wyśmienita. Czy przyjmujesz tę monetę jako zapłatę za nasz pobyt w twojej gospodzie?

– Oczywiście, że nie! – krzyknął Dildahl czerwieniąc się na twarzy i opuszczając sflaczałą dolną wargę.

– W takim razie zabieram te pieniądze i życzę ci dobrego dnia.

– Czy myślisz, że uda ci się mnie w ten sposób nastraszyć? – ryknął Dildahl. – Mam tu pod ręką dokument, który własnoręcznie podpisałeś! Odmówiłeś zapłacenia rachunku, więc w ramach rekompensaty żądam, żebyś przekazał mi na własność swoje konie.

Aillas i Tatzel odwrócili się do kontuaru plecami.

– Możesz żądać wszystkiego, czego tylko chcesz – rzekł Aillas. – Nie mam żadnych koni. Wczoraj, zanim tutaj przybyłem, wymieniłem je na łódź. Żegnaj, Dildahl!

V

Lekka łódź, którą kupił Aillas, była długa na piętnaście stóp, miała zakładkowe poszycie, miedziane nitowanie, a także rozprzowy żagiel i deski sztormowe oraz ster o nowoczesnej konstrukcji.

Aillas powiosłował na jezioro, złapał w żagiel poranny wiatr od zachodu i łódź pomknęła na północ, pozostawiając za sobą bulgoczący ślad.

Tatzel usadowiła się wygodnie na dziobie i wyglądała tak, jakby świeżość poranka sprawiała jej przyjemność.

– A teraz dokąd płyniesz? – zapytała spoglądając przez ramię na Aillasa.

– Jak przedtem, do Dun Cruighre w Godelii.

– Czy to blisko Xounges?

– Xounges leży po przeciwnej stronie Skyre.

Tatzel nie powiedziała nic więcej. Aillas zastanawiał się, dlaczego to ją interesowało, ale powstrzymał się od pytania.

Żeglowali po jeziorze przez dwa dni. Po drodze minęli dwanaście druidzkich wysepek i na jednej z nich zobaczyli ogromnego wiklinowego kruka, który wzbudził ciekawość Tatzel.

– Jesienią, w wigilię święta, które nazywają „Suaughille”, podpalą tego kruka i odbędzie się przy nim wielka orgia – wyjaśnił Aillas. – W jego wnętrzu spłonie kilkudziesięciu spośród ich

wrogów. Gdybyśmy postawili nogę na tej wyspie, zostalibyśmy spaleni wraz z nimi. Czasami ta ofiara ma kształt konia, człowieka, niedźwiedzia albo byka.

Na północnym krańcu jezioro było płytkie i zarośnięte trzcina, po czym rozlewało się, dając początek rzece Solander. Trzy dni później Aillas dostrzegł urwiste brzegi po obu stronach ujścia Solandra. Na prawym leżało królestwo Dahautu, na lewym – Północne Ulflandy.

W miejscu, w którym rzeka uchodziła do zatoki Skyre, fale stały się większe i łódź zaczęła się coraz bardziej kołysać. Popychana rześkim wiatrem z zachodu, pędziła do przodu z prędkością czterech, a może nawet pięciu węzłów, rozbryzgując za sobą pianę. Unoszący się w powietrzu zapach słonej wody i kołyszący ruch łodzi przyprawiały Tatzel o mdłości.

Po lewej stronie, na końcu kamienistego półwyspu, wznosiło się warowne miasto Xounges; po prawej stronie leżała Godelia, kraina Celtów, i wreszcie pojawiło się Dun Cruighre.

Aillas powiódł wzrokiem po porcie i z radością odkrył w nim nie tylko dużą troicyjską kogę handlową, ale także jeden ze swoich nowych okrętów wojennych.

Natychmiast podpłynął do niego. Marynarze na pokładzie spojrzeli z ciekawością w dół. Jeden z nich zawołał:

– Hej tam, człowieku! Nie zbliżaj się! Co ty wyprawiasz?

– Spuście trap i wezwijcie kapitana – odpowiedział mu Aillas.

Po chwili spuszczonego sztormtrapu. Aillas mocno uwiązał łódź, unieruchomił trap, żeby Tatzel mogła wejść na pokład, po czym sam wspiął się na górę. W tym momencie pojawił się kapitan i Aillas odprowadził go na stronę.

– Sir, czy mnie poznajesz?

Kapitan przyjrzał mu się uważnie i jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Wasza Królewska Mość! Co robisz tutaj w tym stanie?

– To długa historia. Opowiem ci ją później. Chwilowo zwracaj się do mnie „Aillas”, nie inaczej. Jestem tu, że tak powiem, incognito.

– Według rozkazu, sire.

– Ta dama to Ska i jest pod moją opieką. Znajdź dla niej jakieś ustronne miejsce, aby mogła się wykapać, i daj jej czystą odzież. Przez trzy dni cierpiała na morską chorobę i jest ledwo żywa.

– Tak jest, sire! Domyślam się, że i ty życzylibyś sobie tego samego.

– Z przyjemnością wykapię się i zmienię ubranie, jeśli nie sprawi ci to zbyt dużego kłopotu.

– O kłopotach nie może być mowy, sire. Warunki na okręcie nie są komfortowe, ale wszystko, co się tutaj znajduje, jest do twojej dyspozycji.

– Dziękuję, ale najpierw powiedz mi, co się dzieje w Południowych Ulflandach.

– Mogę jedynie przekazać ci, panie, informacje z trzeciej ręki. Słyszałem, że armia skalradzka stacjonująca w Suarach została zaskoczona przez nasze wojsko na otwartej przestrzeni. Była to wielka bitwa, z rodzaju tych, o których długo się pamięta. Skalradzi doznali sromotnej porażki, a potem kolejny z naszych oddziałów, maszerujący ze wschodu, zaatakował ich od tyłu i zostali zniszczeni. Mówiono mi, że Suarach znów należy do Południowych Ulflandów.

– I wszystko to wydarzyło się pod moją nieobecność. Wygląda na to, że nie jestem tak niezastąpiony, jak mi się wydawało.

– W tej sprawie nie mogę się wypowiadać, sire. Pływamy po Morzu Wąskim, nękając Skalradów i przysparzając im wielu kłopotów. Przybiliśmy do portu tylko po to, żeby uzupełnić zapasy. Prawdę mówiąc, mieliśmy właśnie wciągnąć kotwicę, kiedy zjawiłeś się na pokładzie.

– A jak się miewa król Gax po drugiej stronie, w Xounges? Żyje jeszcze?.

– Powiadają, że umiera i że jakaś skalradzka marionetka zajmie jego miejsce na tronie. Takie

wieści do nas dotarły.

– Wstrzymaj się z wypłynięciem, jeśli możesz. A teraz pokaż mi, gdzie się mogę umyć.

Pół godziny później Aillas spotkał się z Tatzel w kabinie kapitana. Zrzuciła z siebie stary strój, wykapała się i teraz miała na sobie purpurową sukienkę z płótna, którą kupił na targu jeden z marynarzy. Podeszła wolno do Aillasa i położyła mu ręce na ramionach.

– Aillasie, zabierz mnie, proszę, do Xounges i wysadź w porcie! Jest tam teraz ze specjalną misją mój ojciec. Niczego bardziej nie pragnę, niż się do niego przyłączyć. – Bacznie śledziła wyraz jego twarzy. – Wiem, że w głębi serca nie jesteś złym człowiekiem. Błagam, uwolnij mnie! Wszystko, co mogę ci zaoferować w zamian, to moje ciało, którego wydajesz się nie pragnąć. Jestem jednak gotowa oddać ci się teraz, i to z radością, jeśli tylko odwieziesz mnie do Xounges! A jeśli naprawdę mnie nie chcesz, wynagrodzi cię mój ojciec!

– Doprawdy? W jaki sposób?

– Po pierwsze, raz na zawsze uczyni cię wolnym człowiekiem i nie będziesz już musiał obawiać się pojmania! Da ci tyle złota, że będziesz mógł kupić za nie kawałek ziemi z Troicinecie i nigdy nie zaznasz niedostatku.

Patrząc w jej pełną żalości twarz, Aillas nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Tatzel, jesteś bardzo przekonująca. Popłyniemy do Xounges.

Rozdział 13

I

Gdy Aillas ze swoją niewolnicą Tatzel, nie spełniającą jego oczekiwań, przemierzał dzikie okolice Północnych Ulflandów, wydarzenia w innych częściach wysp Elder nie zatrzymały się, lecz biegły dalej swoim torem.

W mieście Lyonesse królowa Sollace i jej duchowy doradca, ojciec Umphred przeglądali projekty przyszłej katedry z nadzieją, że jej wspaniała fasada wzniesie się kiedyś nad Chale i będzie wzbudzać zachwyt wszystkich, którzy ją zobaczą.

Umphred nie ustawał w swych zapewnieniach, że królowa Sollace zostanie kanonizowana i wejdzie do krainy wiecznej szczęśliwości, jeśli tylko katedra zostanie zbudowana. Jego własna nagroda miała być nieco skromniejsza: arcybiskupstwo Lyonesse.

Wobec upartego sprzeciwu swego małżonka królowa Sollace zaczęła tracić nadzieję. Ojciec Umphred wielokrotnie musiał podtrzymywać ją na duchu:

– Droga, kochana pani! Nie pozwól, by cień zwątpienia przesłonił kiedykolwiek to królewskie piękno na twojej twarzy! Zniechęcenie? Odrzuć to słowo. Precz, precz, precz w ohydne bagno winy, herezji i występku, w którym tarza się pogrążony w mrokach barbarzyństwa lud tej ziemi!

Sollace westchnęła.

– Miło słyszeć takie słowa, ale sama cnota, nawet jeśli dołączą do niej tysiące modlitw i łyżki miłości do Boga, nie poruszy serca Casmira.

– Ależ skąd, droga pani! Znam słowa, które wystarczy szepnąć do ucha królowi Casmirowi, by powstały nie dwie, ale nawet cztery katedry! Trzeba je tylko szepnąć w odpowiednim momencie.

Zachęty ojca Umphreda nie były niczym nowym, a takie aluzje robił już przy innych okazjach, tak więc królowa Sollace nauczyła się hamować swoją ciekawość przez pociąganie nosem i potrząsanie głową.

Co do króla Casmira, nie mógł pozwolić na osłabienie swego autorytetu. Jego poddani byli wyznawcami różnych religii: zoroastryzmu, jednej czy dwóch odmian chrześcijaństwa, doktryny druidzkiej, wierzeń łączących elementy klasycznej teologii italskiej i systemu gotyckiego, opartych na starożytnym animizmie i misteriach Pelazgów. Taka mieszanina dobrze służyła interesom króla Casmira, nie chciał więc mieć do czynienia z ortodoksją wywodzącą się z Rzymu i dlatego rozmowy Sollace o katedrze wyprowadzały go z równowagi.

W Falu Ffail w Avallonie, król Audry siedział z nogami w miednicy z ciepłą mydlaną wodą, przygotowując się do królewskiego pedicure. Słuchał raportów z bliższych i dalszych stron, odczytywanych przez Malradora, szambelana dworu, któremu powierzono to niewdzięczne zadanie.

Króla Audry'ego zmartwiły zwłaszcza wieści od sir Lavrilana del Ponzo, który na jego rozkaz, stosując taktykę zaproponowaną przez królewskich zauszników – sir Arthemusa i sir Gligory'ego, przypuścił silny atak na Wysrod, lecz spotkał się ze skutecznym oporem Celtów.

Sir Lavrilan usilnie prosił o posiłki. Domagał się lekkiej kawalerii i łuczników, gdyż pikinierzy i młodzi rycerze, których użycie zalecili mu Arthemus i Gligory, okazali się nieprzydatni w walce przeciwko gwałtownym Celtom.

Król Audry oparł się o poduszki swego fotela i w geście oburzenia wyrzucił wysoko w górę rękę.

– Co poszło źle tym razem? Wszystkie moje plany wzięły w łeb przez zwykłą nieudolność! Nie, Malradorze, nie chcę więcej słyszeć ani słowa! Już i tak zepsułeś mi dzień swoim krakaniem. Czasami podejrzewam, że wprawianie mnie w nastrój przygnębienia sprawia ci przyjemność!

– Wasza Królewska Mość! – oburzył się Malrador – jak możesz tak o mnie myśleć? Wykonuję tylko swoje obowiązki, nic więcej! Z całym szacunkiem nalegam, żebyś wysłuchał ostatniej wiadomości. Nadeszła zaledwie godzinę temu z pogranicza. Wygląda na to, że w Ulflandach zanoszą się na wielkie wydarzenia, o czym Wasza Królewska Mość musi zostać powiadomiony.

Król Audry przyglądał się bacznie Malradorowi spod na wpół przymkniętych powiek, z głową opartą o poduszki.

– Często bawię się myślą, żeby kazać ci nie tylko od czytywać te depesze, ale także odpowiadać na nie, przez co zaoszczędziłbym sobie przykrości.

Na tę dowcipną uwagę sir Arthemus i sir Gligory, siedzący w pobliżu, zareagowali pełnym uznania chichotem. Malrador skłonił się.

– Sire, nigdy nic śmiałybym o czymś takim nawet pomyśleć. A teraz, za pozwoleniem, wiadomość z pogranicza od sir Samfire'a.

Malrador zaczął czytać list, w którym autor opowiadał o troicyj-skich i ulflandzkich zwycięstwach nad Skalradami, lecz czynił to w stylu, który tak wzburzył króla Audry'ego, że aż tupnął nogą ze złości, zapominając zupełnie o misce z wodą. Dwie służące i golibroda podbiegli natychmiast, aby je usunąć i oprzeć stopę Audry'ego na wyściełanym podnóżku i rozpocząć pedicure. Golibroda powiedział grzecznie:

– Sire, proszę, byś nie poruszał stopami, kiedy obcinam ci paznokcie.

– Tak, tak... – wymamrotał Audry. – Jestem zdumiony, jakim językiem Samfire się posługuje. Jak on śmie dyktować mi, co mam robić!

Arthemus i Gligory zaczęli cmokać i wydawać jeszcze inne wyrażające oburzenie dźwięki. Malrador odezwał się nierozważnie:

– Wasza Królewska Mość, sądzę, że Samfire próbuje po prostu podkreślić znaczenie tych wydarzeń, jasno je przedstawiając, chcąc przekazać ci jak najwięcej informacji.

– Tra-ta-ta-ta, Malradorze! Bierzesz jego stronę przeciwko mnie! To, co dzieje się na pograniczu, jest zbyt odległe, ale za to tu, ci doprowadzający mnie do wściekłości Celtowie przez cały czas kpią sobie z nas! Nie czują żadnego respektu przed wielkim Dahautem! Cóż! Trzeba ich ukarać. Potopię wszystkich w ich własnej krwi, gdyż taki, wydaje się, jest ich wybór. Arthemusie? Gligory? Dlaczego te niezdary, ci prostacy śmierdzący krowami tak nami poniewierają? Odpowiedzcie mi na to pytanie! Jakie jest tego wytłumaczenie?

Arthemus i Gligory wykonali pełne oburzenia gesty i pociągnęli za wąsy. Król Audry odwrócił się rozgoryczony do Malradora.

– No dobrze, postawiłeś na swoim. Czy to już wszystko? Zawsze przynosisz mi złe wieści w najmniej odpowiednim momencie.

– Sire, moim obowiązkiem jest odczytywanie ci takich listów. Gdybym zataił przed tobą niepomysłne wiadomości, wówczas rzeczywiście miałbyś powód, by mnie skarcić.

Król Audry westchnął.

– To prawda. Malradorze, jesteś wiernym sługą! Idź i zapisz te oto słowa na pergaminie: „Do sir Lavrilana del Ponzo z serdecznymi pozdrowieniami! Czas najwyższy, żebyś przestał się mazgać i może dla odmiany zachęcił swoich żołnierzy do walki! Nie dalej jak w ubiegłym miesiącu zapewniałeś mnie, że rozbijemy tysiące głów tych celtyckich głupców; jakie bzdury będziesz wygadywał następnym razem?” Potem przyłóż moją pieczęć, podpisz moim imieniem i wyślij

natychmiast przez kuriera.

– Tak jest, sire. Zrobię, jak każesz, twoja reprimenda zostanie wysłana jak naj szybciej.

– To jest więcej niż zwykła reprimenda, Malradorze! To jest rozkaz! Chcę zobaczyć celtyckie głowy nadziane na ostrza naszych włóczy, chcę, żeby potęga Dahaut zmusiła tych bufonów do ucieczki w podskokach, jak przestraszone zające!

Malrador zauważył poważnym tonem:

– Sir Arthemus i sir Gligory dowodzą oddziałami szturmowymi. Dlaczego tłumić ich zapał? Obaj aż rwą się do walki!

Arthemus i Gligory klasnęli w ręce, jak gdyby z entuzjazmem.

– Dobrze powiedziane, Malradorze! – przytaknęli. – Idź teraz i zmobilizuj do działania sir Lavrilana, a my tymczasem omówimy pewne sprawy z Jego Królewską Mością.

Gdy tylko Malrador wyszedł, Arthemus i Gligory gładko wytłumaczyli się z ostatniego pogromu pod Wysrodem, po czym skierowali rozmowę na przyjemniejsze tematy i cała trójka zajęła się przygotowaniem planu wizyty króla Adolphe'a z Akwitanii. Tak właśnie miały się sprawy w Dahaucie.

W innej części wysp Elder, Torqual zwykłą siłą woli uniknął śmierci. W swojej wili przy plaży niedaleko Ys, Melanthe zatoneła w głębokich rozmyślaniach. Murgen i Shimrod przebywali w swoich siedzibach, czyli w Swer Smod i w Trildzie, nie opuszczając ich, zajęci prowadzeniem prac badawczych. Tamurello natomiast wyjechał z Faroli. Według czarodzieja Raughta Ravena, przeniósł się na szczyt wysokiej góry w Etiopii, aby tam przez pewien czas pomedytować.

A zielona perła? Dwa młode gobliny, które natknęły się na nagi biały szkielet Mantinga, urządziły sobie znakomitą zabawę: to kopały do siebie czaszkę jak piłkę, to zakładały kolejno na głowę miednicę, nosząc ją jak hełm, zaczęły nawet rzucać kręgami kręgosłupa w grupę driad, które szybko wspięły się na drzewa i naigrywały się z nich słodkimi, wysokimi głosikami.

Leśny czarnoziem przykrywał perłę coraz grubszą warstwą. Tak minęło lato, potem jesień i zima. Z nadejściem wiosny wokół perły zaczęły kiełkować nasiona. Młode rośliny puściły w górę niezwykle silne pędy, obsypując się bujnymi liśćmi, a następnie wspaniałymi kwiatami, z których każdy był jedyny w swoim rodzaju, niepodobny do żadnych innych kwiatów, jakie znano na ziemi,

II

Xounges było fortecą od zarania swoich dziejów. Leżało na wzniesieniu o płaskim szczycie, otoczonym z trzech stron klifami wyrastającymi pionowo z wody na wysokość dwustu stóp. Z czwartej strony łączyła miasto z lądem wąska granitowa przełęcz o długości około dwustu jardów.

Cztery wieki temu Ulflandy były potężnym królestwem obejmującym Ulflandy Północne i Południowe (z wyjątkiem Ys i Doliny Evan-dra), Godelię oraz północne tereny zwane obecnie Pograniczem Dahautu, rozciągające się aż za Poelitetz. Sprawujący w tym czasie władzę król Fidwig, miewający megalomańskie pomysły, postanowił, że Xo-unges stanie się twierdzą nie do zdobycia. Dziesięć tysięcy ludzi pracowało ciężko przez dwadzieścia lat, żeby zbudować system fortyfikacji, oparty na granitowych murach o szerokości czterdziestu stóp u podstawy i wysokości stu dwudziestu, który zamykał groblę w najwęższym punkcie, a następnie bronił wejścia do miasta, po czym wychodził na Skyre, by zabezpieczyć port przed atakami z morza.

Po namyśle król Fidwig nakazał budowę zamku Jehaundel, tak potężnego jak same mury Xounges.

Choć niewiele pozostało z dawnej świetności Xounges, miasto nadal uchodziło za równie

bezpieczne jak dawniej. Arystokracja łożyła na utrzymanie wysokich, zbudowanych z kamienia miejskich rezydencji, utworzyła nawet niewielką armię, która broniła fortecy przed Skalradami.

Jehaundel, obecnie siedziba króla Gaxa, miał masywną fasadę, ale, podobnie jak zamki pomniejszej szlachty, nie nosił śladów dawnej chwały. Zamknięto skrzydła oraz wyższe piętra i korzystano tylko z apartamentów króla, ponurego ciągu komnat wyłożonych matami z sitowia, wyposażonych w stare, ciężkie meble zniszczone przez wieki użytkowania. Ponieważ wydatki na opał były znaczne, sypialnia, w której leżał umierający król Gax, była skąpo opalana tłącym się na kominku torfem.

W swych najlepszych latach Gax był mężczyzną pokaźnego wzrostu, o silnej budowie ciała. Przez trzydzieści lat swoich rządów nie potrafił powstrzymać inwazji Skalradów. Ich ponure oddziały posuwały się stopniowo do przodu, zajmując najpierw wybrzeże, a potem resztę Północnych Ulflandów. Choć walczył zaciekle pomimo odnoszonych ran, Skalradzi byli nieustępliwi. Zniszczyli jego siły i rozbili trzy dumne armie Dahautu, które stawily się do walki zgodnie z postanowieniami układu o wzajemnej pomocy. Wreszcie Ska wyparli Gaxa do zatoki, za mury Xounges i sprawy utknęły w martwym punkcie. Skalradzi nie mieli wystarczających sił, żeby uderzyć na miasto, a król Gax nie miał żadnych możliwości, by zorganizować zbrojny opór poza jego granicami.

Od czasu do czasu emisariusze Skalradów przynosili Gaxowi obojętne w tonie propozycje amnestii, gdyby zdecydował się otworzyć bramy Xounges i abdykować na korzyść wyznaczonej przez nich osoby. Gax odrzucał wszystkie ich próby nawiązania rokowań w nadziei, że może król Audry raz jeszcze uszanuje dawny pakt i przyśle potężną armię, będącą w stanie wyprzeć Skalradów za morze.

Polityka króla cieszyła się poparciem jego poddanych, którzy nie łudzili się, że odnieśliby jakieś korzyści z rządów Ska. Sir Kreim, pierwszy w kolejności kandydat do tronu, także popierał bezkompromisowość Gaxa, ale z zupełnie innych powodów. Ten tęgi mężczyzna w średnim wieku, o nalanej twarzy, czarnych włosach, opadających brwiach i krótkiej, kędzierzawej brodzie kontrastującej z bladością jego cery miał duże apetyty, pospolite gusta i niezaspokojone ambicje. Zamierzał objąć tron, aby zawrzeć przymierze ze Skalradami albo abdykować za cenę, która zapewniałaby mu luksusowe życie w jakiejś posiadłości w Dahaucie.

Czas mijał, a król Gax umierał irytująco powoli. Jeśli wierzyć plotkom, sir Kreim resztkami swej silnej woli powstrzymywał zniecierpliwienie i rozważał nawet możliwość przyspieszenia tego naturalnego procesu.

Gdy szambelan dworu, Rohan, dowiedział się, że sir Kreim okazywał duże względy pełniącym straż przed sypialnią króla Gaxa, kazał założyć w drzwiach nowe rygle oraz zamienił przydział tym wartownikom na stałą wartę nocną, na murach obronnych. Rohan opracował również system, który gwarantował, że jedzenie króla Gaxa było najzdrowsze w całym Xounges, gdyż każdy z kucharzy musiał spróbować potrawy przed jej podaniem.

Zauważywszy te środki ostrożności, sir Kreim pogratulował Roha-nowi jego przezorności i odszedł z ponurą miną, zmuszony czekać, aż Gax umrze, gdy przyjdzie na niego czas.

Tymczasem wciąż utrzymywała się sytuacja patowa. Nie dość, że król Audry nie przyszedł z pomocą swojemu sojusznikowi, to jeszcze Skalradzi w zuchwały sposób wkroczyli do Dahautu i zajęli twierdzę Poelitetz. Urażony król Audry wystosował serię stanowczych protestów, potem ostrzeżeń, a na końcu gróźb. Skalradzi jednak zachowywali się tak, jakby w ogóle ich nie zauważyli i Audry zmuszony był zająć się innymi sprawami. Zamierzał utworzyć niezwyciężoną armię złożoną z tysiąca rycerzy w pełnym rynsztunku i dziesięciu tysięcy walecznych, ciężkozbrojnych jeźdźców oraz

stu wozów bojowych. W blasku ostrej stali i srebrnych tarcz herbowych, z chorągwiemi powiewającymi nad głowami, żołnierze ci mieli spaść na Skalradów, po czym, uciekających w panice i wrzeszczących, wyprzeć za morze. Audry nie omieszkał wysłać do Gaxa listu, w którym informował go o swojej stanowczej w tym względzie decyzji.

Król Gax rzadko wstawał z łóżka. Czuł, że opuszczają go siły i czasami wydawało mu się, że mijające godziny i minuty były jak ostatnie ziarenka piasku w klepsydrze. Jego twarz, niegdyś rumiana, teraz była ściągnięta i szara, choć oczy nie straciły swego złocistego blasku. Leżał bez ruchu, wsparty o poduszki, z rękami ułożonymi na narzucie, godzinami wpatrując się w migoczący na kominku ogień.

Od czasu do czasu, pod baczny okiem Rohana, rozmawiał z ludźmi ze swego otoczenia i przyjmował gości, wśród których była delegacja wysoko urodzonych Skalradów: księżęta Luhalcyx i Ankhal-cyx oraz kilku niższych rangą lordów. Chociaż mówili bez ogródek, nie ukrywając celu swej wizyty, zachowywali się przyzwoicie i król Gax nie mógł się dopatrzeć w ich ogólnej postawie żadnych uchybień.

Na pierwszej audiencji, która z konieczności odbyła się w sypialni króla Gaxa, obecny był również sir Kreim i dwaj inni dworzanie. Księżę Luhalcyx poinformował króla o misji, z jaką przybyli skalradzcy posłowie.

– Wasza Królewska Mość, przykro nam, że zastajemy cię w tym stanie, ale każdy z nas musi umrzeć i wygląda na to, że twój czas już nadszedł.

Król Gax zdobył się na nikły uśmiech.

– Jeszcze tli się we mnie życie.

Księżę Luhalcyx zgiął się w dworskim ukłonie.

– Wybacz, sire, ale uwaga ta miała mi tylko posłużyć za pomost dla ciężaru wiadomości, którą niniejszym przekazuję. Naród skalradzki opanował Północne Ulflandy i zamierza odbudować swą dawną świetność. Rozszerzymy nasze panowanie najpierw na południe, potem na wschód, lecz na przeszkodzie stoi nam miasto Xounges; jest jak kamień na naszej drodze. Musimy strzec jego dróg dojazdowych, żeby z Dahautu nie nadeszły posiłki, co mogłoby osłabić nasze skrzydło i zagrozić naszemu panowaniu w Poelitetz. Potrzebne nam jest zarówno miasto Xounges, jak i tytułarna władza w Północnych Ulflandach, żebyśmy mogli unieważnić układ z Dahautem. Z tak zabezpieczonym skrzydłem będziemy mieli otwartą drogę do podboju Południowych Ulflandów, gdzie nowy król staje się coraz bardziej niesforny.

– Nie jestem zainteresowany przyspieszaniem waszych podbojów.

– Cóż, wkrótce umrzesz, sire, a świat będzie toczył się dalej. Nie ma królewskiego potomka w linii prostej, który zasiadłby po tobie na tronie.

– To bzdura i nedorzecznosc! – oburzył się sir Kreim. – Ja jestem przedstawicielem linii uprawnionej do dziedziczenia korony i to ja będę następnym królem Północnych Ulflandów!

Księżę Luhalcyx uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze rozumiemy twoje ambicje, gdyż przy wielu okazjach informowałeś nas o nich. Nie zamierzamy kupować od ciebie ani Xounges, ani tytułu. – Odwrócił się z powrotem do króla Gaxa, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań z lodowatym uśmiechem.

– Wasza Królewska Mość, prosimy, żebyś natychmiast uznał wyznaczonego przez nas sukcesora za króla Północnych Ulflandów.

– Najjaśniejszy Panie! – zawołał sir Kreim. – Bezczelność tej propozycji przewyższa jedynie arogancja, z jaką została przedstawiona! Odrzucamy ją z oburzeniem!

Księżę Luhalcyx mówił dalej, nie zwracając na niego uwagi:

– Skutkiem tego udzielimy tobie i wszystkim obecnym mieszkańcom tego miasta amnestii za czyny popełnione przeciwko nam i nie dokonamy konfiskaty ani dóbr osobistych, ani posiadłości. Czy zgadzasz się, sire, na tę propozycję?

– Oczywiście, że nie! – wrzasnął sir Kreim.

– Sir Kreim, pozwól, że sam sformułuję moją odpowiedź – odezwał się poirytowany król Gax, po czym zwrócił się do księcia Luhalcyxa: -Od wielu lat Skalradzi okazują nam swoje niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy. Dlaczego teraz mielibyśmy go zmieniać?

– Możesz prowadzić taką politykę, jak długo żyjesz. Po twojej śmierci sir Kreim, jeśli zostanie królem, podejmie próbę wymuszenia od nas fortuny. Z pewnością zapłacimy te pieniądze a potem odzyskamy je poprzez nałożenie podatków na wszystkich mieszkańców Xoun-ges. Zapewniam cię, że nawet jeden pens z sumy, jakiej zażąda sir Kreim, nie zostanie wydany z naszych własnych kieszeni.

– Nie będzie żadnych negocjacji! – warknął sir Kreim. – W tej kwestii jestem stanowczy! Ale gdyby jednak do nich doszło, będziecie musieli zagwarantować powszechną amnestię całej naszej ludności!

– Sir Kreim, powiedziałaś już wystarczająco dużo! – przerwał mu ostro król Gax. – Rozkazuję ci natychmiast opuścić tę komnatę!

Sir Kreim uklonił się i wyszedł.

– Przypuśćmy, że następny król będzie kontynuował moją politykę. Co wtedy? – zapytał król Gax.

– Nie mogę wyjawić wszystkich szczegółów naszych planów. Dość powiedzieć, że zamierzamy wziąć Xounges siłą.

– Skoro to takie proste, dlaczego nie zrobiliście tego do tej pory? Książę Luhalcyx zastanawiał się przez chwilę.

– Ujmę to w ten sposób: nie uważamy Xounges za twierdzę nie do zdobycia. Jeśli zdecydujemy się na oblężenie, zrozumiecie wówczas, co oznacza całkowita blokada. Waszym jedynym napojem będzie wówczas woda deszczowa, a pożywieniem trawa. Gdybyśmy mieli wziąć Xounges siłą i gdyby przy tej okazji choć jeden Skalrad stracił swe cenne życie, to wszyscy mieszkańcy Xounges, czy to mężczyźni, kobiety czy dzieci, poczują kajdany niewolnictwa.

Król Gax gwałtownie poruszył wątlymi białymi palcami.

– Odejdźcie. Rozważę waszą propozycję.

Książę Luhalcyx uklonił się i cała delegacja opuściła sypialnię króla.

Tydzień później Skalradzi powrócili. Król Gax zezwolił, aby sir Kreim uczestniczył w spotkaniu, pod warunkiem jednak, że zachowa pełne milczenie, dopóki nie zostanie poproszony o wyrażenie swojej opinii.

Książę Luhalcyx przekazał królowi Gaxowi wyrazy uszanowania, po czym zapytał:

– Wasza Królewska Mość, czy podjęłaś już decyzję w związku z naszą ostatnią rozmową?

Gax zakaszłał sucho.

– Miałaś rację mówiąc, że życie ze mnie ulatuje. Muszę wybrać następcę, i to już wkrótce, albo umrę nie dokonawszy tego.

– I wówczas królem zostanie sir Kreim?

– Właśnie. Jeśli przed śmiercią nie wyznaczę kogoś innego, na przykład tu obecnego czcigodnego Rohana.

– Naszym zdaniem, lepszym kandydatem od bez wątpienia bardzo odpowiedniego Rohana jest książę Anhalcyx. Jego nominacja zapewniłaby Xounges korzyści, o których mówiłem.

– Będę pamiętał o twojej rekomendacji.

– Kiedy odbędzie się koronacja?

– Wkrótce. Wysłałem kuriera do króla Audry'ego z prośbą o radę. Odpowiedź powinna nadejść pod koniec tygodnia. Przed upływem tego terminu nie będę miał nic więcej do powiedzenia.

– Ale nie wykluczyłeś naszego kandydata, księcia Ankhalcya?

– Nie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji. Jeśli król Audry bezzwłocznie zorganizuje potężną armię, która pomaszeruje na zachód, będzie oczywiste, że nie otworzę przed wami bram.

– W każdym razie nadal będziesz chciał wyznaczyć i pomazać swego następcę?

Gax zamyślił się przez chwilę.

– Tak.

– A kiedy odbędzie się ta ceremonia? Gax zamknął oczy.

– Za siedem dni.

– Czy powiadomisz mnie wcześniej o swoich zamiarach?

– Wszystko zależy od wiadomości z Avallonu – odpowiedział nie otwierając oczu Gax. – Prawdę mówiąc, nie spodziewam się, że będą pomyślne. Czeka mnie smutna śmierć.

Skalradzi skierowali się do wyjścia, szepcząc między sobą.

W doku w porcie Xounges zacumował troicyjski okręt wojenny. Wsiadłszy na brzeg, Aillas, Tatzel, kapitan i dwaj inni członkowie załogi udali się w stronę miasta.

Pod uniesionymi kratami weszli do tunelu długiego na trzydzieści stóp, za którym ciągnęła się aż do placu targowego wąska, brukowana ulica. Po przeciwnej stronie wznosiła się fasada Jehaundel, zbudowana z ogromnych, kamiennych bloków pozbawionych wdzięku i lekkości. Przecięli plac i przez frontowy portal weszli do zamku.

W akustycznym westybulu podszedł do nich lokaj.

– W jakiej sprawie przybywasz, panie?

– Jestem szlachcicem z Południowych Ulflandów i proszę o audiencję u króla Gaxa.

– Sir, król Gax jest chory i widuje niewiele osób, zwłaszcza jeśli sprawy, z którymi przybywają, są banalne bądź błahe.

– Moja sprawa nie jest ani banalna, ani błaha.

Lokaj przyprowadził z gabinetu ministra sprawiedliwości, który zapytał:

– Czy jesteś jeszcze jednym kurierem z Avallonu?

– Nie. – Aillas odciągnął urzędnika na stronę. – Jestem tutaj w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Musisz zaprowadzić mnie prosto do króla Gaxa.

– Ach, ale tego właśnie nie wolno mi zrobić. Jak się nazywasz i cóż to za sprawa jest aż tak pilna?

– O mojej obecności może się dowiedzieć tylko król Gax, i to wówczas, gdy będzie sam. Powiedz mu, że jestem bliskim znajomym sir Tristana z Troicinetu, którego być może i ty sam pamiętasz.

– Rzeczywiście! Kogo zatem mam zaanonsować?

– Król Gax będzie chciał, żebym wyjawiał swoje imię tylko przed nim samym.

– Proszę za mną.

Minister sprawiedliwości zaprowadził ich do głównej galerii i wskazał na ławki ustawione pod ścianą.

– Proszę usiąść. Kiedy król będzie mógł się z tobą zobaczyć, Rohan, szambelan dworu, powiadomi cię o tym.

– Pamiętaj! Nikomu ani słowa! Tylko sam król Gax może się dowiedzieć o mojej tu bytności.

Minęło pół godziny. Wreszcie zjawił się Rohan, przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, z

pasemkami siwych włosów i utrwalonym wyrazem podejrzliwości na twarzy. Przyjrzał się całej grupie z automatyczną nieufnością, po czym zwrócił się do Aillasa, który podniósł się, żeby go powitać.

– Król w swej łaskawości przyjął wiadomość od ciebie. Rozmawia teraz ze Skalradami, ale przyjmie cię, gdy skończy.

Konferencja w sypialni króla Gaxa nie trwała długo. Gdy księżęta Luhalcyx i Ankhalcyx weszli do środka, zastali już tam sir Kreima, wpatrującego się posepnie w ogień. Król Gax wskazał na młodego dżentelmena o blond włosach, ubranego w wielobarwny strój dworu w Avallonie.

– To jest kurier z Dahautu. Sir, odczytaj raz jeszcze, proszę, wiadomość od króla Audry'ego.

Posłaniem rozwinął rulon pergaminu i przeczytał:

– Do Gaxa, króla Północnych Ulflandów. Szanowny kuzynie, przesyłam ci najserdeczniejsze pozdrowienia! W sprawie tych skalradzkich bandytów radzę, żebyś bronił przed nimi swego wspaniałego miasta zębami i pazurami jeszcze przez pewien czas, dopóki nie rozwiążę kilku trudnych miejscowych problemów. A potem raz na zawsze zniszczymy wspólnymi siłami tę paskudną ludzką plagę! Bądź dobrej myśli i wiedz, iż mam nadzieję, że długo jeszcze będziesz trwał w dobrym zdrowiu. Czego życzy ci niżej podpisany, Audry, król Dahautu.

– Oto moja wiadomość od Audry'ego – powiedział Gax. – Jest taka, jak się spodziewałem. Audry nie zamierza nic zrobić.

Luhalcyx z ponurym uśmiechem skinął głową.

– Tak więc, co z moją propozycją?

Sir Kreim nie mógł już powstrzymać furii.

– Błagam cię, sire, nie zobowiązuje się do niczego, dopóki się nie naradzimy! – krzyknął.

Gax zignorował jego wybuch i odpowiedział na pytanie Luhalcyxu:

– Przedstaw swoją propozycję na piśmie, a gwarancje podkreśl wyraźnie czarnym atramentem.

Za trzy dni odbędzie się koronacja.

– Kogo spotka ten zaszczyt?

– Przynieś mi najpierw ten własnoręcznie napisany dokument.

Luhalcyx i Ankhalcyx uklonili się i opuścili pokój. Zeszli po schodach i skręcili w wielką galerię. Z boku, pod ścianą, siedziało pięć osób. Młoda kobieta pośrodku zawołała przejmującym głosem:

– Ojczy! Czy mnie nie poznajesz?

Tatzel zerwała się na równe nogi i pobiegłaby przez galerię, gdyby Aillas nie chwycił jej w pasie i nie zaciągnął siłą z powrotem na ławę.

– Dziewczyno, siedź spokojnie i nie sprawiaj kłopotów!

Nie dowierzając własnym oczom, Luhalcyx spojrział na Tatzel, potem na Aillasa i ponownie na Tatzel.

– Co ty tutaj robisz?

– Swoje uwagi kieruj do mnie, panie! Ta dziewczyna jest moją niewolnicą.

Luhalcyx otworzył usta ze zdumienia.

– Co to za brednie? Człowieku, mylisz się! To jest lady Tatzel z wielkiego skalradzkiego rodu; jak może być twoją niewolnicą?

– Zwykłą koleją rzeczy, o czym wy, ze wszystkich ludzi na ziemi, wiecie najlepiej. Mówiąc krótko, pojmałem ją, więc musi być posłuszna mojej woli.

Księżę Luhalcyx podszedł do niego powoli z płonącymi oczami.

– Nie możesz postępować w taki sposób ze skalradzką damą ze szlachetnego rodu, a potem tak

lekkotrawczo traktować tę sprawę w obecności jej rodzonych ojca!

– Nie może być mowy o jakiegokolwiek sprawie – odparł Aillas. – Ty nigdy nie wzbraniałeś się przed takimi czynami. Teraz, gdy sytuacja się odwróciła, myśl ta wydaje ci się nagle niewiarygodna. Czy nie dostrzegasz w takim podejściu braku poczucia rzeczywistości?

Książę Luhalcyx wyszczerzył zęby jak wilk i położył rękę na mieczu.

– Zabiję cię, a wtedy zniknie wszystko, co rzeczywiste i nierzeczywiste.

– Ojczce; nie walcz z nim! – krzyknęła Tatzel. – Jest prawdziwym diabłem w walce na miecze!

Pociął na kawałki samego Torquala!

– W żadnym razie nie zamierzam z tobą walczyć – powiedział Aillas. – Jestem tutaj pod ochroną króla Gaxa. Kiedy tylko zawołam, jego żołnierze zjawią się i wtrącają cię do lochu.

Książę Luhalcyx spojrzał niepewnie na Aillasa i dwóch uzbrojonych halabardzistów, przyglądających się temu zajściu chłodnym jak u jaszczurki wzrokiem.

W hallu zjawił się Rohan i podszedł do Aillasa.

– Jego Królewska Mość przyjmie cię teraz.

– Musi też przyjąć mnie – oświadczył z nagłym zapałem książę Luhalcyx. – Mamy tu do czynienia ze sprawą, w której tylko on może być sędzią!

Rohan próbował tłumaczyć, że takie zamieszanie może zdenerwować króla Gaxa, ale jego protesty przeszły nie zauważone. Przy drzwiach do sypialni zatrzymał jednak wszystkich i pozwolił wejść do środka tylko Aillasowi, Tatzel i księciu Luhalcyxowi, który stanawszy przy łóżku króla, zwrócił się do niego:

– Wasza Królewska Mość, wysłuchaj mej skargi. Kiedy wracałem z audiencji, spotkałem w galerii tego oto osobnika, a z nim moją córkę, którą trzyma siłą i traktuje jak swoją niewolnicę! Rozkazałem mu ją uwolnić; dama z wielkiego skalradzkiego rodu nie może być narażona na takie zniewagi!

– Czy do pojmania doszło tutaj, w Jehaundel, gdy chroniło ją prawo gościa? – zapytał ochryłym głosem król Gax.

– Nie, czyn ten został popełniony gdzie indziej. Król Gax spojrzał na Aillasa.

– Sir, co masz do powiedzenia w tej sprawie?

– Wasza Królewska Mość, powołuję się na prawo naturalne. Książę Luhalcyx uczynił niewolnikami wielu wolnych ludzi zarówno z Południowych, jak i Północnych Ulflandów, czego, tak się składa, doświadczyłem na własnej skórze. Nie pamięta mnie, ale przez część mojego życia zmuszał mnie do służby jako swego niewolnika na zamku Sank, gdzie poznałem Tatzel. Uciekłem z Sank i stałem się wolnym człowiekiem, a potem, gdy nadarzyła się okazja, pojąłem Tatzel i uczyniłem ją moją niewolnicą.

Król Gax spojrzał na księcia Luhalcyxa.

– Czy masz ulflandzkich niewolników?

– Tak – odpowiedział Luhalcyx z nieprzekonywającą godnością, gdyż zrozumiał już, że nie wygra tej sprawy.

– W takim razie, logicznie rzecz biorąc, jak możesz protestować? Nawet jeśli sprawia ci to ból?

Książę Luhalcyx pochylił głowę.

– Twój wyrok jest słuszny i sprawiedliwy. Przyjmuję z pokorą naganę za moje protesty. – Zwrócił się z kolei do Aillasa: – Ile chcesz złota, żebym mógł odzyskać córkę?

– Nie znam skali, według której można zmierzyć wartość ludzkiego życia – odpowiedział wolno Aillas. – Zabierz swoją córkę, Luhalcyxie; jest dla mnie bezużyteczna. Tatzel, oddaję cię pod opiekę twojego ojca. Teraz odejdźcie, proszę i pozwólcie mi naradzić się z dobrym królem Gaxem.

Książę Luhalcyx skinął krótko głową. Wziął Tatzel za rękę oboje wyszli z sypialni. Przy drzwiach stali już tylko dwaj strażnicy i Rohan.

– Sire, nasza sprawa wymaga całkowitej dyskrecji zwrócił się Aillas do króla Gaxa.

– Rohan, zostaw nas samych – odparł gderliwie Gax. – Straże, stańcie za drzwiami.

Rohan niechętnie wyszedł z komnaty, za nim wycofali się do hallu strażnicy.

– Sire, nazywam się Aillas – przedstawił się król Troicinetu i Południowych Ulflandów.

Pół godziny później, zaniepokojony przedłużającą się rozmową, Rohan zajrzał do środka przez drzwi.

– Sire, czy dobrze się czujesz?

– Całkiem dobrze, Rohan. Niczego nie potrzebuję, możesz odejść.

– Czy ufasz Rohanowi? – zapytał Aillas, gdy szambelan wyszedł. Król Gax zachichotał wykrzywiając usta.

– Wszyscy są przekonani, że następcą tronu zostanie Kreim, a z nim pójdą na zatracenie pieniądze i to miejsce. Mnie zaś, zresztą zgodnie z prawdą, uważa się już za martwego.

– Nie całkiem – wtrącił Aillas.

– Rohan poświęca się, czuwając przy mnie w dzień i w nocy. Zaliczam go do grona moich nielicznych prawdziwych przyjaciół.

– W takim razie, włączmy go do naszej dyskusji.

– Jak sobie życzysz. Rohan!

Rohan zjawił się tak szybko, iż nie było wątpliwości, że słuchał z uchem przy drzwiach.

– Sire?

– Chcemy, byś służył nam swoimi mądrymi uwagami.

– Bardzo proszę, sire.

– Uroczystość koronacyjna odbędzie się za trzy dni, licząc od dzisiaj – powiedział Aillas. – Najwyraźniej twoim jedynym wyjściem, panie, jest oddać miasto wraz z koroną Skalradom. Dlatego też sir Kreim musi działać albo tej, albo przyszłej nocy, w przeciwnym bowiem razie jego marzenia rozwiążą się na zawsze.

Gax zapatrzył się pustym wzrokiem w ogień.

– Gdyby został królem, czy nie mógłby utrzymać Xounges tak, jak ja to robiłem?

– Być może, gdyby chciał to uczynić. Jednak Xounges nie jest nie do zdobycia, jak może sądzisz, panie. Czy nocą wartownicy patrolują skały?

– Po co? Co innego poza pianą i czarną wodą mogliby zobaczyć?

– Gdybym to ja atakował Xounges, wybrałbym na to ciemną, spokojną noc. Gdzieś ze skał spuszczone by drabinkę linową, po której wspięliby się oczekujący poniżej, w małych łodziach, żołnierze. Będąc już na górze, zrzuciliby w dół więcej drabinek i w ten sposób w krótkim czasie na skałach znalazłyby się setki ludzi, gotowych, żeby wkroczyć do miasta.

Król Gax pokiwał słabo głową.

– Bez wątpienia masz rację.

– A teraz jeszcze inna sprawa: jak jest strzeżony twój port?

– O zachodzie słońca wejście do niego zamykają dwa ciężkie łańcuchy. Żaden statek, czy to mały, czy duży, nie może do niego wpłynąć. Następnie spuszczone są kraty.

– Łańcuchy nie zatrzymają pływaków. W bezksiężycową noc tysiące ludzi mogłoby się przedostać do portu holując za sobą broń na tratwach. Mogliby ukryć się na pokładach statków stojących w porcie. Rankiem, po podniesieniu krat, można by umieścić pod nimi dwa kołki, żeby uniemożliwić ponowne ich opuszczenie. Zaraz potem żołnierze rzuciliby się do ataku i w ciągu jednej

godziny przejęliby kontrolę nad Xounges.

Król Gax jęknął.

– Lata sprawiły, że stałem się ociężały. Nie trzeba dodawać, że konieczne są zmiany.

– Dobry pomysł – powiedział Aillas. – Teraz jednak mamy pilniejsze sprawy do załatwienia i musimy się przygotować na wszelkie ewentualności. Mam na myśli sir Kreima.

Minęło popołudnie. O zachodzie słońca król Gax zjadł swój wieczorny posiłek złożony z kleiku, kilku kawałków mielonego mięsa, utartego jabłka i kielicha białego wina. Godzinę później przy drzwiach nastąpiła zmiana straży. Rohan z oburzeniem doniósł, że dwaj nowi wartownicy byli kuzynami małżonki sir Kreima, a więc zajmowali zbyt wysoką pozycję społeczną, aby stać na nocnej warcie.

– Najwyraźniej użyto łapówek i wpływów – stwierdził Rohan z wściekłością, gdyż dopuszczono się wykroczenia przeciwko jego osobistemu autorytetowi.

Nad Xounges zapadały ciemności. Król Gax ułożył się do snu, a Rohan udał się do własnych komnat.

W Jehauudel zapanowała cisza. Ogień na kominku w sypialni Gaxa przygasł i tylko para świeczników na tylnej ścianie rzucała nikłe żółte światło, pograżając w cieniu sufit o wysokim sklepieniu.

Z hallu dobiegł ledwie słyszalny, głuchy odgłos kroków. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem i stanęła w nich ciężka postać, rysująca się wyraźnie na tle płonącej w hallu pochodni. Weszła cicho do pokoju.

– Kto tam? – zaskrzeczał ze swojego łóżka Gax. – Hej, straże! Rohan!

– Gaxie, dobry królu Gaxie, żyłeś wystarczająco długo i oto przyszedł na ciebie kres – przemówiła łagodnym głosem, ciemna postać.

– Rohan! – wołał ochryple Gax. – Gdzie jesteś? Sprowadź straże! Rohan wyszedł ze swojej komnaty.

– Sir Kreim, co to ma znaczyć? Zakłócasz nocny odpoczynek króla Gaxa!

– Zamilcz, Rohan, jeśli chcesz mi później służyć w Dahaucie. Gax żył już wystarczająco długo i teraz musi umrzeć. Udusi się pod poduszką i będzie to wyglądało tak, jakby umarł we śnie. Nie waż mi się w tym przeszkodzić!

Sir Kreim podszedł do łóżka i wziął do ręki poduszkę.

– Stój! – zawołał jakiś głos. Sir Kreim spojrzał w górę i zobaczył po drugiej stronie komnaty obserwującego go mężczyznę z wyciągniętym mieczem.

– Sir Kreim, to ty zaraz umrzesz.

– Kim jesteś? – zapytał chrapliwym głosem sir Kreim. – Straże! Potnijcie na kawałki tego natrętnego głupca!

Z komnaty Rohana wyszli trzej troicyjscy marynarze i stanęli przy drzwiach. Kiedy wartownicy do środka, zostali schwytani i zasztyletowani. Sir Kreim rzucił się do ataku na Aillasa, szczęknęła stal i sir Kreim zatoczył się do tyłu od ciosu w pierś. Zanim się zebrał, żeby wznowić atak, jeden z marynarzy skoczył mu na plecy, powalił go na podłogę i pchnął nożem prosto w serce.

W pokoju znów zapanowała cisza.

– Rohan – odezwał się Gax – wezwij strażników. Każ im wynieść zwłoki i zrzucić ze skał. Dopilnuj tego. Ja idę spać.

Na dzień przed koronacją Aillas wyszedł na legendarne mury Xo-unges. Stwierdził, że były tak odporne na atak, jak dowodziła tego historia, jeśli – naturalnie – strzegli ich czujni obrońcy.

Stał, spoglądając na Skyre z jedną nogą w otworze strzelniczym, oparty o pokrytą porostami

blankę. W pewnej odległości zauważył na murach księcia Luhalcyxa z bratem, księciem Ankhalcyxem, obu ubranych w powiewające na wietrze czarne płaszcze, oraz Tatzel w szarej wełnianej sukience do kolan, czarnej pelerynie, szarych pończochach, które nie zakrywały jej nagich kolan, i czarnych butach do kostek. Na głowie miała czerwoną pilśniową czapkę z krótkim dziobkiem, skutecznie chroniącą jej włosy przed silnymi podmuchami wiatru. Aillas odwrócił wzrok i nie zwracał więcej uwagi na całą trójkę, toteż był odrobinę zdziwiony, kiedy książę Luhalcyx podszedł do niego zdecydowanym krokiem, zostawiając Ankhalcyxę i Tatzel jakieś pięćdziesiąt jardów dalej na parapecie.

Aillas wyprostował się i gdy Luhalcyx zatrzymał się przed nim, schylił się lekko w oficjalnym półukłonie.

– Witaj, panie.

Luhalcyx odklonił się zdawkowo.

– Sir, dużo myślałem o okolicznościach, które doprowadziły do naszego spotkania. Istnieją pewne sprawy, które, jak czuję, powinniśmy wyjaśnić.

– Słucham.

– Próbowałem się postawić na twoim miejscu i myślę, że rozumiem, co cię skłoniło do pogoni i pojmania lady Tatzel; ja też uważam ją za osobę o dużym uroku. Opisała mi szczegółowo waszą podróż przez dzikie tereny oraz twoją względem niej uprzejmość i troskę o nią, które najwyraźniej nie wynikały z szacunku dla jej pozycji.

– To prawda.

– Okazałeś więcej wyrozumiałości niż, obawiam się, ja miałbym w podobnym wypadku. Zastanawiam się nad twoimi motywami.

– Są osobiste i nie przynoszą ujmy lady Tatzel. Z natury nie mógłbym wziąć kobiety siłą.

Luhalcyx uśmiechnął się chłodno.

– Twoje motywy przynoszą ci zaszczyt, nawet jeśli mówiąc to, dyskredytuję zasady Ska... Cóż, nie ma to większego znaczenia. Odczuwam wdzięczność, że Tatzel nic się nie stało, i ponieważ nic chciałeś przyjąć nic w zamian, przekazuję ci moje podziękowania, że cała ta sprawa zakończyła się przynajmniej w ten sposób. Aillas wzruszył ramionami.

– Sir, doceniam twoje uprzejme zachowanie, ale nie mogę przyjąć twoich podziękowań, gdyż nie zamierzałem działać na twoją korzyść, a wręcz przeciwnie, o ile w ogóle miało to jakikolwiek związek z tobą. Po prostu zostawmy sprawy takimi, jakie są.

Na ustach księcia Luhalcyxa pojawił się ponury półuśmiech.

– Z całą pewnością potrafisz dopieć.

– Jesteś moim wrogiem. Czy miałeś ostatnio wieści z domu?

– Nie. Czy coś się stało?

– Zgodnie z tym, co mówi kapitan mego okrętu, armia ulflandzka z pomocą oddziałów troicyjskich odbiła Suarach i zniszczyła skałradzki garnizon.

Twarz Luhalcyxa znieruchomiała.

– Jeśli to prawda, wieści te są ponure.

– Zaczniemy od tego, że z mojego punktu widzenia, nie Umieście czego szukać w Suarach. – Aillas przerwał na chwilę, po czym dodał: -Udzielę ci pewnej rady i jeśli jesteś mądrym człowiekiem, postąpisz dokładnie tak, jak ci powiem. Wracaj do zamku Sank, spakuj swoje cenne rzeczy, portrety, pamiątki z dawnych czasów i książki, po czym wywieź je do Skaghane, ponieważ niebawem zamek Sank zostanie doszczętnie spalony.

– Przepowiadasz mi ponurą przyszłość. Daremne jednak twoje przepowiednie: nigdy nie

porzucimy naszych marzeń. Najpierw opanujemy wyspy Elder, a potem dokonamy krwawej zemsty na Gotach, którzy wyparli nas z Norwegii.

– Ska mają dobrą pamięć.

– Marzymy jako naród, pamiętamy jako naród! Ja sam miałem wizje ogni i nie były to złudzenia, lecz wspomnienia. Wspinaliśmy się na lodowce, żeby odszukać jakąś zagubioną dolinę; walczyliśmy z rudowłosymi wojownikami jeżdżącymi na mamutach; zniszczyliśmy człekokształtnych kanibali zamieszkujących ziemię przez milion lat. Pamiętam to tak, jakbym w tym uczestniczył.

Aillas wskazał przed siebie ręką.

– Sir, popatrz na te fale zbliżające się od strony Atlantyku! Robią wrażenie, że nic im się nie oprze! Po tysiącach mil wytrwałego parcia do przodu uderzają jednak w tę skalną ścianę i w jednej chwili zamieniają się w pianę.

– Wysłuchałem twoich rad i poświęcę im należną uwagę. – odpowiedział krótko książę Luhalcyx. Jeszcze jedna, ostatnia sprawa, która nie daje mi spokoju: Bezpieczeństwo mojej żony, lady Chraio.

– Nic o niej nie wiem, lecz jestem pewien, że jeśli została pojmana, jest traktowana z nie mniejszą uprzejmością, niż ulflandzka niewiasta, z którą ty miałbyś do czynienia, gdyby znalazła się w niewoli.

Książę Luhalcyx wykrzywił usta, uklonił się i dołączył do księcia Ankhalcyxa i Tatzel. Przez kilka minut stali jeszcze razem na murach, patrząc w dal, po czym odwrócili się i odeszli tam, skąd przybyli.

Późnym popołudniem z zachodu nadciągnęły purpurowo-szare chmury, przesłoniły słońce i nad Xounges zapadł wczesny zmierzch. Czarna noc przyniosła przelotne opady ulewnego deszczu, który osłabł dopiero o świcie, wraz z pojawieniem się na niebie fioletowej poświaty.

Dwie godziny po wschodzie słońca deszcz przeszedł w mglistą mżawkę, a w ciągu dnia zaczęło się przejaśniać. Od strony portu zbliżał się Aillas; przebiegł przez tunel, wybrukowaną ulicą, plac targowy, o tej porze opustoszały, i wreszcie przez masywny frontowy portal wszedł do zamku Jehaundel.

W westybulu podał swój mokry płaszcz lokajowi, po czym ruszył wzdłuż głównej galerii. Z wielkiego hallu, w którym przyglądała się przygotowaniom do koronacji, wyszła Tatzel. Zobaczyła Aillasa, zawahała się, lecz postanowiła iść dalej, nie rozglądając na boki. Aillas poczuł nagły ból. *Deja vu*: znów stał na galerii w Sank, a Tatzel szła w jego stronę pogrążona w myślach.

Zbliżała się do niego ze wzrokiem utkwionym w jakiś odległy punkt na przeciwległym końcu galerii, sprawiając jednak wrażenie, że w ogóle go nie dostrzega. Przez moment pomyślał, że przejdzie obok niego bez słowa, ale w ostatniej chwili zatrzymała się z niechęcią i zmierzyła go od stóp do głów chłodnym wzrokiem.

– Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz? – zapytała.

– Naszły mnie wspomnienia. Wyobraziłem sobie, że znów jestem na zamku Sank. Jeszcze czuję dreszcze.

Tatzel wykrzywiła ze zdumienia usta.

– Jestem zaskoczona, że nadal tutaj jesteś. Czy kapitan twego okrętu nie zamierzał wypłynąć jak najszybciej?

– Zdecydował się poczekać jeszcze dzień lub dwa, co pozwoli mi doprowadzić moje sprawy do końca.

Tatzel zrobiła zakłopotaną minę.

– Myślałam, że przybyłeś tutaj, żeby przyprowadzić mnie do ojca.

– Rzeczywiście, był to jeden z powodów. Potem jednak król Gax wspaniałomyślnie zezwolił na moje uczestnictwo w dzisiejszej ceremonii, która z pewnością będzie historycznym wydarzeniem. Za nic nie chciałbym przegapić takiej okazji.

Tatzel wzruszyła obojętnie ramionami.

– Nie wydaje mi się to aż tak ważne, ale być może masz rację. Wybacz, muszę się teraz oddalić, aby poczynić własne przygotowania do tej uroczystości, chociaż nikt z pewnością nie będzie zwracał na mnie uwagi.

– Może ja będę na ciebie patrzył. Zawsze intrygował mnie wyraz twojej twarzy.

V

Było już południe, a nad Xounges wisały ciągle czarne, posępne chmury; deszcz nie przestawał padać, uderzał o dachówki i szemrał nad szarzielonymi wodami Skyre.

W wielkim hallu zamku Jehaundel panował wilgotny półmrok, mimo że przez wysokie, wąskie okna wpadało do środka trochę światła. Płonący na czterech ogromnych kominkach ogień rzucał nieco weselszy blask, rozjaśniany jeszcze przez płomienie pochodni umieszczonych na kamiennych ścianach, które zdobiło dwanaście chorągwi o spłowiałych barwach, symbolizujących dawną chwałę Ulflandów, sławiących zapomniane już czyny. Na widok tych starych sztandarów niejednen z przybyłych na koronację Ulflandczyków otarł łzę z oka. Wiedzieli bowiem, że z nastaniem nowego władcy zgasną ostatnie iskierki dawnej świetności.

Oprócz lordów reprezentujących stare, wielkie rody, obecna była pomniejsza szlachta, grupa ośmiu Skalradów trzymających się skromnie z boku, ambasadorowie Godelii i Dahautu oraz część załogi troicyj-skiego okrętu wojennego.

Dwaj heroldowie w średnim wieku odegrali fanfarę i sir Pertane, wielki kanclerz, zawołał:

– Jego Królewska Mość!

Sześciu lokajów wniosło do sali platformę z siedzącym na tronie królem Gaxem. Podeszli do niskiego podium, postawili na nim platformę i wyszli. Król, ubrany w płaszcz z czerwonego pluszu obszyty czarnym futrem, z koroną Północnych Ulflandów nałożoną na czerwoną czapkę, podniósł do zebranych wątlą dłoń.

– Witam wszystkich serdecznie. Proszę, niech zajmą miejsce ci, którzy wolą siedzieć; pozostali, skoro taka jest ich wola, mogą stać.

Wśród zebranych rozległo się szuranie nogami i szmer głosów. Po chwili gdy zapadła cisza, król Gax odezwał się ponownie:

– Śmierć puka do moich drzwi. Choć z niechęcią, będę musiał wpuścić ją do mojego domu. Mówią o niej, że jest upartym gościem. Nawet teraz słyszę jej pukanie! Czy i wy słyszycie ten dźwięk, czy też stukot ten przeznaczony jest tylko dla moich uszu? Nieważne, nieważne. Zanim przyjmę mojego gościa, muszę jednak wypełnić ostatnią powinność. Popatrzcie wszyscy! Mam na głowie starą koronę! Niegdyś była symbolem chwały i świetności tego miejsca! To była korona Ulflandów, przed którymi czuły respekt pozostałe państwa wysp Elder! Wtedy nie było podziału na Północ i Południe; Ulflandy jednoczyły wszystkie ludy na zachód od Hybrydów, począwszy od Godelii, aż po Przylądek Pożegnań! Dzisiaj noszą symbol bezradności i porażki. Moje królestwo rozciąga się tylko tak daleko, jak sięga mój głos. Skalradzi podbili nasz kraj i uczynili pustkowiem z ziem, które ongiś uprawiał mój lud. – Król Gax rozejrzał się po sali i wyciągnął biały palec. – Tam stoją Skalradzi. Książę Luhalcyx radzi mi abdykować na rzecz księcia An-khalcyx. Zna nasze stare prawa i jego kandydat jest w zasięgu ręki. Książę Luhalcyx twierdzi, że wybierając następcę tronu

spośród Skalradów, zalegalizuję po prostu istniejący stan rzeczy.

Luhalcyx dobrze mówi, ale inni mówią lepiej od niego. Zapewniają, że jeśli korona nie zostanie przekazana w ręce Ska, ale przejmie ją obecny król Południowych Ulflandów, to wówczas znowu ziemia ta zostanie zjednoczona przez władcę, który zobowiązuje się wygnać Skalradów i przywrócić stary porządek. Argumenty te są przekonujące, gdyż w Południowych Ulflandach odrodziło się poczucie dumy narodowej i zaczyna tam panować dostatek. Wojska Południowych Ulflandów zadały dotkliwe ciosy Skalradom i wkrótce trudno będzie się oprzeć ich potędze.

Takich argumentów nie można zignorować. Na tych samych skroniach, na których spoczywa korona Południowych Ulflandów, spocznie też korona, która teraz zdobi moją niegodną starą głowę.

W tym momencie rozległ się okrzyk księcia Luhalcyx, który nie mógł powstrzymać emocji.

– Ceremonia ta jest nieważna, jeśli nie ma tu króla Południowych Ulflandów, mającego przejąć koronę z twojej głowy i z twojej ręki! Sam cytowałeś prawo!

– Rzeczywiście, zrobiłem to. Bądź pewien, że dopilnujemy wszelkich formalności. Sir Pertane, wezwij króla Południowych Ulflandów.

Wielki kanclerz zawołał w stronę zebranych:

– Gdzie jest ten, któremu Gax, król Północnych Ulflandów, nakazał stawić się przed swoim obliczem? Zwracam się do Aillasa, króla Dascinetu i Troicinetu, Scoli i Południowych Ulflandów. Niech wystąpi, jeśli jest obecny.

Aillas podszedł do podium.

– Jestem tutaj.

– Aillasie, czy przyjmiesz ode mnie tę koronę naszych wspólnych przodków i czy będziesz nosił ją z całą należną czcią?

– Tak.

– Aillasie, czy będziesz bronił tej ziemi przed jej wrogami, czy nakarmisz głodnych i przyjdiesz z pomocą uboższym? Czy będziesz strzegł owiec przed wilkiem, czy zwrócisz zbłąkane dziecko matce, czy w taki sam sposób będziesz wymierzał sprawiedliwość zarówno wysoko, jak i nisko urodzonym?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Aillasie, czy będziesz się prowadził, jak na króla przystało, starając się wyzbyć chciwości i żądz oraz powściągnąć okrutne wybuchy swojego gniewu? Czy forując wyroki, będziesz kierował się łaskawością?

– Uczynię, co w mojej mocy.

– Aillasie, podejdź bliżej.

Gax ucałował go w czoło i po jego wychudzonych policzkach popłynęły łzy.

– Aillasie, synu mój, a wiedz, że chciałbym, abyś naprawdę nim był, uczyniłeś mnie szczęśliwym człowiekiem! Z radością przekazuję ci tę koronę i wkładam ją na twoją głowę. Jesteś teraz Aillasem, królem Ulflandów i niech nikt na całym świecie nie ośmieli się sprzeciwić mojej woli! Druidzi, gdzie jesteście? Podejdźcie i poświęćcie ten czyn Ojcu Kronosowi, Lughowi Jasnemu i Apollonowi Mądrymu.

Z cienia wynurzył się kościsty mężczyzna w długiej, brązowej szacie z kapturem. Na szyi Aillasa zawiesił naszyjnik z czerwonych jagód ostrokrzewu, po czym rozdusił jedną z nich w palcach, pomazał nią jego policzki i czoło, śpiewając przy tym monotonnie w niezrozumiałym dla Aillasa języku. Skończywszy tę rytualną czynność, druid wycofał się w cień.

– Ogłaszam niniejszym, że zgodnie z prawami tego kraju, stoi tu przed wami nowy król Północnych Ulflandów! – zawołał donośnym głosem sir Pertane. – Heroldowie, udajcie się

natychmiast do miasta i ogłóście wszystkim tę wielką, dobrą nowinę!

Na znak króla Gaxa do przodu wystąpili lokaje i podniósłszy tron, wynieśli go z sali. Aillas usiadł w fotelu na podium.

– Panowie i panie, pozwólcie, że powiem teraz kilka słów. W Południowych Ulflandach doprowadziliśmy już do tego, że zarówno szlachcie, jak i ludowi żyje się lepiej. Nasza flota kontroluje Morze Wąskie i Skalradzi, którzy niegdyś grasowali po tych wodach jak piraci, nie mają teraz odwagi opuścić portów. Na lądzie będziemy kontynuować naszą skuteczną taktykę; będziemy zadawać Skalradom straty w ludziach, ponosząc równocześnie jak najmniejsze po naszej stronie. Jest to rodzaj wojny, którego długo nie wytrzymają i wcześniej czy później będą zmuszeni wycofać się na wybrzeże. Słyszałeś mnie, Luhalcyxie; nie czynię tajemnicy z naszej taktyki. Nigdy nie cofałeś się na widok ulflandzkiej krwi, a teraz przygotuj się na to, że nie raz zobaczysz kolor krwi skalradzkiej! Czy wyślecie wielką armię na południe, żeby zająć moje miasto Doun Darric? Zróbcie to! Zastaniecie miasto opustoszałe, gdyż wszystkie nasze oddziały będą w tym czasie płądrować wybrzeże, aby nie pozostał na nim nawet jeden skalradzki dom. Potem udamy się na południe, gdzie będziemy węszyć jak psy myśliwskie szczute na uwiązanego niedźwiedzia i tylko niewielu z was wróci szczęśliwie do Skaghane.

– To bardzo ponura wizja.

– To dopiero początek. Troicyjskie okręty wojenne pływają po Morzu Wąskim z taką samą swobodą jak po Lirze. Wkrótce rozpoczną się najazdy na Skaghane i wasze miasta staną kolejno w płomieniach, ku waszej rozpaczycy! Posłuchajcie mojej rady i skończcie ze swoją zachłannością!

– Przekażę twoje postanie naszym parom.

– Mam szczerą nadzieję, że poruszą ich moje słowa. Co do waszego pobytu w Xounges, jesteście tu bezpieczni. Przybyliście jako goście i jako goście możecie tu przebywać tak długo, jak zechcecie. Mam nadzieję, że kiedy będziecie opisywać te wydarzenia waszym przyjaciołom, szczególną uwagę poświęcicie mojemu proroctwu, iż jeśli nie zrezygnują ze swych odwiecznych ambicji, tak jak ja zrezygnowałem ze swojej zemsty na was, poznają, co to wielki smutek.

– Królu Aillasie, smutek nie jest nam obcy.

Spojrząwszy na księcia Luhalcyxa, Aillas dostrzegł stojącą z boku Tatzel. Widząc jej pobladłą twarz, przez chwilę miał ochotę podejść i porozmawiać z nią, lecz któryś ze Skalradów przesunął się i stanął na linii jego wzroku, zasłaniając Tatzel. Odwrócił się więc i udał do apartamentów króla Gaxa, aby posiedzieć przy łóżku tego starego człowieka.

Znalazłszy się przed królewską sypialnią, zapukał do drzwi. Otworzył je Rohan.

– Przyszedłem dotrzymać towarzystwa królowi Gaxowi, jeśli nie jest zbyt zmęczony po tej ceremonii.

– Sire, spóźniłeś się. Król Gax już nigdy więcej nie odczuje zmęczenia; właśnie umarł.

VI

Aillas spędził w Xounges trzy pracowite dni. Wziął udział w uroczystościach pogrzebowych króla Gaxa, przeprowadzonych z ponurą pompą przy dźwiękach druidzkich rogów; zreorganizował system wart i straży, a także spróbował mianować wicekrólem Rohana, bezskutecznie jednak.

– Mianuj na to stanowisko sir Pertane'a – odpowiedział Rohan. -Był wierny królowi Gaxowi i doskonale się do tego nadaje, zważywszy na jego obecną funkcję i status społeczny. Jako człowiek jest niezdecydowany i nawet odrobinę nudny. Przekaż mu zatem, że to ja będę kierował polityką i że musi postępować zgodnie z moimi zaleceniami, co wcale go nie zmartwi.

– Już wkrótce zamierzam przysłać do Xounges kilkuset dobrych żołnierzy, a ponieważ możemy teraz przeprowadzać ataki wzdłuż wybrzeża, Skalradzi poznają, co to cierpienie i bieda. Kontrolują zbyt duży obszar i albo obsadzą częścią swoich sił Skyre i rzekę Solander, a może nawet jezioro Quyvern, albo będą zmuszeni wycofać się z tego terytorium, a wówczas odsłonią drogę do Poelitetz. Jeśli przysła swoje oddziały tutaj, osłabią się w innym miejscu. Bez względu na to, jak bardzo są waleczni, nie mogą bronić tak rozległych terenów przed wrogiem, który nie będzie walczył z nimi w sposób, jaki preferują.

– Jestem przekonany, że masz rację – rzekł Rohan. – Po raz pierwszy od wielu lat widzę dla nas promyk nadziei. Bądź pewien, że w czasie twojej nieobecności będziemy dobrze strzec Xounges. Co więcej, radzę, żebyś przysłał tutaj doświadczonych dowódców, aby rozpoczęli szkolenie naszych ludzi, którzy powinni zająć miejsce w twojej armii. Lata naszej bierności dobiegają końca.

Wczesnym rankiem Aillas wypłynął z Xounges. Minawszy cypel Tawzy, okręt skierował się na południe, spotykając po drodze tylko jeden statek troicyjski, gdyż Ska wypływali teraz tylko nocą.

Aillas zszedł na ląd w Oaldes i wynajawszy konia, ruszył pędem do Doun Darric, gdzie przywitał go gorąco sir Tristano, sir Redyard i inni członkowie jego sztabu, których po upływie trzech tygodni zaczęła niepokoić nieobecność króla.

– Zapewniałem ich, że jesteś bezpieczny – mówił sir Tristano. – Mówił mi to mój instynkt, który podpowiedział mi też, że przeżyłeś jakąś niezwykłą przygodę. Czy się mylę?

– Absolutnie nie! – I Aillas opowiedział o wydarzeniach, które zawiodły go tak daleko, czym zafascynował swoich słuchaczy.

– Nasze relacje w żadnej mierze nie mogą się równać z twoją – rzekł sir Tristano. – Od czasu zajęcia Suarach nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Teraz, kiedy tylko chcemy, możemy najeżdżać Północne Ulflandy w poszukiwaniu łatwych zwycięstw, lecz te zdarzają się coraz rzadziej, gdyż Skalradzi nie zapuszczają się już za granicę w małych grupkach. – Tristano przerwał i podał Aillasowi małą paczuszkę. – To są depesze z Domreis, które pod twoją nieobecność pozwoliłem sobie przeczytać. Jest wśród nich jedna, która wydaje mi się nieco tajemnicza. Podpisana jest inicjałami „S-T”, co mogłoby wskazywać na Siona-Tansifera, ale przeczy temu styl.

– Oto jak Yane potrafi zachować anonimowość. Jeśli depesza jest poprzerrywana, jakaś jej część wątpliwa bądź niejasna, to winą za to należy obarczyć Siona-Tansifera.

Przeczytał list.

Do Domreis przybiła płynąca z miasta Lyonesse koga Parsis. Wśród pasażerów jest niejaki Visbhume, który wygląda na czarnoksiężnika o niewielkiej mocy oraz szpiega na usługach króla Casmira. Już raz wcześniej przyplłynął na Parsis i zadawał Ehirme i innym członkom jej rodziny wiele chytrych pytań na temat Dhruna i Glyneth, o czym poinformowali mnie dopiero teraz. Visbhume udał się do wioski Wysk w pobliżu Watershade, gdzie włóczy się po lesie, rzekomo w poszukiwaniu rzadkich ziół. Jest pod stałą obserwacją, ale coś wisi w powietrzu i nie wróży to nic dobrego. Jest oczywiste, że macza w tym palce Casmir, lecz kto stoi za nim? Coś mi podpowiada, żebym doradził ci powrót do domu, najlepiej w towarzystwie Shimroda.

S-T

Aillas raz jeszcze przeczytał tę depeszę, marszcząc brwi przy każdym słowie, po czym spojrzał na sir Tristana.

– Czy widziałeś Shimroda?

– Ostatnio nie. Spodziewałeś się zastać go tutaj?

– Nie... Wygląda na to, że muszę wracać do Domreis, i to jak najszybciej. Kiedy szczekają teriery, można je zignorować, ale kiedy ujada stary ogar, trzeba chwycić za broń.

VII

Okręt wojenny *Pannuc* wpłynął do portu w Domreis w słoneczny letni poranek i zacumował przy nabrzeżu pod murami Miraldry. Nie czekając na położenie trapu, Aillas zeskoczył na brzeg i pobiegł do zamku. Seneszał, sir Este, drzemał w komnacie przy wielkim hallu, której używał jako swego gabinetu.

Sir Este zerwał się na równe nogi.

– Wasza Królewska Mość! Nie dostaliśmy żadnej wiadomości o twoim przyjeździe.

– Nieważne. Powiedz mi, gdzie jest książę Dhrun.

– Trzy dni temu wyjechał na lato do Watershade, sire.

– A księżniczka Glyneth?

– Też jest w Watershade.

– A sir Yane?

– Jest gdzieś na zamku, sire, albo pojechał do miasta. A może jest w swojej posiadłości? Prawdę mówiąc, nie widziałem go od wczoraj.

– Poszukaj go, proszę, i przyślij do moich komnat.

Aillas wykapał się w ciepłej wodzie, donoszonej pospiesznie w dzbanach i przebrał się w świeży strój. Kiedy wszedł do swojego saloniku, czekał już tam na niego Yane.

– Nareszcie! Ambitny król wraca, poprzedzany wstrząsającymi plotkami!

Aillas roześmiał się i objął Yane'a ramieniem.

– Mam ci tyle do opowiedzenia! Czy zdziwiłbyś się, gdybym ci powiedział, że jestem teraz królem całych Ulflandów i to zupełnie zgodnie z prawem, co bez wątpienia spowoduje skręt królewskich kiszek Casmira. Nie? Nie jesteś zdziwiony?

– Wiadomość tę przyniósł dwa dni temu gołąb.

– Jednak mam jeszcze inne niespodzianki! Czy pamiętasz księcia Luhalcyxa z zamku Sank?

– Pamiętam go doskonale.

– Będziesz zadowolony, gdy się dowiesz, że w pięknym stylu utarłem mu nosa! Teraz przeklina dzień, w którym obraził Cargusa, Yane'a i Aillasa!

– To rzeczywiście dobra wiadomość! Opowiedz mi o tym dokładniej.

– Pojmałem lady Tatzel i zabrałem ją na wrzosowiska jako moją niewolnicę. Gdybym się z nią przespał, jak się tego spodziewała, znenawidziłaby mnie jako bezczelnego brutala. Oddałem ją nietkniętą ojcu i teraz nienawidzi mnie jeszcze bardziej.

– Takie są już z natury kobiety.

– To prawda. Oczekiwałem wylewnych podziękowań i łez radości, a nawet zachęt ze strony Tatzel, nic takiego się jednak nie wydarzyło, doznałem tylko niewdzięczności. Ale są pilniejsze sprawy. Co z twoimi złymi wróżbami i przecuciami, które w takim pośpiechu przywiodły mnie do domu? Najwyraźniej się nie spełniły!

– Niezupełnie. Nic się nie zmieniło; równie silnie jak przedtem czuję, że zbliża się niebezpieczeństwo.

– Wszystko z powodu tego czarnoksiężnika, Visbhume'a?

– Dokładnie. Swoim zachowaniem wzbudził moje podejrzenia. Jest agentem Casmira, temu nie można zaprzeczyć, a fakty wskazują na jeszcze większe tajemnice.

– A co to za fakty?

– Trzykrotnie odwiedził Haidion, gdzie natychmiast udzielono mu audiencji. Przybył do Troicinetu na pokładzie *Parsis* i przeprowadził ostrożnie dochodzenie w sprawie Dhruna i Glyneth, po czym wrócił ze zdobytymi informacjami do Casmira. Niedawno znów przyplłynął *Parsis* i obecnie przebywa w wiosce położonej niecałe dziesięć mil od Watershade. Czy teraz rozumiesz, dlaczego się niepokoję?

– Nie tylko rozumiem, ale i podzielam twój niepokój. Nadal jest w Wysk?

– Mieszka „Pod Kotem i Pługiem”. Oczywiście jest pod nadzorem. Czasami studiuje księgę w skórzanej oprawie, czasem jeździ w absurdalnie małym wozie ciągniętym przez kucyka, zdarza się też, że wychodzi do lasu w poszukiwaniu rzadkich ziół. Dziewczyny z wioski omijają go z daleka, gdyż za każdym razem molestuje je, a to żeby podciąły mu włosy, a to żeby podrapały go po plecach albo siadły mu na kolanach i zabawiły się z nim w grę, którą nazywa „Skaczące Fretki”. Kiedy nie chcą iść z nim do lasu na poszukiwanie ziół, staje się rozdrażniony.

Aillas westchnął niespokojnie.

– Jutro muszę się spotkać z moimi ministrami, w przeciwnym bowiem razie poczują się urażeni. Potem pojedę do Watershade... Z największą radością zobaczyłbym Shimroda, żeby móc skorzystać z pomocy magii. Nie mogę jednak posyłać po niego za każdym razem, gdy ktoś z nas ma złe przeczucia. Szybko straciłby cierpliwość. No cóż, zobaczymy. Teraz coś bym zjadł, jestem głodny jak wilk. Jedzenie na pokładzie *Pannuc* było, co najwyżej odpowiednie. Może kuchnia znajdzie dla nas na kolację coś smacznego: drób albo szynkę i jajka, z rzepą duszoną w maśle i porami.

W czasie posiłku Yane opowiadał o budowanym w sekrecie okręcie wojennym króla Casmira. Przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności jego kadłub został spuszczonej na wodę w Blaloc i zgodnie ze wszystkimi relacjami był to rzeczywiście piękny kadłub, zbudowany z dębowego drewna, łączonego silnymi, spizowymi gwoździami, z niskimi burtami i łańciskim takielunkiem dla lekkich żagli oraz z otworami dla czterdziestu wiosł.

Pod osłoną nocy, aby nie wzbudzać podejrzeń, kadłub został przyholowany do doku położonego u ujścia rzeki Murmeil, gdzie miał zostać zamontowany takielunek. Tak się jednak nie stało, gdyż nadpłynęły troicyjskie okręty, a ich załogi przecięły cumy. Kadłub podryfował wzdłuż ujścia i dalej na otwarte morze. O świcie Troicyjczycy zaciągnęli kadłub na południe z rytuałem. Wydarzenie to – o czym zapewniali druidzi – miało jakiś związek ze wstąpieniem na tron w Xounges nowego króla, który rozesłał bandy rozbójników z zadaniem nękania i wciągania w zasadzki Ska.

– Oburzające! – stwierdził Dildahl. – Ale skoro gonili Skalradów, dlaczego zniszczyli kruka i tym samym naruszyli rytuał?

– Możemy się tylko domyślać, że kruk jest osobistym fetyszem nowego króla. W przyszłym roku zbudujemy kozła, a wtedy bez wątpienia wszystko pójdzie dobrze.

Jakiś czas później tego samego popołudnia w gospodzie zjawiała się para podróżnych w średnim wieku. Obserwujący ich przez okno Dildahl uznał, że nie byli żadnymi wybitnymi osobistościami, chociaż ich strój i srebrne medale przy kapeluszach świadczyły o znacznej zamożności, a ponadto przyjechali na ognistych, pełnej krwi wierzchowcach.

Mężczyźni zsiadli z koni, przywiązali je do ogrodzenia i weszli do karczmy. Przedstawivszy się jako Herbig i Dussel, poprosili stojącego za szynkwasmem wysokiego, ponurego oberżystę o jadło i kwaterę na noc.

Dildahl zgodził się zapewnić im wszystko, czego sobie życzyli, po czym przytaczając niezmienną zasadę obowiązującą w gospodzie, przedłożył każdemu z nich do podpisu dokument zawierający twardy warunek, zgodnie z którym gość odmawiający zapłaty rachunku musiał oddać

swojego konia wraz z siodłem i uprzężą jako pełną i sprawiedliwą rekompensatę za swój dług.

Harbig, starszy z podróżnych, na widok tak bezkompromisowych warunków umowy zrobił niezadowoloną minę.

– Czy dokument ten nie jest utrzymany w zbyt ostrym tonie? Mimo wszystko jesteśmy uczciwymi ludźmi

– A może twoje ceny są tak wysokie, że trzeba zapłacić równowartość konia za jeden nocleg? – zapytał Dussel.

– Przekonajcie się sami! – oświadczył Dildahl. – Tam, na tablicy, wywieszony jest dzisiejszy jadłospis. Tego wieczoru serwuję gotowaną wołowinę z chrzanem i kapustą albo, jeśli ktoś woli, duży półmisek nóżek jagnięcych duszonych z groszkiem i czosnkiem. Mogę też podać smaczną zupę z soczewicy. Ceny zaznaczone są jasno i wyraźnie.

Harbig przyjrzał się tablicy.

– Stawki te wydają się rozsądne i niewygórowane. Jeśli porcje są odpowiednio duże, a czosnek dodany we właściwej proporcji, nie spotkasz się z naszej strony z żadnymi skargami. Zgadzasz się ze mną, Dussel?

– Pod każdym względem z wyjątkiem jednej rzeczy – odparł nieco korpulentny mężczyzna o twarzy jak księżyc w pełni. – Musimy jeszcze poznać ceny i dodatkowe opłaty związane z naszym noclegiem.

– Masz rację, to bardzo mądra uwaga! Gospodarzu, ile sobie liczysz za wynajem pokoju ze wszystkimi opłatami dodatkowymi: podatkami, należnościami za wodę, ogrzewanie, sprzątanie i wentylację oraz wolny dostęp do wychodka?

Dildahl przytoczył koszty noclegu w pokojach o różnym standardzie i obaj podróżni wybrali sobie komnatę za cenę i z wygodami, jakie ich zadowalały.

– Cóż, wszystko jest w porządku z wyjątkiem waszych podpisów na tych dokumentach – powiedział Dildahl. – Tu i tu, jeśli można prosić.

Harbig nadal się wzbraniał.

– Skoro wygląda na to, że wszystko jest w należyтым porządku, to dlaczego musimy w tak haniebnym sposobie zastawić biedne konie? Warunek ten wywołuje we mnie dziwny niepokój.

Pograżony w myślach Dussel skinął głową na znak zgody.

– To nie zapewnia podróżnym spokojnego pobytu.

– Nie możecie sobie wyobrazić tych chytrych sztuczek i podstępnych wyczynów, które musi znosić oberżysta! – zawołał Dildahl. – Nigdy nie zapomnę tej pozornie niewinnej młodej pary, która zjechała z Tarasów Cama i zażądała ode mnie wszystkiego, co najlepsze. Służyłem im uprzejmie, zaspokajając każdą ich zachciankę, postawiłem na nogi całą kuchnię, uwijano się jak w ukropie przygotowując specjalne dania i podając najlepsze wino. Rano, kiedy przedstawiłem im niewielki, skromny rachunek, stwierdzili, że są w nędzy. „Nie mamy pieniędzy!”, odpowiedzieli mi wesoło jak skowronki. Odrzekłem: „W takim razie obawiam się, że będę musiał zabrać wasze konie!” Znów się roześmiali. „Nie mamy żadnych koni! Wymieniliśmy je na łódź!” Tego dnia dostałem gorzką i kosztowną lekcję. Teraz trzymam gwarancję płatności pod silną strażą, w mojej własnej stajni!

– Przykra historia – przyznał Dussel. – No cóż, Harbig, co z tym papierem? Mamy go podpisać?

– Co złego może z tego wyniknąć? Ceny wydają się umiarkowane, a my nie jesteśmy ani żebrakami, ani niebieskimi ptakami.

– Niech więc tak będzie. Jednak, z ręką na sercu, muszę dodać pewne zastrzeżenie. Gospodarzu, pozwól, że dopiszę następującą uwagę: „Mój koń jest wyjątkowo cenny i musi mieć jak najlepszą opiekę”.

– Dobry pomysł! Ja dopiszę to samo... Gotowe! Dzisiejszego wieczoru zapomnę o mojej rozwadze! Nawet gdyby miało mnie to kosztować okrągłego pensa, a nawet więcej, oświadczam, że spróbuję specjału Dildahla: gotowanej wołowiny w sosie chrzanowym ze świeżym chlebem i masłem!

– Z ochotą się do ciebie przyłączę! – oświadczył Dussel.

W porze kolacji Harbig i Dussel zjawili się razem w sali jadalnej i zajęli miejsca przy stole. Kiedy podszedł do nich Dildahl, obaj zamówili sporą porcję gotowanej wołowiny. Oberżysta żalonym głosem oznajmił jednak, że mięso się przypaliło i trzeba było je rzucić psom.

– Lecz mogę polecić smaczną rybę. Prawdę powiedziawszy, ryba jest specjalnością tej gospody!

– W takim razie zamiast wołowiny zadowolę się nóżkami jagnięcymi. A nie żałujcie czosnku! – powiedział Harbig.

– Dla mnie to samo – stwierdził Dussel. – I może weźmiemy do tego butelkę dobrego, ale niedrogiego czerwonego wina?

– Masz rację, zamawiamy. Dussel, masz znakomite rozeznanie w tej materii.

– Niestety! – westchnął Dildahl. – W południe przybyło do gospody sześciu druidów i każdy z nich zamówił porcję nóżek jagnięcych. Pozostały tylko resztki, które zjadł na kolację chłopak kuchenny. Nie ma to jednak większego znaczenia, gdyż mogę polecić soczysty pasztet z rakowych ogonów albo wyśmienite brązowe pstrągi smażone na maśle z dodatkiem octu.

Harbig rzucił okiem na tablicę.

– Nie ma ich w jadłospisie. Jaka jest cena tej potrawy? Umiarkowana czy też, jak się spodziewam, tak wysoka jak wezbrane wody jeziora?

– Jeśli chodzi o rybę, jesteśmy mistrzami! Co powiecie, panowie, na dwa tuziny sardeli z cytryną i szczawiem?

– Smaczne, bez wątpienia, ale cena, człowieku! Jaka jest cena?

– Och, nie jestem pewien; różni się w zależności od połowu. Harbig spojrzał niezdecydowanie na jadłospis.

– Smacznym daniem mogłaby być zupa z soczewicy.

– Zupa się skończyła. A może podać półmisek z ikrą łososia, wędzonymi śledziami, masłem, rzeżuchą i pietruszką?

– A cena?

Dildahl machnął lekceważąco ręką.

– Raz jest wyższa, raz niższa.

– Wolę raczej ikrę łososia – powiedział Dussel.

– Ja wezmę pstrąga – rzekł Harbig. – Proszę też o odpowiednie przystawki.

Dildahl ukłonił się i zatarł ręce.

– Już podaję.

Goście zjedli z apetytem kolację i wypili dwie butelki wina, po czym zaraz udali się na spoczynek.

Na śniadanie gospodarz podał im owsiankę z mlekiem. Zjedli ją w pośpiechu i poprosili o rachunek.

Z wymuszonym uśmiechem Dildahl przedstawił każdemu z nich rozliczenie.

– Czy ja dobrze widzę?! – krzyknął osłupiały Harbig. – A może czytam te liczby do góry nogami? Mój rachunek wynosi dziewiętnaście srebrnych florenów i cztery pensy.

Dussel był równie oniemiały.

– Za talerz ikry zwykłym płacić nie więcej niż kilka czteropensów-wiek, najwyżej całego czerwonego pensa. Wydaje mi się, że widzę tutaj sumę dwudziestu jeden srebrnych florenów! Harbig, czy myśmy się obudzili? A może nadal śnimy i wędrujemy po jakiejś wymyślonej krainie?

– Nie śpicie, a moje ceny są realne – odparł krótko Dildahl. – „Pod Jelenim Rogiem” ryba jest bardzo droga, gdyż przygotowuje się ją według sekretnych przepisów.

– Niech więc tak będzie – rzekł Harbig. – Skoro musimy zapłacić, zapłacimy.

Z posępnymi minami podróżni otworzyli swoje sakiewki i odliczyli wymaganą liczbę srebrnych monet.

– A teraz, jeśli możesz, przyprowadź nasze konie, gdyż spieszno nam wyruszyć w drogę.

– W jednej chwili! – zawołał karczmarz.

Dildahl wydał polecenie pomocnikowi kuchennemu, który natychmiast wybiegł do stajni. Wrócił jednak szybciej niż wyszedł.

– Panie, stajnia jest otwarta! Drzwi zostały wyłamane, a konie zniknęły!

– Co?! – wrzasnął Harbig. – Czy ja dobrze słyszę? Mój wspaniały, niepokonany Nebo, który wart jest sto lub nawet dwieście sztuk złota?

– A mój drogocenny rumak z Maroka, który kosztował mnie sto złotych koron, a którego nie sprzedałbym nawet za trzysta? – wtórował mu zaszokowany Dussel.

– Dildahl, posunąłeś się za daleko w swoich żartach! – rzekł ostro Harbig. – Natychmiast znajdź nasze konie albo zapłać nam tyle, ile są warte, a były to rzeczywiście cenne wierzchowce! Za Neba żądam dwieście złotych koron!

Dussel stwierdził, że poniósł jeszcze większą stratę.

– Za Ponzante muszę dostać dwieście pięćdziesiąt złotych koron, żeby tylko nie być stratnym.

Dildahl odzyskał wreszcie mowę.

– Wymienione przez was stawki są absolutnie horrendalne! Za jedną złotą koronę mogę kupić najlepszego z rumaków!

– Ha! Nasze konie są jak twoja rybka. Zapłać czym prędzej czterysta pięćdziesiąt złotych koron!

– Nie możecie występować z tak szalonym żądaniem! Żegnam, ruszajcie w drogę albo każę stajennym dobrze was obić, a potem wrzucić do jeziora!

– Wyjrzyj tylko na trakt – odezwał się Harbig. – Zobaczysz przy nim obozowisko dwudziestu żołnierzy z armii Aillasa, króla Ulflandów. Zwróć nam nasze konie albo przygotuj się na śmierć na królewskiej szubienicy.

Dildahl rzucił się do drzwi i z osłupieniem przyjrzał się obozowisku. Wolnym krokiem wrócił do Harbiga.

– Dlaczego ci żołnierze przybyli nad jezioro Quyvern?

– Po pierwsze, żeby zaatakować Skalradów i wyprzeć ich z tego terenu. Po drugie, żeby spalić wiklinowego kruka i uwolnić druidzkich jeńców. Po trzecie, żeby sprawdzić, czy plotki o rozboju „Pod Jelenim Rogiem” są prawdziwe, a gdyby okazało się, że pobierane opłaty nie są oparte na solidnych podstawach, by powiesić gospodarza.

– Powtarzam raz jeszcze: zapłać nam za nasze konie, w przeciwnym razie wezwiemy żołnierzy króla – rzekł surowo Dussel.

– Ale ja nie mam takiej sumy! – Dildahl wykrzywił usta. – Zwrócę wam wasze floreny; to musi wystarczyć.

– Ba! Nam to nie wystarczy! Zgodnie z zasadą pełnej i sprawiedliwej rekompensaty, mamy teraz prawo do twojej gospody, tak jak ty do koni swoich gości. Dussel, nareszcie spełnią się twoje

marzenia! Jesteś teraz właścicielem dużej wiejskiej gospody! Na początek skonfiskuj wszystkie pieniądze znajdujące się w tamtej szufladzie i złoto z sekretnej skrzyni Dildahla.

– Nie, nie, nie! – krzyknął oberżysta. – Tylko nie moje cenne złoto! Dussel zignorował jego wrzaski.

– Dildahl, pokaż mi, gdzie przechowujesz złoto. Potem będziesz musiał odejść, i to natychmiast. Pozwolimy ci zabrać rzeczy, które masz na grzbiecie.

Dildahl nie mógł się pogodzić z losem.

– Nie do wiary, że sprawy przyjęły taki obrót! Harbig uniósł ze zdziwienia brwi.

– Chyba nie wierzyłeś w to, że mógłbyś bez końca okradać swoich gości?

– To pomyłka! Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji!

– Bądź wdzięczny losowi, że masz do czynienia z nami, a nie z żołnierzami tamtego oddziału, którzy już wybrali drzewo i odmierzyli linę.

– Dostrzegam w tym dziwny zbieg okoliczności. Skąd tyle wiecie o tamtym oddziale? – warknął Dildahl.

– Jestem jego dowódcą. Dussel, jeśli chcesz wiedzieć, był kuchmistrem w Jehaundel, ale po śmierci króla Gaxa jego usługi stały się zbędne. Jeszcze będąc na dworze miał nadzieję, że kiedyś zostanie właścicielem wiejskiej gospody. Czy mam rację, Dussel?

– To prawda! A teraz, Dildahl, pokaż mi swoją sekretną skrzynię, potem zaś ruszaj w drogę.

– Miejcie litość! – zaczął lamentować były karczmarz. – Moja żona cierpi na ból w kończynach i nie może chodzić; żyły na jej nogach wyglądają jak purpurowe węże! Czy musimy pełzać w tym kurzu na rękach i kolanach?

– Dildahl nieźle sobie radzi przy piecu i wyjątkowo dobrze przyrządza rybę – zwrócił się do Dussela Harbig. – Może zatrudniłbyś go w charakterze pomocnika? Jego żona mogłaby być użyteczna przy dojeniu krów, robieniu sera i masła, kopaniu rzepy, marchwi i pora, a także przy uprawie ziemi. Wszystkie te czynności mogłaby wykonywać w pozycji klęczącej, żeby oszczędzić swoje chore nogi. Może się tak oczywiście stać tylko dzięki łaskawości króla Aillasa.

– Co ty na to, Dildahl? Czy będziesz mi wiernie służył, nie skarżąc się i nie objając, wykonując moje polecenia?

Dildahl wywrócił oczy i zacisnął pięści.

– Skoro muszę, to będę.

– Bardzo dobrze. Na początek wskaż mi miejsce, w którym znajduje się twoja, a raczej moja skrzynia ze złotem.

– Jest pod kamienną płytą w moim salonie.

– Teraz to mój salon. Musisz się natychmiast przeprowadzić do którejś z wiejskich chat. Potem wyszoruj tu podłogę, aby każda deska była tak jasna, jak świeża słoma! Nie chcę na niej zobaczyć ziarenka piasku, nie mówiąc już o plamach. W gospodzie „Nad Brzegiem Jeziora” z pewnością wkrótce będzie odpoczywać arystokracja z Xounges!

II

Rozstaje Twittena w puszczy Tantrevalles były co roku miejscem trzech targów, na które ze wszystkich zakątków wysp Elder ściągali sprzedający i kupujący, tak ludzie jak i elfy, każdy z nadzieją, że odkryje tu jakieś wspaniałe zaklęcie albo znajdzie błyskotkę bądź eliksir, który zmieni na lepsze jego życie, a może nawet uczyni go bogatym.

Pierwszy i ostatni z tych tak zwanych Targów Goblinów wyznaczały odpowiednio: przesilenie letnie i zimowe. Drugi, środkowy, rozpoczynał się wieczorem, który wśród druidów znany był jako „Pignal aan Haag”, wśród elfów z puszczy Tantrevalles jako „Odwilż Letnia”, a wśród skalradzkich znawców archiwaliów jako „Soltra Nurre”, co w prastarym języku norweskim oznaczało początek roku księżycowego, przypadający na pierwszą noc pełni księżyca po przesileniu letnim. Z nieznanych przyczyn noc ta była porą działania niezwykłych sił i nieuchwytnych wręcz nacisków wywieranych przez pobudzone do życia istoty. Wędrującym po wyżynach często wydawało się, że słyszeli głosy niesione przez wiatr i stukot galopujących w oddali kopyt.

W gospodzie „Pod Śmiejącym się Słońcem i Płaczącym Księżycem”, stojącej tuż obok Rozstajów Twittena, noc ta znana była jako „Fre-ames” i oznaczała nieustający napływ gości i wzmożony wysiłek dla gospodarza, Hockshanka. Nawet przed Freames w karczmie panował ścisk. Przybywali tu różnego rodzaju ludzie: jedni po to, żeby zmieszać się z tłumem i dołączyć do wesołej kompanii; inni aby sprzedawać, kupować bądź targować się; a jeszcze inni jedynie po to, by popatrzeć i posłuchać lub może odszukać dawno nie widzianego przyjaciela, a czasami wroga, chcąc wyrównać z nim rachunki – motywy były tak różne, jak sami ludzie.

Wśród gości była także Melanthe, która przybyła do gospody na dzień przed Freames, by zająć zarezerwowany dla niej pokój.

Dla Melanthe jarmark ten był ucieczką od introspekcji, miejscem, w którym jej obecność nie wzbudzała większego zainteresowania czy ciekawości. Hockshank, oberżysta, dopóty nie przywiązywał wagi do tego, kim byli jego goście, dopóki płacili uczciwie srebrem i złotem, nie zakłócali porządku lub nie wydzielali cuchnących, odstręczających bądź przyciągających uwagę zapachów. Dlatego też w sali głównej spotykały się wszelkiego rodzaju elfy i mieszańce, dziwacy i unikaty oraz osoby takie jak Melanthe, które niczym szczególnym się nie wyróżniały.

Po przybyciu do zajazdu Melanthe poszła popatrzeć na budowę kramów wokół łąki. Wielu kupców wystawiało już swoje towary, mając nadzieję, że uda im się przyciągnąć wzrok kupujących o mniej zasobnych sakiewkach, zanim wydadzą swoje oszczędności gdzie indziej.

Melanthe chodziła wolno od straganu do straganu przysłuchując się bez słowa podnieconym okrzykom handlarzy i uśmiechając się na widok czegoś, co sprawiło jej przyjemność. Na wschodnim skraju łąki natknęła się na tabliczkę z wymalowanym na zielono, żółto i biało napisem:

TU MIEŚCI SIĘ SIEDZIBA ZNAKOMITEGO I NIEZWYKŁEGO

ZUCKA

SPRZEDAWCY PRZEDMIOTÓW UNIKATOWYCH W SKALI ŚWIATOWEJ!

MOJE CENY SĄ UCZCIWE; MOJE TOWARY SĄ NADZWYCZAJNE! NIE UDZIELAM GWARANCJI! NIE PRZYJMUJĘ REKLAMACJI! NIE ZWRACAM PIENIĘDZY!

Za kontuarem kramu stał sam Zuck, mężczyzna niskiej postury, pulchny, o okrągłej twarzy, nieomal łysy, o niewinnym, lecz ciekawskim spojrzeniu. Nos w kształcie guzika i zwężające się w kącikach okrągłe oczy w kolorze śliwkowym wskazywały na to, że był półkrwi elfem, a jego pochodzenie podkreślał jeszcze żółtozielonkawy odcień skóry.

Zuck regularnie sprzedawał na tym targu, a jego specjalnością była *materia magica* – substancje, z których najczęściej wytwarzano lecznicze mikstury i eliksiry. Tego dnia wśród jego towarów znajdowała się nowość. Między tacą z małymi buteleczkami z brązu, a kostkami przezroczystej gumy stał w czarnym wazonie jeden kwiat.

Przyciągnął on natychmiast uwagę Melanthe. Wyróżniał się zarówno swoim dziwnym

kształtem, jak i kolorami, tak jaskrawymi i intensywnymi, że wydawało się, iż pulsują. Była wśród nich lśniąca czerń, purpura, zimny błękit i karminowa czerwień.

Melancthe nie mogła oderwać od niego oczu.

– Zucku, dobry Zucku, co to za kwiat? – zapytała.

– Śliczna pani, tego nie umiem powiedzieć. Przyniósł mi go z lasu jakiś człowiek, żebym ocenił zapotrzebowanie na ten towar na rynku.

– Kimże jest ten wspaniały ogrodnik?

Zuck przyłożył do nosa palec i wyszczerzył zęby w znaczącym uśmiechu.

– Jest to falloj zachowujący się z dużą rezerwą. Chce pozostać anonimowy, aby nie wciągano go w długie teoretyczne rozważania lub żeby nie próbowano w podstępny sposób poznać jego tajemnicy.

– W takim razie te kwiaty muszą rosnać gdzieś niedaleko w lesie.

– Prawdopodobnie są bardzo rzadkie i jeden jest wspanialszy od drugiego.

– Widziałeś więc inne? Zuck zamrugał oczami.

– Prawdę mówiąc, nie. Ten falloj po mistrzowsku posługuje się porównaniami, a na dodatek jest bardzo sprytny. Nalegałem jednak, aby ceny były umiarkowane; nie mogę przecież narażać na szwank mojej reputacji.

– Muszę mieć ten kwiat. Jaka właściwie jest twoja cena? Zuck wznosił oczy ku niebu.

– Dzień dobiega już prawie końca, a pomyślna transakcja o tej porze dobrze wróży na dzień następny. Dla ciebie, śliczna pani, cena będzie śmiesznie niska: pięć złotych koron.

Melancthe spojrzała na Zucka z niewinnym zdziwieniem.

– Tyle złota za jeden kwiat?

– Cóż, czy ta cena wydaje ci się za wysoka? W takim razie zabierz go za trzy korony, jako że spieszę się zamknąć mój kram.

– Zucku, drogi Zucku, rzadko noszę przy sobie złote monety.

– Jakie zatem monety masz przy sobie? – Głos Zucka stał się nieco apatyczny.

– Spójrz! Ładny srebrny floren! Daję ci go, dobry Zucku, i biorę w zamian ten kwiat.

Sięgnęła przez kontuar i wyjęła kwiat z wazonu. Zuck spojrzał niepewnie na monetę.

– Jeśli to jest dla mnie, to co pozostaje dla falloja? Melancthe podniosła kwiat do ust i ucałowała płatki.

– Zapłacimy mu, kiedy przyniesie nam więcej kwiatów następnym razem. Chcę wszystkie, co do jednego!

– To nie jest dobry interes – utyskiwał Zuck. – Ale tym razem postawiłaś na swoim.

– Dziękuję, drogi Zucku! Ten kwiat jest doprawdy przepiękny. A jego zapach! Pachnie, jakby pochodził z rajskiego ogrodu!

– No cóż, różne są gusta. Ja czuję jedynie podejrzany odór.

– Ten zapach jest zmysłowy – powiedziała Melancthe. – Otwiera przede mną drzwi do komnat, do których nigdy wcześniej nie zaglądałam.

Zuck zamyślił się.

– Skoro kwiat ten wywołuje takie emocje, to jeden kawałek srebra jest zdecydowanie zbyt niską zapłatą.

– W takim razie masz tu jeszcze jeden, żeby zabezpieczyć moje interesy! Pamiętaj, masz sprzedać te kwiaty mnie, tylko mnie!

Zuck uklonił się.

- Niech tak będzie, chociaż musisz być przygotowana na zapłacenie uczciwej ceny!
- Przekonasz się, że nie zabraknie mi pieniędzy. Kiedy ten ogrodnik ponownie się pojawi?
- Tego niestety nie wiem. Jest przecież fallojem.

III

Zmrok zapadał już nad łąką, kiedy Melancthe wróciła do gospody. Weszła do głównej sali i usiadła przy stojącym w cieniu stole. Na kolację podano jej wagę z gorącym gulaszem z zającą, grzybów, pietruszki i wina, do tego chrupiący świeży chleb, konfiturę z dzikich porzeczek i butelkę porzeczkowego wina. Unoszący się w powietrzu pyłek kurzu osiadł nagle na powierzchni wina i utworzył pęcherzyk. Obserwując to, Melancthe znieruchomiała.

Z pęcherzyka wydobył się cichy głos, tak niski, że musiała pochylić się nisko, chcąc go usłyszeć.

Wiadomość była krótka. Wyprostowała się na krześle z otwartymi z niezadowolenia ustami. Palcem wskazującym dotknęła bańki, która natychmiast pękła.

– Jeszcze raz – wymamrotała do siebie. – Jeszcze jeden raz muszę użyć mojego purpurowego ognia, żeby ogrzać ten zimny jak lód posąg, w kolorze morskiej zieleni. Nie muszę jednak łączyć ognia z lodem, chyba że taki będę miała kaprys.

Zapatrzyła się na swój kwiat i wciągnęła w nozdrza jego woń, a tymczasem daleko w Trildzie studiujący stare rękopisy Shimrod poczuł nagły niepokój.

Odłożył na bok papiery i podniósł się powoli. Zamknął oczy i w myślach zobaczył Melancthe. Unosiła się na powierzchni ciemnej wody, naga i odprężona, z rozsypanymi wokół twarzy włosami.

Przeszedł przez pokój, marszcząc brwi. Pod pewnymi względami obraz ten był podniecający, lecz pod innymi budził tylko sceptycyzm.

W pracowni panowała głęboka cisza. Zastanowił się przez moment, potem wyciągnął rękę i uderzył w mały srebrny dzwoneczek.

– Mów! – odezwał się głos.

– W moich myślach zobaczyłem Melancthe unoszącą się na falach ciemnego strumienia. Była w skąpym stroju, a raczej nic na sobie nie miała. Przerwała moje studia i wzburzyła moją krew. Potem odeszła, uśmiechając się chłodno i wyniośle. Nie zadałaby sobie tyle trudu, gdyby nie miała w tym jakiegoś celu.

– W takim razie dowiedz się, co to za cel. Wtedy będziemy wiedzieć lepiej, jak na to zareagować.

– Dziś jest noc Freames. Powinna być na Rozstajach Twittena.

– Więc się tam udaj.

– Dobrze, zrobię tak.

Shimrod położył na stole stertę ksiąg i papierów, po czym przy świetle jednej świecy zaczął przerzucać ciężkie, pergaminowe stronice, aż znalazł tekst, którego szukał. Odczytał go z całym skupieniem, zapamiętując zjadliwe słowa. Nad świecę nadleciała ćma, okrążyła płomień i po chwili spłonęła, pozostawiając po sobie smużkę dymu.

Shimrod spakował do torby wszystkie potrzebne rzeczy. Gdy zakończył przygotowania, wyszedł na drogę przed Trildę, wymówił zaklęcie, zamknął oczy i zrobił trzy kroki do tyłu. Kiedy ponownie uniósł powieki, zobaczył przed sobą wysoki żelazny słup znaczący Rozstaje Twittena w samym sercu puszczy Tantrevalles. Półmrok ustąpił już miejsca nocy; przez liście drzew przeświecały gwiazdy,

rzucając spokojną, bladą poświatę. W odległości pięćdziesięciu jardów na wschód przez okna gospody „Pod śmiejącym się Słońcem i Płaczącym Księżycem” padało na drogę wesołe żółte światło. Skierował się w tamtą stronę.

Ciężkie drzwi prowadzące do głównej izby były otwarte na oścież, wpuszczając do środka świeży zapach nocy. Po jednej stronie, za szynkwasem, stał Hockshank, zajęty krojeniem dziczyzny, po drugiej znajdowały się stoły, ławy i krzesła, tego wieczoru zajęte, co do jednego miejsca. W odległym, zacienionym kącie Shimrod dostrzegł cichą postać Melanthe, zatopioną w myślach nad powierzchnią wina, najwyraźniej nieświadomą jego obecności.

Podszedł do szynkwasu. Hockshank, w którego żyłach płynęła elfia krew, spojrzał na niego swoimi złotymi oczami. Włosy w kolorze gnijącej słomy miał gęste jak futro. Stał lekko pochylony do przodu; jego stopy były pokryte szarozieloną sierścią, a zamiast paznokci miał u nóg małe, czarne pazury.

– Wydaje mi się, że już cię kiedyś obsługiwałem – odezwał się Hockshank – ale nie mam głowy do imion. W każdym razie, jeśli szukasz noclegu, nie mam żadnego wolnego pokoju.

– Jestem Shimrod z Trildy. W przeszłości w podobnej sytuacji po chwili zastanowienia udało ci się zakwaterować część swoich gości w stajni, uzyskując w ten sposób izbę dla mnie, a wysoką zapłatę dla siebie. Obaj byliśmy wówczas najszcześliwszymi z ludzi.

Hockshank nie przerywał pracy.

– Pamiętam cię, Shimrodzie, z dawnych czasów, ale tej nocy stajnia jest już pełna. Nawet gdybyś położył na ladzie sakiewkę złota, nie mógłbym znaleźć dla ciebie pokoju.

– Małą sakiewkę czy dużą?

– Tego wieczoru każda z nich zapewni ci jedynie ławę w ogólnej izbie, nic lepszego. Klienci naciskają ze wszystkich stron, już i tak poszedłem na pewne trudne kompromisy. – Wskazał nożem na salę. – Widzisz przy tamtym stole trzy matrony o imponującym wyglądzie?

Shimrod obrócił się i spojrzał we wskazanym kierunku.

– Ich dostojność robi wrażenie.

– Dokładnie. Są to święte dziewice ze świątyni Dis w Dahaucie. Zakwaterowałem je w jednej sali sypialnej z tamtymi trzema dżentelmenami z liśćmi winorośli we włosach. Mam nadzieję, że dojdą do porozumienia w sprawie różnic filozoficznych, nie zakłócając spokoju innym gościom.

– A ta dama siedząca samotnie w kącie? Hockshank spojrzał przez salę.

– To jest wiedźma Melanthe; zajmuje pokój z wymalowanymi na drzwiach dwiema zielonymi jaszczurkami.

– Może mógłbyś ją namówić, żeby pozwoliła mi przenocować w swoim pokoju?

Hockshank przerwał krojenie.

– Gdyby było to takie proste, sam wprowadziłbym się do tego pokoju, odstępując ci miejsce na piecu u boku pani Hockshank.

Shimrod odwrócił się i podszedł do stołu z boku sali. Na kolację zjadł dziczyznę z konfiturą porzeczkową i kaszą.

Melanthe wreszcie zdecydowała się zauważyć jego obecność. Przeszedłszy przez salę, osunęła się na krzesło naprzeciwko niego i odezwała się słodkim głosem:

– Zawsze uważałam cię za wzór dobrych manier! Czyżbym aż tak się myliła?

– Pod tym względem tak. W czym uchybiłem galanterii?

– Skoro to ja cię tutaj wezwałam, mogłeś przysiąść się do mnie. Shimrod pokiwał potakująco głową.

– To, co mówisz, teoretycznie jest słuszne. Jednak w przeszłości przekonałem się, że jesteś nieobliczalna i czasami zjadliwa podczas wymiany zdań; jest to jedna z twoich małych sztuczek. Nie byłem pewien, czy powinienem publicznie demonstrować, że się nie znamy, i być może wprawić cię tym w zakłopotanie. Z tego powodu czekałem na znak od ciebie.

– Dobry, skromny, unikający rozgłosu Shimrod! Mimo wszystko miałam rację! Twoja rycerskość jest nienaganna!

– Dziękuję. Ponadto chciałem zjeść w spokoju kolację, zanim powiedziałaabyś mi coś, co zepsułoby mi apetyt.

– Czy już się najadłeś?

– Jestem syty i zadowolony, chociaż dziczyzna była nieco za twarda. Czy tymczasem zdecydowałaś się, co chcesz mi powiedzieć?

Melancthe uśmiechnęła się, spoglądając na kwiat, który trzymała w palcach.

– Może nie mam ci zupełnie nic do powiedzenia?

– Po co więc wezwałaś mnie za pomocą takiego wyraźnego sygnału? Chyba, że w tym momencie złodzieje plądrują Trildę.

Obróciła w palcach kwiat, a jej uśmiech stał się niewyraźny.

– Może po prostu chciałam się pokazać w towarzystwie sławnego Shimroda, aby podreperować moją reputację.

– Ba! Nikt mnie tu nie zna, z wyjątkiem Hockshanka. Melancthe rozejrzała się po sali.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że nikt nie zwraca na nas uwagi. Przyczyną, bardzo prostą, jest twoja skromność. Dramatyczne przebrania Tamurella służą zazwyczaj pokonywaniu samego siebie. Ty jesteś mądrzejszy, ukrywasz się pod postacią, która daje ci dużo korzyści.

Shimrod spojrzał obojętnie przez stół.

– Doprawdy? Co przez to rozumiesz?

Przyglądała mu się spod na wpół przymkniętych powiek, z głową przechyloną na bok.

– Całkiem przekonywująco udajesz przeciętnego człowieka! Twoje włosy są przycięte krótko jak u wieśniaka, mają nawet odcień starej słomy. Twarz masz kościstą i wychudzoną, ale łagodzisz pospolitość jej rysów prostackimi żartami, które zjednują ci sympatię. Jesteś ubrany w coś, co przypomina chłopską koszulę i gdy jesz z wysoko uniesionymi łokciami, robisz wrażenie zgłodniałego wieśniaka, który przez długie godziny kopał rzepę. Ma to swoje zalety, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę! Który przeciwnik skojarzyłby tego na pozór wymizero-wanego głupca z niebezpiecznym i wesołym Shimrodem? To chytre przebranie.

– Dziękuję! Trudno nie docenić twoich komplementów. Przyjmuję je wszystkie z przyjemnością... Chłopcze! Przynies nam więcej wina!

Melancthe uśmiechnęła się do kwiatu.

– Czy Hockshank znalazł ci izbę na noc?

– Zaoferował mi ławę tutaj, w głównej sali. Może jednak znajdzie się jeszcze coś lepszego.

– Kto wie?

Chłopak przyniósł wino w dzbanku z szarego fajansu, ozdobionym niebieskimi i zielonymi ptakami, oraz dwa pękate fajansowe kubki, które Shimrod zaraz napełnił.

– Zbierzmy zatem fakty – powiedział. – Wezwałaś mnie tutaj, aby opisać mnie jako prostaka oraz głupca i oderwać od pracy. Czy twój sygnał został wysłany w jakimś innym celu? Wzruszyła ramionami. Tego wieczoru ubrana była w ciemnobrązową suknię, w której wydawała się drobna jak dziecko.

– Może wezwałam cię, bo czułam się samotna. Shimrod uniósł wysoko brwi.

– Wśród tych wszystkich ciekawych okazów ludzkich? Są twoimi znajomymi, podobnie jak ci śpiewacy, którzy spotykają się z tobą na skałach.

– Szczerze mówiąc, Shimrodzie, chciałam się z tobą widzieć, żeby zapytać cię o zdanie na temat mojego kwiatu. – Wyciągnęła w jego stronę czarne, purpurowe, niebieskie i karminowe płatki, które wydawały się tak świeże, jak gdyby kwiat dopiero został zerwany. – Powąchaj! Ma jedyny w swoim rodzaju zapach.

Shimrod pociągnął nosem i spojrzał krzywo na kwiat.

– Z całą pewnością jest jaskrawy, a jego płatki mają ładny kształt. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

– A zapach?

– Wydaje mi się odrobinę zbyt intensywny. Przypomina mi... Przerwał i potarł brodę.

– Co takiego?

– W moim umyśle pojawił się dziwny obraz: wojna, walczące kwiaty i wielka rzeź. Kwiaty o zielonych ramionach i nogach leżały martwe albo śmiertelnie ranne. Inne, wysokie, dumne i okrutne, wycinały w pień te, które skazane były na śmierć. One to wąchały zapach ziemi na polu bitwy.

– To nader skomplikowany i wyrafinowany sposób opisywania zapachów.

– Być może. Gdzie znalazłaś ten kwiat?

– Na straganie handlarza Zucka, który nie chce nic powiedzieć o jego pochodzeniu.

Shimrod wypił łyk wina.

– Omówiliśmy już moje przebranie i twój kwiat. Jakie inne tematy cię interesują?

Melancthe smutno potrząsnęła głową.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie było w tobie ani odrobiny podejrzliwości. Teraz uśmiechasz się cynicznie znad pucharu.

– Jestem starszy. Czy nie jest to zwykła kolej rzeczy? Kiedy po raz pierwszy stałem się Shimrodem, poczułem w sobie energię, której nie potrafię opisać. Murgen rozpaczał z mojego powodu, nie chciał nawet słuchać mojego głosu. Nic mnie to nie obchodziło. Dokazywałem jak młoda koza i podróżowałem po świecie, przeżywając coraz to nowe przygody, czyhające na mnie za każdym następnym zakrętem.

– Aha, tego wieczoru wychodzą na jaw twoje tajemnice. Czy wspomnienia z tego burzliwego okresu obejmują może żonę ze stadkiem pociech?

Roześmiał się.

– Zdecydowanie nie ma w nich żony. Co do dzieci, tego nie mogę być pewien. Kto to może wiedzieć? Wiodłem beztroskie życie waga-bundy. Byłem wolny jak ptak i aż nadto podatny na wdzięki uroczych dziewcząt, bez względu na to, czy były elfkami, fallojkami czy istotami ludzkimi. Jeśli jestem ojcem, to nie jest mi znana liczba mych dzieci, nie wiem też, jak im się dzisiaj wiedzie. Czasami się nad tym zastanawiam, ale w tamtych czasach nie marnowałem czasu na takie rozmyślenia. To już przeszłość. Dzisiaj siedzi przed tobą stateczny i przebiegły Shimrod w przebraniu wieśniaka. A co nowego u ciebie?

Melancthe westchnęła.

– Tamurello wrócił z góry Khambaste i powietrze stało się natychmiast ciężkie od intryg i plotek. Nie wiem, czy mogłyby cię zainteresować.

– Chętnie posłucham

Przyjrzała się swojemu kwiatu, jak gdyby zobaczyła go po raz pierwszy.

– Z reguły nie zwracam na nie uwagi. Czasami, gdy słyszę jakieś imię, które wyda mi się

znajome, obracam głowę, żeby posłuchać. Czy znasz, na przykład, czarodzieja Visbhume'a?

– Nie pod takim imieniem. Co z tym Visbhmem? Z czego jest znany?

– Z niczego szczególnego. Najwyraźniej był kiedyś uczniem niejakiego Hippolita, który nie żyje.

– Słyszałem o Hippolicie. Mieszkał na północy Dahautu.

– Visbhume zwrócił się do Tamurella z jakimś szalonym planem i Tamurello odesłał go z niczym. – I dodała przesadnym tonem: -Visbhume nie ma żadnych zasad.

– Jak to?

– Och, tak sobie powiedziałam. Gdy nie otrzymał poparcia od Tamurella, zaoferował swoje usługi królowi Casmirowi z Lyonesse. Chęć zaatakować króla Aillasa z Troicinetu.

Shimrod próbował ukryć swoje zainteresowanie tym tematem.

– No więc? Jakie są jego zamiary?

– Była mowa o wykorzystaniu w ich planach księżniczki Glyneth. Wydajesz się oszołomiony tą małą plotką.

– Doprawdy? Przyznaję, że mam słabość do księżniczki Glyneth. Zrobiłbym wszystko, aby ochronić ją przed złem.

Melancthe przechyliła się do tyłu i w zamyśleniu wypila kilka łyków wina. Potem odezwała się głosem cichym i bezbarwnym, choć wyczulone ucho mogłoby w nim usłyszeć nutkę kpiny i poirytowania.

– Zadziwiająco, że takie cnotliwe, małe dziewczęta jak Glyneth mogą pobudzać do tyłu szarmanckich odruchów, gdy tymczasem inne osoby, równie wartościowe, lecz oszpecone przez wole bądź blizny po ospie, mogą leżeć w rowie cierpiące, a nikt nie zwróci na nie uwagi.

Shimrod zaśmiał się melancholijnie.

– Tak już jest! Marzenia na jawie i ideały mają większą siłę niż sprawiedliwość, prawda i litość razem wzięte. Ale nie w wypadku Glyneth. Ona roztacza wokół siebie dobroć i nigdy by nie przeszła obok tych leżących w rowie. Jest zawsze wesoła, czysta i świeża jak poranek; już samo jej istnienie przynosi światu radość.

Melancthe wydawała się zaskoczona żarliwością, z jaką Shimrod wygłaszał swoje uwagi.

– Widzę, że ma w tobie oddanego orędownika. Nie widziałam, że jesteś do niej tak przywiązany.

– Dobrze ją znam i kocham, jak gdyby była moją własną córką. Melancthe wstała z krzesła. Usta opadły jej w kącikach.

– Zapomniałam, że ten temat mnie nudzi. Shimrod też się podniósł.

– Czy udajesz się na nocny spoczynek?

– Tak. Zrobiło się tu bardzo głośno. Możesz pójść ze mną, jeśli chcesz.

– Nie mam wyboru, więc przyjmuję twoje zaproszenie.

Chwycił ją pod ramię i razem udali się do pokoju za drzwiami z dwoma zielonymi jaszczurkami.

Shimrod zapalił świece w lichtarzu na stole. Stojąc na środku pokoju, Melancthe wpięła sobie we włosy kwiat, ani przez chwilę nie spuszczać wzroku z Shimroda. Pozwoliła opaść na podłogę swojej brązowej sukni i stanęła naga w świetle świec.

– Czyż nie jestem piękna, Shimrodzie?

– Bez wątplenia, nie można temu zaprzeczyć. Ale odłóż ten kwiat; ujmuje ci urody.

Wydeła wargi.

– Ale on mi się podoba! Pocałuj mnie, Shimrodzie.

- Odłóż ten kwiat! Dla mnie jest odpychający.
- Jak sobie życzysz. – Rzuciła kwiat na stół. – A teraz pocałujesz mnie?
- Zrobię nie tylko to – odrzekł i tak minęły im pierwsze nocne godziny.

O północy, gdy leżeli przytuleni do siebie, Shimrod powiedział:

– Dręczy mnie dziwny niepokój, że miałaś mi powiedzieć coś więcej o tym czarodzieju o imieniu Visbhume.

– Tak, to prawda.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Bo bałam się, że cię to poruszy i zrobisz coś pochopnie i niepotrzebnie.

– Jakiego rodzaju czyn masz na myśli?

– Nic nie możesz teraz zrobić. Visbhume był już w Watershade i wyruszył do jednej ze swoich kryjówek, do miejsca zwanego Tanjecter-lią.

Zimny dreszcz przebiegł po ciele Shimroda.

– I zabrał ze sobą Glyneth?

– Tak głosi plotka. Ale nie możesz zrobić nic, aby temu zapobiec. Już to się stało.

– Dlaczego Visbhume to zrobił?

– Działał z rozkazu Casmira. Jeśli wierzyć Tamurellowi, ten plan jest drogi sercu Visbhume'a.

– Musi wiedzieć, że właśnie wydał na siebie wyrok. Melancthe objęła go mocniej.

– Najbardziej lubię cię wtedy, gdy jesteś właśnie taki. Odepchnął ją od siebie.

– Powinnaś była powiedzieć mi to od razu, jeśli w ogóle zamierzałaś mi o tym powiedzieć.

– Ach, Shimrodzie! Musisz pamiętać o moich mieszanych uczuciach względem ciebie. Jestem nieskrępowana, a nawet szczęśliwa z tobą, ale już po chwili stwierdzam, że chcę cię zranić, i to w najgorszy z możliwych sposobów.

– Masz szczęście, że nie żywię podobnych uczuć, nawet jeśli je prowokujesz.

Zaczął się ubierać.

– Jest dokładnie tak, jak się obawiałam. Niepraktyczny Shimrod spieszy do Tanjecterlii, aby uratować swoją małą Glyneth.

– Gdzie jest Tanjecterlia? Jak się tam można dostać?

– Droga została opisana w najcenniejszej ze wszystkich ksiąg, w tej, którą Visbhume ukradł Hippolitowi.

– Tytuł tej książki?

– *Almanach Twittena* albo coś w tym rodzaju... Shimrodzie, czy naprawdę odchodzisz?

Jedyną odpowiedzią był dźwięk zamykających się za nim drzwi. Wzruszyła ramionami i wkrótce zasnęła.

Rankiem udała się w wielkim pośpiechu do straganu Zucka, gdzie czekało ją kolejne rozczarowanie.

– Rozmawiałem z tym fallojem – poinformował ją Zuck. – Powiedział mi, że na tym jarmarku nie będzie więcej kwiatów. Rośliny wydały tylko jeden. Będzie ich więcej jesienią, jako że pąki już się tworzą, lecz falloj mówi, że musisz przynieść złoto, bo srebro nie wystarczy za tak oszalamiający towar.

– Zucku, przyjdę jesienią i musisz zatrzymać te kwiaty tylko dla mnie. Zgoda? – powiedziała półszeptem Melancthe.

– Jeśli zapłacisz złotem.

– Z tym nie będzie problemu.

Po powrocie do Trildy Shimrod od razu przeszedł do swojej pracowni, gdzie w *Indeksie Pantologicznym* odszukał hasło „Tanjecterlia”:

Źródłem informacji na temat Tanjecterlii jest niezmiernie rzadki i nieco podejrzany Almanach Twittena. Tanjecterlia jest tam opisana jako jeden z dziesięciu nałożonych na siebie światów, w których skład wchodzi nasz własny. Trudno określić powiązania między nimi, gdyż mają charakter efemeryczny.

Według Twittena, Tanjecterlia jest pod pewnymi względami podobna do naszego świata, lecz pod innymi znacznie się od niego różni. Zamieszkują ją różnorodne istoty; są wśród nich nawet rasy swym wyglądem przypominające ludzi. Są też takie, których podobieństwo to jest co najwyżej powierzchowne. Środowisko Tanjecterlii opisuje się jako niezdrowe, wręcz śmiertelne i niebezpieczne dla tych osób, które chciałyby tamtędy wędrować bez aklimatyzacji. Należy zauważyć, że Tanjecterlia może nie być niczym więcej, jak tylko jednym z wymysłów Twittena; jego kaprysy i wybryki są dobrze udokumentowane w innych miejscach. Z drugiej jednak strony o Almanachu

mówi się, że jest niezwykle skomplikowanym dziełem, wewnątrznie spójnym, co wydaje się czynić tę księgę wiarygodną.

Shimrod uderzył w srebrny dzwoneczek.

– Pracujesz do późna, Shimrodzie – przemówił głos.

– Zostałem wezwany na *rendez-vous* przez wiedźmę Melanthe. Spotkałem się z nią w gospodzie „Pod Śmiejącym Słońcem i Płaczącym Księżycem”. Byłem przekonany, że wezwała mnie po to, żeby przekazać mi pewne informacje, i rzeczywiście tak było, chociaż nie spieszyła się z ich wyjawieniem. Wspomniała o pomniejszym czarnoksiężniku imieniem Visbhume, byłym uczniu Hippolita. Visbhume rozmawiał z Tamurellem, który wysłał go do króla Casmira z Lyonesse. Potem, według Melanthe, Visbhume udał się do Watershade, z nie całkiem jasnych przyczyn uprowadził Glyneth i zabrał ją w miejsce zwane Tan-jecterlią.

Indeks określa Tanjecterlię jako wymaginywany świat, o którym wspomina Twitten w swoim *Almanachu*.

– Jakie więc są twoje plany?

– Mogę tylko postąpić zgodnie z oczekiwaniami Melanthe i, być może, Tamurella. Pojadę do Watershade i mam nadzieję, że to wszystko okaże się złym snem, a jeśli nie, może uda mi się pokrzyżować plany Visbhume'a. Gdyby i to się nie powiodło, będę zmuszony udać się tam, dokąd zabrał Glyneth, co może oznaczać samą Tanjecterlię.

Głos odezwał się oziębłym tonem:

– To mi wygląda na skomplikowaną intrygę. Nasuwa mi się kilka motywów. Podobnie jak ty, podejrzewam, że Tamurello wydał polecenie Melanthe. Już wcześniej odniosła duży sukces; nakłoniła cię, żebyś wskoczył w chaos między światami. Ona i Tamurello sądzili zapewne, że skoro ich plan tak dobrze zadziałał poprzednio, to znowu może się powieść. Najwyraźniej chcą, żebyś bez zastanowienia wskoczył do Tanjecterlii, skąd już nigdy nie powrócisz. Byłoby to dla nich wspaniałe osiągnięcie! Zniszczą cię i sparaliżują mnie. Pod żadnym pozorem nie wolno ci się zapuszczać do Tanjecterlii. To wyraźna pułapka!

Po drugie, skoro Visbhume działa z rozkazu Casmira, jego zadaniem może być także wprowadzenie zamieszania, odciągnięcie uwagi i zranienie króla Aillasa. Wyczułem ostatnio, i to się potwierdza, że

Tamurello odkrył wreszcie zuchwały sposób na to, żeby zignorować moje edykty. Muszę go ukarać.

– No tak, ale co z Glyneth?

– Nic nie wiem o Tanjecterlii. Wygląda na to, że muszę zasięgnąć na ten temat informacji. Rano cię zawiadomię, czego się dowiedziałem, potem musisz się naradzić z królem Aillasem. Ale ani on, ani ty, ani księżę Dhrun nie możecie się udać do Tanjecterlii.

– W takim razie jak uratować Glyneth?

– Wyślemy tam naszego agenta. Teraz muszę się zająć studiami.

IV

O zachodzie słońca Aillas i Dhrun, siedzący na spoconych i wyczerpanych koniach, wjechali do Watersshade przez stary, drewniany most zwodzony nad fosą.

Wyszedł im na spotkanie Shimrod. Bacznie przyjrzeni się jego twarzy. Mieli nadzieję, że znajdą na niej jakiś ślad pocieszenia, Shimrod jednak potrząsnął przecząco głową.

– Znam tylko kilka luźnych faktów, a ich wymowa jest gorsza, niż można się było spodziewać. Nie mogę nawet myśleć o tym, co się dzieje z Glyneth. Chodźcie, wejdźmy do środka, a opowiem wam, co wiem. W tej chwili histeryczny pośpiech w niczym nam nie pomoże. Przynajmniej dziś wieczorem usiądziemy w spokoju, odpoczniemy i opracujemy możliwie najlepsze plany.

– Nie zarażasz mnie optymizmem – powiedział Aillas.

– Bo go nie mam. Chodźcie, Weare przygotował dla nas kolację. Przy jedzeniu opowiem wam o Tanjecterlii.

– Gdzie jest Tanjecterlia? – zapytał Dhrun.

– Dowiesz się wszystkiego.

Aillas i Dhrun jedli wołowinę z chlebem, a Shimrod mówił.

– Zacznę od początku. Kilkanaście lat temu czarnoksiężnik Twitten opracował sam albo otrzymał od kogoś księgę, która stała się znana jako *Almanach Twittena*. Ten sam Twitten, z nieznanymi przyczyn, umieścił na skrzyżowaniu dróg w puszczy Tantrevalles żelazny słup, chociaż legendy głoszą co innego.

Almanach ów, jak się dowiedziałem, opisuje cykl astronomiczny światów, z których jeden nazywa się Tanjecterlia.

Czarnoksiężnik Hippolito, w którego ręce trafił ten almanach, najwyraźniej nauczył swego ucznia Visbhume'a, jak z niego korzystać. Kiedy Hippolito zniknął, prawdopodobnie zmarł, Visbhume uciekł z almanachem.

– Wiem coś na temat tego Visbhume'a – wtrącił Aillas. – Według wszystkich relacji jest dziwną, nieprzyjemną osobą, w służbie Casmira. Już wcześniej był w Troicinecie i wytrwale wypytywał o Dhruna, panią Ehirme i członków jej rodziny. Udzielili mu wskazówek, co do okoliczności narodzin Dhruna, o których Casmir nadal nic nie wie.

– To może być powód działalności Visbhume'a. Porwał Glyneth, żeby dowiedzieć się wszystkiego na ten temat.

Dhrun jęknął.

– Niech nam odda Glyneth! Powiem mu wszystko, co chce wiedzieć, a nawet więcej!

– Pokaż mi wejście do Tanjecterlii – powiedział przez zaciśnięte zęby Aillas. – Jeśli dotknął jej swoimi brudnymi łapami, połamię mu wszystkie kości!

– No właśnie – stwierdził Shimrod uśmiechając się smutno. – Murgen sądzi, że za tym stoi

Tamurello. Ma on nadzieję, że ci, którzy najbardziej kochają Glyneth, nierozważnie rzucą się do Tanejterlii, gdzie przepadną na zawsze. Murgen zakazał takich czynów.

- Co więc możemy zrobić? – zapytał Dhrun.
- Nic, dopóki nie otrzymamy wiadomości od Murgena.

V

Rankiem Dhrun zaprowadził ich głęboko w Dzikie Las, do miejsca, w którym psy idące tropem Glyneth straciły ślad. Tak jak przedtem, chata drwala stała samotnie na niewielkiej polanie i wydawała się opuszczona.

Aillas podszedł do drzwi i już zamierzał przejść przez próg, gdy powstrzymał go ostry krzyk:

– Stój, Aillasie! Odsuń się do tyłu! Nie wchodź do tej chaty, jeśli ci życie miłe!

Był to Murgen. Tego dnia wyglądał jak wysoki drwal z krótko przystrzyżonymi, białymi włosami.

– Czy wówczas, gdy dotarłeś do tego miejsca tropem Glyneth, wszedłeś do chaty? – zwrócił się do Dhruna.

– Nie, panie. Psy zatrzymały się przy drzwiach i zachowywały się w dziwny sposób. Zajrzałem do środka i zobaczyłem, że chata była pusta. Miejsce to wywoływało we mnie uczucie grozy, więc oddaliłem się stamtąd.

– Mądrze postąpiłeś. Widzisz ten złoty blask wokół drzwi? Jest ledwie widoczny w świetle słońca. Oznacza drogę do Tanejterlii, która nadal stoi otworem. Jeśli chcesz sprawić ogromną radość królowi Casmirowi, przestąp ten próg.

– Czy mogę zawołać przez drzwi? – zapytał Aillas.

– Wołaj! Twój głos nie może uczynić nic złego. Aillas podszedł do drzwi i zawołał w pustkę:

– Glyneth! To ja, Aillas! Czy mnie słyszysz? Odpowiedziała mu głęboka cisza. Niechętnie odwrócił się i zobaczył, że Murgen narysował na torfie przed chatą kwadrat o boku dwudziestu stóp. Z największą starannością nakreślił wewnątrz figury, kilka innych znaków, po czym cofnął się. Z torby wyjął niewielką szkatułkę wyciętą z jednego kawałka czerwonego cynobru i rzucił jej zawartość w stronę wytyczonego kwadratu. Jego wnętrze, wypełniła natychmiast gęsta para, która pod wpływem niegroźnego wybuchu ulotniła się, ukazując budowlę z szarego kamienia. Prowadziły do niej wysokie czarne drzwi z żelaza, ozdobione płaskorzeźbą przedstawiającą Drzewo Życia. Murgen podszedł do tych drzwi, otworzył je szeroko i skinął na stojących w grupie mężczyzn.

– Chodźcie!

Pod portalem Aillas doznał dziwnego uczucia, jak gdyby już kiedyś tędy przechodził. Shimrod wiedział dokładnie, gdzie się znajdowali -było to wejście do wielkiego hallu w Swer Smod.

– Chodźcie – powtórzył Murgen. – Mamy powód do pośpiechu. Tych dziesięć światów przesuwa się obok siebie. Wygląda na to, że przejście Visbhume'a trzyma się mocno, ale kto wie, kiedy się rozpadnie. Ponieważ nie możemy z niego skorzystać, potrzebujemy odpowiedniego posłańca, który to za nas zrobi. Przeprowadziłem niezbędne studia; teraz nastąpi synteza. Chodźmy do mojej pracowni.

Murgen zaprowadził ich do komnaty wyposażonej w półki, szafy i stoły zastawione nieznanymi urządzeniami. Wschodnie okna wychodziły na masyw Teach tac Teach, za którym leżała ciemna puszcza Tan-trevalles.

Murgen wskazał na ławkę.

– Siadajcie, proszę. Zwróćcie uwagę na tę szafę. Kosztowała mnie dużo pracy i wiele

zobowiązań w niezbyt miłych miejscach. Jednak tak się musiało stać. Szafka ta świeci zielono-żółtym światłem, które w rzeczywistości pochodzi z Tanjecterlii. Wewnątrz niej znajduje się młody, galaretowaty stwór, który jest dziką bestią z gór Dyad w Tanjecterlii. Teraz jest uśpiony, ale gdy go ożywię, ujawni siły Tanjecterlii i stanie się podstawą naszej konstrukcji. Ma także inne zalety: jest silny, zwinny, przebiegły i bardzo aktywny. Jest także nieustraszony i wierny aż do śmierci. Jego natura ma też drugą stronę: kiedy zostanie sprowokowany, a czasami nawet łąz żadnego wyraźnego powodu, staje się okrutnym potworem o niszczącej sile. Ma także skłonność do niemożliwych do przewidzenia kaprysów, które pchają ten gatunek do wypraw na odległość dziesięciu tysięcy mil, na przykład w poszukiwaniu jakiegoś szczególnego owocu. To właśnie da nam podstawę dla naszego agenta.

Aillas przyjrzał się niepewnie stworowi. Miał ponad sześć stóp wzrostu i prymitywne ludzkie kształty, ciężką głowę spoczywającą na masywnych barkach, długie ręce z dłońmi w kształcie szponów i kolcami wyrastającymi z kłykci. Jego czaszkę pokrywał pas czarnej sierści, który następnie biegł wzdłuż pleców i kończył się w okolicach miednicy. Rysy miał grubo ciosane, surowa. Widać było niskie czoło, krótki nos i lepkie usta. Przez szparki chrząstkowatej tkanki spoglądały brą-zowozłote oczy.

– Z samej tej bestii nie mielibyśmy żadnego pożytku – ciągnął Murgen – ale wykorzystamy do naszych celów konstrukcyjne zasady, które określają jej naturę. Ubiegłej nocy przeszukałem dziesiątki światów, cofając się w czasie o milion lat. Nadal nie jestem zadowolony, ale w tak krótkim czasie nie mogłem znaleźć nic lepszego.

Zamknął szafkę z dzikim zwierzem i otworzył inną, w której stał silny, młody mężczyzna ubrany w skórzane spodnie, ściągnięte pasem ze sprzączką.

– Ten stwór jawi się nam jako człowiek, ponieważ nasze zmysły tak go postrzegają. Nie ma potrzeby myśleć inaczej. Mieszka on na jednym z dalekich księżycy Achnaru i jest przyzwyczajony do najbardziej skrajnych aktów terroru i obcowania ze śmiercią. Nie ginie, bo jest bezwzględny i inteligentny. Nazywa się Kul Zabójca. W naszych oczach i umysłach jest przystojnym, dobrze zbudowanym młodym mężczyzną o harmonijnej budowie ciała. Wykorzystamy tę formę i połączymy ją z tym dzikim zwierzem.

Połączył szafy, po czym podszedł do stołu i wziął do ręki coś, co wyglądało jak pocięta we wzory kartka papieru. Położył ją na innej, podobnie wyglądającej i przez chwilę manipulował wzorami, szafami i przyrzadami.

– Teraz! – zawołał. – Właśnie nastąpiła synteza. Nasz produkt nazwiemy „Kul”. Przyjrzyjmy mu się.

Otworzył drzwi szafy i ich oczom ukazała się nowa istota, łącząca cechy istot składowych. Jej głowa obracała się na krótkiej, masywnej szyi; twarz miała mniej brutalne rysy; ramiona, dłonie, nogi i stopy bardziej przypominały teraz ludzkie kończyny. Kul ubrany był w swoje krótkie skórzane spodnie, a pas czarnych włosów pokrywał już tylko czaszkę, kark i część pleców.

– Kul nie został jednak ożywiony – powiedział Murgen. – Nadal wymaga jeszcze jednego komponentu w postaci ukierunkowania, pewnej inteligencji i życzliwego połączenia z naszym własnym człowieczeństwem. Każdy z was może być dawcą tych cech; każdy z was na swój sposób kocha Glyneth. Shimrodzie, uważam cię za najmniej odpowiedniego. Dhrunie, ty z chęcią oddałbyś życie za Glyneth, ale przymioty, których szukam, ma Aillas.

– Dam mu wszystko, czego będziesz potrzebował. Murgen spojrzał na Aillasa.

– Będzie to oznaczało złe samopoczucie i osłabienie, ponieważ musisz obdarzyć to stworzenie siłą ducha i znaczną ilością swojej krwi. Kul nie będzie nic o tobie wiedział, ale jego ludzkie cechy,

jeśli można użyć takich słów, będą twoje.

Skinął głową w stronę Dhruna i Shimroda.

– A wy zaczekajcie w hallu.

Minęła godzina. Wreszcie wyszedł do nich Murgen.

– Odesłałem Aillasa do Watersshade. Dał z siebie więcej, niż się spodziewałem i jest bardzo osłabiony. Pozwólmy mu odpocząć. Mniej więcej za tydzień znów będzie sobą.

– A co z tym stworem, Kulem?

– Wydałem mu odpowiednie instrukcje i już wyruszył przez dziurę do Tanjecterii. Chodźcie.

Dowiemy się, jakie wieści nam przesyła.

Wrócili przez westybul na polanę w Dzikim Lesie. Murgen rozpuścił budowlę z szarego kamienia, po czym podeszli do chaty drwala.

Przez drzwi przeleciała czarna szklana butelka i upadła u ich stóp. Murgen wyjął z niej zwitek papieru:

Nie znalazłem w pobliżu ani Glyneth, ani Visbhume'a. Rozmawiałem z kimś, kto widział wszystko, co się wydarzyło. Glyneth uciekła Visbhume'owi, który udał się za nią w pogoń. Ślad jest wyraźny. Idę za nim.

Rozdział 15

I

W jasny, letni poranek Glyneth wstała razem ze słońcem. Umyła twarz i rozczesała swoje ciemnozłote loki, które spływały luźno wokół jej twarzy zasłaniając uszy. Zgodnie z tym, co jej mówiono, były to piękne włosy, lśniące w blasku słońca, ale ona uważała, że chyba nieco za długie, gdyż mógł je teraz targać wiatr, wymagały więc większej dbałości, aby utrzymać je w ładzie, co nie było zbyt łatwe.

– Ściąć je, czy nie ścinać? – zastanawiała się.

Eleganci na dworze zapewniali ją, że włosy tej długości podkreślały pięknie kontury jej twarzy. Jednak ta jedna, jedyna osoba, której zdanie coś dla niej znaczyło, nie zauważała nawet, czy miała długie, czy krótkie włosy.

– Ach, wkrótce położymy kres tym głupstwom. Wydaje mi się, że już wiem, co robić – powiedziała do siebie.

W ten jasny poranek zjadła na śniadanie owsiankę, gotowane jajko i szklanekę świeżego mleka. Miała przed sobą cały dzień. Na następny zapowiedział swój przyjazd na lato Dhrun, był to więc ostatni dzień jej samotności.

Pomyślała, że mogłaby pojechać konno do wioski, ale nie dalej jak wczoraj, kiedy jechała z wizytą do swojej przyjaciółki, lady Alicii z dworu pod Czarnym Dębem, jakiś dziwny mężczyzna na wozie ciągniętym przez kuca dał jej znak, żeby się zatrzymała i zaczął zadawać pytania, które wprawiły ją w zdumienie.

Powiedziała mu uprzejmie, kim jest. Tak, znała bardzo dobrze księcia Dhruna, nikt nie znał go lepiej od niej. Czy to w takim razie prawda, że Dhrun mieszkał przez pewien czas w shee wraz z elfami. W tym momencie przeprosiła, ale nie chciała kontynuować tej rozmowy.

– Nie, nie mogę tego potwierdzić na podstawie tego, co wiem. Dlaczego nie zadasz tych pytań królowi Aillasowi, panie, skoro cię to tak bardzo interesuje? Dowiedziałbyś się, które fakty są prawdziwe, a które oparte na bezpodstawnych domysłach.

– To dobra rada! Ładny dziś dzień na przejażdżkę. Daleko jedziesz?

– Zamierzam odwiedzić moich przyjaciół – odpowiedziała. – Dobrego dnia, sir.

Tego ranka zdecydowała, że nie chce ryzykować ponownego spotkania z tym dziwnym dżentelmenem – odniosła bowiem wrażenie, że wczoraj specjalnie na nią czekał – postanowiła więc przejść się po lesie.

Zabrała ze sobą koszyk, pocałowała panią Florę i obiecała, że wróci do domu na obiad, zjeść poziomki, które chciała zebrać w lesie.

Tego dnia Dziki Las wyglądał przepięknie. Liście mieniły się w promieniach słońca tysiącem odcieni zieleni, a wietrzyk znad jeziora muskał przyjemnie jej twarz.

Znała miejsce, w którym rosły obficie dzikie poziomki i wydawało się, że nigdy się nie kończyły. Szła w tę stronę, gdy jej uwagę przyciągnął przepiękny motyl. Jego skrzydła o rozpiętości dobrych sześciu cali mieniły się różnymi kolorami: pomarańczowym, czarnym i czerwonym; miały też niezwykle kształt. Przyspieszyła kroku w nadziei, że gdzieś usiądzie i będzie mogła spokojnie mu się przyjrzeć, lecz on leciał coraz szybciej, aż wreszcie znalazł się na polanie i wleciał do stojącej tam chaty drwała.

Bardzo dziwne – pomyślała. – Co za głupi motyl!

Spojrzała przez drzwi i wydało jej się, że widzi jakiś osobliwy zielonożółty blask. Nie zważając na to, weszła do chaty i rozejrzała się dookoła. Motyla jednak nigdzie nie było. Na starym stole po drugiej stronie izby leżał kawałek pergaminu. Przeczytała go.

Może cię to zdziwi, ale wszystko jest w porządku i będzie w porządku. Twój dobry przyjaciel, sir Visbhume, pomoże ci i wkrótce uczyni cię bardzo szczęśliwą. Nie bój się! Zaufaj w pełni szlachetnemu sir Visbhume'owi i słuchaj jego poleceń.

Zastanawiające, pomyślała. Dlaczego miałabym być zdziwiona? Zaufać Visbhume'owi i słuchać jego poleceń? Nieprawdopodobne! Jednak, niezaprzeczalnie, coś dziwnego wisi w powietrzu! Najpierw ten motyl, potem to szczególne światło, które teraz wypełnia izbę... W powietrzu unosi się magia!

Przejadła się magią i miała jej dość. Odwróciła się w stronę drzwi.

– Mniejsza o motyla i poziomki, chcę tylko wrócić bezpiecznie do domu, do Watershade, i to jak najszybciej.

Wyszła z chaty, lecz gdzie był las? Patrzyła na dziwny krajobraz.

– Gdzie ja jestem?

Wysoko na wrzosowo-szarym niebie krążyły leniwie wokół siebie dwa słońca: jedno zielone, drugie cytrynowożółte. Krótka niebieska trawa porastała zbocze wzgórza, schodzące do płynącej wolno i cicho rzeki, która z prawej strony wypływała na rozległą równinę. W miejscu, w którym rzeka stykała się z horyzontem, wisiał na niebie jakiś obiekt podobny do czarnego księżyca i już sam jego widok przyprawił Glyneth o dreszcz strachu, a nawet przerażenia. Nigdy w życiu nie czuła się tak wylękniona. Szybko odwróciła głowę, żeby popatrzeć na coś innego.

Po drugiej stronie rzeki rysowały się majestatycznym pasmem niskie wzgórza i doliny, które gdzieś w oddali zlewały się w jedno. Łańcuch czarnych i żółtobrazowych gór ciągnął się ukośnie, z lewej strony ginąc za horyzontem. Bliżej, wzdłuż brzegów rzeki, rosły drzewa o kulistych koronach z ciemnoczerwonymi, niebieskimi i niebieskozielonymi liśćmi. Jakiś niski, pochylony mężczyzna kopał łopatą w nadrzecznym błocie. Ubrany był w ciemnobrazową koszulę i brązowy kapelusz z szerokim rondem, które zakrywało mu twarz. Sto jardów dalej, przy prymitywnym pomoście, kołysała się na wodzie łódź.

Przyglądając się badawczo okolicy, Glyneth nie mogła się nadziwić cudownej jasności i czystości braw. Nie były to jednak kolory ziemskie.

Dokąd zawędrowałam? – myślała.

Zza pleców dobiegło ją krótkie, uprzejme kasznięcie. Obróciła się gwałtownie. Na ławce obok chaty siedział ten sam mężczyzna, który rozmawiał z nią poprzedniego dnia. Popatrzyła na niego z mieszaniną zdumienia i konsternacji.

Visbhume podniósł się i uklonił. Nie miał na sobie ani płaszcza, ani czapki, ubrany był tylko w obszerną koszulę z czarnego jedwabiu. Jej luźne, nieco przydługie rękawy sięgały nieomal koniuszków jego palców. Pod kołnierzem zawiązał powiewną jedwabną chustę w czarnoczerwone wzory. Spod zwisających do ziemi obszernych spodni z czarnego jedwabiu wystawały wąskie czarne pantofle z długimi noskami.

– Czy nie spotkaliśmy się już wcześniej? – odezwał się bardzo uprzejmym tonem.

– Rozmawialiśmy wczoraj na drodze – odpowiedziała Glyneth i po chwili zapytała trzęsącym się z niepokoju głosem: – Czy może mi pan, proszę, wskazać drogę powrotną do domu? Oczekuję mnie na obiedzie.

– Ach! Musi być gdzieś w pobliżu.

– Tak też myślałam, ale nigdzie jej nie widzę... A co pan tutaj robi?

– W tej chwili podziwiam wspaniały krajobraz Tanjecterlii. Ty jesteś Glyneth, o ile wiem. Twoja obecność, jeśli mogę tak powiedzieć, tylko dodaje uroku tym już i tak pięknym widokom.

Glyneth zmarszczyła brwi i wyduła wargi, ale nie potrafiła powiedzieć nic, co nie wydałoby się nieuprzejme.

Visbhume mówił dalej, jak przedtem używając głosu pełnego subtelności i dystynkcji:

– Może znasz mnie jako sir Visbhume'a. Jestem wysokiej rangi rycerzem o nienagannych manierach, biegłym we wszystkich sztukach dworskich znanych w Akwitanii. Odniesiesz ogromne korzyści z mojej opieki i nauki.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony, sir. Mam nadzieję, że rzeczywiście powiesz mi, jak wrócić do lasu. Muszę być w domu, w Watershade, w ciągu godziny, w przeciwnym razie pani Flora bardzo się zmartwi.

– To próżne nadzieje – rzekł wyniośle Visbhume. – Pani Flora musi znaleźć sposób, żeby usmierzyć swój niepokój. Ta brama otwiera się tylko w jedną stronę i musimy znaleźć szczelinę, która umożliwi nam powrót.

Glyneth rozejrzała się z powątpiewaniem dookoła.

– Jak znaleźć tę szczelinę? Poszukam jej, jeśli powiesz mi gdzie.

– Nie ma pośpiechu – odparł nieco opryskliwie Visbhume. – Nikt nas tu nie niepokoi, nikt nie mówi nam „nie”, jak to się często zdarza, a zatem uważam to za wspaniałą okazję do tego, żebyśmy odpoczęli i nacieszyli się naszymi umiejętnościami. Jestem wszechstronnie uzdolniony; będziesz klaskać w dłonie z radości, że miałaś szczęście mnie poznać!

Glyneth rzuciła mu tylko z ukosa przelotne spojrzenie i nie odezwała się, zagłębiając się we własnych myślach.

Visbhume nie jest chyba z tego świata! – pomyślała, a głośno zaproponowała ostrożnie:

– Nie wydajesz się zaniepokojony obecnością w tym dziwnym miejscu, panie. Czy nie wolałbyś przebywać teraz w domu ze swoją rodziną?

– Ach, ale ja nie mam rodziny! Jestem wędrownym minstrelem. Znam muzykę pulsującą energią, muzykę, która sprawia, że krew szybciej krąży w żyłach, a nogi same rwą się do tańca!

Wyjął ze swojej torby małe skrzypeczki i przesadnie długim smyczkiem zagrał skoczną melodię. Zaczął tańczyć w jej rytm kopiąc i ciskając się, unosząc wysoko w górę łokcie, przez cały czas wygrywając swoją piskliwą, acz pełną życia muzykę.

Wreszcie zatrzymał się z błyszczącymi oczami.

– Dlaczego nie tańczysz?

– Prawdę mówiąc, sir Visbhume, martwię się, czy odnajdę drogę powrotną do domu. Czy możesz mi pomóc?

– Zobaczmy, zobaczmy – odparł beztrosko Visbhume. – Chodź, usiądź obok mnie i opowiedz mi to i owo.

– Sir, pozwól, że zaprowadzę cię do Watershade, gdzie będziemy mogli rozmawiać do woli.

Visbhume uniósł w górę rękę.

– Nie, nie! Wiem wszystko, co trzeba, o przebiegłych młodych damach, które mówią „tak”, gdy myślą „nie” i „nie”, kiedy myślą „Visbhume, proszę, tak!” Chcę rozmawiać tutaj, gdzie szczerowość uczyni cię moją ulubienicą. Czy takie traktowanie nie będzie przyjemne? No, chodźże, siadaj! Twoja przemiała obecność sprawia, że raduje się moje serce!

– Dziękuję, wolę stać. Powiedz mi, co chcesz wiedzieć.

– Interesuje mnie książe Dhrun i lata jego dzieciństwa. Wydaje się, że jest za stary, by mieć tak

młodego ojca.

– Sir, osoby, o których mowa, mogłyby sobie nie życzyć, żebym plotkowała na ich temat z obcymi.

– Ale ja nie jestem obcy! Jestem Visbhume i bardzo mnie pociąga twoja świeża, młodzieńcza uroda! Tu, w Tanjecterlii, nie ma nikogo, kto by się czepiał, nikogo, kto by rzucał piorunujące spojrzenia krzycząc: „Bezwstydnicy!” Możemy sobie pozwolić na najbardziej śmiałe formy intymności. Ale cóż, chyba powiedziałem za dużo! Pomyśl tylko o moim poszukiwaniu prawdy! Potrzebuję zaledwie kilku faktów, aby zaspokoić ciekawość. Powiedz mi, moja droga! Powiedz, proszę!

Glyneth próbowała przybrać obojętny wyraz twarzy.

– Lepiej, żebyśmy wrócili do Watershade! Tam możesz wypytać samego Dhruna, a on z pewnością udzieli ci łaskawie odpowiedzi. Zasłużysz sobie tym na moje uznanie, a ja nie będę miała poczucia winy.

Visbhume zachichotał.

– Winy, moja droga? Nigdy! Podejdź do mnie bliżej, żebym mógł w nagrodę obdarzyć pieścizotą, a może nawet pocałunkiem, twoje lśniące włosy.

Cofnęła się o krok. Jawne zamiary Visbhume'a już same w sobie były złą wiadomością, bowiem gdyby źle się z nią obszedł, nie śmiałyby jej uwolnić, by tego nie rozpowszechniała. W tej sytuacji jej jedyna obrona polegała na nieudzielaniu mu informacji, jakich szukał.

Visbhume obserwował ją z ukosa, uśmiechając się chytrze, jak gdyby potrafił czytać w jej myślach.

– Glyneth, jestem osobą, która tańczy w rytm wesołej melodii! Czasami jednak konieczność i powinność nakazują mi stawiać inne kroki, w bardziej złowieszczym rytmie. Nie lubię być okrutny, gdy wydarzenia nie toczą się po mojej myśli, gdyż niszczy to na zawsze tkliwe zaufanie. Czy rozumiesz, co chciałem przez to powiedzieć?

– Chcesz, żebym była ci posłuszna i grozisz, że mnie skrzywdzisz, jeśli tego nie zrobię.

Visbhume ponownie zachichotał.

– Powiedziałaś to w sposób bezpośredni, bez ogródek. W słowach tych nie brzmiała łagodna muzyka, jednak...

– Sir Visbhume, nic mnie nie obchodzi twoja muzyka. Muszę ci też powiedzieć, że jeśli nie pozwolisz mi opuścić tego miejsca, jak nakazuje uprzejmość, będziesz odpowiadał przed królem Aillasem i jest to tak pewne, jak wschód i zachód słońca.

– Król Aillas? O la, la! Słońca w Tanjecterlii ani nie wschodzą, ani nie zachodzą. Z wdziękiem wędrują po niebie zataczając koła. No cóż! Nić naszej miłości nie jest jeszcze przerwana. Powiedz mi, co chcę wiedzieć, mimo wszystko nie jest to nic wielkiego, albo będę musiał cię nakłonić do słodkiego posłuszeństwa. Pokażę ci coś, żebyś poznała moją moc. Patrz!

Podszedł do pobliskiego żywopłotu i zerwał kwiat o dwudziestu różowych i białych płatkach.

– Widzisz ten kwiat? Czy nie jest delikatny i niewinny? Patrz, co z nim zrobię.

Podwinął czarne rękawy i długimi, chudymi, białymi palcami rozerwał kwiat: płatek po płatku. Płatki uśmiechały się do Glyneth, która przyglądała się tej scenie z rosnącym w sercu przerażeniem.

Visbhume odrzucił wreszcie zwiędłą roślinę.

– W ten sposób wzbogaciłem moją duszę. Była to jednak tylko przekąska przed daniem głównym. Patrz!

Przetrasnął swoją torbę i znalazł w niej małą srebrną fujarkę. Ponownie podszedł do żywopłotu i dmuchnął w instrument. Glyneth spojrzała na torbę i zobaczyła, że z jej bocznej kieszeni

wystaje rękojęść niewielkiego sztyletu. Zrobiła krok w tamtą stronę, ale Visbhume obrócił się, żeby przez cały czas mieć ją na oku.

Jakiś ptak z niebieskim grzebieniem na głowie podfrunął do żywopłotu, chcąc posłuchać Visbhume'a, który zwinnymi, białymi palcami wygrywał fanfary, tryle i wariackie *arpeggia*. Ptaszek przekrzywił łe-pek, wsłuchując się w te szalone, lecz wspaniałe tony.

Glyneth, która dzięki czarom elfów miała dar rozmawiania ze wszystkimi stworzeniami, zawołała do ptaka:

– Uciekaj! On chce cię skrzywdzić!

Ptaszek zaćwierkał niespokojnie, ale Visbhume schwycił go i zaniósł na ławkę.

– A teraz, moja droga, patrz! I zapamiętaj, że wszystko, co robię, ma swój powód.

Glyneth patrzyła z przerażeniem, jak dopuszcza się na ptaku okropnych czynów, aż w końcu rzucił na ziemię rozerwane na strzępy stworzenie. W wymyślny sposób wytarł palce o kępę trawy i uśmiechnął się do Glyneth.

– To sprawia, że moja krew szybciej krąży w żyłach i dodaje słodkiego aromatu naszej znajomości. Podejdź więc bliżej, słodka Glyneth, jestem gotów obsypać piieszczotami twoje ciepłe ciało!

Glyneth wzięła głęboki oddech i wykrzywiła twarz w karykaturalnym uśmiechu. Wolnym krokiem ruszyła w stronę Visbhume'a, który aż zapiszczał z radości.

– Ach, moja słodka, najśłodsza! Nadchodzisz tak, jak powinna nadchodzić ukochana dziewczyna!

Wyciągnął do niej ramiona, lecz Glyneth pchnęła go zręcznie w wąską klatkę piersiową, aż zatoczył się do tyłu z wydętymi ze zdumienia purpurowymi ustami. Glyneth tymczasem chwyciła jego torbę i wyjęła sztylet. Gdy ruszył niepewnym krokiem w jej stronę, zaatakowała go.

Za bardzo jednak odchyliła ramię i sztylet przebił na wylot lewy policzek Visbhume'a, przeciął usta i wyszedł z prawej strony. Teraz to ostrze o magicznych właściwościach mogła wyciągnąć tylko ręka, która zadała cios. Visbhume wydał szalony okrzyk, przechodzący w jęk bólu i zakręcił się w koło. Widząc to, Glyneth porwała torbę i pobiegła pędem po zboczu w kierunku rzeki. Sto metrów dalej wzdłuż brzegu dostrzegła przystań. Visbhume ruszył za nią podskokami z wystającym z policzka sztyletem.

Podbiegła do pomostu i wskoczyła do łodzi. Rybak, który kopał w błocie przy brzegu, zawołał ze złością:

– Stój! Zostaw w spokoju moją łódź! Wynoś się razem z twoimi sztuczkami!

Choć mówił dziwnym językiem, zrozumiała go całkowicie dzięki swej umiejętności, ale mimo to odrzuciła linę i pchnęła łódkę na rzekę. Visbhume wbiegał właśnie na pomost. Stał wymachując rękami i próbując krzyczeć, ale sztylet krępował mu język, więc trudno było zrozumieć jego słowa:

–moją torbę! ...Glyneth! Wracaj, nie wiesz, co robisz! ...dziury do naszego świata, to nigdy nie wrócimy!

Glyneth rozejrzała się, szukając wiosła, ale ich nie znalazła. Prąd porwał łódkę i zniósł ją w dół rzeki, a tymczasem Visbhume przesuwał się w podskokach wzdłuż brzegu, wykrzykując zdławione rozkazy i błagania, aż dobiegł do miejsca, gdzie rzeka łączyła się ze swoim dopływem. Stał i patrzył, jak Glyneth odpływa z jego torbą. Wreszcie zniknęła mu z oczu.

Idąc dalej, natknął się wkrótce na prom obsługiwany przez dwóch niezdarnych mężczyzn, którzy zażądali pieniędzy za przewiezienie go na drugi brzeg. Nie mając pieniędzy, zmuszony był oddać za przejazd srebrną sprzączkę od buta.

Na przystani odkrył kuźnię, gdzie kowal zgodził się spiłować rękojęść sztyletu w zamian za

drugą sprzączkę. Przy wtórze okrzyków bólu wyciągnął obcęgami ostrze przez prawy policzek Visbhume'a.

Z kieszeni w swoim obszernym rękawie Visbhume wyjął okrągłe, białe pudełko. Zdjął wieczko i wyjął kuleczkę woskowożółtego balsamu. Wzdychając i jęcząc z zadowolenia wtarł maść w ranę, by uśmierzyć ból i wyleczyć skaleczenia. Schował balsam z powrotem do pudełka, a pudełko do rękawa. Kawałki sztyletu wrzucił do kieszeni w spodniach i ponownie wyruszył w pogoń za Glyneth.

W końcu dotarł do brzegu głównej rzeki. Na powierzchni wody nie zobaczył jednak łodzi; prąd uniósł ją daleko poza zasięg jego wzroku.

II

Łódź posuwała się w dół rzeki. Glyneth siedziała sztywno w obawie, że rozbije się o skałę i wpadnie do ciemnej, głębokiej wody. Pomyślała, że nie chciałaby się dowiedzieć, co jest na dnie tej rzeki. Spojrzała smutno przez ramię; z każdą chwilą oddalała się coraz bardziej od chaty i drogi powrotnej do Watershade.

– Moi przyjaciele mi pomogą – powiedziała do siebie. – Muszę się trzymać tej myśli. Wiem, że tak będzie.

Po chwili przebiegła jej przez głowę inna, ponura myśl.

A co, jeśli będę głodna i spragniona? Czy odważę się jeść i pić to, co znajdę na Tanagerlii? To może być trujące. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak odgryza kawałek owocu i natychmiast się dławii, po czym jej ciało czernieje i puchnie do obrzydliwych rozmiarów.

– Muszę przestać myśleć o takich rzeczach! – powiedziała do siebie rezolutnie. – Aillas pomoże mi, gdy tylko się dowie, że zaginęłam, i Shimrod tak samo, i oczywiście mój kochany Dhrun... Im prędzej, tym lepiej, bo to okropne miejsce!

Wzdłuż brzegu rosły kuliste drzewa z liśćmi w kolorze czerwonym, niebieskim i niebiesko-czarnym. Kilka razy dostrzegła zwierzęta: białego byka z głową owada i kolcami na grzbiecie; wrzecionowatego, szczudłowatego stwora wysokiego na piętnaście stóp, z cienką szyją i wąskim pyskiem przystosowanym do zagładania w listowie w poszukiwaniu orzechów i owoców.

Przejrzała zawartość torby i znalazła w niej oprawioną w skórę księgę zatytułowaną *Almanach Twittena*, najwyraźniej dopiero co przepisana ze starego egzemplarza. Zobaczyła też w środku małą butelkę wina i niewielkie pudełko zawierające kromkę chleba i kawałek sera. Były to raczej żywnościowe Visbhume'a i podejrzewała, że zarówno butelka, jak i pudełko w magiczny sposób napełniały się po opróżnieniu. Zauważyła także inne przedmioty, takie jak pół tuzina małych szklanych baniek z rojącymi się w środku insektami, których przeznaczenie nie było już tak oczywiste.

Gdy nie było obok niej Visbhume'a, czuła się mniej zrozpaczona. Prędzej czy później jej przyjaciele odnajdą ją i zabiorą do domu, tego była pewna.

Dlaczego Visbhume tak uporczywie dopytuje się o okoliczności narodzin Dhruna? – pomyślała. Prawdopodobnie działa z rozkazu króla Casmira i dlatego ujawnienie prawdy z pewnością nie przysłużyłoby się Dhrunowi.

Łódź wpłynęła na błotniste mielizny. Glyneth wyciągnęła rękę i chwyciła unoszącą się na wodzie gałąź, którą przyciągnęła łódkę do brzegu. Wyszła na piasek i rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie zobaczyła Visbhume'a. Odwróciła się, by spojrzeć w dół rzeki i odkryła linię stromych skał opadających z wysokiego zboczą sięgających aż do linii wody. Popatrzyła na nie nieufnie zastanawiając się, czy nie kryły się w nich przypadkiem dzikie bestie. Łódź oraz ta kopia w błocie,

przysadzista osoba w kapeluszu o szerokim rondzie wskazywały na obecność ludzi, ale gdzie? I jakiego rodzaju istot ludzkich?

Stojąc na brzegu i rozglądając się podejrzliwie po okolicy wyglądała jak mała, smutna figurka ubrana w ładną niebieską sukienkę.

– Nie jest wykluczone, że wszystkie największe czary Shimroda nie pomogą mnie odnaleźć – powiedziała do siebie. – Spędzę resztę życia pod zielonymi i żółtymi słońcami Tanagerlii, chyba że Visbhume znajdzie mnie i zahipnotyzuje za pomocą swojej srebrnej fujarki. – Zamrugła oczami, żeby powstrzymać łzy. – Najpierw muszę znaleźć bezpieczne schronienie przed Visbhumem. – Zaintrygowały ją schodzące do rzeki skały. – Gdybym wspięła się na pobliską grań, miałabym widok na całą okolicę i może znalazłabym jakąś ludzką osadę.

Pomysł ten nie był jednak pozbawiony złych stron. Nie wszędzie udzielano obcym miłej gościny, nawet na Ziemi.

Wahała się i zastanawiała, co zrobić. Łódź zapewniała jakieś bezpieczeństwo i źle byłoby ją zostawić.

Jej niezdecydowanie nagle się rozwiało, gdyż z wody wynurzył się długi, żylasty stwór w kształcie kłody zakończonej klinowatą głową z jednym zielonym okiem i paszczą z wielkimi kłami. Oko spoczęło na Glyneth, paszcza rozwarła się szeroko, ukazując ciemnoczerwone wnętrze, po czym głowa rzuciła się do przodu. Nie dosięgnęła jednak Glyneth, która zdołała odskoczyć w samą porę.

Głowa i tułów powoli zanurzyły się w rzece. Glyneth cała roztrzęsiona, oddaliła się od łodzi, która nie była już dłużej dobrym schronieniem.

Dobrze więc, pomyślała. Na skały.

Odłamała boczne pędy z wyciągniętej z wody gałęzi, która mogła teraz służyć jej za maczugę albo prowizoryczną włócznię. Zarzuciła torbę Visbhume'a na ramię i ruszyła odważnie w dół rzeki, w kierunku skał.

Bez przeszkód dotarła do podnóża góry i wspięła się na pierwsze wzniesienie. Zatrzymała się, żeby złapać oddech i obejrzawszy się za siebie na drogę, którą przebyła, z przerażeniem dostrzegła w oddali posuwającą się w podskokach postać. Był to z pewnością Visbhume.

Skały nadające się na kryjówkę były w zasięgu ręki. Wspięła się na zbocze pomiędzy pagórkami dziwnie uformowanych kamieni. Gdy je mijała, rozwinęły się gwałtownie i wyprostowały.

Glyneth zapało z przerażenia dech w piersi. Została otoczona przez wysokie, chude stworzenia. Były szare jak kamień, z długimi, spiczastymi głowami. Oczy podobne do dysków z czarnego szkła i długie skórzaste nozdrza robiły przygnębiające wrażenie, a ich widok na pewno nie uspokajał, zwłaszcza gdy jeden z osobników zarzucił jej na szyję sznur i pociągnął, zmuszając do biegu szlakiem między skałami.

Dziesięć minut później cała grupa dotarła do płaskiego terenu, zostawiając za sobą strome skalne zbocza. Węgorzowate gobliny wrzuciły Glyneth do zagrody, którą zajmowało już pękate sześcionożne stworzenie o matowo-różowym ciele pokrytym czymś, co wyglądało jak ogromnych rozmiarów pomarańczowy polip z setką czułek zakończonych gałkami ocznymi.

Oczy obróciły się, aby przyjrzeć się bacznie Glyneth, znajdującej się teraz w stanie granicznym z obłędem, w którym przestała cokolwiek odczuwać.

– To wszystko jest nierealne – powiedziała do siebie. Zamknęła oczy i powtórnie je otworzyła. Nic się jednak nie zmieniło.

Ściany zagrody zrobione były z gałęzi przeplatanych w prymitywny sposób. Ukradkiem sprawdziła zwartość splotu i stwierdziła, że bez większego trudu mogłaby w nim zrobić otwór wystarczająco duży, aby przez niego przejść. Przez chwilę przyglądała się węgorzowatym goblinom

rozmyślając nad dogodnym do ucieczki momentem. Grupa stworów zebrała się wokół kamiennego dołu z otworem o średnicy czterech stóp, z którego wydobywały się obłoki pary. Niektórzy z nich mieszały łopatami o długich trzonkach znajdującą się w dole płynną substancję. Od czasu do czasu sprawdzali jej smak, wydając pełne zadowolenia dźwięki. Po krótkiej naradzie kilkoro z nich weszło do zagrody i zręcznym ruchem odrąbało różowemu stworzeniu dwie z jego nóg, ignorując przy tym jego pełne bólu piski. Zwierzę pokuściło na drugą stronę zagrody, a gobliny wrzuciły nogi do dołu. Inni dodali do parującej substancji snop traw, po czym przyciągnęli do otworu czarnego stwora podobnego do krewetki, który ryczał i wył, próbując ze wszystkich sił rozerwać krępujące go więzy. Jego też zepchnęli do dołu. Jego ryki osiągnęły *crescendo*, potem opadły do żalostnego bulgotania, stopniowo słabły, aż w końcu ucichły.

Oczy różowego stwora zwróciły się z żalostí w stronę Glyneth, która poczuła, jak po policzkach spływają jej łzy.

– Jakże to straszne i ponure, muszę zginąć w tym ohydny dole, choć wcale nie chcę umierać!

Nagle z drogi dobiegł ją przenikliwy dziki dźwięk – trele srebrnej fujarki Visbhume'a. Gobliny znieruchomiały, po czym odwróciły się i widać było, że są poruszone.

Nadchodził Visbhume, maszerując żwawo w rytm swojej muzyki i podskakując od czasu do czasu, gdy udało mu się zagrać frazę, którą uważał za szczególnie udaną.

Gobliny zaczęły się trząść i miotać, jak gdyby zostały wprawione w ruch wbrew swojej woli. Podskakiwały w górę i w dół, podczas gdy Visbhume wygrywał ogniste i skoczne melodie.

W końcu przerwał i zawołał piskliwym głosem w języku, który Glyneth rozpoznała jako język goblinów:

– Kto jest tutaj panem, władcą porywającego tupu-tu-pu-tup?

– Ty, panie, ty! – odpowiedziały gobliny. – My, Postępowe Węgorze, jesteśmy twoimi sługami! Odłóż swoją straszną broń. Czy musimy podrygiwać i podskakiwać aż do wyczerpania?

– Okażę wam litość, ale najpierw ostatnie małe podrygi dla zdrowia i żebyście lepiej mnie zapamiętały!

– Litości! – zawołały te, które nazwały się „Postępowymi Węgorzami”. – Chodź, spróbuj wspaniałej potrawy z naszego dołu. Odłóż na bok czary i poczęstuj się zupą!

Glyneth zrobiła dziurę w splecionych gałęziach tworzących zagrodę i przecisnęła się na zewnątrz. Teraz! Biegiem, prędko! – ponagliła się w myślach. Visbhume wskazał palcem na zagrodę i powiedział:

– Dam wam spokój i zabiorę ze sobą tamto stworzenie, które nawet teraz myśli o ucieczce. Złapcie ją i przyprowadźcie do mnie.

Postępowe Węgorze skoczyły, żeby wykonać rozkaz. Otoczyły Glyneth i jeden z nich chwycił ją za włosy. Nagle ciężki kamień, większy niż dwie złęczone pięści ze świstem spadł na jego głowę i w mgnieniu oka roztrzaskał ją na miazgę.

Ze zbocza góry stoczyły się głązy i Glyneth zaczęła się miotać bliska hysterii. Nie uspokoił jej widok sylwetki, która wyglądała jak olbrzymich rozmiarów półludzka bestia, czarna na tle lawendowego nieba. Stwór przystanął na chwilę, oceniając sytuację, po czym rzucił się w dół po skałach, lekceważąc całkowicie siłę grawitacji. To odbijał się od ziemi, to biegł i ślizgał się, aż wreszcie skoczył w sam środek Postępowych Węgorzy. Jednym ruchem wyciągnął miecz wiszący w pochwie przy skórzanym pasie i z furią zaczął nim w koło sieć i rąbać. Glyneth skuliła się, zatrwożona przeraźliwymi dźwiękami dochodzącymi z pola walki. Po ziemi potoczyły się odrąbane głowy z oczami otwartymi szeroko w niemym zdziwieniu, na pół przecięte torsy wierzgając śmiesznie nogami wpadały do dołu.

Sycząc i sapiąc Postępowe Węgorze wbiegły między skały pomimo wściekłych rozkazów Visbhume'a. W końcu zadał z całych sił w swoją fujarkę, co zatrzymało węgorzowate gobliny.

– Stać! – wrzasnął Visbhume. – Do ataku na tego głupiego potwora, z całą siłą, ze wszystkich stron! Skurczy się ze strachu pod waszym zaciekłym naporem.

Postępowe Węgorze przyglądały się scenie rzezi z szeroko otwartymi, pustymi oczami. Visbhume ponownie je ponaglił:

– Uderzajcie z całą siłą! Ciskajcie kamieniami i ostrymi przedmiotami, nawet śmierdzącymi odpadkami. Chwyćcie za włócznie i przebijcie mi tego potwora!

Niektóre z węgorzowatych posłuchały rozkazów i podniosły z ziemi kawałki skał, ale nie uspokoiło to Visbhume'a.

– Atakować! Łapać! – wrzeszczał. – Stawać w szyku, wy glisty bojowe! Do boju, wszyscy!

Człekokształtny potwór wytarł miecz o tors i w grymasie, który trudno było zinterpretować, ukazał Glyneth białe zęby.

Cofając się, Glyneth potknęła się i zaczęła zsuwać do dołu, ale stwór chwycił ją za ramię i wyciągnął na powierzchnię. Rozejrzała się dzikim wzrokiem po okolicy, szukając łatwej drogi ucieczki z tego okropnego miejsca. Kątem oka dostrzegła spadający ogromny kamień. Uskoczyła w bok i kamień spadł dokładnie tam, gdzie przed chwilą stała. Inny spadający kamień trafił w ramię potwora, który odwrócił się szybko, rycząc z wściekłości, ale powstrzymał się od ataku. Zarzucił Glyneth na ramię i ruszył w górę zbocza.

– Zabierasz moją torbę, moją własność! – zawołał z oburzeniem Visbhume. – Natychmiast ją zostaw! Kradzież jest przestępstwem! Torba ze wszystkimi cennymi rzeczami należy tylko do mnie!

Glyneth jeszcze mocniej zacisnęła palce na torbie, po czym została uniesiona w górę z taką prędkością, że zakreśliło jej się w głowie.

Wreszcie potwór zatrzymał się i postawił ją na ziemię. Była przygotowana na to, że zostanie pożarta lub wykorzystana w jakiś niewyobrażalny sposób, ale stwór spoglądał tylko na drogę, którą przebyli. Odwrócił się, a w jego wzroku nie było śladu agresji. Odetchnęła z ulgą. Doprowadziła do porządku swoje ubranie i tuląc w ramionach torbę Visbhume'a pogрузzyła się w ponurych myślach nad tym, jak potwór zamierzał z nią postąpić.

Człekokształtny stwór zaczął wydawać jakieś dźwięki. Natężał krtań, jakby było to jakieś nowe i nieznane narzędzie. Glyneth słuchała z przejęciem. Skoro zamierzał ją skrzywdzić, dlaczego podejmował wysiłki, aby go zrozumiała? Nagle uświadomiła sobie, że chciał ją uspokoić. W jednej chwili cały jej strach minął i choć próbowała ze wszystkich sił zapanować nad sobą, rozplakała się.

Potwór nie przestawał wydawać dźwięków, które brzmiały coraz bardziej zrozumiale. Wsłuchując się w nie, Glyneth zapomniała o łzach.

– Mów wolniej! – pouczyła go. – Powiedz to jeszcze raz. Grubym niewyraźnym głosem zaczął formułować sensowne słowa:

– Pomogę ci... Nie bój się.

– Czy ktoś cię przysłał, żebyś mi pomógł? – zapytała drżącym głosem.

– Przysłał mnie mężczyzna o białych włosach. Nazywa się Murgen. Ja jestem Kul. Murgen powiedział mi, co mam robić.

– To znaczy?

– Kazał mi zabrać cię jak najszybciej do miejsca, w którym weszłaś do tego świata. Mamy mało czasu, bo musiałem zająć aż tak daleko, żeby cię odszukać. Jesteśmy tu już za długo.

Glyneth opanowało złe przeczucie.

– A co będzie, jeśli się spóźnimy?

– Powiem ci potem. – Kul popatrzył w dół zbocza. – Musimy iść! Te robaki skalne nadchodzą z ostrymi włóczniami, żeby upuścić mi krwi. Jakiś mężczyzna w czerni wydaje im rozkazy!

– To Visbhume. Jest czarodziejem, a ja zabrałam mu torbę, co bardzo go rozzłościło.

– Wkrótce go zabiję. Możesz iść, czy mam cię nieść?

– Mogę iść, dziękuję. Nie przystoi, żebym podróżowała na twoim ramieniu z siedzeniem do góry.

– Zobaczmy, jak szybko potrafisz biegać, zachowując przy tym dostojeństwo.

Wspinali się po zboczu tak długo, aż Glyneth dostała zadyszki. Widząc to, Kul zarzucił ją sobie ponownie na ramię i pognął w górę po skałach. Gdy Glyneth uniosła głowę, zobaczyła tylko pustą przestrzeń. Kul zdawał się ignorować prawa grawitacji i równowagi, więc zamknęła oczy.

Gdy dotarli do krawędzi, postawił ją na ziemi.

– Jeśli pójdziemy dalej, za tamten las, dotrzemy do tej małej chatki. Myślę, że mamy jeszcze godzinę lub dwie, zanim brama się zamknie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wkrótce będziesz w domu.

Spojrzała na niego z ukosa.

– A ty?.

Kul wydawał się zakłopotany.

– Nie powiedziano mi.

– Masz tu dom albo przyjaciół?

– Nie.

– To dziwne!

– Chodź. Mamy mało czasu.

Pobiegli wzdłuż krawędzi, przy czym Kul nalegał, żeby jeszcze przyspieszyli kroku, a kiedy Glyneth nie mogła już dłużej biec, wziął ją na rękę i pognął susami w dół po zboczu. Wreszcie za lasem wypuścił ją z objęć.

– Chodź. Zobaczmy, czy droga jest wolna.

Przecisnęli się pod ciemnoniebieskimi i śliwkowo-czerwonymi liśćmi i wyrzeli na łąkę. Chata stała w odległości stu jardów. Brzegiem rzeki zbliżał się Visbhume. Siedział na ogromnej ośmionożnej bestii z płataniną rogów i oczami na giętkich szypułkach. Zamiast głowy miała otwory gębowe w kształcie tub. Visbhume wyglądał imponująco na jej płaskim grzbiecie o szerokości dwudziestu stóp, usadowiony pod białym baldachimem na wyłożonej poduszkami ławce. Za nim z dzidami w rękach pędziła sfera dwudziestu Postępowych Węgorzy oraz tuzin innych stworów, ubranych w zbroje z czarnego metalu i wysokie stożkowate hełmy połączone bezpośrednio z naramiennikami. Wojownicy ci nieśli maczugi oraz włócznie i maszerowali na ciężkich krótkich nogach.

– Słuchaj uważnie, bo nie mamy czasu – powiedział Kul. – Przejdę na odległy koniec lasu i pokażę się. Gdy oni popędzą w moją stronę, chcąc mnie zaatakować, ty pobiegiesz do chaty. Wokół drzwi zobaczysz złote światło. Zatrzymaj się i posłuchaj. Jeśli niczego nie usłyszysz, droga jest bezpieczna, możesz przejść. Jeśli usłyszysz jakiś zgrzyt lub w ogóle jakiegokolwiek dźwięki, nie wolno ci zrobić kroku naprzód. Oznacza to bowiem, że dziura się zamyka i możesz zostać posiekana na tysiąc kawałków. Czy to jasne?

– Tak, ale co z tobą?

– Nie martw się o mnie. Szybko, przygotuj się!

– Kul! Czy mam na ciebie poczekać? Ponaglił ją machnięciem ręki.

– Nie! – krzyknął i pognął przez las.

Kilka chwil później Glyneth usłyszała przenikliwy krzyk Visbhume'a:

– Jest tam! Do ataku! Przebić go dzidami i włóczniami, roztrzaskać maczugami! Uderzać z całą siłą i dokładnie! Pociąć tego wstrętnego potwora na drobne kawałki, niech tryśnie i popłynie jego czerwona krew! Ale uwaga: nie ruszać dziewczyny!

Czarni wojownicy pobiegli ciężko do przodu. U ich boku podskakiwały Postępowe Węgorze, a z tyłu, trzymając się w bezpiecznej odległości, jechał Visbhume.

Glyneth czekała tak długo, jak starczyło jej odwagi. W dogodnym momencie wybiegła z lasu.

Visbhume natychmiast ją zauważył i obróciwszy swego długiego rumaka, pogalopował przez łąkę, żeby odciąć jej drogę. Za nim, sycząc i mamrocząc, pognały Postępowe Węgorze.

Glyneth zatrzymała się.

Nigdy nie zdążę dotrzeć do chaty na czas, pomyślała. Muszę się wycofać do lasu.

– Stój! – zawołał Visbhume. – Chcesz wrócić do Watershade? Stań więc i wysłuchaj mnie!

Zawahała się. Visbhume zatoczył duże koło na swym ciężko stąpającym wierzchowcu i zatrzymał się dokładnie między Glyneth i chatą.

– Odezwij się, Glyneth! Co masz mi do powiedzenia?

– Chcę wrócić do Watershade!

– No właśnie! W takim razie musisz mi wszystko powiedzieć! Glyneth wykrzywiła twarz w grymasie niezdecydowania. Zarówno

Dhrun, jak i Aillas chcieliby, żeby powiedziała wszystko, co wie, gdyby to miało ją ocalić. Ale czy Visbhume dotrzyma warunków umowy? Wiedziała bardzo dobrze, że tego nie robi.

Niektóre z Postępowych Węgorzy pełzały i podkładały się w jej stronę, zamierzając wyskoczyć nagle i pojmać ją. Zaczęła się wycofywać do lasu, ale pod wpływem nagłego olśnienia zatrzymała się. Sięgnęła do torby Visbhume'a i wyciągnęła z niej jedno ze szklanych jajek, pełne insektów. Cisnęła nim w sam środek Postępowych Węgorzy.

Przez chwilę stały nieruchomo, wybałuszając z przerażenia swoje okrągłe oczy. Nagle porzuciły swoje ostro zakończone dzidy o zaczęły uciekać sycząc i zawodząc. W biegu rzucały się na ziemię i tarzając się w trawie wymachiwały w powietrzu nogami i rękami. Niektóre wskoczyły do rzeki i więcej się nie pokazały, inne zanurzyły się w błocie przy brzegu i zaczęły się czołgać wzdłuż strumienia tak szybko, jak potrafiły.

– Glyneth, minuty płyną! – krzyknął Visbhume. – Ja się uratuję, bo znam tę tajemniczą drogę, ale ty zginiesz na zawsze!

– Visbhume, pozwól mi wrócić do Watershade! Proszę! – zawołała przymilnym głosem – Będę ci dziękować że mnie tu przywiodłeś, a król Aillas sam odpowie na twoje pytania.

– Ha, ha! Czy wyglądam na takiego głupca? Król Aillas każe mnie natychmiast powiesić! Bawisz się ze mną w kotka i myszkę, a tymczasem cenne minuty uciekają. Widzę portal. Wciąż otwarty, ale złota obręcz zaczyna już zanikać! No, mów wreszcie!

– Pozwól mi najpierw przejść!

– To ja dyktuję warunki, nie ty! – wrzasnął z furią Visbhume. – Powiedz mi wszystko teraz albo przejdę przez portal i zostawię cię tutaj na pastwę tych odrażających Postępowców!

Nagle z lasu wypadł Kul i pognał w stronę Visbhume'a, który krzyknął z przerażenia. Ustawił swego rumaka w pozycji obronnej i bestia wysunęła swe macki w kierunku nadbiegającego przeciwnika.

Kul podniósł z ziemi jedną z dzid i ruszył naprzód potrząsając nią i gotując się do rzutu, ale Visbhume'owi zawsze udawało się schować za wysoko uniesioną szyję rumaka. Po chwili z lasu wyszli wojownicy goblinów.

Visbhume zaczął krzyczeć płaczącym głosem:

– Czas się kończy! Ja też chcę wrócić na ziemię. Jak śmiesz tak mnie dręczyć! Wojownicy, zabijcie tę bestię, i to szybko! Obręcz zanika! Czyżbym musiał pozostać w Tanjecterlii?

– Glyneth! – zawołał Kul. – Przechodź przez drzwi!

Glyneth przemknęła obok Kula i ośmionożnego dywanowca próbując jeszcze raz zbliżyć się do chaty. Nagle stanęła jak wryta. Wojownicy ruszyli na Kula z wysoko uniesionymi maczugami. Uderzyli, ale on uchylił się i rzucił w sam środek. Zobaczyła tylko kłębowisko, a potem Kul zniknął pod ciężarem ich ciał.

Krzycząc z rozpaczy, chwyciła włócznię. Pobiegnęła do przodu i pchnęła nią jednego z wojowników. Poczowała mocne kopnięcie w brzuch i upadła na plecy. Zauważyła, jak Kul wynurzył się spod wojowników wyrzucając ich w powietrze. Z maczugami w obu dłoniach rozbijał głowy i ogłuszał napastników. Zauważywszy Glyneth, wrzasnął:

– Biegnij do chaty! Uciekaj, póki możesz!

– Nie mogę pozwolić, żebyś walczył sam! – odpowiedziała z rozpaczą w głosie.

Kul jęknął ze złością.

– Czy muszę zginąć nadaremno? Ratuj się. Przynajmniej to zrób dla mnie, proszę.

Ku przerażeniu Glyneth, za plecami Kula pojawił się jakiś czarny wojownik. Wyrzucił w górę swoją maczugę i z całą siłą uderzył nią Kula, który odskoczył w bok, żeby uniknąć ciosu, lecz mimo to osunął się na murawę. Szlochając z rozpaczy, Glyneth odwróciła się, chcąc pójść do chaty. Zobaczyła przed sobą biegnącego długimi krokami Vi-sbhume'a, który teraz pragnął już tylko wydostać się z Tanjecterlii.

Dopadła chaty tuż za nim. Czarnoksiężnik wydał okrzyk rozpaczy i stanął jak wryty.

– Ach, co za bieda, jakie nieszczęście! Złota poświata zniknęła! Wrota się zamknęły!

Glyneth też zamarła w bezruchu. Złota obręcz wokół drzwi całkowicie zniknęła, pozostało jedynie wyblakłe drewno.

Visbhume odwrócił się powoli w stronę Glyneth rzucając jej pełne wściekłości spojrzenie, pod którym aż się skuliła.

– Teraz muszę wymierzyć sprawiedliwość! – Powiedział zduszonym głosem. – Przez ciebie jestem zamknięty tu, w Tanjecterlii, na długi i niepewny czas! To twoja wina i ty zostaniesz za to ukarana! Przygotuj się, bo to, co nastąpi, będzie tak gorzkie, jak słodkie, i do tego długotrwałe!

Z wykrzywioną twarzą rzucił się do przodu. Glyneth odskoczyła w bok, ale Visbhume rozłożył szeroko ramiona z rozpostartymi chudymi palcami. Rzuciła przez ramię rozpaczliwe spojrzenie, ale dostrzegła tylko pole zasłane martwymi ciałami.

– Mogę jeszcze rzucić się do rzeki – pomyślała.

Nad Visbhumem zamajaczył jakiś cień. Brocząc krwią z rozlicznych ran, Kul chwycił Visbhume'a za szyję, podniósł w górę i rzucił na ziemię. Czarownik legł skowycząc i skręcając się z bólu. Kul uniósł miecz, ale Glyneth powstrzymała go:

– Nie! Będziemy go jeszcze potrzebować!

Kul usiadł ciężko na schodach chaty. Glyneth podeszła do niego.

– Jesteś ranny! – wykrzyknęła. – Cały ociekasz krwią. Nie mam nic, czym mogłabym opatrzyć ci rany.

Kul ponuro potrząsnął głową.

– Nie przejmuj się.

– Jakie lekarstwa i maści znajdują się w twojej torbie? – zwróciła się do Visbhume'a.

– Żadne!

Przyjrzała mu się uważniej.

– W jaki sposób wyleczyłeś ranę, którą zadałam ci sztyletem?

– Mam tylko rzeczy do mojego osobistego użytku – odparł ciekawym głosem. – Daj mi teraz moją torbę; będę jej potrzebował.

– Visbhume, jak wyleczyłeś policzek?

– Nic ci do tego! – warknął ze złością. – To moja prywatna sprawa. Z wysiłkiem podniosła miecz Kula.

– Visbhume, albo mi zaraz odpowiesz, albo odetnę ci rękę i zobaczę, w jaki sposób poradzisz sobie z taką raną.

Spoglądając z przerażeniem w górę na jej bladą twarz z zaciśniętymi zębami, Visbhume sięgnął do kieszeni w wewnętrznej części rękawa. Wyjął najpierw swój srebrny flet, potem pomniejszone w magiczny sposób skrzypeczki i smyczek, dwa kawałki złamanego sztyletu i na końcu okrągłe białe pudełko, które podał jej z pogardą.

– Posmaruj tym balsamem ranę. Nie marnuj go, jest bardzo cenny. Ostrożnie odłożyła miecz i opatrzyła maścią rany, szramy i sińce na

ciele Kula, nie zważając na protesty Visbhume'a przeciwko szafowaniu jego osobistymi dobrami. Ze zdziwieniem Glyneth zobaczyła, jak pod wpływem tego magicznego balsamu rany zamykają się i skóra staje się gładka. Kul westchnął. Smarując go najdelikatniej, jak umiała, zapytała zatrwożona:

– Dlaczego wzdychasz? Czy sprawiam ci ból?

– Nie... Dziwne myśli pojawiły się w mojej głowie. Miejsca, jakich nigdy nie widziałem.

Visbhume podniósł się i otrzepał ubranie.

– Zabiorę teraz moją torbę, wsiądę na mojego dywanowca i odjadę z tego nieszczęsnego miejsca – przemówił z lodowatą godnością. – Wyrządziliście mi nieobliczalne szkody, raniąc moje ciało i odbierając należne mi prawo wyjścia z Tanjecterlii! Jednak w tych okolicznościach muszę powstrzymać gorycz i znaleźć jak najlepsze wyjście. Glyneth, moja torba, natychmiast! Potem opuszczę was na moim chryżym rumaku.

– Siadaj – rzekł krótko Kul. – Jestem zbyt zmęczony, żeby cię gonić. Glyneth, podejdź do tamtych trupów i poszukaj jakichś rzemieni i sznurów przy ich rynsztunku.

– I co dalej? – zapytał beczelnie Visbhume. – Czy nie przysporzyliście mi już dosyć kłopotów?

Kul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Widocznie nie.

Glyneth przyniosła rzemienie, z których Kul uplótł obrozę na szyję Visbhume'a oraz smycz na dwadzieścia stóp. Tymczasem Glyneth uważnie przeszukała ubranie czarownika, chcąc sprawdzić, czy nie ma gdzieś sekretnych kieszeni, i wyjęła z nich wszystkie magiczne akcesoria, które następnie wrzuciła do torby. Visbhume wreszcie zaprzestał swoich protestów i przykucnął naburmuszony. Osmionożny dywano-wiec, którym przybył, nie odszedł daleko i spokojnie pasł się na łące, wciągając tubami trawę. Kul wszedł na jego długi, płaski grzbiet i rzucił w dół dwie kotwice, by go uwiązać.

Glyneth spojrzała na Visbhume'a.

– Czy teraz odpowiesz na pytania i powiesz nam wszystko, co powinniśmy wiedzieć?

– A pytajcie – odburknął. – Muszę wam teraz służyć albo narażę na cierpienie moje biedne ciało, w którym już odczuwam ból z powodu purpurowych siniaków. Cóż za poniżenie dla osoby mojego stanu!

– Co będziemy jedli, gdy zgłodniejemy?

Visbhume zastanawiał się przez chwilę, po czym oblizał wargi.

– Ponieważ ja też odczuwam głód, powiem ci, jak znaleźć pożywienie. W torbie znajdziesz pudełko. Wyjmij z niego kawałek tkaniny i rozłóż ją. Upuść na nią kroplę wina, okruch chleba i okrawek sera.

Zrobiła, jak powiedział. Kawałek materiału natychmiast stał się wspaniałym adamaszkowym obrusem, na którym znalazły się wszelkiego rodzaju potrawy. Cała trójka najadła się do syta, po czym tkanina ponownie się skurczyła.

– Visbhume, na pewno knujesz po cichu jakiś spisek – odezwała się Glyneth. – Gdyby udało ci się je zrealizować, moglibyśmy mieć pretensje tylko do siebie, dlatego też będziemy czujni i nie okazemy ci litości, jeśli nas sprowokujesz.

– Ba – wymamrotał. – Mógłbym ułożyć dziesiątki planów w ciągu minuty lub nosić się z nimi jak tamto drzewo nosi swoje liście. Ale po co?

– Nie powiedziałabym ci nawet, gdybym wiedziała.

– Ach, Glyneth, twoje słowa ranią! Kiedyś były między nami cieplejsze uczucia, czy tak szybko o tym zapomniałaś?

Skrzywiła się, ale nic na to nie odpowiedziała.

– Jak możemy przesłać wiadomość do Murgena? Visbhume wydawał się naprawdę zdziwiony.

– Po co? To on wie, że tutaj jesteś?

– Po to, żeby otworzył nowe wrota i uratował nas.

– Murgen, bez względu na swoją moc, nie może tego uczynić, kiedy wahadło jest w ruchu.

– Wyj aśnij, jeśli możesz.

– Używam przenośni. Nie ma żadnego wahadła. Przy pewnych wahnięciach czas zatrzymuje się zarówno tutaj, jak i na Ziemi, i można wówczas otworzyć bramę w dowolnym punkcie wychylenia. Widzisz ten czarny księżyc przesuwający się po północnym niebie? RzUCA promień z centralnego bieguna i gdzieś na drodze tego promienia można otworzyć przejście, jeśli wahnięcia są zsynchronizowane. To kwestia dokładnych obliczeń, gdyż czas płynie z różną prędkością tutaj i na Ziemi. Czasami tutaj czas płynie szybko, a na Ziemi wolno, a czasami jest odwrotnie. Tylko wówczas, gdy czas płynie z tą samą prędkością, co jest określone przez wahania, można otworzyć bramę. W przeciwnym bowiem razie można by otwierać bramy gdziekolwiek o każdej porze.

– Jak można ponownie otworzyć tę bramę, kiedy i gdzie? Visbhume wstał, po czym udając znudzenie i zamyślenie, zaczął

manipulować przy obroży na szyi. Kul pociągnął za smycz, co spowodowało, że Visbhume podskoczył w komiczny sposób, żeby utrzymać równowagę.

– Więcej tego nie rób – ostrzegł Kul. – Bądź zadowolony, że ten rzemień masz na szyi i że nie przeciągnąłem go przez dziury w twoich uszach. Odpowiedz na pytanie i nie próbuj nas zwieść swoim gadulstwem.

– Zabieracie całą moją cenną wiedzę, nie dając nic w zamian -warknął Visbhume. – A na dodatek wiążecie za szyję, jakbym był jakimś kundlem albo Postępowcem.

– Ale gdyby nie twoje sztuczki, nie byłoby nas tutaj. Zapomniałeś o tym?

Visbhume wydał chude policzki.

– Z grzebania się w przeszłości nic dobrego nie wyniknie. Co było, to było, bez względu na to, czy z tego powodu radujemy się czy smucimy. To moja zasada! W pryzmacie czasu, w tym punkcie załamania, który zwie się „Teraz”, powinniśmy się zająć tylko pilnymi sprawami.

– Właśnie. Co do „teraz”, odpowiedz na pytanie.

– Bądźmy praktyczni – odparł wyniośle Visbhume. – Muszę przejąć dowództwo, gdyż to ja mam wiedzę, wy zaś musicie mi zaufać, w naszym wspólnym interesie. W przeciwnym bowiem razie będę musiał dokładnie nauczyć was wszystkiego... – Przerwał nagle, gdyż Kul pociągnął mocno za smycz.

– Odpowiadaj!

– Przygotowałem dokładną odpowiedź – zawołał płaczącym głosem. – Nie masz za grosz wychowania. – Chrząknął. – Sprawa jest złożona i obawiam się, że wykracza poza granice waszego pojmowania. Czas przesuwa się o jedną fazę na Ziemi i o jedną tutaj. Każda faza składa się z dziewięciu drgań albo wahnięć, a mówiąc jeszcze inaczej: zaciskania i rozwierania się w punkcie stałym czegoś, co nazywamy „synchronizacją”. Czy to jest jasne? Nie? Tak też przypuszczałem. Nie ma sensu kontynuować. Musicie zaufać moim słowom.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie – zauważyła Glyneth. – Jak wrócimy na Ziemię?

– Przecież nic innego nie robię! Między Ziemią a Tanjecterlią synchronizacja trwa sześć do dziewięciu dni, i jak widzieliśmy, właśnie się skończyła. Potem wraz z punktem stałym przesuwa się wzdłuż promienia czarnego księżyca. Przy następnym wahnięciu brama otworzy się w innym miejscu, ale niekoniecznie tak przyjemnym jak Tanjecterlia. Hidmarth i Skurre to diabelskie światy, Underwood jest pusty i rozlegają się tam jedynie jęki, Pthopus jest jak samotna, uśpiona dusza. Odkrył je i zbadał arcymag Twitten i opisał w swoim almanachu, który jest bardzo cenny.

Glyneth wyjęła z torby długą, wąską księgę w oprawie z czarnego metalu. Jej grzbiet podobny był do pochwy. W środku tkwił czarny dziewięcioboczny metalowy pręt ze złotą gałką na końcu. Wyciągnąwszy ten pręt, Glyneth zauważyła, że na każdym z dziewięciu boków wyryte były niewyraźne złote litery.

Visbhume wyciągnął niedbale rękę.

– Pozwól, że przypomnę sobie pewne rzeczy. Nie pamiętam moich obliczeń.

Glyneth odsunęła księgę.

– Do czego służy ten pręt?

– To instrument pomocniczy. Włóż go z powrotem w grzbiet księgi i podaj mi ją.

Włożyła pręt na swoje miejsce i otworzyła księgę. Pierwsza strona, zapisana dziwnymi drobnymi znakami z ogonkami i zawijasami w kształcie pętli, była nieczytelna, ale ktoś, być może Visbhume, dołączył do niej kartkę, która wyglądała na tłumaczenie oryginalnego tekstu. Glyneth przeczytała na głos:

Tych dziewięć miejsc i Ziemia Gaja tworzą dziesięć światów Kro-nosa, który umieścił je wszystkie na jednej osi. W zręczny sposób uwięziłem tę oś i unieruchomiłem ją. Na tym polega wielkość mojego osiągnięcia.

Spośród tych dziewięciu światów ostrzegam przed Paadorem, Ni-them i Woonem. Hidmarth i Skurre to skażone miejsca nawiedzane przez demony. Cheng może być siedzibą sandestinów, ale to nie jest pewne. Pthopus zaś jest całkiem bezbarwny. Tylko Tanjecterlia toleruje obecność istot ludzkich.

W każdym akapicie almanachu szczegółowo określiłem cykle drgań i podałem wzorzec, zgodnie z którym można uzyskać prawo wstępu i wyjścia z tego świata. Do almanachu dołączony jest klucz i tylko ten klucz umożliwi przejście. Nie zgubcie klucza! Bez niego almanach jest bezużyteczny!

Obliczeń należy dokonać z największą precyzją. Jeśli użyje się klucza na skraju wahnięcia, brama się otworzy. Punkt stały jest nieruchomy i na Ziemi znajduje się w miejscu, w którym go zatrzymałem. W Tanjecterlii leży w centrum Parley, w mieście Asphrodiske zamieszkałym przez

smutne istoty.

Takie jest królestwo Kronosa. Niektórzy powiadają, że on nie żyje, ale jeśli ktoś napotka jego ducha, wystarczy, że pokręci osi, a dowie się prawdy.

Tak mówię ja, Twitten z Ziemi Gai.

Glyneth spojrzała w górę znad almanachu.

– Gdzie leży Asphrodiske?

Visbhume machnął ręką z rozdrażnieniem.

– Gdzieś za tymi równinami. To daleka podróż.

– I stamtąd możemy wrócić na Ziemię?

– Przy niskim wychyleniu.

– Kiedy to nastąpi?

– Pozwól mi zajrzeć do almanachu. Wyciągnęła klucz i podała almanach Kulowi.

– Pozwól mu do niego spojrzeć, ale trzymaj palce na jego gardle. Visbhume zawołał tragicznym głosem:

– Daj klucz! Czy nie zwróciłaś uwagi na ostrzeżenie Twittena?

– Nie zgubię go. Przeczytaj, co chcesz przeczytać.

Visbhume przestudiował wskaźniki i obliczenia, których dokonał już wcześniej.

– Czas będzie odmierzał czarny księżyc podczas swojej wędrówki po niebie w kierunku przeciwnym do obecnego.

– Jak długo będzie ona trwała?

– Tydzień? Trzy tygodnie? Miesiąc? Jedynym punktem odniesienia jest czarny księżyc. Na Ziemi minie zupełnie inny czas, krótszy lub dłuższy, tego nie wiem.

– A jeśli użyjemy tego klucza, w jakim miejscu na Ziemi wyjdziemy?

Visbhume zachichotał.

– Przy Rozstajach Twittena, a gdzieżby indziej?

– Czy zdążymy dotrzeć do Asphrodiske?

– Jest dokładnie tak daleko stąd, jak Watershade od Rozstajów Twittena.

Zastanowiła się.

– Odległość jest duża, ale nie tak bardzo. – Wyciągnęła rękę. – Oddaj mi almanach.

– A ja wziąłem cię za ładną kokietkę! – burknął Visbhume. – Jesteś nieugięta jak stal! – Niechętnie wykonał polecenie.

– Za nami stoi dywanowiec Visbhume'a czy jak się to nazywa. Jest spokojny i gotowy do drogi. Dlaczego nie mielibyśmy pojechać do Asphrodiske wygodnie i elegancko?

Kul pociągnął za smycz.

– Wstawaj! Każ swojej bestii, żeby nam służyła.

I znów z niechęcią Visbhume wykonał rozkaz. Kotwice wciągnięto na górę, Glyneth i Kul usadowili się pod baldachimem, a Visbhume z posępną miną usiadł na zadzie zwierzęcia i zamachał nogami. Cała trójka ruszyła przez równiny Tanjecterii.

Rozdział 16

I

Chata drwała straciła całą swoją magiczną moc. Przez drzwi wpadały do środka promienie słońca, tworząc prostokąt światła na podłodze i pozostawiając w mroku stół i ławę. Ciszę zakłócał jedynie szept wiatru wśród listowia.

Wszystko, co wydarzyło się w tej chacie, lub co mogło się w niej wydarzyć, stanowiło część smutnej, gorzkiej przeszłości i przeminęło na zawsze.

W Watershade Aillas, Dhrun i Shimrod przeżyli siedem ponurych dni. Przygnębiony Shimrod mógł im tylko przekazać, że Murgen nie przestał się interesować ich sprawą.

Smutek panujący w tak dobrze znanych im komnatach, w których ciągle unosiło się wspomnienie wesołej obecności Glyneth, stał się w końcu nie do zniesienia. Shimrod wyjechał do Trildy, a Aillas i Dhrun wrócili do Domreis.

Na zamku Miraldra panowała posępna i ospała atmosfera. Aillas zajął się rutynowymi sprawami królestwa, podczas gdy Dhrun podejmował bezskuteczne wysiłki, żeby ponownie zacząć studia. Uwagę Aillasa przyciągnęły depesze z Południowych Ulflandów. Skalradzi ściągali ze wszystkich stron na wybrzeże, by utworzyć potężną armię. Najwyraźniej zamierzali uderzyć na Południowe Ulflandy, zniszczyć wojska Aillasa i zająć Suarach, Oaldes, a może nawet samo Ys.

Aillas i Dhrun popłynęli do Południowych Ulflandów z nowymi oddziałami z Dascinetu i Scoli. Przybyli do Oaldes i natychmiast udali się konno do Doun Darric.

W czasie narady Aillas dowiedział się, że ostatnio nie było żadnych większych potyczek, co bardzo go zadowoliło. Jego strategia polegała na tym, by zadać jak najcięższe straty wrogowi, samemu ponosząc minimalne. Był to rodzaj walki, do której przygotował swoją armię, a która ustawiała Skalradów na niedogodnej pozycji. W rezultacie Skalradzi stracili kontrolę nad południową częścią Północnych Ulflandów z wyjątkiem zamku Sank, silnie obwarowanej twierdzy.

Aillas wysłał list do Sarquina, elekcyjnego władcy Skaghane: *Do wiadomości szlachetnego Sarquina, króla elekta.*

Ja, prawowity i koronowany król Ulflandów, stwierdzam, że twoje wojska nadal depczą moją ziemię i trzymają moich poddanych pod jarzmem niewoli.

Żądam, żebyś wycofał swoją armię na wybrzeże, uwolnił wszystkich Ulfandczyków i zaprzestał agresywnych najazdów na mój kraj. Jeśli uczynisz to od razu, nie będę się domagał odszkodowań.

Jeśli nie spełnisz mojej prośby, twoi ludzie zginą, a skalradzka krew popłynie obficie. Moje wojska przewyższają obecnie twoje pod względem liczebności. Są wyćwiczone, by atakować nie przyjmując ciosów wroga. Moje okręty kontrolują Morze Wąskie i w każdej chwili możemy spalić wasze nadbrzeżne miasta. Wkrótce ujrzycie czarne dymy unoszące się nad brzegami Skaghane i niedola, którą sprowadziłeś na mój naród, stanie się teraz udziałem twego ludu.

Wzywam was do porzucenia waszych mrzonek o podboju. Nie jesteście w stanie nam zaszkodzić w żaden sposób, my zaś możemy was zniszczyć i doprowadzić do wielkiego upadku.

Tak mówię ja,

Aillas, król Troicinetu, Dascinetu, Scoli i Ulflandów.

Aillas zapieczętował list i przekazał przesyłkę przez jednego ze skalradzkich rycerzy, których wziął do niewoli. Minął tydzień i jedyną odpowiedzią były nagłe ruchy skalradzkich oddziałów. Od wybrzeża, posuwając się ze złowieszczą rozwagą, nadciągała wielka czarna armia.

Aillas nie miał najmniejszego zamiaru atakować tak potężnej siły. Natychmiast jednak wysłał patrole, żeby zwabiły skalradzką lekką jazdę w pole rażenia jego łuczników. Małe grupy krążyły wokół Skalradów atakując tabory i wyłapując kurierów.

Armia skalradzką rozdzieliła się na dwie części o mniej więcej równej sile, z których jedna udała się w stronę miasta Kerquar na zachodzie, a druga ruszyła na wschód, w stronę Tarninowych Wrzosowisk w centrum Północnych Ulflandów.

Ulflandzcy poczynali sobie coraz śmielej. Zbliżali się do Skalradów na odległość, z której mogli obrzucać ich obelgami w nadziei, że uda im się odciągnąć jakąś grupę od głównego oddziału, wciągnąć w pułapkę i wyciąć w pień. W nocy Skalradzi wystawili silne warty, lecz gdy i to nie pomagało, sami zaczęli wysyłać nocne patrole i zastawiać pułapki, co do pewnego stopnia ograniczyło działalność Ulflandczyków, chociaż nie zmniejszyło strat po skalradzkiej stronie.

Niektóre sygnały wskazywały na upadek morale wśród Skalradów. Upřednio atakowali bezkarnie i uważali się za niepokonanych. Teraz, gdy stali się zwierzyną łowną, szybko się okazało, że pod przykrywką niezwykłości nie kryła się żadna istotna treść. Choć długo i dokładnie analizowali swoje ostatnie porażki, nie potrafili ich wytłumaczyć.

Aillas zastanawiał się, czy nie można by sprowokować ich do popełnienia nowych błędów taktycznych, które mogłyby zostać wykorzystane przez siły ulflandzkie. On i jego dowódcy ślęczeli nad mapami, opracowując różnorodne plany bitew, każdy z uwagami na temat postępowania we wszystkich możliwych wypadkach.

W ten sposób rozpoczęły się zawile i dokładnie przygotowane operacje – ataki, odwroty, a nawet coraz śmielsze akcje przeciwko miastom na wybrzeżu, które z czasem przerodziły się w prawdziwe najazdy połączone z atakami od strony morza. Wreszcie, zgodnie z przewidywaniami Aillasa, oddziały wroga stacjonujące w Kerquar wyruszyły na północny zachód, pozbawiając tej części swej armii, która zajmowała Tarninowe Wrzosowisko, posiłków w przypadku nagłego, zmasowanego ataku. Wyglądało na to, że Ska zaniechali planów inwazji na Południowe Ulflandy.

Aillas natychmiast wysłał oddział lekkiej jazdy, żeby nękał i absorbował uwagę wroga, lecz nie wchodził w poważne zwarcia z jego bardzo zdyscyplinowaną ciężkozbrojną konnicą. W tym samym czasie wysłał specjalne oddziały oblężnicze wyposażone w dwa tuziny ciężkich kusz, katapult i innych machin do zamku Sank, fortecy strzegącej południowo-wschodniej granicy. Zaplanował szybki i zmasowany atak, i tak się też stało, pomimo że wróg ściągnął posiłki i odbudował garnizon.

W ciągu sześciu godzin runęły mury zewnętrzne i pod ostrzałem łuczników ustawionych na wysokich drewnianych wieżach, znalazła się cytadela. Z machin oblężniczych posypały się ogromne głazy. Gdy rozbiły dachy, poczęto miotać ogniste kule, zapalające roztrzaskane drewno. Choć obrońcy walczyli z desperacką odwagą, dwukrotnie udaremiono ich wypady.

Drugiej nocy, w końcowej fazie szturm Aillasowi wydało się, że w świetle szalejących wysoko płomieni zobaczył na jednym z parapetów Tatzel. Na głowie miała hełm łuczniczy, a w ręku łuk, z którego słała strzałę za strzałą w kierunku atakujących żołnierzy. Już miał do niej zawołać, lecz słowa uwięzły mu w gardle i tylko patrzył zafascynowany. Wreszcie dostrzegła go. Nałożyła strzałę na cięciwę, naciągnęła ją z całych sił, ale zanim zdążyła wystrzelić, inna strzała przecięła powietrze i utkwiała w jej piersi. Znieruchomiała jakby w zdziwieniu i bezwolnie posłała strzałę w blankę, przy której stała. Ugięły się pod nią kolana i osunęła się na ziemię znikając z oczu Aillasowi, który nie był już pewien, czy to właśnie ją widział w migoczącym czerwonym świetle. Później nie znaleziono jej

wśród żywych, a on nie miał ochoty szukać dzielnej młodej Tatzel wśród zwęglonych ciał.

Dowiedziawszy się o ataku na zamek Sank, wojska skalradzkie zajmujące Tarninowe Wrzosowiska zwinęły obóz, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, aby dotrzeć do Sank na czas i przełamać obleżenie. W pośpiechu Skalradzi odstąpili od swego zwykłego sposobu maszerowania zwartą grupą i pognali na północ w kolumnie. Był to błąd, który nie zaskoczył Aillasa, gdyż on sam niejako sprowokował ich do jego popełnienia. W miejscu zwanym Tolerby Scrub, Skalradzi natrafili na zasadzkę głównych sił ulflandzkich. Sześćdziesięciu troicyjskich rycerzy uderzyło w samo serce ich armii, po czym zawróciło i wycofało się, a tymczasem z przeciwnej strony nastąpił atak ulflandzkich baronów.

Walka była zacięta i dopiero, gdy zwycięskie oddziały wracające z Sank przełamały skrzydło Skalradów, szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Ulflandczyków.

Bitwę przeżyło niewielu Skalradów, również Ulflandczycy i Troicyj-czycy ponieśli duże straty. Widok straszliwej rzezi przyprawił Aillasa o mdłości. Teraz jednak był panem całych Północnych Ulflandów, z wyjątkiem obszarów w pobliżu wybrzeża i potężnej fortecy Poelitetz.

Dwa tygodnie później w towarzystwie pięćdziesięciu rycerzy Aillas zbliżył się do resztek skalradzkiej armii, które obozowały w pobliżu miasta Twock. Przez herolda z flagą pokoju przesłał wiadomość następującej treści:

Aillas, król Troicinetu, Dascinetu, Scoli i Ulflandów wzywa wodza armii skalradzkiej do podjęcia pertraktacji pokojowych.

Na szczycie wzgórza ustawiono stół przykryty białym obrusem, dostawiono do niego krzesła, a na słupach wywieszono dwie chorągwie -jedną ze srebrno-czarnym godłem Skaghane i drugą, podzieloną na cztery pola symbolizujące Troicinet, Dascinet, Ulflandy i Scolę.

Z dwoma rycerzami i parą heroldów u boku Aillas stanął w odległości dziesięciu jardów od stołu. Po chwili od strony skalradzkiego obozu nadeszła podobna grupa.

Aillas podszedł do stołu. Dowódca Skalradów uczynił to samo. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o ostrych rysach i przeplatanych siwizną czarnych włosach.

Aillas uklonił się.

– Jestem Aillas, król Troicinetu, Dascinetu i Ulflandów.

– Ja jestem Sarquin, król elekt Skaghane i wszystkich Skalradów -odparł Skalrad.

– Jestem szczęśliwy, że mogę poznać osobę o tak wielkim autorytecie – rzekł Aillas. – Mam dzięki temu ułatwione zadanie. Przybyłem tu po to, żeby wynegocjować warunki pokoju. Odzyskaliśmy nasze terytorium i właściwie wygraliśmy wojnę. Nasza nienawiść do was nie minęła, ale nie warto dla niej przelewać więcej krwi. Moglibyście walczyć dalej, lecz oddziały wasze zostały zdziesiątkowane przez wojowników nie gorszych od was samych. Jeśli zdecydujecie się na dalszą walkę, w Skaghane pozostaną tylko dzieci, kobiety i starcy. Nawet dziś mógłbym wylądować w Skaghane z trzema tysiącami ludzi i nikt nie zdołałby mnie powstrzymać, nie chcę jednak, żeby dzielni mężowie, tak po twojej, jak i po mojej stronie ginęli czy doznawali ran. A oto warunki mojego pokoju: wycofacie całe wasze siły z Ulflandów, również z Póelitetz. Nie zabierzecie ze sobą żadnych dóbr ani skarbów zgromadzonych w Ulflandach, ani też stad koni, bydła, owiec czy świń. Rycerze będą mogli odjechać na swoich wierzchowcach; wszystkie pozostałe konie będziecie musieli oddać. Zachowacie suwerenność na wybrzeżu, aby lud wasz mógł pracować i żyć w dostatku. Uwolnicie wszystkich niewolników, chłopów pańszczyźnianych i jeńców przetrzymywanych w Skaghane, na wybrzeżu bądź w jakimkolwiek innym miejscu i doprowadzicie ich z należyty szacunkiem do miasta Suarach. Nie będziecie spiskować, sprzymierzać się czy też

udzielać rad i pomocy moim wrogom, a zwłaszcza królowi Casmirowi z Lyonesse. Nie żądam od was żadnego odszkodowania lub zadośćuczynienia rodzinom tych, których zabiliście w swojej żądzy zdobywania. Warunki te są wspaniałomyślne. Jeśli je przyjmiesz, będziecie mogli wrócić do Skaghane z honorem, gdyż wasi żołnierze walczyli dzielnie. Z pewnością są to warunki, które zapewnią wam pokój, pomyślność, a w swoim czasie godne miejsce pośród narodów wysp Elder. Jeśli je odrzucisz, nie tylko niczego nie zyskasz, ale sprowadzisz nieszczęście na swoich poddanych i swój kraj. Choć nie będziemy nigdy przyjaciółmi, nie musimy być wrogami. Takie są moje propozycje. Możesz je przyjąć albo odrzucić.

Sarquin, król elekt Skaghane, wypowiedział tylko dwa słowa:

– Przyjmuję je. Aillas podniósł się.

– W imieniu tych wszystkich, którzy zginęliby, gdybyś ich nie przyjął, dziękuję ci za twoją mądrą decyzję.

Sarquin także powstał, po czym uklonił się, odwrócił i dołączył do swojej armii. Pół godziny później Skalradzi zwinęli obóz i pomaszerowali na zachód w kierunku wybrzeża.

II

Wojna była wygrana. Oddziały skalradzkie opuściły Poelitetz i natychmiast ich miejsce zajął ulflandzki garnizon. Wkrótce po tym Audry, król Dahautu wystosował do Aillasa protest, twierdząc, że twierdza Poelitetz leży na terytorium Dahautu.

Aillas odpowiedział, że choć król Audry przytoczył kilka argumentów natury technicznej i starał się je podeprzeć w zręczny sposób, uciekając się do abstrakcyjnej logiki, to jednak nie znajdowały one uzasadnienia w rzeczywistości. Aillas wykazał, że w przeszłości zadaniem fortecy Poelitetz była obrona Ulflandów przed Dahautem. Gdyby należała wtedy do Dahautczyków, nie spełniałaby swojej funkcji, gdyż linia Wielkiego Urwiska, na której znajdowała się twierdza, wyznaczała naturalną granicę o wiele bardziej niż zlewisko rzek w masywie Teach tac Teach.

Król Audry z furją rzucił list Aillasa na podłogę i nigdy nie zadał sobie trudu, aby na niego odpowiedzieć.

Aillas i Dhrun wrócili do Troicinetu, zostawiając sir Tristana i sir Maloofa, żeby dopatrzyli szczegółów odwrotu Skalradów, który i tak przeprowadzali ze skrupulatną dokładnością.

Minęło kilka dni od powrotu Aillasa i Dhru na do Domreis, gdy na zamku Miraldra pojawił się Shimrod. Po kolacji cała trójka zasiadła przy płonącym kominku w bocznym salonie. Pełną zakłopotania ciszę przerwał wreszcie Aillas.

– Przypuszczam, że nie masz nam nic nowego do powiedzenia.

– Zaistniały pewne dziwne okoliczności, ale na dobrą sprawę niczego nie zmieniły.

– Jakie dziwne okoliczności masz na myśli?

– Każ przynieść więcej wina – powiedział Shimrod. – Będzie to długa opowieść, od której może mi zaschnąć w gardle.

Aillas wezwał lokaja.

– Jeszcze dwie... nie, trzy butelki wina, gdyż musimy zadbać o głos Shimroda.

– Czy będę mówił głośno, czy cicho, wciąż jest wiele spraw, których nie potrafię wytłumaczyć.

Widząc nieokreślone wahanie w zachowaniu przyjaciela, Aillas chwycił go za słowo:

– Jak to „wciąż”?

– Wciąż, jeszcze, wtedy i teraz. Ale powiem wam, czego się dowiedziałem. Przekonacie się, że jest tego niewiele. Po pierwsze, Tanjecter-lia jest zaledwie jednym z dziesięciu światów, wliczając

w to naszą dobrą Ziemię Gaję, którymi kręci ojciec Kronos. Niektóre z nich są we władaniu demonów, o innych nawet tego nie można powiedzieć. Swoim czarodziejskim kluczem Visbhume otworzył wrota zamykające szczelinę do Tanjecterlii, ale wydaje się, że czasami szczeliny te same się rozwierają i wpadają w nie niczego nie spodziewający się ludzie, po czym znikają na zawsze. Ale zostawmy to na razie. Pewien nieposkromiony czarnoksiężnik o imieniu Ticely Twitten zbadał te światy i w swoim almanachu opisał to, co sam nazywa „impulsami” lub „drganiami”. W Tanjecterlii czas nie płynie tak samo jak tutaj. Minuta na Ziemi może oznaczać godzinę tam, albo odwrotnie.

– Ciekawe – rzekł Aillas. – Co dalej?

– Moja opowieść zaczyna się od Twittena. Jego almanach należał najpierw do Hippolita z Mank, a następnie znalazł się w rękach Visb-hume'a. Z nieznanых powodów Casmir kazał Visbhume'owi wydobyć pewne informacje od Glyneth, a on zabrał ją do Tanjecterlii, między innymi dlatego, że Tamurello miał nadzieję, iż w ten sposób ja albo Murgen damy się bezmyślnie złapać w pułapkę. Zamiast tego, jak wiecie, wysłaliśmy tam Kula, żeby uratował Glyneth. Niestety, nie wiemy, czy mu się udało...

Dywanowiec pognał w kierunku, który Glyneth postanowiła nazwać wschodnim, w stronę przeciwną do punktu, w którym po raz pierwszy zobaczyła na niebie czarny księżyc. To dziwne ciało niebieskie wyraźnie przesunęło się już na północ, ale nie zmieniło swej pozycji względem linii horyzontu.

Przez dziesięć mil ich rączy rumak biegł wzdłuż brzegu rzeki mijając rozciągające się po południowej stronie otwarte równiny. W oddali jakaś grupa długonogich istot zainteresowała się ich przejazdem i zaczęła się nawet dość niebezpiecznie do nich zbliżać, ale dywanowiec przyspieszył i stworzenia te straciły ochotę na pogoń.

Rzeka skręciła na północ i dziwny wierzchołek ruszył przez na pozór bezkresny step, porośnięty krótką, niebieską trawą i gdzieniegdzie samotnymi, kulistymi drzewami.

Kul jechał z przodu, stojąc na grzbiecie rumaka. Glyneth usadowiła się wysoko pod baldachimem, na wyściełanej ławce, skąd miała dobry widok na wszystkie strony. Gdyby tylko zechciała, mogłaby zejść na dywan, który przykrywał grzbiet zwierza, i zbliżyć się do tyłu, gdzie na zadzie, w obroży na szyi, siedział Visbhume. Czuł się tak upokorzony, że ze złości oczy zachodziły mu łzami.

Przez pewien czas Glyneth ignorowała go, rzucając mu tylko sporadyczne spojrzenia, aby się upewnić, że nie zamierza skorzystać ze swoich sztuczek. Wreszcie zeszła na dywan i zbliżyła się do ogona.

– Czy tu nigdy nie zapada noc? – zapytała Visbhume'a.

– Nigdy.

– Jak zatem będziemy mierzyć czas i skąd będziemy wiedzieli, kiedy mamy iść spać?

– Śpij, kiedy jesteś zmęczona – odpowiedział oschle. – Taka jest zasada. A co do pomiaru czasu, czarny księżyc musi wystarczyć za zegar.

– A jak daleko stąd jest Asphrodiske?

– Trudno powiedzieć. Może kilkaset mil. Twitten nie narysował mapy, żeby ułatwić nam sprawę. – Do głowy przyszła mu nagle pewna myśl. Zamrugał oczami i oblizał wargi. – Jednak przeprowadził dokładne badania. Przyniesz almanach, to dokonam potrzebnych obliczeń.

Zignorowała jego prośbę. Spojrzała w bok, mierząc wzrokiem przesuwaną się krajobraz.

– Przy tej prędkości z pewnością pokonujemy cztery lub pięć mil w ciągu godziny. Czy ten stwór się nie męczy?

– Będzie chciał odpoczywać i paść się tak długo, jak biegł.

– Zatem w ciągu pięćdziesięciu godzin przejeździemy sto mil.

– Twoje obliczenia są słuszne, ale nie wzięłaś w nich pod uwagę niebezpieczeństw ani opóźnień.

Podniosła w górę wzrok na krążące słońca.

– Jestem już tak zmęczona, że mogłabym zasnąć na stojąco.

– Ja też jestem zmęczony. Zatrzymajmy się, aby odpocząć. Pomimo zmęczenia mogę jako pierwszy trzymać wartę, żebyście ty i ta bestia mogli spać spokojnie.

– Bestia?! Mówisz o Kulu?

– Właśnie. Podeszła do Kula.

– Jesteś zmęczony? Zastanowił się.

– Tak, jestem zmęczony.

– Czy możemy stanąć, żeby się przespać? Przyjrzał się badawczo okolicy.

– Nie dostrzegam żadnego bezpośredniego zagrożenia.

– Visbhume uprzejmie zaproponował, że pierwszy będzie pełnił wartę, żebyśmy ty i ja mogli spać w spokoju.

– Ach! Visbhume okazuje niezwykłą wspaniałomyślność.

– Zna też kilka strasznych sztuczek.

– Właśnie. Nasz sen mógłby być smaczny, głęboki i... długi. W skrzyni z uprzężą znalazłem jednak spory kawał liny i chyba mimo wszystko Visbhume będzie mógł nam wyświadczyć tę przysługę.

W odległości pięćdziesięciu stóp od siebie rosły dwa drzewa. Kul zatrzymał w tym miejscu dywanowca i rzucił kotwicę.

– Co teraz? Odpoczywamy? Mam pierwszy stanąć na straży? – z nie skrywanym zainteresowaniem zapytał Visbhume. – Jeśli tak, to zdejmij mi tę obrożę, żebym mógł swobodnie rozglądać się na prawo i lewo.

– Wszystko w swoim czasie – odpowiedział Kul.

Z umocowanej za baldachimem skrzynki na uprzęż wyjął zwój mocnej liny. Przywiązał jeden jej koniec do drzewa, po czym skinął na Visbhume'a.

– Stań dokładnie tutaj, w połowie drogi między drzewami.

Z groźną miną Visbhume wykonał polecenie. Kul zdjął mu obrożę i zawiązał mu wokół szyi linę. Drugi jej koniec przymocował do przeciwległego drzewa tak mocno, że Visbhume nie mógł się poruszyć ani oddalić, chociaż jego ręce i nogi nie były skrepowane. Glyneth przyglądała się temu z aprobatą.

– Teraz musisz go dokładnie obszukać, gdyż ma kieszenie w rękawach, w spodniach i prawdopodobnie nawet w butach.

– Czy nie mam już prawa do żadnej prywatności? – wrzasnął z furją Visbhume. – Tego rodzaju przeszukanie jest sprzeczne z każdą znaną mi zasadą dobrego wychowania.

Kul sprawdził centymetr po centymetrze strój Visbhume'a i okazało się, że przez nieśmiałość Glyneth nie obszukała go z należytą dokładnością. Kul znalazł krótką tubę o nieznanym przeznaczeniu, brązowe pudełko zawierające coś, co wyglądało na miniaturową chatkę, a w szwach spodni dwa zwoje mocnego i sprężystego drutu. Po wewnętrznej stronie paska odkrył sztylet. Buty, chusta i fałdy spodni przy chudych kostkach nie skrywały żadnych przedmiotów.

Glyneth przyjrzała się dokładnie miniaturom.

– Wygląda to na magiczną chatkę. Jak się ją powiększa?

– To bardzo cenna rzecz. Nie pozwalam z niej korzystać byle komu.

– Posłuchaj, Visbhume – odezwał się Kul. – Na razie jesteś cały i zdrowy. Jadałeś dobrze i nie musiałeś iść piechotą. Jeśli chcesz, żeby było tak nadal, odpowiadaj na każde pytanie bezpośrednio i zgodnie z prawdą, w przeciwnym razie ściągniesz na siebie wielkie nieszczęście.

Visbhume odpowiedział ze złością:

– Postaw tę miniaturkę na ziemi i zawołaj: „Domku, domku, rośnij w mig!” Jeśli chcesz, żeby się zmniejszyła, musisz zawołać: „Domku, domku, skurcz się w mig!”

Glyneth postawiła chatkę i zawołała:

– Domku, domku, rośnij w mig!

Natychmiast stanęła ładna chata z unoszącym się z komina dymem.

– Visbhume, zgodnie z twoją uprzejmą propozycją, ty pierwszy będziesz trzymał straż – rzekł Kul. – Jeśli masz jeszcze w zanadrzu jakieś sztuczki, a nie mam wątpliwości, że tak jest, nie próbuj żadnej z nich, gdyż będę czujny.

W chacie Glyneth znalazła wygodną kanapę i rzuciwszy się na nią, natychmiast zasnęła.

Nie wiedziała, jak długo spała, ale gdy się obudziła, zobaczyła na ziemi przy chacie pograżonego we śnie Visbhume'a.

W przejściu drzemał Kul. Przeszła przez izbę i pogłaskała go po czarnym futrze na głowie. Spojrzał w górę.

– Nie śpisz?

– Będę czuwała, teraz ty się połóż.

Kul podniósł się i rozejrzał po pomieszczeniu. Przez moment pomyślała, że wyciągnie się na podłodze, lecz on rozłożył się na kanapie i zaraz zapadł w sen.

Po chwili obudził się Visbhume, ale Glyneth udawała, że tego nie zauważyła. Badał sytuację zza przymkniętych powiek, spod których błyskały żółte, lisie oczy.

– Glyneth! – szepnął. Odwróciła się. .

– Czy to zwierzę śpi? – dopytywał się Visbhume. Skinęła potakująco głową.

– Wiesz, że w twoim interesie jest trzymać ze mną, potężnym i wszechmocnym Visbhumentem – przemówił przymilnym głosem. – Czy w takim razie przyłączysz się do walki o świętą i słuszną sprawę? Pokonamy tę potworną bestię, które ślini się od gróźb i nie ma za grosz dobrych manier!

– Doprawdy? A potem?

– Wiesz, jak bardzo cię kocham! Czy nie masz dla mnie choć odrobiny podobnych uczuć!

– Co wtedy?

– Wtedy ruszamy w drogę do Asphrodiske i podczas wychylenia przedostaniemy się z powrotem na Ziemię.

– A kiedy to nastąpi?

– Wkrótce, szybciej, niż się spodziewasz!

– Visbhume, zaniepokoiłeś mnie! Czy mamy wystarczająco dużo czasu?

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze i jeśli ja będę dowodził.

– Ale skąd będziemy wiedzieć, ile mamy czasu?

– Powie nam to czarny księżyc. Kiedy jego promień osiągnie punkt leżący dokładnie naprzeciwko bramy, przez którą weszliśmy, będzie to właściwy moment. I co, przyłączasz się do tej jedynej, głęboko słusznej sprawy?

– Kul jest straszny i silny.

– Ja też! Czy on myśli, że opuściła mnie moc? Mam nadzieję, że tak! Więc jesteś ze mną?

- Oczywiście, że nie.
- Co?! Wolisz tę bestię ode mnie, Visbhume'a, który żyje i tańczy w rytm porywającej muzyki?
- Śpij, Visbhume, skoro masz do tego okazję. Twoje głupie gadanie nie daje spać Kulowi.
- Po raz ostatni mnie okpiłaś. Pożałujesz tego! – syknął cicho Visbhume.

Nie odpowiedziała.

Kiedy Kul się przebudził, wyjęli ze spiżarni mleko, chleb, masło, ser, cebulę i szynkę. Gdy już zjedli śniadanie, Glyneth zawołała:

- Domku, domku, skurcz się w mig!

Chata natychmiast zmniejszyła się do poprzednich, miniaturowych rozmiarów i Glyneth ostrożnie włożyła ją do pudełka. Wsiedli na grzbiet dywanowca i ponownie ruszyli przez równinę.

Tego dnia Visbhume chciał zająć miejsce na ławce obok Glyneth.

– Stąd jest widok na całą okolicę! Mógłbym w mgnieniu oka dostrzec każde niebezpieczeństwo, nawet z dużej odległości!

– Ty jesteś strażą tylną – odparł Kul. – Twoim zadaniem jest pilnowanie, czy nic nie zagraża nam od tyłu, a najlepszym do tego miejscem jest zad zwierzęcia, dokładnie tam, gdzie siedziałeś wczoraj. Pospiesz się! Czarny księżyc toczy się po niebie, a my musimy przybyć do Asphrodiske w odpowiednim czasie.

Dywanowiec pognał przez równinę porośniętą niebieską trawą, wyrzucając nogi tak gwałtownie, że frędzle przy dywanie aż podskakiwały w rytm jego galopu. Kul uklęknął przy podstawie baldachimu i pochyliwszy się do przodu, wypełnił swoimi masywnymi ramionami niemal całą przestrzeń między rogami zwierza. Glyneth ułożyła się wygodnie na wyściełanej ławce wymachując leniwie nogą, a tymczasem Visbhume zgarbił się na dalekim końcu dywanu i patrzył ponuro na drogę, którą przebyli.

Na północy pojawił się gęsty las ciemnoniebieskich i purpurowych drzew. Kiedy podjechali bliżej, ich oczom ukazała się rezydencja z ciemnego drewna, zbudowana w eleganckim i majestatycznym stylu, z wieloma wąskimi oknami, wieżyczkami oraz kopułami. Niezliczone wyszukane elementy najwyraźniej dobudowano dla zwykłego kaprysu. W opinii Glyneth styl ten graniczył z ekscentrycznością, chociaż tu, na tej bezkresnej równinie, trudno było powiedzieć, co jest w dobrym guście. Wyprostowała się na siedzeniu, żeby nie wyglądać niedbale i nieporządnie na wypadek, gdyby zza wysokich, wąskich okien ktoś ją obserwował.

Gdy mijali budowlę, wrota stanęły otworem i ukazał się w nich rycerz w błyszczącej zbroi barwionej na czarno i brązowo. Z jego hełmu wyrastał piękny pióropusz z prętów, dysków i zakrzywionych kolców. Siedział na stworzeniu przypominającym czarnego tygrysa z rzędem ostrych rogów wyrastających z czoła, który stał na szeroko rozstawionych łapach. Rycerz trzymał w ręku kopię, na której trzepotał purpurowy proporzec z godłem w kolorach: ciemnoczerwonym, srebrnym i niebieskim.

Zatrzymał się w odległości stu stóp i Kul, chcąc okazać uprzejmość, uczynił to samo.

– Kim jesteście wy, którzy bez żadnego pozwolenia przekroczyliście granice mojej posiadłości? – zawołał rycerz.

– Jesteśmy obcymi przybyszami i nikt nie poinformował nas, że jesteś tu władcą, panie – odpowiedziała Glyneth. – Czy mając to na względzie, zezwolisz nam łaskawie, udać się w swoją stronę?

– Dobrze i uprzejmie powiedziane. Byłbym skłonny potraktować was łagodnie, gdybym się nie obawiał, że mogłoby to ośmielić innych, mniej uprzejmych od was.

– Sir, nikomu nic nie powiemy, zachowamy tę informację dla siebie. Gdy opuścimy twoje

terytorium, nigdy nie rozpowiemy o twojej wyrozumiałości, a w naszych relacjach będziemy jedynie wychwalać przepych twego stroju i twoje rycerskie zachowanie. A teraz pozwól, że się pospiesznie wycofamy z twojej posiadłości.

– Nie tak szybko! Czyżbyś mnie nie zrozumiała? Jesteście aresztowani. Zsiądźcie i wejdźcie do Opuszczonego Domu.

Kul zerwał się na równe nogi.

– Głupcze! Wracaj do swego pałacu, póki jeszcze żyjesz! – krzyknął. Rycerz opuścił kopię. Kul rozpaczy Glyneth, Kul zeskoczył na ziemię.

– Kul, wracaj tu, na górę! – zawołała. – Uciekniemy, a on może nas ścigać, jeśli chce.

– Jego rumak jest za szybki – zauważył Visbhume. – Oddaj tubę, którą mi zabrałaś, a dmuchnę mu w twarz ogniem. Albo nie! W mojej torbie jest lustro. Podaj mi je.

Glyneth znalazła lustro i podała je Visbhume'owi. Rycerz skierował kopię w Kula i czarny tygrys z trzema rogami na czole skoczył do przodu. Visbhume wykonał zamaszty ruch ręką. Zwierciadło powiększyło się, odbijając obraz rycerza i jego wierzchowca, po czym jeździec i jego odbicie starli się w pojedynku. Zatrzęsły się kopie i obaj zostali zrzućeni na ziemię, gdzie wyciągnąwszy miecze, ponownie ruszyli do ataku. Ich wierzchowce-tygrysy kłębiły się na trawie w krwiożerczym uścisku, warcząc i wyjąc.

Kul wskoczył na grzbiet dywanowca, który ruszył ciężko na wschód, zostawiając za sobą pole bitwy. Glyneth podeszła do Visbhume'a.

– To była dobra robota i weźmiemy to pod uwagę, gdy przyjdzie do końcowego rozliczenia. Oddaj mi lustro!

– Będzie lepiej, jeśli zostanie przy mnie – odparł przymilnie Visbhume. – W razie niebezpieczeństwa będę mógł dzięki niemu szybko zadziałać.

– Czy przypominasz sobie ostrzeżenia Kula? – zapytała grzecznie. – Bardzo chciał się zmierzyć z tym rycerzem. Uniemożliwiłeś mu to i teraz może łatwo stracić cierpliwość.

– Ach, ten potworny brutal! – burknął pod nosem Visbhume i niechętnie wypuścił lustro z białych palców.

Czas mijał. Pokonywali milę za milą. Glyneth próbowała zgłębić obliczenia w *Almanachu Twittena*, jednak bez powodzenia. Visbhume odmówił jej pomocy oświadczając, że najpierw musiałaby się nauczyć dwóch sekretnych języków i egzotycznego systemu matematycznego, którymi można się posługiwać za pomocą ich własnych znaków graficznych. Glyneth znalazła także jakąś mapę, który Visbhume w swej łaskawości jej objaśnił.

– Tu są wzgórza Lakkady, tutaj rzeka Mys, a tu chata. To jest wielki step Tang-Tang, zamieszkały jedynie przez pewną grupę rycerzy rabusiów i stada wędrownych bestii. Tędy właśnie podróżujemy.

– A to miasto tutaj, nad rzeką? Czy to jest Asphrodiske? Visbhume popatrzył z ukosa na plan.

– To wygląda na miasteczko Pude nad rzeką Haroo. Asphrodiske jest tu, za tymi lasami i Stepem Chromych Żebraków.

Glyneth spojrzała niepewnie na czarny księżyc, który pokonał już długą drogę nad horyzontem.

– Przed nami jeszcze dość znaczna odległość. Czy mamy czas?

– Wiele zależy od przebiegu podróży. Gdyby za tę ekspedycję był odpowiedzialny tak doświadczony dowódca dalekich wypraw jak ja, sprawy potoczyły się gładko.

– Weźmiemy pod uwagę każdą twoją radę. Miej też baczenie na rycerzy, rabusiów i koczownicze bestie.

Jadąc przez step Tang-Tang, nie napotkali żadnych rozbójników ani wędrownych potworów,

choć w oddali widzieli długoszyje zwierzęta, zrywające owoce z drzew i sporadycznie pojawiające się stada podskakujących i poruszających się susami dwunożnych wilków. Od czasu do czasu stworzenia te stawały wyprostowane, żeby lepiej przyjrzeć się wierzchowcowi, który na grzbiecie niósł Glyneth siedzącą w nonszalanckiej pozie pod baldachimem, klęczącego poniżej Kula i pochylonego nad zadem Visbhume'a.

Visbhume poczuł się senny i położył się na dywanie, drzemiąc w ciepłych promieniach słońca. Zaalarmowana nagłym dźwiękiem, Glyneth obejrzała się i zauważyła, że jeden z wilków, biegnących ukradkiem za dywanowcem wskoczył nań i siedząc Visbhume'owi na twarzy, wysysał krew z jego piersi przez ssawki na poduszkach przednich łap.

Kul natychmiast skoczył do tyłu, chwycił wilka i skręciwszy mu kark, rzucił za siebie. Poblądły Visbhume spojrzał najpierw na Kula, potem w stronę ścierwa wilka, rozrywanego teraz przez czterech pobratymców, i wreszcie odzyskał rezon.

– Gdyby nie pozbawiono mnie moich rzeczy, ten gwałt nigdy by się nie zdarzył!

Glyneth rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

– Zaczniemy od tego, że nie powinieneś być mnie tu w ogóle sprowadzać.

– Nie możesz mnie za to winić. Dostałem polecenie od pewnej wysoko postawionej osoby!

– Od kogo? Od Casmira? To żadne wytłumaczenie. Dlaczego tak bardzo interesuje go Dhrun?

– Zaalarmował go jakiś zły znak czy coś w tym rodzaju – wyznał w nagłym przypiływie szczerości Visbhume, gdyż zbił go z tropu atak wilka, za który mógł obwinie Casmira. Glyneth próbowała wyciągnąć z niego więcej szczegółów, ale odparł, że niczego się od niego nie dowie, chyba że ona odpowie najpierw z równą szczerością na jego pytania. Glyneth roześmiała się tylko pogardliwie.

– Nigdy nie zapomnę tych zniewag! – powiedział ponuro.

Tak jak przedtem, posuwali się spokojnie naprzód. Wilki przez pewien czas biegly za nimi, skacząc na długich łapach, lecz w końcu zawyły z wyrzutem i skręciły na południe. Dywanowiec pokonywał kolejne mile, a tymczasem czarny księżyc kontynuował swoją wędrówkę po niebie. Dwukrotnie zatrzymywali się na postój. Za każdym razem Glyneth wznosiła magiczną chatkę i na stole pojawiał się wspaniały posiłek. Jedli do syta i tylko Visbhume'owi nie pozwalali pić zbyt dużo wina, gdyż znów mógłby poczuć się wielki i zdenerwować ich swymi przechwałkami. Visbhume wpadł w płaczliwy nastrój i zaczął się uskarżać na swe ciężkie położenie. Glyneth nie chciała go słuchać.

– Ponownie zwracam ci uwagę na to, że sam jesteś wszystkiemu winien.

Próbował wykazać, że się myli, ale Glyneth przerwała mu:

– Ani Kul, ani ja nie mamy ochoty tracić czasu na wysłuchiwanie twoich bzdurnych uwag. Zamiast tego – mówiąc to, położyła na stole torbę – powiedz mi, a przypominam ci o ostrzeżeniach Kula, żebyś udzielał jasnych i prostych odpowiedzi, jak miota się ogniem przez tę tubę.

– Nie możesz tego zrobić – odparł, uśmiechając się i bębniąc palcami po stole w rytm jakiejś wewnętrznej melodii.

– A jak ty byś to zrobił?

– Po pierwsze, potrzebowalibyśmy ognistych kul. Czy są w torbie? Zrobiła zakłopotaną minę.

– Nie wiem. – Wyjęła butelkę. – Co jest w tym małym flaconie?

– Cudowny eliksir Hippolita, który wyostrza zmysły. Jedna kropla pobudza umysł i pomaga osiągnąć pozazdroszczenia godny stan wesołości i dowcipu. Dwie krople niezwykle zwiększają zdolności artystyczne i osoba tak pobudzona może układać pieśni oraz epickie sagi na podstawie wzorów w zwykłej pajęczynie.

– A trzy krople?

– Żaden człowiek nigdy tego nie próbował. Kul jednak mógłby chcieć doświadczyć tak wzniosłych i estetycznych wrażeń. Komuś takiemu jak on, zalecałbym cztery, a nawet pięć kropli.

– Kul nie jest esteta. Mamy tutaj twoje gojące maści i balsamy, odżywkę do włosów... Co jest w tej zielonej butelce?

– Jest to, moja droga Glyneth, nalewka wyzwalająca podniety erotyczne. Zniwala cnotliwe dziewczęta, które uprzednio były głuche na zew natury i piękne słówka. Jeśli zażyje jej mężczyzna, nawet starszy wiekiem, poczuje nagły przypływ wigoru. Ożywi nawet tych, którzy z jakichś powodów uważają się za roztargnionych.

– Wątpię, żebyśmy potrzebowali tego odrażającego środka – powiedziała lodowatym tonem Glyneth, po czym wyjęła z torby kolejne przedmioty. – Bańki z insektami, tuba, a to lustro, obrus, chleb, ser, wino. Skrzypce i smyczek, jakieś piszczałki, zwoje drutu. Jakie jest ich przeznaczenie?

– Przydają się, gdy ktoś chce przejść nad przepaścią lub rozbić kamienne mury. Trzeba jednak zapamiętać skomplikowane zaklęcia.

– A ogniste kule?

Visbhume machnął lekceważąco ręką.

– Nie ma odpowiedzi na to pytanie.

– Kul! Nie zabijaj go! – zapiszczała nagle.

Kul wrócił na swoje miejsce, a Visbhume skulił się żałośnie w narożniku. Pod wpływem nagłego natchnienia, Glyneth wskazała na rząd ozdobnych guzików przy rękawach koszuli Visbhume'a – Guziki! Visbhume, czy to są ogniste kule? Kul, bądź cierpliwy. Oderwij te guziki.

– Będzie lepiej, jeśli kilka z nich zje. Visbhume spojrzał na niego wstrząśnięty.

– Nigdy!

– Więc dawaj je tutaj!

– Nie! – krzyknął Visbhume. – Gdy tylko zostaną oderwane, trzeba je wydmuchnąć przez tubę.

Kul odciął z luźnych rękawów długie paski czarnego materiału, do którego przymocowane były ogniste kule. Teraz, gdy Visbhume chodził lub poruszał rękami, przez dziury wystawały mu kościste, białe łokcie.

Glyneth zawinęła tkaninę wokół tuby, tworząc mały pakunek.

– A teraz wyjaśnij, proszę, jak z nich korzystać.

– Trzeba oderwać guzik od tkaniny, włożyć go do tuby główką do wewnątrz, a potem dmuchnąć nim na osobę, którą chce się unieszkodliwić.

– Jakie inne sztuczki chowasz w zanadrzu?

– Żadnych! Nie ma nic więcej! Ograbiałaś mnie do cna! Jestem bezradny!

Glyneth ponownie spakowała torbę.

– Dla twego własnego dobra dobrze by było, gdybyś nie kłamał, gdyż szczerze powiedziawszy, twój nędzny stan już i tak przyprawia mnie o mdłości.

Podobnie jak za pierwszym razem, kładli się spać na zmianę. Visbhume protestował głośno przeciwko spaniu przed chatą, gdyż obawiał się wilków. W końcu został wpuszczony do spizarni, dobrze zabezpieczonej na wypadek, gdyby próbował uciec.

Wkrótce dywanowiec znów wyruszył. Jechali teraz przez bezkresną sawannę porośniętą kulistymi drzewami w nieco odmiennych kolorach niż poprzednio. W przeciwieństwie do karminowoczerwonych drzew nad rzeką Mys, te były musztardowo-żółte, czarne i kasztanowe.

Przed nimi pojawiło się nagle gigantyczne drzewo, wysokie na sześćset stóp. Od jego pnia odchodziło sześć symetrycznie ułożonych konarów, każdy zakończony ogromną kulą ciemnych,

żółto-brązowych liści. Kolejne warstwy gałęzi rosły tak samo aż po wierzchołek. W oddali widać było kilka innych równie olbrzymich drzew, a nawet jeszcze wyższych.

Gdy dywanowiec mijał pierwsze z nich, podróżnicy zauważyli, ku swemu zdumieniu, że w pniu, dwieście stóp nad ziemią, nadrzewne dwunożne istoty wycięły sobie mieszkania połączone chwiejnymi balkonami. Mieszkańcy drzewa byli ogromnie podnieceni widokiem dywanowca. Stojąc na balkonach, pokazywali go sobie palcami, dawali jakieś znaki i wykonywali prowokujące gesty. Visbhume także odpowiadał im obscenicznymi gestami, co tylko pobudzało ich do nowych wybuchów oburzenia.

Czarny księżyc nieubłaganie przesuwał się po niebie. Glyneth próbowała obliczyć, jaką odległość i w jakim czasie pokonali, ale jeszcze bardziej się w tym pogubiła. Visbhume udawał podobną niepewność. Kul kazał mu więc zejść na ziemię i biec za wierzchowcem tak długo, aż jego obliczenia staną się dokładniejsze. Niemal natychmiast był w stanie udzielić szczegółowej odpowiedzi.

– Popatrz na tamtą różową gwiazdę! Kiedy czarny księżyc przesłoni ją, droga do Rozstajów Twittena stanie otworem. Wynika to z moich obliczeń, które jednak nie są dokładne co do minuty – dodał szczerze. – Nie chciałbym podawać fałszywych danych.

– A jak daleko mamy jeszcze do Asphrodiske?

– Pozwól mi się przyrzyć wykresowi w almanachu.

Ostrożna aż do przesady Glyneth usunęła z grzbietu księgi klucz i podała ją Visbhume'owi. Czarnoksiężnik wyciągnął zakrzywiony palec wskazujący.

– Wygląda na to, że jesteśmy w tym miejscu, w pobliżu rzeki Ha-roo. Myślę, że to ją widzimy przed sobą po lewej stronie. Od miasta

Pude zaczynają się obszary zamieszkałe. To jest Droga Okrągłych Kamieni; biegnie obok Ciemnego Lasu i przez Równinę Lili do Asphrodiske, tu, w tym miejscu. Za Pude jest jeszcze około trzydzieści, czterdzieści mil, a czas ucieka. Obawiam się, że za długo spaliśmy, a za krótko podróżowaliśmy.

– A co będzie, jeśli się spóźnimy?

– Wydaje się, że punkt na osi jest w porządku.

– Ale gdybyśmy powrócili do chaty, moglibyśmy prędzej czy później tamtędy przejść. Czy mam rację?

– Ależ oczywiście! Jesteś niezwykle bystrą dziewczyną, prawie tak bystrą, jak pociągającą.

Glyneth zacisnęła usta.

– Zachowaj, proszę, swoje wątpliwe komplementy dla siebie. Twoje insynuacje przyprawiają mnie o mdłości. Kiedy znów otworzy się przejście w chacie?

– Kiedy księżyc dojdzie do tego samego punktu na niebie. Zwróć uwagę na te symbole: oznaczają azymut czarnego księżyca.

Glyneth podeszła do Kula, żeby zdać mu relację z tego, czego się dowiedziała.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Będziemy mniej spać, za to zwawiej posuwać się naprzód.

Dwie lub trzy mile dalej natknęli się na drogę biegnącą z północy, przy której leżało małe miasteczko zabudowane szarymi domami. Droga okrążyła zalesiony pagórek i wiodła na wschód. Kul skierował dywanowca na bity trakt, ale zwierzę wolało biec po niebieskiej darni. Według Visbhume'a, droga ta prowadziła prosto do Asphrodiske. Wskazał na mapę.

– Najpierw przejedziemy przez rzekę Haroo, tu, obok miasteczka Pude, a Asphrodiske leży dalej, za Równiną Lili.

Z ustawionych w równym rzędzie gór spływała rzeka Haroo, przecinając drogę do Asphrodiske.

Trakt wiódł do kamiennego mostu o pięciu przęsłach i dalej, na wschód, obok osady, którą Visbhume nazwał Pude.

– Kim są ludzie mieszkający w tej osadzie? – zapytała go Glyneth. – Czy się tutaj urodzili?

– To ludzie, którzy kiedyś przez nieuwagę wpadli przez dziury do Tanjecterii. Niektórzy z różnych powodów zostali tu umieszczeni przez czarnoksiężników takich jak Twitten. Oni też muszą czekać na stosowną chwilę, aby wydostać się z tej krainy.

– Gorzki to los – rzekła Glyneth. – Jakie to okrutne, kiedy jest się daleko od tych, których się kocha! Zgadzasz się ze mną, Visbhume?

Czarnoksiężnik uśmiechnął się wyniośle.

– Czasami konieczne są małe reprimendy, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z upartymi dziewczętami, które nie chcą podzielić się swoim skarbem.

Kul odwrócił głowę i uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Visbhume'a.

Drogą nadjechał wóz wiozący kilkunastu wieśniaków, którzy ze zdziwieniem i strachem wytrzeszczali oczy na przejeżdżającego dywanowca. Wydawało się, że swoją uwagę skupili głównie na Kulu i kilku z nich zeskoczyło z wozu chwytając za kije, jak gdyby zamierzali bronić się przed atakiem.

– Dziwne zachowanie – powiedziała Glyneth. – Przecież nie zachowywaliśmy się agresywnie. Są bojaźliwi czy po prostu wrogo nastawieni do obcych?

Visbhume zachichotał piskliwie.

– Mają powody, by się bać. W pobliskich górach żyją bestie podobne do Kula i najwyraźniej nie cieszą się dobrą reputacją. Przewiduję kłopoty. Byłoby lepiej pozbyć się Kula z naszego towarzystwa.

– Wejdz pod baldachim na niższą ławkę i zaciągnij zasłonę, żeby twój widok nie trwożył ludzi z miasteczka – zawołała do Kula.

Nieco niechętnie wślizgnął się pod baldachim i zaciągnął firankę. Visbhume, który przyglądał się temu uważnie, przesunął się do przodu i zajął jego miejsce. Spojrzał przez ramię na Glyneth.

– Gdyby zadawali jakieś pytania, powiem, że jesteśmy pielgrzymami pragnącymi zwiedzić zabytki Asphrodiske.

– Uważaj, byś nie powiedział nic więcej – dobiegł go zza zasłonki głos Kula.

Glyneth poczuła się nieswojo. Zajrzała do torby i wyjąwszy z niej „Bańkę Dręczyciela”, umieściła ją w swoim własnym worku.

Dywanowiec przebiegł żwawo przez most i znalazł się na głównej ulicy miasteczka. Visbhume wydawał się niezwykle czujny, rozglądał się na wszystkie strony. W pewnej chwili dotknął grzebienia dywanowca i zwierzę znacznie zwolniło kroku. Kul zazgrzytał zębami.

– Co robisz? Dlaczego zwalniasz?

– Nie chcę wzbudzać niechętnych nam komentarzy. Przez tereny zasiedlone najlepiej przejeżdżać z przyzwoitą i umiarkowaną szybkością, żeby nie wzięli nas za jakichś zbójów.

Z wysokiej budowli z ozdobnego kamienia wyszło trzech mężczyzn ubranych w obcisłe czarne spodnie, suto marszczone tuniki z zielonej skóry i wyszukane kapelusze z szerokim rondem. Pierwszy z nich podniósł w górę rękę.

– Stać!

Visbhume zatrzymał dywanowca.

– Z kim mamy przyjemność rozmawiać?

– Ja jestem czcigodny Fulgis, sprawuję urząd konstabla i sędziego w miasteczku Pude. A wy?

– Jesteśmy niewinnymi pielgrzymami zdążającymi do Asphrodiske, by obejrzeć tamtejsze

zabytki.

– Bardzo to pięknie, ale czy zapłaciliście już mostowe?

– Jeszcze nie, panie. Ile wynosi opłata?

– Za taką menażerię, jaką przed sobą widzę, co najmniej dziesięć dibbetów z dobrego kruszcu.

– Bardzo dobrze! Obawiałem się, że poprosisz o chwast z dywanu. Każdy z nich wart jest dwadzieścia dibbetów.

– Rzeczywiście, zamierzałem włączyć taki chwast do mostowego.

– Co?! – Visbhume zeskoczył na ziemię. – Czy to nie jest odrobinę za dużo?

– Wolicie wrócić za most i przeprowić się przez rzekę wplaw?

– Nie. Glyneth, podaj mi moją torbę, żebym mógł zapłacić sir Fulgisowi jego należność.

Bez słowa podała mu torbę, po czym Visbhume odprowadził Fulgi-sa na bok i z przejęciem zaczął mu coś szeptać do ucha.

– On nas zdradza! – odezwał się chrapliwym głosem Kul. – Spróbuj ruszyć dywanowca z miejsca.

– Nie wiem jak!

Visbhume wrócił i poprowadził wierzchowca na otoczony murami dziedziniec.

– Co robisz? – zawołała ostro Glyneth.

– Obawiam się, że musimy przejść pewne formalności. Mogą znaleźć Kula. Jeśli wpadnie w szal, zapewne obejdą się z nim surowo. Ty, moja droga, możesz zejść na ziemię.

W tym momencie spod baldachimu wyskoczył Kul, chwycił dywanowca za rogi i pognął go przez dziedziniec. Drogę zastąpili mu jednak 387 żołnierze, zarzucili pętlę i ściągnęli Kula z grzbietu zwierza. Gdy leżał oszołomiony na ziemi, związali mu mocno ręce i nogi, a potem zaciągnęli do okratowanej celi z boku dziedzińca. Konstabl zwrócił się do Visbhume'a:

– Dobra robota! Taki dzikus mógł narobić wiele szkód!

– To sprytna bestia – rzekł Visbhume. – Radzę natychmiast ją zabić, żeby nie mogła więcej stwarzać zagrożenia.

– Musimy poczekać na burmistrza; może wezwie Zaxę i dostarczy nam odrobinę rozrywki.

– Kto to jest Zaxa? – zapytał obojętnie Visbhume.

– Stróż prawa i kat. Poluje na dzikie bestie w górach Glone i lubuje się w poskramianiu ich barbarzyńskiej natury.

– Zatem Zaxa znakomicie poradzi sobie z Kulem. My zaś musimy ruszać w drogę, gdyż mamy niewielkie opóźnienie. Za tę przysługę daję wam dwa cenne chwasty warte wiele dibbetów. Glyneth, ruszamy. Jak to dobrze, że pozbyliśmy się tego bezczelnego potwora.

IV

Dywanowiec ruszył pędem w kierunku wschodnim. Biegł Drogą Okrągłych Kamieni, unosząc Visbhume'a zajmującego teraz miejsce na górnej ławce pod baldachimem i przygnębioną Glyneth, skuloną poniżej. Odzyskawszy swoją torbę, Visbhume przejrzał dokładnie jej zawartość, aby się upewnić, że Glyneth nie przywłaszczyła sobie żadnej jego rzeczy. Z zadowoleniem stwierdził, że wszystko było w porządku. Wyjął almanach i dostrzegł błąd w swoich obliczeniach. Ponownie dokonał wielu kalkulacji, których wynik tym razem okazał się pozytywny. Wreszcie uspokojony wyjął swoje skrzypeczki, rozciągnął smyczek do wręcz przesadnej długości, nastroił instrument i zagrał porywającą sekwencję miłych dla ucha melodii: skocznych, żywych, dziarskich i szalonych. To unosił w górę łokcie, to je opuszczał, przez cały czas, przytupując rytmicznie. Stojący przy drodze

wieśniacy spoglądali z ciekawością, na biegnącego z wielką szybkością ogromnego ósmionożnego zwierza z Visbhume wygrywającym porywające rytmy i Glynet-h, która siedziała z ponurą miną. Po powrocie do swoich zagród długo jeszcze opowiadali o dziwnych jeźdźcach i ich wspaniałej muzyce.

Visbhume przypomniał sobie nowy element, którego wcześniej nie uwzględnił w swoich obliczeniach. Odłożył skrzypce i dokonał niezbędnych poprawek. W połowie drogi do Asphrodiske stwierdził, że czarny księżyc zapewniał mu więcej czasu, niż potrzebował, by załatwić wszystkie swoje sprawy. Wprawiło go to we wspaniałą nastrój.

Droga wiodła teraz skrajem Ciemnego Lasu. Visbhume skierował dywanowca w bok i przez niewielką łąkę porośniętą niebieską trawą, dojechali do trzech ciemnoniebieskich drzew. W ich cieniu zatrzymał rumaka i spuścił kotwicę. Majestatycznie zszedł na murawę, postawił miniaturowy domek i powiększył go. Wreszcie odwrócił się do Glynet, wciąż siedzącej na niskiej ławce pod baldachimem.

– Możesz wysiąść, moja droga.

– Wolę zostać tutaj.

– Glynet, zsiądź, proszę, z dywanowca – rzucił szorstko z nutką groźby w głosie. – Musimy omówić pewne ważne sprawy.

Zeskoczyła na ziemię, ignorując jego wyciągniętą dłoń. Z chłodnym uśmiechem wskazała jej drzwi do chaty. Weszła do środka i usiadła. Visbhume zamknął drzwi i zasunął rygiel.

– Jesteś głodna? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała, lecz mówiąc to, zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Odpowiadając twierdząco, mogła zyskać na czasie, a to było dla niej korzystne.

– Chce ci się pić?

Obojętnie wzruszyła ramionami, na co Visbhume przyniósł z kredensu wino i napełnił nim dwa kielichy.

– Moja droga, nareszcie jesteśmy zupełnie sami i to tak blisko siebie! Czyż to nie cudowne? Od dawna czekałem na tę chwilę, ignorując zniewagi i poniżenia, jak przystało na prawdziwego rycerza. Zapomnijmy jednak o tym! Tylko małe umysły żywią urazy! Moja szlachetność pozwala mi odsunąć je na bok. Dumny okręt zawsze zostawia za sobą zawistne fale! Pij! Niech to dobre wino rozgrzeje krew w twoich żyłach! Pij, Glynet, pij! Co? Wzbranasz się? Odsuwasz kielich? Doprawdy, nie jestem zadowolony. Zamiast błyszczących oczu i rozchylnych ust widzę podejrzliwe spojrzenia, zaciśnięte wargi i ponurą minę. To przecież czas radości! Jestem trochę zaniepokojony twoją postawą. Kulisz się i obserwujesz mnie z ukosa, jakbym był jakimś szczurem zjadającym ser. Wstań i podejdz do mnie. Zachowujmy się jak wykwintni kochankowie! Bądź tak miła, rozluźnij ten strój i ukaż swoje cudownie giętkie ciało!

Glynet potrząsnęła przecząco głową.

– Niczego takiego nie zrobię. Visbhume uśmiechnął się.

– Doprawdy? Jaka szkoda, że nie mam dość czasu, aby się z tobą przekomarzać. Niestety, czas jest tu istotny, więc nie odwlekajmy tego momentu. Lecz najpierw, z przyczyn, które staną się dla ciebie jasne, muszę się dowiedzieć tego, czego chciałem, gdy sprowadzałem cię tutaj. Pospiesz się, żebyśmy mogli poświęcić więcej czasu na nasze przyjemności!

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała Glynet, grając na zwłokę.

– Cha, cha! Nie domyślasz się?

– Niezupełnie. Intrygujesz mnie.

– W takim razie wyjaśnię ci wszystko! Właściwie dlaczego nie miałabyś wiedzieć? Z pewnością nigdy nie wykorzystasz tej wiedzy przeciwko mnie. Mam rację?

– Tak.

– Oczywiście, że tak! Słuchaj zatem! Król Casmir usłyszał przepowiednię dotyczącą pierworodnego syna księżniczki Suldrun. Z dzieckiem Suldrun związana jest pewna tajemnica. Elfy zamieniły dziecko na księżniczkę Madouc, ale co się stało z chłopcem, którego zabrały? Jest pewien chłopiec, który opuścił Thripsey Shee i został twoim kompanem. Ma na imię Dhrun, ale wydaje się o wiele za stary jak na syna Suldrun. Kim zatem jest matka Dhruna? Gdzie jest ten chłopiec, którego zabrały elfy i w zamian podłożyły Madouc? Chłopiec ten powinien teraz mieć pięć albo sześć lat. Zgodnie z przepowiednią, zasiądziesz na tronie Evandig przed Casmirem, lub coś w tym rodzaju, i Casmirowi zależy na tym, aby ustalić miejsce jego pobytu.

– Żeby mógł go zabić?

Visbhume uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Tak to już jest z królami. Teraz rozumiesz powód mojej ciekawości. Rozumiesz?

– Tak.

– Doskonale! W takim razie bardzo uprzejmie proszę, żebyś mi powiedziała, co wiesz o tej sprawie i dlatego zadaję ci to proste i nieszkodliwe pytanie: kto jest matką Dhruna?

– Dhrun nie znał swojej matki. Wychowywały go elfy i miał bardzo dziwne dzieciństwo. Kiedyś wyznał mi, że matka Madouc zadawała się z ludźmi i na imię jej było Twisk.

– Słowa, słowa, słowa! – zawołał rozdrażniony Visbhume. – To nie jest odpowiedź na moje pytanie! Pytam raz jeszcze: kto jest lub kto był matką Dhruna?

Glyneth potrząsnęła przecząco głową.

– Nawet gdybym wiedziała, nie powiedziałabym ci, gdyż mogłoby to pomóc królowi Casmirowi, który jest naszym wrogiem.

– Wystawiasz moją cierpliwość na próbę! – warknął. – Ale mamy na to lekarstwo!

Wyjął z torby małą zieloną buteleczkę.

– Jest to, jak sobie przypominasz, prawdziwy i jedyny eliksir miłości. Jedna kropla sprowadza miłosne tęsknoty w każdy kącik kobiecej duszy i budzi niesłuchane pożądanie u mężczyzn. Przypuśćmy, że zmusiłbym cię do zażycia nie jednej, ale dwóch albo nawet trzech kropli? W swej nagłej gorliwości w mgnieniu oka powiedziałaś mi to, co chcę wiedzieć, i nie byłabyś już taka niechętna, żeby zrzucić z siebie szaty.

Łzy popłynęły po policzkach Glyneth.

Co za przykry koniec, pomyślała. Visbhume najwyraźniej zamierza mnie tu zabić lub w najlepszym razie zostawić w Tanjecterii. Visbhume podszedł do niej z buteleczką.

– No, dalej, dziewczyno! Otwórz swoje śliczne małe usteczka. Dam ci jedną kropelkę, jedna wystarczy, a jeśli nie, spróbujemy jeszcze jednej.

V

Kul, wtrącony do celi w miasteczku Pude, przetarł krępujące jego ręce więzy o ostre krawędzie framugi drzwi. Rozwiązał sznury u nóg, jednym kopnięciem rozwalił drzwi więzienia i wypadł na dziedziniec. Strażnicy skoczyli na równe nogi, próbując zagrozić mu drogę, lecz powalił ich na ziemię. Ze stróżówki zabrał swój miecz, wybiegł na drogę i udał się na wschód.

Konstabl Fulgis natychmiast zorganizował grupę pościgową, w której był również straszny Zaxa, półczłowiek, półgad o ramionach jak drewniane kłody i grubej, szarej skórze odpornej na ciosy

dzid, strzał, pazurów czy kłów. Zaxa jechał na wolno posuwającym się dywanowcu, a w rękę trzymał swój legendarny miecz Zil. Reszta grupy jechała na rumakach najróżniejszego rodzaju.

Oddział rzucił się w szaleńczą pogoń i wkrótce dogonił Kula, który wbiegł do Głębokiego Lasu. Ścigający trzymali się tuż za nim krzycząc, nawołując i miotając obelgi pod jego adresem. Kul skoczył na nich z drzewa, powalił ośmiu i uciekł. Reszta ruszyła za nim, tym razem z większą ostrożnością, naradzając się między sobą i powtarzając zwięzłe polecenia, które wydawał stojący na czele grupy Zaxa. Kul przedostał się na ich tyły i ponownie dokonał strasznej rzezi. Zanim przybył Zaxa, Kula już nie było. Po chwili znów wyskoczył z cienia, chwycił konstabla Fulgisa i roztrzaskał mu głowę o drzewo. Wreszcie stanął oko w oko z Zaxą, który zaryczał:

– Bestio, jesteś bystra i nieokiełznana, ale teraz musisz zapłacić za swoje zbrodnie, a cena będzie wysoka!

– Zaxa, pozwól, że coś zaproponuję – odpowiedział Kul. – Ty pójdiesz w swoją stronę, a ja w swoją. W taki sposób żaden z nas nie ucierpi. Ten plan może przynieść korzyść nam obu. Czy dostrzegasz mądrość w mojej propozycji?

Zaxa cofnął się i zaczął rozważać słowa Kula, mrugając przy tym oczami. Wreszcie przemówił:

– Bez wątpienia jest coś w tym, co powiedziałaś. Ale ja przejechałem tak dużą odległość z wyraźnym i określonym zadaniem, żeby ściąć ci głowę moim wspaniałym mieczem Zilem. Postąpiłbym nierozsądnie, gdybym się teraz odwrócił i odjechał do Pude z pustymi rękami. Ludzie z miasta pytaliby: „Zaxa, czy nie pognałeś z miasta na łeb na szyję, by zniszczyć tę krwiożerczą bestię?” A ja mógłbym im tylko odpowiedzieć: „To prawda! Taki był mój cel!” Potem powiedzieliby: „Ach, a więc uciekł ci ten przebiegły brutal?” Na to zmuszony byłbym rzec: „Wręcz przeciwnie! Spotkaliśmy się i wymieniliśmy kilka grzecznych słów, a potem wróciłem do domu”. Mieszkańcy miasta może nie powiedzieliby tego głośno, ale wiem, że straciłbym szacunek w całej okolicy. Dlatego, nawet za cenę złego samopoczucia, muszę cię zabić.

– A co będzie, jeśli umrzesz pierwszy? Zaxa zawył i uderzył w swój szeroki tors.

– Gdy raz położę na tobie ręce, sprawa będzie zakończona. Przygotuj się na spotkanie z wiecznością.

Złączyli się w walce. W końcu zadyszany, zakrwawiony, z poszarpanym ramieniem, Kul stanął nad zwłokami Zaxa. Rozejrzał się po leśnej polanie, ale pozostali przy życiu mieszkańcy miasteczka widząc, jak przebiega walka, uciekli. Kul spojrział na ogromne szare ścierwo i poczuł coś w rodzaju litości.

Podniósł z ziemi Zila, cudowny miecz Zaxy, chwiejnym krokiem podszedł do jego rumaka, wspiął mu się na grzbiet i ruszył na poszukiwanie Glyneth i Visbhume'a.

Zaledwie milę dalej dostrzegł zakotwiczonego dywanowca i chatkę. Kryjąc się, podjechał bliżej, zeskoczył na ziemię i podszedł do drzwi. Ze środka dobiegł go nagły dźwięk tłuczonego szkła.

Wyłamał drzwi i stanął na progu. Visbhume, który właśnie zdzierał z Glyneth suknię, spojrział w górę z przerażeniem. Na kominku leżała rozbita przez Glyneth buteleczka z zielonego szkła. Kul cisnął Visbhume'emu o ścianę z taką siłą, że czarownik upadł na podłogę bez czucia.

Glyneth podbiegła do niego z płaczem.

– Co oni ci zrobili? Och, twoje biedne ramię! Mój kochany, biedny, wspaniały Kul, jesteś ranny!

– Ale niezbyt ciężko. Żyję i to Zaxa przemierza wzdłuż i wszerz krainę wieczności.

– Usiądź tutaj, na krześle. Spróbuję opatrzeć ci ranę.

Raz jeszcze dywanowiec pognął na wschód do Asphrodiske wzdłuż Drogi Okrągłych Kamieni. W komodzie z tyłu chaty Glyneth znalazła coś do przebrania – chłopskie spodnie w szare, czarne i białe pasy oraz koszulę z surowego niebieskiego płótna. Zrobiła wszystko, co było w jej mocy, żeby ulżyć cierpieniom Kula, opatrzyła rany i założyła mu temblak, żeby złamana kość szybko się zrosła. Zaxa wbił swoje kły głęboko w ramię Kula wtryskując w nie trującą ślinę i wdało się zakażenie.

– Weź nóż – powiedział Kul. – Tnij. Niech popłynie krew. Potem zasyp ranę proszkiem.

Glyneth pobladła, wzięła głęboki oddech i trzymając mocno nóż, wbiła go głęboko w ranę, puszczając potok ropy, a potem strugę zdrowej czerwonej krwi. Kul jęknął z ulgą i pogłaskał Glyneth po włosach. Westchnął raz jeszcze i odwrócił wzrok.

– Czasami mam dziwne wizje – powiedział. – Ale nie powinienem śnić, zwłaszcza o rzeczach niemożliwych.

– Mnie też czasem przychodzą do głowy nierealne marzenia. Wprawiają mnie w zakłopotanie, a nawet przerażają. Jednak co mogę poradzić na to, że cię kocham, ciebie, który jesteś taki odważny, dobry i delikatny?

Kul zaśmiał się, ale nie był to śmiech radosny.

– Taki miałem być. – Odwrócił się i spojrzał twardo na Visbhume'a. – Zabiłbym cię teraz, gdybyśmy nie potrzebowali twojej pomocy. Jakie są wskazania księżycy?

Visbhume wstał z grymasem bólu na twarzy.

– A jeśli udzielę wam właściwych informacji?

– Pozwolę ci żyć.

Visbhume wykrzywił twarz w czymś, co było karykaturą beztroskiego i pełnego pewności siebie uśmiechu.

– Przyjmuję ten warunek. Czarny księżyc zbliża się do linii wychylenia. Marudziliście zbyt długo.

– Ruszajmy więc.

Visbhume wykonał ruch, jakby chciał podnieść swoją torbę, lecz Glyneth kazała mu się odsunąć. Zmniejszyła domek i schowała go na swoje miejsce. Cała trójka wspięła się na grzbiet dywanowca i wyruszyła w stronę różowej gwiazdy, która była już bardzo blisko czarnego księżycy.

Tak jak przedtem, Glyneth jechała na najwyższym siedzeniu pod baldachimem, Kul klęczał przy rogach wierzchowca, a Visbhume siedział na zadzie zwierza rozglądając się na boki zażawionymi, wielkimi jak u lemura oczami.

Glyneth targwały sprzeczne uczucia. Miała wrażenie, że każda z nich może złamać jej serce. Pomimo balsamów i proszków Kul nie był już tym samym Kulem.

– Może stracił za dużo krwi – myślała. – Jego skóra jest teraz blada, a ruchy straciły całą swoją szorstkość.

Westchnęła myśląc o powrocie. Tanejterlia stała się już rzeczywistością, a Ziemia wydawała się krainą marzeń, gdzieś za chmurami.

Chyży dywanowiec przemierzał milę za milą, aż znalazł się na Równinie Lili. W oddali widać było niskie wzgórza, szare domy, miasta, a nieco na północ – niską, płaską budowlę z połyskującego srebrnoszare-go metalu.

Visbhume stanął przy baldachimie.

– Moja droga, będę potrzebował almanachu, żeby znaleźć wielką oś.

Glyneth wyjęła klucz z grzbietu księgi i wręczyła mu ją. Przeczytał z uwagą tekst, a następnie

przestudiował małą szczegółową mapkę.

– Aha! – zawołał. – Musimy jechać w stronę tamtej budowli. Zobaczymy platformę, a na niej żelazny słup.

Glyneth wyciągnęła palec.

– Widzę platformę! Jest również słup!

– Naprzód więc, szybko! Czarny księżyc rzucił już promień i nie mamy czasu, żeby zatrzymać się i odpocząć.

Dywanowiec gnał przez okolicę z największą szybkością i wreszcie dotarł do budowli.

– To chyba jakaś stara, opuszczona świątynia – powiedział Visbhume. – Na platformę! Glyneth, klucz!

– Jeszcze nie! I to nie ty, lecz ja użyję klucza.

Visbhume wydał z siebie skrzekliwy dźwięk zniecierpliwienia.

– Nie tak to sobie zaplanowałem. To jest niewykonalne!

– Mimo wszystko nie przejdiesz wcześniej, dopóki Kul i ja nie będziemy bezpieczni po drugiej stronie portalu.

– No cóż! – szepnęła Visbhume. – W takim razie na platformę! Glyneth, skacz na ziemię! Kul, rusz się ze swojej grzędy! Do słupa!

Glyneth podeszła do stopni wiodących na platformę. Kul ciężko osunął się na ziemię i podążył za nią. W tym momencie Visbhume wyjął z kieszeni fujarkę i zagrał chrapliwe, nieharmonijne *arpeggio*. Dywanowiec zawył wściekle i opuściwszy łeb, ruszył w stronę Kula. Visbhume tańczył, unosząc wysoko kolana i wygrywając kłócące się ze sobą tony. Kul próbował uskoczyć w bok, ale jego nogom brakowało już sprężystości. Dywanowiec nadział go na rogi i wyrzucił wysoko w górę.

Zanosząc się od płaczu, Glyneth zbiegła w dół i pochyliła się nad Kulem. Spojrzała na Visbhume'a z przerażeniem i nienawiścią.

– Raz jeszcze nas oszukałeś!

– Nie bardziej niż ty mnie! Spójrz na mnie! Ja jestem Visbhume! Prawisz czułe słówka tej kreaturze, która jest w połowie zwierzęciem, a w połowie człowiekiem. To jest nienormalne! A jednocześnie szydzisz ze mnie, dumnego i szlachetnego Visbhume'a!

Glyneth zignorowała go.

– Kul żyje! Pomóż mi go podnieść!

– Nigdy! Czy jesteś szalona? Szybko! Mówisz, że żyje; czy mam wezwać dywanowca, żeby go stratował?

Spojrzała na niego z przerażeniem.

– Nie!

– Powiedz mi, kto jest matką Dhruna? Mów!

– Nic mu nie mów – wyszeptał Kul.

– Nie. Powiem mu. To już nie ma większego znaczenia. Matką Dhruna była Suldrun, a jego ojcem jest Aillas.

– Jak to możliwe, skoro Dhrun ma teraz czternaście lat?

– Rok w krainie elfów jest jak dziesięć lat gdzie indziej. Visbhume aż zapiszczał z radości.

– To są informacje, których szukałem! – Wyrwał klucz z rąk Glyneth i skoczył do tyłu, jak gdyby tańcząc w rytm jakiejś szalonej muzyki słyszanej tylko przez niego. Potem wykonał pełen zakrętasów ukłon. – Doprawdy, Glyneth, jaka z ciebie mała głupiutka istota! Gdybyś powiedziała mi to dawno temu, zaoszczędzilibyśmy sobie trudu i bólu. I tak nie będę z tego miał żadnych korzyści. Casmira mało to obchodzi. Pochwali mnie tylko za efekty i nazwie kompetentnym. A teraz powiedz, czy

wrócisz ze mną pokornie na Ziemię i będziesz słuchać moich rozkazów?

Glyneth z trudem opanowała głos:

– Nie mogę zostawić Kula! – Odwróciła głowę, żeby nie patrzeć na Visbhume'a. – Zabierz nas oboje bezpiecznie na Ziemię, a spełnię każdy twój rozkaz.

Visbhume uniósł w górę palec w oskarżycielskim geście.

– Nie! Kul musi zostać! Był krnąbrny i nieposłuszny. Musi zostać ukarany. Chodź, Glyneth, idziemy!

– Nie odejdę bez niego.

– Niech więc tak będzie! Zostań tu i pielęgnuj tę bestię, która darzysz takim szczególnym uczuciem! A teraz oddaj mi moją torbę!

– Nie dam ci jej!

– W takim razie zadmę w moją fujarkę.

– A ja rzucę w ciebie „Bańką Dręczyciela”. Już dawno powinnam to zrobić.

Visbhume zaklął, ale nie śmiał już dłużej zwlekać.

– Wracam na Ziemię, gdzie czekają mnie zaszczyty i bogactwa. Żegnaj!

Wskoczył na platformę, machnął kluczem i zniknął. Glyneth uklękła obok Kula i pogłaskała go po czole. Leżał z zamkniętymi oczami.

– Czy słyszysz mnie, Kul?

– Słyszę.

– Jestem tu z tobą. Czy dasz radę wsiąść na dywanowca? Zabierzemy cię w ustronne miejsce w lesie i będziesz odpoczywał tak długo, aż poczujesz się lepiej.

Otworzył oczy.

– Dywanowiec jest niepewnym stworzeniem. Wyrządził mi ogromną krzywdę.

– To przez fujarkę Visbhume'a. Poza tym wydaje się spokojny i szybko biega.

– To prawda. No cóż, zobaczymy więc, czy uda mi się wspiąć na jego grzbiet.

– Pomogę ci.

Scena ta przyciągnęła ludzi z miasta, którzy zgromadzili się wokół i zaczęli szydzić z wysiłków Glyneth, która próbowała pomóc Kulowi. Nie zwracała na nich uwagi i wreszcie Kul opadł na grzbiet dywanowca. Ludzie podeszli teraz bliżej, otoczyli stwora i wzięli się do obrywania chwastów z dywanu. Glyneth wyjęła z torby „Bańkę Dręczyciela” i wrzuciła ją w tłum, który natychmiast rozpierzchnął się wśród okrzyków bólu i dywanowiec mógł swobodnie ruszyć w dalszą drogę.

Godzinę później Glyneth skreśliła na łąkę, zatrzymała dywanowca za zagajnikiem, spuściła kotwicę i postawiła chatkę. Kul leżał przez pewien czas oszołomiony i Glyneth obserwowała go z rosnącym niepokojem.

Czy moja wyobraźnia płata mi figle, czy też rzeczywiście w Kulu zachodzą dziwne zmiany – myślała. – Kontury jego twarzy przesuwają się, zmieniają, czasami nawet rozmazują.

Otworzył oczy i zobaczył, że Glyneth mu się przygląda.

– Miałem dziwne sny. W głowie mi się kręci, kiedy próbuję je sobie przypomnieć – odezwał się cichym, zmęczonym głosem.

Poruszył się niespokojnie, jakby chciał wstać, ale Glyneth powstrzymała go.

– Leż spokojnie! Odpoczywaj i nie przejmuj się snami. Zamknął oczy, jego głos brzmiał niewyraźnie i cicho:

– Przemówił do mnie Murgen. Powiedział, że muszę cię strzec i przyprowadzić bezpiecznie do chaty. Nie ma nic złego w tym, że cię kocham, bo to mnie trzyma przy życiu. Ale tobie nie wolno

trwonić dla mnie uczuć. Jestem w połowie bestią i jeden z głosów, które słyszę, jest jej głosem. Drugi głos namawia mnie do ohydnych czynów, jest niespokojny i okrutny. Trzeci jest najsilniejszy i gdy się odzywa, pozostałe milkną.

– Ja też myślałam długo i intensywnie. Wszystko, co mówisz, to prawda. Twoja siła budzi we mnie strach, a jednocześnie jestem ci wdzięczna za to, że mnie bronisz. Kocham jednak drugą stronę twojej natury, twoją dobroć i odwagę, a tych nie nauczył cię Murgen. Ich źródło tkwi gdzie indziej.

– W uszach brzmia mi rozkazy Murgena. Mam cię strzec i sprowadzić bezpiecznie do chaty, a ponieważ nie ma lepszego miejsca, do którego moglibyśmy się udać, to będzie nasz cel.

– Wracamy tą samą drogą, którą przybyliśmy?

– Z powrotem tą samą drogą.

– Ale wyruszymy dopiero wtedy, gdy będziesz wystarczająco silny, żeby podróżować.

Rozdział 17

I

Na dwa dni przed ostatnim targiem goblinów w tym sezonie, do gospody „Pod Śmiejącym się Słońcem i Płaczącym Księżycem” w pobliżu Rozstajów Twittena przybyła Melanthe. Zajęła ten pokój co zwykle i natychmiast wyruszyła na łąkę, gdzie miała nadzieję znaleźć Zucka, żeby przypomnieć mu o ich umowie w sprawie kwiatów.

Zuck dopiero co przybył i wraz z chłopakiem o dziwnym, nieokreślonym wyglądzie wyładowywał z wozu swoje towary i akcesoria. Na widok Melanthe grzecznie skinął głową, dotknął dwoma palcami daszka czapki i wrócił do pracy. Najwyraźniej dostawa kwiatów dla Melanthe nie znalazła się jeszcze w kręgu jego uwagi.

Melanthe syknęła ze złości i podeszła do pracującego przy półkach Zucka.

– Czy zapomniałeś o naszej umowie?

Handlarz przerwał pracę i rzucił jej z ukosa zakłopotane spojrzenie. Nagle jego twarz rozjaśniła się.

– A, tak! Oczywiście! Jesteś tą damą, która z taką niecierpliwością czekała na kwiaty.

– Właśnie. Tak szybko o tym zapomniałeś?

– Oczywiście, że nie! Ale nzebierało się wiele drobnych spraw, które zaprzatają moją uwagę. Jedną chwileczkę.

Wydał instrukcje chłopakowi, po czym zaprowadził Melanthe na pobliską ławkę.

– Musi pani zrozumieć, że w naszym zawodzie często mamy do czynienia z osobami, które dużo obiecują, ale kiedy przychodzi do płacenia, na kontuar kładą mało złota. O ile sobie przypominam, życzyłaś sobie jeden lub dwa kwiaty, które przyozdobiłyby twoje włosy.

– Chcę mieć wszystkie, bez względu na to, ile ich będzie: jeden, dwa, dziesięć czy sto.

Zuck skinął powoli głową i spojrział na łąkę.

– Nareszcie się rozumiemy! Takie kwiaty są w cenie. Mam już listę klientów tak niecierpliwych jak ty, lecz najpierw muszę się skontaktować z moim dostawcą i dowiedzieć się, czy zbiór w jego tajemniczym ogrodzie będzie duży.

– Twoi pozostali klienci będą musieli poszukać tego towaru gdzie indziej, lecz ty zostaniesz sowicie wynagrodzony, nie martw się!

– W takim razie przybądź do mojego kramu jutro o tej samej porze. Powinienem już mieć konkretne wiadomości od ogrodnika.

Nie udało jej się wyciągnąć od niego więcej informacji, odmawiał zwłaszcza podania imienia ogrodnika, więc w końcu wróciła do gospody wzburzona i niezadowolona, że nie mogła nic poradzić na to, by jej życzenie się spełniło.

Gdy tylko zniknęła z pola widzenia, pogrążony w myślach Zuck wrócił do pracy. Po chwili zawołał chłopaka, który, gdyby przyjrzeć mu się dokładnie, przypominał pełnej krwi falloja lub też falloja z pewnymi cechami goblinów i rodzaju ludzkiego. Postawą przypominał młodego mężczyznę o prężnych i swobodnych ruchach. Miał srebrzystą skórę, bladozielono-złote włosy i ogromne oczy z ciemnosrebrnymi źrenicami w kształcie siedmioramiennych gwiazd. Był ładnym chłopcem, spokojnym, powolnym, a nawet odrobinę naiwnym. Zuck przekonał się, że sumiennie wywiązywał się z obowiązków, więc płacił mu dobrze i stosunki między nimi układały się jak najlepiej.

– Gdzie jesteś, Yossip? – zawołał chłopaka.

– Tutaj, sir, odpoczywam pod wozem.

– Podejdź, jeśli łaska. Mam dla ciebie zadanie. Yossip obszedł wóz i stanął przed straganem.

– Co to za zadanie?

– Nic wielkiego. Któregoś dnia tego lata przyszedłeś do pracy z pięknym czarnym kwiatem. Jak sobie przypominam, zostawiłeś kwiat na ladzie, a ja podarowałem go później jednemu z moich klientów.

– A, tak. Kwiat z mojego tajemniczego ogrodu. Zuck zignorował tę uwagę.

– Mam pewien pomysł. Chcę udekorować nasz stragan, żeby wyróżnić go w ten sposób na tle szarego tłumu. Przydałoby się do tego celu kilka kwiatów. Gdzie znalazłeś te kwitnące na czarno?

– W lesie przy Trakcie Giliona, w miejscu, które lubię nazywać moją sekretną altanką. Tego lata znalazłem tylko jeden rozwinięty kwiat, chociaż zauważyłem kilka pąków.

– Wystarczy kilka takich kwiatów. Nie jesteśmy przecież handlarzami kwiatów czy zielarzami! Jak daleko stąd jest ten ogród? Wskaż mi drogę, a natnę ich dokładnie tyle, ile będę potrzebował.

Yossip zawahał się.

– Nie pamiętam żadnych charakterystycznych punktów ani dokładnej odległości. Sam miałbym trudności, żeby to miejsce znaleźć. Jednak jeśli chcesz, mogę tam pojechać i przywieźć te kwiaty.

– Dobry pomysł. Weź wóz i kuca, żeby było szybciej i od razu ruszaj Traktem Giliona. Nie ścinaj pąków ani gniazd nasiennych, tylko te kwiaty, które już w pełni rozkwitły. W ten sposób nie wyrządzimy szkód i nadal będą mogły rosnąć.

– Racja – odparł Yossip. – Będę potrzebował ostrego noża do ścinania łądy, który przyda mi się także do krojenia chleba i sera, gdy zatrzymam się po drodze, gdyż, jak sobie przypominam, ciągnie się ona na odległość dwóch czy trzech, a nawet może czterech mil.

– W takim razie ruszaj i nie marudź za długo!

Gdy tylko Yossip odjechał, Zuck zamknął stragan. Pożyczył od znajomego z pobliskiego kramu konia i ruszył za Yossipem. Posuwał się ukradkiem i ostrożnie, kierując się turkotem wozu. Za zakrętem popędził naprzód, chcąc widzieć dokładnie drogę przed sobą, potem pognał do następnego zakrętu, przez cały czas trzymając się w tyle, tuż za Yossipem, ale w takiej odległości, by pomocnik nie mógł go zauważyć.

Turkot nagle ucichł. Zuck zsiadł z wozu, przywiązał kuca i dalej ruszył pieszo. Wóz stał na samym środku drogi, lecz Yossipa nigdzie nie było widać.

– Udało się! – powiedział do siebie Zuck. – A więc to tu jest ten tajemniczy ogród! To właśnie chciałem wiedzieć! A teraz szybko z powrotem do straganu, aby Yossip nigdy się nie dowiedział, że jego tajemnica została odkryta.

Ciekawość jednak pchnęła Zucka do przodu. Chciał lepiej poznać miejsce i wielkość grządki kwiatowej. Posuwał się drogą krok za krokiem, wreszcie zaczął biec na palcach, rzucając spojrzenia na prawo i lewo.

Yossip wyszedł z cienia z czterema kwiatami w ręku. Wcale nie wydawał się zdziwiony widokiem Zucka.

– Przybyłem tu w pośpiechu – wyjaśnił Zuck. – Zdecydowałem się na flagi i wielokolorowe wstążki do dekoracji, aby nie niszczyć kwiatów. Dlatego pomyślałem sobie, że muszę cię natychmiast powiadomić o moich planach.

– To miło z twojej strony – rzekł Yossip, a jego głos brzmiał tak, jakby miał trudności z mówieniem: gruchał i seplenił. – Ale co z tymi kwiatami, które już ściałem.

– Zabierz je ze sobą. Albo nie, lepiej oddaj je pod moją opiekę. Czy widziałeś więcej pąków?

– Zaledwie kilka.

Zuck marszcząc brwi spojrział z ukosa na Yossipa.

– Dlaczego mówisz takim dziwnym głosem? Yossip uśmiechnął się szeroko, ukazując srebrne zęby.

– Ścinając kwiaty, naruszyłem ziemię i znalazłem ten wspaniały klejnot. – Wyjął z ust lśniąca zieloną kulkę. – Dla wygody trzymam ją w ustach.

– Zdumiewające! Pozwól, że się jej przyjrzę.

– Nie, Zuck! Podstępnie poznałeś tajemnicę mojego ogrodu. Z natury jestem łagodny, wręcz naiwny. Ale w tym wypadku muszę wydać na ciebie wyrok, żeby twoje oszustwo zostało ukarane.

Mówiąc to Yossip pchnął Zucka nożem do ścinania kwiatów, najpierw w szyję, potem w serce. Następnie, chcąc przerwać przedśmiertne drgawki, wbił nóż głęboko w prawe ucho, aż po samą rękojeść.

– A zatem, Zuck, we właściwy sposób położyliśmy kres twoim podstępnym sztuczkom. W tej sprawie nie mam już nic więcej do powiedzenia. i

Yossip wrzucił ciało do rowu i wrócił na łąkę prowadząc za wozem konia Zucka. Oddał wierzchowca właścicielowi, który spytał zdziwiony:

– A gdzie jest dobry Zuck, który tak żwawo odjechał?

– Poszedł zbadać nowe źródło dostaw. Na razie ja mam się zaopiekować straganem.

– To wielka odpowiedzialność dla tak niedoświadczonego wyrostka jak ty! Jeśli będziesz miał jakieś kłopoty lub będziesz podejrzewał, że ktoś cię oszukuje, wezwij mnie, a ja już się tym zajmę.

– Dziękuję, sir! Kamień spadł mi z serca.

Do zachodu słońca pozostały jeszcze dwie godziny. Yossip otworzył kram, ułożył kwiaty w wazonach i po chwili wahania zdecydował się wystawić na jednej z tylnych półek zieloną perłę.

– To cudowny klejnot – powiedział do siebie. – Jednak, na co mi on? Nie noszę kolczyków ani żadnych innych ozdób. Cóż, zobaczymy. Albo mi przyniesie dużo pieniędzy, albo go nie sprzedam.

Wcześniej rano pojawiła się Melanthe. Zaglądając to tu, to tam, zauważyła kwiaty i aż krzyknęła z zadowolenia.

– Gdzie jest dobry Zuck?

– Szuka nowych towarów – odparł Yossip. – Kram jest teraz pod moją opieką.

– Przynajmniej znalazł dla mnie kwiaty! Przysuń je. Są tylko moje i nie wolno ci sprzedawać ich nikomu innemu!

– Jak sobie życzysz, pani.

Wreszcie doczekała się tych kwiatów. Były rzeczywiście zachwycająco piękne, wydawało się, że ich kolory pulsują jakąś wewnętrzną siłą. Każdy był inny, jedyny w swoim rodzaju. Pierwszy był intensywnie pomarańczowy, z domieszką cynobru, śliwki i czerni. Drugi – w odcieniu morskiej zieleni mieniającej się purpurą i błękitem jak pancerzyk leśnego żuka. Trzeci – połyskujący ostrą czernią z pręcikami w jaskrawym kolorze żółtej ochry, ze szkarłatnym słupkiem pośrodku. Czwarty – o kilkunastu na przemian ułożonych pierścieniach małych płatków: białych, czerwonych i niebieskich.

Melanthe nie pytała o cenę. Rzuciła na ladę cztery złote korony.

– Kiedy będziesz miał więcej tych kwiatów? – zapytała.

Yossip od razu się zorientował, jak się sprawy miały. Zuck był bardziej zakłamanym, niż sobie wyobrażał. Tak czy owak nie można było ukarać go po raz drugi. Zastanowił się.

– Jutro mogę mieć więcej kwiatów, pani.

– Pamiętaj, masz je zachować tylko dla mnie! Fascynuje mnie ich dziwne, złożone piękno.

– Żeby zapewnić sobie wyłączność, radzę, żebyś już teraz zapłaciła z góry odpowiednią liczbę złotych monet. W przeciwnym bowiem razie jutro rano kto inny może cię ubiec.

Melanthe z pogardą dorzuciła jeszcze pięć koron i tym samym transakcja została zawarta.

Nad łąką zapadł zmrok. Na drzewach zawieszono lampy i ci, którzy woleli noc od dnia, zaczęli przechadzać się między straganami i targować o przedmioty, które wzbudziły ich zainteresowanie.

W gospodzie Melanthe zjadła skromny posiłek, na który złożyło się skrzydełko kurczęcia i rzepa duszona w miodzie i maśle. Siedziała ze swoimi kwiatami stojącymi w czterech wazonach, żeby mogła podziwiać każdy z osobna, albo wszystkie razem, w zależności od kaprysu.

Do jej stołu podszedł nagle ciemnowłosy dżentelmen we wspaniałym stroju. Miał rzucający się w oczy krótko przycięty wąsik, małą bródkę i przenikliwe spojrzenie. Ukłonił się, zdjął kapelusz i bez dalszych ceremonii usiadł.

Od razu rozpoznała Tamurella, lecz nie odzywała się ani słowem. Czarnoksiężnik przyjrzał się kwiatom z zaciekawieniem.

– Fascynujące, powiedziałbym nawet, że niezwykle! Gdzie rosną takie nadzwyczajne kwiaty?

– Tego nie mogę być pewna – odparła Melanthe. – Kupuję je na straganie na jarmarku. Powąchaj je, jeden po drugim. Każdy jest inny, każdy niesie wraz ze swoim zapachem całą kaskadę znaczeń, a te kolejne znaczenia; każdy wydziela całą gamę subtelnych i nie nazwanych aromatów.

Tamurello powąchał kolejno każdy z nich. Po chwili ponownie zanurzył w nich nos. Spojrzał na nie wydymając usta.

– Ich woń jest rozkoszna. Przypomina mi coś, czego nie potrafię w tej chwili nazwać. Myśl ta tłucze się w odległym kącie mojej pamięci i nie chce z niego wyjść. Irytujące uczucie.

– Wkrótce wszystko się wyjaśni – powiedziała Melanthe. – Dlaczego przybyłeś do tego miejsca, które odwiedzasz tak rzadko?

– Jestem tu z czystej ciekawości – odparł. – Zaledwie kilka chwil temu zatrzęsa się ziemia przy słupie Twittena. Może to znaczyć dużo, może też znaczyć bardzo mało, ale takie drżenie zawsze warto zbadać... Aha! Spójrz tylko, kto właśnie wszedł do gospody! Visbhume, we własnej osobie. Muszę natychmiast z nim porozmawiać.

Visbhume stanął przy szynkwasię szukając wzrokiem Hockshanka, który w tym momencie zajęty był czymś innym. Tamurello stanął obok niego.

– Co tutaj robisz, Visbhume? – zapytał.

Visbhume wbił wzrok w tego czarnobrodego granda, który zwrócił się do niego w tak bezceremonialny sposób.

– Z kim mam przyjemność rozmawiać, sir?

– Jestem Tamurello, pod postacią, z której często korzystam wyjeżdżając za granicę.

– Ależ tak, oczywiście, teraz rozpoznaję cię po twoim jasnym spojrzeniu! Miło mi cię widzieć, Tamurello.

– Dziękuję. Co cię tu sprowadza o tej porze? Visbhume nadał policzki i pokiwał palcem.

– No cóż, kto potrafi zrozumieć tułaczy los wagabundy? Jednego dnia tu, drugiego tam! Czasami jego droga jest prosta, czasami kręta i wyboista. Bywa i tak, że musi wędrować w deszczu i w ciemnościach rozjaśnianych jedynie światłem jego własnej, dalekiej gwiazdy! Ale teraz pragnę tylko, żeby Hockshank znalazł dla mnie wygodną izbę na nocleg.

– Twoje pragnienia nie zostaną zaspokojone, tak mi się przynajmniej wydaje. Gospoda jest pełna.

Twarz Visbhume'a przybrała posępny wyraz.

– W takim razie muszę sobie znaleźć stertę siana w stodole.

– Niekoniecznie! Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz.

Nieco niechętnie Visbhume wyszedł za Tamurellem na drogę. Czarnoksiężnik spojrzał na niebo. Wskazał palcami w górę, na miejsce, gdzie księżyc oświetlał unoszący się w powietrzu pałac z trzema wieżami, tarasem i otaczającą go balustradą.

– Oto, gdzie ja będę odpoczywał tej nocy – powiedział. – Ale zanim powiem więcej, chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ty tutaj jesteś, skoro zgodnie z ostatnimi relacjami powinieneś pracować ciężko w służbie króla Casmira, zresztą na moje polecenie.

– Zgadza się, to prawda. Z charakterystyczną dla siebie przenikliwością odgadujesz dokładny stan rzeczy! Myślę, że teraz zjem co nieco na kolację. Jeśli pozwolisz...

– Za chwilę. Najpierw powiedz mi, jak się układa twoja współpraca z Casmirem?

– Całkiem dobrze.

– Czy był zadowolony z twoich nowin?

– Prawdę mówiąc, jeszcze mu ich nie przekazałem. Wiedza, którą zdobyłem, jest tak mało znacząca, że może nawet nie zadam sobie trudu, żeby to zrobić.

– Czego tak naprawdę się dowiedziałeś?

– Sir, myślę, że powinienem zachować tych kilka błahostek dla uszu Casmira.

– Doprawdy, Visbhume! Chyba nie masz przede mną żadnych tajemnic?

– Każdy z nas ma swoje małe obszary prywatności – odpowiedział oschle Visbhume.

– Tylko w niektórych dziedzinach życia, w pewnych sytuacjach i w odniesieniu do pewnych osób – stwierdził Tamurello. – Lecz nie przy świetle księżyca na Rozstajach Twittena, gdy się rozmawia z Tamurellem. Visbhume zaczął wymachiwać nerwowo ręką.

– No, cóż, skoro nalegasz, powiem ci. – I zaraz dodał serdecznie: – W końcu kto, jeśli nie mój dobry przyjaciel Tamurello, zarekomendował mnie Casmirovi?

– Właśnie.

– Oto, czego się dowiedziałem. Casmira nęka przepowiednia dotycząca pierworodnego syna Suldrun.

– Znam tę przepowiednię magicznego lustra, Persiliana. Wiem też o niepokoju Casmira.

– Fakty są proste, acz bardzo przejmujące! Pierworodny syn Suldrun został spłodzony przez Aillasa, króla Troicinetu. Ma na imię Dhrun i w ciągu rocznego pobytu w królestwie elfów osiągnął wiek dziewięciu lat, licząc w kategoriach ziemskich.

– Interesujące! W jaki sposób dotarłeś do tych informacji?

– Pracowałem bardzo ciężko, wykorzystując cały mój spryt. Zabrałem Glyneth do Tanjecterii i tam z łatwością wyciągnąłbym od niej te wieści, gdyby nie Shimrod, który przysłał ogromnego potwora, żeby mi w tym przeszkodzić. Ja jednak jestem nieugięty. Zdołałem potrzebne mi informacje, zabiłem bestię i wydostałem się z Tanjecterii.

– A księżniczka Glyneth?

– Została tam, gdzie nie może o niczym rozpowiadać.

– Masz rację! Nigdy za wiele przezorności! Tego rodzaju informacje lepiej trzymać w sekrecie, zachowując je tylko dla wybranych uszu. Mówiąc szczerze, Visbhume, jedna głowa zupełnie wystarczy, żeby coś takiego zapamiętać.

Visbhume cofnął się o krok.

– W dwóch umysłach jest równie bezpieczna!

– Obawiam się, że nie, Visbhume.

– Stój! Czyżbyś już zapomniał o mojej lojalności? O mojej nieustępliwości i skuteczności? O

mojej umiejętności wykonywania rzeczy niemożliwych?

Tamurello zastanowił się.

– Te argumenty mają swoją wagę! Jesteś równie wymowny, jak przekonywający i muszę powiedzieć, że tym sposobem ocaliłeś swoje życie. Odtąd jednak...

Tamurello machnął ręką i wypowiedział jakieś słowa. Ubranie Visbhume'a opadło nagle na ziemię i spod odzienia wysunął się czar-no-zielony wąż. Syknął raz na Tamurella i zniknął błyskawicznie w lesie.

Tamurello stał bez słowa na drodze przysłuchując się dźwiękom dochodzącym z gospody – szmerowi rozmów, pobrząkiwaniu szkła i glinianych naczyń, sporadycznym okrzykiem Hockshanka pod adresem usługującego chłopaka.

Jego myśli pobiegły na moment do Melanthe.

– Jej kwiaty są rzeczywiście intrygujące, ale zajmę się nimi jutro rano – postanowił.

Nie potrafił jednoznacznie określić swoich uczuć względem Melanthe; przyjął wobec niej postawę obronną. Kiedyś w przeszłości był kochankiem jej brata, a teraz ona okazywała mu chłodną obojętność obdarowując go półśmiechem, za którym – jak mu się często wydawało – kryła się pogarda.

Jeszcze przez chwilę wsłuchiwał się w dźwięki dobiegające z gospody, po czym spojrzał w stronę lasu, gdzie – jak wiedział – czarnozielony wąż obserwował go płonącymi oczami. Absurdalność tej sytuacji rozśmieszyła go. Zachichotał. Potem rozłożył szeroko ramiona i machając palcami, uniósł się wysoko w świetle księżyca do swojego dryfującego pałacu.

Pięć minut później na drodze pojawił się Shimrod. Podobnie jak Tamurello, zatrzymał się na chwilę, nadstawił uszu, lecz nie słysząc nic prócz odgłosów dochodzących z gospody, wszedł do środka.

II

Shimrod podszedł do szynkwasu i Hockshank pochylił się, żeby go obsłużyć.

– Znów, panie, gospoda jest przepełniona. Widzę jednak, że piękna pani Melanthe i tym razem przybyła na targ. Kupiła już nawet piękny bukiet, który stał się przedmiotem zazdrości wszystkich moich gości. Może ponownie zgodzi się dzielić swoją kwaterę z droгим i zaufanym przyjacielem.

– Albo z nieznanym, jeśli będzie w takim nastroju. Cóż, zobaczymy. Tym razem jestem przygotowany i właściwie nie potrzebuję jej gościnności. Jednak kto wie, jaki będzie ten wieczór? W imię dobrego wychowania złożę jej przynajmniej wyrazy uszanowania i może wypiję z nią kielich wina.

– Jadłeś już, panie? Dzisiaj polecam comber z zająca, jest bardzo smaczny. Moje bekasy też są bez zarzutu, posłuchaj, jak skwierczą na rożnie!

– Skusiłeś mnie. Zjem jednego bekasa, a do tego proszę pół bochenka chleba.

Złożywszy zamówienie, Shimrod przysiadł się do stołu Melanthe.

– Zaledwie kilka minut temu na tym samym krześle siedział Tamurello i podziwiał te same kwiaty. Czy to jest powód twojej obecności? -zapytała.

– Kwiaty nie, Tamurello... być może. Przysłał mnie Murgem, żebym sprawdził, co spowodowało wstrząs przy słupie Twittena.

– Słup Twittena stał się ostatnio bardzo popularny. Tamurello przybył z powodu tego samego wstrząsu.

Shimrod rozejrzył się po sali.

– Jego przebranie musi być niezwykle. Nie widzę tu nikogo, kto mógłby nim być, chyba że jest to ten młodzian z miedzianymi kędziorami i zielonymi kolczykami.

– Dzisiejszego wieczoru Tamurello wygląda jak grand, ale nie ma go tutaj. Zauważył swojego serdecznego przyjaciela Visbhume'a i wyszedł z nim na zewnątrz. Żaden z nich jeszcze nie wrócił.

– Jak dawno temu to było? – zapytał możliwie najbardziej obojętnym tonem.

– Zaledwie przed kilkoma minutami. – Uniosła w górę jeden ze swoich kwiatów. – Czy nie jest przepiękny? Aż drży pod ciężarem swojej urody. Prowokuje czymś, czego nawet się nie domyślam. Patrz, jak te kolory odbijają się od siebie! Ta woń jest upajająca!

– Tak, być może. – Zerwał się na równe nogi. – Zaraz wracam.

Wyszedł na drogę. Spojrzał w prawo i w lewo, lecz nie dostrzegł nikogo. Przekrzywił głowę nasłuchując, ale do jego uszu dobiegały tylko hałasy z zajazdu. Podszedł cicho do Rozstajów Twittena. Spojrzał na północ, potem na wschód i w następnej kolejności na południe i zachód. Od skrzyżowania odchodziły bowiem cztery drogi, teraz puste i ledwo widoczne w bladym świetle księżyca, z ciemną ścianą lasu po obu stronach.

Odwrócił się w stronę karczmy. Na poboczu, na pół w rowie, zauważył bezładnie rzucone ubranie. Podszedł powoli do tego miejsca. Ukląkł i w fałdach materiału znalazł szarą księgę ze złotym prętem. Podniósł ją do światła padającego z okien gospody, po czym przeczytał tytuł. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej mały srebrny dzwoneczek, w który uderzył palcem.

– Jestem tutaj – odezwał się głos.

– Stoję przy gospodzie na Rozstajach Twittena. Tuż przed moim przybyciem w karczmie zjawił się Visbhume. Skoro słup zadrżał, on musiał być tego przyczyną. Spotkał go Tamurello i wyprowadził na zewnątrz. Obawiam się, że Visbhume zniknął albo nie żyje, albo został unieszkodliwiony. Zostawił po sobie ubranie i *Almanach Twittena*, który teraz trzymam w ręku.

– A Tamurello?

Shimrod podniósł wzrok i zobaczył majaczący na tle księżyca pałac Tamurella.

– Sprowadził dryfujący pałac. Widzę go teraz na niebie.

– Zjawię się tam, ale dopiero jutro rano. Tymczasem zachowaj pełne środki ostrożności. Nie spełniaj żadnych próśb Melanthe, nie zważając na to, jak bardzo wydawałyby się niewinne. Tamurello jest w złym nastroju. Cierpiał na Khambaste i teraz zrozumiał, że nadaremnie. Jest w stanie popełnić każdy czyn, bez względu na to, jak desperacki czy ostateczny lub po prostu tragiczny w skutkach będzie. Bądź ostrożny!

Shimrod wszedł do gospody, lecz Melanthe, z nieznanых przyczyn, wyszła już. Zjadł kolację i przez chwilę siedział przyglądając się biesiadującym ludziom z lasu. Wreszcie wyszedł na zewnątrz i udał się na pobliską polanę, gdzie położył na ziemi miniaturowy domek podobny do tego, jaki w swojej torbie nosił Visbhume.

– Domku, domku, rośnij w mig! – powiedział. Stał na ganku.

– Domku, domku, rośnij wzwyż!

Chata wysunęła z narożników nogi, a każda z nich zakończona była szponami obejmującymi kulę. W ten sposób dom stanął na bezpiecznej wysokości sześćdziesięciu stóp nad polaną.

Minęła noc i nad puszcza Tantrevalles wstał świt. Gdy nad drzewami pojawiło się słońce, Shimrod wyszedł na ganek.

– Domku, domku, jazda w dół – zawołał, a zaraz potem dodał: -Domku, domku, skurcz się w mig!

Pałac Tamurella nadal unosił się na niebie. Shimrod wszedł do gospody i zjadł śniadanie.

Melancthe, która wkradła się cichutko do głównej sali, wyglądała tym razem jak młoda pasterka z Arkadii, ubrana w białą sukienkę i sandały. Usiadła w odległym kącie sali nie zwracając uwagi na Shi-mroda, co bardzo mu odpowiadało.

Poświęciła niewiele czasu na śniadanie. Opuściwszy gospodę udała się prosto na łąkę, gdzie już w pełni panował jarmarczny gwar.

Shimrod ostrożnie podążył za nią. Gdy weszła na łąkę, dołączył do niej.

– Czego dzisiaj szukasz? – zapytał.

– Zamówiłam cały bukiet kwiatów. Stały się moją obsesją! Szaleję na ich punkcie! Roześmiała się.

– Nie wydaje ci się dziwne, że mają na ciebie tak ogromny wpływ? Nie obawiasz się swego upadku pod wpływem ich czaru?

Melancthe rzuciła mu z ukosa pełne zdziwienia spojrzenie.

– Cóż by to mógł być za czar, jeśli nie idealne piękno? Są moją największą miłością! Ich kolory śpiewają do mnie, ich zapach wywołuje marzenia!

– Mam nadzieję, że to przyjemne marzenia. Niektóre z tych woni są niezwykle cuchnące.

Melancthe obdarzyła go jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

– Są różne. Niektóre wręcz zadziwiające. Inne, jak podejrzewam, nie mieszczą się w granicach twojej wyobraźni.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Mojej marnej, skromnej osobie natura poskapiła takich doznań. – Rozejrzał się po łące. – Gdzie jest ten sprzedawca marzeń?

Melancthe wyciągnęła dłoń.

– Właśnie tam! Widzę Yossipa, ale gdzie są moje cudowne kwiaty? Na pewno je dla mnie odłożył. – Podbiegła do straganu. – Dzień dobry, Yossip. Gdzie jest mój bukiet?

Yossip ze smutkiem potrząsnął głową.

– Pani, w tym wypadku prawda jest prosta i bardziej przekonująca niż najbardziej wymyślne kłamstwo. Powiem ci całą i absolutną prawdę. Kiedy tego ranka poszedłem naścinać kwiatów, zastałem smutny widok. Rośliny zwiędły, jak gdyby zniszczył je jakiś zły urok. Nie ma więcej kwiatów!

Melancthe zeszywniała.

– Jak to możliwe – wyszeptwała. – Czy zawsze musi być tak, że gdy znajdę coś pięknego i kochanego, zostaje mi to zabrane? Yossip, jak możesz być tak okrutny? Przez całą noc usychałam z tęsknoty za ich widokiem!

Yossip wzruszył ramionami.

– Doprawdy, pani, to nie moja wina i dlatego nie mogę zwrócić ci pieniędzy, które wpłaciłaś jako zaliczkę.

– Pozwól, że zacytuję pierwszą zasadę etyki kupieckiej – odezwał się Shimrod. – Jeśli nie masz do zaoferowania cennego towaru, nie możesz oczekiwać zapłaty, bez względu na wszystko inne. Mówię jako postronny obserwator.

– Nie mogę oddać takiej sumy w złocie! – krzyknął Yossip. – Moje rośliny zostały zniszczone i zasługuję na współczucie, a nie na nowe ciosy złego losu! Pani, wybierz sobie coś innego spośród moich skarbów! Niczego nie ukryłem! Mam tu prawdziwe cudo, czarny kamień wybagrowany z dna rzeki Styks. Popatrz, pani, na tę wzruszającą scenę z dzieckiem obejmującym swoją matkę, wykonaną techniką mozaikową w żywicy. Mam na składzie duży wybór amuletów, wszystkie o dużej mocy, a ten czarodziejski grzebień z brązu wzmacnia włosy i odstrasza robactwo oraz leczy świerzb. Wszystkie te towary są bardzo cenne!

– Nie chcę żadnego z nich – odparła gniewnie Melanthe. – Jednak... Pozwól mi przyjrzeć się tamtemu zielonemu klejnotowi, który masz na wystawie.

Yossip syknął przez zęby i z niechęcią zdjął z półki płytkie pudełko, w którym spoczywała zielona perła.

– Nie jestem pewien, czy chcę się rozstać z tą piękną rzeczą.

– No wiesz! Sam przed chwilą powiedziałeś, że niczego nie chowasz dla siebie! Ci dżentelmeni mogą poświadczyć twoje słowa! -Wskazała na Shimroda i dwóch czy trzech innych mężczyzn, którzy przystanęli, żeby przyjrzeć się sprzeczce.

– Ponownie jako postronny widz muszę potwierdzić to, co mówi Melanthe – rzekł Shimrod, lecz mówił z roztargnieniem, wyteżając z całych sił pamięć, która w tym momencie go zawiodła. Ta zielona perła, jak sobie przypominał, była symbolem wszelakiego zła.

– Ja także! – oświadczył rumiany młody wieśniak o płowych włosach schowanych pod ciemnozieloną czapką drwala. – Nie wiem nic o tej sprawie, ale ręczę za to, co słyszała para moich dobrych uszu!

– Słyszysz więc! – zatriumfowała Melanthe. – Przysuń bliżej to pudełko, żebyśmy mogła się przyjrzeć tej perle.

Yossip ze złością podsunął jej pudełko pod nos, lecz trzymał je tak, że ledwie mogła rzucić okiem na jego zawartość.

– Ten klejnot wart jest dziesięć razy tyle złota, ile mi zapłaciłaś -powiedział gburowatym tonem. – Nie mogę pozwolić, żeby został sprzedany tak tanio!

Melanthe oparła się na ladzie i wyciągnęła szyję, żeby móc łatwiej zajrzeć do pudełka.

– Jest niezwykła! – westchnęła, zapominając całkowicie o kwiatach. Wyciągnęła rękę, chcąc chwycić klejnot, ale Yossip odsunął go gwałtownym ruchem. – Posłuchaj! – zażądała. – Nie jest to zachowanie godne prawdziwego kupca. Nie zniechęca on do kupna, nie przeszkadza spojrzeć na towar i nie wrywa go potem z rąk klienta, jak gdyby ten był złodziejem! Gdzie jest twój pan, Zuck? Nie będzie zadowolony z takiego postępowania! Yossip drgnął i wykrzywił zmieszaną twarz.

– Mniejsza o Zucka. Dał mi wolną rękę.

– W taki razie pokaż mi tę perłę albo zawołam rządcę, a ci dwaj dżentelmeni będą moimi świadkami!

– Ba! – mruknął Yossip. – Taka groźba sama w sobie graniczy z rozbojem. I dziwisz się, że nie ufam ci w sprawie tego klejnotu?

– Albo perła, albo moje złoto!

– Ta perła jest warta o wiele więcej! Najpierw musimy dojść do porozumienia co do ceny.

– Może rzeczywiście jest warta nieco więcej.

Ociągając się, Yossip położył na ladzie pudełko. Melanthe zajrzała do niego z zachwytem.

– Ach, jaki piękny roztacza blask! Ile za nią chcesz? Yossip nie odzyskał jeszcze spokoju.

– Prawdę mówiąc, nie określiłem jeszcze jej wartości. Ten klejnot równie dobrze mógłby się stać ozdobą korony króla Arabii!

Melanthe zwrócił się do Shimroda z figlarnym uśmiechem.

– Shimrodzie, jakie jest twoje zdanie na temat tej perły?

– Jest piękna, ale sprowadza nieszczęście. Gdzieś słyszałem o podobnym klejnocie, może była to jakaś zmyślona historia, nie mogę sobie jednak przypomnieć, kiedy to było. Pamiętam tylko, że nie mówiono niczego dobrego o tej perle. Nosił ją jakiś żądny krwi pirat.

– Drogi, roztropny, uprzejmy Shimrodzie! Czy dlatego nie spojrzaleś na tę perłę, że opowieść ta wielce cię zatrwożyła? – Podała mu pudełko. – Przynajmniej powiedz, na ile szacujesz jej wartość.

– Nie jestem ekspertem!
– W takich sprawach każdy jest ekspertem, bo wie, ile by zapłacił.

– Nie dałbym za nią złamanego miedziaka.

– Chociaż raz zachowaj się jak zwykły człowiek! Weź ją do ręki i określ jej wagę. Przyjrzyj się powierzchni, czy nie występują na niej

jakieś skazy. Oceń subtelność jej zielonego blasku. Wziął do ręki pudełko i spojrzał na nie z ukosa.

– Nie ma widocznych skaz. Jej zielony kolor płonie fałszywym blaskiem.

Melancthe ciągle nie była usatysfakcjonowana.

– Dlaczego jesteś taki nieśmiały? Przyjrzyj się jej ze wszystkich stron! Chcę tylko, żebyś wydał pełen i najlepszy sąd.

Z niechęcią wyciągnął rękę, żeby wziąć perłę w palce, ale w tym momencie chwycił go za łokieć rumiany, młody wieśniak o płowych włosach.

– Shimrodzie, słówko na stronie o tej perle.

Położył pudełko na kontuarze. Odeszli na bok i wieśniak przemówił ostrym tonem:

– Czy nie ostrzegałem cię, żebyś nie spełniał żadnych próśb Melancthe? Nie dotykaj tej perły! Jest skupiskiem złych mocy, niczym więcej.

– Oczywiście! Teraz sobie przypominam! To Tristano opowiadał nam o tej perle! Niemożliwe jednak, żeby Melancthe coś o tym wiedziała.

– Może jakiś głos szepcze jej do ucha... Widzę zbliżającego się Tamurella. Nie chcę, żeby mnie rozpoznał. Wypytaj go dokładnie o Visb-hume'a i pod żadnym pozorem nie dotykaj tej perły!

Wieśniak zmieszał się z tłumem.

Upokorzony i zakłopotany Shimrod wrócił do Melancthe.

– Ten jegomość wie coś na temat pereł – szepnął jej do ucha. – Powiedział mi, że to nie jest prawdziwa perła, bo one nigdy nie są zielone. Teraz przypominam sobie tę plotkę, o której ci mówiłem. Nie dotykaj tego fałszywego klejnotu, jeśli ci życie miłe. Jest mniej niż bezwartościowy, skupia w sobie samo zło.

– Nigdy nie byłam tak przejęta – mówiła stłumionym głosem Melancthe. – Mam wrażenie, że śpiewa mi jakąś straszną pieśń.

– Nawet jeśli nigdy mi nie wierzyłaś, zaufaj mi teraz! Pomimo wszystkich twoich zdradzieckich czynów, nie chciałbym, aby spotkało cię coś złego.

Zza straganu dobiegł ich głos Yossipa.

– Obliczyłem wartość tego wspaniałego klejnotu. Szacuję ją na dokładnie sto złotych koron!

– Lady Melancthe nie chce tego przedmiotu za żadną cenę -odezwał się szorstko Shimrod. – Zwróć jej natychmiast pieniądze.

Melancthe opuściły wszystkie siły i stała bez słowa, z otwartymi ustami Spoglądając spod oka na Shimroda, Yossip wypłacił jej pięć złotych koron, które wrzuciła do torby nawet na nie nie spojrzawszy.

Tamurello, w tym samym przebraniu co poprzedniego dnia, zatrzymał się i przywitał grzecznie Shimroda.

– Jestem zdziwiony widząc cię tak daleko od Trildy. Czy przestały cię już interesować moje sprawy?

– Czasami inne wydarzenia zaprzatają moją uwagę – odparł Shimrod. – W tej chwili chciałbym zamienić kilka słów z Visbhumem. Słyszałem, że widziałeś się z nim ubiegłej nocy. Gdzie jest teraz?

Uśmiechając się, Tamurello przecząco potrząsnął głową.

– Poszedł w swoją stronę, ja poszedłem w swoją. Nic nie wiem o miejscu jego obecnego pobytu.

– Może byś tak zmienił swoje zwyczaje i zaczął dla odmiany mówić prawdę? Mimo wszystko nie zawsze musi być ona ostatecznym środkiem.

– Ach, Shimrodzie! Zaintrygowała mnie twoja negatywna opinia o mnie. Jeśli zaś chodzi o Visbhume'a, nie mam nic do ukrycia. Rozmawiałem z nim ubiegłej nocy, potem rozeszliśmy się. Nie mam wglądu w jego plany.

– Co ci powiedział?

– Hm, ha! Obawiam się, że stanęliśmy wobec problemu poufnego charakteru wiadomości! Powiem ci jednak, czego się dowiedziałem. Zakomunikował mi, że dopiero co wrócił z Tanagerlii, która jest jednym z dziesięciu światów Twittena, jak prawdopodobnie wiesz.

– Coś obito mi się o uszy. Czy wspomniał o księżniczce Glyneth? Jeśli tak, to co dokładnie powiedział?

– Mówił na jej temat nieco wykrętnie i wywnioskowałem, że skończyła nieszczęśliwie. Tanagerlia to okrutna kraina.

– Nie powiedział nic konkretnego?

– Zupełnie nic. W rzeczywistości próbował ograniczyć swoje informacje do minimum.

– Czy w twojej obecności, z przyczyn zupełnie dla mnie niepojętych, pozbył się całego swojego odzienia?

– Co za zaskakujący pomysł! – zauważył Tamurello z łagodnym wyrzutem. – Obraz, jaki roztoczyłeś przed moimi oczami, jest żalony.

– Bardzo dziwne! Ubiegłej nocy natknąłem się na jego ubranie porzucone w nieładzie na poboczu drogi.

Tamurello pokiwał uprzejmie głową.

– Często w tego rodzaju wypadkach wytłumaczenie jest bardzo proste. Być może zmienił swoje zabrudzone i zniszczone w podróży szaty na inne, bardziej reprezentacyjne.

– Czy wraz z zabrudzonym strojem porzuciłby swój cenny egzemplarz *Almanachu Twittena*?

Tamurello uniósł ze zdziwienia brwi i pogładził starannie przystrzyżoną, czarną brodę.

– Można go jedynie podejrzewać o roztargnienie albo o jakieś dziwactwo. Ale, oczywiście, nie znam sztuczek Visbhume'a. A teraz wybacz, proszę.

Zwrócił się do Melanthe.

– Znalazłaś coś ciekawego?

– To tu kupowałam moje kwiaty, ale teraz rośliny zwiędły i już nigdy więcej nie będę mogła się cieszyć ich urokiem.

– Szkoda.

Tamurello zajrzał do kramu i zauważył zieloną perłę. Zesztywniał, po czym powoli, krok za krokiem, podszedł do lady i pochylił się nad pudełkiem.

– Ta zielona piękność to unikat! – zawołał podniecony Yossip. – Kosztuje zaledwie sto złotych monet.

Tamurello nie zwracał na niego uwagi. Wyciągnął rękę, jego palce poruszyły się nerwowo nad perłą. Z cienia na końcu kontuaru wyskoczył nagle zielono-czarny wąż. Chwycił perłę w paszczę i w oka mgnieniu połknął ją. Potem ześlizgnął się na ziemię i pomknął w stronę lasu.

Tamurello wydał zdławiony okrzyk i pobiegł za stragan, gdzie w ostatniej chwili zobaczył, jak wąż wsunął się do jamy pod korzeniami starego, wykrzywionego dębu.

Zacisnął palce, wykrzyknął sześciosylabowe zaklęcie i zamienił się w długą, szarą łasicę, która

rzuciła się w otwór śladem węża.

Spod ziemi dochodziły nikłe piski i syki, po czym zapadła cisza.

Minęła minuta. Z nory wyszła wreszcie łasica, niosąc w pysku zieloną perłę. Przez chwilę spoglądała z furią na łąkę, po czym zaczęła się oddalać.

Rumiany młody wieśniak o płowych włosach natychmiast ruszył za nią. Błyskawicznym ruchem nakrył łasicę szklanym słojem, który następnie szczelnie przykrył wiekiem, zamykając zwierzę w skulonej pozycji, z zieloną perłą w pysku, długim nosem opuszczonym na brzuch i tylnymi łapkami zarzuconymi powyżej uszu.

Wieśniak postawił słoje na kontuarze w kramie Yossipa i na oczach wszystkich łasica rozpuściła się. Pozostał po niej tylko szkielet zatopiony w zielonej, przezroczystej galarecie z żarzącą się w środku zieloną perłą.

III

Szare kontury Asphrodiske zniknęły za nimi w lekkiej mgłę, gdy dywanowiec ruszył z powrotem przez Równinę Lili i na zachód, oddalając się od czarnego księżyca. W górze żółte i zielone słońca okręwały się w niezmiennym, nieustającym, powolnym rytmie, który – w opinii Glyneth – mógł wyprowadzić z równowagi osobę o chimerycznym usposobieniu, a i dla niej stawał się nie do zniesienia, zwłaszcza teraz, gdy miała czas na rozmyślanie.

Wraz z odejściem Visbhume'a opadło napięcie nerwowe i miejsce silnych wrażeń, jakich dostarczała żywa, acz dziwna natura Visbhume'a, zajęły teraz monotonia i zmęczenie.

Na pierwszym postoju Glyneth nalegała, żeby Kul odpoczął i odzyskał siły, lecz on wpadł w zły nastrój i nie chciał leżeć spokojnie, tak jak mu kazała.

– Czuję się w tym małym domku jak w pułapce! – warknął. – Kiedy leżę bez ruchu, wpatrując się w powałę, czuję się jak trup z otwartymi oczami. Słyszę głosy, dochodzą mnie z oddali jakieś krzyki. Gdy leżę beczynnym, głosy te stają się dzikie, złe i coraz głośniejsze!

– Jednak musisz wrócić do zdrowia. Dlatego jest ci potrzebny odpoczynek. Nic innego nie pomoże, gdyż nie ośmielę się zaaplikować ci wzmacniających środków Visbhume'a.

– Nie potrzebuję żadnych jego leków – wymamrotał Kul. – Czuję się lepiej, kiedy jedziemy na zachód. To jest rozkaz zakodowany w mojej głowie i odczuwam ulgę tylko wówczas, gdy go wypełniam.

– Dobrze więc. Będziemy podróżować, ale ty musisz siedzieć spokojnie i pozwolić mi się pielęgnować. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś rozchorował się i umarł.

– Tak, to byłaby tragedia – przyznał. Usiadł prosto na kanapie. – Ruszajmy w drogę. Czuję się już lepiej.

Dywanowiec ponownie pobiegł na zachód. Samopoczucie Kula poprawiło się i zaczął wykazywać oznaki dawnej żywotności.

Zostawili za sobą Równinę Lili i Ciemny Las i w oddali zobaczyli miasteczko Pude. Kul stanął w rozkroku pod baldachimem, wspierając się na Zilu, mieczu Zaxy, wbitym w podłogę między jego stopami. Na najwyższej ławce Glyneth ułożyła tubę i ogniste kule oraz upewniła się, że „Bańki Dręczyciela” były gotowe do użycia.

Po wyjeździe do miasteczka dywanowiec pogalopował środkiem głównej ulicy. Ludzie wyglądali przez okna wysokich, masywnych domów, lecz nikt nie odważył się wyjść, żeby ich zatrzymać, więc gdy znaleźli się na moście, nawet nie pomyśleli o tym, aby zapłacić mostowe.

Kiedy minęli już bezpiecznie rzekę Haroo, Glyneth zaśmiała się nerwowo.

– Nie jesteśmy zbyt popularni w Pude. Nie witały nas kwiatami dzieci, nie było też żadnego świętowania. Nawet psy nie chciały zaszczekać, a burmistrz schował się ze strachu pod łóżko.

Kul odwrócił się z ponurym uśmiechem.

– Ku mej ogromnej uldze, gdyż i ja chciałbym się położyć w ukryciu. Gdyby dzieci rzuciły we mnie choć jednym płatkim kwiatu, padłbym na ziemię. Wspieram się na tym mieczu, chcąc się utrzymać w pozycji stojącej i wątpię, czy byłbym w stanie podnieść go, żeby zadać cios, nawet wówczas, gdyby celem była szyja Visbhume'a.

– Dlaczego więc stoisz? Usiądź i odpocznij! Myśl o rzeczach przyjemnych, o tym, że musisz wrócić do sił, a wkrótce będziesz zdrow, jak dawniej.

Pokuśtykał do niskiej ławki.

– Zobaczymy.

Przed nimi roztaczał się bezkresny step Tang-Tang i Glyneth zaczęła się obawiać, że mogą zboczyć z trasy i zgubić drogę. Jedynym punktem orientacyjnym, na którym mogli polegać, była różowa gwiazda na wschodzie, ale utrzymywanie jej dokładnie z tyłu stało się trudnym zadaniem, więc oboje przez cały czas szukali punktów odniesienia wzdłuż drogi. Przejeżdżali przez obszar porośnięty ogromnymi drzewami. Tak jak przedtem, dwunożni mieszkańcy drzew wykrzykiwali histeryczne groźby i wykonywali obraźliwe gesty pod ich adresem. Kul tak pokierował dywanowcem, aby ten objechał drzewa z daleka, a sam schował się pod baldachimem.

– Nie chcę nikogo prowokować, nawet tych nędznych stworzeń.

– Biedny Kul – powiedziała. – Ale nie przejmuj się, wkrótce znów staniesz się silny i nie będziesz więcej przeżywał takich lęków. Tymczasem możesz polegać na mnie, gdyż mam pod ręką torbę Visbhume'a.

Z jego gardła wydobyło się warknięcie.

– Jeszcze do tego doszło. Chociaż rzeczywiście nie na wiele się przydadę.

– Oczywiście, że jesteś przydatny, zwłaszcza dla mnie! – zaprzeczyła z oburzeniem. – Będziemy jechać powoli, żebyś miał czas na odpoczynek.

– Nie! Widziałaś czarny księżyc? Bez przerwy przesuwa się po niebie! Kiedy dotrzemy do chaty, moje zadanie będzie wykonane i wtedy będę mógł odpocząć.

Glyneth westchnęła. Taka rozmowa męczyła ją.

Jeżeli przeżyję!, myślała, nigdy nie zapomnę tych dziwnych podróży po Tanjecterlii, choć może z czasem te okropne wspomnienia stracą na sile i będę pamiętać jedynie to, co najprzyjemniejsze: towarzystwo Kula, odpoczynek w miłej, małej chatce i wspaniałe krajobrazy Tanjecterlii, na które chwilowo jestem obojętna... Czy to możliwe, żebym opuszczała Tanjecterlię z żalem? Zakładając oczywiście, że mam ją opuścić... Westchnęła ponownie i skupiła uwagę na okolicy.

Jazda, potem odpoczynek, znów jazda, a każdy taki cykl przynosił nowe wydarzenia. Któregoś razu dywanowiec ledwie uniknął stratowania przez stado ośmionożnych przeżuwaczy wielkości dużych odyń-ców. Miały cętkowaną, czerwono-białą sierść, długie kły, a na końcu ich ogonów dyndały najeżone kolcami kule. Kwicząc przeraźliwie, wrzeszcząc i wydzielając wstrętny odór, kolumna bestii, szeroka na ćwierć mili, przebiegała obok nich z północy na południe i w końcu zniknęła.

Innym razem, gdy mijali obozowisko śniadych człekokształtnych koczowników, ubranych w krzykliwe stroje w kolorach czerni, żółci i czerwieni, wybiegły im na spotkanie dzieci, które zaczęły żebrać, nie okazując zupełnie strachu na widok Kula. Glyneth nie miała nic, co mogłaby im dać, więc poczęły zdzierać frędzle z dywanu leżącego na grzbiecie zwierza. Nie mając wyboru, Glyneth zmusiła dywanowca, by przyspieszył kroku, i zostawili obóz za sobą.

Po spotkaniu z koczownikami zaczęła podejrzewać, że zbczyli z najprostszej drogi przez step, a jej podejrzenia potwierdziły się, gdy na horyzoncie dostrzegli dwa wzniesienia zwieńczone silnie ufortyfikowanymi zamkami, a za nimi urwistą skałę z jeszcze większą i straszniejszą fortecą. Gdy dywanowiec przebiegał obok dwóch pierwszych budowli, wyjechali z nich dwaj ogromni rycerze, wyżsi i bardziej masywni od Kula. Pierwszy z nich miał na sobie wspaniałą purpurową zbroję z zielonym pióropuszem, a drugi – niebieską zbroję i pomarańczowy pióropusz. Zatrzymali swoje rumaki przed dywanowcem i unieśli w górę ręce, w najwyraźniej przyjaznym geście powitania. Rycerz w purpurze zawołał:

– Dobrzy ludzie, przekazujemy wam nasze pozdrowienia i zapytujemy, jak się zwiecie i skąd pochodzicie?

– Jestem księżniczka Glyneth z Troicinetu, a to mój paladyn, sir Kul – odpowiedziała Glyneth z górnego siedzenia pod baldachimem.

– Miejsce zwane Troicinet nie jest nam znane – zauważył niebieski rycerz. – Sir Kul, jeśli mogę tak powiedzieć, przypomina raczej dziką bestię z gór, chociaż jego twarz, sposób bycia i szlachetna postawa wskazują na pozycję społeczną, jaką mu przypisałaś.

– Wykazujesz się, panie, niezwykłą bystrością umysłu. Sir Kul jest pod działaniem uroku i przez pewien czas musi używać swej obecnej postaci.

– Aha! – stwierdził purpurowy rycerz. – Teraz wszystko jest jasne.

– Zauważyliśmy także, że sir Kul stoi z rękami wspartymi na wspaniałym mieczu z niepospolitego materiału, który swym wyglądem przypomina miecz Zil należący do mordercy Zaxy z miasteczka Pude.

– To prawda. Zaxa swego czasu władał tym mieczem, ale obraził sir Kula i ten odebrał mu zarówno życie, jak i miecz. Dla sir Kula było to nużące ćwiczenie, gdyż Zaxa potwornie ryczał w czasie walki, a także potem umierając.

Obaj rycerze spojrzeli na Kula spode łba. Naradzili się między sobą, po czym niebieski rycerz odjechał na bok i zadał w róg. Tymczasem rycerz w purpurowej zbroi zwrócił się do Glyneth i do Kula:

– Z uwagi na twoje zwycięstwo nad Zaxą błagamy cię, żebyś zabił też jego ojca, sir Lulie. Jest on o wiele silniejszy od Zaxy i bez odrobiny wstydu przyznajemy, że boimy się go. Lulie dopuścił się co najmniej tysiąca strasznych czynów, które popełnił bez skrupułów, a tym bardziej bez zadośćuczynienia rodzinom ofiar.

– Bolejemy nad tak karygodnymi czynami, ale nie mamy teraz czasu, żeby temu zaradzić – powiedziała pospiesznie Glyneth. – Prawdę mówiąc, już i tak jesteśmy spóźnieni, a jedziemy w bardzo ważnej sprawie.

– Czy rzeczywiście tak się sprawy mają? – zapytał purpurowy rycerz. – Wygląda na to, że mój brat pospieszył się z wezwaniem do walki.

– Niestety, tak! Odjeżdżamy już i musisz nas, panie, wytłumaczyć przed sir Lulie najlepiej, jak potrafisz. Kul, ruszaj jak najszybciej.

– Już za późno – zawołał rycerz. – Widzę, że sir Lulie wyjeżdża właśnie ze swego zamku.

Z zamierającym sercem Glyneth zobaczyła zbliżającego się na dywanowcu rycerza. Siedział na masywnym krześle w kształcie tronu, a w ręku trzymał kopię długą na czterdzieści stóp. Ubrany był w pancerz, nagolenniki i hełm w kształcie głowy demona z pióropuszem z trzech czarnych piór.

Sir Lulie zatrzymał swego rumaka w odległości stu stóp.

– Kto tak ostro zadał w róg, zakłócając tym mój odpoczynek? – zawołał – Wytrąciło mnie to z równowagi.

- Zadałem w róg, żeby obwieścić obecność niezwycięzonego sir Kula, który zabił już twojego syna, Zaxę, a teraz chce poznać kolor twojej krwi – odpowiedział rycerz w niebieskiej zbroi.
- To śmiały zamiar – rzekł Lulie. – Sir Kulu, dlaczego popełniasz tak okrutne czyny?
- Takie wydaje się być moje przeznaczenie. W tym jednak wypadku jest inaczej. Jesteś ojcem, który utracił swoje dziecko, więc ustępuję ci pola. Wracaj do swojego zamku, żeby pograć się w smutku, a my odjedziemy. Życzymy wszystkim dobrego dnia.
- Sir Kulu, najwyraźniej mówiłeś żartem, nazywając sir Luliego „kundlem” i „tchórzem, którego czyny śmierdzą jeszcze gorzej niż on sam”? – krzyknął purpurowy rycerz.
- Nie jestem wrażliwą osobą, ale te uwagi są zjadliwe – odparł sir Lulie.
- Sir Lulie, to tamci dwaj rycerze mają z tobą na pieńku, nie ja. Zakończmy tę rozmowę, proszę, gdyż bardzo nam się spieszy i chcielibyśmy wyruszyć w dalszą drogę.
- Jednak zabiłeś mojego syna Zaxę i dzierzysz jego miecz. Już sam ten czyn woła o pomstę.
- Zabiłem go, bo mnie zaatakował. Jeśli ty zrobisz to samo, znajdę sposób, żeby i ciebie zabić.
- Cha, cha! Uważam tę uwagę za wyzwanie.
- Nie taka miała być jej wymowa. Proszę, pozwól nam kontynuować podróż.
- Nie, dopóki nasze rachunki nie zostaną wyrównane. Zsiądź ze swojej grzędy. Będziemy walczyć na stojąco i będziesz mógł zakręcić mieczem Zaxy przeciwko jego ojcu, jeśli się ośmielisz.
- Nie czekaj na mnie – zwrócił się Kul do Glyneth. – Jak najszybciej ruszaj na zachód i niech szczęście cię nie opuszcza.

Zeskoczył na ziemię trzymając w ręku swój własny krótki miecz, a nie ciężką broń Zaxy. Pochylony w charakterystyczny dla siebie sposób, zbliżył się chwiejnym krokiem do przeciwnika. Sir Lulie wyciągnął z pochwy swój miecz i machnął nim wysoko nad głową.

– Diabelska bestio, oto mój miecz Kahanthus! Nadszedł twój koniec!

Stojąc na najwyższym poziomie pod baldachimem, Glyneth umieściła w tubie ogniastą kulę, wycelowała dokładnie i dmuchnęła. Z rozpostartymi skrzydełkami kulka przeleciała przez otwór oczny hełmu sir Luliego i wybuchnęła białym ogniem. Lulie zawył dzikim głosem i wypuściwszy miecz, chwycił rękami za hełm. Kul ciął go w tym momencie w łokieć i przedramię zadyndało luźno w stawie. Odruchowo Lulie machnął nogą i Kul wyleciał w powietrze, po czym legł nieruchomo na ziemi. Lulie zerwał z głowy hełm i zamrugał jedynym teraz okiem. Zobaczywszy Kula, rzucił się, żeby go udusić. Kul uniósł swój miecz, którego ostrze przebiło szyję przeciwnika pod brodą i przeszło aż do mózgu. Lulie zwałił się na Kula, a kolec wystający z jego pancerza wbił się głęboko w pierś jego wroga.

Z ogromnym wysiłkiem Glyneth odciągnęła na bok jego zwłoki. Zatamowała chusteczką krew tryskającą z rany Kula, po czym pobiegła po torbę Visbhume'a. Wyjęła z niej balsam i w desperackim pośpiechu posmarowała nim ranę. Gdy wreszcie przestała krwawić, ku swemu przerażeniu zauważyła, że krew buchała też z rany na plecach, przez które przeszedł kolec.

W końcu krew przestała płynąć, ale przez pewien jeszcze czas Kul klęczał z opuszczoną głową, kaszląc i wypluwając czerwoną pianę. Wreszcie odwrócił się do Glyneth z grymasem na upiornie bladej twarzy.

– Nic mi nie jest! Wracajmy do dywanowca. Czarny księżyc nie przestał się toczyć!

Ledwie utrzymując równowagę, podszedł do zwierza i przy pomocy Glyneth udało mu się wdrapać pod baldachim, gdzie opadł ciężko na ławkę.

Purpurowy rycerz i jego niebieski brat opuścili ich już dość dawno temu i teraz Glyneth zobaczyła, jak podążają drogą do zamku sir Lulie-go, lecz nie potrafiła powiedzieć, czy po to, by zażądać skarbów jego byłego właściciela, czy też uwolnić jeńców.

Zebrawszy całą swą odwagę i zacisnąwszy zęby, Glyneth wyciągnęła miecz Kula z martwego ciała, wytarła go do sucha o odzienie sir Lulie-go i zaniosiła do dywanowca.

Miecz sir Luliego, Kahanthus, leżał na darni. Jego głownię wykuto z bladoniebieskiego metalu, rękojeść inkrustowana była kością słoniową, a w głowicę wprowadzono, błyszczący czerwony rubin. Miecz był bardzo ciężki. Glyneth z trudem zaniosiła go na grzbiet dywanowca, po czym skierowała zwierzę na zachód.

Kul osunął się na oparcie z zamkniętymi oczami. Twarz miał bladą, oddychał płytko i chrapliwie z powodu krwi zalegającej mu ciągle w gardle. Glyneth spróbowała ułożyć go wygodnie. Usiadła obok, obserwując przebiegające po jego twarzy skurcze, które stawały się coraz bardziej wyraźne i czytelne, aż przejął ją dreszcz grozy, gdy domyśliła się ich znaczenia. Dotknęła wymizerowanego policzka.

– Kul! Obudź się! Dręczą cię złe sny.

Poruszył się. Jęknął i wyprostował się do pozycji siedzącej. Z niepokojem popatrzyła w jego twarz, lecz odczuła ulgę, gdyż zobaczyła tylko Kula, którego kochała i któremu ufała.

– Czy pamiętasz swoje sny? – zapytała.

– Już ich nie ma. Nie chcę ich pamiętać.

– Może powinniśmy się zatrzymać, żebyś odpoczął, aż poczujesz się silniejszy.

– Nie potrzebuję odpoczynku. Możemy jechać tak daleko i tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Dywanowiec biegł mila za milą po niebieskiej trawie. Gdy Glyneth spoglądała na południe, od czasu do czasu dostrzegała dwunożne wilki. Przystawały, żeby przyjrzeć się jeźdźcom, naradzały się między sobą, po czym znikaly między drzewami.

Jechali wciąż dalej i dalej przez step, aż okolica wydała im się znajoma. Minęli wysoki pałac rycerza rabusia, którego Visbhume pokonał swoim magicznym lustrem. Tym razem nie wyjechał im na spotkanie. Nad zachodnim horyzontem zamajaczyło pasmo gór i wkrótce znaleźli się nad płynącą z północy, równoległe do ich trasy, rzeką Mys. Do dwunożnych wilków, które trzymały się przezornie z daleka, dołączył nowy oddział, którego przywódcy, gestykulując w kierunku dywanowca, wydawali się uzgadniać bardziej śmiało działania. Sfora zaczęła się stopniowo zbliżać do dywanowca i okrążyć go. Jeden z wilków przysunął się bliżej i próbował się wgrzyźć w jego nogę. Ten kopnął go i stratował nie gubiąc rytmu biegu.

Kul podniósł się ze znużeniem i chwycił swój miecz. Wilki wycofały się na pewien czas. Upewniwszy się jednak, że Kul nie stanowił bezpośredniego zagrożenia, wróciły biegnąc blisko i dwa z nich wskoczyły na dywan za baldachimem. Glyneth miała już przygotowaną tubę; dmuchnęła w najbliższego zwierza. Kula ogniowa trafiła go w pierś i wybuchnęła niebiesko-pomarańczowym płomieniem. Zwierzę zasko-wyczało głośno i stoczyło się z dywanowca w szalonych konwulsjach. Glyneth wycelowała tubę w drugiego wilka, lecz ten zeskoczył już przezornie na ziemię i oddalił się w podskokach.

Po kilku minutach wilki odbiegły susami na południe i zebrawszy się w kole, zaczęły przygotowywać taktykę. Kiwały przy tym długono-symi łbami i wysuwały cienkie, czarne języki. Tymczasem Kul zmusił dywanowca do jeszcze szybszego biegu i wkrótce, w miejscu, w którym góry wyrastały nad brzegiem rzeki, zobaczyli przed sobą chatę.

Wataha gotowała się do kolejnego ataku. Zgodnie ze swoim planem bestie nadbiegły z obu stron dywanowca i rzuciły się w górę na Kula, który machnął mieczem, odrąbując wyciągające się w jego stronę łapy. Oczyszczył pole z prawej strony, lecz z lewej inne zdążyły mu już skoczyć na plecy. Glyneth słała z góry jedną kulę ogniową za drugą, aż do momentu, gdy znad baldachimu chwyciło ją

za szyję owłosione ramię i przed sobą zobaczyła rozwartą pysk z wyszczerzonymi kłami i długim nosem. Wstrzymała oddech i wyrwawszy się z objęcia, posłała kulę w czarną mordę. Zwierzę oddaliło się, zajęte teraz tylko swoim własnym żalonym losem.

Do chaty było już tylko sto jardów, gdy wataha ściągnęła Kula z dywanowca, który stanął zdezorientowany. Tymczasem wilki stłoczyły się wokół Kula, aż w końcu powaliły go na ziemię i zakotłowały się nad nim w skowyczącej, futrzanej masie.

Kul zebrał resztkę sił, dźwignął się w górę i stanął z przyssanymi do jego ciała łapami. Przeklinając i kopiając, oderwał je od siebie. Gdy wymachiwał wysoko mieczem, wydawał się przez chwilę dawnym Kulem. Wilki jednak zakosztowały już jego krwi i nie dały się tak łatwo odpędzić. Wyjąc i kłapiąc zębami rzuciły się na Kula, który siekł i rąbał, lecz jego uderzenia pozbawione już były siły.

– Postaw swój domek! – zawołał do Glyneth. – Ratuj się! Ze mną już koniec!

Rozejrzała się wokół oszalałym wzrokiem i zeskoczyła na ziemię, żeby spełnić żądanie Kula.

W drzwiach chaty pojawił się nagle wysoki mężczyzna o rdzawo-blond włosach. Spojrzała na niego z niedowierzaniem i kolana ugięły się pod nią z radości.

– Shimrod!

– Portal otworzył się, ale nie na długo. Chodź!

– Musisz uratować Kula!

Shimrod wyszedł na równinę. Podniósł w górę rękę i z jego palców posypały się czarne błyskawice, które trafiając w wilki, zamieniały je w mgnieniu oka w garść szarego popiołu. Kilka stworów zaczęło uciekać z piskiem na wschód, jednak czarne błyskawice pomknęły za nimi i wszystkie po kolei spaliły na popiół.

Glyneth podbiegła do Kula. Słaniał się na nogach, więc podparła go.

– Kul! Jesteśmy uratowani! Przybył Shimrod! Kul rozejrzał się dookoła tępym wzrokiem.

– Shimrod – zaskrzeczał. – Wypełniłem twój rozkaz najlepiej, jak umiałem.

– Spisałeś się bardzo dobrze, Kulu.

– Prawdę mówiąc, jestem już prawie martwy. Teraz położę się i znieruchomieję – wycharczał i opadł na kolana.

– Kul, nie umieraj! – zawołała Glyneth. – Shimrod znów uczyni cię silnym!

– Droga Glyneth, wracaj na Ziemię – rzekł ochryłym głosem. – Nie mogę iść z tobą. Jestem jakąś mieszaniną, którą wiąże czerwona krew, lecz nie pozostała jej już we mnie ani kropelka. Żegnaj, Glyneth.

– Zaczekaj! – Glyneth odchodziła od zmysłów. – Nie umieraj! Kocham cię z całego serca i nie mogę cię tutaj zostawić! Kul? Czy możesz mówić?

Shimrod chwycił ją za ramię i podniósł z ziemi.

– Glyneth, czas na nas. Nie możesz pomóc Kulowi. Nie długo wróci do swej pierwotnej postaci i lepiej, żebyś poszła ze mną. Jego ciało jest martwe, ale jego miłość do ciebie – ciągle żywa. Chodź.

IV

Shimrod skierował się w stronę chaty, lecz Glyneth zatrzymała się ponownie.

– Na dywanowcu są dwa wspaniałe miecze, Shimrodzie, zabierzmy je ze sobą.

Zaprowadził ją do drzwi.

– Przejdź przez bramę, a ja wrócę po miecze. Ale nie wychodź, czekaj na mnie w chacie.

Glyneth przekroczyła próg jak odrętwiała i znalazła się w środku chaty. Na moment obejrzała

się przez ramię. Rzuciła Kulowi ostatnie spojrzenie i odwróciła głowę.

Coś się zmieniło. Odetchnęła głęboko. To było ziemskie powietrze. Unosił się w nim tak przez nią ukochany zapach liści i ziemi.

Do chaty wszedł Shimrod; ugiął się pod ciężarem dwóch mieczy. Położył je na stole i obróciwszy się do Glyneth, wziął ją za rękę.

– Kochałaś Kula i nie ma w tym nic złego. Gdybyś go nie pokochała, pomyślałbym, że jesteś bez serca, co byłoby głupie zważywszy na to, że znam cię aż nazbyt dobrze. Kul był z czarowaną istotą stworzoną z dwóch form. Jedną z nich była górską bestia, drugą zaś barbarzyński pirat, Kul Zabójca, pochodzący z odległego księżycy. Obie te formy nałożone na siebie dały przerażające stworzenie, bezlitosne i nieposkromione. Żeby tchnąć w nie życie i duszę przepelnioną miłością i lojalnością do ciebie, daliśmy mu krew kogoś, kto cię kocha. Prawdę powiedziawszy, daliśmy mu prawie całą jego krew, a także całą siłę jego woli. Kul jest martwy, ale on żyje.

Płacząc i śmiejąc się jednocześnie, Glyneth zapytała:

– A kim jest ta osoba, która mnie kocha? Dowiem się tego, czy mam zgadywać?

– Wątpię, żebyś musiała zgadywać. Spojrzała na niego z ukosem.

– Ty mnie kochasz i Dhrun mnie kocha, ale myślę, że mówisz o Aillasie... Czy on jest na zewnątrz?

– Nie wspomniałem mu, że brama się otworzyła. Gdyby nie było cię w chacie lub gdyby ci się coś stało, tylko niepotrzebnie przechodziłby od nowa te same katusze. Kul oraz Murgen nie zawiedli i w końcu jesteś tutaj. Teraz sprowadzę Aillasa za pomocą czarów. Możesz wyjść, gdy cię zawołam.

Opuścił chatę. Glyneth podeszła do stołu, spojrzała na miecze Zil i Kahanthus. Jej myśli pobiegły z powrotem do Tanjecterlii i długiej drogi do Asphrodiske. Przez chwilę pomyślała też o Visbhume.

Po jakimś czasie na zewnątrz usłyszała głosy. Już miała wyjść, gdy przypomniała sobie instrukcje Shimroda. Zatrzymała się.

– Glyneth! – zawołał Shimrod. – Jesteś tam? A może wróciłaś z powrotem do Tanjecterlii?

Podeszła do drzwi i wyjrzała na upstrzoną słońcem polanę. Obok powozu czekał na nią Aillas. Zaniósłszy miecze do powozu, Shimrod powiedział:

– Będę na was czekał w Watersshade. Nie marudźcie za długo po drodze!

Wszedł w las i zniknął.

Aillas podeszedł do Glyneth i wziął ją w ramiona.

– Moja ukochana Glyneth, już nie pozwolę, żebyś mnie kiedykolwiek opuściła.

Po chwili zwolnił uścisk i spojrzał w jej twarz.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała z uśmiechem.

– Bo na moich oczach stałaś się najpiękniejszą i najbardziej pociągającą ze wszystkich dziewcząt na ziemi.

– Naprawdę, Aillasie? Pomimo mojego poplamionego stroju i brudnej twarzy?

– Naprawdę. Roześmiała się.

– Czasami traciłam nadzieję, że przyciągnę twoją uwagę.

– Nie masz się już czego obawiać. W rzeczywistości targają mną wszystkie wątpliwości i obawy typowe dla niepewnego kochanka. Już nie mogę się doczekać opowieści o twoich przygodach. Jak ci służył twój paladyn, Kul?

– Służył mi tak dobrze, że i ja go pokochałam. Powinnam raczej powiedzieć, że pokochałam tę stronę jego natury, która była tobą. Dostrzegałam w nim cechy górskiej bestii i Kula Zabójcy. Przerażały mnie, lecz w takich chwilach zjawiałeś się zawsze ty i wszystko wracało do normy.

– Wygląda na to, że dużo zrobiłem, ale nie pamiętam tego – powiedział ze smutkiem Aillas. – Cóż, mniejsza teraz o to. Kul oddał mi ciebie, więc nie mogę być zazdrosny. Oto nasz powóz. Ruszajmy do Watershade na najwspanialszy z bankietów. Wspanialszego te stare mury jeszcze nie widziały

Zielona perła tkwi zamknięta w butelce, a ostatnie wcielenie Tamurella, leżącego w postaci skulonego szkieletu łasicy zatopionego w zielonej galarecie, jest prawdopodobnie najbardziej niewygodne ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przybrał...

Puszcza Tantrevalles okrywa głębokim cieniem wilgotną ziemię. Gdzieś pod nią leży zdechły wąż, który w lepszych czasach używał imienia Visbhume. Nie przytupuje już, nie porusza się ani nie podskakuje w rytm szalonej wewnętrznej muzyki. Czasami w takich wypadkach jak ten nachodzi nas refleksja: oto jest martwe ciało, lecz dokąd odeszła muzyka?

Tamurello i Visbhume byli bez wątpienia wyjątkowi, choć obu spotkał ten sam, smutny los. Jednak wyspy Elder obfitują w wybitnych ludzi, których ambicje często wykraczają poza granice tego, co rozsądne, a czasem nawet tego, co możliwe.

Za przykład może tu posłużyć skalradzki renegat Torqual. Przeżył pomimo odniesionych ran i teraz odzyskuje siły w swoim niedostępnym zamku. Nachodzą go tam gorzkie myśli i snuje ponure plany, gdyż poprzysiągł zemstę młodemu troicyjskiemu żołnierzowi, który zadał mu tak bolesne rany.

Królowa Sollace z Lyonesse ma ciągle nadzieję na budowę katedry. Ojciec Umphred zapewnia ją, że gdyby król Casmir nawrócił się na chrześcijaństwo, wykazywałby więcej zrozumienia dla tej idei. Królowa Sollace jest co do tego zgodna, ale jak nawrócić Casmira? Być może z pomocą jakichś świętych relikwii. Kilka wieków temu Józef z Arymatei przywiózł z opactwa Glastonbury na wyspy Elder Świętego Graala, który byłby bardzo pomocny w realizacji celów królowej Sollace, z czym entuzjastycznie zgadza się ojciec Umphred.

Króla Casmira z Lyonesse ciągle dręczy przepowiednia magicznego lustra, Persiliana, i nadal nie wie, kto jest pierworodnym synem Suldrun.

Księżniczka Madouc z Lyonesse zajmuje na dworze pozycję nie do pozazdroszczenia. Król Casmir wie, że jest podrzutkiem i że w jej żyłach nie płynie jego krew. Jednak może się okazać przydatna, gdy osiągnie wiek odpowiedni do zamążpójścia. Madouc jest dziwnym, małym stworzeniem wykazującym jeszcze mniej cierpliwości do konwenansów panujących na dworze w Haidionie niż tragicznie zmarła księżniczka Suldrun. O niej to opowiada trzecia z kronik wysp Elder:

Lyonesse III.

Madouc

Wyspy Elder na przestrzeni dziesięciu tysięcy lat były miejscem najazdów, wędrówek ludów, zbrojnych inwazji, jak również celem podróży kupców zmierzających do takich ośrodków handlowych jak Ys, Avallon, Domreis czy Bulmer Skeme, miast założonych przez przybyłych tu zza oceanów handlarzy.

Przybysze ściągali ze wszystkich stron. Zanim z północy nadciągnęły lodowce, żyły tu ludy o nieznanym pochodzeniu, których niedola może być tylko przedmiotem domysłów. Później przybywali Kor-nutianie, Bitynianie, wybitny lud znany jako Złoty Khauz, a po nich Eusquaharowie przodkowie Basków, Berberów z Maroka, Guanczów z Wysp Kanaryjskich i Tuaregów, Niebieskich Ludzi z Mauretanii).

W dalszej kolejności, czasami następującymi po sobie falami, zjawiali się tu Pelazgowie, jasnowłosi Sarsele z Tingitany, Danaanowie i Galicyjczycy z Hiszpanii, Grecy z Hellady, Sycylii i

Galii. Przybyli tu statki z Lidyjczykami, którzy porzucili Toskanię. Ściągali też ze wszystkich stron Celtowie, a z czasem Rzymianie z Akwitanii, których zamiarem był podbój, lecz którzy wkrótce odpłynęli, zabierając ze sobą doktrynę chrześcijańską. Wzdłuż wybrzeży Wysrodu osiedliły się grupy Gotów i Armorykańczyków. W tym czasie nowe grupy Celtów z Brytanii i Irlandii pokonały słabych władców Dahautu i utworzyły królestwo Godelii. Wreszcie z Norwegii przez Irlandię* przybyli tu Skalradzi, którzy osiedlili się na Skaghane i na reszcie Wysp Zewnętrznych, skąd następnie uderzyli na Północne Ulflandy.

* Zob. Glosariusz III w tej książce oraz Glosariusz III w *Lyonesse*. Księga I. *Ogród Suldrun*.

Historia Skalradów jest sama w sobie epopcją. Rdzenni mieszkańcy Norwegii, jeszcze sprzed okresu lodowcowego, zostali wyparci przez Ur-Gotów na południe do Irlandii, gdzie weszli do historii jako Neme-dianie.

Zamieszkujący Skandynawię Ur-Gotowie przejęli skalradzki styl życia i wkrótce powrócili hordami do Europy, dzieląc się tam na Ostrogotów, Wizygotów, Wandali, Gepidów, Lombardów, Anglów, Sasów i inne plemiona germańskie. Ci, którzy pozostali w Skandynawii, nazwani później wikingami, używając łodzi zbudowanych na wzór skalradzkich, przepłynęli Atlantyk, Morze Śródziemne i spenetrowali żeglowne rzeki Europy.

Skalradzi, pokonani w Irlandii przez Fomoriańczyków, ponownie zostali zmuszeni do wędrówki. Wypłynęli z Irlandii na południe, aż dotarli do Skaghane, najbardziej na zachód wysuniętej ze wszystkich wysp Elder, gdzie znaleźli odpowiadające im warunki.

Na wielkim zgromadzeniu ludowym złożyli trzy wielkie śluby, które stanowią podstawę do zrozumienia ich złożonej i sprzecznej natury:

Po pierwsze: Nigdy więcej Skalradzi nie opuszczą swojej ziemi ojczystej.

Po drugie: Skalradzi są w stanie wojny ze wszystkimi narodami świata. Tak było wcześniej, tak jest i teraz.

Po trzecie: W żyłach skalradzkiej rasy płynie czysta krew. Mieszanie jej z krwią podludzi jest zbrodnią tak ohydną, jak zdrada, tchórzostwo czy morderstwo.

Aillas był kochankiem córki Casmira, Suldrun, i ojcem jej syna Dhruna, który został porwany przez elfy z Thripsey Shee i podmieniony na dziewczynkę, półkrwi elfa, później księżniczkę Madouc.

Na swoje szczęście Casmir nic nie wiedział o tych wydarzeniach i dlatego w ogromne zdumienie wprawiła go przepowiednia wypowiedziana przez magiczne lustro, Persiliana, zgodnie z którą pierwotny syn Suldrun miał zasiąść na tronie Evandig, a także za Stołem Notabli, starożytnym Cairbra an Meadhan, który dwa pokolenia później stał się modelem dla Okrągłego Stołu króla Artura z Konwalii.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział 1.	3
Rozdział 2.	11
Rozdział 3.	15
Rozdział 4.	23
Rozdział 5.	26
Rozdział 6.	30
Rozdział 7.	40
Rozdział 8.	43
Rozdział 9.	48
Rozdział 10.	57
Rozdział 11.	62
Rozdział 12.	68
Rozdział 13.	76
Rozdział 15.	90
Rozdział 16.	97
Rozdział 17.	105